

JOHN BIRMINGHAM

WYBÓR BRONI

Przekład

Radosław Kot

Conversion of WMF images is not supported

Use Microsoft Word or OpenOffice to save this RTF file as HTML and convert that in calibre.



calibre 0.9.16

Wydanie oryginalne

Tytuł oryginału:

Weapons of Choice. World War 2.1.

Data wydania:

2004

Wydanie polskie

Data wydania:

2006

Projekt, opracowanie graficzne i ilustracja na okładce

Zbigniew Mielnik

Przełożył:

Radosław Kot

Wydawca:

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.

ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań

tel. 0-61-867-47-08, 0-61-867-81-40; fax 0-61-867-37-74

e-mail: rebis@rebis.com.pl

www.rebis.com.pl

ISBN 83-7301-854-9

Wydanie elektroniczne

Trident eBooks

tridentebooks@gmail.com

Dla Jane, która uwierzyła

Podziękowania

Dziękuję Garthowi Nixowi, który był moim pierwszym przewodnikiem na tej długiej i krętej drodze; Russowi Galenowi, za to, że nappełnił moją miseczkę zebraczą; Steve'owi Saffelowi, który wycierpiał więcej, niż śmiertelny wydawca winien kiedykolwiek wycierpieć; Cate Paterson, mojemu mieczowi i tarczy; Brianne Tunnicliffe, która zaprowadziła w tym chaosie porządek. Na moją wdzięczność zasłużyły też wszystkie dobre dusze z Queensland Writers Centre oraz Pete McAllister.

Przede wszystkim jednak dziękuję mojej kochanej rodzinie, Jane, Annie i Thomasowi, za bezcenną pomoc i wsparcie. Zapewne nigdy nie zdołam się Wam należycie odwdziaczyć. Postaram się chociaż częściej wstawać od klawiatury...

Dramatis Personae

Dowódcy Wielonarodowych Sił

Komandor Daytona Anderson – US Navy, dowódca USS *Leyte Gulf*

Kapitan Margie Francois – US Marine Corps, lekarz polowy i dowódca korpusu medycznego Wielonarodowych Sił (USS *Kandahar*)

Komandor Karen Halabi – Royal Navy, dowódca brytyjskiego kontyngentu, zastępca dowódcy Wielonarodowych Sił, dowódca HMS *Trident*

Pułkownik J. L. Jones – US Marine Corps, dowódca 82. Marine Expeditionary Unit

Komandor porucznik Mike Judge – US Navy, pierwszy oficer USS *Hillary Clinton*

Admirał Philip Kolhammer – US Navy, dowódca Wielonarodowych Sił (USS *Hillary Clinton*)

Podporucznik Maseo Miyazaki – Japanese Marine Self Defence Force, p.o. dowódcy JDS *Siranui*

Porucznik Ali Moertopo – Tentara Nasional Indonesia Angkatan Laut, p.o. dowódcy KRI *Sutanto*

Komandor Jane Willet – Royal Australian Navy, dowódca HMAS *Havoc*

Jego Księżęca Wysokość kapitan Harry Windsor, dowódca brytyjskiego kontyngentu SAS

Personel Wielonarodowych Sił

Szeregowy Waylon Bukowski – US Marine Corps, 1. pluton, kompania B (USS *Kandahar*)

Podporucznik Henry Chen – US Marine Corps, 3. pluton, kompania C (USS *Kandahar*)

Podporucznik Usama Damiri – Tentara Nasional Indonesia Angkatan Laut, oficer systemów informatycznych, KRI *Sutanto*

Podporucznik Biff Hannon – US Marine Corps, 1. pluton, kompania B (USS *Kandahar*)

Kapitan Chris Harford – US Navy, pilot śmigłowca (USS *Hillary Clinton*)

Kapitan Amanda Hayes – US Navy, pilot śmigłowca (USS *Hillary Clinton*)

Major Paweł Iwanow – Federacja Rosyjska, oficer Specnazu oddelegowany do US Navy SEAL (USS *Kandahar*)

Kapitan marynarki Rachel Nguyen – Royal Australian Navy, operator systemów uzbrojenia (HMAS *Moreton Bay*), w późniejszym okresie przeniesiona do Zespołu Historycznego (USS *Hillary Clinton*)

Starszy bosman Vincente Rogas – US Navy SEAL (USS *Kandahar*)

Kapitan Edgar Thieu – US Navy, oficer prasowy (USS *Hillary Clinton*)

Pozostałe postaci

Julia Duffy – dziennikarka „New York Timesa” wcielona do 82. MEU

Rosanna Natoli – dziennikarka i producent CNN wcielona do 82. MEU

Profesor Manning Pope – szef programu, Agencja Zaawansowanych Projektów Badawczych Ministerstwa Obrony

Dowódcy sił sprzymierzonych z 1942 roku

Winston Churchill – premier Wielkiej Brytanii

John Curtin – premier Związku Australijskiego

Generał brygady Dwight D. Eisenhower – US Army, szef Oddziału Planów Wojennych Sztabu Generalnego, w czerwcu 1942 mianowany dowódcą sił amerykańskich w europejskim teatrze działań wojennych

Admirał Ernest J. King – US Navy, głównodowodzący floty amerykańskiej i szef operacji morskich

Generał Douglas MacArthur – US Army, dowódca sił sprzymierzonych na obszarze południowo-zachodniego Pacyfiku z kwaterą główną w Brisbane w Australii

Generał armii George C. Marshall – US Army, przewodniczący Połączonego Komitetu Szefów Sztabów

Admirał Chester Nimitz – US Navy, głównodowodzący Floty Pacyfiku

Prezydent Franklin D. Roosevelt – trzydziesty drugi prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki

Wiceadmirał Raymond A. Spruance – US Navy, dowódca zespołu *Task Force 16*

Personel sił sprzymierzonych z 1942 roku

Komandor podporucznik Daniel Black – US Navy, adiutant admirała Spruance’a do spraw operacji i planowania (USS *Enterprise*)

Podporucznik marynarki Wally Curtis – US Navy, asystent płatnika (USS *Enterprise*)

Starszy marynarz James Davidson, „Bystry Jim” – US Navy (USS *Astoria*)

Komandor podporucznik Peter Evans – US Navy, p.o. dowódcy USS *Astoria*

Bosman Eddie Mohr (USS *Astoria*).

Starszy marynarz Michael Molloy, „Moose” – US Navy (USS *Astoria*)

Chorąży Peter Ryan – dowódca ochotniczego patrolu Strzelców Nowogwinejskich

Inne postaci

Starszy detektyw Lou Cherry – policja Honolulu, Wydział

Zabójstw Profesor Albert Einstein – laureat Nagrody Nobla

Dowództwo państw Osi

Japonia

Kontradmiral Kakuji Kakuta – dowódca Drugiego Zespołu Uderzeniowego Lotniskowców (HIJMS *Ryujo*)

Admiral Isoroku Yamamoto – głównodowodzący Połączonej Floty (HIJMS *Yamato*)

Niemcy

Reichsminister Joseph Goebbels – minister propagandy Rzeszy

Reichsfuhrer Heinrich Himmler – dowódca SS

Reichschancellor Adolf Hitler

Inne postaci

Major Paul Brasch – inżynier

Komandor podporucznik Jisaku Hidaka – Imperial Japanese

Navy, szef sztabu kontradmirała Kakuty (HIJMS *Ryujo*) Otto Skorzeny – członek ochrony Hitlera, oficer *Leibstandarte SS Adolf Hitler*.

Franz Steckel – *SS-Obersturmfuhrer* SD-Ausland (wywiadu zagranicznego Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy), porucznik Auslandorganisation AO (wywiadu zagranicznego NSDAP)

Okrety Wielonarodowych Sił

USS *Hillary Clinton* – atomowy lotniskowiec uderzeniowy klasy „George Bush”

USS *Amanda L. Garrett* – niszczyciel przeciwlotniczy klasy „Cobb”*

USS *Kandahar* – okręt desantowy klasy „Baghdad”

USS *Kennebunkport* – transportowiec desantowy klasy LPD 12

USS *Leyte Gulf* – krążownik stealth klasy „Nemesis”*

USS *Providence* – okręt desantowy-dok klasy „Harpers Ferry”

HMS *Fearless* – śmigłowiec wsparcia klasy „Aden”*

HMS *Trident* – niszczyciel stealth, trimaran klasy „Trident”

HMS *Vanguard* – niszczyciel stealth, trimaran klasy „Trident”*

HMAS *Havoc* – konwencjonalny okręt podwodny klasy „Savage”

HMAS *Ipswich* – lekki okręt desantowy klasy „Newcastle”

HMAS *Moreton Bay* – katamaran do przewozu wojsk klasy „Jervis Bay”

KRI *Nuku* – zmodernizowana fregata klasy „Parchim”*

KRI *Sutanto* – zmodernizowana fregata klasy „Parchim”*

Dessaix – niszczyciel stealth Marine Nationale klasy „Sartre”*

* Jednostki zatopione albo utracone.

Niektóre stosowane w książce nazwy i skróty

HIJMS (His Imperial Japanese Majestys Ship) – Okręt Jego Wysokości Cesarza Japonii (Cesarska Flota Japonii)

HMAS (Her/His Majestys Australian Ship) – Australijski Okręt Jej/Jego Królewskiej Mości (marynarka Australii)

HMS (Her/His Majestys Ship) – Okręt Jej/Jego Królewskiej Mości (marynarka brytyjska)

Imperial Japanese Navy – Cesarska Flota Japonii, nazwa stosowana do 1945 roku

Japanese Marine Self Defence Force – Marynarka Japońskich Sił Samoobrony, nazwa stosowana od 1956 roku

JDS (Japanese Defence Ship) – Okręt Japońskich Sił Samoobrony

KRI (Kapal di Republik Indonesia) – Okręt Republiki Indonezji

Marine Nationale – marynarka francuska

MEU (Marine Expeditionary Unit) – Oddział Ekspedycyjny Piechoty Morskiej Stanów Zjednoczonych

Royal Australian Navy – Królewska Australijska Marynarka

Royal Navy – Królewska Marynarka (brytyjska)

SAS (Special Air Service) – brytyjskie oddziały do zadań specjalnych

Tentara Nasional Indonesia Angkatan Laut – Marynarka Republiki Indonezji (TNI-AL)

US Army – Armia Stanów Zjednoczonych

US Marine Corps – Piechota Morska Stanów Zjednoczonych

US Navy – Marynarka Stanów Zjednoczonych

US Navy SEAL (SEa-Air-Land) – oddziały do zadań specjalnych Marynarki Stanów Zjednoczonych

USS (United States Ship) – Okręt Stanów Zjednoczonych

Część 1

Tranzyt

1

Wschodni Timor, 15 stycznia 2021, godzina 9.42

Szpieg Kalifatu, jawajski szewc znany jako Adil, oparł wygodniej plecy o pień drzewa sandałowego. Niewielka i ocieniona polana na stokach wzgórz ponad miastem Dili była jego domem już od trzech dni. Dzielił go ze zdziczałym i wiekowym chyba kotem, który przepadał gdzieś na większość dnia, oraz pewną małpą. Małpa była nad wyraz irytująca – przesiadywała na gałęzi i co jakiś czas próbowała narobić mu na głowę. Zastanawiał się nawet, czy nie ustrzelić nieczystego stworzenia, ale rozkazy były jasne. Miał pozostawać niezauważony tak długo, jak długo krzyżowcy kotwiczyli u brzegów Timoru, i obserwować ich flotę. Otrzymał mikroimpulsowy nadajnik laserowy

do składania meldunków, ale uruchomić miał go wyłącznie w przypadku „znaczącego rozwoju wydarzeń”

Przez ostatnie siedemdziesiąt dwie godziny nie dostrzegł jednak niczego „znaczącego”. Odległe okręty niewiernych trwały na swoich miejscach. Za dnia rozgrzane powietrze falowało tak bardzo, że ledwie widział ich sylwetki. W nocy za to zmieniały się w konstelację migoczących światełek. Obcy byli na tyle aroganccy, że nie myśleli nawet, aby okryć się płaszczem ciemności. Na dodatek przez całą dobę ryczały startujące z pokładu lotniskowca odrzutowce. Po zmroku ogień z ich silników jaśniał niczym pochodnie rozpalane ręką Boga na samym krańcu świata.

Co jakiś czas od strony flotyli nadlatywał śmigłowiec, z początku tylko ciemna kropka na tle szarawego od upału nieba. Potem przemykał z hukiem nad wzgórzami, zwykle na tyle nisko, że Adil widział twarze niewiernych siedzących w metalowych ptakach. Amerykanie, Brytyjczycy, Francuzi – wszyscy oni wyglądali tak samo. Co do jednego zapasieni, z okrucieństwem malującym się na obliczach.

Adil poczuł głód i odwinął zapakowany w liść bananowca mały kawałek ciasta ryżowego. Z wdzięcznością pomyślał o zesłanych przez Allaha dobroczyńcach. Na dziś dali mu nawet nieco suszonej ryby.

Niekiedy, gdy słońce stawało w zenicie i biczowało ziemię promieniami, Adil pogrążał się w rozważaniach nad swoim losem. Przeklinał swoją słabość i prosił Boga o więcej siły, aby mógł należycie wypełnić obowiązek. Jednak nie było łatwo. Zdarzało mu się przysnąć. Nic się nie działo. Owszem, uliczki rozciągającego się w dole Dili tętniły życiem, szczególnie że przybyło tam wielu krzyżowców ze wszystkich stron chrześcijańskiego świata, ale miasto Adila nie obchodziło. Miał baczyć jedynie na te majaczące w rozedrganym powietrzu okręty.

Starał się jak mógł, chociaż nie miał pojęcia, dlaczego i po co właściwie wyteża wzrok. Zostawili go tu niczym kozła na pastwisku, bez słowa wyjaśnienia. Mógł tylko mieć nadzieję, że jego służba to część jakiegoś większego planu. Może uderzenia na niewiernych w mieście? Może jeszcze tej nocy ciemność rozjaśni święty ogień wzniecony przez męczennika, który wejdzie śmiało do któregoś z nieczystych przybytków obcych? Ale jeśli tak, dlaczego kazali mu siedzieć właśnie tutaj, pośród kłusujących mrówek i pod srającą złośliwie małpą?

Nie tak wyobrażał sobie dżihad, gdy kończył Madrasę w Bandung.

USS Kandahar, 15 stycznia 2021, godzina 10.14

Gdyby marines dowiedzieli się o Adilu, nie byłiby wcale zdziwieni. Spodziewali się, że co najmniej kilka milionów par oczu śledzi bacznie ich przygotowania do lądowania na wyspach indonezyjskiego archipelagu.

Oficjalnie nikt nie nazywał go Kalifatem. Dla Stanów Zjednoczonych był nadal częścią Indonezji, grupą siedemnastu tysięcy wysp rozciągających się od Banda Aceh, którą tylko trzysta kilometrów

dzieliło od wybrzeży Tajlandii, po niezbyt odległy od Australii Timor na południu. Na przebiegające między nimi szlaki żeglugowe przypadła jedna trzecia całego handlu morskiego na świecie. Oficjalnie nadal był to otwarty akwen, tak przynajmniej twierdził ze swego bezpiecznego schronienia w genewskim hotelu Grand Hyatt rząd Indonezji. Utraciwszy trzy tygodnie wcześniej kontrolę nad Dżakartą, stał się rządem na wygnaniu.

W rzeczywistości panowało tu bezkrólewie. Islamscy rewolucjoniści, którzy zresztą obecnie ledwie kontrolowali sytuację, ogłosili powstanie swego państwa – Kalifatu – włączyli do niego wspomniane siedemnaście tysięcy wysp, a także Malezję, Filipiny, Brunei, Wschodni Timor, Papuę-Nową Gwineę, Bougainville oraz, dla dobrej miary, północną Australię. Niewierni nie byli w Kalifacie mile widziani. Jego duchowy przywódca, mułła Ibn Abbas, twierdził oczywiście, że taka właśnie jest wola Allaha.

82. Oddział Ekspedycyjny Piechoty Morskiej Stanów Zjednoczonych miał inny pogląd na tę sprawę. Na pokładzie hangarowym USS *Kandahar*, okrętu desantowego klasy „Baghdad” trwały przygotowania do wyjaśnienia tego tubylcom w możliwie jednoznaczny sposób.

Hangar był przestronny – wysoki na dwa zwykłe pokłady, ciągnął się przez niemal jedną trzecią długości pudełkowatego desantowca, niemniej i tak miało się wrażenie, że panuje w nim tłok. Zwykle stała tu większość maszyn oddziału, mała samodzielna armada powietrzna składająca się z tuzina Ospreyów, czterech dość już starych Super Stallionów, dwóch zmodernizowanych dyspozycyjnych Hueyów, ośmiu śmigłowców wsparcia ogniowego Sea Comanche i sześciu Super Harrierów.

Harriery i Super Stalliony zostały przeniesione na górę, czyli na pokład startowy, tak więc żołnierze zyskali nieco miejsca.

Oficjalnie był to nadal 3. batalion 9. Pułku 5. Dywizji Piechoty Morskiej, zwany inaczej Lonesome Dead na cześć słynnego dowódcy, pułkownika J. Lonesome’a Jonesa.

Nie cały batalion znalazł się na *Kandaharze*. Licząca ponad tysiąc dwustu mężczyzn i kobiet jednostka została rozparcelowana na trzech okrętach. Na USS *Providence*, okręt desantowy-dok klasy „Harper’s Ferry” przydzielono cztery czołgi typu Abrams, kompanię piechoty i pluton przypisany do transportera amfibijnego. *Kennebunkport*, sędziwy desantowiec klasy LPD 12, miał na pokładzie pluton zwiadu, kilka Humvee, jeszcze dwa Hueye, pluton bezzałogowych samolotów zwiadowczych i zespół SEAL, który miał czuwać nad bezpieczeństwem całej grupy podczas operacji w obrębie archipelagu.

W tym samym czasie, gdy Adil odwijał z liścia ciasto ryżowe, sześciu komandosów z oddziału SEAL rozpakowywało na pokładzie hangarowym *Kandahara* sprzęt, który miał im pomóc w szkoleniu ludzi z kompanii C.

Kompania Charlie została wyznaczona do operacji specjalnych, a komandosi mieli zapoznać ją z nową zabawką, lekkim karabinem szturmowym G4, który strzelał podawanymi z taśmy bezłuskowymi pociskami ceramicznymi. Można też było nasadzać na niego trzydziestomilimetrowe programowane granaty. W przeciągu roku miał się on stać standardową bronią wszystkich wojsk amerykańskich,

niemniej marines, którzy zawsze dostawali wszystko na szarym końcu, normalnie czekali by na niego pewnie i ze dwa lata. Szczęśliwie komandor porucznik Nancy Viviani, S4 batalionu, bo tak nazywano specjalistę od logistyki, była nie tylko osobą utalentowaną i z inicjatywą, ale i przekonaną, iż wyruszając do walki, jej ludzie powinni mieć najlepsze wyposażenie, jakie można kupić za pieniądze podatników.

Jeszcze nie tak dawno byłaby nazywana „psem śmietnikowym” i wykonywałaby swoją pracę za pomocą nożyc do cięcia drutu i szybkiej półciągarówki. No i naturalnie byłaby mężczyzną. Pani komandor wystarczały jednak dwa fakultety, w tym jeden zdobyty w London School of Economics. Absolwenci tej znakomitej uczelni nie parali się czymś tak trywialnym jak drobna kradzież. Szczególnie gdy potrafili zmusić niewiarygodnie złożony system zaopatrzeniowy Pentagonu do zaakceptowania swojej woli.

Wystarczyło sześć i pół godziny dodatkowego stukania w klawiaturę, aby oczekujący w Darwin transport G4 został skierowany zupełnie gdzie indziej. Viviani zadbała przy tym, aby wszystko wyglądało legalnie. Specjalna komisja senacka mogłaby poświęcić cały rok na śledztwo, nim pokojarzyłaby jej zamówienia z nagłym zniknięciem pewnego transportu przeznaczonego dla oddziałów propagandowych.

– To jest Remington G4 – rzucił starszy bosman Vincente Rogas pod adresem kompanii C. – Do wieczora będziecie wiedzieli wszystko o jego obsłudze w warunkach polowych. – Zabrzmiało to bardziej jak groźba niż obietnica. – G4 jest pierwszym karabinem piechoty, który nie posiada prawie żadnych ruchomych części.

Przez grupkę marines przebiegł pomruk podziwu. Znali cechy tej broni, ćwiczyli już z nią w Stanach, ale nadal robiła na nich wrażenie.

– A oto standardowe ładunki do niej. – Wszyscy zwrócili oczy na długi i cienki pas z ceramiczną amunicją niczym dzieci podczas seansu prestidigitatora. – Wczepia się je w ten sposób. Impuls elektryczny odpala ładunek, który wypycha nabój z taką szybkością początkową, że nawet przy krótkiej serii nie poczujecie kopnięcia. Dokładniej nie poczujecie go, dopóki ostatni pocisk nie opuści lufy. Jutro, gdy znajdziemy się na strzelnicy, każdy z was dostanie trzysta pocisków. Zanim jednak polecimy na brzeg, oczekuję, że przestudiujecie uważnie instrukcje, które każdy dostał razem z innymi materiałami szkoleniowymi. Symulacje wykorzystują typowy scenariusz azjatyckiego konfliktu w strefie zurbanizowanej, ale dodaliśmy trochę drobiazgów skrojonych akurat na użytek Dżakarty i Surabaji.

Do lądowania została już niecała doba i podobne scenki powtarzały się na wszystkich pokładach jednostek zespołu. Dwanaście setek bardzo poważnie traktujących swoje obowiązki mężczyzn i kobiet ćwiczyło, wyciskając z siebie siódme poty. Rezolucja Rady Bezpieczeństwa ONZ dawała im prawo użycia siły w skali koniecznej do opanowania stolicy kraju, Dżakarty. Mieli też położyć kres eksterminacji obecnych w Indonezji mniejszości: Chińczyków i chrześcijan. Wszyscy szykowali się na rzeź.

W liczącym sto łóżek szpitalu okrętowym na USS *Kandahar* dowódca korpusu medycznego, kapitan Margie Francois, nadzorowała ćwiczenia odtwarzające reakcję na symulowany atak na opancerzony poduszkowiec przewożący kompanię Marines.

Dwa tysiące metrów dalej francuska fregata rakietowa *Dessaix* odpierała symulowany atak dwóch Raptorów z superlotniskowca USS *Hillary Clinton*.

Trzy kilometry na zachód od nich zbudowany w układzie trimarana brytyjski niszczyciel stealth ćwiczył obronę przed samobójczym atakiem wyładowanego materiałami wybuchowymi szybkiego pontonu z silnikiem. Komandor Karen Halabi, która jeszcze jako podporucznik naprawdę przeżyła coś takiego, wyciskała ze swoich ludzi ostatnie poty. Gdy w końcu wolna załoga HMS *Trident* dostała kilka godzin na sen, większości śnili się szaleńcy w łodziach z całą górą TNT.

JRV Nagoya, 15 stycznia 2021, godzina 10.46

Ten jeden statek zdawał się nie pasować do całej floty. *JRV Nagoya* był prawdziwym lewiatanem, którego kadłub krył zbiorniki mieszczące osiemdziesiąt tysięcy ton płynnego gazu. Stępkę pod niego położono w Korei, prace wyposażeniowe odbywały się kolejno w Tokio i San Francisco, co ilustrowało międzynarodowy charakter przedsięwzięcia, podobnie jak i akronim przed nazwą. „JRV” oznaczało „Joint Research Vessel” co można przełożyć jako „statek połączonych programów badawczych”. W otoczeniu smukłych kadłubów okrętów wojennych przypominał hipopotama pośród narybku.

Jego obecność wynikała z szybkiego rozwoju wydarzeń w Dżakarcie i późniejszego pośpiechu. Gdy krążownik USS *Leyte Gulf* otrzymał rozkaz dołączenia do grupy lotniskowca, towarzyszył akurat gazowcowi podczas prób morskich na wodach zachodniej Australii. W tej sytuacji nie było wyboru. *Nagoya* musiał ruszyć w ślad za krążownikiem przez cieśninę Wetar i czekać, aż pojawi się szansa na bezpieczne odeskortowanie statku badawczego na Hawaje. Nikomu się to nie podobało, a już najmniej profesorowi Manningowi Pope’owi, który kierował zespołem badawczym *Nagoyi*.

Siedząc przed monitorem w swojej kabinie, pisał kolejnego gniewnego maila do admirała Tony’ego Kevina, głównodowodzącego Floty Pacyfiku. To był dziewiąty taki mail w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin. Na każdy otrzymywał standardową odpowiedź przygotowaną nawet nie przez samego admirała, ale którąś z tresowanych małp z jego otoczenia.

Pomrukując pod nosem, uderzał w klawisze:

Czy naprawdę muszę przypominać, że nasz projekt cieszy się poparciem najwyższych kół

rządowych? Nie zazdroszczę panu sytuacji, w której się pan znajdzie, admirale Kevin, gdy wyjaśnię pańskim przełożonym, iż przekroczenie budżetu nastąpiło z powodu przetrzymywania nas w tym szambie. *Nagoya* to statek badawczy, a nie okręt wojenny, i powinniśmy natychmiast otrzymać zgodę na swobodne prowadzenie dalszych prac w pobliżu Perth. Marynarka australijska może nie jest liczna, ale z pewnością potrafi odpędzić od nas każdego pijanego rybaka, który podpłynąłby zbyt blisko. Żądam, aby zwolniono nas z udziału w tej farsie i pozwolono na wznowienie badań zgodnie z pierwotnym planem. Oczekuję rychłej odpowiedzi. Pańskiej odpowiedzi, admirale Kevin, nie pisemka wysmażonego przez młodszy personel biurowy!

To podpali mu fotel pod tyłkiem, pomyślał Pope. Biurokraci nie cierpią, gdy ktoś grozi zwróceniem się do ich przełożonych. W takiej sytuacji potrafią czasem dla odmiany zacząć działać.

Upuściwszy nieco pary, Pope połączył się z centralą programu badawczego. Na ekranie pojawił się Japończyk z bujną i nieco potarganą czarną czupryną.

– Damy radę dziś ruszyć, Yoshi? – spytał Pope. – Chciałbym jak najszybciej wznowić pracę.

Profesor Yoshi Murayama, fizyk z Honshu specjalizujący się w teorii kosmicznej strony, wydał policzki i wzruszył ramionami.

– Dlaczego nie? Zaraz kończymy wprowadzanie nowych danych. Możemy zaczynać, chociaż sam wiesz, że Kolhammerowi się to nie spodoba.

– Kolhammer to pętał – odparł Pope. – Nie obchodzi mnie, co myśli. Nie ma kwalifikacji, aby mówić nam, co możemy, a czego nie. W odróżnieniu od ciebie.

– Jak już powiedziałem – stwierdził japoński noblista – nie widzę problemu. Wszystkie odczyty w normie.

– No właśnie. – Pope pokiwał głową. – Pozostali myślą tak samo? – spytał, podnosząc głos, aby wszyscy go usłyszeli. Pomieszczenie było zdumiewająco niewielkie jak na takie epokowe wydarzenie, nie większe niż salon w mieszkaniu na przedmieściach. Oprócz Murayamy i Pope’a znajdowało się w nim jeszcze sześciu starszych naukowców projektu siedzących przed wielkimi monitorami.

Pytanie szefa wyraźnie ich zaskoczyło. Od dawna uchodził za sztywniaka bez śladu poczucia humoru. Kilka osób wymieniło ukradkiem spojrzenia, ale nikt nic nie powiedział.

– To nie nasza wina, że mamy spóźnienie – odezwał się po dłuższej chwili Barnes, operator pola magnetycznego. – Ale założę się, że potem zmyją nam głowę, jeśli nie zdołamy go nadrobić.

– Właśnie! – rzucił Pope. – Przygotujmy się do uruchomienia testowego z obciążeniem zero przecinek jeden. I z nowymi danymi. Wszyscy się zgadzają?

Nie zaprotestowali.

HM AS Moreton Bay, 15 stycznia 2021, godzina 10.49

Przez ostatnie dwie doby kapitan Rachel Nguyen przespała tylko sześć godzin. Jako operator systemów obronnych desantowca *Moreton Bay* czuła się odpowiedzialna za życie i bezpieczeństwo czterech setek żołnierzy i trzydziestu dwóch członków załogi. *Moreton Bay* był dużym celem – potencjalnym męczennikiem za wiarę i rozmaitym renegatom z armii indonezyjskiej mógł wydać się też celem o wiele atrakcyjniejszym niż *Hillary Clinton*, *Kandahar* czy którykolwiek z okrętów eskorty. Na dodatek oprogramowanie CIWS (Close-In Weapons System) zawieszało się nieustannie od momentu, gdy podczas ostatniego przeglądu w Sydney informatycy wprowadzili do niego kilka innowacji. Po długiej walce z komputerem Nguyen doszła już do wniosku, że o wiele lepiej byłoby wyrzucić te wszystkie nowinki i przywrócić starą wersję oprogramowania sterującego obroną katamarana w bliskim perymetrze.

Potarła oczy i obróciła się wraz z krzesłem, aby zerknąć na kapitana Sheehana. Starszy oficer spojrział na nią uważnie.

– Chce pani skasować nową wersję? – spytał, jakby czytał w jej myślach.

Do licha, skąd on to wie? – zastanowiła się Rachel.

– Nie, ale to kukulcze jajo. Nie daje żadnej gwarancji, że nie załatwimy się własnymi pociskami.

Sheehan potarł ukryty pod bujnym zarostem podbródek. Ten marynarski atrybut hodował, odkąd Nguyen go znała.

– Dobrze – odparł po chwili namysłu. – Proszę przekazać na *Hillary Clinton*, że będziemy wyłączeni przez... Jak długo potrwa przywracanie systemu?

Nguyen wzruszyła ramionami.

– Usuwanie tych śmieci zajmie kilka minut, ładowanie poprzedniego programu Metalowej Burzy pięć i pół. Na wszelki wypadek powiedzmy, że dziesięć.

– W porządku. Przekażcie, że wychodzimy z systemu na piętnaście minut, aby zmienić oprogramowanie. Niech przejmą naszą osłonę. *Trident* jest najbliżej, nada się akurat.

– Dziękuję, sir – powiedziała Rachel szczerze wdzięczna, że kapitan nie zostawił jej samej z problemem.

Sheehan przyglądał się pani oficer jeszcze przez chwilę, potem odwrócił się ku przyciemnionym i wzmocnionym szybowi mostka. Powierzchnia morza była gładka prawie jak lustro.

Szczęśliwie dla Nguyen nie kazał jej czekać. Ostatecznie mieli wejść do akcji dopiero za dwa tygodnie, a wieczorem powinni znaleźć się w porcie. Ale Nguyen nie potrafiłaby zasnąć, wiedząc, że sprawa nie została rozwiązana.

– Jak pani rozprawa, kapitanie? – spytał Sheehan, gdy Rachel zamykała okna na ekranie komputera.

– Nie miałam czasu zająć się nią, od kiedy opuściliśmy Darwin – wyznała. – Ale zostały mi jeszcze trzy miesiące. Zdążę.

– Nadal skupia się pani na porównywaniu decyzji Haiga i Westmoelanda?

– Z odniesieniami do Filipa Drugiego – dodała. – Wie pan, tego, który wysłał Niezwyciężoną Armadę, zapoczątkował wojnę osiemdziesięcioletnią i doprowadził do upadku swojego imperium.

– „Żadna klęska jego polityki nie zdołała zachwiać w nim przekonania o własnej doskonałości” – zacytował Sheehan.

– Czytał pan Tuchman?

– Wiele lat temu, gdy pisałem pracę dyplomową. Jak to ona nazwała Filipa?

– „Pierwszym tępakiem wśród monarchów” – odparła Nguyen.

Sheehan uśmiechnął się.

– Właśnie... Tak czy siak, proszę wymienić oprogramowanie i kłaść się spać. – Spojrzał na nią surowo, czując, że ma zamiar zaprotestować. – Nie chcę widzieć tu pani wcześniej niż za sześć godzin.

JRV Nagoya, 15 stycznia 2021, godzina 11.56

Morley i Dunne przykucnęli przed automatem z przekąskami. Starali się wyglądać niewinnie, ale na milę widać było, że trudnią się jakąś konspiracją. Oboje byli zapalonymi miłośnikami snickersów, teraz z napięciem wpatrywali się w dwa, które w połowie wysunęły się już ze swojej półki i lada chwila mogły spaść do kieszeni podajnika.

– Wystarczy przechylić jeszcze o pięć stopni – powiedział Morley, który z racji nadwagi nie byłby zdolny do niczego podobnego. To nie był pierwszy automat ze słodyczami, na który natknął się w swoim życiu.

– Możemy też po prostu kupić jeszcze jednego snickersa – zaprotestowała Dunne. – Dostaniemy wtedy dwa za cenę jednego.

– Jezu, Sharon, ale z ciebie cykor. Boisz się nawet darmowych przekąsek, a w robocie starczy jedno słowo naszego doktora Frankensteina, abyś gotowa była sprzedać własną babkę, byle tylko go uszczęśliwić. On jest złem wcielonym, mówię ci. Złem w czystej postaci.

– Zejdz ze mnie, dupku – syknęła Sharon Dunne, najmłodszy naukowiec w zespole. Była

absolwentką CalTech, pracę pisała z metod oddziaływania na fluktuacje piany kwantowej. Była też daleką prawnuczką poety Johna Donne'a i zakochanej w gotyckich klimatach lesbijki, znawczynie dorobku artystycznego Johnny'ego Deppa. Wpatrując się w batoniki, postukiwała palcami w bok maszyny. Paznokcie miała pomalowane na czarno, a na palcach nosiła cały komplet pewterowych pierścionków z trupimi główkami.

– Prawdę mówiąc, Jonathanie, ty też nie wyglądasz mi na kogoś zdolnego stanąć przed jego wysokością i powiedzieć mu kilka słów prawdy.

Morley stracił nagle ochotę na batoniki.

– Dobra, zgoda, nie chcę, żeby urwał mi głowę – odparł teatralnym szeptem. – Starczy mi tego, co stało się, gdy wskazałem lukę w jego teormacie. Myślałem, że wyrzuci mnie za burtę.

Oboje zerknęli na boki, jakby obawiali się, że Pope wyskoczy nagle z jakiegoś kąta i niczym Hannibal Lecter ruszy na nich z nożem i widelcem.

– Ale z drugiej strony, co takiego może się zdarzyć w najgorszym wypadku? – odparła Dunne. – Możemy znowu wyłączyć prąd na większości jednostek. Chociaż to było naprawdę piękne, gdy Kolhammer przymierzał się do wyrwania naszemu szefowi nóg z tyłka. Dałabym spore pieniądze, aby ujrzeć coś takiego raz jeszcze.

– Taa... Albo otworzymy wrota piekieł i wypuścimy na świat orki, wampiry i wszelkie plugastwo – mruknął Morley.

– Daj spokój, panikarzu. Pamiętasz, jak chłopaki z programu Manhattan obawiali się, że odpalenie pierwszej bomby atomowej może doprowadzić do pożaru, który obejmie cały świat? Ale nie stało się tak, prawda?

– Owszem. A czytałaś to opowiadanie, w którym udało im się sfotografować centrum eksplozji nuklearnej?

– Tak, tak. I zobaczyli oblicze szatana – powiedziała Dunne. – Fajne to było. Ale szukali w złym miejscu. Ja widziałam prawdziwego szatana. Nazywa się Pope i obetnie ci ptaszka, jeśli spóźnimy się na testowy rozruch.

– Masz rację. Oczywiście, że masz rację. Tylko wezmę sobie batonika.

Kwatera admirała, USS Hillary Clinton,

15 stycznia 2021, godzina 11.48

Admirał Kolhammer czuł, że coraz trudniej przychodzi mu utrzymanie uśmiechu na twarzy, chociaż powtarzał sobie, że jest człowiekiem rozsądnym, który niełatwo ulega emocjom.

– Ale przecież zgodzi się pan ze mną, admirale...

Kolhammer uniósł rękę.

– Nie, nie zgodzę się, pani Duffy.

Reporterka uśmiechnęła się i ścisnęła między zębami końcówkę ołówka. Używała ciemnoczerwonej szminki.

– Przecież nie wie pan nawet, co chcę powiedzieć – zaprotestowała nieśmiało.

– Oszczędzam pani czas, z góry dając do zrozumienia, że nie muszę zgadzać się z niczym, co pani powie – wyjaśnił Kolhammer. Ile razy zdarzało mu się spotkać tę kobietę, tyle razy miał wrażenie, że bierze udział w ćwiczeniu odporności na tortury.

Rzadko miał okazję cieszyć się wygodami kabiny, która została mu oddana do użytku na pokładzie lotniskowca. Irytowało go, że ta obrzydliwa baba odbiera mu część z tych cennych minut. Żałował, że nie posłuchał kapitana Thieu, swojego oficera prasowego, który radził przyjąć Duffy na mostku. Tam byłby wśród swoich ludzi i miałby coś do roboty. W kabinie, która przypominała apartament w luksusowym hotelu, to pani Duffy czuła się lepiej.

Postanowił, że w przyszłości będzie znacznie mniej życzliwy.

– Niemniej nie trzeba dyplomu ze stosunków międzynarodowych, aby zrozumieć, że oto znowu „biały człowiek” wysłał wojska w celu stłumienia wojny religijnej i że może to doprowadzić tylko do nieszczęścia – powiedziała dziennikarka, ignorując przytyk. – Miejscowe rządy, jak malezyjski, mogą z utęsknieniem wypatrywać sił amerykańskich, które uporają się z problemem, ale jakoś nie są skłonne wysłać własnych wojsk. Wiedzą, że muzułmanie przedstawią interwencję jako kolejną wyprawę krzyżową chrześcijan.

Kolhammerowi udało się utrzymać maskę na twarzy. Ta kobieta nie była głupia. Nie dość, że pogrzebała trochę w źródłach, to jeszcze jej wnioski nie odbiegały wiele od własnych, niewesołych refleksji admirała.

– Obawiam się, że nie ma pani do końca racji – odparł przyjacielskim tonem. – Przede wszystkim jednak zwraca się pani do niewłaściwej osoby. Nie jestem sekretarzem stanu. Ona zapewne chętnie podjęłaby z panią dyskusję, do której ja nie jestem upoważniony. Moja praca polega na wykonywaniu poleceń rządu i staram się ten obowiązek wypełniać jak najlepiej. Nawet student pierwszego roku zrozumiałby te niuanse.

Uśmiechnął się szeroko do dziennikarki. Musiał jej oddać, że nawet się nie zarumieniła.

– Ale czy jest pan należycie przygotowany, aby zrealizować przydzielone panu zadania, admirale? Ten zespół to w gruncie rzeczy zbieranina przypadkowych jednostek...

Roześmiał się. Duffy ponownie wyraziła głośno coś, co od dawna spędzało mu sen z powiek. I co mogło poważnie zagrozić jego karierze.

– Pani Duffy, mamy tutaj większą część bojowej grupy lotniskowca, oddziały piechoty morskiej i najlepsze jednostki, jakie mogły zostać oddane pod nasze dowództwo przez sojuszników, przynajmniej tak szybko. Bojownicy dżihadu mogą być przekonani o własnej wyższości, jednak dotąd występowali głównie przeciwko urzędnikom i nieuzbrojonym wieśniakom. Teraz trafią na nas i... cóż, życzę im szczęścia.

– Będziecie jednak musieli stawić czoło także renegatom z armii indonezyjskiej, prawda? Oraz ewentualnej interwencji Pekinu, do której dojdzie, jeśli nie uda się przerwać eksterminacji tutejszej chińskiej mniejszości...

– Ponownie oczekuje pani ode mnie komentarzy, do których wygłaszania nie jestem powołany. Mogę pani tylko przypomnieć, że będąc stałym członkiem Rady Bezpieczeństwa Chin w pełni poparły naszą akcję. Jeśli zaś chodzi o indonezyjskie siły zbrojne, owszem, pewna liczba oddziałów wypowiedziała posłuszeństwo rządowi, jednak zdecydowana większość jest mu nadal wierna. Dwie jednostki marynarki indonezyjskiej dołączyły nawet do naszej grupy, aby brać aktywny udział we wszystkich stadiach operacji.

Duffy uśmiechnęła się, jakby dostrzegła w tym coś zabawnego. Jeszcze bardziej zirytowany Kolhammer pomyślał, iż dziennikarka zapewne świetnie wie, że *Sutanto* i *Nuku* były właściwie okrętami korsarskimi. Prawdopodobnie nie chciała wprawiać admirała w zakłopotanie i dlatego nie powiedziała tego głośno.

– Słyszałam, że większość indonezyjskich sił zbrojnych po prostu zdezerterowała. Czy to prawda?

– Jeśli tak, to chyba nie nasze zmartwienie, nie sądzi pani? – powiedział Kolhammer, wskazując na zegarek.

– Można zadać jeszcze jedno pytanie, sir?

– Nie musi pani tytułować mnie „sir”

– Dziękuję, sir. Chodzi o ten statek, który towarzyszy waszej flotyli...

– *Nagoya*.

– Tak. Czy może pan powiedzieć, jaką rolę odgrywa on w tej operacji?

– Żadnej – odparł zgodnie z prawdą admirał. – To jednostka badawcza, która dołączyła do nas przypadkiem. *Leyte Gulf*, jeden z naszych krążowników klasy „Nemesis” towarzyszył jej akurat podczas prób morskich jako eskorta, gdy otrzymał rozkaz dołączenia do grupy. Uprzedzając pani pytanie: nie, nie jestem upoważniony do wypowiadania się na temat badań prowadzonych na pokładzie *Nagoyi*. O ile się orientuję, mają one coś wspólnego ze sporządzaniem mapy dna morskiego. Eskortą była niezbędna, gdyż w drodze z Perth statek musiał przebyć wody nawiedzone przez piratów. Zdaje się, że Nowa Zelandia ma wysłać fregatę, która odprowadzi *Nagoyę* do portu.

Duffy przygryzła ponownie końcówkę ołówka.

– Naprawdę? – spytała, udając głębokie zamyślenie. – Słyszałam co innego.

– Skoro tak, to może zwróci się pani do szefostwa programu badawczego i poprosi o wywiad? Ich centrala mieści się chyba w Nowym Jorku. Niedaleko od redakcji pani gazety. Jestem przekonany, że zrobią wszystko, aby ułatwić pani napisanie artykułu. Oczywiście o ile pani wydawca wykaże zainteresowanie materiałem o podmorskich mapach. Poproszę kapitana Thieu, aby przekazał pani dokładne namiary.

Dziennikarka wyraźnie straciła zainteresowanie tematem.

– Nie, dziękuję, ale nie trzeba.

Admirał uśmiechnął się szeroko.

– No to chyba już wszystko. A teraz, jeśli pani wybaczy, chciałbym powrócić do moich obowiązków.

Dziennikarka podziękowała i ruszyła za nim do drzwi, gdzie czekał już kapitan Thieu. Razem odprowadzili ją do centrum prasowego. Jak wielu cywili, Duffy ciągle była pod wrażeniem nienaganych manier oficerów marynarki. W centrum prasowym Kolhammer pożegnał podopieczną i czym prędzej wyniósł się na mostek.

– Jak poszło? – spytał cicho pierwszy oficer, komandor porucznik Mike Judge, gdy zakończyły się już formalności związane z przybyciem admirała.

– Zawsze już będę słuchał rad kapitana Thieu – odparł z krzywym uśmiechem Kolhammer. – Ale dzięki Bogu, mam to już za sobą. A teraz, kiedy możemy oczekiwać kapitana Chandlera?

– Niestety, kapitan spóźni się trochę, sir. Katapulta numer trzy ponownie odmówiła posłuszeństwa. Chandler poszedł osobiście przemówić jej do rozumu – dodał Judge z lekkim teksańskim akcentem.

Kolhammer uśmiechnął się na te słowa. Kapitan lotniskowca był dość impulsywny. Ale z drugiej strony, jego problemy były dość trywialne w porównaniu z bagnem, w którym utkwiał admirał. Duffy miała sporo racji. Większą część każdego dnia tracił na rozwiązywanie problemów i sporów kompetencyjnych rodzących się pomiędzy poszczególnymi częściami składowymi jego floty.

Najpierw okazało się, że Australijczycy i Francuzi patrzą na siebie wilkiem. Powodem była decyzja nowego, prawicowego rządu francuskiego, aby wznowić próby nuklearne na Pacyfiku. Coraz ostrzejsza wymiana not pomiędzy oboma państwami doprowadziła do odwołania ambasadorów stron i ogłoszenia sankcji handlowych, które przyniosły już miliardy dolarów strat. Marynarze byli wprawdzie zawodowcami i przede wszystkim robili swoje, ale atmosfera niechęci nie wpływała dobrze na współpracę.

Drugim źródłem problemów był rząd malezyjski, który co rusz zmieniał zdanie. Trzykrotnie już ogłaszał poparcie dla akcji Wielonarodowych Sił, aby potem je cofnąć. Kolhammer musiał raz i drugi osobiście fatygować się do Kuala Lumpur, aby uzyskać od tamtejszego ministra obrony

zapewnienie, iż Malezja zamierza wywiązać się z przewidzianych traktatem zobowiązań. Ledwo łądował potem na pokładzie *Hillary Clinton*, okazywało się, iż nikt niczego podobnego nie obiecywał.

No i byli jeszcze Indonezyjczycy. O ile chwiejni sojusznicy tacy jak Malezja mogli przyprawić o ból brzucha, Indonezyjczycy byli gorsi od czerwonki. Na razie odesłał ich na północ z zadaniem przeprowadzenia ćwiczeń w zwalczaniu okrętów podwodnych, wiedział jednak, że niebawem będzie musiał znowu przytulić ich do serca. Dyrektywy Departamentu Stanu były w tej materii jednoznaczne.

Naprawdę zazdrościł Guyowi Chandlerowi. Gremliny w katapulcie numer trzy? Drobiazg. Gdyby jego problemy były tak proste...

– Dobrze, komandorze – powiedział. – Co pan ma dla mnie dzisiaj?

Judge spojrział z zakłopotaniem na ekran flexipada.

– Co by pan powiedział, admirale, na wycieczkę do tajemniczego i egzotycznego miasta Kuala Lumpur?

– Jezu... – westchnął Kolhammer.

* * *

Rosannie Natoli aż się oczy zaświeciły, gdy ujrzała przyjaciółkę w drzwiach centrum prasowego lotniskowca.

– I jak ci poszło ze starym? – spytała.

Dziennikarka „New York Timesa” wywróciła oczami.

– Do de. Nic mi nie powiedział.

– Nawet o tym tajemniczym statku?

Duffy wzruszyła ramionami.

– Podobno zwykłe badania dna morskiego. Tak twierdzi. Ale jakoś dziwnie to powiedział. Jak zwykle, duzi chłopcy i ich zabawki. A skoro o tym mowa, idziemy popatrzeć sobie na amunicyjnych? Ci najlepsi będą teraz na sali gimnastycznej.

– Ty pokręcona nimfomanko.

Gdy obie reporterki sadowiły się na stacjonarnych rowerach w głównej sali gimnastycznej lotniskowca, sześciu starszych badaczy projektu zajęło miejsca przed ekranami, aby nadzorować pełny test systemu. Manning Pope wpatrywał się w powierzchnię zawieszoną przed nim wyświetlacza o grubości czterech milimetrów. Wydawać by się mogło, że przesuwane się z wolna dane płyną wprost w powietrzu. Naukowiec przechylił lekko głowę, jakby miał nadzieję, iż spoglądając na kolumny liczb pod innym kątem, dojrzy w nich coś nowego. Po paru minutach wydał wargi i odwrócił się do Murayamy.

– W porządku. Jestem pewien, że nam się uda – powiedział.

Profesor Murayama mruknął coś potakująco. Nie wyglądał na całkiem przekonanego, ale wolał widać zachować wątpliwości dla siebie.

Projekt kosztował jak dotąd siedemdziesiąt dziewięć miliardów dolarów. Test miał udowodnić słuszność założenia, iż instalacja złożona z akceleratora jonowego, komory implozyjnej i wirówki fotonowej będzie zdolna przenieść miniaturowy ładunek wybuchowy bezpośrednio z punktu A do punktu B. W sumie chodziło więc o teleportację, dokładnie jak w *Star Treku*, tyle że nie zamierzano na razie ekspediować przez kosmos istot ludzkich, a tylko o wiele prostszy i całkiem nieduży pocisk eksplodujący zdolny ugodzić wybrany cel. Na przykład mułę Ibn Abbasa.

W Agencji Zaawansowanych Projektów Badawczych uznano, że najbardziej właściwą osobą do przeprowadzenia podobnego dzieła będzie nie kto inny jak właśnie Manning Pope, i powierzono mu drugi z kolei wielki projekt, który miał doprowadzić do militarne wykorzystania teorii Einsteina. Pope zaś ani myślał stracić okazji. Jako skrajny egotyk gotów był na wszystko, byle tylko mieć szansę pracy nad tym, co stanowiło jego obsesję: podróże z prędkościami nadświatłymi.

Jego maniakalne poświęcenie tematowi, jak i kilka rewolucyjnych odkryć w dziedzinie fizyki kwantowej sprawiły, że zespół nie zawiódł nadziei. Nadzorujący program senatorowie byli wyraźnie zbudowani. Ich japońscy, brytyjscy i rosyjscy koledzy równie niecierpliwie wypatrywali nowego sposobu zwalczania chińskiej piechoty i bojowników talibów. Pope zaś nigdy nie zadał sobie trudu wtajemniczenia sponsorów w szczegóły badań.

Jednak teraz, gdy był już o krok od udowodnienia, iż szybkość światła nie jest wartością graniczną, ogarnęły go pewne wątpliwości.

Morley i Dunne wymienili krótkie spojrzenia, ale nic nie powiedzieli. Jak dotąd Pope i Murayama byli zawsze tak pewni siebie, że graniczyło to z arogancją. Nagła zmiana zachowania musiała niepokoić. Jednak z drugiej strony, zespół miał gdzieś to, co oni myśleli. Najwyżej Kolhammer znowu opieprzy ich szefa. Doszedłszy do tego wniosku, Morley uruchomił rejestrację w swoim flexipadzie, aby niczego nie stracić. Jeśli znowu wyłączą połowę elektroniki całej flotylli, admirał na pewno dostanie kota i będzie co wspominać przez resztę rejsu.

Jednak gdy system obwieścił gotowość, wszystkie serca zabiły żywiej. Osobiste sprawy to jedno, ale eksperyment był naprawdę przełomowy.

Cieśnina Wetar, 15 stycznia 2021, godzina 12.34

W tym samym czasie może z tuzin par oczu w całej flotyli spoglądało na olbrzymi statek badawczy. Dwie z nich należały do marynarzy na niszczycielu HMS *Vanguard*, którzy właśnie zesli z wachty i mogli sobie wreszcie zapalić. Zastanawiali się głośno, co może kryć kadłub gazowy, ale żaden nie odgadł prawdy.

Pilot F-35, który właśnie przeszedł pułap pięciu tysięcy metrów we wznoszenia, zerknął na dół, ale nie zwrócił większej uwagi na cztery kuliste wypukłości olbrzymich zbiorników wystające ponad pokład *Nagoyi*. Pani oficer latała już sporo nad zespołem i widok gazowca nie był dla niej nowy.

Znudzony czwarty oficer na mostku japońskiego krążownika *Siranui* ćwiczył się w obsłudze automatycznej lornetki, myślami jednak był bardzo daleko. Obawiał się, że dwie jego dziewczyny dowiedziały się nawzajem o sobie i na dodatek była to po części jego wina. Niepotrzebnie podrywał sekretarki mieszkające na jednym piętrze tego samego budynku.

Na innych jednostkach działały zwykłe systemy ostrzegania, które regularnie omiatały *Nagoyę* czujnikami. Radiomaskowanie gazowca było irytująco szczelne i nie udało się go dotąd przeniknąć. Operatorzy systemów wywiadu elektronicznego uważali wprawdzie, że gdyby krążownik klasy *Nemesis* przyłądował w taki cel pełną mocą radarów, to osłona pękłaby jak bańka mydlana, ale oczywiście nikt nie miał szansy otrzymać zgody na podobną próbę. Mogli więc tylko węszyć wkoło niego w tych rzadkich chwilach, gdy nie było innych zadań.

Po niesławnym incydencie komandor Judge nawet do tego zachęcał. Po cichu i nieoficjalnie, oczywiście. Gdyby wiedział, co tym razem się szykuje, kazałby natychmiast włączyć wszystko, co grupa miała na pokładach.

JRV Nagoya, 15 stycznia 2021, godzina 12.35

Pope zasiadł na stanowisku dowodzenia. Teraz wszystko zależało już od jego podwładnych i sam nie miał wiele do roboty. Niemalże się uśmiechnął. Gdyby nosił kapcie, mógłby je teraz zrzucić i położyć nogi na stole. Siedział jednak godnie na wielkim, skórzanym obrotowym krześle, które Morley i Dunne nazywali „fotelem Kirka”. Światła zostały przyciemnione, monitory rzucały akurat tyle blasku, że można by przy nich czytać gazetę. Było w tej chwili coś dramatycznego. Poza oddechem Morleya słychać było tylko postukiwanie w klawiatury, gdy technicy wprowadzali ostatnie dostarczone przez profesora dane.

Pope sprawdził jeszcze, czy nakierowana na niego kamera rejestruje każdą chwilę wiekopomnego zdarzenia, i jeszcze bardziej wyprostował się w fotelu.

– Pani Dunne – powiedział cicho, ale dziewczyna i tak podskoczyła.

– Tak, profesorze – odparła przerażona, że Pope dopatrył się jakiegoś błędu w tym, co właśnie wpisała.

– Spokojnie, Dunne. Pomyślałem tylko, że skoro jesteś najmłodszym członkiem zespołu, no i kobietą, mogłabyś dostąpić zaszczytu uruchomienia aparatury.

– Ja? – Spojrzała na niego zaskoczona. Wszyscy zwrócili głowy w ich stronę.

– Tak, ty. – Pope uśmiechnął się chłodno. – Na CalTech rozdają ostatnio magisterki prawie za darmo. Zatem wypada na ciebie. Czy wszyscy gotowi?

Morley okręcił się z fotelem, wystukał dwoma palcami ostatnie polecenia i wykonawszy pełny obrót, spojrzał znowu na pozostałych.

– Zrobione!

Pope pokręcił głową.

– Młody człowieku, gdy przyszłe pokolenia będą uczyć się o tym dniu, największe zdumienie wzbudzi w nich nie tyle to, czego dokonaliśmy, ile fakt, jak mogło nam się cokolwiek udać z podobnym kretynem przy stanowisku kontroli akceleratora. Pani Dunne?

Nadal zaskoczona Dunne spojrzała na swój ekran. Dotknęła go jednym palcem z długim, pomalowanym na czarno paznokciem. Dotychczasowy obraz zniknął. Kolejne dotknięcie spowodowało pojawienie się samotnej, wielkiej ikony o kształcie czerwonego guzika. Był to żart wypowiedziany przez Morleya. Wielki czerwony przycisk, który niczego nie włącza... Dunne obejrzała się przez ramię na profesora, który kiwnął głową. Dziewczyna pokazała uniesione kciuki i nacisnęła guzik.

Rozległo się głośne kliknięcie, jakby przycisk był prawdziwy.

Do katastrofy zostało kilka sekund. Kolisty akcelerator rozpędził jądra atomów uranu, nadając im poziom energetyczny odpowiadający temu, co istniało przez jedną mikrosekundę zaraz po Wielkim Wybuchu. W temperaturze rzędu dziesięciu trylionów stopni protony i neutrony uległy anihilacji, przekształcając się w plazmę cząstek elementarnych.

Zespół obserwował napływające meldunki na własnych ekranach. Murayama, twórca komory wysokiego ciśnienia, która wchłonęła plazmę, rozpoczynając drugi etap eksperymentu, pokiwał głową, gdy magnetyczne prasy ujęły ją w swoje macki.

Temperatura procesu wzrosła do 10, sięgając legendarnej stałej Plancka. Plazma została ściśnięta w kulę o wielkiej gęstości. Jeden metr sześcienny takiej materii ważyłby dziesięć trylionów trylionów trylionów trylionów trylionów trylionów trylionów trylionów kilogramów. Bez dwóch zdań Pope i jego zespół stworzyli pierwszą sztuczną czarną dziurę, co samo w sobie było już warte Nobla.

Jednak to była dopiero połowa roboty. Pope poczuł, jak puls mu przyspiesza. Przyszła pora na

sprawdzenie tego, co było jego unikatowym osiągnięciem. Specjalnie zaprojektowany inflator najpierw wprowadził czarną dziurę w wirowanie z szybkością tylko trochę ustępującą prędkości światła, po czym skierował na nią szereg wiązek laserowych wielkiej mocy, które miały otworzyć w niej przejście, zanim jeszcze wormhol się zapadnie.

– Odpalamy kulę dyskotekową! – zawołał Morley, gdy pierścień idealnie dostrojonych zwierciadeł zaczął wirować z szybkością dwóch milionów obrotów na minutę. Dwieście trzydzieści metrów od centrali wiązki jednorodnego światła uderzyły w lustra, odbijając się jako impulsy o połowie długości sparowanych pierwotnych promieni. Rezonator skierował je na wormhola. Mikroskopijna czarna dziura połknęła światło i zgodnie z oczekiwaniami zapadła się w sobie.

Do tego momentu wszystko przebiegało dokładnie tak, jak miało.

Nagle jednak proces wymknął się spod kontroli. Niczym maelstrom z opowieści Edgara Alana Poe czarna dziura zaczęła wchłaniać wszystko, co znajdowało się wkoło. Najpierw połknęła komorę, w której powstała, potem wielotonową masę *Nagoyi* wraz z jedynymi ludźmi, którzy teoretycznie mogliby powstrzymać cały proces albo chociaż go wyjaśnić.

Manning Pope zginął z uśmiechem na ustach i zupełnie nieświadom tego, że umiera.

Wormhol, który powinien ustabilizować się przy średnicy trzech mikronów, rozdał się wachlarzem blasku podstawowych kolorów na piętnaście tysięcy metrów. Zaraz potem rozproszył się, wcześniej jednak zdążył przebić barierę pomiędzy światami.

HMAS Moreton Bay, 15 stycznia 2021, godzina 12.35

– Niektórzy naprawdę mają przerąbane – mruknęła Rachel Nguyen.

Oglądała na ekranie flexipada raport nadany przez CNN z ogarniętej walkami strefy Indonezji. Z zapadłej i wynędzniałej twarzy patrzyły na nią pożółkłe oczy kobiety. Błagały, aby zrobić cokolwiek dla niej, dla jej dzieci, uratować je przed hańbą i chorobą. Ale cóż, teraz na pewno już nie żyła. I jej dzieci też.

Rachel stuknęła w róg ekranu, wyłączając urządzenie, i rzuciła je na stół. Możliwie daleko, aby znowu jej nie podkusiło. Nagle światła zamigotały. Szef kazał jej się zdrzemnąć, ale przecież nie mogła, nie z tak bliskim terminem ukończenia pracy na karku. Ale jak w tej sytuacji coś napisać? Dopła kawę i zastanowiła się nad wyproszeniem od kucharza chociaż jednej bułeczki; świeżo wyciągnięte z pieca, pachniały mocno. Uznała jednak, że nie warto. Kosztowałyby ją to pewnie dziesięć minut czarowania kuka i dodatkowy kwadrans w sali gimnastycznej.

Uniosła głowę i ujrzała samotnego sierżanta, który zerknął na nią znad talerza pełnego parówek. Szybko odwróciła wzrok, ponownie zaglądając w notatki, ale niepotrzebnie się niepokoiła. Stary żołnierz był zajęty wyłącznie jedzeniem.

Światła znowu zamrugały. Rachel zdążyła tylko zdziwić się, co właściwie się dzieje, nim ciemność połknęła ją na dobre.

USS Kandahar, 15 stycznia 2021, godzina 12.35

Pułkownik Lonesome Jones uległ pokusie i zjadał bułeczkę, popijając ją kawą z ekspresu. W wieku czterdziestu trzech lat dowódca 82. MEU przypominał boksera wagi średniej. Wyglądał na kogoś, kto mógłby prostować podkowy na swojej wygolonej głowie, a na dodatek otaczała go aura niewypowiedzianej groźby. Mógłby być groźny, gdy tego chciał, oczywiście. Swoją prezencję doprowadził do perfekcji wiele lat wcześniej, jeszcze w Chicago. Jeśli zaś miał ochotę na bułeczkę, na pewno mógł sobie na nią pozwolić.

Ciesząc się ostatnimi minutami przerwy na posiłek, wpatrywał się w ekran flexipada – jego ulubiony zespół, Byki, roznosił w puch drużynę Knicków. To był jego codzienny obrządek mający przypominać o prawdziwym życiu.

Gdy zatem w progu mesy pojawiło się dwóch młodszych oficerów, jak najciszej zajęli miejsca w drugim końcu pomieszczenia i szeptem zamówili po porcji burgera z frytkami. Kubki napełnili kawą ze zbiornika, bo syk ekspresu mógłby przeszkadzać staremu. Podporucznicy Henry Chen i Biff Hannon świetnie i z pierwszej ręki wiedzieli, do czego jest zdolny wkurzony pułkownik.

Chwilę potem zajęli się posiłkiem. Jedli po cichu, aby tylko nie zwracać na siebie uwagi.

Jones oczywiście zarejestrował ich obecność, ale chciał jeszcze obejrzeć lokalne wiadomości z Chicago i ostatnie doniesienia ze świata. Dokładnie w tej kolejności. Gdy jego wolny czas dobiegł końca, wstał i wszedł z powrotem w rolę.

– Dzień dobry, panowie – rzucił w stronę dwóch oficerów i skrzywił się na widok niezdrowego jedzenia, które zamówili. – Dziś znowu macie ćwiczenia z oddziałem SAS?

Obaj pokiwali głowami.

– Tak, sir.

– Mam nadzieję, że tym razem nie pozwolicie sobie dokopać?

Podporucznicy wyraźnie się ożywili.

– Przygotowaliśmy kilka niespodzianek, pułkowniku – powiedział szybko Chen.

– Niespodzianek? To dobrze – rzucił obojętnie Jones. – Bardzo dobrze, bo bardzo mi się nie spodobało, że ktokolwiek może być lepszy od moich ludzi. A oni byli nie tylko lepsi. Oni was ośmieszyli.

Oficerowie pobledli. Jones zamilkł na chwilę, wiedząc, że jego milczenie robi na nich o wiele

większe wrażenie. W końcu porucznik Hannon wymamrotał, że to się już nie powtórzy. Jones wpatrywał się w niego przez kilka chwil, zanim znowu się odezwał. Już w nieco innym tonie.

– Powtórzy się, synu. Powtórzy się dzisiaj. Załatwią was, cokolwiek byście robili. Zawsze znajdą na was sposób. Wiecie dlaczego?

Podporucznicy tylko pokręcili głowami. Światła przygasły. Do diabła, całkiem jak na zamówienie, pomyślał Jones, pochylając się w stronę podwładnych.

– Bo ich na to stać. Służyłem z niektórymi spośród tych ludzi. Są starsi i bardziej doświadczeni niż wy. Nie wiecie nawet jak bardzo. Brali udział w wojnie już wtedy, gdy wy dopiero przygotowywaliście się do walki.

Znowu zrobiło się jasno. Jones wyprostował się na krześle.

– Nie oczekuję, że wygracie dzisiaj, panowie – oznajmił całkiem trzeźwo. – Jasne, wasz stary byłby szczęśliwy, gdyby wam się udało, ale nie oczekuję, że do tego dojdzie. – Zawiesił dramatycznie głos. – Oczekuję, że będziecie się od nich uczyć. Szczególnie że niebawem okazją do tego będzie prawdziwa walka, a nie ćwiczenia.

– Myśli pan, że Chińczycy się ruszą, sir? – spytał Chen w nadziei, że może uda mu się zmienić temat.

– Nie wiem, co zrobią Chińczycy, poruczniku. Przygotowuję się jednak na najgorsze i niech was Bóg ma w swojej opiece, jeśli mnie zawiedziecie.

Sekundę później całą trójkę pochłonęła bezdenna ciemność.

HMAS Havoc, 15 stycznia 2021, godzina 12.35

Kapitan Harry Windsor prawie przywykł już do przestronności nowego okrętu. Była to naprawdę olbrzymia jednostka, bardzo cicha, zaprojektowana z myślą o przeprowadzaniu wielomiesięcznych operacji bez zawijania do bazy. Została wyposażona w czysty reaktor fuzyjny, mogła więc pozostawać pod wodą przez dowolnie długi czas, wynurzając się jedynie w celu pobrania nowych torped i prowiantu dla załogi. Kangury twierdziły, że przed modernizacją miejsca było jeszcze więcej. Niestety, ktoś postanowił przekształcić salę wideo w magazyn pocisków manewrujących.

Cóż, lepsze jest wrogiem dobrego, pomyślał Windsor.

Jemu starczało, że miał dość miejsca do ćwiczeń kata, które zaplanował sobie przed prysznicem i posiłkiem. Za jego plecami St Clair hałasowała niemiłosiernie, szukając Bóg wie czego.

Tylko spokojnie, powiedział sobie, całkiem jak dziadek, osoba znana z ekscentryczności i rubaszości.

Uspokoiwszy myśli, przeszedł przez całe *atemi waza*, niezrównaną technikę relaksacyjną z *Danzan džudzitsu ryu*. Po kwadransie, gdy świat zmalował do kawałka podłogi, na którym wykonywał swoje ćwiczenia, wykonał ostatni wydech z głębi *hara*, skłonił się pamięci swego *sensei* i duchów *ryu* i rozejrzał za Viv, która tymczasem dokądś sobie poszła.

Wcisnął się do wspólnej kabiny prysznicowej, umył szybko i włożył koszulkę i dres. Do nocnych ćwiczeń zostało jeszcze kilka godzin i nie było sensu marnować czasu w kabinie. Przeszedł do mesy, gdzie znalazł sierżant St Clair wyklócającą się z australijskim podwodniakiem. Rozmawiali o szansach uratowania tytułu podczas finałów mistrzostw krykieta w Sydney. Piękna sprawa, tak powrócić po dziesiątkach lat mizarii, pomyślał Windsor. Jeśli jeszcze angielscy chłopcy wygrają na antypodach, będzie to najpiękniejsze z możliwych zwycięstw.

– Szefie, ten idiota daje dwa do jednego przeciwko naszym chłopcom w Sydney – zawołała St Clair. – Wprawdzie to tylko australijskie pieniądze, ale chyba mamy moralny obowiązek uwolnić go od nich.

Australijski inżynier, który prawie skończył już wachtę, uśmiechnął się do Windsora niczym głodny rekin.

– Czy wasza lordowska mość będzie skłonny wesprzeć swych lojalnych poddanych?

Ale się przejęli, pomyślał Harry, gdy nagle światła przygasły i dały się słyszeć przekleństwa kuka pomstującego na kuchenkę mikrofalową. Zaraz jednak znowu zrobiło się jasno.

– No dobrze – powiedział Harry Windsor, absolwent Eton, dowódca Jego Wysokości Własnego Regimentu Special Air Service, trzeci z kolei pretendent do brytyjskiego tronu. – Zobaczymy, ile warte są twoje pieniądze, macie.

Inżynier dał znak pani sierżant, aby przypieczętowała zakład. Ta ruszyła w ich kierunku i uśmiechnęła się promiennie do jego lordowskiej mości.

Zanim jednak zdołała zrobić cokolwiek więcej, cały świat objęła nieprzenikniona ciemność.

Wschodni Timor, 15 stycznia 2021, godzina 12.38

– *Allahu akbar! Allahu akbar!*

Adil leżał na ziemi i wzywał boskiego miłosierdzia. Nie był w stanie uczynić nic więcej.

Wszędzie wkoło słyszał piszczące i uciekające w przerażeniu zwierzęta. Nad wyspą zawisła wielka fala światła. Pochłonęła niebo, może cały świat. Pojawiła się tylko na sekundę, jednak Adil miał zapamiętać ten widok po kres swoich dni. Nawet za wiele dziesiątków lat dzieci miały gromadzić się u jego stóp, aby raz jeszcze posłuchać, jak Allah własnoręcznie posłał flotę krzyżowców do piekła.

Wciąż rozdygotany, poszukał sakwy z laserowym nadajnikiem. Cztery razy upuścił urządzenie, nim udało mu się nad sobą zapanować.

Gdy oprzytomniał trochę, zaczął błagać Boga, aby nie karał niegodnego sługi za żywione wcześniej wątpliwości. Jak mógł narzekać na swój przydział, skoro stojąc tutaj, na tym wzgórzu, stał się świadkiem... Właśnie, czego właściwie?

Zamarł. Co to było? Jakaś broń niewiernych?

Serce zabiło mu mocniej. Znowu odrzucił nadajnik i poszukał w torbie lornetki. Uniósł ją tak szybko, że omal nie złamał sobie przy tym nosa. Przez długie sekundy z zapartym tchem wpatrywał się w horyzont. Dziwne, zniknęła skrywająca wcześniej flotę mgiełka. Lornetka była pierwszorzędna, niemieckiej produkcji, z redukcją wstrząsów. To ostatnie bardzo się teraz przydało, jako że ręce ciągle mu drżały.

Wszyscy niewierni zniknęli. Na powierzchni wody unosił się tylko jakiś płonący wrak, chyba nawet nie cały. Wyglądało to na oderwaną dziobową część okrętu.

To musiał być cud! I on, prosty cieśla, był świadkiem tego cudu. Na własne oczy widział, jak ręka Boga strąciła najeźdźców prosto do siódmego kręgu piekieł.

Adil odetchnął wreszcie i ponownie poszukał nadajnika. Chciał przekazać dobrą nowinę do Dżakarty, ale wyćwiczone odruchy w końcu wzięły górę. Na dole, w Dili, krzyżowcy też na pewno widzieli, że stało się coś niezwykłego, i wysypywali się pewnie teraz na ulice niczym karaluchy. Za kilka minut zaczną działać i włączyć wszystkie swoje radiowe urządzenia szpiegowskie. Mogli też wpaść na pomysł, aby rozesłać po okolicy uzbrojone patrole. Ostatecznie byli krzyżowcami. Nie powinien o nich zapominać.

Uspokoiwszy się nieco, Adil uznał, że lepiej będzie poczekać na stosowniejszą chwilę. Tylko głupiec świadomie ściągaby na siebie uwagę roju rozżłoszczonych szerszeni. On zaś dysponował teraz ważną informacją i kalif na pewno zechce wysłuchać go osobiście.

Allahowi niech będą dzięki, pomyślał. Czyż mógł się kiedykolwiek spodziewać, że przyjdzie mu stanąć osobiście przed wyzwolicielem Kalifatu? Szybko zebrał śmieci świadczące o jego parodniowym obozowaniu w tym miejscu i zagrzebał je u stóp drzewa sandałowego.

Pod Los Palos ukrytą miał jeszcze jedną torbę z wyposażeniem. Przedostanie się tam, udając głodnego uciekiniera z terenów objętych dżihadem. Uśmiechnął się, przeciągnął i ruszył w dół zbocza. Tylko co chwila oglądał się jeszcze na miejsce błogosławionego cudu.

Marsz w tę i z powrotem po pustym pokładzie startowym nie należał do przyjemności, ale dobrze chociaż, że nie musiał pić tej paskudnej admiralskiej kawy. Pogoda pierwszych dni lipca na północnym Pacyfiku nie rozpieszczała ich. Nieustanna mgła i siekący z ukosa deszcz sprawiały, że komandor podporucznik Daniel Black coraz bardziej tęsknił za południowymi akwenami Pacyfiku, gdzie temperatura pod pokładem potrafiła dochodzić do stu stopni Fahrenheita, a dotknięcie metalowych elementów nadbudówki groziło poparzeniem, jednak z drugiej strony Black miał też dość nieustannego gradu pytań, a jego żołądek nicował się na samą myśl o jeszcze jednej filiżance tej trującej jawańskiej mieszanki, którą admirał Raymond Spruance trzymał dla siebie oraz, niestety, dla gości.

W poprzednim życiu rosły i grubokościsty Black był górnikiem w kopalni miedzi. W obecnym pełnił funkcję zastępcy admirała do spraw operacyjnych. Wbił ręce głęboko do kieszeni skórzanej, lotniczej kurtki i wraz ze Spruance'em podszedł do oznaczonego światłami ostrzegawczymi wylotu pierwszego podnośnika samolotów. Kilka dni wcześniej doszło w tym miejscu do drobnego incydentu z udziałem podporucznika Williego P. Westa i porucznika Kleissa zwanego Dustym. Szli dokładnie tą samą drogą i żaden z nich nie usłyszał dzwonka ostrzegającego przed opuszczaniem windy. West nagle zrobił krok w powietrzu, Kleiss zatrzymał się na samej krawędzi i ledwie odzyskał równowagę. Gdy doszedł już do siebie, spojrzał ze strachem na dół. Spodziewał się, że ujrzy tylko krwawe szczątki, ale zamiast tego zobaczył przyjaciela machającego wesoło z pokładu trzydzieści stóp niżej. Okazało się, że West spadł w chwili, gdy podnośnik dopiero zaczął się opuszczać. Jak sam powiedział, wylądował miękko jak na poduszkach.

Komandor Black nie miał ochoty powtarzać wyczynu młodszego oficera i wolał obejść otwór windy dookoła. Admirał uczynił tak samo. Jego czarne, skórzane buty skrzypiały na mokrym pokładzie. Były to całkiem zwykłe buty, tyle że nie pasowały do lotniskowca. William „Bull” Halsey, który dowodziłby w tej chwili okrętem, gdyby choroba nie zmusiła go do pozostania w Pearl, nosił brązowe buty. Brązowe, gdyż był lotnikiem, a nie dowódcą krążownika. Halsey nie potrzebowałby też ciągać swoich oficerów w przeddzień bitwy po pokładzie startowym i zadreć ich pytaniami o szczegóły działań lotniczych i taktykę lotnictwa morskiego. Halsey sam był pilotem z wieloletnim doświadczeniem i znał lotniskowce od podszewki.

Ludzie uwielbiali go, i nie bez powodu. Gdy podczas atakowania atolu Wake podporucznik Eversole zgubił się we mgle w drodze nad cel, Halsey zawrócił całą grupę i tak długo szukał, aż w końcu znalazł załogę pechowego bombowca torpedowego. Atak podjęli następnego dnia. Wszyscy żalowali, że starego złożyło w Pearl. Szczególnie że z tej właśnie przyczyny płynęli pod Midway, gdzie czekało ich spotkanie z przeważającymi siłami wroga, pod dowództwem człowieka, który nie miał żadnego doświadczenia w operowaniu lotniskowcami.

W jednej z rzadkich chwil, gdy Spruance akurat o nic nie pytał, Black wrócił do sprawy, która ciągle nie dawała mu spokoju.

– To naprawdę pech, że straciliśmy Dona Lovelace’a.

Admirał, człowiek spokojny i opanowany – i w tym też różny od dobrodusznego i głośnego Halseya – długo nie odpowiadał. Black zaczął się nawet zastanawiać, czy jego słowa zostały usłyszane. *Enterprise* robił trzydzieści węzłów, do czego dochodził jeszcze boczny wiatr, który

momentami wtlaczał słowa z powrotem do ust. Jednak Spruance zastanawiał się tylko, co odrzec.

– To czyste błogosławieństwo, że w ogóle mamy *Yorktowna*.

Zabrzmiało to dość bezdusznie. Don Lovelace był zastępcą dowódcy VF-3, trzeciej eskadry, grupy myśliwskiej *Yorktowna*, która składała się z dwudziestu pięciu dzielnych, ale sfatygowanych już maszyn typu F-4F Wildcat. Był, gdyż pierwszego popołudnia jeden z pilotów podczas lądowania przeskoczył aerofiniszery i uderzył w samolot dowódcy, zabijając jednego z najbardziej doświadczonych lotników w całym zespole. Cóż, eskadra *Yorktowna* składała się obecnie z pilotów pozbieranych naprędce w obliczu naglącej potrzeby. Nigdy nie latali razem, niektórzy nie mieli jeszcze nawet na koncie startu z lotniskowca. Lovelace miał uczynić z nich zgrany zespół.

– Ale lepiej byłoby mieć Lovelace’a – powiedział Black, wzruszając ramionami. – Zera zrobią z naszych chłopców sieczkę. Przy pierwszej okazji nas załatwią.

– Jimmy Thach zrobi z nich pilotów – odrzekł Spruance. – Albo prawie pilotów. Tak krawiec kraje, jak mu materii staje, komandorze. I tak stoczniovcy w Pearl dokonali cudu, remontując *Yorktowna* w trzy dni. Wiem, że nasi ludzie to żółtodzioby, że ich maszyny ustępują japońskim, ale to nieważne. I tak wygramy.

Powrócili w okolice wysepki. Nadbudówka dawała pewną osłonę przed wiatrem, deszcz też nie był tu aż tak dokuczliwy. Dochodziła dwudziesta druga czterdzieści pięć i niebawem miały rozlec się trąbki capstrzyku. Dla większości załogi dzień pracy dobiegał końca. Black też miał dość. Śniadanie zjadł o trzeciej pięćdziesiąt nad ranem.

Wiedział, że za kilka dni będzie jeszcze gorzej. Za kilka dni będzie albo martwy, albo śmiertelnie skonany, co w sumie na jedno wyjdzie.

Zdumiewało go, jakim cudem Spruance trzyma się tak dobrze. Admirał jak nakręcony szwendał się nieustannie po całym okręcie i wykorzystywał każdą minutę, aby układać plan bitwy. Długie godziny spędzili na porównywaniu wartości bojowej Zer i Wildcatów, biorąc pod uwagę fakt, że japońskie maszyny mają wprawdzie większy zasięg i lepsze własności manewrowe, nie dorównują jednak amerykańskim myśliwcom pułapem. Zera nie miały także opancerzonych kabin, a piloci Wildcatów chronieni byli stalowymi płytami, zbiorniki paliwa posiadały zaś wykładzinę samouszczelniającą.

Admirał spojrzał na niego i uśmiechnął się lekko.

– Nadal obawia się pan, że ponownie zaskoczą nas w Pearl, komandorze?

Tym razem to Black zamilkł na kilka chwil. Wcześniej, podczas specjalnej odprawy w kabinie Spruance’a, spytał admirała, co by się stało, gdyby Japończycy ominęli Midway i skierowali się prosto na Hawaje, które pozostały obecnie zupełnie bezbronne. Spruance mierzył go wzrokiem prawie przez pół minuty, wreszcie odparł, iż pozostaje mieć nadzieję, że tego nie zrobią. Blacka bardzo to zdumiało. Zmieszał się nawet. Albo Spruance wiedział coś, czego innym nie powiedziano, i na tym budował swoje plany, albo nadmiernie zdawał się na los, co nigdy nie wróżyło dobrze

żadnej strategii.

Teraz admirał zdawał się chcieć dodać jeszcze coś, ale nie zdążył, gdyż nagle do ich uszu dobiegł rozzwierający huk. Niemalże ogluchli. Padli na pokład. Black miał wrażenie, że ktoś wbił mu ostre żelazo w brzuch.

Porywisty wiatr, który targał połami ich płaszczy, ustał jak ucięty nożem. Nie osłabł, ale zniknął. Blackowi wydało się nawet, że powietrze zapachniało jakoś inaczej. Wiedział, że to niemożliwe, ale wyczuwał wyraźnie słodkawą od zapachów roślin i gnicia woń tropików.

Noc była wyjątkowo ciemna, żadne gwiazdy nie prześwitywały przez pokrywą nisko wiszących chmur. Nie było też jednak mgły. Teraz Black miał wrażenie, że ciemność jeszcze zgęstniała. Poczul lęk, trudny do wyrażenia lęk podobny do tego, który musi czuć pilot zestrzelonego samolotu, gdy jego maszyna spada.

Nagle obaj ze Spruance'em usłyszeli dobiegającą z góry, coraz głośniejszą wrzawę. Obserwatorzy na sępiej grzędzie krzyczeli coś i machali rękami, pokazując na morze na prawej burcie.

– Chyba ktoś wypadł – wyjąkał Black, któremu ciągle trudno było złapać oddech.

– Chodźmy – wykrztusił admirał.

Ruszyli pospiesznie wkoło podstawy wysepki i stanowisk działek przeciwlotniczych. To, co po chwili ujrzeli, zmroziło im krew w żyłach. Stałą jak wrzyci.

– O kurwa... – jęknął Black.

Niecałe tysiąc jardów od nich leżał na wodzie jakiś okręt. Bez wątpienia całkiem nie znanej im konstrukcji. Dziób miał odchylony pod kątem, dzięki czemu było widać, że składa się z dwóch kadłubów. Był na tyle dobrze oświetlony, że mogli dość dokładnie go sobie obejrzeć. Pokłady miał prawie puste. Na śródkręciu widniało coś w rodzaju wysepki, została jednak umieszczona nie przy burcie, ale pośrodku tego, co mogłoby uchodzić za pokład lotniczy. Nadbudówka była smukła i cofnięta niczym płetwa rekina, o opływowych kształtach, bez żadnych ostrych krawędzi. Widać było tylko jedną linię okien, przez które jaśniały różnokolorowe światła. Ludzi na okręcie widać nie było.

Uspokoiwszy się trochę, Black zaczął dostrzegać więcej szczegółów. Dziobowy pokład zdawał się być poznaczony prostokątami podnośników, dziwnie jednak małych, góra po kilka jardów szerokości. Dojrzał też niewielkie działo obudowane taką samą opływową wieżyczką jak mostek. Gdy oddalili się nieco i mogli spojrzeć na obcą jednostkę pod innym kątem, Spruance wskazał na zarys czegoś przypominającego pełnowymiarowy podnośnik na rufie. Ale to nie miało sensu. Cokolwiek chciałoby stamtąd startować, rozbiłoby się o tę dziwną wysepkę na śródkręciu.

– Wielki Boże... – mruknął Spruance, gdy dojrżeli rufę okrętu w pełnej krasie. Wisiała na niej japońska bandera. Wprawdzie nie było to promieniste wschodzące słońce, ale bez dwóch zdań widzieli czerwony krąg na białym tle.

Poniżej widniała wypisana na kadłubie nazwa *Siranui*. Black przypomniał sobie, że po japońsku oznacza to „Tajemnicze ognie”. Wiedział, że w cesarskiej marynarce istnieje niszczyciel o tej nazwie, zwodowana w lipcu 1938 roku jednostka klasy „Kagero” – ale to na pewno nie była ona. To coś miało połowę długości *Enterprise’a* i w ogóle wyglądało, jakby wyskoczyło z komiksu o króliku Rogersie.

– Co to jest, u diabła? – spytał Black takim tonem, jakby zobaczył dwugłowego psa.

– Nie jestem pewien – odparł Spruance, zachowując swój styl wypowiedzi. – Wiem jednak, czym to nie jest. Niech pan włoży galowy mundur, komandorze. Mam wrażenie, że nasi goście przybyli nieco wcześniej.

Tajemniczy okręt po cichu usunął się w ciemność, na lotniskowcu zaś zabrzmiały klaksony alarmu.

Nagle cały horyzont eksplodował.

Zapanował wszechobecny chaos. Z prawej burty widmowy japoński okręt niemal całkiem wtopił się już w mrok, za to z lewej zapłonął tytaniczny błysk potwornej eksplozji, zapewne gdzieś w odległości dziesięciu mil. Kilka sekund później usłyszeli grzmot. Odbity od nisko zawieszonych chmur blask sprawił, że zrobiło się bardzo jasno.

Black tylko pokręcił głową. Bardzo chciał zachować spokój, ale gdy rozejrzał się wkoło, zaparło mu dech w piersiach.

Ujrzał więcej okrętów, a wszystkie mniej lub bardziej przypominały to dziwo, które minęli chwilę wcześniej. Jeden wyglądał tak niesamowicie, że nie wierzył własnym oczom. Obserwując, jak wspina się na kolejną falę, gotów był przysiąc, że składa się nie z dwóch nawet, ale z trzech kadłubów. Trudno było w tych warunkach orzec coś na pewno, ale naprawdę wyglądało to albo na jednostkę o trzech kadłubach, albo trzy jednostki operujące w idealnej harmonii.

Nieco dalej dojrzał kolejne dwukadłubowe monstrum. I inne jeszcze stygijskie bestie. A z lewej burty, przed dziobem, ukazały się dwa lotniskowce. Każdy z nich był dość wielki, aby pełnić rolę lotniskowca floty, z tym że jeden rozmiarami przypominał lewiatana.

– Komandorze!

Słyszając ostry krzyk, Black oprzytomniał.

– Mamy robotę, komandorze. Sporo roboty – zawołał Spruance. – Chyba że chce pan, aby pańskie wnuki jadały ryż i surowe ryby.

Dzwonki i klaksony nie milkły. Teraz dołączył do nich tupot stóp uderzających o stalowe pokłady. Tysiące ludzi biegły obsadzić stanowiska bojowe na ponad dwudziestu okrętach zespołu.

Pierwsze zaszczekały dwudziestomilimetrowe Oerlikony z krążownika *Portland*. Pociski pomknęły w absolutnie niewłaściwym kierunku. Po nich odezwały się czterdziestomilimetrowe

Boforsy, pompomy i tuziny pięciocalówek. Cały kwadrant nieba zapłonął ogniem.

Spruance i Black ruszyli biegiem na mostek. Po drodze złapali hełmy i kamizelki ratunkowe. W końcu zagrzmiały też ośmiocalowe działa krążowników, rozświetlając noc stroboskopowymi błyskami wystrzałów. Na mostku panował gwar. Słysząc było około tuzina głosów: ktoś próbował meldować, ktoś inny o coś pytać, ktoś głośno domagał się odpowiedzi, których nikt nie był w stanie udzielić.

– Bombowce jak najszybciej w powietrze – rozkazał Spruance.

– VB-6 jest gotowa, sir.

– Kurs dwa dwa trzy.

Płyty pokładu zajęczały, gdy lotniskowiec zaczął wykonywać ostry zwrot pod wiatr. Black mógł tylko modlić się, aby na ich drodze nie znalazł się żaden z zaskoczonych nagłym manewrem własnych niszczycieli. To czyste szaleństwo, pomyślał. Nie można traktować lotniskowca o masie dwudziestu tysięcy ton jak jachtu. Złapał się stołu nakresowego i rozejrzał wkoło. Wszystkie okręty zespołu strzelały, z czego tylko się dało. Jak tak dalej pójdzie, zaczniemy trafiać się nawzajem...

Gdy tylko ta myśl przebiegła mu przez głowę, doszło do pierwszego takiego przypadku. Ciężki krążownik *New Orleans* oddał pełną salwę burtową w kierunku widmowego japońskiego okrętu. Chybił szkaradnie, ale co najmniej dwa pociski dosięgły znajdującego się kilkaset jardów dalej amerykańskiego niszczyciela. Black zaklął głośno, gdy niewielki okręt buchnął płomieniem.

– Musimy skoordynować ogień – krzyknął do Spruance’a. – Zajmę się tym.

Admirał odwrócił się od marynarza, z którym akurat rozmawiał, i pokiwał głową. Black zniknął z mostka i pobiegł do kabiny radiowej.

USS Hamman, TF 17, 2 lipca 1942, godzina 22.43

Hamman, niszczyciel klasy „Sims” został niemal przewrócony przez falę, wywołaną przez gigantyczny okręt, który pojawił się znikąd. Ludzie na mostku jęknęli niczym pasażerowie kolejki górskiej. Gdy niszczyciel w końcu się wyprostował, pełniący wachtę Veni Armanno ocknął się pod kolumną kompasu i zaklął, czując potężny ból wywichniętego barku. Wstał jakoś, podpierając się zdrową ręką.

– Nic panu nie jest, sir?

– Mniejsza z tym – odparł. – Wezwijcie tu zaraz kapitana i dajcie sygnał na *Yorktowna*. Spytajcie, co tu się dzieje.

– Poruczniku! – zawołał radiowiec ze swojego kącika. – Dostaliśmy właśnie wiadomość z *Enterprise’a*. To Japońce...

Armanno nie usłyszał nic więcej. Wszystkie słowa zginęły w lawinie przekleństw miotanych przez obsadę mostka.

– Zamknąć się! – krzyknął.

Łącznościowiec zamachał rękami na znak, że nadeszła kolejna wiadomość.

– Mamy kontakt z przeciwnikiem! – zawołał.

– Kapitan True jest ranny, sir – zameldował ktoś inny. – Porucznik Earls jest w drodze na mostek.

– Dajcie mi oficera artylerii – rozkazał Armanno. – Nie mamy wiele, ale i tak poczęstujemy ich, czym tylko się da. Helm, daj mi jeszcze czterysta jardów między nami a gościem. Wpakujemy draniowi kilka torped, zobaczymy, czy mu się to spodoba.

Pokład znowu się przechylił. Niszczyciel wszedł w cyrkulację. Armanno był półprzytomny. Ból ramienia dokuczał mu tak bardzo, że najchętniej położyłby się pod grodzią i poczekał tam na lekarza. Ale na razie ważniejszy był stalowy ogrom obcego okrętu. Skąd on się tu wziął? Armanno nie mógł tego pojąć.

– Artyleria gotowa, sir.

Armanno nie wahał się ani chwili.

– Ognia!

Wszystkie cztery pięciocalówki niszczyciela ryknęły jak jedna. Na kadłubie przeciwnika wykwitły trzy ognie wybuchów.

Jeden felerny, pomyślał Armanno. Usłyszał, jak dziobowe i rufowe dwudziestomilimetrówki otworzyły ogień, rysując górujący nad nimi masyw smugami pocisków. Do morza posypały się iskry rykoszetów.

Ludzie wkoło zaczęli wiwatować, widząc, jak kolejna salwa pięciocalowych pocisków wbija się w kadłub przeciwnika. Armanno był pewien, że słyszy łoskot deszczu odłamków spadającego na stalowe pokłady *Hammana*. Popędził obsadę kotłowni, aby dała z siebie wszystko. Musiał odsunąć się jeszcze kawałek, aby móc skorzystać z wyrzutni torpedowych. Ich celem będzie japoński lotniskowiec, zapewne *Akagi*, skoro to taki olbrzym.

Tylko jak on się tu znalazł?

Mniejsza z tym, powiedział sobie oficer. Znowu ich zaskoczyli, tak jak w Pearl Harbor. Tylko tym razem mieli pecha natknąć się na Veniego Armanna. Mógł urodzić się i wychować pośród gajów oliwnych pod Santa Monica, ale w jego żyłach płynęła sycylijska krew i był równie porywczy jak każdy ze Starego Kraju.

– Trzymajcie się, chłopaki! – krzyknął do tuby głosowej łączącej go z centralą artyleryjską. –

Dajcie im popalić! Jeszcze chwila i będziemy mogli nakarmić nimi rybki.

Spojrzał przez pancerne okna. Kolejna salwa rozerwała burtę lotniskowca. Wkoło szalało coś na kształt burzy, brakowało tylko wichury i deszczu. Ocean rozświetlały nieustannie błyski wystrzałów, woda burzyła się od nieprzerwanych eksplozji.

– Proszę spojrzeć na tamto coś, sir – odezwał się głos chropawy na skutek wielu lat palenia papierosów.

Armanno złapał lornetkę. Widziany przez nią świat wydawał się jeszcze dziwniejszy. Każde drgnięcie niszczyciela było wielokrotnie wzmocnione. Mimo to oficer dojrzał coś przypominającego olbrzymią płaszczkę, przemykającą po powierzchni. Trudno było w tych warunkach orzec coś na pewno, ale obiekt zdawał się nie mieć żadnego uzbrojenia na pokładzie. Armanno wcisnął się w kąt mostka i raz jeszcze spróbował dojrzeć dziwny okręt. Lornetka podskoczyła mu w rękach, gdy oba dziobowe działa niszczyciela wyrzuciły z siebie smugi ognia i dymu.

Japończycy w ogóle do nich nie strzelali. W każdym razie on nie widział, aby to robili.

– Co się dzieje, u diabła – mruknął pod nosem.

– Poruczniku, wchodzimy w skuteczny zasięg torped.

– Dobra – odparł oficer, ponownie spoglądając na olbrzymi lotniskowiec, którego sylwetka nadal przesłaniała połowę horyzontu. Jednak to naprawdę dziwne, że Japończycy nie odpowiadali ogniem. Nie wystrzelili w ich stronę ani jednego pocisku...

Może nas nie widzą? – zastanowił się Armanno. Jeśli tak, to i lepiej.

– Wyrzutnie torpedowe na lewą burtę! – zawołał.

– Jest na lewą burtę.

– Uzbroić torpedy!

– Torpedy uzbrojone.

Armanno poczekał jeszcze chwilę w nadziei, że może kapitan pojawi się jednak na mostku. On albo chociaż pierwszy oficer. Była to bardzo długa chwila.

– Ognia! – zawołał w końcu.

Komandor Karen Halabi, dowódca HMS *Trident*, nigdy jeszcze nie widziała czegoś podobnego. Miała wrażenie, że patrzy na dom dla lalek. Przez kilka chwil, dopóki morze nie wlało się do środka, wewnątrz okrętu było widoczne jak na dłoni. Nie mogła pojąć, jaka siła obcięła wielkiej jednostce dziób, gładko i czysto niczym nożem.

Wydawało jej się, że śni, chociaż wiedziała, że to niemożliwe. Moment wcześniej wylała sobie na udo kubek gorącej kawy i na skórze zaczął się już formować wielki pęcherz. Miała jednak poczucie uczestniczenia w sennym koszmarze.

Siedząc w fotelu kapitańskim, ledwie zachowywała przytomność. Całe ciało ją paliło, było jej niedobrze, ręce ogarnęło odrętwienie. Pozostali ludzie na mostku albo zemdleli, albo nie żyli. Jasny blask tropikalnego dnia zniknął nagle, zastąpiony głęboką ciemnością. Na dodatek czterysta czy pięćset metrów od nich, dokładnie na kursie kolizyjnym, widniał śmigłowcowiec HMS *Fearless*, a raczej to, co z niego zostało.

Halabi jak sparaliżowana, jak we śnie, wpatrywała się w coraz bliższy, przecięty na pół okręt. Jednak ból oparzonego uda był nader realny. Nagle uświadomiła sobie, że jeśli czegoś nie zrobi, za pół minuty zderzą się z wrakiem lotniskowca.

Wciągnęła głęboko powietrze i sięgnęła do ekranu. Ledwo czując własne palce, uderzyła we właściwe miejsca całą dłonią. System bojowy okrętu zareagował właściwie i przyciski urosły raptownie. Program przewidywał, że operator może odnieść poważne obrażenia i nie być w stanie sprawnie obsługiwać panelu. Wprawdzie teraz miała mniej funkcji do wyboru, ale chwilowo to wystarczało. Halabi chciała jedynie dodatkowych dwudziestu węzłów.

Kilka kolejnych pacnięć w ekran uaktywniło stopy i dodało mocy trzem podwodnym silnikom strumieniowym marki Rolls Royce. Przyspieszenie wcisnęło Halabi w fotel. W obliczu możliwości kolizji system bojowy uruchomił wszystkie moduły ostrzegania i zwiększył margines bezpieczeństwa. Włączył system antykawitacyjny trimarana.

Z tysięcy drobnych otworów nad i pod linią wodną okrętu zaczęły wydobywać się pęcherzyki powietrza, które stworzyły niemal idealną powłokę między pochłaniającym promienie radarowe poszyciem a oceanem. Dzięki temu opór wody zmalał o prawie dziewięćdziesiąt procent. *Trident* skoczył do przodu, bardziej lecąc, niż płynąc, i w kilkadziesiąt sekund osiągnął prędkość stu pięciu węzłów. Pomknął przed siebie, zostawiając na morzu trzy gigantyczne, wzburzone, silne kilwatery.

System bojowy sprawdził ponadto dane napływające z wszczepionych załodze bioczypów. Można było założyć, że nagłe przyspieszenie spowoduje jakieś ofiary. Analiza informacji zakończyła się wnioskiem, że wszyscy obecni na pokładzie zostali porażeni chorobą nieznanego pochodzenia, i rozesłaniem przez shipnet instrukcji postępowania. Przez analogię do innych, przewidzianych w programie sytuacji, zalecały one podanie każdemu dożylnie pół mililitra Promatilu. Zastrzyk miały zrobić umieszczone w pobliżu kręgosłupa wszczepy medyczne.

Halabi poczuła, jak narkotyk zaczyna ją rozgrzewać. Niemile odrętwienie całego ciała przechodziło z wolna, podobnie jak towarzyszące mu zawroty głowy i mdłości.

Obsada mostka zaczęła dawać oznaki życia, jednak to, co działo się na zewnątrz, nadal bardziej przyciągało uwagę Halabi. Tak, ten wrak to na pewno był *Fearless*. Tylko jak mogło dojść do podobnej katastrofy?

Metalowe elementy kadłuba w miejscu przecięcia jaśniały, jakby były rozgrzane do białości. Widać było przekrój hangarów, z których zsuwał się już do morza sprzęt latający. Po bokach znajdowały się pomieszczenia techniczne i magazyny, w których miały się małe ludzkie sylwetki. Miała przyjaciół na tamym okręcie, każda z tych sylwetek mogła być którymś z nich. Patrzyła z bólem serca, jak daremnie próbowały wymknąć się ze śmiertelnej pułapki, jak skakały w bezlitosną toń. Tak jak urzędnicy z widzianych w dzieciństwie obrazów transmitowanych z Nowego Jorku, a potem z Londynu i Tokio.

Gdy mijali wrak lotniskowca, wydało się jej, że *Fearless* przyspieszył, jakby chciał ich dosięgnąć i pociągnąć za sobą. Halabi bezgłośnie poruszyła ustami, ale nie wiedziała, co powiedzieć. Woda wdzierała się już w głąb okaleczonego kadłuba.

W szkole morskiej analizowała kiedyś przypadek promu oceanicznego, który stracił na Kanale przednią furtę. Woda wlała się na pokład samochodowy z taką siłą, że przetoczyła się aż do samej rufy i uniosła na moment dziób statku ponad powierzchnię morza. Jednak jako płynna masa zachowała się zgodnie z regułą wahadła i powróciła zaraz, zanurzając okaleczony przód kadłuba jeszcze głębiej. Halabi przebiegło przez głowę, że z lotniskowcem może stać się podobnie i naprawdę zaraz na nich wpadnie, rzucony impetem fali przed siebie, ale po chwili dotarło do niej, że to niemożliwe. Okręt wojenny to nie prom. Liczne grodzie poniżej linii wodnej uniemożliwiały równie swobodny przepływ wody we wnętrzu kadłuba.

Znowu zrobiło się jej słabo, ale gdy wyszli ze strefy zderzenia, wciągnęła głęboko powietrze i jakoś się opanowała.

– Posh, czy możesz połączyć mnie z systemem bojowym *Fearless*? – spytała. – Chcę wizji i raportu o uszkodzeniach.

System okrętu przyjął polecenie i na ekranie przed Halabi ukazało się wnętrze lotniskowca. Pełne rannych i ogarniętych paniką ludzi.

Na sąsiednim ekranie przewijał się raport o uszkodzeniach. Zbyt szybko, aby nadażyła czytać. Tymczasem wdzierająca się do kadłuba woda zaczęła wystawiać całą konstrukcję lotniskowca na naprężenia, do których znoszenia nie był przygotowany. Zalewanie dolnych, często niewielkich i pozamykanych pomieszczeń przebiegało dość wolno i płynący wcześniej w miarę szybko okręt przyhamował gwałtownie.

Wysokiej wydajności kotły Mercedesa nadal dawały moc trzystu dwudziestu tysięcy koni mechanicznych na cztery wały śrub i okręt mimo wszystko próbował przezwyciężyć dodatkowy opór wody. Zaczął się zataczać, wprawiając w ruch znajdujące się już w środku masy wody, która przez magazyny sprzętu lotniczego na trzecim pokładzie wlała się do warsztatów naprawczych. Po chwili sięgnęła głównego pokładu, zalewając kwatery oficerskie i szyb przedniego podnośnika. Potem przejściami na prawej i lewej burcie doszła do pomieszczeń generatorów łączności, kolejnych

kwater, łazienek i mesy.

Halabi skrzywiła się boleśnie, gdy morze wdarło się do kotłowni i lodowata woda zalała rozgrzane do czerwoności paleniska. Wynikła z tego eksplozja nie była sama w sobie dość silna, aby zniszczyć okręt, wyzwoliła jednak serię wtórnych detonacji, która zaczęła się w prawoburtowym magazynie amunicyjnym na trzecim pokładzie. Jako następny wyleciał w powietrze magazyn rakiet przed centralą kontroli samolotów bezzałogowych. Stamtąd było już blisko do zbiorników gazu pędnego.

HMS *Fearless* zniknął w jednej tytanicznej eksplozji. Trzy czwarte kadłuba rozpadło się na drobne kawałki w oślepiającym blasku, który musiał być widoczny dziesiątki kilometrów wkoło.

Trident zadrzał lekko od fali uderzeniowej. Nic więcej mu nie groziło, skoro siedział nisko w wodzie, oparty pewnie na trzech kadłubach, i prawie nie posiadał nadbudówek. System dokonał kilku zmian kursu i szybkości, ale nic więcej nie było trzeba robić. Niszczyciel został zaprojektowany z myślą o znoszeniu solidniejszych sztormów.

Gorzej zniosła to Halabi. Była prawie pewna, że z czegoś takiego nikt nie mógł wyjść cało. Wszystkich na pokładzie HMS *Fearless* należało zapewne uznać za poległych, rozdartych na niemożliwe do odnalezienia strzępy. Ciągle próbowała znaleźć jakieś wytłumaczenie tego, co się stało. No i kto mógł za tym stać? Nie potrafiła odpowiedzieć na żadne z tych pytań. Na razie jednak miała swoje obowiązki, reszta musiała poczekać. Gdy załoga doszła już w miarę do siebie, Halabi poprawiła się na fotelu i sięgnęła do ekranu. Dawka Promatilu pomogła, usuwając większość najbardziej przykrych dolegliwości. Kilka prostych poleceń pozwoliło na odzyskanie pełnej kontroli nad trimaranem. Nie wyłączyła układów śledzenia, które miały te same parametry co amerykański system NEMESIS, następca słynnego AEGIS. Dodatkowo nakazała uruchomić program kryzysowy.

– Czy mam zgodę na odbezpieczenie uzbrojenia? – spytał system.

– Masz pozwolenie, Posh – odparła, kładąc dłoń na umieszczonym w podłokietniku czytniku DNA. – Kod weryfikacji Osprey Trzy Dziewięć Lima X-ray Tango Cztery.

– Kod jest prawidłowy, kapitan Halabi. Broń w gotowości.

System bojowy przemawiał głosem lady Beckham, co było pozostałością po poprzednim kapitanie, który zdaniem Halabi musiał być zaprzędany duszą i ciałem Yorkshire, a dodatkowo cierpieć na niezdrową fascynację kulturą pop zeszłego stulecia. Obejmując dowództwo, przysięgła sobie, że przestawi funkcję głosu na wartość domyślną, z wolna jednak zaczęła pojmować, że niegdysiejsza gwiazdka muzyki rozrywkowej jest ulubienicą całej załogi i wykasowanie jej głosu wywołałoby żalobę bliską tej po utracie członka rodziny. Zatem lady Beckham pozostała na etacie i po osiemnastu miesiącach Halabi nawet się do niej przywiązała.

– Panie McTeale – powiedziała, zwracając się do pierwszego oficera – czy jest pan w stanie przejąć dowodzenie?

Żyłasty Szkot przełknął to, co zbierało mu się w gardle.

– Aye, ma'am.

– To świetnie. Idę do centrali bojowej. Po drodze będę osiągalna przez sieć. Gdy przejmę obowiązki na dole, proszę do mnie dołączyć. Wszyscy pod pokład. *Fearless* został zniszczony, wakacje dobiegły końca. Systemy broni są w gotowości i każdy z nich dostał autonomię decyzji na poziomie pierwszym. Każdy, kto jeszcze nie przyjął Promatilu, ma to zaraz zrobić. Proszę sprawdzić, czy nasz lekarz wie co trzeba. Posh ma dawkowanie. Tylko dożylnie, żadnych plastrów. Potrzebuję wszystkich na stanowiskach, na wczoraj. Powiadomić dowódcę zespołu.

– Aye, aye.

Gdy dzwonki zaczęły wzywać załogę do boju, Halabi wykuśtykała z mostka, przeszła przez kurtynę świetlną i skierowała się po schodach na dół, do wnętrza centralnego kadłuba niszczyciela. Pod stopami czuła drgania pokładu typowe przy szybkości podróży okrętu, która wynosiła trzydzieści pięć węzłów. Półtorametrowe fale z grzbietami co trzy metry kołysały nieco nawet stabilnym trimaranem i zwolniło to nieco marsz Halabi, jednak nie przesadnie.

Sześciokątne wnętrze centrali bojowej było skąpane w niebieskawym blasku. Po gwałtownych wydarzeniach ostatnich minut wydało się jej miejscem nad wyraz spokojnym. McTeale zrobił oczywiście wszystko, co do niego należało. Ekipa medyczna uwijała się już, podając Promatil. Jeden z lekarzy podszedł do niej.

– Przepraszam, ma'am – powiedział nie znoszącym sprzeciwu tonem, który cechuje każdego dobrego lekarza. – Komandor McTeale poinformował mnie, że ma pani na nodze poważne oparzenie...

– Nie ma czasu na żel, Andrews.

– Zatem środek przeciwbólowy. – Medyk wystukał na ekranie swojego flexipada odpowiednie polecenie. Obiekcje pani kapitan miał za nic. – Polecenie naczelnego lekarza, ma'am. Ma uprawnienia do ordynowania miejscowych środków znieczulających.

Zanim Halabi zdążyła znowu się odezwać, poczuła na plecach lekkie ukłucie i po chwili na obolałym obszarze rozlało się miłe ciepło.

Doświadczyła tego dopiero po raz drugi, ale już rozumiała w pełni, dlaczego nikt nie powinien sam robić sobie takich zastrzyków. Nawet przy wielkiej sile woli łatwo byłoby ulec pokusie, aby zaczynać dzień od miłego strzału i nie wychodzić potem z łóżka.

– Dziękuję, Andrews – powiedziała. – I tyle wystarczy. Proszę, zajmij się innymi. Za kilka minut będziemy potrzebowali dosłownie każdego.

– Aye, ma'am.

Halabi omiotła centrum spojrzeniem. Dwudziestu dwóch specjalistów siedziało w wielkich i wygodnych lotniczych fotelach. Przed każdym wisiały masywne ekrany. Podeszła do dyżurnego, komandora porucznika Marka Howarda, który z uwagą śledził obraz wyświetlany w holobloku.

– Komandorze, chcę usłyszeć, w co dokładnie się wpakowaliśmy.

– Chyba rzeczywiście w coś nieciekawego, ma'am. To zupełnie nie ma sensu. Ani trochę. *Fearless* zatonął. Wykryliśmy tylko troje rozbitków w wodzie. Reszta zespołu jest obecnie rozproszona.

Halabi spojrzała na czarny jak smoła, stojący obok foteli projektor holo, który przedstawiał w pomniejszonej skali obszar morza na sześćdziesiąt mil morskich wkoło. Pozostałe jednostki zespołu były na nim widoczne jako mocno przerośnięte sylwetki poruszające się na błękitnej powierzchni oceanu. Kilka centymetrów pod nimi unosił się okręt podwodny HMAS *Havoc*. Wielonarodowy zespół, który powinien tworzyć zwarty szyk skupiony wkoło lotniskowców *Hillary Clinton* i *Kandahar*, rzeczywiście poszedł całkiem w rozsypkę.

Halabi pokręciła ze zdumieniem głową. Każda jednostka poruszała się innymi kursem. Było to w pewnym sensie nawet bardziej niepokojące niż niedawna zagłada śmigłowcowca. Co gorsza, między nimi kręciły się ze dwie dziesiątki widmowych sylwetek, które nie nadawały żadnego sygnału identyfikacyjnego, i *Posh* nie wiedziała zupełnie, jak je opisać. Nadała im więc sygnatury UV (*unidentified vessel*), które nosiły kolejne numery. Od 01 do, Halabi sprawdziła listę na ekranie nad holoprojekcją, do 24.

– Zaiste. Sensu za grosz.

– Właśnie. Na podstawie sylwetek można wyróżnić wśród nich trzy bliżej nieznane lotniskowce, cztery ciężkie okręty artyleryjskie, kilka statków zaopatrzenia i cały rój małych jednostek, niszczycieli albo fregat. Tyle że wszystkie są jak przeniesione żywcem z muzeum. No i brakuje kilku naszych. *Fearless* to raz, *Vanguard* znajduje się poza obszarem projekcji. *Dessaix* zniknął, podobnie jak pozostałe atomowe okręty podwodne i *Amanda L. Garrett*. No i jeszcze indonezyjskie fregaty.

– Zniszczone?

– Trudno powiedzieć. Po prostu zniknęły, ma'am. Bez śladu.

– Odszukaj je. – Halabi zacisnęła wargi. – Elint, przechwytyjemy jakieś transmisje z tych niezidentyfikowanych jednostek? – spytała po chwili porucznika siedzącego na stanowisku obok.

Młoda operatorka, piękna kobieta walijsko-jamajskiego pochodzenia, niemalże wypalała wzrokiem dziury w swoim ekranie.

– Niewiele, kapitanie. Raz czy dwa zostaliśmy omieceni promieniem radaru, który w ogóle nas nie zauważył, ale system zanotował parametry. Jakiś złom. Prawie era kamienia łupanego. Tak prymitywny, że byle pirat z Bangkoku kupiłby sobie lepszy w sklepie. Mam za to masę niezakodowanej gadaniny radiowej. Wszystko to bardzo chaotyczne, po angielsku, ale... niesamowite.

– Słowo „niesamowite” nic mi nie mówi, porucznik Waverton. Proszę jaśniej. Ludzie umierają.

Kobieta ukryła grymas.

– Po prostu niesamowite, pani kapitan. Niezrozumiałe. Dziwne. Puszczę kawałek, jeśli pani chce.

– Chcę.

Porucznik przebiegła ciemnymi, smukłymi palcami po ekranie, przekazując sygnał na głośniki. Najpierw rozległy się szумы statyczne, które osłabły po włączeniu filtrów. Pojawiły się ludzkie głosy, głosy gniewne, wystraszone, krzykliwe. Większość obsady, która nie była zajęta własnymi obowiązkami, nadstawiła ucha, chociaż równie dobrze mogła skorzystać z osobistych słuchawek. Właściciele głosów na pewno byli Amerykanami, i to w mundurach. Tyle że...

Halabi skupiła się na przekazie, który zdawał się pochodzić z centrali ogniowej nieznanego okrętu. Mówiący domagał się wyjaśnienia, do czego, u diabła, strzela i czy są to Japończycy. Halabi poruszyła palcem. Porucznik przeszła na inny kanał: tym razem była to rozmowa między dwiema jednostkami.

– *Hamman, Hughes i Morris* podejmą rozbitków...

– *Hamman* walczy z japońskim lotniskowcem... ma go tuż nad sobą. Chce puścić mu kilka rybek.

– No to *Russel* albo *Gwin*...

Halabi znowu kazała zmienić częstotliwość.

– Mayday, mayday... Mówi *Astoria*. Zostaliśmy staranowani, zostaliśmy staranowani...

– Ma pani rację, poruczniku – powiedziała w końcu Halabi. – „Niesamowite” to najwłaściwsze słowo. Skąd mamy przekaz holo? – spytała, dając Waverton znak, że może wyłączyć głośniki.

– Z trzech maszyn bezzałogowych, które wiszą na sześciu tysiącach metrów, w chmurach. Straciliśmy sporo źródeł danych, ale *Posh* odtwarza, co może. Transmisje radiowe odbieramy głównym masztem i całą nadbudówką.

Halabi pojęła, że sytuacja rozwija się szybciej, niż można było oczekiwać.

– Panie Howard, czy możemy przejąć dowodzenie zespołem?

– Nie, ma'am. Łączność jest sprawna, przekazy bezpieczne i wszystkie systemy bojowe pozostają w kontakcie, ale dotąd nie otrzymaliśmy odpowiedzi od żadnego ludzkiego operatora. Próbowaliśmy wywoływać każdy okręt z osobna, ale bez skutku. Chwilowo jesteśmy zdani na siebie.

– Stracili przytomność, tak jak my wcześniej – mruknęła Halabi. – Niech *Posh* przekaże innym dane o niedyspozycji, bioataku czy co to było. I informację o *Promatilu*. W ogóle przekażcie do sieci systemów wszystko, co może się przydać.

Zamilkła, rozważając różne możliwości. Wszystkie jednostki Wielonarodowych Sił były wyposażone w laserowe łącza pozwalające stworzyć sieć systemów bojowych i działać całemu zespołowi tak, jakby był jednym organizmem.

Na papierze wyglądało to świetnie, jednak polityka i zwykłe ludzkie słabości zmniejszały skuteczność tego rozwiązania. Przyjęte zasady umożliwiały Halabi przejęcie kontroli tylko nad małym kontyngentem australijskim i siostrzaną jednostką, *Vanguardem*, który gdzieś się zapodział, oraz HMS *Fearless*, który zatonął. Z jej punktu widzenia była to czysta głupota, ale Francuzi i Amerykanie nie mieli zamiaru pozwolić, aby nawet w sytuacji awaryjnej jakikolwiek Angol rządził ich okrętami. Istniała poważna obawa, że w ciągu kilku najbliższych minut wielu ludzi zapłaci życiem za uleganie podobnym uprzedzeniom.

Z drugiej strony Halabi musiała przyznać, że prędeziej piekło zamarznie, niż Royal Navy zgodzi się, aby indonezyjski kapitan objął dowodzenie na okręcie Korony. Może więc Amerykanie i Francuzi jednak mieli swoje racje, chociaż było nieco poniżające znaleźć się w podobnym towarzystwie.

Howard przekazał tymczasem serię poleceń i operatorzy, którzy dotąd w większości pozostawali bez zajęcia, pochylili się nad swoimi pulpitami. Laserowe łącza odszukały australijskie jednostki, transportowiec *Moreton Bay* i okręt desantowy *Ipswich*.

Pierwsze impulsy niosły kod identyfikacyjny mający przekonać podejrzliwe systemy bojowe, że sygnały docierają z uprawnionego źródła. Następne nakazywały włączenie wszystkich systemów obronnych i objęcie ich działaniem wszystkich jednostek zespołu. Kolejne podawały informacje o bioataku i przebiegu wydarzeń na pokładzie *Tridenta*. Niestety, ten ostatni zestaw był bardzo skromny.

Ułamek sekundy później taka sama transmisja została skierowana na australijski okręt podwodny *Havoc*. Ku powszechnemu zdumieniu tym razem doczekali się odpowiedzi żywej istoty, która zameldowała, że *Havoc* pozostaje w gotowości, śledzi cele i prosi o pozwolenie na użycie broni.

– Kapitan Willet do pani – zawołała porucznik Waverton.

– Wreszcie – mruknęła Halabi.

Ekran nad holoblokiem pojaśniał i pojawiło się na nim ponure oblicze australijskiej kapitan. Komandor skinął lekko głową.

– Witam, kapitan Willet.

– Kapitan Halabi, przepraszam, że nie odpowiedziałam od razu. Mieliśmy tu trochę kłopotów. Coś jakby neuroatak. System obudził się pierwszy. Czy mamy kontakt z przeciwnikiem?

– Jakiś kontakt mamy, jak sama pani widzi, ale trudno powiedzieć, z kim – odparła Halabi. – *Fearless* został zniszczony, ale nie mamy pojęcia, w jaki sposób. Nigdy nie widziałam czegoś podobnego. Czy może pani przekazać swoim analitykom dane, które przesłaliśmy? Obawiam się, że będą zdumiewające, ale nie mamy czasu do stracenia. Tu robi się coraz paskudniej.

Zrzuciwszy część brzemienia na barki Willet, Halabi znowu spojrzała na holo. Jedną z pierwszych rzeczy, których uczyli ją w akademii, była gotowość na to, że nic nie pójdzie łatwo. Ale tutaj? Wydęła policzki. Przecież to wszystko nie miało najmniejszego sensu. Ani trochę.

Okrety zespołu pozostawały rozrzucone i jak na razie nikt nie próbował pozbiierać ich w coś na kształt formacji. Wszystkie robiły też zwykłe dziesięć węzłów, tak samo jak przed tym dziwnym atakiem.

Jedynymi wyjątkami były *Trident*, obecnie w cyrkulacji wkoło miejsca zatonięcia śmigłowcowca, okręt podwodny Willet, który ograniczył szybkość do dwóch węzłów i przyczaił się w ciszy pośrodku niezidentyfikowanej floty, oraz amerykański krążownik *Leyte Gulf*, który znalazł się chyba w poważnych kłopotach, jak zauważyła w końcu Halabi.

– Marc, daj zbliżenie na *Leyte*. Tysiąc metrów.

Holo poruszyło się i przeformatowało. Teraz wyraźnie widzieli amerykańską jednostkę i ten drugi okręt, który obwieszczał, że został staranowany. Raczej nadziany, pomyślała Halabi.

– Przekaz jest czysty?

Operator sprawdził odczyty.

– Wszystko sprawne, żadnych zakłóceń ani ech.

Halabi poczuła, jak włosy jeżą się jej na karku. Te dwie jednostki wyglądały tak, jakby zwariowana ekipa stoczniowa połączyła je w jedno, niemal dokładnie pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Mogli gadać w panice o staranowaniu, ale bez wątpienia nie chodziło o kolizję. Ostra dziobnica *Leyte Gulf* tkwiła jak wtopiona w śródkręciu tamtej jednostki, nie było widać żadnych pogiętych blach czy poszarpanych burt. Niczego, co wskazywałoby na gwałtowne zetknięcie się tak wielkich mas.

– Jeszcze coś, ma'am. Mamy przekazy jedynie z maszyn zwiadowczych i czujników pokładowych. Umilkły wszystkie łącza satelitarne. Wszystkie równocześnie. Wojskowe i cywilne.

– Czy ktoś wyłączył satelity, czy tylko łączność nie działa? – spytała Halabi, czując, jak ogarnia ją prawdziwy lęk. Gotowa była przyjąć do wiadomości, że komuś udało się stworzyć ekran wkoło *Tridenta*. W jednoczesne usunięcie z nieba około dwudziestu trzech tysięcy satelitów nie potrafiła uwierzyć.

Porucznik Waverton sprawdziła, co mogła, i skrzyżowała palce. Marc Howard, który nie miał skłonności do hysterii, też nie potrafił ukryć zaniepokojenia.

– Nasze łącza są sprawne, ma'am – odparł w końcu. – Posh sprawdziła u innych, z tym samym skutkiem. Nikt nie odbiera żadnych sygnałów satelitarnych. Wszystko zgasło. Satelity meteo, łączności, nadajniki. Wszystko.

Halabi zerknęła na monitory, które zwykle przekazywały program CNN i BBC World News. Oba jaśniały niebiesko i na każdym widniały dwa słowa.

BRAK SYGNAŁU.

– GPS też pewnie nie działa? – spytała, znając odpowiedź.

– Zgadza się, ma'am.

– Kapitan Halabi – zawołał ktoś z innego stanowiska. – Dostajemy coraz więcej ognia artyleryjskiego. Zwykle pociski eksplodujące, chyba w ogóle nie kierowane. Baterie laserowe zajmują się nimi wedle priorytetu, ale jest tego bardzo wiele i coraz więcej. Właśnie unieszkodliwiły dwie salwy z dwóch różnych baterii. Posh uważa, że to my byliśmy celem. Za chwilę włączy się Metalowa Burza.

Jakby dla podkreślenia tych słów drugi z systemów obronnych wypluł swój ładunek w noc. Wprawdzie centrum znajdowało się w głębi kadłuba, ale odgłos wystrzelenia przez dwa obracające się w przeciwnych kierunkach pierścienie siedmiuset trzydziestu czterech metalowych pocisków dotarł nawet tutaj. System korzystał z bezłuskowej amunicji odpalanej elektronicznie. Pięćdziesięciogramowe pociski jarzyły się żółto od spalanego materiału pędnego i niczym małe komety raziły wybrany cel.

Po pierwszym wystrzale kolejne następowały co piętnaście sekund, bo tyle trzeba było na załadowanie baterii. Halabi i Howard wymienili spojrzenia. Metalowa Burza była przeznaczona raczej do zwalczania rakiet, których rzadko nadlatywało więcej niż dwadzieścia czy trzydzieści. Tutaj mieli do czynienia z setkami pocisków, co oznaczało, że jeśli czegoś nie postanowią, magazyny Metalowej Burzy szybko się wyczerpią.

Halabi wskazała na holoblok.

– Podejdziemy bliżej do tego okrętu, który stoi połączony z *Leyte Gulf*. Zanim cokolwiek zrobimy, musimy ustalić, z kim właściwie mamy do czynienia.

Howard szybko zmienił powiększenie i omiółł nieznaną okręt obiektywem z wysokości sześćdziesięciu metrów. Gdy dotarł do rufy, wszyscy ujrzeli wiszącą tam banderę w gwiazdy i pasy.

Kapitan Halabi wciągnęła głośno powietrze. *Leyte Gulf* faktycznie wpakował się na jakieś muzeum. Tyle że rufowa wieża wiekowego okrętu obracała się właśnie w stronę krążownika.

– Uzbrojenie! – zawołała Halabi.

– Tak, ma'am – odparł chropawy głos z akcentem właściwym dla mieszkańców Glasgow.

– Czy możemy zablokować laserem tę wieżę? Porucznik Guy Wodrow otworzył okno baterii laserów i prawie natychmiast się skrzywił.

– Niestety, kapitanie. Bezpośredni strzał blokuje nam kadłub *Leyte Gulf*. *Moreton Bay* też jest na złej pozycji. *Ipswich* na dobrej, ale jego lasery naładują się dopiero za kilka sekund.

W tej samej chwili działa tamtego okrętu wypluły smugi ognia.

– Już nieważne – powiedziała cicho Halabi.

Ze szczątków rufowego pokładu *Leyte Gulf* buchnęły kłęby dymu.

HMAS Havoc, 2 czerwca 1942, godzina 22.45

Kapitan Willet stała obok holobloku i przygryzała nerwowo dolną wargę. Ujrzawszy to, Harry wiedział, że jest naprawdę źle. Na dodatek pani komandor wyglądała po prostu na chorą. Oczy miała podkrążone, twarz szarą jak po ataku malarii. Harry był świadomy, że sam nie wygląda lepiej. Nikt na pokładzie nie był w dobrej formie.

Willet rozmawiała z bosmanem, starszym już marynarzem z wyblakłymi tatuażami na ramionach i wierzchach dłoni. Pierwszy oficer dał księciu znak, aby dołączył do zgromadzonych. Harry usłyszał jeszcze końcówkę pytania, które kapitan zadała szefowi zwiadu elektronicznego, porucznik Amandzie Lohrey.

– Co my tu właściwie mamy, Amando? Zagubioną flotyllę Chińczyków? Jawajskich piratów?

Odpowiedziała jej tylko cisza. Nikt nie potrafił wyjaśnić tego, co wszyscy widzieli na własne oczy na holo.

– I co? – nie dała za wygraną Willet, która też to widziała. Kierowała wzrok na wszystkich po kolei.

Podoficer zakaszłał znacząco, ale nic nie powiedział.

– Proszę, bosmanie. Niech stara usłyszy wreszcie coś sensownego.

Starszy bosman Roy Flemming wydał policzki i rozłożył ręce.

– Szefowo, mogę tylko nazwać głośno to, co widzę. Według mnie to nie ma sensu, ale muszę wierzyć własnym oczom. Ten drugi okręt wygląda na amerykański ciężki krążownik klasy „New Orleans” z 1934 roku. Trzy wieże ośmiocalówek, dwie na dziobie, jedna na rufie, dwa kominy, osiem kotłów, bardzo zresztą szkodzących środowisku; Greenpeace dostałoby szału na jego widok. Nieco poniżej sześciuset stóp długości, trzynaście tysięcy ton według dawnej miary. Załoga między tysiąc stu a tysiąc dwustu ludzi. Robiłem kiedyś jego model.

Willet spojrzała swojego człowiekowi prosto w oczy. Wszyscy wiedzieli o graniczącej z obsesją modelarskiej pasji Flemminga. Tylko najmłodszy stażem spośród trzydziestu dziewięciu załogantów oraz niektórzy goście nie mieli okazji wysłuchać jego długiego, wygłaszanego zawsze z zapalem i mocno zaangażowanego wykładu na ten temat. Nawet tytuł potencjalnego następcy tronu przed tym nie chronił, jak Harry w końcu miał okazję się przekonać. Jedna Willet mogła dzięki starszeństwu stopnia uniknąć tych atrakcji. Uśmiechnęła się więc teraz tylko i wskazała na holo.

– Dzięki, bosmanie. Też to widzę. Prawdziwy kawał historii. Ale skąd on się wziął na drodze krążownika Nemesis?

Nieco jeszcze oszołomiony po dawce Promatilu Harry powstrzymał się od komentarza. Inni podobnie. Willet wydawała się teraz niezwykle spokojna. Jej szef zwiadu elektronicznego, porucznik Lohrey, przetykała co rusz ślinę. Pierwszy oficer, komandor Conrad Grey, wpatrywał się bez mrugnięcia oka w holo. Poza Willet tylko Flemming, najstarszy i najbardziej zaprawiony w służbie członek załogi, wyglądał na niezbyt wstrząśniętego. No i na wkurzonego, ale zdaniem Harry'ego wkurzenie było stałą cechą charakteru bosmana.

– Czy to *Leyte Gulf*. – spytał Harry, aby przerwać ciszę.

– Tak – odparł Fleming. – Załatwiony na dobre.

– Mamy przekaz z sieci, kapitan Willet – odezwał się technik ze stanowiska za peryskopem. – *Trident* przesyła nowe dane.

– Najwyższa pora, kurwa – rzucił Fleming.

– Bez przekleństw, bosmanie – upomniała go łagodnym tonem Willet. – Mamy członka rodziny królewskiej na pokładzie.

– Przejebane... – mruknął pod nosem Harry.

– Jakieś opinie, propozycje? – spytała Willet, spoglądając po kolei na wszystkich obecnych w centrali. – Czas ucieka. Bosmanie Fleming, czy nie przychodzi panu do głowy, jakim cudem ten eksponat mógł uciec z muzeum i zrobić coś takiego? – Wskazała na podobizny obu krążowników.

– Nie, ma'am, Nie odgadnę.

– Czy uważa pan, że może to mieć coś wspólnego z atakiem biologicznym, czy cokolwiek to było, którego doświadczyliśmy przed kilkunastoma minutami?

– Całkiem możliwe.

– A może to sztuczka Chińczyków?

– Nie wiem, kapitanie. Ale żaden inny sprawca też nie przychodzi mi do głowy.

– Ale tak czy tak, tkwimy po uszy w gównie?

– Wiele zdaje się na to wskazywać.

– I ja tak myślę, bosmanie – westchnęła Willet.

Niemal wszyscy wpatrywali się ciągle w holo, jakby mieli nadzieję, że nagle doznają objawienia. Willet wyciągnęła tymczasem z kieszeni bluzy osobisty flexipad i po chwili wyszukiwania wyświetliła na ekranie starą, czarno-białą fotografię.

– To chyba ten sam okręt, który widzimy na holo – zauważył Harry.

– To jest ten sam okręt – odparł całkiem poważnie Flemming. – USS *Astoria*, CA-34. Jego model stoi u mnie w salonie bilardowym, razem z pozostałymi krążownikami spod Savo, *Vincennes*, *Quincy*, *Chicago* i *Canberra*. Ten ostatni był nasz – dodał, patrząc na Harry’ego. – HMAS *Canberra*, zatopiony w Cieśninie Żelaznego Dna podczas bitwy koło wyspy Savo, dziewiątego sierpnia 1942 roku.

Nikt mu nie odpowiedział. Harry spojrział na holoblok, jakby ten stał się nagle tykającą bombą. Pozostali wyglądali na kompletnie zagubionych.

– Dobra – rzuciła Willet, wytrącając wszystkich z odrętwienia. – Uzbrojenie!

– Tak, kapitanie!

– Przygotujcie namiary ogniowe dla dziobowych wyrzutni. Cele to wszystkie jednostki spoza naszego zespołu. Ale nie uzbrajajcie, powtarzam, nie uzbrajajcie jeszcze torped. Macie jednak zgodę na każde działanie w obronie własnej.

– Łączność?

– Tak, kapitanie?

– Otwórzcie ponownie łącze z *Tridentem*. Gdy będą mieli wolną chwilę, chcę porozmawiać z kapitan Halabi. Wywołujcie dalej wszystkie nasze jednostki. Elektronika?

– Tak, ma’am.

– Jak system?

– Bez problemu łączymy się ze wszystkimi, kapitanie – powiedziała porucznik Lohrey. – Dostajemy sygnały z bezzałogowych maszyn zwiadowczych i pozostałych zespołów czujników. Straciliśmy jednak pozostałe łącza ze zwiadem powietrznym i satelitarne.

– Proszę zająć się tym, poruczniku. Gdy dojdzie pani do czegoś, proszę o informację.

Lohrey uniosła dłoń, jakby była uczniem zgłaszającym się do odpowiedzi.

– Kapitanie? Zniknęła też *Nagoya*. Nie ma nawet szczątków ani boi ze znacznikiem. Tuż przed pojawieniem się problemów neurologicznych logi całej flotylli zanotowały podobny spadek mocy jak poprzednim razem.

– Wspaniale – warknęła Willet. – Ale nic, dobra robota – dodała już spokojnie. – Proszę zaznajomić wszystkich z sytuacją. Kapitanie Windsor, chce się pan na coś przydać?

– Tak, ma’am.

– Proszę wziąć bosmana Flemminga, poszukać sobie konsoli w jakimś cichym kącie i przekopać archiwa. Chcę wiedzieć, co ta *Astoria* tu robi.

Flemming skinął głową w stronę Harry'ego.

– Pan pierwszy, lordzie.

– Kapitanie! – zawołała Lohrey. – Torpedy w wodzie. Idą na *Hillary Clinton*.

Obraz holo zamigotał i zamiast krążowników ukazało się na nim zbliżenie okrętu flagowego w towarzystwie jakiejś niewielkiej jednostki starej daty.

– Jezu, co za puszka – jęknął ktoś.

– Ta puszka zaraz zatopi nasz atomowy superlotniskowiec – powiedział Flemming.

– Możemy przechwycić te torpedy?

– Nie, ma'am. Są za daleko.

– Trudno. Uzbroidź torpedy w wyrzutniach trzy i cztery i wycelować je w ten marny okręt. Strzelamy na mój znak.

– Aye, ma'am.

Harry odruchowo otworzył usta, ale nie sprzeciwił się rozkazowi. To nie był jego okręt, a on nie był nawet marynarzem. Zacisnął wargi.

Willet podążyła spojrzeniem za torpedami biegnącymi ku burcie lotniskowca. Harry'emu zrobiło się jej autentycznie żal, gdy potrząsnęła ze smutkiem głową i podjęła decyzję.

– Ognia! – powiedziała cicho, ale pewnym tonem.

– Torpedy w drodze, ma'am.

– *Hillary Clinton* odpowiada na wywołanie na kanale dwunastym, kapitanie – odezwał się łącznościowiec.

– Ostrzeż ich, że są celem.

Podwodniacy wkoło Harryego zaczęli uwijać się szybciej i przerzucać terminami, które tylko w części rozumiał. Nagle zauważył, że w obrazie holo pojawił się nowy element.

– Czy to samolot? – spytał.

Wszyscy wkoło nagle zamarli.

– Wygląda na bombowiec w misji samobójczej – powiedziała Willet.

USS Hillary Clinton, 2 czerwca 1942, godzina 22.49

– Strzelają do nas? – warknął Kolhammer.

Zanim ktokolwiek zdołał mu odpowiedzieć, mostek zadrżał na skutek odległej eksplozji.

– Jezu! Naprawdę strzelają! – krzyknął admirał i chciał pokręcić głową, ale ukłucie bólu unieruchomiło mu kark. Przód kurtki mundurowej miał brudny od wymiocin, ale na to nie zwracał uwagi. Tuż obok zgięty w pół komandor Judge dopiero pozbywał się zawartości żołądka. Ten sam problem miała przynajmniej połowa obsady mostka; sądząc po zapachach, paru osobom puściły chyba także zwieracze. Nie było to specjalnie dziwne, jeśli wzięło się pod uwagę niezwykłość zdarzeń ostatnich chwil, w tym całkiem niewytłumaczalne zniknięcie blasku dnia. W tej chwili otulała ich głęboka ciemność, z której na dodatek wyłoniło się coś, co próbowało ich zaatakować. Widać było regularne ognie wystrzałów.

Mostek nie został dotąd trafiony, ale i tak zaścielały go bezwładne ciała. Niektórzy nieprzytomni mieli otwarte oczy i wyglądali niczym ofiary eksperymentów z dziedziny wojny psychologicznej. Inni stali przy swoich stanowiskach wyprostowani, nienaturalnie sztywni, ze szklanym wzrokiem. Ktoś dostał konwulsji przy wielkiej, silikonowej tablicy. Komandor Judge zebrał się w sobie, złapał nieszczęśnika i ułożył go na pokładzie.

Zegary pokazywały, że zgubili gdzieś dziesięć minut. Albo tak długo pozostawali nieprzytomni. Ale skąd ta noc? – O ile to jest noc... pomyślał admirał. Kolejny wybuch targnął olbrzymim lotniskowcem.

– Na litość boską, czy w centrum bojowym został ktoś żywy? – krzyknął Kolhammer. W oczach mu pociemniało i przysunął obie dłonie do twarzy. Potworny ból głowy nie pozwalał mu się skupić, a na dodatek jeśli chciał zobaczyć cokolwiek, musiał przechylać głowę jeszcze bardziej. Najchętniej zwinąłby się w kłębek, ale zamiast tego zaczął powoli pocierać powieki.

– Jeśli nie możemy wywołać ich przez sieć, niech ktoś zejdzie na dół i sprawdzi, co się stało – powiedział spokojniej. – I wezwijcie kogoś, żeby tu posprzątał. Komandorze, wiemy, gdzie jest kapitan Chandler?

– Już się tym zajmuję – wychrypiał Judge i ostatkiem sił opanował mdłości. – Ostatnio, gdy się odzywał, był na pokładzie lotniczym. Przy katapulcie numer trzy.

Judge trzęsącymi się dłońmi sprawdził ekran. Działał.

– Biosensor mówi, że kapitan nadal jest przy katapulcie, sir. Tyle że nieprzytomny.

– Wysłać kogoś, niech go ocuci. Będzie wściekły, jeśli prześpi atak na swój okręt. A tak swoją drogą... kto nas atakuje? Ten złom ze wschodnich Niemiec, który Kalifat dostał na wyprzedaży?

Ależ brakujemy teraz tamtych błaznów, pomyślał. To były piękne dni. Prosty świat i żadnych

nawiedzonych idiotów.

– Trudno powiedzieć, admirale – odparł Judge, nieco niepewnie dotykając ekranu. – Mam połączenie z centrum bojowym. Sanitariusze poszli już po kapitana. Kontrola uszkodzeń melduje, że zostaliśmy trafieni, ale pancierz się sprawdza. Przebicia tylko na pokładzie C. Są ofiary.

Zaniepokojony o los Chandlera Kolhammer zerknął przez okno, chociaż oczywiście nie miał szansy dojrzeć kapitana na odległym o kilkaset metrów dziobie. Pokład lotniczy był zasłany ludzkimi postaciami w wielokolorowych kamizelkach. Większość leżała nieruchomo. Widać było ubranych w żółto-niebieskie barwy kontrolerów pokładowego ruchu lotniczego oraz techników obsługi maszyn, całych w żółci. Spośród tych, którzy zdradzali oznaki życia, tylko paru zdołało pozbierać się na kolana. Na samym środku pasa leżała biała postać sygnalisty.

Mimo przesłaniającej mu świat mgły Kolhammer dojrzał płonący w odległości paru kilometrów okręt. Chcąc dowiedzieć się czegoś więcej, odwrócił głowę w kierunku ekranu, który przedstawiał obrazy z czterech niezależnych źródeł. Trzema były czułe kamery zamontowane na masztach jednostek zespołu, czwartym bezzałogowy samolot zwiadowczy wiszący sześć tysięcy metrów nad pomostem lotniskowca.

Zamknawszy jedno oko i przechyliwszy głowę, admirał ujrzał cały rój krążących bez ładu i składu jednostek. Płonący wrak był chyba bliski zatonięcia. Obok zataczał krąg jeden z brytyjskich trimaranów, wyraźnie z kimś świadomym sytuacji za sterami. Bliżej, znacznie bliżej, znajdowała się nieznana jednostka, która strzelała do lotniskowca. Niewielka, zapewne niszczyciel albo fregata. Sądząc po dymiących obficie kominach, musiało to być coś bardzo starego. Okręt płynął zmiennym kursem, jednak wydawało się, że ma w tym jakiś cel. Mimo wyporności tysiąca pięciuset albo tysiąca sześciuset ton miotał się między falami. Idąc na *Hillary Clinton* z pełną szybkością, położył się nagle na lewą burtę, poszedł nowym kursem może minutę i wrócił na poprzedni. Z trzech wież działowych, dwóch dziobowych i jednej rufowej błyskały nieustannie ogniaki wystrzałów.

System bojowy lotniskowca domagał się autonomii i koordynacji działań z pozostałymi jednostkami zespołu, jednak mało kto odpowiadał na jego wezwania. Olbrzymi okręt wydawał się ciągle być w połowie uśpiony.

Kolhammer spojrział na ekran przekazujący obraz z centrum bojowego. Ujrzał porucznik Kirsty Brooks, która machała rękami niczym paralytyk. Admirał czuł się już trochę lepiej. Wstał chwiejnie i podszedł do okna. Mimo że oczy nadal zasnuwała mu mgła i brakowało wsparcia elektroniki, ujrzał, że zaczyna się bitwa. Gdzieś w ciemności grzmiały działa.

– Co się dzieje, poruczniku? – spytał, jak umiał najspokojniej.

Brooks potrząsnęła głową, zbladła, dyskretnie zwymiotowała na bok.

– No... mamy przeciwnika na ekranach, sir.

Obok niej otworzyło się kolejne okno ukazujące stary okręt z klasycznymi, opalanymi ropą kotłami. Jego przednie działo przemówiło. Chwilę później przez lotniskowiec przebiegł kolejny

wstrząs.

– Admirale – powiedziała Brooks. – Mamy kontakt z wieloma nieznanymi jednostkami. Zapewne wrogimi. Czujniki meldują o ogniu artyleryjskim i torpedach w wodzie. Nie możemy zidentyfikować ich systemów uzbrojenia, ale to bez wątpienia przeciwnik. *Kandahar*, *Providence* i *Siranui* zostały trafione. Stan *Leyte Gulf* jest krytyczny. Obawiam się, że *Fearless* został zniszczony. System bojowy *Tridenta* przesłał nam obszerny raport, właśnie się przez niego przekopujemy. – Spojrzała na swój ekran. – To na pewno wrogie jednostki, sir. Obrywamy coraz mocniej. Mały Bill domaga się kodów i chce uruchomić Metalową Burzę i lasery.

Kątem oka Kolhammer dojrzał kilka osób, które podeszły do okien, chociaż ekrany oferowały nieporównanie lepszy obraz. Inni zaklęli i spojrzeli po sobie. Mały, szary okręt obrócił się do nich burcią.

– Admirale – odezwała się znowu Brooks. – Mamy powody sądzić, że ta jednostka jest uzbrojona w torpedy. Może próbować nas trafić.

Kolhammer oprzytomniał błyskawicznie.

– Porucznik Brooks, zezwalam na otwarcie ognia do celów dowolnych! – zawołał. – Pełna autonomia systemu, otworzyć łącza z pozostałymi jednostkami zespołu!

Jednak było już za późno.

HMAS Moreton Bay, 2 czerwca 1942, godzina 22.47

Rachel Nguyen biegła przez piekło. Była naga i płomieniste podmuchy paliły jej ciało... chociaż nie, to było ciało sześciolatniej dziewczynki. Topiło się. Mięśnie odchodziły od kości. Ból oślepił bielą. Zanosila się krzykiem, czując, jak droga pod jej poparzonymi stopami kołysze się i kruszy, jak powietrze rozdzierają eksplozje. Była... była swoją prababką podczas wojny w Wietnamie. Uciekała przed nalotem na swą wioskę, nalotem zarządzonym przez jakiegoś zdesperowanego dowódcę plutonu, od dawna już nieżyjącego chłopaka z Dakoty.

W swoim śnie wiedziała dokładnie, przed czym ucieka. Zostawiła już wioskę za sobą, ale ciągle widziała płonące chaty i poskręcane ciała, buchający z ludzkich postaci dym. Widziała martwe prosiaki i kurczęta, żołnierzy rzucających się na siebie nawzajem, używających karabinów w roli pałek. Biegła i krzyczała, byle dalej od pęknięcia w cienkiej kurtynie przegradzającej jej świat od piekła, byle dalej od demonów, które wydostały się na wolność, pożarły jej przyjaciół i rodzinę i rozniosły wojnę na cały świat. Dalej od demonów, ciał Amerykanów i żołnierzy Wietkongu, od rąk i głów, i torsów przezutych w jedną masę przez trolle.

Biegła, ale droga pod nią też się poruszała, cofała się ku wiosce. Przyspieszała niczym ruchomy chodnik z piasku i żwiru. Dziewczynka próbowała biec szybciej, ale miała takie małe nogi. Potknęła się i droga runęła na spotkanie jej twarzy.

Nie poczuła jednak kamieni na policzku ani piasku i kurzu w ustach. Powierzchnia drogi była gładka i chłodna. I jakby... wilgotna.

Rachel zaczerpnęła głęboko powietrza, jakby przez długi czas wstrzymywała oddech. Niczym w dzieciństwie, gdy zakładała się z bratem, kto dalej popłynie pod wodą. Michael miewał czasem takie głupie pomysły.

A teraz nie żył. Przegrał.

Przytomność myśli wracała jej z wolna. No nie. Michael żyje. Jest w domu w Sydney.

Nagle zrozumiała. Zemdląca przy stole. Zapewne z przemęczenia. Potrafiła przy tym kubek z kawą i załała notatki. Jak długo była nieprzytomna? Chyba krótko, bo inaczej sierżant, ten, który wziął cały talerz parówek, już by się nią zainteresował.

Spróbowała wstać, ale nagle zdarzyły się aż trzy rzeczy naraz. Głowa zapulsowała bólem, nogi ugięły się pod nią i ogarnęła ją fala mdłości. Upadając na podłogę, usiłowała przycisnąć dłoń do ust, ale nic to nie dało. Ciśnienie było tak duże, że płynna masa przeciekła między palcami.

Była na równi przerażona co zakłopotana. Co się stało? Może Chińczycy albo bojownicy coś na nich rzucili? Bombę neutronową? Przyłożyli im ultradźwiękami?

To drugie nie, pomyślała po chwili. Nie na wodzie.

Poczuła skurcz w nogach. Zwinęła się w kłębek na pokładzie i przeleżała tak ze dwie minuty.

– Do kurwy nędzy – jęknęła. – Co to takiego?

Cokolwiek to było, spróbowała w końcu dowlec się do wyjścia, gdzie ktoś może chociaż potknąłby się o nią.

Nagle skurcze i mdłości minęły. Ból głowy pozostał i na pewno nie miał nic wspólnego z migreną.

Leżała jeszcze przez chwilę, łapiąc powietrze. Zaczęła się podnosić i chociaż musiała złapać się stołu, nie upadła. Łupanie pod czaszką już nie obezwładniało. Miała ruszyć w kierunku izby chorych, gdy usłyszała pierwsze eksplodujące w wodzie obok okrętu pociski.

USS Kandahar, 2 czerwca 1942, godzina 22.47

Pułkownik Jones siedział na piersi Hannon. Ręce przytrzymał mu kolanami, dłońmi otworzył mu usta. Nagle usłyszał i poczuł pocisk eksplodujący gdzieś we wnętrzu *Kandahara*. Pokład zadrżał, jakby ktoś uderzył w niego młotem. Jones krzyknął do Chena, aby trzymał szczęki porucznika rozwarłe, sam zaś poszukał palcami języka. Hannon połknął go, gdy był nieprzytomny. Ignorując pracujące pod czaszką świdry, przełknął podchodzącą do gardła kulę i zagadał coś do Chena, który

bliski był ponownego omdlenia.

Kolejny pocisk trafił w okręt, tym razem bliżej. Niemal stracili równowagę.

– Mam cię – rzucił jednocześnie Jones i wyciągnął język z gardła porucznika. Cmoknęło jak przy odkorkowywaniu butelki i Hannon zaczął zachłannie łapać powietrze. Jones odwrócił go na bok chwilę przed tym, gdy w ślad za językiem poleciały strzępy świeżo przeżutego mięsa z frytkami.

– Cholera! – krzyknął Chen, który nie zdążył się odsunąć.

– Pilnuj go, żeby się nie zadławił tym świństwem – powiedział Jones, stając chwiejnie na nogach. Nie miał już wątpliwości, że zostali zaatakowani, nawet jeśli nie wiedział, przez kogo ani czym. Można było przypuszczać, że użyto broni działającej bezpośrednio na układ nerwowy, ale prototypy podobnych urządzeń znajdowały się dopiero w laboratoriach w Stanach, a Chińczycy zawsze byli dziesięć lat za nimi. Kto jeszcze mógł wchodzić w grę? Turbaniarze? Brakło im środków przenoszenia. Nigdy ich nie mieli.

Okręt kołysał się, jakby trafili na sztorm o sile dziewięciu stopni, Jones wiedział jednak, że to jego ucho wewnętrzne nie doszło jeszcze do siebie, jako że kawa Chena stała spokojnie na stole, kubek nawet się nie przesunął. Pułkownik sięgnął po flexipad i spróbował połączyć się z mostkiem. Nic z tego. Podobnie nie wyszło mu z centrum bojowym, dyżurnym ochrony i izbą chorych. Shipnet działał, nie było więc żadnego impulsu elektromagnetycznego, ale po prostu nikt nie odpowiadał. Pewnie wszyscy byli zajęci rzyganiem.

W pobliżu rozległo się następne uderzenie. Do diabła z tym, pomyślał Jones, zbierając siły i łapiąc równowagę. Ktoś musi zaprowadzić tu porządek, bo inaczej rodziny ich wszystkich ujrzą przed swoimi drzwiami smutne delegacje i dostaną po złożonej fladze.

– Chen, czy Hannon może już chodzić? – wychrypiał.

– Chyba nie, pułkowniku. Nadal ma drgawki.

– To sprawdź raz jeszcze, czy ma czyste drogi oddechowe, i zostaw go. Przyślemy tu później kogoś, ale teraz musimy działać. Ruszajmy, zanim przyłapią nas bez portek.

„Znowu”, dodał w duchu.

Chen ułożył przyjaciela, jak mógł najwygodniej, i dźwignął się, aby ruszyć za pułkownikiem. W drzwiach kuchni pojawił się steward, który niedawno ich obsługiwał. Z jego ust sączyła się krew.

– Ty tam! – krzyknął Jones, przerywając odrętwienie nieszczęśnika i budząc na nowo własny ból głowy – jesteś w stanie zająć się naszym porucznikiem?

Mężczyzna jęknął, ale pokiwał głową.

– Pilnuj, żeby się nie udławił. I zaopiekuj się każdym, kogo jeszcze tu znajdziesz. Wyłącz też wszystko, palniki i tak dalej. Rozumiesz?

– Tak, pułkowniku – wykrztusił steward.

Jones i Chen wybiegli z mesy. Na korytarzu natknęli się na mnóstwo ludzi w różnych stadiach oszołomienia. Niektórzy wyglądali, jakby dostali ataku padaczki, inni zdawali się spać. Kilku dochodziło już do siebie. Ku zdumieniu Jonesa nikt na razie nie wpadł w panikę.

Pewnie za bardzo nimi potrzepało, pomyślał.

Po drodze na mostek kilka razy przystawał, aby dodać ducha tym marines i marynarzom, którzy pierwsi odzyskali siły. Zauważył, że dziwna dolegliwość rządziła się własnymi prawami. Zobaczył między innymi Auba Harrisona, sierżanta artylerii, trzydziestolatka, którego miał za najtwardszego sukinsyna pod słońcem. Leżał zupełnie bezwładny, w mokrych spodniach. Nieco dalej trafił na panią chirurga ze swojego oddziału, rudawą kobietę, która wydawała się być w jak najlepszej kondycji. Chodziła od jednego cierpiącego do drugiego i aplikowała im jednorazówkami zastrzyki. Jones złapał drżącego Chena za ramię i pchnął go w jej kierunku.

– Hej, doktorcu! – zawołał. – Co to było? Ultradźwięki? Jak myślisz?

Kapitan Margie Francois zostawiła chwilowo marine, nad którym się pochylała, i podeszła z wawo do Jonesa i Chena. W szarych oczach widać było cień strachu.

– Do diabła, nie wiem, pułkowniku. Mam jednak Promatil i Stemazine, środki przeciwwymiotne. Pomagają.

Sięgnęła do torby po kolejną jednorazówkę. Kolejny pocisk trafił bardzo blisko. Odruchowo zwrócili głowy w tę stronę.

– Wspaniale – powiedział Jones. – Zrób mi zastrzyk. I porucznikowi też. Dałoby się aktywizować implanty? Będziemy chyba potrzebowali czym prędzej paru Harrierów w powietrzu. Nie wiem, czy ktoś da radę w nich usiąść.

– Pomyślałam już o implantach, ale ma je tylko około czterdziestu procent naszych ludzi. Zaraz sprawdzę, co z lotnikami.

Jones posłał Chena, aby jej pomógł. Usłyszał następną eksplozję. Ku jego zdumieniu zaraz potem rozległy się serie z broni ręcznej. Strzelający był chyba niedaleko. Pułkownik zboczył ze szlaku i pokonawszy kilka zakrętów, wyszedł na małą platformę obserwacyjną.

Stał tam oparty o reling marine. Strzelał do czegoś za burtą. Palczaste płomienie buchały z lufy jego broni, pociski smugowe rysowały linie nad ciemnym oceanem.

Jones pokręcił głową. Najpierw z powodu ogarniętego amokiem żołnierza, potem na widok tego, do czego tamten strzelał. Był to niewielki okręt wojenny, jednostka żywcem wyjęta z podręcznika historii. Właśnie oddała kolejny strzał z działa.

– Zabezpiecz broń, synu! – huknął Jones. Po raz pierwszy od jakiegoś czasu podniesienie głosu nie wywołało nawrotu bólu głowy. To już coś. Lubił mówić podniesionym głosem.

Marine, olbrzym wyglądający na mało rozgarniętego, nie posiadał się ze zdumienia, że przełożony go zrugął. Próbował się nawet wyklócać.

– Ale to wróg, strzela do nas, pułkowniku.

Jones spojrzął na obcy okręt. To był prawdziwy dinozaur. Zapewne niszczyciel? Indonezyjczycy kupili ich całą masę w NRD, dawno temu, gdy Indonezja była jeszcze Indonezją, a Niemcy podzielone na dwa państwa. Ale co ten okręt tu robił? I dlaczego atakował zespół, z którym nie miał przecież żadnych szans? Chwila zastanowienia kazała mu spojrzeć na sprawę z szerszej perspektywy. Wziął od szeregowego nazwiskiem Bukowski parę gogli bojowych z mnożnikiem i nastawił je na maksymalne powiększenie.

– Sir, nic panu nie jest? – spytał szeregowy Bukowski.

– Spokojnie, żołnierzu – odrzekł cicho Jones, który próbował zrozumieć coś z tego, co zobaczył. Wroga flota musiała chyba zmaterializować się nagle pośrodku zespołu. Były w niej lotniskowce i stare pancerniki, a może tylko krążowniki, i cała masa innego złomu. A przede wszystkim ten szczekacz, który nastawał na *Hillary Clinton*. No cóż, sam się napraszał.

– Cholera – mruknął pułkownik, dostrzegając nagle kolejne, znacznie większe zagrożenie dla „Big Hill” jak nazywała okręt jego załoga. Był to niewielki samolot, przestarzały i powolny, który nurkował prosto ku pokładowi lotniskowca. Na wysokości prawie stu metrów od jego kadłuba oddzielił się ciemny punkt, który parabolą podążył samodzielnie do celu. Jones nie potrafił powiedzieć, czy bomba trafi, ale coś podpowiadało mu, że nieznany pilot zrobił wszystko, aby nie chybić.

– W zasadzie masz rację, synu – powiedział, kładąc dłoń na ramieniu Bukowskiego. – Ale i tak go stąd nie dosięgniesz.

Niszczyciel eksplodował pięć sekund przed uderzeniem bomby w pokład między katapultami numer trzy i cztery.

USS Hillary Clinton, 2 czerwca 1942, godzina 22.52

Mało kto na pokładzie lotniskowca odszedł od ekranów, aby obejrzyć zagładę niszczyciela przez okna.

Przeciwnik znajdował się w odległości prawie ośmiuset metrów, gdy nagle coś trafiło go w śródkręcie. Coś dużego i paskudnego. Kula ognia i pary pochłonęła błyskawicznie niemal cały kadłub, przełamując kil i rozdzierając okręt na dwoje. Obie połówki zostały odepchnięte na ponad dwadzieścia metrów. Kolhammer ujrzał wyrwaną z mocowań wieżę działową, która niczym korek od szampana zatoczyła spory łuk i spadła do oceanu. Przez załogę przeszedł pomruk, gdy dziób zapadł się pod wodę i błyskawicznie zatonął. Część rufowa trwała jeszcze kilka sekund na powierzchni, aż kolejna eksplozja rozdarła ją na strzępy.

Metalowe odłamki zadzwoniły na nadbudówce lotniskowca. Jakaś śruba, która musiała chyba poruszać się z szybkością bliską prędkości dźwięku, uderzyła z hukiem w pancerną szybę, zostawiając na niej delikatną siatkę pęknięć.

Niemal w tej samej chwili pięćsetkilogramowa bomba spadła na pokład lotniczy USS *Hillary Clinton*, dwieście metrów od wysepki. Zwykła, żelazna bomba eksplodowała ledwie kilka kroków od kapitana Guya Chandlera i grupy nieprzytomnych techników, którzy jeszcze niedawno przeprowadzali rutynowe próby rufowej katapulty. Wszyscy zginęli nieświadomi, że zdarzyło im się pokonać barierę między światami.

Pancerz pokładowy lotniskowca był dość gruby, aby wytrzymać podobne eksplozje, jednak katapulta numer trzy nie była niczym chroniona. Podobnie jak wszystkie katapulty okrętowe była złożonym urządzeniem, które wymagało nieustannej troski, o ile nie miało zawieść tuż przed wystrzeleniem w pełni obciążonego paliwem i uzbrojeniem Raptora. Konstrukcją przypominała ostatnią generację katapult parowych i zasadniczą jej częścią były dwa uszczelnione gumowymi kołnierzami, bardzo długie przewody ułożone po obu stronach szczeliny z zaczepem. Tyle że zamiast podawanej pod ciśnieniem pary z kotłowni czy ładunku gazowego wykorzystywano w nich binarny materiał wybuchowy, który był teoretycznie bezpieczniejszy i łatwiejszy w użyciu.

Teoria nie przewidywała jednak, że bomba trafi w katapultę dokładnie pośrodku serii testów, w chwili, gdy osiemdziesięciometrowe przewody będą pełne wybuchowej mieszanki. Ich wtórna eksplozja wyrwała cały pas ukośnego pokładu startowego z lewej burty okrętu.

Była dość silna, aby dosięgnąć ukrytego w teoretycznie bezpiecznym obszarze zbiornika płynnego tlenu. Znajdował się on poniżej obrzeża pokładu, pod modułem optycznego systemu lądowania. Detonował z wielkim, białym błyskiem i rozdzierającym hukiem, które musiały nieodparcie kojarzyć się z eksplozją taktycznego ładunku atomowego. Zasadniczy impet wybuchu skierował się na zewnątrz i ku górze, unicestwiając wszelkie życie na pokładzie i niszcząc przy okazji bombowiec, który przeprowadził atak.

Jednak nie był to dla lotniskowca cios śmiertelny. Podwójny kadłub i fullerenowy pancerny pokład zaabsorbowały bez fatalnych skutków sześćdziesiąt procent energii fali uderzeniowej, niemniej podmuch zniszczył samoloty zakotwiczone obok katapult jeden i dwa i zmiotł do morza wszystkich, którzy nie wyparowali wcześniej, podczas eksplozji.

Wielki i solidnie zbudowany okręt zadrżał tak gwałtownie, że nawet obsada przedziału reaktorów, który mieścił się trzydzieści metrów poniżej linii wodnej, nie zdołała utrzymać się na nogach.

Kolhammerowi przebiegła w pierwszej chwili przez głowę myśl, że ten nagły błysk to tylko ostatni akord zagłady niszczyciela. Doświadczenie i rozległa wiedza podpowiadały mu, że mały okręt został trafiony torpedą typu 92 wystrzeloną zapewne z brytyjskiego podwodniaka *Havoc*, który zgodnie z planem współpracy podjął akcję obronną.

Szybko jednak pojął, co naprawdę się stało. Widok supernowej pochłaniającej rufę lotniskowca mówił sam za siebie. Czas zaczął płynąć jakby wolniej, zmysły się wyostrzyły. Jęknął, widząc ciała

zmiotane z pokładu niczym jesienne liście. Głęboka wibracja rzuciła niemal całą obsadę mostka na kolana.

Kolhammerowi serce zabiło mocniej w piersi, gdy huk dotarł do nadbudówki. Zdało mu się, że wkoło otwały się wrota piekieł. Zapamiętał z tamtej chwili tylko oderwane obrazy: twarze ludzi wkoło, ich otwarte w krzyku usta, nitkę zwisającą z rękawa marynarza, który uniósł rękę, aby na coś wskazać, odcisk własnych pleców na oparciu fotela, który przed chwilą zajmował. Głęboką czerń i płomienistą czerwień za oknami. Błękit rozświetlonego eksplozją oceanu. Ostre metalowe krawędzie tuż przed oczami. Ognisty kwiat, który rozkwitał, pochłaniając cały lotniskowiec.

To nie tak, myślał. To niemożliwe. Ale zmysły nie kłamały.

Czas zwolnił jeszcze bardziej.

Admirał Philip Kolhammer miał pięćdziesiąt trzy lata. Dość, aby służyć już podczas pierwszej wojny w Zatoce Perskiej, co w oczach młodszych marynarzy czyniło zeń postać niemal legendarną. Większość swojego dorosłego życia spędził na różnych wojnach. Nie urodził się w świecie miotanym konfliktami, jak niemal wszyscy jego podwładni, ale wrósł w tę nową rzeczywistość.

Był też w Afganistanie, w pierwszej turze. Dostał wtedy od jednego z kolegów pamiątkę, swoiste memento – odłamek pocisku z pola bitewnego pod Shah-i-Kot oprawiony w wypolerowane drewno cedru, z patetyczną inskrypcją z Oppenheimera: „Jestem śmiercią, niszczycielem światów” W sumie był to szczeniacki gest, jedna z tych rzeczy, które młodym „pistoletom” wydają się szalenie zabawne, u starszych zaś pilotów wywołują zadumę nad ceną, którą płaci się za latanie maszynami bojowymi. Kolhammer zachował ów drobiazg, ale trzymał go w kabinie i nikomu nie pokazywał. Jego przyjaciela dawno już nie było wśród żywych; w 2009 został zestrzelony nad Indonezją. Jawajska milicja chłopska zamęczyła go na śmierć. Kawalek metalu w cedrowej oprawie stał się osobistym talizmanem admirała. Koniec końców naprawdę był śmiercią... Kolhammer zaś był w pierwszym rządzie wojownikiem i właśnie to, jego instynkt walki, ocaliło ich wszystkich.

– Porucznik Brooks – rzucił w stronę ekranu po prawej – mamy połączenie na battlenecie ze wszystkimi naszymi jednostkami?

– Ze wszystkimi, które udało się zlokalizować, sir. Z kilkoma straciliśmy kontakt. *Garret, Vanguard, Fearless, Dessaix, Leyte Gulf, Sutanto* i *Nuku* nie odpowiadają. *Leyte Gulf* udało nam się zlokalizować, ale chyba ma wszystkie systemy niesprawne. Znajduje się w odległości siedmiu tysięcy metrów od nas, w namiarze jeden-osiem-dziewięć. Być może został staranowany. Po pozostałych ani śladu, zapewne zatoneły. Podobnie jak *Nagoya*.

– Czy *Leyte Gulf* płonie?

– Nie, sir. Poza tym nie udaje nam się uzyskać namiarów GPS. Próbowałam wywołać system na sześć sposobów, ale wydaje się wyłączony, admirale.

– Wyłączony?

– Nie odpowiada, sir. Kanały łączności nie wykazują śladów zakłóceń. Wygląda to tak, jakby nagle wszystkie satelity zniknęły z nieba.

Cudownie, pomyślał Kolhammer. Po prostu cudownie. Atakuje nas Bóg wie kto i jesteśmy diabli wiedzą gdzie.

– Dziękuję, pani porucznik. Proszę spróbować ustalić, co dzieje się z tymi zaginionymi jednostkami. Na wczoraj. Wszystkie pozostałe mają podporządkować się systemowi *Hillary Clinton*. Odbezpieczyć lasery, Metalową Burzę i wszystko. Ale tylko uzbrojenie klasyczne. Obowiązują zasady rozdziału siódmego regulaminu walki. Otwarcie ognia na mój rozkaz.

– Aye, sir – odparła Brooks, śmigając palcami po ekranie. Wtórna eksplozja zakołysała okrętem, wyrzucając niektórych z foteli. – Przyjęte i wprowadzone, sir. Mamy śledzenie celów.

– Otworzyć ogień – powiedział Kolhammer. W tej samej chwili cztery torpedy dobiegły do burty lotniskowca.

5

USS Leyte Gulf, 2 czerwca 1942, godzina 22.57

– Powtórz! – krzyknęła komandor Daytona Anderson. Łączność wewnętrzna działała bez zarzutu, jednak głos ginął chwilami w dźwiękach wystrzałów z broni ręcznej i wstrząsających co chwilę pokładem eksplozji. W tle słyhać też było jakieś krzyki.

– Mamy obcych na pokładzie, ma'am. Powtarzam, mamy próbę abordażu. Obcy są uzbrojeni i wro...

Silniejsza detonacja zakołysała okrętem i przerwała połączenie. Z głośników zabrzmiał nagrany głos:

– Alarm, obcy na pokładzie! Alarm, obcy na pokładzie!

Anderson zdążyła już pozałować decyzji, aby kierować walką z centrum bojowego. Dziewięćdziesiąt pięć procent systemów wysiadło. Alarmy nieustannie wyły, piszczały i błyskały światłkami. Kilka sprawnych ekranów pokazywało bezsensowne dane albo coś, co przypominało grafiki Eschera. Wynikało z nich, że *Leyte Gulf* został staranowany, jednak rzeczywistość była o wiele bardziej złożona.

Gdy licząca dwieście pięćdziesiąt osób załoga krążownika systemu NEMESIS, okrętu o wyporności trzydziestu pięciu tysięcy ton, odzyskała wreszcie przytomność, okazało się, że ich jednostka zajmuje w części tę samą przestrzeń co *Astoria*, ciężki krążownik klasy „New Orleans”. Szczęśliwie dla ponad tysiąca ludzi na pokładzie *Astorii* i załogi *Leyte Gulf* okręty nie wpasowały się dokładnie jeden w drugi. To zabiłoby większość obu załóg w chwili przeniknięcia ich ciał przez metal, drewno, plastik i ciała innych ludzi. Krążowniki skrzyżowały kadłuby pod dość ostrym kątem i

przypominały teraz ostrza nożyczek.

Niemniej i tak wielu marynarzy straciło życie. Niektórzy nie wiedzieli nawet, że giną, gdy nagle zmaterializowali się w poprzek koi czy elementów wieży dział sześciocalowych. Inni nie mieli tyle szczęścia, gdy tylko częściowo stali się częścią jakichś przedmiotów albo, w najgorszym wypadku, innych ludzi. Umierali powoli, ale nieodwołalnie. Jak na przykład bosman sanitariusz z *Astorii*, który obudził się z konsolą PlayStation stanowiącą część jego klatki piersiowej.

Niektórzy zginęli, walcząc. Podporucznik Tommy Hideo z *Leyte Gulf* starszy marynarz Milton Coburn z *Astorii* zatłukli się nawzajem w ciemnym wnętrzu, które powstało z połączenia centrum obsługi zdalnie sterowanych ośmiocalowych dział i sali z trzypiętrowymi kojami. Marynarz Coburn spał na jednej z nich, gdy obudził go nieziemski ból. Jego udo zajmowało to samo miejsce co udo podporucznika Hideo. Szok nie dał im obu szansy na racjonalne działanie. Zresztą nawet gdyby zachowali zimną krew i poszukali pomocy medycznej, musiałaby to być błyskawiczna interwencja. Mieli różne grupy krwi i szybko zaczęli zatruwać nawzajem swoje organizmy.

Komandor Anderson nie od razu zorientowała się w sytuacji. Poza licznymi alarmami, w centrum bojowym było dość spokojnie. Obsada patrzyła na nią, czekając na polecenia. Większość nie miała nic do roboty, bo ich stacje były niesprawne – osobliwe połączenie z inną jednostką spowodowało przecięcie niezliczonych włókien optycznych, które tworzyły system nerwowy krążownika.

W centrum zawsze panował niebieskawy półmrok, teraz jednak, gdy większość ekranów się wyłączyła, było jeszcze ciemniej. Ciemno i gorąco – zły znak, gdyż powinno być chłodno, aby elektronika mogła pracować wydajnie.

Sama Anderson szczęśliwie zniosła tranzyt lepiej niż jej okręt. Szybko odzyskała przytomność i równie szybko doszła do siebie, głównie dzięki wymienianemu regularnie co sześć miesięcy implantowi ze środkiem przeciwwymiotnym.

Szybko zauważyła, że ci członkowie załogi, którzy otrzymali zastrzyk z Promatilu albo plastry nasączone tym środkiem, znieśli tajemnicze zdarzenie o wiele lepiej. Gdy stało się jasne, że shipnet jest sparaliżowany, czym prędzej wysłała gońców do izb chorych, aby pobrali zapasy środka i jak najszybciej zaaplikowali go wszystkim na pokładzie. Przy tej okazji dowiedziała się o dziwnym stanie części dziobowej. I bez elektronicznych alarmów czuła, że okręt jest poważnie uszkodzony i jego los stoi pod znakiem zapytania.

Wyprostowała się przy konsoli i przebiegła spojrzeniem po twarzach wszystkich obecnych. Służyła już dwadzieścia dwa lata, na jej kurtce mundurowej widniały baretki licznych odznaczeń z gatunku tych, których nie dają za nic. Brała udział niemal w każdym rodzaju operacji, które mogą stać się udziałem nowoczesnej marynarki wojennej, nigdy jednak nie sądziła, że będzie musiała wydać taki rozkaz. Włączyła nagłośnienie, chociaż nie wiedziała, czy zadziała ono w każdym zakątku okrętu.

– Do wszystkich – powiedziała zdecydowanym głosem. – Mówi kapitan. Pobrać broń i przygotować się do odparcia abordażu.

Jeśli obsada centrali poczuła się zaskoczona, nikt tego nie okazał.

– Czy mogę, kapitanie? – spytał bosman Conroy. – Chyba powinniśmy sami zebrać ludzi i wydać im broń z magazynów. Wielu mogło nie usłyszeć komunikatu. Trzeba też będzie wystawić posterunki na wszystkich pokładach, a potem zepchnąć napastników w kierunku dziobu.

Conroy zerknął na przyczepiony do rękawa flexipad.

– Łączność krótkodystansowa zdaje się działać, przynajmniej tutaj, ma'am. Możemy koordynować działania za jej pomocą.

Anderson przytaknęła, chociaż miała wątpliwości, czy uda się jej zapanować w ten sposób nad sytuacją, ale przy awarii elektroniki nie miała wyboru. Nie mogła użyć pokładowych systemów uzbrojenia, w razie potrzeby nie mogłaby nawet nakazać zatopienia okrętu. Wiedziała, że załoga toczy walkę na dziobowych pokładach, jednak nie miała łączności z nikim stamtąd. Nie rozumiała też, jak mogło dojść do podobnej sytuacji. Jedno tylko było oczywiste – ktoś wtargnął na okręt i nie miało znaczenia, czy byli to piraci, komandosi czy nawiedzeni bojownicy dżihadu. Należało zniszczyć napastników i już.

Anderson wybrała grupę, która miała jej towarzyszyć, pozostałej szóstce kazała zabarykadować się w centrali bojowej.

Podążając prawoburtowym korytarzem do zbrojowni, zorientowała się niemal od razu, że stan okrętu jest tak zły, jak przypuszczała. Pokłady i grodzie uległy widocznym na pierwszy rzut oka wypaczeniom pod wpływem działających na okręt z boku sił. Słyszeli dobiegające od dziobu odgłosy wystrzałów i eksplozji pocisków z działek. Nad tym wszystkim górował dźwięk wyginanych blach, jakby cała konstrukcja kadłuba była poddawana testom na wytrzymałość.

Światła awaryjne płonęły mdłym blaskiem, umożliwiając marsz po korytarzach. Ekran flexipadów, noszonych na prawym albo lewym nadgarstku, dodawały nieco światła i wywoływały całe rzesze ruchomych cieni. Gdy dotarli do pierwszych trapów i włazów, bosman Conroy nakazał podzielenie się na grupy, które przejdą pokładami A, C i D, zbierając pozostałych członków załogi i oczekując rozkazów od pani kapitan, która miała najpierw udać się do zbrojowni na pokładzie B.

Leyte Gulf miał w tym rejsie pełną obsadę, co oznaczało osiemnastu oficerów i dwustu trzydziestu pięciu marynarzy oraz techników. System biosensorów również odmówił posłuszeństwa, trudno więc było powiedzieć cokolwiek o liczbie rannych, poległych, zaginionych albo uwięzionych w dziobowej części. Nie było też wiadomo, ilu ludzi podjęło już walkę z intruzami. Anderson szacowała wstępnie możliwe straty na siedemdziesiąt do osiemdziesięciu osób. Przy kabinach sypialnych na pokładzie B dołączyło do nich kolejnych ponad dwadzieścia osób, w tym trzy specjalnie wyszkolone w walce na pokładzie okrętu.

Anderson usłyszała młodszego oficera Rebeckę Sparrow mruczącą pod nosem, że przydałoby się teraz paru ludzi z SEAL. Zwolniła, aby zrównać się z panią podporucznik, i klepnęła ją życzliwie w ramię.

– Racja, poruczniku. Zespół SEAL byłby akurat. Jednak musi wystarczyć nam to, co dobry Bóg zesłał. Mam nadzieję, że obecni tu Clancy, Cobb i Brown też sobie poradzą.

Nagle pojawienie się dowódcy chyba speszyło Sparrow bardziej niż cała ta sytuacja z piekła rodem. Czym prędzej jednak ukryła zaskoczenie.

– Jasne, ma'am.

– Miło mi to słyszeć – powiedziała z uśmiechem Anderson. Białe zęby błysnęły w czarnej jak węgiel twarzy. – Żołnierzu Clancy! – zawołała przez ramię. – Czy uważa pan, że nie zawiedzie zaufania porucznik Sparrow?

Clancy służył od dziewięciu lat i brał przez ten czas udział w co najmniej siedemdziesięciu akcjach.

– Dla damy zrobię wszystko, kapitanie – odkrzyknął.

Przebiegli obok okrętowego aresztu i stanęli przed magazynem broni. Przez zgiełk przedarł się głos bosmana Conroya, który ustawił towarzystwo w dwuszeregu i rzucił komendę „spocznij” Wyszukani w walce na pokładzie weszli jako pierwsi, biorąc dwóch marynarzy, którzy mieli trzymać wartę na korytarzu dochodzącym do zbrojowni. Obaj pobrali hełmy, kamizelki i karabiny typu shotgun i pobiegli ustanowić prowizoryczną linię obrony.

Podczas gdy Conroy dozbierał pierwszą grupę, Anderson próbowała poprzez flexipad i shipnet wywołać inne pokłady. Udało się to w dwóch przypadkach. Porucznik Matt Reilly zebrał w hangarze śmigłowcowym na pokładzie A grupę dwudziestu trzech osób. Uzbroili się już, korzystając z arsenału pododdziału lotniczego, i oczekiwali na rozkazy.

– Dobra robota, poruczniku. Bądźcie w pogotowiu – powiedziała Anderson i przeniosła spojrzenie na drugie aktywne okno, w którym ujrzała flegmatyczne oblicze starszego bosmana Borghina. Obraz mąciły nieco szумы statyczne, poza tym połączenie nie budziło zastrzeżeń. W trzecim oknie, które powinno ukazywać obraz z pokładu D, śnieżyło.

– Bosmanie, nie mogę wywołać pokładu D ani przez shipnet, ani bezpośrednio – oznajmiła Anderson. – A jak u was?

Ujrzała, że Borghino poruszył oczami. Bez wątpienia sprawdzał swój flexipad, szukając jakiegoś innego połączenia z pokładem D. Po chwili spojrział znowu w zamontowaną we wstrząsoodpornej obudowie mikrokamerę. Na nią właśnie, nie na twarz pani kapitan na swoim ekranie. Dzięki temu wydawało się, że patrzy jej prosto w oczy.

– Przykro mi, ma'am. Wyślę na dół posłańca. Niech zabezpieczą maszynownię. Stąd to łatwa droga.

– Dobra, bosmanie. Dodam grupę ubezpieczenia. Za pokład D odpowiada porucznik Carey. Ma dopilnować, aby nikt nie kręcił się w pobliżu reaktorów.

Borghino pokiwał głową.

– Rozsądnie, ma'am. Za pozwoleniem, gdy tylko zespół tutaj dotrze, zamkniemy przedział.

– Wykonać, bosmanie.

Anderson uniosła oczy. Blask ekranu oświetlił jej spiętą twarz pod ostrym kątem i wygładził rysy, na chwilę upodabniając panią oficer do zmartwionej matki, która czuwa nad chorym dzieckiem.

– I jak, bosmanie? – rzuciła pod adresem Conroya. Iluzja się rozwiązała.

– Zespół Clancy’ego jest prawie gotowy. Mamy osiem pełnych zestawów pancernych kombinezonów bojowych z aktywnymi matrycami i dwanaście standardowych kevlarowych kamizelek. Wróc, dziesięć, dwie wzięli Ntini i McAllister. Osiem G4 do kompletu z kombinezonami i dziesięć kompaktowych shotgunów dla pozostałych. Dziesięć sztuk broni bocznej, typowe Glocki. Jest jeszcze dwanaście paralizatorów, gdyby mogły się na coś przydać. No i przyszło jeszcze paru chłopaków, którzy uzbroili się w mesie w noże kuchenne.

Okręt przychylił się mocno na lewą burtę, a z jego metalowych wnętrzności dobiegł jęk giętych blach. Zarówno kapitan, jak i jej podoficer, od dawna nawykli do kołysania, odruchowo odzyskali równowagę, jednak paru młodszych marynarzy stojących za nimi runęło na ziemię. Światła awaryjne zamigotały, a odgłosy walki przycichły na chwilę, aby wrócić z jeszcze większym natężeniem. Anderson spojrzała na grupę szykującą się w zbrojowni.

– Jakies pomysły, bosmanie?

Conroy wydał wargi i parsknął krótko.

– Nic nie wiemy. Nie mamy pojęcia, skąd tamci się wzięli, jak walczą ani jakie mają rezerwy. Trzeba jednak wysłać kogoś na górę, skoro czujniki są kaput. Pewnie jest tam dość paskudnie i bez kombinezonu nikt nie miałby szans. Ale i tak na wszelki wypadek wysłałbym dwóch ludzi. Zostało nam jeszcze pięć zestawów. Moim zdaniem powinni dostać je Snellgrove, Palfreyman, Paterson, Sessions i Nix. Pierwsza trójka przeszła podstawowe szkolenie z abordażu, mają więc pojęcie, o co tu chodzi. Nix był kiedyś szefem niezłej bandy w L.A.; dopiero potem sędzia złożył mu propozycję nie do odrzucenia. Sessions ma za sobą trzy lata w Gwardii Narodowej Wyoming i jedną turę w Malezji. Dostał Brązową Gwiazdę i dwa Purpurowe Serca.

Anderson uśmiechnęła się lekko.

– Pamiętam. Rozmawiałam z nim, gdy pierwszy raz trafił na pokład. Wedle jego słów miał dość turbaniarzy skaczących mu do gardła. OK. My weźmiemy zespół Clancy’ego, Sessionsa i Nixa daj na górę, niech wyjrzą i wracają do mnie z meldunkiem. Mogą połączyć się z Reillym w hangarze śmigłowca i ściągnąć go z ludźmi na pokład A. Pozostałe kamizelki i sześć zestawów uzbrojenia przekaz na dół, na pokład C. Bosman Borghino sam rozdzieli je między swoich. I jeszcze dwa shotguny do maszynowni, ale tylko z gumowymi pociskami. Niech wyrzucą wszystkich i zamkną się tam. Cała reszta pobiera ceramiczną amunicję. Komory amunicyjne są w takim stanie, że sama nie rozumiem, jakim cudem nie rozmawiamy jeszcze ze świętym Piotrem. Lepiej więc nie kusić losu.

– Aye, kapitanie – odparł Conroy i lekko się obrócił: – Słyszeliście! – krzyknął w głąb zbrojowni.
– Sprawdzić zaraz amunicję. Tylko ceramika. Żadnych pocisków penetrujących. Dziobowe komory

amunicyjne są zagrożone.

– Już o tym pomyśleliśmy, szefie – odkrzyknął Clancy. Cała trójka poprawiała oprzyrządowanie, obracając się powoli, podczas gdy koledzy dociągali zapięcia albo wygładzali osłony. Przypominające klasyczne komandoskie stroje kombinezony były czarne w chwili wyjęcia ze schowków, ale w blasku świateł awaryjnych nabrały czerwonego odcienia. Barwa zmieniała się coraz szybciej, w miarę jak ruchy żołnierzy ładowały ogniwa.

W ciągu dwóch minut fototropowe wierzchnie warstwy kombinezonów miały pełne zasilanie. Zrobiono je z węglowych nanorurek, które nadawały strojom wygląd jakby trochę nadmuchanych. Magazyneki Remingtonów zostały załadowane sześcioma dziesiątkami bezłuskowych pocisków ceramicznych, każdy z członków zespołu pobrał poza tym jeszcze pas z trzystoma sztukami amunicji. Jako przeszkoleni do bezpośredniej walki posiadali chipy wszczepione w skórę na karku, które można było podłączyć do gogli bojowych i hełmu. Pozwalało to na stworzenie mikrosieci łączącej ściśle członków zespołu.

Potem pomogli dokończyć przygotowania drugiej grupie, w której skład wchodził Sessions, Nix i pozostali.

Komandor Anderson dopięła starą kevlarową kamizelkę i sprawdziła magazynek Glocka. Z wolna narastała w niej panika, którą starała się zdławić. Zbyt długo się tu grzebali, podczas gdy jej ludzie ginęli. Odgłosy walki były coraz bliższe.

– OK – powiedziała stanowczo, ale nie za głośno, gdy wszyscy byli już uzbrojeni i każdy wiedział, co ma robić. Na pozostałych pokładach członkowie załogi spojrzeli na ekrany flexipadów, własnych albo kolegów. Anderson zwracała się przede wszystkim do tych wkoło, ale zerknęła raz i drugi w oko mikrokamery. – Nie powiem wam dokładnie, co tu się dzieje, bo sama tego nie wiem. Sprawdzimy jednak zaraz, kto szuka z nami zwady, i odpowiemy, jak należy. To mogę wam obiecać.

– Święte słowa – mruknął Conroy.

– Wygląda na to, że coś zderzyło się z nami. Straciliśmy moc, systemy bojowe i większość czujników. Nie mamy też łączności z resztą zespołu. Wysłaliśmy prośbę o pomoc, ale nie wiem, czy ją uzyskamy. Należy założyć, że nie my jedni mamy kłopoty. Najlepsze, co możemy obecnie zrobić, to odzyskać kontrolę nad naszym okrętem. Ktoś wdarł się na pokład i chociaż nie wiem, kto to jest ani co zamierza, sprawa jest jasna: musimy zabić ich, zanim oni zabiją nas.

USS Astoria, 2 czerwca 1942, godzina 23.01

„Na morze wyruszysz dla chleba i ujrzysz tam rzeczy straszne i dziwne”

Evansowi wydawało się, że minęło dopiero kilka tygodni od dnia, gdy widział łopoczące na dziobowym drzewcu *Astorii* wschodzące słońce. Wpływali wtedy w eskorcie niszczycieli *Sagiri*, *Hibiki* i *Akatsuki* do Zatoki Jokohamskiej. Teraz te same okręty były gotowe ich zatopić.

Rejs do Japonii miał charakter dyplomatyczny. *Astoria* pełniła rolę nawodnego karawanu, który dostarczył do ojczyzny prochy ambasadora Nipponu w Stanach Zjednoczonych, świętej pamięci Hirosi Saito. Wymienili nawet salut artyleryjski z lekkim krążownikiem *Kiso*, dwadzieścia jeden salw, które były pierwszym akcentem tej wizyty. Sam pobyt dłużył się niemiłosiernie. Gospodarze okazali się gościnni, ale na swój sposób. Do wszystkiego podchodzili z niewiarygodną celebrą. Oczywiście nie miało to wpływu na prowadzone w tajemnicy, intensywne przygotowania do ataku na Pearl Harbor.

Niemniej czegoś tak dziwnego naprawdę nie widuje się często, pomyślał najstarszy oficer na pokładzie *Astorii*. Najstarszy ocalały, przypomniał sobie po chwili. Nie dowierzając własnym oczom, spojrzął przez pozbawione szyb okna na dziobową część okrętu. Ledwo mógł pozbierać myśli. Jego duch był w podobnym stanie co ciało, a dokładniej lewa ręka, która zwisała bezwładnie, barwiąc podłogę i tak skapanego już we krwi, spustoszonego mostka.

Komandor podporucznik Peter Evans wsparł się na zdrowej ręce i utkwiał wzrok w dziobie wrogiej jednostki, który wbił się gładko w kadłub jego okrętu. Zastanowił się, czy jeśli naprawdę się postara, naprawdę skupi i oprzytomnieje, miraż zniknie. Dziobowe wieże krążownika wrócą na swoje miejsce, a zaścielające mostek poszarpane ciała...

Żeby to.

Ocaliła go niezdarność. Niezdarność, z której dotąd wszyscy się śmiali. Zeskakując z koi, skręcił nogę w kostce. Gdy dokuśtykał na mostek, było już po wszystkim. Cała obsada zginęła, zmasakrowana od pasa w górę ogniem z jakiejś maszyny piekielnej, która wychyłała nagle spod pokładu tamtego okrętu. Ledwo wszedł, pośliznął się na krwawych szczątkach. Gdy wstawał, targany mdłościami, jakiś zabłąkany pocisk strzaskał mu przedramię.

Zwinął zdrową dłoń w pięść i zadał sobie cios w ranną rękę. Zrobił to całkiem na chłodno, jakby chodziło o kogoś innego, nie o niego. Powtórzył. Przy trzecim uderzeniu ból przedarł się przez wywołane szokiem odrętwienie. Ocknął się.

Pierwszą myślą było, aby walczyć. Wywołał rufową wieżę i kazał maksymalnie obniżyć działa. Chciał wpakować trzy pociski w znajdującą się niedaleko rufę tamtego okrętu.

Z podziurawionego jak sito mostka obserwował obracającą się niemiłosiernie powoli na barbecie wieżę. Nie był wcale pewien, czy zdoła osiągnąć kąt potrzebny do zrealizowania swego zamysłu. Gdy wieża nie mogła ruszyć się już ani trochę dalej, najszybciej jak mógł pokuśtykał do rury głosowej i rozkazał otworzyć ogień.

Grzmot wielkich dział wypełnił świat. Wykwity płomieni objęły całą przestrzeń między jednostkami, podmuch wygładził fale. Milisekundę później trzy pociski burzące eksplodowały gejzerem zielonego ognia na kadłubie przeciwnika.

Gdy krzyknął, aby poczęstować tamtego pełną salwą burtową ze wszystkiego, co im zostało, czyli trzech ośmiocalówek, baterii pięciocalówek i wszystkich lewoburtowych ciężkich karabinów maszynowych oraz działek przeciwlotniczych, stało się coś dziwnego i głos zamarł mu w gardle. W

niewielkim, przypominającym płetwę grzbietową mostku tamtego otworzył się jakiś właz i na pokład wyszło dwóch niemieckich żołnierzy w charakterystycznych hełmach.

Evans potrząsnął głową. Nie zniknęli, ale ostatecznie nie było to najdziwniejsze, co widział tej nocy.

– Ognia! – rozkazał.

USS Leyte Gulf, 2 czerwca 1942, godzina 23.05

Porucznik Reilly, szef meteo na *Leyte Gulf*, był naprawdę dobrym oficerem, gdyż znał granice swoich możliwości. W meteorologii nie miał sobie równych. Kapitan Anderson przekonała się nie raz, że jego prognozy były lepsze od tych, które dostawali ze sztabu floty w Pearl. Wyprzedzał ich zwykle o dwa, trzy dni. Mogłoby się wydawać, że uprawia czary. Jego personel żartował, iż Reilly potrafi nakłonić motyla do takiego zamachania skrzydłami, aby na drugim końcu świata wynikł z tego huragan.

Jednak w kwestii odpierania abordażu porucznik Reilly nie miał nic do powiedzenia. To nie była jego działka i ulżyło mu, gdy marynarze Sessions i Nix zameldowali przez flexipad, że wybierają się rzucić okiem na górę, po czym zjawią się u niego i zaczną oczyszczanie pokładu A od hangaru śmigłowców ku dziobowi.

Reilly zamierzał ograniczyć się do bardzo ogólnych rozkazów, w zasadzie powtórzenia tych wydanych przez panią kapitan. Ani myślał się wtrącać. Obaj szturmowcy mieli wolną rękę w dobieraniu sobie ludzi wedle potrzeb i wiedzieli, jak się do tego zabrać.

Niemniej i tak miał co robić, czekając na nich. Po drodze do hangaru zebrał ponad dwadzieścia osób. Podzielił je na cztery zespoły, zgodnie ze specjalizacjami. Skupili się obecnie w przedniej części hangaru pokładowych *Sea Comanche*, widmowe sylwetki mające na tle mdłych świateł awaryjnych. Reilly kazał im wyłączyć ekrany flexipadów, aby na zewnątrz stanowili jak najtrudniejsze cele. Tylko jego własny jarzył się na minimalnej jasności, gdy dokonywał inspekcji oddziału.

Uzbroili się w arsenale działu lotniczego. Większość dostała standardowe kamizelki, w każdym zespole był też przynajmniej jeden sanitariusz. Reilly nie próbował dodawać im animuszu; wszyscy wiedzieli, że to nie byłoby w jego stylu. Przechodził tylko cicho od jednego do drugiego, sprawdzał magazynki, dociągał zapięcia, rzucił dobre słowo. Ludzie byli trochę niespokojni. Siedzieli na samej rufie i nie mieli pojęcia, co właściwie się dzieje, chociaż wiele świadczyło o tym, że nie chodzi o zwykłą walkę.

– Czeka nas trochę roboty, prawda, sir? – spytała młoda kobieta, gdy podawał jej kolejny magazynek wyjęty z zawieszanej na szyi torby.

– Tak to bywa na rządowej posadzie – odparł.

Chwilę później świat eksplodował białym ogniem i grzmotem.

* * *

Kadłub *Leyte Gulf* miał dość cienkie poszycie, głównie kompozytowe, przystosowane do pochłaniania sygnałów radarowych. Na nieszczęście załogi nikomu nie przyszło do głowy, by wyposażyć krążownik w pancierz odporny na pociski wielkokalibrowej artylerii. W ich świetle nie było już okrętów uzbrojonych w ciężkie działa. Niestety, tamten świat został gdzieś w przeszłości.

Jeden z dwustutrzymilimetrowych pocisków *Astorii* przeszedł tuż nad relingiem rufowego pokładu *Leyte Gulf*. Drugi uderzył w reling i eksplodował, siejąc niegroźnie odłamkami po węglowych płytach pokładu. Trzeci trafił w skrajnik rufowy.

Eksplozja przedarła się przez cienkie panczerze i grodzie i dotarła do hangaru. Najbliżej stojący śmigłowiec splunął płonącym paliwem i detonującą amunicją na całe pomieszczenie. Przynajmniej połowa małego oddziału Reilly'ego zginęła. Część, w tym i sam meteorolog, zdołała ująć wędrującym po przypadkowych trajektoriach odłamkom, ale następna detonacja nie dała im żadnych szans.

* * *

Huk ogłuszył obu żołnierzy, zanim jeszcze wyszli na pokład krążownika. Wystrzały z wielkich dział, eksplozja na rufie i hałas towarzyszący zniszczeniu hangaru dla śmigłowców zlały się w jedną kakofonię, która zdominowała na chwilę wycie alarmów, krzyki i odgłosy serii z broni ręcznej.

Sessions i Nix oparli się o framugę po obu stronach włazu. Już mieli wyjść, gdy o blachy załomotała seria pocisków z działka przeciwlotniczego. Mężczyźni wymienili spojrzenia, odczekali chwilę, wzruszyli ramionami i zanurkowali we właz.

Kolejna seria trafiła prosto w pierś pierwszego z nich. Sessions poleciał do tyłu, prosto w otwarty właz. Gdyby nie pancerny kombinezon, zostałyby z niego tylko krwawe strzępy. Węglowe nanorurki i żelowa wyściółka wchłonęły większość energii kinetycznej trzech pocisków, jednak zostało jej dość, aby pozbawić żołnierza przytomności.

Nix przykucnął odruchowo i obejrzał się na towarzysza. Następna seria przeleciała nad jego głową. Przeszawił gogle na podczerwień i szybko ogarnął spojrzeniem własny okręt. Trafiona rufa płonęła jasnym ogniem, działa tamtego okrętu jaśniały złowieszczą czerwienią. Bateria szykowała się do następnej salwy.

Ceramiczne pociski były tu na nic. Nix zastąpił je czym prędzej pociskami ze zubożonego uranu. W trakcie tej operacji musiał rzucić się na pokład, aby uniknąć kolejnych pocisków z działek. Pancierz kombinezonu został zasypany odłamkami i drobinami oderwanymi z węglowego pancerza.

Nix uderzył dłonią w bok gogli i wyłączył wyświetlacz systemu diagnostycznego, który zaczął zalewać go danymi.

Gdy uniósł broń i nacisnął na spust, przez gogle przepłynęły kolejne strumienie informacji. Tym razem były to namiary celu. Nie potrzebował ich jednak. Bez trudu złapał w celownik rufową wieżę tamtego okrętu. Osiemdziesiąt pocisków opuściło lufę, zanim jeszcze zdążył poczuć odrzut. Nie słyszał, jak uderzyły w pancerz, widział za to jasne rozbłyśki trafień w podczerwieni. Pociski bez większego trudu przeniknęły przez stal i wdarły się do wnętrza wieży ośmiocalówek.

Trzeba było tylko chwili, aby przygotowywane do kolejnej salwy ładunki miotające zajęły się ogniem. Cała rufa krążownika zadrżała, z włazów buchnął ogień. Nix zanurkował z powrotem do środka. Po drodze złapał towarzysza i pociągnął go za sobą. Kamera gogli uchwyciła całe zdarzenie. Teraz pozostało mu tylko odszukać kapitan Anderson. Tylko czy uwierzy w to, co on przed chwilą widział?

* * *

Peter Evans zaklął głośno i zanurkował za obramowania mostka. Zaraz poślizgnął się na odłamkach kości i przesiąkniętych krwią strzępach mundurów. Walcząc z mdłościami, wstał, ale zaraz znów się przewrócił. Pewnie długo by tak walczył, gdyby ktoś nie złapał go za kołnierz i nie wyciągnął z tej rzeźni.

Gdy w końcu doszedł do siebie, wyzwolił się z uścisku bosmana, niegdysiejszego pracownika zakładów mięsnych w New Jersey, niejakiego Eddiego Mohra.

– Dzięki, bosmanie – wymamrotał. – Ja...

Mohr klepnął go w ramię. Mimo że całe dorosłe życie brodził wśród wnętrzości, teraz był lekko zielony na twarzy.

– Dobra, sir. Dobrze się pan sprawił, naprawdę dobrze. Ale to ciężka sprawa, sir. Nie możemy zatopić tamtego okrętu, sir. Jesteśmy w niego wrośnięci. Nie wiem, jak do tego doszło, ale jeśli on zatonie, my też. Nie wiem, czy rozumie pan, o czym mówię – dodał z ciężkim akcentem mieszkańca „New Joisey”. – Da pan radę zejść po schodach? – spytał po chwili, gdy oddalili się nieco od mostka. – Strome są. Może chce pan się napić, sir? Wiem, że to niezgodne z regulaminem, ale mi zawsze pomagało.

Otarł jego, usta usuwając jakiś przyczepiony obok wargi krwawy strzępek, i podsunął mu metalową manierkę. Przemyczony na pokład alkohol spłynął gładko do gardła i dopiero w żołądku dał

znać o sobie ciepłem.

– Dzięki, pomogło – rzucił Evans.

– Jasne, sir. Pierwszego dnia w robocie, wieczorem, mój stary zabrał mnie do baru i tak napiłem piwem, że omal nie pękłem. Rzygałem potem jak kot. Ale udało mu się.

Evans zaniósł się kaszlem i zgiął w pół. Przez chwilę był pewien, że zaraz odda wypitego właśnie burbona, ale wziął kilka głębokich oddechów i jakoś przeszło. W końcu zaczął z wolna odzyskiwać kontrolę nad własnym ciałem.

– Bosmanie, jak kontrola uszkodzeń? – spytał. – Muszę...

– Ciężka sprawa, szefie. Trochę mogę powiedzieć. Na przykład to, że wywaliło nam rufową wieżę. Ale resztę musi pan po prostu sam zobaczyć.

Kuśtykając z pomocą bosmana prawoburtowym korytarzem, usłyszał wreszcie odgłosy salwy z broni krótkiej i pistoletów maszynowych. Walka toczyła się gdzieś pod pokładem. W polu widzenia pojawiali się coraz liczniejsi marynarze, wielu z nich było uzbrojonych.

– Co tu się dzieje, bosmanie? – spytał Evans.

– Żebym to ja wiedział, sir. W pierwszej chwili pomyślałem, że zostaliśmy staranowani, ale sam pan wie, że tak nie było.

Evans przytaknął. Rozumiał, co Mohr ma na myśli.

– Coś jednak powiedzieć mogę. Mamy tu jakichś obcych gości. Na naszym pokładzie. Ale dajemy im wycisk. I dlatego też nie możemy strzelać do nich z dział, bo razilibyśmy naszych.

Evans w milczeniu pokiwał głową. Ludzie zaczęli w końcu zauważać jego obecność. Oglądali się, przerażeni albo zdumieni jego wyglądem.

– Przejście! Przejście! – krzyknął Mohr. – Komandor Evans chce przejść. Odsuńcie się, chłopaki. Trzeba skopać dupę Japońcom!

Evans starał się zachowywać, jak na oficera przystało. Zdrową ręką wziął od jakiegoś marynarza pistolet kalibru.45. Tamten oddał go co najmniej chętnie. Evans usiłował ignorować ból kostki i nie upaść ponownie. Czyjeś ręce klepały go po plecach i ramionach, inni tylko wykrzykiwali jego nazwisko. Nie rozumiał, po co to robią. W głowie odczuwał nadal zamęt, pojmował jednak, że widać tak właśnie trzeba.

Z trudem przedzierał się przez rosnącą ciżbę, chociaż nie wiedział w gruncie rzeczy, dokąd się udaje. Po prostu dawał się nieść prądowi. Nagle ujrzał przed sobą coś dziwnego – stalową ścianę przegradzającą korytarz. Napór ciał skierował go do najbliższej kabiny noclegowej po lewej stronie.

Tu też było tłoczno i ciemno. System elektryczny musiał wysiąść. Z górnego rzędu hamaków

zwisało kilka latarek, które kołysały się nieustannie. Ruchome cienie potęgowały niesamowitą atmosferę.

Najbardziej niesamowita była jednak ta stalowa ściana, która biegła pod kątem przez środek pomieszczenia, chociaż wcale nie powinno jej tu być. Nie była to chyba nawet stal, ale jakiś inny, dziwny materiał. Im dłużej się jej przyglądał, tym mniej rozumiał.

Trzy hamaki wystawały z niej niczym wtopione. Nic więcej ich nie podpierało. Nieco dalej grupa ludzi zgromadziła się, wskazując coś tuż przy podłodze. Evans i Mohr przecisnęli się przez nich i ujrzeli wystający ze ściany but oraz nogę. Noga tuż pod kolanem zniknęła w metalu.

– To był Hogan, sir – powiedział jeden z marynarzy, wskazując na dziwne zjawisko śrubokrętem.
– Szedł do kibla.

Odgłosy walki znowu przybrały na sile.

– Powiedział pan, bosmanie, że znaleźliście jakieś przejście – spytał Evans. – Gdzie to jest?

– Zaraz obok. Proszę za mną, komandorze.

Opuścili grupę dumającą na butem Hogana. Nieco dalej, zaraz za hamakiem z wystającą ze ściany dolną częścią ludzkiego ciała, poddana wielkim naprężeniom metalowa płaszczyzna pomarszczyła się i pękła, ukazując przejście szerokie na trzy, może cztery stopy.

Jego brzegi nadal się poruszały, blacha wkoło jęczała boleśnie. Wygląda to jak głęboka rana na piersi, pomyślał Evans. Po drugiej stronie było prawie całkiem ciemno, coś jarzyło się tylko lekką czerwienią. Przechodząc przez szczelinę, komandor Evans poczuł się jak chłopiec wkraczający do zakazanego lasu.

6

USS Enterprise, 2 czerwca 1942, godzina 22.55

Komandor Black wybiegł z kabiny radiowej i pognał po schodach na mostek. Kapitan Murray, dowódca lotniskowca, dołączył do Spruance'a i razem z nim kierował operacjami powietrznymi, co znaczyło obecnie mniej więcej tyle, że wysyłał sporo dobrych ludzi na pewną śmierć.

Szósta eskadra bombowa pod dowództwem porucznika Dicka Besta składała się z dziewiętnastu Dauntlessów. Żaden z pilotów tych bombowców nurkujących nie startował jeszcze nocą z lotniskowca. Dziewięć z nich poszło w wodę zaraz po opuszczeniu pokładu. Kolejnych sześć zostało pomyłkowo strąconych przez własny ogień. Pozostałe cztery oczekiwały na zgodę na start.

Porucznik Black, sam już od dwóch lat uziemiony, mógł tylko patrzeć w milczeniu i zastanawiać się, o czym myślą teraz piloci tych czterech maszyn. Lada chwila mieli pchnąć przepustnice i pomknąć po czarnym pokładzie. Było oczywiste, że nawet jeśli jakimś cudem odnajdą wroga, nie

mają żadnych szans na powrót i bezpieczne lądowanie.

Na mostku było nienaturalnie cicho.

Black podszedł do Spruance'a. Poddając się pełnej napięcia atmosferze, też odezwał się szeptem:

– Komandor Jolley na *New Orleans* próbuje przejąć dowodzenie ogniem zespołu, sir. Chciałem połączyć się z admirałem Smithem na *Astorii*, ale chyba są wyłączeni z akcji.

– Oberwali?

– Wydaje się, że zostali staranowani.

Spruance zacisnął szczęki.

– No to będą musieli sami o siebie zadbać. Potrzebuję wszystkich na miejscu. Nie dam rady im nikogo podesłać.

Wpatrzony w noc Black został nagle skąpany w białym blasku. Dwa pobliskie krążowniki oddały salwy burtowe w kierunku japońskiego okrętu *Siranui*. Chwilę potem jednostką wstrząsnął huk ciężkich dział.

Spruance uniósł lornetkę, aby sprawdzić skuteczność ognia. Black, podobnie jak prawie cała reszta obecnych na pomoście, musiał polegać tylko na własnych oczach. Cel skrył się niemal za kolumnami wody i tylko w jednym miejscu błysnął płomieniem, który zapewne oznaczał trafienie. Ludziom to wystarczyło, aby zacząć wiwatować.

– Chyba dostał w mostek – powiedział beznamiętnym tonem Spruance.

– Admirale, ostatnie dwie maszyny VB-6 są już w powietrzu – zameldował jakiś podporucznik. – *Hornet* przekazuje, że wysłał trzy Devastatory.

Krążowniki ponownie wystrzeliły prawie równocześnie. Huk salw niemalże nicował wnętrzości. Taki odgłos musi chyba towarzyszyć nadchodzącej lawinie, pomyślał Black.

– Ożeż... – krzyknął ktoś.

Noc przeszły strumienie fioletowego światła i pociski wystrzelone przez oba okręty eksplodowały nagle, po przebyciu ledwie kilkuset jardów. Osiemnaście przeciwpancernych pocisków kalibru dwieście trzy milimetry i niemal tyle samo burzących pocisków pięciocalowych. Patrzącym z pomostu lotniskowca wydało się, że wszystkie trafiły na niewidzialną barierę.

– Co to było? – spytał Spruance.

– Tak jakby w coś uderzyły – mruknął Black. – Nie ma cudów, aby wszystkie chybiły z tej odległości. To... to niemożliwe.

Nagle noc ponownie eksplodowała światłem, tym razem białym. Z pokładu wrogiej jednostki uniosły się dwie kolumny dymu i ognia.

Tajemnicze ognie, pomyślał Black.

Wzleciały błyskawicznie tak wysoko, jakby zamierzały opuścić atmosferę.

– To rakiety, sir – odezwał się nagle ktoś, budząc wszystkich z transu. – Admirale Spruance, sir? Trzeba ruszać całą naprzód, bo inaczej wszyscy dostaniemy!

– Kto to? – warknął Spruance, obracając się ku mówiącemu. Był to młody podporucznik w grubych okularach do czytania. Ten sam, który dopiero co przybiegł z meldunkiem z kabiny radiowej.

– Porucznik Curtis, sir. To rakiety. Jestem pewien, że mierzą w nasze krążowniki, admirale.

– Zaiste, jest pan bardzo pewny siebie, poruczniku – rzucił admirał.

Black rozpoznał niebezpieczne nuty w głosie starego. Inny oficer obszedł stół nakresowy i wydarł się na Curtisa:

– Dość tych bzdur, poruczniku. Proszę się stąd wynosić i wracać na swój posterunek. Próbuje tutaj walczyć.

Młodzieniec wyprężył się jak rażony prądem.

– Sir! – wykrzyknął, strzelając obcasami i salutując. Potem, bardzo blady, obrócił się na pięcie. Black pomyślał, że Spruance mógłby go zatrzymać i wypytać, skąd te domysły, bo chłopak najwyraźniej rzeczywiście był pewien swego. Jednak zanim ktokolwiek zdążył coś powiedzieć, nad morzem zapłonęło nowe słońce.

JDS Siranui, 2 czerwca 1942, godzina 23.01

Maseo czuł się podobnie jak wtedy, gdy podczas nurkowania na zewnętrznej rafie Cairns zahaczył ręką o kolec trującej ryby. Trwał w tym wspomnieniu do chwili, gdy coś nagle pękło i uwolniło atak prawdziwego bólu. Koszmar senny skończył się nagle i zaczął się koszmar na jawie. Był na kręconych schodach prowadzących na mostek *Siranui*.

Krzyknął głośno, zapominając o zasadzie, aby nie okazywać emocji. Ból oparzeń był zbyt dotkliwy. Jednak przeżył. Kilka chwil wcześniej zemdlał na schodach i nie dotarł na mostek, i dzięki temu ocalał życie, podczas gdy wszyscy inni zginęli. Gdy leżał nieprzytomny, z góry kapał na niego plastik z płonących komputerów, dodatkowo jeszcze urażając popaloną skórę.

Przez dłuższą chwilę nie mógł otrząsnąć się z szoku, w końcu jednak sięgnął niezgrabnie do flexipada i włączył alarm urazowy. Pomyślał przelotnie, że eksplozja mogła uszkodzić urządzenie, jednak niemal natychmiast poczuł ciepłą falę środków znieczulających i stabilizujących rozlewającą

się po organizmie.

Dzięki temu szybko zauważył ostry kawałek kości przebijający skórę w okolicy prawej kostki. Był pewien, że w takim stanie daleko nie zajdzie. Mógł tylko wciągnąć się na rękach na mostek. Złapał rozgrzany stopień nad sobą i już miał ruszać, gdy flexipad zawibrował alarmem. Tego sygnału nie mógł zignorować.

Łapiąc oddech, odwrócił się i spojrzał na ekran. Oczekiwał, że ujrzy na nim wachtowego wykrzykującego rozkazy, zobaczył jednak tylko ideogram *kanji*, co oznaczało, że sygnał pochodzi z systemu bojowego. System właśnie mianował go pełniącym obowiązki dowódcy *Siranui*. Zaraz też rozległ się charakterystyczny, znany z długich i nudnych wacht głos zaczerpnięty z seriali anime:

– Okręt został zaatakowany i wszyscy pozostali starsi oficerowie polegli, podporuczniku Miyazaki. Jest pan jedynym ocalałym starszym oficerem. Proszę o zgodę na tryb autonomiczny pierwszego stopnia.

– A jaki... – zaczął Miyazaki, ale przez chwilę nie mógł wydobyć z siebie głosu. Przełknął z wysiłkiem ślinę, czując ohydny smak palonego tworzywa i zwęglonego ludzkiego ciała. – Jaki jest status floty?

– Wszystkie składowe floty zostały zaatakowane, podporuczniku Miyazaki. Niektórych brakuje, zapewne zostały zniszczone. Proszę o zgodę na tryb autonomiczny pierwszego stopnia.

– Status załogi *Siranui*?

– Załoga nie jest zdolna do podjęcia jakichkolwiek obowiązków, podporuczniku Miyazaki. Proszę o zgodę na tryb autonomiczny pierwszego stopnia.

System nie ponaglał, coś jednak na pewno było nie tak. Świadczyło nie tylko trafienie w mostek, ale i wyjące wkoło alarmy, huk ognia, wstrząsy bliskich eksplozji oraz ból. Coś było bardzo nie tak, ale Miyazaki nie wiedział dokładnie co. Aby uaktywnić systemy uzbrojenia, musiał dowiedzieć się więcej.

– Muszę dostać się na mostek. Potwierdzam tryb autonomiczny drugiego stopnia. Proszę o potwierdzenie.

– Potwierdzam przyznanie autonomii drugiego stopnia w działaniach obronnych, podporuczniku Miyazaki. Uaktywniam Metalową Burzę i lasery. Jest identyfikacja celów.

– Upoważniam do otwarcia ognia.

Miyazaki miał wrażenie, że nie zdołał nawet sformułować w myślach ostatniego zdania, a tym bardziej go wypowiedzieć, gdy dwanaście wieżyczek wypluło wiele tysięcy bezłuskowych, superszybkich pocisków. Nie przypominało to wystrzału, raczej uruchomienie jakiejś instalacji przemysłowej.

Sterowany już automatycznie okręt pochylił się na lewą burtę. Miyazaki poleciał niezgrabnie na

bok, zahaczając o coś sterczącym spod skóry odłamkiem kości. Mimo działania środków znieczulających poszarzał na twarzy. Powróciły mdłości. System bojowy *Siranui*, który czuwał nad nim nieustannie niczym troskliwa matka, polecił podanie kolejnej dawki anestetyku i środka przeciwwymiotnego. Po chwili Miyazaki oprzytomniał. Oddychając ciężko, podjął znów wspinaczkę na mostek.

Przeszedł na czworakach przez resztki czarnej zasłony u wejścia. W powietrzu unosiła się woń środka gaśniczego, śmierdziało spalonym mięsem. Byłoby o wiele gorzej, gdyby nie nieregularny otwór w pancernej szybie, przez który wpadało świeże powietrze. Pozostałe szyby były ciemne od dymu, ale widać było przez nie roje pocisków przecinające nocne niebo.

Nocne niebo? – zdumiał się Miyazaki.

Na razie ważniejsze było to, co kryło się w tej ciemności. Obraz przypominał filmy z lat czterdziestych, z czasów wojny na Pacyfiku. Dziesiątki okrętów przecinały fale w różnych kierunkach i pluły wkoło ogniem.

Miyazaki starał się panować nad sobą, ale widok, który ujrzał na mostku, wstrząsnął nim do głębi. Wiedział, kogo powinien tu zastać, a tymczasem? Nie było pierwszego oficera, tylko pozbawiony rąk i nóg korpus. Po kapitanie Okada została jedynie poczerniała, uczepiona jeszcze poręczą fotela ręka...

Coś zamigotało po prawej stronie, wyrywając go z transu. Zniszczenia nie były widać aż tak wielkie, skoro kilka ekranów jeszcze działało.

Na zewnątrz przetoczył się grzmot. Miyazaki stracił równowagę, gdy okręt gwałtownym manewrem zszedł z drogi kolejnej salwie. Tym razem oficer zdołał upaść na zdrowy bok. Przez otwór dostały się do środka rozpryski morskiej wody, moczając mundur i okrywając ekrany kroplami, z których każda skupiała światło niczym miniaturowa soczewka. Niemniej widać było, że *Hillary Clinton* został poważnie ugodzony, *Kandahar* zaś przechyla się, jakby nabierał wody.

Z głośnika pod sufitem rozległ się znowu głos systemu bojowego:

– Zgodnie z dostępnymi danymi zagrożenie nie maleje, poruczniku Miyazaki. Proszę o zgodę na autonomiczne działanie na poziomie pierwszym.

Tym razem Miyazaki już się nie wahał.

– Udzielam zgody na autonomię na poziomie pierwszym.

System *Siranui* porównał wzór jego głosu i odczytywane poprzez powierzchnię ekranu DNA z danymi zawartymi w jego profilu. Potwierdziwszy, że wszyscy starsi w łańcuchu dowodzenia są albo martwi, albo nieprzytomni, uznał prawo podporucznika do wydania podobnego rozkazu i przeszedł w tryb samodzielnego kierowania walką.

System *Nemesis* już wcześniej ustalił położenie okrętów, które ostrzelały *Siranui*. Teraz zostało tylko uaktywnić dwie rakiety z fuzyjnymi głowicami, produkt *Tenix Defence Industries*.

Heksagonalne osłony silosów odsunęły się i system przekazał kody odpalenia. Przypominające na ekranie typowe pociski manewrujące rakiety uniosły się na kolumnach białego ognia. Silniki pierwszego stopnia zamilkły na wysokości dwóch tysięcy metrów, nic nie ostrzegło zatem ofiar o nadlatujących pociskach.

Miyazaki nie odrywał oczu od ekranu. To samo widać było na ekranach centrum bojowego, dwa pokłady niżej, gdzie jednak nikt nie panował nad sytuacją. Wiszący na wiązce kabli ekran pokazywał bezwładne ciała.

Gdy w lewym dolnym rogu pojawiły się same zera, pociski zanurkowały, kierując się na cele. Myszkowały nieustannie, aby uniknąć namierzenia, ale pozostawały w kontakcie z macierzystą jednostką. Dwieście metrów przed rufą pierwszego z przeciwników pocisk wyrównał na pułapie trzystu metrów ponad najwyższym punktem wrogiej jednostki.

Mały reaktor fuzyjny nagrzał do wysokiej temperatury dwieście wolframowych bolców i wypuł je w dół z energią wystarczająco wielką, aby każdy z nich mógł pojedynczym trafieniem zniszczyć ciężki pojazd pancerny. Cały ładunek uderzył w pokład krążownika na śródkręciu, powodując wyparowanie znacznej części celu.

Wywołana tym fala uderzeniowa doprowadziła chwilę później do eksplozji kotłów i komór amunicyjnych. Te bolce, które przebiły kadłub na wylot, zagotowały wodę pod kilem. Miyazaki ujrzał to jakby w dwóch aktach: najpierw ogień przeniknął okręt od topów po najniższe pokłady, potem morze dźwignęło się, rozdymając jakby stalowy kadłub. Chwilę później ten sam los spotkał drugiego przeciwnika.

Maseo Miyazaki nigdy nie pragnął zostać wojownikiem. Rzucił uczelnię, aby oddać się surfingowi na Hawajach, potem w Indonezji i w końcu w Australii (gdzie spotkał tę paskudną rybę). Do Japonii wrócił dopiero po zamachu bombowym, w którym zginął jego ojciec, wysoki urzędnik koncernu Sanyo. Odsłużywszy sześć miesięcy w kompanii karnej za wcześniejsze unikanie poboru, wyróżnił się szczególną obowiązkowością i znajomością zwyczajów *gaijin*.

Nigdy jednak nie przywiązywał większej wagi do kodeksu *bushido*. Dopiero teraz, stojąc wśród martwych towarzyszy i przyjaciół, zrozumiał, jak wiele satysfakcji może przynieść zemsta.

Jedno tylko nie dawało mu spokoju.

Okręty, które właśnie zniszczył, w żaden sposób nie przypominały statków pirackich ani używanych przez bojowników dżihadu łodzi *baggala*.

USS Enterprise, 2 czerwca 1942, godzina 23.07

– Słodki Jezu – jęknął admirał Ray Spruance.

Eksplozja zwiastująca śmierć krążownika *Portland* na chwilę uczyniła świat dwuwymiarowym.

Przez mgnienie oka Spruance widział jak na dłoni cały akwen, na którym obie floty rzucały się na siebie ze ślełą furją. Japońskie działa wysyłały całe wstęgi ognia, które niszczyły nadlatujące w ich stronę pociski. Zielone i złociste serie pocisków smugowych błędziły między wierzchołkami fal albo gasły wysoko wśród gwiazd. Wydawało się, że co minutę tytaniczna detonacja pochłania następną jednostkę.

Na pokładzie lotniczym ludzie przepychali bombowce torpedowe po deskach w nadziei, że komuś wreszcie uda się dopaść przeciwnika. Bardzo wielu żołnierzy już zginęło. Te diabelskie igły świetlne strącały maszynę, zanim pilot zdołał choć jako tako zorientować się w przestrzeni.

To była rzeź.

W ciągu paru minut stan amerykańskiej Floty Pacyfiku zmniejszył się drastycznie. Ponad połowa niszczycieli obu zespołów została zatopiona. Lotniskowce *Hornet* i *Yorktown* dostały każdy po rakiecie i zniknęły z powierzchni oceanu.

Krażowniki *New Orleans* i *Minneapolis* dołączyły do siostrzanego *Portland* w drodze na dno. Ten drugi został zatopiony rakieta z kolejnej salwy wystrzelonej przez przeklęty, widmowy japoński okręt. Kula blasku, która wyrosła nagle na śródkręciu i pochłonęła całą jednostkę, prawie oślepiła obecnych. Black zaklął. Wspominał potem, że było to jak patrzenie prosto w słońce.

Nagle okna na mostku pękły i na pokład posypał się grad odłamków. Nad pokładem przemknął z zatrważającą szybkością długi, przypominający kształtem rekina samolot. Dwóch marynarzy, którzy stali najbliżej, odskoczyło, unosząc ręce do twarzy, ale zrobili to za późno. Głośny huk wstrząsnął lotniskowcem. Spruance odczuł go całym sobą, mało mu bębenki w uszach nie pękły. Dopiero kilka sekund później zaczął znowu słyszeć przekleństwa ludzi wkoło.

Poczuł, jak młody podporucznik, ten sam, który ostrzegał wcześniej przed raketami, ciągnie go za rękę. Wskazywał na coś za wybitym oknem. I krzyczał. W uszach admirała ten krzyk brzmiał jak słaby pomruk.

Zmarszczył brwi i spróbował odczytać słowa z ruchów warg tamtego. Jak by nie kombinował, wychodziło na to, że młodzieniec powtarzał cały czas tylko jedno: „Promienie śmierci”

Spruance pomyślał, że chyba ktoś tu postradał zmysły.

Jakie promienie śmierci?

* * *

A niech mnie, prawdziwe promienie śmierci! – pomyślał podporucznik Wally Curtis. Nie pojmował, dlaczego nikt poza nim tego nie widzi. Powód jednak był prosty. Zapewne nikt na *Enterprisie*, a zapewne i w całej flocie, nie spędzał tyle czasu nad kartkami magazynów w rodzaju

„Astounding” czy „Amazing Stories”

Gdy tylko ujrzał te smugi ognia wspinające się do nieba, od razu wiedział, że to rakiety.

I miał rację!

Potem zaś ocean pojaśniał od cienkich świetlnych linii, które jak nic musiały być promieniami śmierci. Był pewien, że to żadne działa czy karabiny, ale najprawdziwsze pod słońcem lasery. Wszędzie było ich pełno.

Nie ulegało wątpliwości, że Japończycy mieli wygrać tę wojnę.

Pojmował, że eksplozja, do której doszło na widocznym na horyzoncie lotniskowcu przeciwnika, sądząc po rozmiarach, zapewne *Akagi*, to był tylko szczęśliwy traf. Być może bombowiec uderzył w pokład.

Cokolwiek wypuszczali w powietrze, znikało zaraz w rozbłysku pomarańczowych płomieni i dymu. Cały ogień, który kładli na przeciwnika, był psu na budę. Pociski rozpadały się przed dotarciem do celu, a wystrzeliwujące je okręty eksplodowały jeden po drugim. Sam widział, jak odległy tylko o kilkadziesiąt metrów niszczyciel *Phelps* zapłonął nagle niczym gigantyczna flara magnezjowa.

Nie przychodził mu do głowy żaden pomysł, jak się obronić.

Uważał jednak, że admirał Spruance powinien się dowiedzieć, czemu przyszło im stawić czoło.

Wówczas na pewno coś by wymyślił.

* * *

Widząc zagładę *New Orleans*, Black był już pewien, że wszyscy zginą. Odprowadził spojrzeniem ten dziwny, pozbawiony prawie skrzydeł samolot, który przypominał rybę młota. Mignął tylko nad pokładem startowym lotniskowca i Black już szykował się na ulewę ognia, taką samą, jaka pochłonęła dwa okręty w bliskim sąsiedztwie, ale *Enterprise* został z jakiegoś powodu oszczędzony. Bóg jeden wiedział dlaczego. Sama zaś rakietka, o ile Curtis miał rację i to faktycznie była rakietka, odleciała z tak wielką szybkością, że widział dokładnie sprężone w śladzie jej przejścia powietrze. Zbiła ludzi z nóg, kilku wyrzuciła za burtę. Zdawała się nawet wygładzać fale na swoim kursie.

Black gotów był przyjąć, że tak szybka rakietka, o ile tylko została dość solidnie zbudowana, mogłaby przebić na wylot nawet pancernik.

New Orleans był o wiele mniejszy od pancernika. Dziesięć tysięcy ton krążownika zadrzało wyraźnie, trafione rakietką, i zniknęło niemal bezgłośnie w kuli białego światła.

W tej właśnie chwili Black pojął, że czeka ich śmierć.

USS Hillary Clinton, 2 czerwca 1942, godzina 23.07

Kolhammer przebiegł spojrzeniem po ekranach i zerknął za okno. Byli w samym sercu bitwy, chociaż admirał nadal nie wiedział, z kim ani o co walczą. Jedno tylko nie ulegało wątpliwości – że zginęło już kilka tysięcy ludzi. Ekranu informowały o tym wprost, rozświetlona pożarami noc to potwierdzała. Pokład lotniskowca też stał w ogniu.

– Kapitan Chandler dał jakiś znak życia? – spytał admirał, patrząc na komandora Judge'a, chociaż z góry znał odpowiedź.

Judge sprawdził flexipad, zerknął na ekran i potwierdził domysły obecnych.

– Nie żyje, sir. Zginął tak jak wszyscy na pokładzie lotniczym i jeszcze sześciuset innych w różnych pomieszczeniach. Teraz to pański okręt, admirale.

Nikt nie uniósł nawet głowy znad swego stanowiska, ale Kolhammer poczuł, że czekają na jego pierwsze słowa i decyzje. Teraz on był odpowiedzialny za ich los.

– Porucznik Brooks – powiedział do operator systemu bojowego, która doszła już do siebie po dawce Promatilu – proszę szybko i zwięźle. Status naszych jednostek i stan przeciwnika. Mike, gdy porucznik skończy, chcę mieć raport o naszym okręcie.

Judge zaczął zbierać dane o uszkodzeniach z różnych systemów, podczas gdy admirał patrzył na dłonie Brooks poruszające się żwawo po ekranie. Twarz młodej kobiety nie wyrażała praktycznie niczego, chociaż musiała czuć się podobnie zagubiona jak wszyscy inni.

– *Kandahar* dostał trochę ognia i jedną torpedę – powiedziała w końcu ze smutkiem. – Uszkodzenia są poważne, ale sytuacja została opanowana. Osiemdziesiąt sześć potwierdzonych ofiar śmiertelnych. *Moreton Bay* melduje liczne trafienia. *Siranui* dostał w mostek. Kapitan Okada, jego zastępca i pięciu innych oficerów zginęło. Dowodzenie przejął podporucznik Miyazaki. Dał zgodę na autonomiczne funkcjonowanie systemu bojowego na poziomie pierwszym. *Havoc* pozostaje nadal nie wykryty. Wystrzelił jedną torpedę, typ 92. Zatopiła tę jednostkę, która nas zaatakowała.

Kolhammer pokiwał głową. Był pewien, że to właśnie *Havoc* wybawił ich z opresji. Przynajmniej w tym jednym miałem rację, pomyślał.

– Przepraszam, admirale, ale kończy nam się amunicja – odezwała się Brooks. – Zużywamy ją w niewiarygodnym tempie. Zbyt wiele celów. Jak tak dalej pójdzie, Metalowa Burza zamilknie za siedem minut. Lasery wytrzymają jeszcze dziesięć, ale potem trzeba będzie je podładować. *Moreton Bay* już ma kłopoty, *Trident* zajął pozycję w bliskiej osłonie, ale też kończą mu się zapasy.

– Dziękuję, pani porucznik. Wezmę to pod uwagę – odparł Kolhammer. – Czy ktoś może powiedzieć mi, z kim walczymy?

– Trudno orzec, sir – odezwała się niepewnie Brooks. – Nie odpowiadają na żadne sygnały. Ich profile elektroniczne nie pasują do żadnych znanych nam jednostek. Na pewno nie mamy do czynienia z flotą chińską czy indyjską. Nie są to nawet okręty Republiki Islamskiej. Ich systemy uzbrojenia... to era kamienia łupanego. To, co na nas spuścili, to była zwykła bomba burząca z żelaznym korpusem.

– Skąd mamy dane?

– Z kamer na szczytach masztów i samolotów bezzałogowych. Ta flota jest naprawdę jak z muzeum.

Na ekranie otworzyły się trzy nowe okna. Każde ukazywało powiększony obraz starego, tłokowego dolnopłatownca, widzianego pod różnymi kątami, w chwili gdy przelatywał kilkaset stóp nad pokładem lotniskowca. Kolhammerowi żołądek podszedł do gardła. Od razu zrozumiał wszystkie rozterki pani porucznik. Sam jednak bez trudu rozpoznał napastnika.

Gdy miał dwanaście lat, zbudował plastikowy model bombowca nurkującego Douglas Dauntless SBD. Trzy miesiące oszczędzał, aby go kupić. Praca zajęła mu wiele tygodni. Starał się jak najwierniej odtworzyć każdy szczegół, w tym nitowane poszycie skrzydeł i dziewięciocyldrowy, chłodzony powietrzem silnik gwiazdowy Wright R-1820-52. Zamontował w środku i pomalował starannie wycięte z folii aluminiowej imitacje zbiorników paliwa. Dwa były w centropłacie, przypominał sobie, każdy po siedemdziesiąt pięć galonów, kolejne dwa, po pięćdziesiąt pięć galonów, w zewnętrznych częściach skrzydeł. Model był tak udany, że gdy pracujący w straży wybrzeża ojciec go zobaczył, kupił mu następny zestaw w nagrodę.

Teraz Kolhammer usiadł w fotelu i wpatrzył się w powtarzane w pętli nagrania. To bez wątplenia był Douglas Dauntless. Sławny SBD.

– Admirale? – Komandor Judge położył mu rękę na ramieniu. – Mam kapitan Halabi na łączu laserowym. Chyba należy jej posłuchać. Mieli kilka minut więcej na analizę sytuacji.

– Dzięki, Mike – wychrypiał Kolhammer, odrywając z trudem spojrzenie od ekranu. Toczone na zewnątrz walka nie traciła na gwałtowności. Gdy admirał odwracał się ku atrakcyjnemu obliczu Karen, które zajmowało niemal cały ekran po jego lewej stronie, trzy błyski dały znać o zniszczeniu kolejnych salw, ledwie kilkaset metrów od dziobu lotniskowca. Deszcz gorących odłamków zagrzecotał po pokładzie, ale nie miało to już znaczenia. Od kilku minut nie było tam nikogo żywego.

– Proszę meldować, kapitanie.

– Dziękuję, admirale – odparła z nieszczęśliwą miną brytyjska pani oficer. – To są Amerykanie, admirale. Zabijamy amerykańskich żołnierzy. Oni zaś próbują zabić nas.

– Jakim cudem? – spytał Kolhammer, chociaż w głębi ducha wcale się nie zdziwił. Nie mógł odpędzić od siebie obrazu tłokowej maszyny, która chciała ich zaatakować.

– Nie wiem. Naprawdę nie mam pojęcia. Mieliśmy jednak sześć minut więcej na analizę sytuacji po ustaniu objawów neurologicznych... – Kolhammer odnotował w pamięci, że nie użyła słowa

„atak”. – Skonsultowaliśmy dane z *Havokiem*. Trudno mi dyskutować z faktami. To Amerykanie. Z minionej epoki.

– Co pani chce przez to powiedzieć?

Kapitan Halabi nie słynęła z subtelności. Nie próbowała nawet złagodzić ciosu.

– Udało nam się pozytywnie zidentyfikować osiem największych jednostek biorących udział w walce. Porównanie danych zaczerpniętych z obserwacji i zapisów z zasobów archiwalnych nie pozostawia miejsca na wątpliwości. Walczymy z zespołami TF 16 i TF 17, które zmierzają z Pearl Harbor w rejon atolu Midway. Pierwotnie pod dowództwem admirała Franka Fletchera, obecnie prowadzone są przez admirała Raya Spruance’a. Fletcher był na USS *Yorktown*, który został parę chwil temu zatopiony.

Mówiąc to, Halabi miała pokerową twarz niczym zawodowy gracz. Kolhammer mimowolnie zerknął raz jeszcze na ekran pokazujący *Dauntlessa*.

– Dowody? – spytał.

Pani kapitan jakby tylko na to czekała. Jej ekran podzielił się na dwa okna. Jej oblicze widniało teraz w prawym górnym rogu, resztę zajęły materiały przedstawiające krążowniki, lotniskowce i niszczyciele z czasów drugiej wojny światowej, manewrujące w rozpryskach piany. Rozpaczliwie próbowały ująć nowoczesnym torpedom i pociskom manewrującym. Zwykle na próżno. Kolhammerowi zrobiło się niedobrze, gdy ujrzał niszczyciel ginący pod naporem małego cyklonu mikropocisków. Obraz zatrzymał się i w kolejnych dwóch oknach ukazały się stare zdjęcia tego samego okrętu.

Wszystkie pochodziły z fleetnetu i zostały zrobione przy różnych okazjach ponad osiemdziesiąt lat temu.

Kolhammer milczał. Halabi w ten sam sposób zademonstrowała im jeszcze cztery inne jednostki. Trzy niszczyciele i jeden krążownik. Nie było najmniejszych wątpliwości. To były te same okręty. Ale jakim cudem mogło do tego dojść? Nie, to pytanie musiało poczekać.

– Przechwytyjemy sporo korespondencji radiowej – dodała Halabi. – Między okrętami, z samolotami.

– Dobrze. Tylko szybko.

Z głośników popłynęła lawina amerykańskich głosów. Brzmiały nieco inaczej niż te, które admirał słyszał na co dzień, ale ich treść była mu jakby znajoma. Ludzie błagali o jakiegokolwiek informacje, o amunicję, o boską pomoc. Strach, huk dział i zwierzęce krzyki były czymś, co Kolhammer znał aż za dobrze. To były prawdziwe nagrania. Czuł to całym sobą. Po raz pierwszy od chwili, gdy świat oszalał, coś sensownego przyszło mu do głowy.

Nagoya.

– Kurwa – rzucił po cichu.

– Sir? – odezwał się Mike Judge.

– Później. Proszę dać ten materiał na całą flotę. I wyłączyć natychmiast wszystkie systemy broni ofensywnych.

– Wyłączone.

– System bojowy otrzymuje autonomię tylko na poziomie obronnym. Koordynacja poprzez Małego Billa – dodał, mając na myśli główny system lotniskowca. – Musimy usunąć *Siranui* gdzieś na bok.

– Aye, sir.

– Kapitan Halabi, jeszcze do tego wrócimy, proszę pozostać w kontakcie. Porucznik Brooks, proszę szefa łączności.

W oknie, w którym chwilę temu widniała twarz Halabi, pojawiło się pomarszczone oblicze porucznika Stuarta Glovera.

– Poruczniku, proszę otworzyć kanał łączności z okrętami, które napotkaliśmy. Chcę rozmawiać z admirałem Rayem Spruance'em na pokładzie USS *Enterprise*.

Zanim młody człowiek zdążył zaprotestować, Kolhammer uniósł otwartą dłoń.

– Wiem, wiem. Porucznik Brooks wszystko panu wyjaśni, ale później. Teraz proszę o połączenie, na wczoraj.

– Aye, sir – odparł niepewnie porucznik.

Mike Judge patrzył na niego tak, jakby postradał zmysły. Kolhammer raz jeszcze połączył się z Halabi i podziękował jej. Pani kapitan odmeldowała się i powróciła do swoich obowiązków.

– Teraz proszę raport o uszkodzeniach.

– Mamy siedmuset trzydziestu poległych, trzystu rannych, połowa jest w stanie krytycznym. Straciliśmy wszystkie katapulty. Osiemnaście Raptorów zostało całkowicie zniszczonych, dwa kolejne mogą przydać się tylko na części. Dostaliśmy cztery torpedy, ale tylko jedna wybuchła. Wewnętrzny kadłub nie został uszkodzony, mamy jednak olbrzymi bałagan tam na dole. Mały Bill stracił dwa węzły, ale został przeformatowany. Zniszczone zostały dwa z rufowych laserów i jedna wieżyczka Metalowej Burzy. Zostało nam czterdzieści procent amunicji do pozostałych baterii.

– Jezu... – mruknął admirał. – Pracowity dzień. Widział, że Judge ma ochotę spytać o rozkazy, które przekazał porucznikowi Gloverowi.

– Sądzę, że to *Nagoya*, Mike – powiedział, uprzedzając pytanie. – Coś im nie wyszło. Mieliśmy ich na skanerach tuż przed zaciemnieniem?

Judge kiwnął głową i pochylił się nad najbliższym stanowiskiem.

– Cholera – powiedział cicho chwilę później. – Ma pan rację, sir. Jakies dwadzieścia minut temu wszystkie pasywne czujniki nastawione na *Nagoyę* zupełnie zwariowały.

– Bóg wie, co oni tam wyzwolili... Ale ty też byłeś na odprawie w Pearl. Co o tym myślisz?

Judge wzruszył ramionami i wyduł wargi.

– Nie wiem, admirale. Na odprawie mówili o czarnych dziurach i zaburzeniach czasoprzestrzeni. Domyślam się, że nas wyekspediowało. I to dość daleko...

– Chyba należałoby sprawdzić w aktach osobowych, czy mamy specjalistów od...

– Od podróży w czasie? – dokończył Teksańczyk.

– Zaczniemy może od fizyków z co lepszych uczelni.

Na ekranie pojawiła się twarz łącznościowca. Był upiornie blady.

– Rozkaz wykonany, sir. Admirał Spruance na kanale trzecim. Tylko audio.

Kolhammer podziękował skinieniem głowy, gdy w głośnikach rozległy się szумы statyczne.

– Dobra robota, poruczniku. Proszę przekazywać to na wszystkie nasze okręty i wszystkie jednostki grupy admirała Spruance’a.

Kolhammer nie musiał sięgać po mikrofon. Biochip wszczepiony pod skórę na karku i zasilany własnym ładunkiem jego ciała wychwytywał drgania kości i przetwarzał je na sygnał cyfrowy przekazywany następnie do sieci w ten sam sposób, jak wszystkie dane zbierane nieustannie przez Małego Billa.

Jednak cała ta technologia nie była w tej chwili specjalnie pomocna.

I co ja im, u diabła, powiem? – zastanawiał się na próżno admirał.

USS Leyte Gulf, 2 czerwca 1942, godzina 23.12

Środki gaśnicze zdławiły ogień w hangarze śmigłowców i przy okazji odebrały wszelkie szanse ostatnim ocalałym podkomendnym porucznika Reilly’ego. Nix dwa razy przeczesał pomieszczenie, nie otrzymał jednak żadnego odczytu. Wszyscy byli martwi. Dziura w lewej burcie miała jakieś trzy metry; widać było przez nią zasnuty dymami ocean. Nix po raz ostatni przesunął flexipadem w poszukiwaniu śladów aktywności biochipów. Gdzieś daleko pojawił się oślepiający błysk taktycznej

głowicy atomowej. Gogle same dostosowały się do zmiany warunków, przyciemniając wizję, a na pokładzie zatańczyły długie cienie.

Nix skierował się do wjazdu. Spróbował zamknąć za sobą wodoszczelne drzwi, ale cała konstrukcja okrętu była zbyt mocno wypaczona. Pospieszył korytarzem do Sessionsa, który z wolna odzyskiwał przytomność.

Schody przed centrum bojowym prowadziły aż do pokładu D, jednak Nix zszedł tylko na pokład B. Miał wrażenie, że okręt pochylił się lekko i miał przegłębienie na dziób, zapewne z powodu tego dodatkowego ciężaru z przodu. Wprawdzie shipnet powinien nieustannie monitorować jego pozycję, Nix jednak nie dowierzał w tej sytuacji elektronice i co kilka kroków gromko obwieszczał swoją obecność.

– Nix, drużyna przeciwabordażowa. Idę do kapitan Anderson.

Przed mesą omal nie przewrócił się o czyjeś zwłoki. Martwej kobiecie brakowało połowy twarzy. Nieco dalej leżał ten, kto zapewne ją zaatakował, a dokładniej jego resztki. Dostał przynajmniej połowę magazynka.

Gdy ceramiczny pocisk wchodził w ludzkie ciało, rozpadał się w całą chmurę ostrych jak brzytwa odłamków. Potrafił przebić się przez kevlar, a nawet, przy wielokrotnym trafieniu, przez węglowe osłony.

Nix widział już podobne obrazki, zwolnił zatem tylko, aby się nie pośliznąć. Niebawem dojrzał Ntiniego i McAllistera, schowanych za przewróconym biurkiem.

– Marynarz Nix, nadchodzę – zawołał.

Obejrzeni się przelotnie i zamachali rękoma, dając mu znak, aby podszedł.

Jego kombinezon dawał lepszą osłonę niż prowizoryczna barykada, ale przyklęknął obok nich. Dwadzieścia metrów dalej widać było mokrą, stalową ścianę blokującą korytarz. Tuż przed nią leżały jedno na drugim ciała trzech marynarzy. Przegłębienie na dziób sprawiało, że krew spływała w przeciwnym kierunku, nie ku barykadzie.

W stalowej przeszkodzie widniało przejście, akurat wielkości człowieka.

– Jak oni to zrobili? – spytał Nix.

– Ładunek kierunkowy – odparł szeptem McAllister.

– Dobra robota. Kapitan jest w środku?

– Gdy się tam znajdziesz, złapiesz ją lokatorem. Tam panuje straszny bałagan. Tylko uprzedzaj ich, że idziesz. Już dwa razy zostali zaatakowani od tyłu. Chris Gregory zginął niepotrzebnie – Clancy załatwił go od ręki, gdy wyskoczył bez uprzedzenia.

– Rozumiem.

Nix poklepał McAllistera po ramieniu i przeskoczył przez blat.

* * *

To już pięciu, pomyślała.

Od chwili wejścia w ten gąszcz straciła pięciu załogantów, w tym jednego od własnego ognia.

– W porządku? – spytała Clancyego.

– Na razie tak – odparł tamten. – To nie była jego wina. Ale moja też nie.

– Zgadza się.

Kapitan Daytona Anderson wiedziała, że mdłości i drżenie rąk przyjdą później. Wraz z poczuciem winy. I nic nie da się na to poradzić.

Sama powtarzała to sobie jak mantrę. Że nic tu nie poradzi. I że w tak absurdalnej sytuacji racjonalne myślenie niewiele może pomóc.

Szykowała się do przejścia kawałek dalej, w odrobinę wolnej przestrzeni powstałej z przeniknięcia się burtowej centrali ogniowej krążownika z czymś przypominającym salę noclegową. W środku ujrzała dwóch własnych ludzi i pięciu obcych połączonych w jedno ze sobą nawzajem i masą metalowych, plastikowych oraz drewnianych obiektów.

Strzelanina, która na chwilę osłabła, rozgorzała z nową siłą. Kilka pocisków zrykoszetowało nad jej głową, zasypując ją drzazgami z bloku rzeźniczego, który stopił się z płaskim ekranem stacji roboczej. Clancy bez wahania odpowiedział ogniem. Nie widziała, do kogo strzelał, ale usłyszała krzyk. Na tyle głośny, aby niemal zagłuszyć charakterystyczny odgłos towarzyszący wdzieraniu się ceramicznego pocisku w ludzkie ciało. Chwilę później znowu ktoś krzyknął, ale wyraźnie i artykułowanie:

– Marynarz Nix idzie do pani kapitan!

Anderson sprawdziła flexipad, który znowu działał jak należy. Ekran pokazywał symbole biochipów tych, którzy byli w promieniu dwudziestu metrów od niej.

NIX, Spec 3. kl., 010162820 – przeczytała. Znaczek był coraz bliżej. Clancy znowu strzelił, z tym samym rezultatem: zduszony krzyk i odgłos czegoś ciężkiego upadającego na pokład.

– Może lepiej wstrzymać ogień – zawołał Nix. – Mamy spory problem.

– Naprawdę? – spytała Anderson ironicznie.

– Tak, wiem. Chodzi o nowy problem.

USS Astoria, 2 czerwca 1942, godzina 23.14

W obliczu wszystkiego, co stało się tego dnia, to akurat nie było wielkim problemem. Jednak starszy marynarz Moose Molloy Jr. nie mógł za żadne skarby świata pojąć, co Murzyni i kobiety robili na pokładzie japońskiego okrętu.

Zabił ich czworo, w równych proporcjach, a potem stracił wielu ludzi podczas odwrotu. Co dziwniejsze, przez cały ten czas spotkał tylko jednego Japońca. Pamiętał jednak, co mawiał jego ojciec, który od trzydziestu lat pracował w chicagowskiej policji. Azjatom, czarnym ani Latynosom nie należy wierzyć. Zawsze znajdują się gdzieś w sercu kłopotów. Kobiety zaś, jak Moose skłonny był przypuszczać, musiały być seksualnymi niewolnicami żółtków. Jego kumpel Jim Davidson przeczytał mu kiedyś artykuł, w którym była mowa o białych kobietach przetrzymywanych przez Japońców na Dalekim Wschodzie specjalnie w tym celu. Krew gotowała mu się w żyłach, gdy myślał o tych małych, skośnookich draniach wtykających swoje małe narządy w ciała pobożnych kobiet.

Gazeta, która przed wojną specjalizowała się w typowaniu wyników wyścigów konnych oraz sprawach tajemniczych morderstw, poświęciła całkiem sporo miejsca domniemanym brakom anatomicznym mieszkańców Japonii. Niemniej dla Moose'a jedno było ważne. Właściciel takiego penisa, małego czy dużego, powinien drogo zapłacić za naruszenie czci jakiegokolwiek kobiety mówiącej po angielsku i umiejącej się przeżegnać przed wejściem do kościoła.

Na dodatek walczyło się z nimi cholernie ciężko w tym gąszczu, w którym wszyscy utknęli. Przeciskanie się w podobnych miejscach wymagało poziomu bystrości, który jak dotąd nie zmanifestował się w rodzinie Molloy'ów. Było gorzej niż w labiryntach z wesołych miasteczek, w których Moose bywał. Poznawał fragmenty *Astorii*, ale przeniknięte jakimś niepojętym sposobem z konstrukcją i wyposażeniem tamtego okrętu. Nie splątane czy zbite razem, jak wraki samochodów po wypadkach, o których opowiadał mu ojciec. Jedno przechodziło płynnie w drugie, a efekt czasem był makabryczny, tak jak w przypadku Hogana czy Paddy'ego, i wszystkich tych biedaków, których znajdowali z grodzią w brzuchu czy krzesłem albo czymś innym w głowie czy tyłku.

Wiele razy przeciskał się z wysiłkiem obok jakiejś przeszkody tylko po to, by odkryć, że dalszą drogę blokuje nieprzebyta stalowa ściana. Kilka razy widział dogodną przestrzeń, do której nie miał szansy dotrzeć nikt poza osobą naprawdę bardzo szczupłą. To było irytujące. No i niebezpieczne, gdy człowiek zastanawiał się za długo, jak stary bosman Kelly, który stracił w podobnej chwili połowę głowy. Molloyowi brakło wykształcenia, ale pewne rzeczy pojmował. Otrzeputując się z szarawych strzępków mózgu bosmana, zrozumiał, że w tych warunkach dalszy zwiad nie ma większego sensu. Wetknął więc tylko lufę broni w otwór i wypalił kilka razy. Oddałby miesięczny żołd za coś porządnego, na przykład nowy M1, półautomatyczny, z gazowym przeładowaniem, w którym, jak mawiał Jim, wystarczyło musnąć spust, aby wywalić połowę magazynka, ale dysponował jedynie starym Springfieldem. Springfield jednak też dziurawił jak należy i Moose był pewien, że ugodził z

niego co najmniej jednego japońskiego Murzyna.

Kilka strzałów trafiło w gródź przed nim. Naprawdę nie było sensu iść dalej, należało poszukać ukrycia. Widział dziwny pomarańczowy pył opadający z miejsc, w które uderzyły pociski. To musiała być jakaś paskudna tajna broń. Nie niszczyła niczego poza ludzkim ciałem. Poza tym trafienia nawet nie zostawiały śladów, chyba że chodziło o czyjaś rękę, głowę albo korpus, jak w przypadku biednego Kelly'ego. Wtedy ciało eksplodowało. Moose oglądał kiedyś przyniesione przez ojca zdjęcia przedstawiające jakiegoś bimbrownika, który próbował działać na własną rękę i został załatwiony przez zbirów Ala Capone. Widok był straszny, ale ciało tamtego nie przypominało krwawej miazgi, w którą zmienił się Kelly.

– Moose? Są tam Japońcy?

– A jak myślisz, głupku? – odkrzyknął, poznając głos Williego Stolza, który jego zdaniem nie był wart nawet pierdnięcia. Ale pytanie było na miejscu. Przez ten bałagan zastrzelili już paru swoich.

– Moose!

– Co jest, Stoltz? Próbuję załatwić tu paru Murzajów.

– Jestem z oficerem, Moose!

– Nie gadaj. To został jeszcze jakiś?

– Już dobrze, marynarzu – odezwał się komandor Evans, chociaż w jego odczuciu nic nie było dobrze.

* * *

Wędrówka przez splątane wnętrza obu okrętów była dla Evansa drogą przez mękę. Co chwila urażał ranną rękę albo kostkę, kilka razy musiał zdać się na pomoc bosmana, który przepychał go między różne szczeliny. W końcu dotarli do względnie przestronnego miejsca powstałego z połączenia łazienki oficerskiej z jakimś laboratorium naukowym tego drugiego okrętu, skąd padało miękkie, białe światło. Sama tkwiąca chyba w toalecie lampa była przesłonięta na wpół otwartymi drzwiami połączonymi w jedno z blatem biurka. Evans nie pojmował, jakim cudem lampa może się palić; przecież chyba wszystkie kable zostały przecięte? Jednak przez ostatni kwadrans w jego głowie powstało tyle ważniejszych pytań, że to akurat na pewno mogło poczekać.

– Nie ma ich tutaj? – spytał rosnącego marynarza nazwiskiem Molloy.

Chciał zerknąć w ciemną szczelinę, przy której tamten przycupnął, gdy wielkie ramię odepchnęło go na tyle silnie, że wpadł na umywalkę. Złamana ręka zapulsowała bólem. Mohr złapał go w chwili, gdy szarość twarzy stała się niepokojąco widoczna.

– Przepraszam, sir – powiedział Molloy. – Te żółtki widzą w ciemnościach. Wystarczy się pokazać, a strzelają. Załatwiliby pana, komandorze.

Co chwila słyszeli nowe strzały. W większości pojedyncze, ze zwykłych karabinów albo pistoletów, czasem jednak rozlegała się też seria. Pociski rykoszetowały we wszystkich kierunkach. Stracone z półek mosiężne skrzynki spadły na pokład, grzechocząc niemiłosiernie, i też zostały ostrzelane. Towarzyszący temu dźwięk był jednak jakiś dziwny. Pociski uderzały głośno, ale bez rykoszetów. Ile razy trafiały na metal, rozlegało się dziwne „puff”, gdy zaś napotykały ciało, słyszało się jakby młaśnięcie. Marynarz Molloy wskazał brodą na bezgłowe ciało bosmana Kelly’ego.

– Zabrał jednego ze sobą – powiedział Molloy z respektem. – Widzi pan tamtego Japońca, komandorze? Dostał prosto w serce. To była robota naszego bosmana. Mógłby zawstydzić najlepszych snajperów.

– Jasne, marynarzu – odezwał się Evans, jeszcze nie całkiem przytomny po uderzeniu. – Lepiej meldujcie.

Molloy spojrzał na niego w taki sposób, jakby chciał powiedzieć, że zwykł meldować się tylko bosmanowi Kelly’emu, jednak po chwili nieco się wyprostował i spróbował zebrać myśli. Nie żeby było ich wiele więcej niż zwykle, ale i tak prawie spocił się z wysiłku.

– To tak, komandorze... Weszliśmy przez tę dziurę w sypialni. Mieliśmy wiele kłopotów ze znalezieniem drogi. Zastrzeliliśmy paru Japońców, którzy okazali się Murzynami. I przykro mi, ale zabiliśmy też kilka kobiet, pewnie były ich seksualnymi niewolnicami... Chyba więc lepiej dla nich.

W miarę jak mówił, natężenie ognia narastało, musiał więc podnieść głos. Evans chciał właśnie spytać go o tych czarnoskórych i kobiety, czy ktoś poszukał ich znaczków, gdy marynarz Stolz nagle krzyknął. W jego piersi pojawiła się wielka, krwawa dziura.

Jeszcze zanim upadł na pokład, już był martwy.

– Cholera, uprzedzałem! – wrzasnął Molloy. – Uprzedzałem, prawda, komandorze? Dosięgli go przez tę szczelinę.

Wpakował lufę broni w otwór, wypalił raz i wycofał się z niejakimi trudnościami, zanim nadeszła odpowiedź. Trzy pociski nadleciały z tamtej strony i rozbiły się o gródź, pod którą przykucnął Evans. Niezbyt rozumiał, co dane było mu zobaczyć. W miejscach trafień nie pozostał prawie żaden ślad, jeśli nie liczyć opadających obłoczków pyłu. Jakim cudem coś podobnego mogło zabić Stolza? Evans zwalczył pokusę, aby sięgnąć po drobiny pozostałe na grodzi w miejscu uderzenia jednego z pocisków. Jego życie nie było warte podobnej próby.

Trudno było w tej sytuacji nie tylko rozmawiać, ale nawet zastanowić się spokojnie nad tym wszystkim. Mohr i prawie stu ludzi rozlokowali się po okolicy za prowizorycznymi barykadami i posyłali w stronę szczeliny tyle ołowiu, ile tylko mogli. Jednak Japończycy i tak dosięgali co pewien czas któregoś z nich precyzyjnie wymierzonym strzałem. Jakim cudem?

Evans zaczął dochodzić do wniosku, że rzeczywistość zdecydowanie go przerosła. Ostatecznie był tylko oficerem rezerwy. W cywilu pracował jako nauczyciel matematyki w szkole w głębi stanu Nowy Jork. Do rezerwy zgłosił się na początku lat trzydziestych, gdy trudno było o pracę. Zawarł dzięki temu kilka przyjaźni, poza tym młode dziewczyny z Cherrybrooke lubiły mężczyzn w mundurach. Ale to tutaj... To całkiem co innego.

Najchętniej zemdlełby teraz, zostawiając ten cały bigos innym. Zdarzyło się jednak coś jeszcze dziwniejszego. Najpierw pociski przestały nadlatywać w ich stronę, potem coś zachrobotало i zaszumiało, jakby ktoś włączył pokładowe głośniki. Wreszcie rozległ się ogłuszający głos. Należący do kobiety, bez wątpienia Amerykanki, chociaż mówiącej z dziwnym akcentem.

– Tu komandor Daytona Anderson z Okrętu Stanów Zjednoczonych *Leyte Gulf*. Wstrzymajcie ogień i podajcie swoje dane.

Evans spojrział na równie osłupiałego jak on sam Eddiego Mohra. Bosman wzruszył ramionami i pokręcił głową.

– To jedna z ich dziwek – syknął Molloy. – Nie możemy jej ufać. Na pewno przeszła pranie mózgu...

– Zamknij się, Moose – warknął Mohr i spojrział na Evansa. – Co robimy, sir?

Evans też pokręcił głową. Zaczerpnął głęboko powietrza, ale wysuszone gardło zawiodło i nie dał rady się odezwać. Mohr sięgnął do pasa po manierkę i podał ją oficerowi. Evans przełknął łyk i spróbował raz jeszcze. Był zdumiony tym, jak słabo brzmiał teraz jego głos.

– Mówi komandor podporucznik Peter Evans z USS *Astoria*. Przedstawcie się prawdziwie i wyjaśnijcie, co, u diabła, tu robicie.

Zapadła chwila ciszy, w której dały się słyszeć wyraźnie szepty zdumionej załogi *Astorii*.

– Powtarzam, jestem komandor Daytona Anderson z USS *Leyte Gulf* – rozległ się ten sam zirytowany kobiecy głos. – Wtargnęliście na mój statek i zabiliście wielu amerykańskich marynarzy. Czy to dla ciebie wystarczające wyjaśnienie, dupku?

Evans dał znak Mohrowi, aby pomógł mu podejść do otworu.

– Niech pani posłucha! – krzyknął w ciemność. – Jeśli Japońce każą to pani mówić, proszę sobie darować. Przykro mi z powodu pani sytuacji, ale nie uwierzymy w kłamstwa.

Rozległy się stłumione pomruki aprobaty.

– Słuchaj no, macho. Jeśli będziesz się upierał, zginiesz razem z całą załogą. Bez sensu i pożytku. Nie jesteśmy Japończykami. Jesteśmy Amerykanami. Słyszysz mnie? Tu są Amerykanie!

– Jak dla mnie to głos czarnej kobiety – powiedział szeptem Mohr.

Racja, pomyślał Evans. To było to, co uderzyło go w tym głosie. Jego właścicielka musiała być czarnoskóra, mówiła jak wokalistki jazzowe z Harlemu.

– Co pani mi tu opowiada? – odkrzyknął. – Nie ma takiego okrętu jak USS *Leyte Gulf*. A gdyby nawet był, jego kapitan nie byłby kobietą. Niech pani da jakiegoś Tojo do mikrofonu, o ile któryś tam zna angielski. Przyjmę ich kapitulację.

Załoga zaczęła głośno wiwatować, rozległy się też śmiechy. Anderson nie odpowiedziała. Evans pomyślał, że pewnie jej oprawcy odesłali ją na tyły.

* * *

Clancy i Nix przykucnęli po obu stronach przejścia, aby mieć na oku Evansa i jego ludzi. Wizję ustawili na lekkie wzmocnienie. Podczerwień była w tych warunkach nieprzydatna, we wraku znajdowało się zbyt wiele źródeł ciepła, jak sypiące iskrami porwane przewody, buchające parą pęknięte rury i palące się tu i ówdzie sprzęty.

Clancy uniósł rękę, pytając w ten sposób Anderson, czy mają iść naprzód.

Kapitan pokręciła głową i wyłączyła trzymany w ręku mikrofon.

– Wyglądacie tak, że wzięliby was za niemieckich żołnierzy – powiedziała cicho, jednak biochip wychwycił jej głos i przekazał do obwodów kombinezonów bojowych. Nikt poza nimi jej nie usłyszał.

– Po prostu trzymajcie rękę na pulsie i postarajcie się nikogo nie postrzelić. Ja spróbuję raz jeszcze.

* * *

– Dobrze, komandorze Evans – rozległ się znowu wzmocniony głos. – Idę do was z moim bosmanem i marynarzem Nixem. Czy jest pan w pomieszczeniu, w którym znajdowała się nasza stacja meteo?

Evansowi oczy rozszerzyły się ze zdumienia. Bez wątpienia było to chyba jakieś laboratorium, ale żeby stacja meteo? Chociaż może...

Mohr spojrział na niego pytająco.

– Tak, pewnie tak – odparł głośno oficer.

– Przychodzimy uzbrojeni. Jeśli zaczniecie do nas strzelać, Clancy odpowie równie sprawnie jak minutę temu, gdy zastrzelił jednego z waszych. Zachowajcie spokój, a nie będzie musiał tego robić.

Moose Molloy przymierzył się do wpakowania lufy Springfielda w otwór, ale Mohr oparł mu stopę na ramieniu i zmusił naporem potężnego buta do pozostania na miejscu. Evans odbezpieczył broń, ale trzymał ją skierowaną ku podłodze. W ciemności po drugiej stronie zamajaczyły trzy postacie. Mdły blask z toalety ledwie pozwalał je dojrzeć.

– To pan, Evans? – spytała kobieta. Tym razem jej głos brzmiał normalnie. Mówiła chyba wprost do niego, ale jak mogła go widzieć w tej ciemności?

– Tak – wychrypiał oficer. – To ja.

– Zamierzam złamać świetlówkę – powiedziała Anderson. – Usłyszycie cichy trzask, a potem pojawi się przed wami zielone światło. Będzie dość jasno, abyśmy wszyscy mogli się zobaczyć.

Rzeczywiście, dał się słyszeć odgłos, jakby ktoś nastąpił na szkło i po drugiej stronie otworu pojawiła się zielonkawa poświata. W ciągu paru sekund nasiliła się na tyle, że mogli przyjrzeć się nadciągającym osobom. Evans zauważył, że Molloy jakby zeszywniał i mocniej zacisnął dłonie na broni.

– Marynarzu – powiedział cicho. – Przejdźcie się do wychodka i sprawdźcie, czy nie dałoby się przynieść tamtej lampy. Potrzebujemy więcej światła.

Moose chciał chyba podać w wątpliwość sens tego rozkazu, ale zimne spojrzenie bosmana Mohra przywołało go do porządku. Mruczając coś pod nosem, poszedł, gdzie mu kazano. Evans był zbyt zmęczony i obolały, aby zwrócić uwagę na tę drobną niesubordynację. Westchnął przeciągle, widząc już dobrze, kto stanął kilka stóp od niego.

Uznał, że starszawy mężczyzna musi być bosmanem. Wyglądał na bosmana, był masywny i pewny siebie. Kobieta rzeczywiście okazała się Murzynką, i to dość wysoką, sądząc po tym, jak musiała pochylić się w przejściu. Nosiła jakiś nie znany mu rodzaj kamizelki ratunkowej, miała też parę gogli, obecnie odsuniętych na czoło. Ona i bosman nieśli shotguny, zapewne podobne do tego, z którego załatwiono Stolza. Ale to wszystko było nieistotne wobec zagadki, którą okazał się trzeci człowiek, zapewne wspomniany wcześniej Nix.

Nawet w jaśniejszym blasku był ledwie widoczny. Strój miał chyba czarny, ale niewiele dawało się dojrzeć, bo ten kombinezon, czy cokolwiek to było, zdawał się chłonać światło. Niczego nie odbijał i postać co rusz umykała spojrzeniu, wtapiała się w kolejne cienie po drodze. Zupełnie jak widmo. Oczy mężczyzny były olbrzymie, prawie jak u owada. Dopiero po chwili Evans dostrzegł, że to też jakieś gogle. Żołnierz nie zdjął ich jednak; zdawał się cały czas czujnie lustrować otoczenie. Jego broń, dziwaczna, żywcem przeniesiona z kreskówek o króliku Rogersie, jakby płynęła obok. Peter Evans miał wrażenie, że nie zdążyłby nawet mrugnąć, gdyby ten facet chciał strzelić mu między oczy. Był pewien, że widział już wcześniej tę postać na pokładzie obcego okrętu.

– Przecież to niemiecki żołnierz! – syknął Mohr. – Proszę spojrzeć na jego hełm, komandorze. I jeszcze ubrany na czarno. To szkop!

– Marynarz Nix pozdrawia z Fort Worth, z Teksasu – powiedziała czarna kobieta. – Jego poglądów politycznych nie jestem pewna.

– Tradycyjny południowy demokrat, ma'am – odezwał się Nix z typowym teksańskim akcentem.

– Cóż, różne ludzie mają gusta. Ale nie wykorzystamy tego przeciwko niemu. Niemniej mogę zapewnić, że nie jest oficerem SS.

– No to kim jest? – nie wytrzymał Evans, rozdrażniony do granic tą zwykłą pogawędką toczoną w niezwyklej okolicznościach.

Kobieta, która nazywała siebie kapitanem, zachowała mimo to całkowity spokój.

– Nix jest moim specjalistą do spraw abordażu. W obie strony. Jeśli jego obecność pana niepokoi, mogę kazać mu się wycofać, komandorze Evans. Przede wszystkim musimy jednak porozmawiać i jak najszybciej coś zdecydować. Nasze połączone okręty nie wytrzymają już długo. Na początek proponowałabym zatrzymanie maszyn, aby dodatkowo nie obciążać konstrukcji.

– Może pani powtórzyć nazwisko? – spytał Evans.

– Anderson. Kapitan Daytona Anderson z USS *Leyte Gulf*.

– I ja mam w to uwierzyć? Nie urodziłem się wczoraj...

– Niech pan posłucha, komandorze. Nie oczekuję, że uwierzy pan w moje słowa, bo sama ledwo wierzę w to, co widziałam przez ostatni kwadrans, ale chwilowo to ja rozdaję karty. Czy pana okręt to ciężki krążownik *Astoria*? Czy nie płynął pan przypadkiem pod Midway, aby stawić czoło japońskiej flocie inwazyjnej?

Evans omal się nie roześmiał.

– Chyba pani żartuje. Naprawdę sądzi pani, że powiem cokolwiek na ten temat?

– Nie – westchnęła. – Nic pan nie powie, o ile poważnie traktuje pan swoje obowiązki. Ale spróbujemy inaczej. Jeśli płyniecie pod Midway, to jako zespół 17.2, który tworzycie razem z krążownikiem *Portland*. Dowódcą jest admirał William Smith. Wasz zespół jest z kolei częścią TF 17 dowodzonego przez Franka Fletchera na pokładzie lotniskowca *Yorktown*. Razem z wami płynie tam zespół TF 16 skupiony wokół lotniskowców *Enterprise* i *Hornet*. Tym zespołem dowodzić miał „Bull” Halsey, ale musiał zostać w Pearl z powodu wrzodów i dowodzenie przejął Ray Spruance, taki sam jak pan oficer z krążownika. Myśli pan, że Japończycy o tym wiedzą? Oni sądzą, że *Yorktown* zatonął na Morzu Koralowym. Nie mają pojęcia, że naprawiono go w trzy dni w Pearl. Nie sądzą nawet, aby coś takiego było w ogóle możliwe. Poza tym nawet gdyby czegoś się domyślali, czy ma ich pan za skończonych idiotów gotowych wysłać mnie, czarną kobietę, aby jako kapitan marynarki Stanów Zjednoczonych podejmowała z panem negocjacje? I czy sądzi pan, że Japończycy

potrafiliby zrobić z pańskim okrętem to, co my zrobiliśmy?

Evans poczuł, jak żołądek podchodzi mu do gardła. Spojrzał na Mohra, ale ten wyglądał na równie wstrząśniętego i zagubionego. Sytuacja naprawdę ich przerosła.

– Komandorze Evans? – odezwała się znowu Anderson. Zanim zdążył pozbierać myśli, na scenę wkroczył z powrotem Moose Molloy.

– Komandorze, mam tu coś dziwnego, sir. Chyba lepiej będzie, jak pan to zobaczy.

W polu widzenia pojawiło się źródło światła silniejsze niż to zielonkawe coś przyniesione przez przybyszy. Molloy przeciskał się koło biurka z tym czymś w ręku. Był to przedmiot rozmiaru małej książki, tyle że jaśniał niczym teatralny reflektor.

– Co to jest, u diabła? – spytał Mohr.

– Flexipad – powiedziała Anderson.

Gdzieś rozległ się pojedynczy strzał. Evans nie zdążył zareagować, bosman go uprzedził.

– Opuścić broń, idioci! – ryknął. – Wstrzymać ogień! Osobiście palnę każdego, kto znowu się wyrwie!

– Dziękuję, szefie – powiedziała kobieta.

Mohr nie odpowiedział, spojrzał tylko na nią ze złością. Moose przedostał się w końcu do nich i podał flexipad Evansowi. Bardzo ostrożnie. Oficer chwycił przedmiot, rozmazując zaschlą krew na ekranie.

Obudowa była elastyczna, jakby zrobiono ją z gumy, ale gumowa na pewno nie była. Evans nie dotykał jeszcze nigdy czegoś podobnego. Drobiazg okazał się niespodziewanie ciężki. I on, i Mohr spojrzeli na ekran, który pokazywał coś w rodzaju mapy pogody. Tyle że obraz był ruchomy, niczym krótki, odtwarzany w kółko film. Pokazywał układ chmur i prądów powietrznych nad cieśniną Wetar w pobliżu Timoru.

Było to równie niesamowite jak wszystko, co widzieli dotąd.

Evans miał wrażenie, jakby spoglądał w małe okno umieszczone setki mil na ziemią. Nie mógł oderwać od niego oczu.

– Potrzebuje pan opieki medycznej, komandorze – odezwała się Anderson, wrywając go z transu. – Mamy na *Leyte Gulf* szpital na sześćdziesiąt łóżek. Nie został uszkodzony. I pan, i pańscy ranni na pewno tylko skorzystają, jeśli to my się nimi zajmiemy.

– To wy spowodowaliście te obrażenia, pani kapitan.

Po raz pierwszy zwrócił się do niej poprawnie.

– Tak, my, komandorze Evans. Zabiliśmy zapewne ponad trzydziestu pańskich ludzi podczas walki na pokładach. Nie wiem, ilu zginęło w innych punktach okrętu. Nasze systemy obronne są uszkodzone, jednak według Nixa niektóre i tak zadziałały, z osobna i w trybie awaryjnym. Obawiam się, że doliczycie się wielu ofiar.

– Zabiliście wszystkich na mostku – powiedział Evans, nie mając ochoty na dyplomację. – Rozwaliliście ich. To byli moi przyjaciele.

Anderson nie odpowiedziała. Rozpięła kamizelkę, odłożyła broń i podeszła do samej szczeliny.

– Przykro mi, komandorze. Jednak wy też zabiliście wielu moich ludzi.

– Tylko pieprzonych czarnych i... – zaczął Molloy, ale Mohr uciszył go uderzeniem otwartej dłoni.

Kapitan Anderson puściła tę uwagę mimo uszu.

– Kim wy jesteście? – wykrztusił z siebie Evans.

– Powiedziałałam już. Amerykanami. Tak jak wy.

8

USS Hillary Clinton, 2 czerwca 1942, godzina 23.12

– Mówi Spruance! Kim, u diabła, pan jest? Co to za głupi pomysł, aby mieszać nam w łączności? Lepiej podaj jakiś dobry powód, bo inaczej będziesz za to wisiał!

Mostek wypełnił głos człowieka, którego od dawna uważano za zmarłego. Nie żył już w chwili, gdy młody Philip Kolhammer cyzelował swój model *Dauntlessa*. Admirał słuchał go teraz z nabożnym skupieniem. Ten głos był dlań bardziej przerażający niż szalejące na pokładzie lotniczym pożary.

Zaczerpnął głęboko powietrza.

– Mówi admirał Kolhammer, Marynarka Wojenna Stanów Zjednoczonych. Pełnię obecnie obowiązki dowódcy *USS Hillary Clinton* i jestem dowódcą zespołu UN PRO FLEET działającego na podstawie mandatu Organizacji Narodów Zjednoczonych, zgodnie z rezolucją numer 3312 Rady Bezpieczeństwa. Proszę o wstrzymanie ognia. Admirale Spruance, doszło do strasznej pomyłki. Walczyście z sojusznicznymi siłami. Powtarzam, wstrzymajcie ogień. Macie przed sobą amerykańskie i sojuszniczne okręty.

Z głośnika wylał się strumień inwektyw. Kolhammer odczekał chwilę i najspokojniej, jak potrafił, powtórzył wszystko raz jeszcze. Dziobowe lasery zniszczyły kolejną salwę pięciocalowych pocisków świadcząca o tym, że Spruance nie dał się przekonać. Na pokładzie sanitariusz odciągał jakieś ciało od źródła ognia, który ogarnął prawie jedną trzecią długości lotniskowca za wysepką.

Bezwładny ciężar zostawiał za sobą ciemny ślad.

– Admirale Spruance – odezwał się znowu Kolhammer. – Strzela pan do zespołu pozostającego pod amerykańskim dowództwem. My wstrzymaliśmy już ofensywny ogień. Oczekujemy od pana tego samego.

USS Enterprise, 2 czerwca 1942, godzina 23.14

Tkwiący w zatłoczonej do granic kabinie radiowej admirał Spruance zasłonił dłonią mikrofon.

– Nadal nie udaje się wywołać Pearl? – spytał operatora.

– Niestety, sir. Ten Kolhammer jest wszędzie, na wszystkich częstotliwościach. Nie mogę nawet nawiązać łączności z innymi okrętami. Wszyscy odbierają tylko tę jedną transmisję.

– Jak to możliwe? – spytał gniewnie Spruance. – Nie, mniejsza z tym. W tej chwili to nieważne. Liczy się fakt, że tak jest. Ale kto to może być? – spytał, patrząc po obecnych. – Czy ktokolwiek zna admirała Kolhammera? I ten okręt, o czym on, u diabła, mówi? *Hillary Clinton*, dobry żart!

Czterej oficerowie, którzy jakoś zmieścili się w małej kabinie, tylko pokręcili głowami.

– Admirale – odezwał się komandor Black – te sukinsyny zniszczyły *Yorktowna* i *Horneta*. Zatopili nasze krążowniki i większość niszczycieli osłony. Nawet zakładając najgorszy możliwy scenariusz pomyłki, żaden amerykański dowódca nie zrobiłby czegoś podobnego. To musi być jakieś oszustwo.

Spruance zamilkł na kilka chwil. W końcu uniósł mikrofon do ust.

– Mówi Spruance. Nie ma takiego okrętu ani admirała o takim nazwisku. Proszę podać prawdziwą tożsamość i wstrzymać ogień. Nie mam daleko do okna i widzę, że pan kłamie. Nadal strzelacie tak, że jasno się robi.

– Ten ogień nie jest kierowany przeciwko wam – odezwał się Kolhammer. – Może trudno będzie panu w to uwierzyć, ale... niszczymy w ten sposób pociski, którymi w nas strzelacie.

Curtis pozwolił sobie na śmiech, po czym zerknął na Beanlanda, który tak się skrzywił, że podporucznik momentalnie spoważniał. Spruance i Kolhammer spojrzeli po sobie, przekonani, że rozmawiają z szaleńcem. Zanim jednak zdołali wyrazić tę myśl głośno, Kolhammer znowu się odezwał. Im dłużej Spruance go słuchał, tym bardziej czerwieniał na twarzy.

– Admirale, wiemy, że kieruje się pan w stronę Midway, aby przechwycić japońskie zgrupowanie floty pod dowództwem admirała Yamamoto. Wiemy też, że postanowiliście zignorować dywersyjną akcję Drugiego Zespołu Uderzeniowego Lotniskowców pod dowództwem wiceadmirała Kakuty, który zmierza w tej chwili ku Aleutom. Wiemy, że wywiad Floty Pacyfiku prowadzony przez komandorów Rocheforta i Safforda zdołał złamać szyfr japońskiej marynarki zwany JN25 i w ten

sposób uzyskaliście dokładne informacje o japońskich planach opanowania Midway, z pełnym rozkazem bojowym włącznie. Rozumiem, że nie jest pan zadowolony, że mówię to wszystko otwartym tekstem, ale zapewniam, że teraz jest to już nieważne. Za pół minuty wszystkie okręty mojego zespołu włączą światła pozycyjne.

Kolhammer skinął na Judge'a, który przekazał rozkaz do wykonania.

– Na pewno trudno panu uwierzyć w moje słowa, ale o to właśnie muszę prosić – ciągnął Kolhammer. – Nie otworzymy już do was ognia. Ujawnimy swoje pozycje. Proszę o pozwolenie na wejście na pokład *Enterprisea*, abym osobiście mógł wyjaśnić, co dokładnie się stało. Gwarantuję bezpieczeństwo zarówno pańskiemu zespołowi, jak i atolowi Midway.

Kolhammer starał się mówić podobnym tonem jak ci specjaliści, z którymi miał do czynienia podczas odpraw urządzanych po każdym traumatycznym zdarzeniu, gdy był jeszcze pilotem myśliwskim. Mike Judge przekazał mu tymczasem odręczną notatkę z informacją, że jego zastępca wziął już niektóre sprawy w swoje ręce i nakazał *Siranui* opuścić banderę oraz zniknąć w miarę możliwości z pola widzenia, najlepiej schować się za *Kandahara*. Kolhammer przeczytał notkę i pokazał uniesiony kciuk.

– Rozumiem, że ponieśliście ciężkie ofiary, ale my także. To była potworna pomyłka. Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, aby pomóc waszym rannym i przeciwstawić się każdemu, kto będzie zagrażał amerykańskim albo sojuszniczym interesom w tym teatrze działań wojennych. Przede wszystkim jednak nalegam na wstrzymanie ognia, abyśmy mogli wszyscy jakoś zapanować nad sytuacją.

* * *

Cała flota dowodzona przez Kolhammera zajaśniała od świateł. Widoczne teraz dokładnie smukłe, niezwykle w swej konstrukcji okręty wzbudziły wśród marynarzy niemal równie wielkie zdumienie jak sam fakt pojawienia się obcych jednostek. Jakiś marynarz wetknął głowę do kabiny radiowej.

– Admirale Spruance? Chyba powinien pan wyjść i sam to zobaczyć.

Spruance wręczył włączony mikrofon operatorowi i w towarzystwie członków swego sztabu wyszedł na pomost. Morze pełne było szczątków zatopionych okrętów, głównie własnych, ale widać było jeszcze coś. Ktoś wręczył admirałowi wielką lornetkę. Ten drżącymi rękami uniósł ją do oczu. Kołysanie lotniskowca utrudniało patrzenie, ale już widok pierwszej jednostki, którą złapał w pole widzenia, zaparł mu dech w piersiach. Okręt miał trzy kadłuby, a na teleskopowym maszcie nad mostkiem widniała największa chyba bandera, jaką udało się znaleźć w magazynie. Banderą była brytyjska. Poza tym pokład był zupełnie pusty.

Spruance opuścił nieco lornetkę i poszukał następnej sylwetki. Była równie dziwna, ale miała tylko jeden kadłub. Na jej maszcie łopotały znajome pasy i gwiazdy. I tutaj nic nie mąciło gładzi pokładu.

Admirał przebiegł spojrzeniem po kolejnych okrętach. Dostrzegł między nimi lotniskowiec, który przypominał rozmiarami i sylwetką jego własny. Za nim dojrzał jednostkę Kolhammera. Lotniskowiec płonął jeszcze po trafieniu bombą, ale pożary chyba przygasały. Nawet ze sporej odległości było widać, że ten okręt to prawdziwe monstrum, nawet *Lexington* byłby przy nim karzełkiem. Żaden z obcych okrętów nie prowadził ognia.

Było niemal spokojnie.

Spruance westchnął i spojrział na Dana Blacka. Nieco się już opanował, chociaż ręce nadal mu drżały.

– Chyba lepiej będzie, jak porozmawiamy z tym Kolhammerem.

Część 2

Détente

9

USS Enterprise, 2 czerwca 1942, godzina 23.22

– Co to, u diabła? – mruknął pod nosem komandor Black.

– Nie mam bladego pojęcia – powiedział ktoś stojący za nim.

– A ja widziałem kiedyś coś podobnego – odezwał się okrętowy kapelan. – Jeszcze przed wojną, gdy byłem w Rzymie na urlopie naukowym. Miałem to szczęście, że pokazano mi archiwum prac Leonarda da Vinci. Mam wrażenie, że Leonardo narysował maszynę przypominającą tę tutaj, ze śmigłem na szczycie. Wynalazł też spadochron, jak pewnie pan wie.

– To Hiller-Copter – powiedział podporucznik Curtis, fanatyk lotnictwa. Z powodu wady wzroku nie przyjęto go do szkoły lotniczej i miast wymarzonej kariery pilota musiał zadowolić się stanowiskiem asystenta okrętowego płatnika. Silne szkła w czarnych oprawkach były mu niewątpliwie pomocą w tej pracy, jednak o wiele częściej korzystał z nich przy lekturze „Jane’s Fighting Aircraft” albo „Aviator Monthly”

Dziwny, jasno oświetlony wehikuł był coraz bliżej.

– Co? – spytał Black, przekrzykując narastający hałas.

Podmuchi od wirnika zmusił patrzących do odwrócenia się, akurat w kierunku Curtisa, który tylko zmrużył oczy, aby nie stracić nic z widowiska.

– Hiller-Copter albo coś bardzo podobnego – krzyknął. Był pewien swego. Jego zwykła nieśmiałość gdzieś zniknęła.

Kto żyw ze zgromadzonej grupy wyciągał szyję, aby dojrzeć nadlatującą maszynę. Na pokładzie krążyły już plotki, że to eksperymentalna konstrukcja mająca dać Japończykom do wiwatu. Inni twierdzili, że to Yamamoto przylatuje, aby negocjować warunki kapitulacji. Łącznościowcy z *Astorii* dodali swoje, wspominając o kosmitach i kobietach z Marsa.

Wally Curtis nie zwracał uwagi na ciche gadanie. Był pewien, że to Hiller-Copter albo nawet Higgins. Gdy maszyna zawisła nad pokładem i skierowała reflektory na miejsce lądowania, bez dwóch zdań wyglądała jak Higgins, którego rysunek zamieścił niedawno „Aviator Monthly”. A był on przecież tylko wizją artysty, który nie wiedział dokładnie, jak będzie prezentować się gotowy prototyp.

Ale był blisko, pomyślał Curtis, patrząc z zachwytem na maszynę. Zamiast dwóch przeciwbieżnych wirników, jak w Hillerze, miała tylko jeden. I jeszcze niewielkie śmigło ogonowe, którego brakowało w Hx-44.

Miotany podmuchami wiatru Curtis zacisnął zęby. Serce załomotało mu w piersi, gdy maszyna zaczęła zniżać się gwałtownie nad pokładem. Zamarł, gdy nagle za pierwszym wiatrakiem pojawił się kolejny. O ile pierwszy robił wrażenie nieco ociężałego, przeznaczonego raczej do przewożenia ładunków, drugi był o wiele mniejszy i smuklejszy. Przywodził na myśl groźnego szerszenia.

Wally od razu się zorientował, że widoczne po bokach skrzydełka nie miały dostarczać siły nośnej, ale podwieszano na nich jakieś uzbrojenie. Pokręcił głową, próbując sobie wyobrazić, jak groźna mogła być ta maszyna na polu walki. Z samego dziobu sterczało coś przypominającego bardzo nowoczesne działko, być może zdolne nawet do prowadzenia ciągłego ognia.

Wszystkie te myśli wyrażał natychmiast głośno, nie dbając, czy ktoś go słyszy czy nie, jednak otoczenie pilnie łowiło każde jego słowo. Były górnik z kopalni miedzi, bywały w świecie ojczulek, zawodowi żołnierze i marynarze z poboru, wszyscy oni byli w tej chwili po trosze ciekawymi nieznanego chłopcami. O ile oni czuli się z minuty na minutę coraz bardziej wstrząśnięci, o tyle porucznik Curtis wpadał w coraz większy zachwyty.

– Skąd oni mogą być, Wally? – krzyknął komandor Black.

– Higginsa oblatują w Nowym Orleanie – odkrzyknął Curtis. – Hiller Industries mieści się w Berkeley w Kalifornii. Ale te maszyny są bardziej nowoczesne. Trudno mi odgadnąć, kto je zbudował. Może Hughes; realizowali ostatnio na pustyni jakiś nowy projekt. Albo Landgraf, albo Piasecki. Nie wiem, sir.

Maszyny przygasiły reflektory i usiadły przed wysepką, dokładnie na płycie głównej windy. Nikt ich nie naprowadzał, bo nikt nie wiedział, jak to zrobić. Setki ludzi śledziły je z najróżniejszych

miejsca na okręcie, wypełniając każdy skrawek wolnego miejsca na sępiej grzędzie i na całej nadbudówce, stojąc na bateriach dział przeciwlotniczych i samym pokładzie, chociaż pokład miał pozostawać wolny. Większość jednak tylko gapiła się z otwartymi ustami. Nieliczni dostrzegli na burtach maszyn oznaczenia US Navy i kokardy Royal Navy.

Przez tłum przeszedł pomruk, gdy z pierwszej maszyny wysiadła kobieta. Z drugiego wiatraka wyskoczył Murzyn ubrany w rodzaj munduru polowego; wylądował na odeskowaniu pokładu z wdziękiem pantery. Niższa postać, która pojawiła się zaraz za nim, nie miała w sobie nic niezwykłego, ale stąpała z podobną jak pierwsza dwójka pewnością siebie.

* * *

To było czyste szaleństwo.

Kolhammer i Jones ciągle jeszcze nie mogli dojść do siebie. Podczas lotu udało im się chwilę porozmawiać o przeniesieniu, jak zaczęto nazywać niedawny incydent. Kolhammer przedstawił to, co pamiętał z odpraw, i chociaż żaden z nich nie wiedział wiele o pianie kwantowej, wspólnie doszli do wniosku, że skoro coś zmiotło z nieba satelity i wyłączyło praktycznie wszystkie nadajniki na świecie, to raczej oni znaleźli się w innym wymiarze, nie zespół Spruance'a.

Niemniej nie starczało im wyobraźni, aby przyjąć do wiadomości, że odbyli podróż w czasie.

I tak byli w lepszej sytuacji niż druga strona. Ostatecznie w ich świecie uznawano powszechnie, że taka podróż zapewne jest możliwa. Kolhammer wziął ze sobą teczkę z wycinkami i wydrukami prawie dwustu stron różnych artykułów na temat teorii światów równoległych. Teksty pochodziły z takich periodyków, jak „Scientific American” „Popular Quantum Mechanics” „Esquire”, „GQ” czy nawet „New York Times”. Jeśli miejscowi mu nie uwierzą, może słowo drukowane ich przekona. Admirał odkrył ze zdumieniem, że jeden z artykułów w „Timesie” napisał nie kto inny jak Julia Duffy. Co więcej, był to jeden z najlepszych tekstów. Mimo to szybko odsunął od siebie myśl, aby posłać po dziennikarkę.

Przeczytał jednak jej materiał dwa razy i pojął, że zespół, którym jeszcze dwie godziny wcześniej się opiekował, szukał militarnych zastosowań dla teorii światów równoległych.

O wiele gorsza była sytuacja tych, z którymi przyszło im toczyć nocną walkę. Dla nich podobny koncept był czymś niewyobrażalnym. Obcym. Nie do przyjęcia. W ich czasach radar był ostatnim cudownym krzykiem techniki. Telewizja ciekawostką, której nie wrócono większej przyszłości. O silnikach odrzutowych i śmigłowcach mogli co najwyżej poczytać w fachowych czasopismach albo magazynach science fiction. O Murzynach i kobietach w mundurach oficerów nie pisano chyba nawet tam. Cóż, wyglądało na to, że jego i jego ludzi nie czeka serdeczne przyjęcie, szczególnie że byli odpowiedzialni za śmierć wielu niewinnych ludzi.

Uzbrojony oddział piechoty morskiej rzucił się nagle w kierunku śmigłowca, o mały włos nie doprowadzając do przedwczesnego zakończenia rozejmu. Jones musiał czym prędzej wyskoczyć i dać znak żołnierzom, aby się pochylił; dzięki temu uniknęli skrótów o głowę przez obracający się ciągle wirnik Seahawka. Widząc nagłą szarżę Jonesa, trzech marines uniosło broń i wzięło go na cel.

– Porąbany czarny sukinsyn – powiedział dowodzący pododdziałem sierżant i splunął na pokład. Ani myślał się zatrzymać.

Jones opadł na jedno kolano i energicznym ruchem wskazał śmigające łopaty wirnika.

– Na dół, dupki! – wrzasnął, przekrzykując hałas silnika.

W końcu sierżant zrozumiał i zatrzymał swoich ludzi. Ze śmigłowca wysiadł tymczasem Kolhammer. Stał obok Halabi. Oboje niemal złożyli się wpół, aby podkreślić, jak ważne było ostrzeżenie Jonesa. W końcu we troje wyszli z zagrożonej strefy, oba wiatraki zaś wyłączyły silniki; ich załogi także wysiadły. Admirał miał nadzieję, że ów gest zmniejszy choć trochę panujące między obiema stronami napięcie.

* * *

Wysoko ponad nimi, przy domku pilota, tkwiła jedna z wielu grupek obserwujących całe zdarzenie.

– Popatrzcie tylko na tyłek tej laluni – odezwał się nawigator z dywizjonu torpedowego.

– A widzisz, z kim przyleciała, Mack? Gość ma chyba osiem stóp wzrostu.

– I tak bym mu dołożył...

– Chyba jajecznicy na talerz.

– Schodzę – oznajmił porucznik Curtis.

Wszyscy puścili jego słowa mimo uszu, tylko komandor Black, który stał przy samym relingu, przepchnął się przez tłumek, aby podążyć za młodszym oficerem.

– I co o tym wszystkim myślisz, Wally? – spytał, gdy schodzili na pokład lotniczy.

Curtis był tak podekscytowany, że prawie zapomniał, iż rozmawia z starszym tak wiekiem, jak i stopniem.

– To coś wielkiego, sir – odparł bez cienia nieśmiałości. – Idę o zakład, że nie wyobrażamy sobie jeszcze, jak wielkiego. Coś żywcem z „Amazing Stories”.

– Lubi pan hazard, poruczniku? – zaciekał się Black.

– Nie, sir. Hazard to grzech i wykroczenie przeciwko regulaminowi. Chcę tylko powiedzieć...

– Jasne, synu. Zresztą i tak nie przyjąłbym podobnego zakładu. Sądzę, że przegrałbym z kretesem.

* * *

Jones stał na pokładzie lotniczym, otoczony wyraźnie nieprzyjaznymi marines z uniesionymi Springfieldami, i zastanawiał się, czy plan Kolhammera się powiedzie. Sądził, że Spruance przywita ich zaraz po opuszczeniu śmigłowca, tymczasem na razie mieli do czynienia z anonimową publicznością i drużyną wartowniczą. Na dodatek dowodzący marines sierżant szepnął krótko:

– Przedstawcie się!

Wszyscy troje nosili mundur od lat i przywykli do ostrych komend. Odpowiedzieli jak najspokojniej:

– Admirał Philip Kolhammer, Marynarka Wojenna Stanów Zjednoczonych.

– Pułkownik J. L. Jones, Piechota Morska Stanów Zjednoczonych.

– Komandor Karen Halabi, Królewska Marynarka.

– Jesteśmy tu oczekiwani, sierżancie – dodał Jones tonem, który tamten musiał rozpoznać. Na oko dwudziestoletni, na pewno przeszedł już swoje w piechocie morskiej.

– Taki dupek jak ty na pewno nie – mruknął pod nosem sierżant.

Jones zrobił krok w jego kierunku.

– Daruję ten przejaw niesubordynacji, bo nie zna mnie pan jeszcze, sierżancie – powiedział głosem przypominającym pomruk silnika czołgu typu Abrams. – Ale to poznajesz, chłopcze? – Wskazał palcem srebrne orły i oznaki Marine Corps na kołnierzu. – Albo będziesz okazywał szacunek dla munduru piechoty morskiej, albo własnoręcznie cię tego nauczę. Teraz, przy twoich ludziach.

Mówiąc to, nie spuszczał spojrzenia z sierżanta. Tamten zacisnął szczęki, jakby z trudem nad sobą panował. Jones wiedział, co się dzieje. Ugruntowane przez lata przesady walczyły w nim z właściwą żołnierzowi piechoty morskiej dyscypliną. W 1942 roku nie było jeszcze w tej formacji czarnoskórych, w okresie powojennym opór przed zniesieniem segregacji rasowej był w niej bardzo silny.

Młody sierżant nie był jednak zdolny stawić oporu Jonesowi, który zjadł zęby na dowodzeniu najróżniejszymi ludźmi. Uległ silniejszemu.

– Zobaczmy – powiedział, czerwony na twarzy. Wyglądał na pechowca, który wdepnął w coś bardzo paskudnego.

* * *

Kolhammer obserwował incydent w milczeniu. Dobrze znał Jonesa. Pracował z nim już dwa lata, wcześniej sporo o pułkowniku słyszał. Miał świadomość, że nie należy oceniać człowieka, licząc jego medale. Na niezwykle czyny ludzie zdobywają się przeważnie w niezwykłych okolicznościach. Niemniej to, co właśnie zobaczył, potwierdziło jego przypuszczenia.

Nikt nie mógł bezkarnie zdrzeć z pułkownikiem Jonesem.

Stojąca obok Halabi też była pod wrażeniem; na jej przedramionach pojawiła się gęsia skórka. Znajdujący się nieco dalej Chris Harford i Amanda Hayes zauważyli znacznie mniej.

– Słowo daję, ale wdepnęliśmy – dało się słyszeć.

Harford uśmiechnął się lekko, po raz pierwszy od chwili lądowania. Zaraz jednak uśmiech zamarł mu na twarzy. Od strony wysepki maszerowała ku nim kolejna osoba. Admirał Raymond Ames Spruance.

Zdaniem Halabi wyglądał raczej na bankiera niż admirała. Pomyślała, że z tą powierzchownością mógłby się przedstawiać jako Rothschild albo Rockefeller – krótkie, lekko siwiejące już włosy, rzymski nos i głębokie zmarszczki w kącikach ust. Stał przed dowódcą Wielonarodowych Sił i zmierzył go spojrzeniem.

– Pan jest Kolhammer?

– Tak.

Żaden z nich nie zasalutował, co dobitnie świadczyło o ich zmieszaniu. Nie wiedzieli, jakich reguł powinni się właściwie trzymać. Spruance spojrział na kamienną twarz pułkownika Jonesa, potem z zaskoczeniem odnotował obecność Karen Halabi. Jones zasalutował jak na paradzie. Admirał odpowiedział mu dopiero po chwili namysłu i jakby od niechcenia.

– Zabiliście tej nocy tysiące moich ludzi – powiedział. – W ciągu niecałej godziny sprawiliście, że zapewne przegramy tę wojnę.

– I pan zabił wielu moich podkomendnych – odparł Kolhammer. – I chciał zabić ich jeszcze więcej. Obaj toczymy wojnę, admirałe, a w czasie wojny ludzie giną. Czasem z bardzo błahych

powodów. Przykro mi z powodu waszych strat. Jeśli tylko pan pozwoli, zrobimy co w naszej mocy dla rozbitków.

– A co z Japońcami? – spytał Spruance lodowatym tonem. – Co im zamierzacie zrobić, skoro macie ich okręt w swoim zespole?

Kolhammer był pewien, że *Siranui* nie mógł ujść ich uwagi, skoro pojawił się tak blisko *Enterprise'a*. Ciekawe, czy Spruance widział japoński okręt na własne oczy... Zapewne tak.

– To jednostka Japońskich Sił Samoobrony działająca jako część naszego zespołu. Nie oznacza to jednak żadnego zagrożenia dla was, dla Midway ani dla Stanów Zjednoczonych.

– Proszę powiedzieć to załodze krążownika *Portland* – wycedził Spruance. – Posłałem niszczyciel na miejsce zatonięcia naszego okrętu, ale nie odnalazł ani jednego rozbitka. Ani jednego! Sam widziałem, jak wasz japoński przyjaciel odpalał rakiety, i nie dam się zwieść. Chcę wiedzieć, co tu się, u diabła, dzieje? Mówicie, że jesteście Amerykanami, ale zachowujecie się jak wrogowie.

– Gdybyśmy mogli gdzieś usiąść...

– W żadnym wypadku – przerwał mu Spruance. – Nie będzie żadnych sekretów. Jeszcze niedawno próbowaliście zabić tych wszystkich ludzi... – Spojrzał na zgromadzone wkoło setki marynarzy. – To ich musi pan przeprosić i to im przede wszystkim należą się wyjaśnienia.

* * *

Kolhammer zaczynał z wolna mieć tego dość. Wiedział, że nie będzie łatwo, ale nie zamierzał pozwolić, aby życie jego ludzi zostało uznane za mniej wartościowe. Przypomniawszy sobie zdanie z Szekspira: „Jest nas dość, by kraj poczuł naszą stratę” Jeżeli jego podejrzenia były słuszne, wszyscy znajdujący się pod jego dowództwem, a także on sam, mieli niebawem zostać wpisani na listę poległych.

W rękach ścisnął teczkę z wydrukami i fotokopiami. Nie wyobrażał sobie rozłożenia ich na mokrym pokładzie i wyjaśniania tym setkom ludzi mechaniki kwantowej i teorii światów równoległych. Szczególnie że sam ledwie rozumiał, o co w tym wszystkim chodzi.

Spojrzał na Jonesa i Halabi, jakby szukał w nich oparcia. Odwzajemnili jego spojrzenie, a na ich twarzach pojawił się cień ulgi – nie tylko oni czuli się zagubieni.

– Gorzkie lekarstwo najlepiej wypić jednym łykiem, admirale – powiedział Jones.

– Nie zdziwią się chyba dużo bardziej niż my – dodała Halabi.

– No i? – spytał Spruance, który chyba zaczynał się niecierpliwić.

Kolhammer wciągnął głęboko powietrze i rozejrzał się wkoło. Przez chwilę musiał przekonywać sam siebie, że to wszystko dzieje się naprawdę. Że prawdziwy jest ten mokry, drewniany pokład pod jego stopami, prawdziwe są te antyczne działa. I to morze ludzkich twarzy pośród chłodnej nocy. I postać, o której czytał w podręcznikach historii: Raymond A. Spruance.

– Jestem admirał Philip Kolhammer – zwrócił się do Spruance’a, ale mówił na tyle głośno, by słyszeli go też ludzie wkoło. – Urodziłem się w roku 1969, przypadkiem tym samym, w którym pan zmarł, admirał. Dowodzę Wielonarodowymi Siłami złożonymi z jednostek amerykańskich i sprzymierzonych. Naszym zadaniem było podejście do Indonezji, którą wy znacie jako Wschodnie Indie Holenderskie, i położenie kresu masowemu mordowaniu tamtejszych obywateli pochodzenia chińskiego. Jeszcze godzinę temu szykowaliśmy się do wykonania rozkazów. Było to w styczniu 2021 roku. Podczas rejsu z Pearl Harbor do naszego zespołu dołączył statek badawczy *Nagoya*, który miał przeprowadzić pewien eksperyment naukowy. Przypuszczam, że coś poszło nie tak... i z tego właśnie powodu tutaj jesteśmy.

Zamilkł. Spruance wpatrywał się w niego z niedowierzaniem, blady jak śmierć na chorągwi.

– Naprawdę sądzi pan, że w to uwierzę? – spytał w końcu cicho.

– Nie, nie sądzę – odparł Kolhammer. – Na pańskim miejscu też bym nie uwierzył. Niezwykłe deklaracje wymagają niezwykłych dowodów. Niemniej nasza obecność tutaj chyba o czymś świadczy. Moja, pułkownika, kapitan Halabi. Załóg naszych śmigłowców i samych maszyn. Widział pan kiedyś śmigłowiec, admirał? Nie, prawda? Są jeszcze nasze okręty odległe o dwanaście tysięcy metrów, czyli sześć mil morskich, na południowy zachód. Wydadzą się panu równie niezwykle jak śmigłowce. A może nawet jeszcze dziwniejsze. Może pan dokonać inspekcji każdego z nich. Może pan pytać, o co tylko pan zechce. Jednak każda minuta, którą pan w ten sposób zmarnuje, oznaczać będzie śmierć kolejnych ludzi, którzy pozostają jeszcze w wodzie. Sam pan chyba widzi, że nie jesteśmy stąd...

– Z tym zgodzę się bez wahania – wtrącił się Spruance. – Proszę mówić dalej – dodał spokojniej.

– Proponuję, aby udał się pan z nami. Lot Seahawkim na *Hillary Clinton* zabierze tylko kilka minut...

Spruance prychnął śmiechem na tę propozycję.

– Dobrze – zreflektował się Kolhammer. – Może pan wysłać kogoś innego. Kogoś, komu pan ufa, ale kogo może pan stracić, że wyrażę się wprost.

Spruance potarł szczękę. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w niezwykłych przybyszy i ich jeszcze bardziej niezwykle wehikuły.

– Ja polecę – odezwał się ktoś nagle.

Black nie marzył wcale o podobnej eskapadzie, ale miał już dość słuchania pewnego stojącego obok młodego porucznika, który z zapałem wyliczał, ile by oddał za jeden lot tym „Hiller-Copterem”

– Jesteś pewien, Dan? – spytał Spruance.

– Jedyne, czego jestem pewien, to że w okolicy nie ma żadnej kopalni miedzi, na pewno więc nie okażą się w najbliższym czasie niezbędny. Chciałbym też zabrać ze sobą obecnego tu porucznika Curtisa. W przeciwnym razie jego płacz nie da nam spać po nocach do końca wojny. Poza tym chyba tylko on jeden na całym okręcie wie, co to za maszyny.

Black wskazał oba stojące na pokładzie śmigłowce.

– Czy mogę, admirale? – odezwała się nagle Karen Halabi, postępując krok do przodu.

– Tak – odpowiedzieli równocześnie Kolhammer i Spruance. Halabi uśmiechnęła się i spróbowała nadać swojemu obliczu o euroazjatyckich rysach możliwie niewinny pozór.

– Mój zastępca na *Tridencie* radzi sobie niezgorzej, jeśli więc można, chętnie zostałabym tutaj, gdy tamci dwaj oficerowie udadzą się na *Clintona*. Wzięłam też trochę materiałów, które mogą się przydać.

Podawała Spruance'owi dwie trzymane w ręku książki. Oglądał je podejrzliwie, jakby były bombami zegarowymi, a Halabi wyciągnęła z kieszeni flexipad.

– Ponadto ściągnęłam z fleetnetu nagrania, które admirał może zechcieć obejrzeć. Filmy historyczne *Zwycięstwo na morzu* i *Świat w czasie wojny*. Oraz pokolorowaną wersję *Casablanki*.

– Wspaniale – rzekł Kolhammer. Słyszał o szybkich awansach tej młodej kobiety i teraz zrozumiał, czym sobie na nie zasłużyła. Potrafiła dostosować się do sytuacji lepiej niż większość oficerów, których przez lata miał okazję poznać. Był to zapewne efekt uboczny nieustannych konfliktów, które wstrząsały jej światem, wymuszona okolicznościami naturalna selekcja.

– Co pan na to, admirale? – spytał, spoglądając na Spruance'a. – Czas ucieka.

– Nie musi mi pan o tym przypominać! – warknął Spruance. – Lada chwila japońska flota zapuka do wrót Midway. Jeśli dowiedzą się, do czego doszło dzisiaj w nocy, chyba tylko sam diabeł zdoła powstrzymać ich przez zajęciem Pearl.

– Jak powiedziałem, uznajemy naszą odpowiedzialność i zrobimy wszystko, co okaże się konieczne, dla obrony Midway – powtórzył Kolhammer. – Jednak najpierw musimy sami dojść do ład. I uratować, kogo jeszcze się da.

– Czy to znaczy, że pańscy przyjaciele na *Siranui* też będą gotowi bronić amerykańskiej ziemi przed swoimi przodkami? – spytał lodowatym tonem Spruance.

To już pewien postęp, pomyślał Kolhammer. Wiedział, że Spruance zdołał na tyle dobrze obejrzeć sobie japoński krążownik typu stealth, że zna nawet jego nazwę.

– *Siranui* otrzymał bezpośrednie trafienie w mostek – odparł spokojnie, świadomie ignorując sarkastyczny ton rozmówcy. – Kapitan i większość starszych oficerów zginęli na miejscu. Leżeli

wtedy nieprzytomni, jeszcze oszołomieni po transzerze z naszego czasu. Obecnie okrętem dowodzi podporucznik Maseo Miyazaki, który sprzęgł wszystkie funkcje bojowe swojej jednostki z... naszą maszyną liczącą. Mówiąc inaczej, *Siranui* znajduje się w pełni pod amerykańską kontrolą. Nawet filiżanki kawy nie zdołają zaparzyć bez mojej zgody. Nie ja ich o to poprosiłem. Porucznik Miyazaki sam wysunął tę sugestię, a ja się zgodziłem, by zmniejszyć napięcie między naszymi zespołami.

Szczupła twarz Spruance'a jeszcze bardziej spochmurniała. Gdy Kolhammer skończył, bohater spod Midway patrzył na niego uważnie. Admirał miał wrażenie, że rozmówca stara się przejrzeć go na wskroś, odgadnąć, z kim właściwie ma do czynienia i na ile może mu zaufać. Komuś, kto przyznał się do sprowadzenia na zespół amerykański tyłu nieszczęść.

Nagle napięcie zniknęło z twarzy Spruance'a.

– Dobrze – mruknął. – Komandorze Black, pan i porucznik udacie się na ten okręt... *Hillary Clinton*. Proszę mi potem zameldować, czy pana zdaniem ci ludzie naprawdę mogą udzielić nam jakiejś pomocy. Ale wcześniej, jeśli pan pozwoli, chciałbym zamienić słówko na osobności...

* * *

Odeszli na tyle daleko od ludzi Kolhammera, aby ci na pewno ich nie usłyszeli. Spruance odwrócił się plecami do dwóch obcych mężczyzn i ich dziwnej towarzyszki. Przed sobą mieli dziób lotniskowca, powoli wznoszący się i opadający na długiej oceanicznej fali. Obaj byli lekko ubrani i drżeli na nocnym chłódzie, podczas gdy setki par oczu wpatrywały się w ich plecy.

– Musimy ustalić jakiś sygnał na wypadek, gdyby próbowali wam coś zrobić – powiedział Spruance. – Coś prostego, czego nie zauważą.

– Moja szanowna matka uczyła mnie, abym zawsze zwracał się uprzejmie do admirałów, nawet takich z krążowników, sir. Jeśli zatem zacznę używać innego języka, co jest do mnie całkiem niepodobne, będzie pan wiedział, że mamy kłopoty.

– Dobrze. – Spruance mimowolnie uśmiechnął się lekko. – I jeszcze ten młodzik, którego bierze pan ze sobą. Proszę na niego uważać. Jego matka na pewno chciałaby go jeszcze zobaczyć.

– Zrobię, co w mojej mocy, sir. Niemniej to był jego pomysł. Tak naprawdę to raczej porucznik Curtis zabiera mnie, nie ja jego. Gdyby coś poszło nie tak, dowie się pan. Jeśli będzie dobrze, biorę pełną odpowiedzialność.

– Trudno wyrazić to jaśniej.

– Sir?

– Tak, komandorze?

– Czy wierzy pan choć trochę w całą tę opowieść?

Ray Spruance zamyślił się na chwilę.

– Nie wiem. Naprawdę nie wiem. To czyste szaleństwo. Ale powiem panu jedno. Mam nadzieję, że oni nie kłamią, bo w przeciwnym razie Japończycy rozbiją nas w puch i może nawet wygrają tę wojnę. Na pewno zajmą Hawaje, może nawet Australię i Nową Zelandię, o ile im na tym zależy. Bez trudu dojdą nawet do Birmy i Indii. Niemcy z kolei przedrą się przez Persję i połączą się z nimi. To byłoby straszne. A z tymi raketami, których skuteczność dopiero co widzieliśmy, mielibyśmy jakieś szanse.

– A co z tym Murzynem i kobietą? Myśli pan, że są prawdziwi?

Spruance obrócił się ku grupce gości.

– Cuda chodzą stadami.

10

Podczas lotu, 3 czerwca 1942, godzina 00.05

Podporucznik Wally Curtis był niepozorny, ale błąd uczyniłby ten, kto chciałby go nie doceniać. Wychował się w Chicago i bardzo się różnił od otaczających go marynarzy pochodzących z zapadłych dziur w Kentucky czy Georgii, ludzi, którzy na palcach jednej ręki mogliby policzyć, ile razy widzieli wcześniej samochód, o ile potrafili liczyć i mieli jeszcze dość palców.

Teraz jednak Curtis czuł się niczym drwal, który wszedł na salony. Jednocześnie przepełniało go zadowolenie. W jednej chwili znalazł się w siódmym niebie. Starsi często pokpiwali z tego, co obiecał swoim rodzicom, nader dbającym o obyczaje prezbiterianom: że nie zlegnie z kobietą, o ile ta nie będzie jego żoną. A owo „zlegnięcie” którego jeszcze nie zaznał, nie mogło umywać się do podróży tym „helikopterem” – był o tym przekonany.

Wszystko, co się zdarzyło, było niesamowite i niezrozumiałe. Miał rację, gdy mówił niedawno komandorowi Blackowi, iż tej nocy spotkają się z czymś wykraczającym poza granice ich wyobraźni. Teraz był jak w transie. Młody i nielekliwy, dał się ponieść euforii.

Siedzący naprzeciwko niego pułkownik Jones uśmiechnął się, widząc jego rozradowaną minę. Komandor Black próbował zachować twarz, zdradzały go jednak zaciśnięte kurczowo na uchwytach dłonie. Curtis zachowywał się całkiem inaczej. W pewnej chwili Jones musiał go nawet usadzić z powrotem, bo młody człowiek niemalże wstał, aby zobaczyć jak najwięcej.

Najbardziej ciekawiły go światelka migające na pulpicie kontrolnym śmigłowca. Przeżywał ten lot chyba jeszcze bardziej niż fakt, że dopiero co po raz pierwszy w życiu ucisnął dłoń czarnego człowieka. I drugi raz spotkał kobietę pilota. Ojciec zabrał go kiedyś na pokazy lotnicze, w których brała udział Amelia Earhart, jednak porucznik Hayes była chyba jeszcze piękniejsza i bardziej

fascynująca.

– Z której części Chicago pan pochodzi, poruczniku? – spytał Jones.

Curtis i Black dostali zdumiewająco niewielkie zestawy słuchawkowe, które pozwalały im na rozmowy mimo hałasu wytwarzanego przez silniki Seahawka. Pozostali obecni na pokładzie nie nosili nawet tego. Jones próbował wytłumaczyć, że nie muszą, bo w głowy wszczepiono im urządzenia – nazwał je „chipami” – które pozwalają na bezpośrednią komunikację. Zrozumiany został o tyle, o ile. Black uznał to za majaczenie, bo niby jakim cudem ktoś może mieć w głowie radio? Curtis zaś nie próbował zrozumieć; cieszył się krystalicznie czystym dźwiękiem płynącym z słuchawek. Jones wcale nie mówił głośno, a słyszać go było doskonale.

– Z Oak Brooke, sir – odparł porucznik. – Mój ojciec ma sklep z towarami żelaznymi w North Lake.

– Znam dobrze tę dzielnicę – odparł Jones.

– Pułkowniku?

Curtis nie miał żadnych problemów z zaakceptowaniem Jonesa i uznaniem jego autorytetu. W zamian zyskał jego szacunek, co nie było wcale łatwe, o czym przekonało się już wielu młodszych oficerów z osiemdziesiątej drugiej.

– Nie chciałbym zostać źle zrozumiany, ale ciekawi mnie, czy tam, skąd przybywacie, wielu czarnych nosi mundury?

– Wszystko w porządku; to dobre pytanie, poruczniku. Proponowałbym tylko nie używać słowa „czarny”. Większość z nas uważa je za obraźliwe. Lepiej pamiętać o tym na pokładzie naszych jednostek – dodał, spoglądając także na Blacka. – Obecnie mówi się zwykle o „kolorowych Amerykanach” – Prychnął, chcąc dać do zrozumienia, że jemu samemu nie robi to różnicy. – Korpus jest ślepy na kolory, poruczniku. Cała armia jest taka, i to już od dłuższego czasu. Gdy admirał Kolhammer był jeszcze świeżo po studiach, służył pod świetnym fachowcem, przewodniczącym szefów połączonych sztabów, który pochodził z Jamajki. W waszych czasach byłby zwany czarnuchem, albo jeszcze gorzej.

– Potem odszedł ze służby, aby zostać sekretarzem stanu – dodał Kolhammer. – Może nawet zostałby prezydentem, gdyby nie pani Clinton.

– Ta kobieta, której imieniem nazwano wasz okręt? – spytał Curtis.

– Pani prezydent, która użyczyła imienia okrętowi. Najlepszy prezydent, o jakim marynarka mogła marzyć. Przynajmniej od czasów Ronalda Reagana.

– Tego aktora z westernów?

– Tego samego – uśmiechnął się Jones.

– Przepraszam, bez obrazy – wtrącił się Black. – Ale kolorowy prezydent? Kobieta prezydent? Aktor filmów klasy B w Białym Domu? Czy cała wasza historia jest tak humorystyczna? Chyba mnie nabieracie. Owszem, patrzę na was i widzę wiele zmian, ale przecież pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają.

Jones nie odpowiedział, tylko sięgnął pod fotel i wydobyl stamtąd torbę, w której trzymał gogle bojowe.

– Pilocie, czy dałoby się wywołać teraz fleetnet? – powiedział na kanale łączności wewnętrznej.
– Potrzebuję dostępu do mojego osobistego archiwum.

Podał gogle Blackowi.

– Proszę je nałożyć.

* * *

Były górnik z kopalni miedzi zerknął podejrzliwie na gogle, potem spojrzął badawczo na Jonesa, który tylko wzruszył ramionami. Po chwili wahania Black wyciągnął rękę. Podany mu sprzęt przypominał trochę dawne gogle lotnicze z czasów wielkiej wojny. Te były jednak znacznie lżejsze i jednocześnie robiły wrażenie napakowanych jakąś maszynerią czy urządzeniami elektrycznymi. Miały też bardziej opływowe kształty.

Załoczył je bez niczyjej pomocy czy instrukcji. Ku jego zaskoczeniu gogle jak żywe dopasowały się natychmiast do jego twarzy. Nie było to miłe wrażenie.

Ku swemu zaskoczeniu od razu zaczął widzieć wszystko jasno tak jak w dzień.

– Świetnie, udana sztuczka – powiedział. – Ale co to ma... ee...

Obraz zniknął bez ostrzeżenia. Przez chwilę było całkiem ciemno, potem pojawiły się promyki światła. Czasem delikatne niczym pajęczyna, czasem gwałtowne rozpryski jasności. Jones ustawiał coś na flexipadzie, Black zaś kołysał się w fotelu, zwiedziony wrażeniem lotu przez wirtualny kosmos ognia i blasku. Niekiedy zdawało mu się, że coś dostrzega, niewiele jednak zdołał rozpoznać poza globem i kotwicą, które były znakami marines, i ryczącym lwem z czołówki filmów MGM.

Jones znalazł wreszcie to, czego szukał. Komandor Black odchylił głowę jak widz na teatralnej widowni. Był w Waszyngtonie, wisiał nad olbrzymim tłumem liczącym może i milion osób. Widział pomnik Waszyngtona i Lincoln Memorial. Nagle tuż przez sobą ujrzał twarz czarnoskórego mężczyzny o zaokrąglonych policzkach i cienkich wąsikach. Wygłaszał przemówienie, a może kazanie. Mówił zdecydowanym i donośnym głosem niczym kaznodzieje, których Black zapamiętał z tych pełnych uniesienia nabożeństw, na które chadzał z ojcem.

– Miałem sen, że pewnego dnia ten naród powstanie i zacznie żyć zgodnie z treścią przesłania, które wybrał – zakrzyknął Murzyn – a które głosi, że wszyscy ludzie są równi...

Głos mężczyzny wypełnił świat, tymczasem przed oczami Blacka pojawił się obraz ludzi, mężczyzn i kobiet, czarnych i białych, atakowanych przez policyjne psy i przewracanych wodą z sikawek.

– Miałem sen, że pewnego dnia na czerwonych wzgórzach Georgii synowie dawnych niewolników i synowie ich właścicieli usiądą razem przy braterskim stole...

Pojawiły się pierwsze strony gazet z fotografią czarnego mężczyzny zastrzelonego w hotelowym patio. Zaraz ustąpiły miejsca kolorowym scenom wojny w dżungli. Black ujrzał białych i czarnych żołnierzy tak umazanych błotem, że z trudem można było określić kolor ich skóry. Na mundurze jednego z rannych widniały insygnia korpusu. Mężczyzna był czarny i miał głowę całą w bandażach. Spoczywała na kolanach białego towarzysza broni. Martwe oczy patrzyły w niebo, a twarz była wilgotna od łez przyjaciela.

– Miałem sen, że czworo moich dzieci żyć będzie w kraju, w którym będzie się je oceniać nie na podstawie koloru skóry, ale przymiotów charakteru...

Przed oczami Blacka przewinęły się kolejne urywki obrazów, którym towarzyszyła dziwna muzyka. Ujrzał uśmiechniętych czarnoskórych sportowców, których zagarnął nagle tłum ludzi. Tłum, w którym byli biali i czarni, Latynosi i Azjaci. Wszyscy uciekali przed chmurą pyłu powstałą po zawałeniu się jakiegoś olbrzymiego budynku. W tle nadal za ich plecami dźwięczał ten sam głos.

– Niech wolność rozbrzmiewa z potężnych gór Nowego Jorku...

Pośród ruin stała cała grupa marines, bez wątplenia najróżniejszego pochodzenia etnicznego. Napis podpowiedział, że chodzi o Damaszek. Chwilę potem pojawił się nieco drgający, jakby kręcony z ręki, film przedstawiający pułkownika Jonesa stojącego na trawniku Białego Domu. Przy nim stała niewiarygodnie piękna i – jak dla Blacka – aż nazbyt jasnowłosa kobieta o błękitnych oczach. Jego żona.

Kobieta nieustannie dotykała odznaczenia, które właśnie przypięto do piersi jej mężowi. Black poznał Medal of Honour. Jakaś uśmiechnięta czarnoskóra kobieta podeszła, aby mu pogratulować. Kolejny napis oznajmił, że była to wiceprezydent Rice.

Kazanie w tle nie milkło.

– Wreszcie wolni! Wreszcie wolni! Boże wszechmogący, wreszcie wszyscy jesteśmy wolni!

Obraz znieruchomiał i Black poczuł, że ktoś stuka w gogle. Uniósł je, powracając do panującego we wnętrzu śmigłowca mroku.

– Ma pan rację, komandorze – powiedział Jones, pochylając się w jego stronę. – Pewne rzeczy się nie zmieniają. Ale to nie znaczy, że w ogóle nie ma żadnego postępu. Nawiasem mówiąc, ten film przygotowała moja kuzynka na szkolną prezentację. Zebrała różne materiały, a sceny przed Białym

Domem nakręciła osobiście. Nieźle jej wyszło, nie sądzi pan? A ma dopiero jedenaście lat. Rodzice mają z nią pewnie krzyż pański.

Komandor Black przez chwilę nie wiedział, co powiedzieć.

– Czy ona... jest...

– Jest biała jak sam wielki szef Ku-Klux-Klanu. Kocha wujka Jonesa i chce iść w jego ślady. Niech Bóg ma ją w swej opiece.

– Za co dostał pan medal? – spytał Black, oddając gogle i poprawiając swoje słuchawki.

– Na razie wolałbym nie odpowiadać, komandorze – odparł Jones.

– Chyba nie rozumiem – zdumiał się Black.

– Zapewne. Czy brał pan kiedyś udział w prawdziwej walce, komandorze?

– Nie.

– A ja tak. Podobnie jak obecny tu La Salle i piloci tego śmigłowca. Aż zbyt wiele razy. Gdybym tylko mógł tego uniknąć, zrobiłbym to, niech mi pan wierzy. Nie chcę, aby moja kuzynka przechodziła przez to samo, ale niestety, w takim właśnie świecie się urodziła. Pewnych rzeczy można jednak być w nim pewnym. Ja jestem pewien, że każdy z moich ludzi w tym śmigłowcu dałby sobie za mnie obciąć rękę. I wiedzą, że ja uczyniłbym to samo dla nich. To naprawdę moi ludzie. Pana zaś jeszcze nie znam.

– To dość obcesowe podejście, nie sądzi pan? – spytał Black. – Najpierw pojawił się pan wraz z resztą jakby znikąd, a teraz oczekuje pan, że to ja będę starał się zyskać pańskie zaufanie. To chyba nie w porządku.

– Uczciwość nie ma tu nic do rzeczy. – Jones wzruszył ramionami. – Sam pan się niebawem przekona.

– Pułkowniku Jones?

Porucznik Curtis przeszkodził im w rozmowie, występując w nietypowej dla siebie roli rozjemcy.

– Tak, synu?

– Chcę spytać o te okulary, sir. Czy po to nosicie je podczas walki, aby widzieć w ciemności?

– Owszem, ale mają jeszcze inne zastosowania. Wytrzymują uderzenie pocisku z broni palnej z odległości co najmniej dwudziestu jardów. Twarz nie wyjdzie oczywiście bez szwanku, ale oczy ocaleją. Mogą też podawać szereg danych taktycznych. Przekaz w rzeczywistym czasie ze zdalnie sterowanych samolotów zwiadowczych, kamer dozoru i tak dalej. Można dzięki nim dowiedzieć się, co jest po drugiej stronie wzgórza, bez ryzyka, że ktoś odstrzeli ci głowę.

Żaden z rozmówców Jonesa nie pojął, o czym mowa.

– Proszę je nałożyć, poruczniku.

Gdy Curtis miał już gogle na oczach, Jones wybrał na flexipadzie kolejny program. Porucznik aż pokręcił głową. W jednej chwili ujrzał przed sobą pięć ekranów, z których każdy ukazywał nieco inne ujęcie tej samej sceny. Oddział żołnierzy atakował jakiś budynek. Curtis nie potrafił orzec, czy były to ćwiczenia, czy prawdziwa walka. Po kilku chwilach Jones wyłączył obraz i poprosił porucznika o zdjęcie gogli oraz przekazanie ich Blackowi.

Przy drugim kontakcie z urządzeniem komandor nie był już tak zaskoczony, ale nie miał też zbyt mądrej miny. Obejrzał film do końca i dopiero wtedy zdjął gogle.

– Nie jestem z piechoty i trudno mi coś powiedzieć, ale jak można walczyć, widząc aż pięć ekranów naraz? – spytał. – Przecież to musi strasznie rozpraszać.

Jones rozciągnął usta w wilczym uśmiechu.

– Trzeba do tego tysięcy godzin ćwiczeń.

Black pokiwał lekko głową.

– Admirale Kolhammer? – odezwał się, podnosząc lekko głos, co oznaczało, że szykuje się do przekroczenia własnego Rubikonu. – Jak właściwie się tu znaleźliście? Zakładając oczywiście, że to was przeniosło do nas, a nie nas tam, skąd wy przybyliście, gdziekolwiek to jest.

Kolhammer westchnął.

– Prawdę mówiąc, nie mogę w tej chwili panu tego wyjaśnić, komandorze. Nie dlatego, że jest to tajna informacja, ale po prostu nie wiem. Przed rejssem byłem w Pearl na odprawie, gdzie cała masa anonimowych jajogłowych wyjaśniała nam, o co chodzi z tym nowym programem badawczym. Twierdzili, że to wstęp do opracowania nowych broni, które pozwolą przenieść pocisk bezpośrednio do celu. Jeden z nich, nawiasem mówiąc Japończyk, nazwał to „zwinięciem przestrzeni”. Wszystko to brzmiało dla nas jak chińszczyzna, ale nie nam było decydować o czymkolwiek.

– Pewne rzeczy zaiste się nie zmieniają – powiedział Black, po raz pierwszy się uśmiechając.

– Najwyraźniej – przyznał Jones.

– Tak czy tak, nie przypuszczam, aby pan to ogarnął – podjął Kolhammer. – Ja też, chociaż mam jakieś ogólne przygotowanie, rozumiem tylko piąte przez dziesiąte. Z całą pewnością ekipa badawcza wykorzystywała olbrzymie energie, aby doprowadzić do zakrzywienia albo i zwinięcia przestrzeni. A jak uczono mnie jeszcze w szkole, przestrzeń i czas to w zasadzie to samo. Sądzę, że popełnili jakiś błąd przy obliczeniach. Obiecuję panu, że gdy tylko uda się ustalić coś więcej, dowie się pan o tym.

– Dość zaskakujące to wszystko – mruknął Black.

– Bardziej niż to? – spytał Kolhammer, wskazując na gogle i wnętrze śmigłowca.

– Albo niż ja? – dodał Jones.

– Trochę – powiedział komandor. – Ale z drugiej strony... Mogę sprawiać wrażenie nieokrzesanego, ale mam dyplom inżyniera uzyskany jeszcze w cywilu. Pochodzę z Dakoty, jednak jak wszyscy na studiach pięć lat siedziałem z nosem w książkach. Rozumiem, na czym polega postęp. Nawet pracując w kopalni, mogłem się o tym przekonać. Moja praca różniła się bardzo od tego, co musiał tam niegdyś wykonywać mój dziadek. Ten pojazd latający jest dla mnie czymś przedziwnym, ale porucznik Curtis powiedział, że trwają właśnie prace nad budową czegoś podobnego. Macie kobietę lotnika? Świetnie. Jestem pewien, że nie mogłaby się równać z Amelią Earhart. A mój prapradziadek ze strony matki, pułkownik Jones, służył jako porucznik w 54. regimencie z Massachusetts. To był oddział czarnych, oficerowie byli biali. Pradziadek zginął wraz ze swoimi ludźmi podczas ataku na konfederackie działa broniące fortu Wagner. Szrapnele poharały ich tak, że trudno było potem ich odróżnić. Tak więc w domu, w którym wyrosłem, nie używało się słowa „czarnuch” o ile nie chciało się dostać w tyłek. Może zechce pan to wziąć pod uwagę, zanim zacznie pan oceniać charakter człowieka na podstawie koloru jego skóry.

Jones spojrzał ostro na Blacka, ale zaraz potem się uśmiechnął.

– Dobrze powiedziane, komandorze. *Touche*.

– Admirale Kolhammer?

– Tak, poruczniku?

– Skąd wiecie, że to wy cofnęliście się w czasie, a nie nas przerzuciło w przyszłość?

Kolhammer poprawił się na siedzeniu. Śmigłowiec zaczynał już podchodzić do lądowania.

– Nie mamy w tej sprawie całkowitej pewności – odpowiedział. – Jednak nie możemy złapać żadnego sygnału z naszych satelitów. Radary, chociaż o wiele doskonalsze od waszych, nie pokazują tego, co powinny. Nie tak dawno znajdowaliśmy się tuż u wybrzeży Wschodniego Timoru. Teraz nie widać w pobliżu żadnej wyspy. Zniknęły też znane nam sygnały radiowe, brakuje telewizji, GPS-ów, wszystkiego. Sprzęt działa jak należy, tyle że niczego nie odbiera.

Obaj oficerowie z *Enterprise'a* zrozumieli tylko część z tego, co admirał powiedział, jednak ogólny wniosek był dla nich jasny.

– A co z tym statkiem badawczym? Gdzie się podział?

– Na to pytanie nie potrafię odpowiedzieć. – Kolhammer wzruszył ramionami. – Szukaliśmy go, naprawdę. Można mieć tylko nadzieję, że nie wylądował w Zatoce Tokijskiej. Chociaż... nie sądzę, aby do tego doszło. Kilku naszych okrętów nie możemy się doliczyć, głównie tych, które znajdowały się w większej odległości od środka formacji. Najprostsze wyjaśnienie jest takie, że nie zostały wyciągnięte wraz z nami. Chodzi o parę atomowych okrętów podwodnych i indonezyjskie niszczyciele. Tych ostatnich nie będzie nam pewnie brakować. No i jeden okręt został

przepełniony, zapewne wszedł w kolizję z horyzontem zdarzeń. *Nagoya* znajdowała się między lotniskowcem a krążownikami. W samym epicentrum. Przypuszczamy, że uległa zniszczeniu, będziemy jednak musieli jeszcze to dokładnie zbadać.

– Bo to wasza jedyna nadzieja na powrót do domu? – spytał Curtis.

– Właśnie, synu – przyznał Kolhammer. – A na razie, jeśli zechcecie spojrzeć przez okno, zobaczycie, w co za jakieś osiemdziesiąt lat zmieni się wasz *Enterprise*.

Goście obrócili głowy. Black zaklął pod nosem. Curtis zareagował bardziej żywiołowo.

– Rany! On jest wielki jak miasto!

USS Enterprise, 3 czerwca 1942, godzina 00.05

Komandor Halabi nigdy jeszcze nie czuła się równie niezręcznie. Znajdowali się we troje w kabinie Spruance'a, który kartkował metodycznie jej własny egzemplarz książki Fuchidy i Okumiyi zatytułowanej *Midway* i oddającej japońskie spojrzenie na tę wielką bitwę. Drugi z obecnych oficerów, komandor Beanland ze sztabu admirała, próbował uprzejmie zagadywać Halabi. Temat wybrał nie najlepiej i rozmowa się urwała, gdy spytawszy lekkomyślnie o radzenie sobie z „kobiecyimi kłopotami” na pokładzie okrętu wojennego, usłyszał, iż menstruacja to naprawdę drobiazg w porównaniu z opatrywaniem ran klatki piersiowej, wielokrotnych złamań czy rozległych oparzeń.

– Fascynujące – mruknął Spruance, zamykając książkę. – O ile to prawda.

– No, w tej chwili raczej już nie – odparła Halabi. – Spotkanie naszych sił bez wątpienia zmieniło bieg zdarzeń.

– W rzeczy samej... pani komandor. I co teraz? Jeśli jesteście tymi, za których się podajecie, co zamierzacie zrobić? Przerzucicie wajchę w swojej magicznej skrzynce i wrócicie do siebie, zostawiając nas po uszy w bagnie? Może się okazać, że w waszym świecie wszyscy mówią po japońsku albo niemiecku.

Halabi potarła piekące oczy.

– Zacząć trzeba od tego, że najpewniej straciliśmy naszą magiczną skrzynkę. Ponadto, nawet gdyby podróż powrotna była możliwa, obecne teorie przyjmują pogląd o wielości alternatywnych uniwersów. Linearne podejście...

To nie miało prawa do nich dotrzeć. Zreflektowała się i spróbowała inaczej.

– Chodzi o dziedzinę fizyki zwaną mechaniką kwantową. Nie powstała w moich czasach. Jej rozwój zapoczątkował w 1900 roku pewien gość zwany Max Planck. Stworzył coś, co nazwał kwantową teorią światła. Albert Einstein dodał do tego w 1905 roku swoją pracę na temat efektu

fotoelektrycznego. Ogólnie biorąc, rzecz w tym, że światło ma dwoistą naturę: można je analizować jako strumień cząstek albo jako falę, ale nigdy jednocześnie jako jedno i drugie. Chodzi o nieoznaczoność, panowie, coś, co nazywamy nieoznaczonością kwantową. Streścić w paru słowach, do czego to prowadzi? Wniosek jest taki, że zapewne istnieje nieskończona liczba równoległych wszechświatów, które różnią się między sobą. Czasem chodzi o drobne odmienności, czasem o sprawy zasadnicze. Nasze pojawienie się tutaj jest zapewne pierwszym dowodem potwierdzającym tę hipotezę.

– Przepraszam, ale nie słyszałem jeszcze czegoś równie dziwnego – odezwał się Spruance. – Z tego, co pani powiedziała, wynika, że musi na przykład istnieć gdzieś Ameryka, która przegrała wojnę o niepodległość. Albo Ameryka, w której Południe wygrało wojnę secesyjną.

– I nieskończony szereg innych wersji Ameryki – zgodziła się Halabi. – W tym wszechświat, w którym mniej dokuczliwa brytyjska polityka kolonialna nie sprowokowała wojny o niepodległość. I taki, w którym Lincoln nie zginął po wojnie secesyjnej. Taki, w którym Hitler wygrał drugą wojnę światową albo na naszą planetę najechały jaszczury z kosmosu. Albo cola smakuje jak pepsa. I jeszcze taki, w którym stoję tutaj, pijąc herbatę, zamiast tej... hm, kawy. Rozumie pan?

– Skoro tak, to możliwe, że wcale nie trafiliście do swojej przeszłości.

– Właśnie. – Halabi ucieszyła się, że rozmówca zaczął coś pojmować. – To może być nieco inny rok 1942. Może nawet bardzo inny, jeśli, powiedzmy, Hitler nie popełnił w nim błędu, najeżdżając na Związek Radziecki...

– Popełnił – wtrącił się Beanland.

– A, no to dobrze. Ale ma pan rację, admirale. Może są jakieś różnice, których nigdy nie zauważymy, jak odmienna pierwsza strona w lokalnej gazecie gdzieś daleko, ale na razie wszystko wydaje się takie samo. Może też nasza podróż jest dokładnie taka jak ta z książki Herberta George'a Wellsa i trafiliśmy do naszego własnego roku 1942. Nie wiem. Pewnie nigdy się nie dowiemy. Teorie to jedno, a rzeczywiste przerwanie tkanki czasoprzestrzeni i konsekwencje tego zdarzenia to drugie.

– Zwłaszcza że my te konsekwencje ponosimy – zauważył Spruance.

– Tak. Przykro mi z tego powodu. Mieliście pecha uruchomić nasze systemy bojowe w chwili, gdy były niemal pozbawione ludzkiego nadzoru.

– Systemy bojowe?

– Komputery, które zawiadują walką. Myślące maszyny pomagające nam prowadzić statki i tak dalej. Cały nasz porządek społeczny opiera się na ich pracy. Gdy wykryły wasz ogień artyleryjski, uznały go za zagrożenie dla naszego zespołu i odpowiedziały.

– I ta odpowiedź może kosztować nas przegraną wojnę – dodał Spruance.

– Nie będzie – stwierdziła zdecydowanie Halabi. – Strategiczna przewaga aliantów nad

państwami Osi jest tak wielka, że trzeba by czegoś znacznie poważniejszego niż zniszczenie pańskiego zespołu i utrata Midway, czy nawet Australii i Nowej Zelandii, aby zmienić bieg dziejów.

– Lepiej, żeby MacArthur tego nie usłyszał – mruknął admirał pod nosem.

– Z całym szacunkiem – zaprotestował Beanland – w pewien sposób jednak pomogliście przeciwnikowi.

– Wiem dobrze, co stało się dzisiaj w nocy, komandorze – odrzekła Halabi. – Sama też straciłam wielu przyjaciół na lotniskowcu *Fearless*. Nie mieliśmy jeszcze szansy przedyskutować tego na szczeblu sztabowym, ale jestem pewna, że nie zostawimy was swojemu losowi. W razie potrzeby możemy zadziałać. Niemal każdy z naszych okrętów dysponuje wystarczającym potencjałem bojowym, aby w pojedynkę zatopić wszystkie japońskie lotniskowce, pancerniki i krążowniki kierujące się obecnie na Midway.

– Tak, ale czy wszyscy będą za tym rozwiązaniem? – spytał Spruance. – Naprawdę wierzy pani, że wasi japońscy towarzysze broni chętnie poślą swoich rodaków na dno?

– Nie wiem – odparła szczerze Halabi. – Nie rozmawiałam o tym z nimi. Zresztą większość oficerów *Siranui* zginęła i tym samym zniknął problem ich zdania na ten temat.

– Tak, ale pozostali mogą mieć coś do powiedzenia! – wykrzyknął Beanland. – Może w pani czasach Japońce są mili i przyjaźni, w naszych sprawy mają się zgoła inaczej. Nie chciałbym, aby cokolwiek z waszego nowoczesnego uzbrojenia wpadło w ich ręce. – Admirale – zwrócił się do Spruance’a, ignorując Halabi. – Jakkolwiek ułożą się kontakty z tymi ludźmi – wskazał kciukiem brytyjską panią kapitan – będę nalegał na rozbrojenie i internowanie Japończyków, którzy zjawili się wraz z nimi. Stanowią zbyt wielkie zagrożenie.

– Może trzeba będzie tak zrobić, ale na razie chyba nie ma co się gorączkować – powiedział Spruance. – Kapitan Halabi, jak pani zdaniem przyjmie podobną sugestię pani dowódca?

– Sądzę, że niezbyt dobrze. Nie przypuszczam, aby ktokolwiek z nas był za takim rozwiązaniem.

– A mogę spytać dlaczego?

– Bo to są nasi sojusznicy – odrzekła takim tonem, jakby wyjaśniała dziecku coś oczywistego. – *Siranui* działała z grupą admirała Kolhammera już wiele razy. Podejmowaliśmy to samo ryzyko, osłaniali nam tyłki, dostawali w skórę tak samo jak my. Nie mamy powodu powątpiewać w ich lojalność czy poczucie honoru.

– Niemniej ich lojalność i honor mogą kazać im obrać kurs na wyspy macierzyste. Z notki w tej książce wyczytałem, że Japonia pod koniec wojny przeżyła naprawdę ciężki czas.

– Rzeczywiście. Ale oni tego nie robią. Załoga *Siranui* wie, że Japonię przywiodły do klęski rządy garstki militarystów, którzy chcieli...

– Którzy chcą – poprawił ją Spruance.

– Tak. Którzy chcą podbojów. A Japonia ludzi z *Siranui* to kraj od pokoleń liberalny i demokratyczny. Sugestia, że współcześni Japończycy chcieliby powrotu do odległej przeszłości, jest równie chybiona jak pomysł, że współcześni Niemcy zwróciliby się zgodnie ku nazizmowi, gdyby tylko dostali po temu szansę.

– Na Boga, chyba nie chce pani powiedzieć, że ma w składzie eskadry także niemieckie okręty? – spytał Beanland.

Spruance’a poważnie taka perspektywa zaniepokoiła.

– Jak to wygląda, pani kapitan? Jeszcze jedna niespodzianka? Jakiś u-boot?

Halabi musiała ugryźć się w język, aby nie powiedzieć głośno, co myśli o paranoicznej wręcz podejrzliwości obu oficerów.

– Nie – odparła stanowczo. – Nie mamy w grupie żadnych niemieckich okrętów. Niemniej na różnych jednostkach jest na pewno trochę niemieckiego personelu. Podobnie jak i włoskiego. Znałam paru Włochów z HMS *Fearless*. Jeśli chodzi o jednostki innych państw, towarzyszyło nam kilka okrętów Republiki Indonezji, co mogłoby nieco skomplikować sprawę, bo w waszym świecie nie ma jeszcze Republiki Indonezji. Ale w naszym też właściwie zniknęła, wyszłoby więc na to samo. Zresztą wydaje się, że przerzut ich nie objął, podobnie jak amerykańskich okrętów podwodnych i nowozelandzkiej fregaty, które były nieco dalej od centrum wydarzeń.

– No i co zamierzacie zrobić z tymi Szwabami i Japońcami? – spytał Spruance, który znowu się ożywił. Wstał i spojrzał ostro na Halabi.

– Ja nic. Sprawa zostanie przedyskutowana na szczeblu dowódcy floty. Przedyskutowana, a to znaczy, że będzie się liczyć także zdanie owych ludzi.

– Wielki Boże! – krzyknął admirał. – Chyba nie chce pani powiedzieć, że pozwolicie im na repatriację do ojczystych krajów, jeśli tego zapragną?

– Oczywiście, że nie. Nie myślimy dawać Tojo czy Hitlerowi planów bomby atomowej. Jednak nasi ludzie nie zostaną uwięzieni tylko dlatego, że są Japończykami czy Niemcami. Zresztą na moim okręcie jest też jeden Rosjanin. Jestem pewna, że w żadnym razie nie chciałby wracać do domu. Stalin zastrzeliłby go od ręki, ledwie usłyszałby, co stało się z jego rajem robotników.

* * *

Spruance chodził wolno tam i z powrotem w ciasnej przestrzeni kabiny. Co jakiś czas pocierał kark. Ze zdumieniem odkrył, że jego wcześniejsze niedowierzanie zniknęło w zastraszającym tempie. Największą rolę odegrał fakt, że ta irytująca kobieta okazała się osobą nad wyraz odpowiedzialną. Ubrana w nienaganny mundur, stała z założonymi rękami i nie wahała się wygłaszać własnego zdania,

nawet jeśli wiązało się to z miażdżącą krytyką jego pomysłów. Była nader rzeczywistym zwiastunem zmian. A co kryło się pod tą pewnością siebie? Utrata siostrzanej jednostki i tysięcy towarzyszy zdawała się nie robić na niej najmniejszego wrażenia. Zdawała się być równie spokojna i opanowana jak wszyscy kapitanowie Royal Navy, których Spruance spotkał przez lata służby. Jakby ich imperium nie sypało się w proch. Była tak bardzo brytyjska, że trudno było jej nie wierzyć.

Jezu, pomyślał, a jeśli to wszystko prawda?

Sięgnął po rzuconą wcześniej na biurko książkę i znowu zaczął ją kartkować. Beanland i Halabi stali obok w milczeniu. Znalazł strony opisujące nagłą zagładę trzech japońskich lotniskowców przyłapanych przez bombowce nurkujące w chwili, gdy pokłady okrętów były pełne przygotowywanych do startu, uzbrojonych i zatankowanych do pełna samolotów.

– Mieliśmy zatem szczęście – powiedział, spoglądając na Halabi.

– I tak, i nie – odparła. – Sukces został okupiony wielkimi stratami wśród bombowców lądowych i samolotów torpedowych, które zajęły japońskie myśliwce na niskim pułapie i umożliwiły tym samym bombowcom nurkującym skryte podejście nad cel. Gdyby nie ofiara życia tych pilotów, a dla większości była to od początku samobójcza misja, nie udałoby się przyłapać Nagumo z opuszczonymi spodniami i przytrzasnąć mu małego.

Spruance parsknął śmiechem, chociaż w zasadzie nie przepadał za kobietami używającymi podobnego słownictwa.

Boże, miej nas w swej opiece, pomyślał. Czy wszystkie kobiety z jej czasów są takie?

– Kapitan Halabi, czy może pani dać oficierskie słowo honoru, że przekazała nam pani samą prawdę i tylko prawdę? – spytał.

Halabi wyprostowała się, stanęła niemal na baczność.

– Tak, admirale.

– Świetnie – powiedział Spruance, gestem powstrzymując Beanlanda, który zamierzał protestować. – Nie będziemy zwlekać, czekając na informację od Blacka i Curtisa. Jeśli pani może, proszę skontaktować się z admirałem Kolhammerem. Niech zaczyna operację ratunkową.

– Tak jest, sir. – Halabi wyciągnęła flexipad z kieszeni bluzy i połączyła się z *Tridentem*. Na ekranie pojawiła się twarz rudego mężczyzny o jastrzębich rysach.

– Brakowało nam pani tutaj, kapitanie.

– Miło to słyszeć, panie McTeale. Mamy zgodę admirała Spruance'a na akcję ratunkową. Proszę zacząć ją za... dwie minuty... Admirale, kiedy pana rozkaz dotrze do wszystkich dowódców?

Spruance'a zaskoczyła szybkość działania Halabi. Czym prędzej dał znak Beanlandowi, aby pobiegnął zająć się wykonaniem jego rozkazu.

– Proszę dać nam raczej pięć minut, pani komandor. Wiem, że pośpiech jest wskazany, ale nie mamy podobnych urządzeń – wskazał na flexipad.

Halabi spojrzała znowu na ekran.

– Zatem za pięć minut, McTeale. Wrzuć to do fleetnetu.

– Aye, ma'am.

– Dziękuję, komandorze. Bez odbioru.

Spruance przygryzł wargę. W dłoniach obracał otrzymaną od Halabi książkę.

– Dobrze pan wybrał, sir.

Ich oczy spotkały się. Spruance nie wyglądał najlepiej.

– Nie miałem wyboru, pani komandor. Jeśli wam nie zaufamy, już po nas. Nie mam pojęcia, co z tego wyniknie. Nikt nie ma. Nie wiem nawet, jak wyjaśnić Nimitzowi, co właściwie zdarzyło się dzisiaj w nocy. A co będzie, jeśli Nagumo pokaże się na horyzoncie? Jeśli ktoś go zatrzyma, to nie ja, prawda?

– Prawda – zgodziła się Halabi. – Sądzę, że to będzie nasze zadanie.

11

HIJMS Ryujō, 2 czerwca 1942, godzina 23.31

Termometr na domku pilota na lotniskowcu *Ryujō* wskazywał minus siedem stopni Celsjusza, ale wiceadmirałowi Kakucie wydawało się, że jest jeszcze zimniej. Uczucie chłodu wzmagały omiatający pokład lotniczy wiatr i gęsta mgła, przez którą Drugi Zespół Uderzeniowy Lotniskowców przedzierał się w stronę Aleutów. Jednak to nie pogoda spowolniła marsz Piątej Floty, która w tej operacji tworzyła Grupę Północną.

Kakuci Kakuta był wojownikiem i jako taki gotów był walczyć we mgle i w nocy, gotów był uderzać na przeciwnika nawet wtedy, gdy nie wiedział, z jakimi siłami się spotka. Miał świadomość, że na wojnie niczego nie można być pewnym. Jednak tym razem natknął się na zagadkę, która wykraczała poza wszystko, to z czym mógł mierzyć się wojownik. Wyglądało to wręcz na interwencję sił boskich. Nie byłby to pierwszy raz. Zgodnie z powszechnym przekonaniem dwa tajfuny, które zniszczyły floty mongolskiego najeźdźcy, najpierw w roku 1274, potem w 1281, zostały zesłane przez bogów, którzy ocalili w ten sposób Wyspy Nipponu przed inwazją. Dlatego nazwano owe wichury „kamikadze” boski wiatr.

Kakuta wierzył w zjawiska nadprzyrodzone, z drugiej jednak strony rozumiał, iż każda niemal próba pokonania Morza Japońskiego w porze tajfunów musi być ryzykowna. Jeśli zaś ktoś korzystał

przy tym z prostych, drewnianych łodzi, a takie tylko mieli dawni Mongołowie, wyprawa niemal na pewno musiała skończyć się klęską. Dla marynarza było to coś zwyczajnego, zupełnie jak ta powolna żegluga przez ciągnące się przez setki mil ławice mgły, w której nie było widać nawet najbliższych okrętów eskorty.

Na mostku panowała cisza przerywana tylko krótkimi rozkazami dla sternika, który miał utrzymywać lotniskowiec w środku formacji.

Kakuta niepokoił się coraz bardziej. Powodzenie misternego planu admirała Yamamoty, planu, który miał doprowadzić do zajęcia Midway i zniszczenia resztek amerykańskiej floty na Pacyfiku, zależało w pierwszym rzędzie od zgrania wszystkich działań w czasie. Tymczasem nie dość, że byli już spóźnieni przez mgłę, to musieli jeszcze natknąć się na ten widmowy statek.

Wiceadmirał niecierpliwił się; nie było jeszcze meldunku od oddziału, który wszedł na pokład nieznannej jednostki. Czas dłużył mu się niemiłosiernie. Nie miał jednak innego wyjścia, jak czekać na powrót motorówki z komandorem Hidaką.

KRI Sutanto, 2 czerwca 1942, godzina 23.31

W pierwszej chwili ucieszyli się z ciepła panującego we wnętrzu obcej jednostki, szybko jednak miny im zrzedły, a Jisaku Hidaka zaczął się nawet zastanawiać, czy nie należałoby, otworzyć włazów i bulajów w celu przewietrzenia pomieszczeń. Wszędzie śmierdziało wymiocinami i odchodami.

Członkowie załogi leżeli bezwładnie na pokładach. Nie byli martwi, ale nie wykazywali też prawie oznak życia. Sanitariusze ułożyli czterech z nich w prawoburtowym korytarzu, który biegł przez całą długość okrętu, i próbowali ich ocucić. Jednak ani podsuwanie soli trzeźwiących, ani policzki i kopniaki, ani nawet lekkie nakłuwanie skóry bagnetem nic nie dały.

Z pewnością nie byli to Amerykanie. Hidace najbardziej przypominali dzikich z byłych Holenderskich Indii Wschodnich, chociaż oczywiście nie mogli nimi być. Ich okręt prezentował zbyt wysoki stopień rozwoju technicznego. Nie był wielki, ale wszędzie natrafiali na coś, co ich zaskakiwało. Skąpany w widmowym blasku mostek wypełniały panele z migającymi światłkami i wskaźnikami. Mostek *Ryujo* prezentował się przy nim bardziej niż ubogo, chociaż przecież to Japonia grała pierwsze skrzypce w rozwoju flot wojennych.

Stojąc na mostku, musiał zwalczyć pokusę, aby pogłaskać wielką i jarzącą się od środka szklaną tafelę, która znajdowała się na szczycie drążka przymocowanego do podłokietnika fotela, bez wątplenia miejsca kapitana. Gdy raz tego spróbował, alarm wył przez prawie dwie minuty. Hidaka powstrzymał się więc przed powtórką i zamiast tego kopnął najbliższego leżącego załoganta.

Ciało przyjęło cios miękko niczym worek ryżu.

– Miejcie tu oko na wszystko – powiedział do podoficera. – Nie dotykać niczego; gdyby któraś z tych małp zaczęła się ruszać, natychmiast mnie wezwać. Będę w kwaterach starszych oficerów.

Wyszedł, nie czekając na potwierdzenie przyjęcia rozkazu. Coraz bardziej irytowało go, że nie potrafi rozwiązać zagadki tego okrętu. Dowódcą oddziału przyzowego został dzięki świetnej znajomości angielskiego, jednak napisy, które dotąd widział, nic mu nie mówiły. Poza paroma małymi tabliczkami z tekstem, który wyglądał na niemiecki, co czyniło sprawę jeszcze dziwniejszą. W podłym nastroju wszedł do kwater oficerskich.

Jego podwładni stanęli na baczność. Na podłodze leżało trzech nieprzytomnych członków załogi.

– I jak? – spytał. – Macie coś do zameldowania? Podoficer strzelił obcasami i pokazał na stertę książek i gazet, która leżała na stole.

– Właśnie chcieliśmy pana tu poprosić, komandorze. Część z tego jest chyba po angielsku...

Hidaka dostrzegł najpierw stos magazynów w języku dzikusów. Większość nosiła tytuł „Detik” reszta była opatrzona napisem „Tempo” Pomiął je od razu i sięgnął po te anglojęzyczne.

Nie było ich wiele, okazały się jednak naprawdę zdumiewające. Pierwszy nazywał się „Hustler” i był magazynem pornograficznym. Hidaka nie wiedział, co może oznaczać ten tytuł. Wydrukowane mniejszymi literami podtytuły nie były ani trochę bardziej zrozumiałe:

Nasz test najnowszej pochwy bateryjnej V3D

Dżihad od środka

Chcesz zostać Tarzanem, sięgnij po synt DNA

Nie pojmował, o co chodzi. Na dodatek...

– Cholera!

Odruchowo zaklął po angielsku, tak wielkie było jego zdumienie na widok całostronicowej ilustracji, którą ujrzał, wertując magazyn.

– Więc plotki nie kłamią – mruknął po japońsku, gdy doszedł do siebie. – One wszędzie są blondynkami.

Jego podwładni parsknęli cicho. Pewnie Hidaka poświęciłby jeszcze kilka minut na badania materiału pogładowego, gdyby podoficer nie wręczył mu małego urządzenia.

– Mamy jeszcze to, komandorze. Świeci jak latarka.

Na osobliwym ekraniku widniała okładka magazynu „Tempo” Hidaka spojrzął na stos czasopism. Bez wątplenia chodziło o to samo wydawnictwo. Ciekawe, gazeta w elektrycznym pudełku!

Została wydana w tym samym przeklętym języku, który królował na statku. Niemniej z lewej strony widniała mała brytyjska flaga podpisana *English*.

Wreszcie coś, pomyślał Hidaka.

Niemal przywykł już do tych magicznych tafli, które widać było wszędzie na okręcie, jednak taka mała, którą można było nosić ze sobą, wydała mu się czymś jeszcze ciekawszym. Ale jak się ją uruchamiało i jakie były jej możliwości? U podstawy ekranu znajdował się szereg przycisków, Hidaka wolał ich jednak nie ruszać, zwłaszcza po doświadczeniach na mostku. Na razie ostrożnie odłożył więc urządzenie na biurko i skupił się na innych znaleziskach.

Kolejny magazyn został wydrukowany na podobnym, gładkim papierze jak „Hustler” i też był bardzo kolorowy. Nazywał się „People” Dziwny tytuł, pomyślał Hidaka. Może to jakiś periodyk etnograficzny?

Większość zdjęć w środku przedstawiała idiotycznie uśmiechniętych barbarzyńców, zapewne Amerykanów albo Brytyjczyków. W każdym razie skąpe teksty były na pewno po angielsku. Trafił jednak też na zdumiewająco wiele zdjęć Murzynów, ludzi półkrewi i należących do ras, których istnienia nawet nie podejrzewał. *Mud race*, pomyślał, przywołując pogardliwe określenie na kolorowych, które poznał podczas pięciu lat studiów w Princeton.

Próbował wyczytać cokolwiek w podpisach, były jednak równie pozbawione treści co twarze *gaijin*. Zdawały się skupiać przede wszystkim na tym, kto z kim cudzołożył i kto był najbogatszy. Były też dłuższe artykuły, ale nie rozumiał z nich ani zdania. Odłożył na razie magazyn.

Sięgnął po kolejny, tym razem znacznie grubszy. Przeczytał tytuł: „PC Week” Otworzył go na przypadkowej stronie i zaraz pojął, że trafił na coś ważnego.

– A! Dokumentacja techniczna!

Podwładni chrząknęli z zadowoleniem. Znalezienie czegoś takiego musiałyby spotkać się z nagrodą. Hidaka kartkował wydawnictwo i kiwał energicznie głową, chociaż te teksty były jeszcze bardziej niezrozumiałe niż w poprzednim magazynie. Niemniej na pewno zasługiwały na późniejsze odczytanie. Bez dwóch zdań dotyczyły najtajniejszych technologii.

– Dobra robota, chorąży Tomonagi – powiedział podekscytowany. – Wszyscy dobrze się sprawiliście.

Podwładni nie kryli zadowolenia.

– Proszę wysłać ludzi raz jeszcze, aby poszukali więcej takich urządzeń. – Pokazał małe coś z ekranem. – I niech ktoś przyciągnie tu parę małp. Stąd będę dowodził operacją.

– Hai!

Marynarz przyniósł Hidace kubek herbaty. Kubek był wyszczerbiony, co niezbitcie świadczyło o tym, że wcześniej musieli się nim posługiwać barbarzyńcy. Potem oficer usiadł po angielsku, z założonymi nogami, w wygodnym fotelu i popijając herbatę, wpatrzył się w dziwne urządzenie. Magazyn techniczny opisywał je jako „flexipad”. Było lekkie i zrobione z materiału, z którym wcześniej nigdy się nie zetknął. Może z pokrytej gumą skóry?

Hidaka westchnął głęboko. Wszystkie napisy były w obcym języku. Ilustracje pokazywały coś na kształt czołgu i podobiznę kolejnego brodatego dżentelmena. Na pewno miały związek z tekstem, ten jednak pozostawał niezrozumiały.

Przez szereg minut badał drobiazg i nie zauważył nawet, jak marynarze wciągnęli do środka czterech nieprzytomnych członków załogi i ułożyli ich na wykładzinie. W końcu Hidaka uznał, że jedyna nadzieja w tym małym rysunku przedstawiającym Union Jack i napisie „English” pod spodem. Tylko co to mogło oznaczać? Czy w ogóle miało cokolwiek komunikować? I jak to sprawdzić, nie uruchamiając kolejnych alarmów ani nie uszkodzając urządzenia? Które na dodatek mogło przecież kryć w sobie mały ładunek wybuchowy.

Zagubiony w myślach potarł ekran palcem i wzdrygnął się, oczekując podobnego hałasu jak wcześniej na mostku, ale nic podobnego się nie stało.

Zachęcony postukał małym palcem w ekran. Trafił w wizerunek brodatego, który nagle wypełnił całe okienko i zaczął coś mówić. Całkiem zaskoczony Hidaka zdołał jakoś ukryć swoje zdumienie przed podwładnymi. Brodacz przemawiał przez pół minuty w jakimś diabolicznym języku. Dla Hidaki brzmiało to, jakby duszące się zwierzę próbowało mimo wszystko odkaszlnąć i złapać oddech. Zdumiewający jakością dźwięku i obrazu filmik skończył się wreszcie i obraz wrócił do poprzedniego stanu.

To już coś, pomyślał Hidaka i nie namyślając się długo, stuknął w brytyjską flagę. W mgnieniu oka wszystkie napisy zmieniły się na angielskie. Komandor uśmiechnął się szeroko. Świetnie! Bardzo dobrze!

Zasepił się jednak ponownie, gdy przeczytał tekst. Odnosił się do jakichś zmagania, wojny domowej albo konfliktu na tle religijnym. Rzecz działa się na wyspach Pacyfiku, brodacz zaś nazywał się Ibn Abbas, był mułłą i mienił się emirem Kalifatu. Kilka razy wspomniano, że najgwałtowniejsze walki toczyły się na Jawie, co w oczywisty sposób było niemożliwe.

Hidaka nigdy nie słyszał o żadnym Kalifacie, wyspa Jawa zaś została ponad dwa miesiące temu odebrana Holendrom i stanowiła teraz część cesarstwa Japonii. Hidaka pokręcił głową i wrócił do lektury.

Trafił na szczegółowy opis starcia między indonezyjską piechotą morską a oddziałami armii, które przeszły na stronę Kalifatu. Była w nim mowa o jakichś samobójcach, którzy dotarli z bombami do centrum dowodzenia piechoty morskiej i zabili szereg wyższych oficerów, znacznie osłabiając siły rządowe.

Hidaka miał wrażenie, że czyta jakąś tanią amerykańską powieść. To przecież musiała być fikcja literacka. O co chodzi z tą Indonezją? Jakie siły rządowe, jaki Kalifat? I jeszcze samobójcy? Przecież żaden w miarę zdrowy na umyśle pilot, który miałby szansę wrócić do bazy po bombardowaniu, nie próbowałby rozbijać swojej maszyny dla zniszczenia celu. No chyba że byłby bardzo zdesperowany. Ale to i tak szaleństwo, pomyślał oficer.

Na dole strony, zaraz pod osobliwą opowieścią, widniał podkreślony niebieski napis „Pokrewne linki” Może to też jest jakieś przejście? – pomyślał Hidaka. Do jakiegoś wyjaśnienia? Niestety, palce miał zbyt grube, aby trafić precyzyjnie w samotny wiersz. Wyjął z kieszeni ołówek i spróbował z jego pomocą.

Zadziałało! Obecni duchem przodkowie na pewno byli z niego dumni.

Ujrzał szereg kolejnych tytułów. Wybrał ten, który wydał mu się najciekawszy: „Ameryka ostrzega Chiny”

Ponowna błyskawiczna zmiana obrazu ukazała kolejny tekst. Równie szokujący co poprzedni.

Amerykański sekretarz stanu, który był kobietą o imieniu James Darcia, ostrzegał chińskiego premiera Hu Dazhao, że jakakolwiek próba chińskiego wtrącania się w rozwój spraw na Jawie wywoła poważne konsekwencje. Osobliwa niewiasta wspominała przy tym, że „działające na podstawie mandatu ONZ Wielonarodowe Siły” zadbają o bezpieczeństwo wszystkich uchodźców pochodzenia chińskiego, którzy uszli przed czymś, co nazywano „dżihad”. Na koniec dodała jeszcze, iż dalsza chińska ekspansja gdziekolwiek w rejonie południowo-wschodniej Azji spotka się ze zdecydowaną reakcją.

Ciężko zirytowany Hidaka potarł twarz. Nic z tego, co przeczytał, nie miało sensu. W ogóle nie wiedział, co o tym myśleć. Jasne, Czang Kaj-szek chętnie widziałby siebie w roli premiera, ale był przecież tylko zwykłym bandytą osaczanym przez oddziały armii japońskiej. I jeszcze ta kobieta? Garcia? Amerykańskim sekretarzem stanu był Cordell Hull. Zwykły prostak, który nie raz próbował upokorzyć cesarza swoimi bezczelnymi żądaniami i ciągle knuł jakieś intrygi. Nawet jeśli jakimś cudem stracił stanowisko w ciągu paru ostatnich dni, czyli od kiedy japońska armada wypłynęła z Ominato, tylko ktoś chory na umyśle mógłby oczekiwać, że jego miejsce zajmie kobieta, i to meksykańskiego pochodzenia.

Hidaka upił łyk zapomnianej na kilka chwil herbaty. Skrzywił się – była już prawie zimna.

Pod tekstem widniały kolejne „Pokrewne linki” Wybrał kolejny artykuł, czy raczej kolejne opowiadanie fantastyczne o okrętach „Wolnej Indonezji” które dołączyły do tak zwanych Wielonarodowych Sił. Indonezyjski rząd na wygnaniu nalegał, aby dwie jednostki, *Sutanto* i *Nuku*, wzięły udział w akcji na obszarze targanego niepokojami archipelagu.

Coś zwróciło uwagę Hidaki. Tekst był równie absurdalny jak poprzednie, niemniej...

Sutanto!

Oficer zerwał się z fotela. Kubek przewrócił się i zimna herbata wylała się na wykładzinę. Nie zwracając na to uwagi, Hidaka przyklęknął przy nieprzytomnych marynarzach. Jeden z nich miał ciągle na głowie czapkę z sylwetką okrętu i podpisem: 377 KRI *Sutanto*.

Ta sama nazwa była widoczna wszędzie na pokładzie. Teraz już wiedział dlaczego. Ten okręt nazywał się *Sutanto* i miał podobno należeć do marynarki Wolnej Indonezji.

Hidaki nie wątpił, że to jakaś amerykańska sztuczka. Może nawet pułapka? Ale czemu miała służyć? I dlaczego była taka dziwna? No i skąd wzięły się te wszystkie fantastyczne maszyny w rodzaju urządzenia z ekranikiem?

Wobec tysięcy pytań jego dotychczasowe sukcesy wydały się niczym. Hidaka bliski był kapitulacji wobec nieznanego, gdy nagle jeden z podwładnych odezwał się głośno:

– Komandorze! Ten tutaj chyba odzyskuje przytomność!

– Nareszcie – mruknął Hidaka. Stał przy głowie mężczyzny. Barbarzyńca zamrugał oczami. Jego ciałem wstrząsnęły drgawki i całkiem niespodziewanie zwymiotował. Zielonożółty gejzer trysnął z jego ust niemal pionowo i spadł, brukając mu całą twarz. Hidaka skrzywił się z obrzydzeniem i końcem buta przekręcił głowę tamtego na bok, aby nie zadławił się wymiocinami.

W końcu obcy zaniósł się kaszlem i zaczął coś bełkotać. Próbował się nawet podnieść, ale Hidaka położył mu stopę na piersi i przytrzymał na podłodze. Jednocześnie wyciągnął z kabury pistolet. Na twarzy tamtego odmalował się strach. Wyraźnie nie pojmował, co się dzieje.

To dobrze, pomyślał Hidaka.

– Nazwisko! – rzucił ostrym tonem. Najpierw po japońsku, potem po angielsku.

Mężczyzna znowu zakaszał. Chyba nawet chciał odpowiedzieć, ale kolejny atak mdłości nie dawał mu wykrztusić ani słowa. Hidaka trącił go butem.

– Nazwisko i stopień. I stanowisko na okręcie – powiedział.

Ubrany w biały, tropikalny mundur i sandały obcy spojrzał nieprzytomnie na Hidakę.

– Moertopo – odparł. – Porucznik Ali Moertopo, pierwszy oficer.

Mówił po angielsku. Hidaka odetchnął z ulgą. Porucznik dostrzegł w końcu broń w ręku Japończyka. Wydawał się tym nie tyle zdumiony, ile oburzony.

– Co tu się dzieje? – spytał bardziej zdecydowanym tonem, niż Hidaka oczekiwał. – Kim pan jest i co pan robi na pokładzie tego okrętu?

Nadal był bardzo słaby, ale bez wątpienia powracał do swojej roli dowódcy. Hidaka zapłonął gniewem, że ktoś tak niskiego urodzenia śmie zwracać się do niego w podobny sposób, ale admirał Kakuta wiedział, co robi, wybierając go do tej misji. Hidaka ukrył oburzenie, schował pistolet i rzucił Indonezyjczykowi chusteczkę.

– Proszę się wytrzeć, poruczniku.

Moertopo podziękował niepewnie i wytarł wymiociny z twarzy i szyi. Poruszał się w sposób sugerujący, że ciągle jest obolały. Nie odbijało się to jednak na jego obliczu, co Japończyk potrafił docenić.

Potem rozejrzał się wkoło. Dostrzegł bezwładne ciała innych członków załogi. Wszyscy oddychali, ale ciągle nie odzyskiwali przytomności.

– Nie odpowiedział pan na moje pytania.

– Nazywam się Hidaka. Wszedłem na pokład pańskiego okrętu razem z grupą ratunkową trzy godziny temu. Pańscy towarzysze żyją, ale chyba zostali czymś oszołomieni. Może pan wie, co to było, poruczniku. Ja nie potrafię się nawet domyślić.

– Jest pan Japończykiem, tak?

Hidaka pokiwał głową, zauważając, że informacja o jego narodowości nie zrobiła na jeńcu praktycznie żadnego wrażenia.

– Byliśmy na wyznaczonej pozycji na północ od głównego zespołu. Przeprowadzaliśmy ćwiczenia antypodwodne – powiedział Moertopo.

– Po co? – spytał Hidaka. – I jakiego głównego zespołu?

Porucznik spojrział na niego dziwnie, jakby miał podobne pytania za kpinę.

– Właśnie, po co... – odparł z ironią w głosie. – Kalifat nie ma okrętów podwodnych, Amerykanie zaś z pewnością nie myśleli, że będziemy bronić ich przed Chińczykami. Śmiechu warte. Po prostu chcieli trzymać nas z boku.

– Amerykanie?

– Dokładnie Wielonarodowe Siły. Ale przede wszystkim Amerykanie. Twierdzili, że nie jesteśmy w stanie włączyć się do ich sieci bojowej. Ale prawda jest prostsza. Nie ufają nam.

Hidaka bardzo chciałby wiedzieć, o czym mowa, jednak wolał nie pokazywać jeńcowi, jak mało rozumie z jego słów. Moertopo zdawał się nie mieć żadnych oporów przed wyjawianiem tajnych informacji, chociaż jak sam twierdził, był w zasadzie sojusznikiem Stanów Zjednoczonych. Mimo presji czasu Hidaka uznał, że nie może pozwolić sobie na pośpiech.

– Czy może pan wstać? – spytał. – Chce pan herbaty?

Mężczyzna pokiwał głową. Hidaka strzelił palcami na jednego z marynarzy, który pomógł porucznikowi usiąść w fotelu. Po chwili pojawiły się dwa kubki z herbatą. Hidaka usiadł na zwykłym krześle i obrócił się wraz z nim w kierunku porucznika. Starał się trzymać swoje oczy na wysokości jego twarzy.

– Poruczniku Moertopo – powiedział, starannie wymawiając obce nazwisko. – Ta grupa bojowa. Kierowała się do wybrzeży Jawy?

– Oczywiście – odparł porucznik, upijając łyk herbaty. – Sam prezydent nalegał, abyśmy wzięli udział w tej operacji na naszych macierzystych wodach.

Mimo wszystko dawało się dostrzec, że porucznik jest człowiekiem dumnym i nawykłym do rozkazywania.

– A skąd płynęliście?

– Z Dili – powiedział. – Na Wschodnim Timorze – dodał, widząc, że Hidaka nie wie, gdzie to jest. – Ćwiczyliśmy, przygotowując się do desantu.

– Poruczniku Moertopo, proszę wybaczyć mi moją niewiedzę. Jestem na morzu od wielu miesięcy. Muszę przyznać, że pana okręt mnie zdumiał. Nigdy nie widziałem niczego podobnego.

Moertopo parsknął, jakby usłyszał dobry żart.

– Wcale się nie dziwię... panie Hidaka.

– Komandorze.

– Komandorze. To ostatnia korweta raketowa starej klasy „Parchin”. Kupiliśmy je na początku lat pięćdziesiątych. Część masy spadkowej po NRD. Zostały wprawdzie zmodernizowane...

– Przepraszam, ale powiedział pan, że na początku lat pięćdziesiątych?

– Tak. Nie pamiętam dokładnie kiedy. To było jeszcze przed moim urodzeniem. Jednak nasz prezydent kupił aż trzydzieści dziewięć takich okrętów. Większość przerdzewiała z braku funduszy na utrzymanie. Na samym początku wojny sabotażyści zniszczyli kilka kolejnych, jednak *Sutanto* i *Nuku* ocalały. To my wywieźliśmy prezydenta i jego rodzinę z Tanjungpinangu do Singapuru – dodał z dumą.

Hidaka jednak nie zwrócił na to uwagi. Patrzył na oficera z niedowierzaniem.

– O tym nie wiedziałem – rzucił z roztargnieniem. – Czy zna pan z grubsza obecną pozycję okrętu?

Moertopo wzruszył ramionami.

– Pan powinien znać ją lepiej niż ja, komandorze. Allah wie, jak długo byłem nieprzytomny. Ale ogólnie owszem. Gdzieś w cieśninie Wetar. W pobliżu głównych sił. Czy na was też to dziwne coś podziałało? Nie wie pan, czy z *Nuku* wszystko w porządku?

Hidaka przestał cokolwiek rozumieć. Powoli pokręcił głową.

– Mówi pan, że w cieśninie Wetar?

– Tak. Ale nie ma co marnować czasu na takie pytania. – Porucznik spróbował wstać. – Muszę zająć się załogą. Może będziemy musieli poprosić o pomoc waszego lekarza. Albo i Amerykanów, o ile i oni nie ucierpieli. Nie wie pan nic na ten temat? Albo co to była za broń? Bo chyba chodziło o coś atakującego system nerwowy.

– Przykro mi, poruczniku. O jakim ataku pan mówi?

– To by wskazywało na robotę Chińczyków, nie Kalifatu – powiedział Moertopo, niczego nie wyjaśniając.

Komandor wiele razy zastanawiał się, jak to będzie w prawdziwej walce. Teraz czuł się właśnie tak, jakby do niej doszło. Odwaga zaczynała go opuszczać. Czuł, jak pokrywa się gęsią skórką. Mimowolnie wzdrygnął się, gdy pewne rzeczy do niego dotarły.

– Wie pan, którego jest dzisiaj, poruczniku?

Moertopo spojrział na zegarek.

– Piętnasty.

– Czego?

Porucznik spojrział dziwnie na Japończyka.

– Stycznia.

– A rok? Proszę... gdyby był pan uprzejmy.

Moertopo wzruszył ramionami. Trochę niepewnie znowu rzucił okiem na zegarek.

– Dwa tysiące dwudziesty pierwszy.

– Cholera – powiedział komandor Hidaka.

Na wszelki wypadek po japońsku.

12

HIJMS Ryujō, 2 czerwca 1942, godzina 23.58

Admirał nie reagował zwykle na wezwania ze strony młodszych stopniem, Hidaka jednak był tak pewien swego, że Kakuta zgodził się udać na obcy okręt. To był główny powód, dla którego dowódca Drugiego Zespołu Uderzeniowego Lotniskowców marzył właśnie na pokładzie startowym i zastanawiał się, czy Hidaka na pewno nie oszalał.

Rozważania przerwał mu dziwny odgłos połączony z widokiem coraz bliższych świateł. Chwilę później ujrzał coś, co sprawiło, że wszelkie wątpliwości na temat stanu umysłu komandora Hidaki uleciały mu z głowy. Zamiast tego admirał zaczął powątpiewać we własne zdrowe zmysły.

Z mgły wyłoniła się wielka, metalowa wałka. Zbliżyła się przy wtórze regularnego dudnienia, po

czym zawisała nad pokładem. Lodowaty podmuch uderzył w odsłonięte części ciała. Wichura poderwała nawet drobiny smarów z odeskowania pokładu lotniczego i zmusiła admirała do przymknięcia oczu i odwrócenia twarzy.

Zawstydzony własną wrażliwością na chłód zaczął się zastanawiać, co właściwie przyszło mu ujrzyć. Na pewno była to jakaś maszyna latająca, w żadnym wypadku smok czy demon. Maszyna ta nie miała jednak skrzydeł jak wszystkie samoloty. Obecność wirującego kręgu nad kadłubem sugerowała, że obraca się tam jakieś wielkie śmigło.

Lekkie drgnienie pokładu i głuchy odgłos uderzenia dały znać, że nieznane coś wylądowało. Niemal natychmiast ogłuszający ryk znacznie przycichł. Rozległo się natomiast jakby poskrzypywanie hydrauliki i dziwny, opadający świst. Wkoło wybuchły okrzyki zdumienia i przekleństwa, zbawiennie znajome odgłosy, nawet jeśli świadczyły o skrajnym zaskoczeniu i zdziwieniu załogi. Gdy admirał poczuł, że może się już wyprostować i spojrzeć wprost na dziwną maszynę, zastygł ze zdumienia.

W środku siedziały dwie osoby.

Jedna nosiła olbrzymi hełm, który wraz z ciemnymi okularami skrywał całą jej twarz. Obok dojrzał porucznika Tomonagiego. Oficer wysiadł, gdy tylko wielkie śmigło...

Tak, to naprawdę śmigło! – pomyślał Kakuta.

...gdy tylko wielkie śmigło przestało się obracać. Trząśnięcie było całkowite, bez wątplenia nie tylko z podniecenia, ale i ze strachu wywołanego podróżą w kabinie tego dziwnego samolotu bez skrzydeł.

Kakuta był wściekły, że proste zadanie zwiadowcze opóźniło ich marsz o kilka godzin. Jednak pojawienie się tej maszyny było chwilowo najważniejsze. Tam we mgle musiało zdarzyć się coś naprawdę niezwykłego.

– Czekam na wyjaśnienia, poruczniku – rzucił Tomonagiemu.

– Niczego nie umiem wyjaśnić – odparł porucznik. – Wszystko wie komandor Hidaka. Wysłał mnie, abym przekonał pana, że pańska obecność na pokładzie przejętego niszczyciela to sprawa najwyższej wagi.

– Ale co to jest? I kto jest pilotem?

– Nazywa się helikopter – powiedział Tomonagi, wymawiając obce słowo z niejakim trudem. – Pilot to porucznik Hardoyo. Zabierze pana na *Sutanto*.

Kakuta przyjrzał się uważnie maszynie. Mgła i mrok zamazywały jej kontury. W bezpiecznej odległości zebrały się już dziesiątki ludzi snujących najbardziej nieprawdopodobne teorie co do jej pochodzenia. Zaczęli nawzajem pokazywać sobie pilota, który pomachał im w odpowiedzi.

– Komandor Hidaka igra z ogniem – powiedział Kakuta. – Powinien sam wrócić i złożyć meldunek, abyśmy jak najszybciej mogli wznowić marsz ku Dutch Harbour. W tej operacji nie możemy pozwolić sobie na opóźnienia.

Tomonagi wciągnął powietrze i wyraźnie zadrżał.

– Komandor Hidaka stwierdził, że nie uwierzy pan w żaden jego meldunek, jeśli na własne oczy nie zobaczy pan, co właściwie znaleźliśmy. Kazał mi powtórzyć, iż w obliczu tego odkrycia atak na Dutch Harbour zapewne i tak zostanie odwołany. Podobnie jak i atak na Midway.

Kakuta znowu zaczął gotować się ze złości.

– Naprawdę? Pan też tak uważa? Co właściwie, pana zdaniem, powinniśmy teraz zrobić? Wykonać rozkaz admirała Yamamoty czy może podporządkować się rozkazom komandora Hidaki?

Tomonagi nie odpowiedział od razu. Mimo lodowatego zimna na jego czole pojawiły się krople potu.

– Admirale, widziałem na tamtym okręcie rzeczy jak ze snu. Rzeczy, których nie potrafię wyjaśnić. Niemniej komandor Hidaka jest przekonany, że to, co uczynimy w ciągu kilku najbliższych godzin, odmieni losy wojny, o samej bitwie o Midway nie wspominając. I niestety, ale chciał też, bym powiedział panu, że Amerykanie złamali nasze tajne kody. Od wielu tygodni znają plany operacji MI. Czekają już na nas w pobliżu Midway. Jednak dodał, że w gruncie rzeczy również i to nie ma obecnie znaczenia.

– Co?! – wybuchnął Kakuta. – Dlaczego od razu mi o tym nie powiedziałaś?

Młodzieniec zgiął się w ukłonie, który miał wyrażać najszczerze przeprosiny.

– Jeśli to prawda, musimy natychmiast przekazać wiadomość Nagumie i Yamamocie – krzyknął admirał.

Gdzieś z tyłu wyłonił się kapitan lotniskowca, Tadao Kato.

– Przepraszam, admirale, ale mamy wyraźne rozkazy, aby utrzymać ciszę radiową. Ponadto brak na razie potwierdzenia tej niezwyklej nowiny. Możemy jedną transmisją narazić cały plan na niepowodzenie.

Kakuta znalazł się w trudnej sytuacji. Obecność tej przedziwnej maszyny na pokładzie świadczyła jednoznacznie, że Hidaka naprawdę odkrył coś bardzo ważnego. Jednak misja Kakuty też nie należała do bagatelnych. Uderzając na Dutch Harbour, miał odciągnąć główne siły przeciwnika na środek Pacyfiku, tak aby nie mogły interweniować pod Midway. Bez tego ataku cały bitewny gambit się zawali. Już teraz byli spóźnieni, a Hidaka chciał ryzykować kolejne godziny zwłoki.

Dotąd jednak zawsze mu wierzył. Ufał jego zdolnościom oceny sytuacji tak samo jak własnym. Dlatego właśnie wybrał go do tej misji. No i ten samolot, który przywiózł Tomonagiego! Bez wątpienia był bardzo nowoczesny i potężny. Nawet sylwetkę miał wręcz groźną, niczym drapieżna ryba. No i sami widzieli, jak bez trudu zawisł nieruchomo nad pokładem.

– Polecę! – powiedział zdecydowanie. – Kapitanie, gdyby przez godzinę nie było ode mnie żadnej wiadomości, proszę działać zgodnie z pierwotnym planem. Moje milczenie będzie znaczyło, że

wpadłem w pułapkę i trzeba mnie zostawić, tak jak komandora Hidakę.

– Przez godzinę – potwierdził Kato.

* * *

Dwadzieścia pięć minut później małe elektryczne urządzenie o rozmiarach niedużej książki, które porucznik Tomonagi przywiózł z obcego okrętu i ustawił na mostku *Ryujo*, nagle ożyło.

– Kapitanie! Kapitanie Kato! – zawołał Tomonagi. – To admirał Kakuta.

Kato obejrzał się przez ramię, sądząc, że jego przełożony jakimś sposobem dostał się na pokład lotniskowca. Zaraz jednak dostrzegł pudełko i ledwie stłumił okrzyk zdziwienia, ujrzał w nim bowiem twarz Kakuty.

– Kapitanie Kato, mówi admirał Kakuta – głos admirała zdradzał zmęczenie. – Proszę nawiązać łączność z flotą. Może pan skorzystać z nadajnika niskich częstotliwości. Przekaze pan, że atak na Dutch Harbour nie odbędzie się. Powtarzam, atak na Dutch Harbour nie odbędzie się. O reszcie sam poinformuję admirała Hosogayę... Wykonać! – dodał widząc, że Kato zamierza oponować.

KRI Sutanto, 3 czerwca 1942, godzina 00.24

– Zdumiewające, naprawdę zdumiewające – mruknął Kakuta, gdy porucznik Moertopo przerwał łączność z flexipadem znajdującym się na mostku *Ryujo*.

– Admirał wyraził swoje wielkie zdumienie tak złożonym urządzeniem – przetłumaczył Hidaka.

– Nie wątpię, że jest wstrząśnięty – przyznał Moertopo, który nie ochłonął jeszcze po odkryciu znacznie bardziej niecodziennym. Plaster na szyi sprawił, że mdłości minęły, ale nadal nie czuł się dobrze.

– Admirale, proponuję wysłać paru ludzi na pokład, aby sprawdzili, czy kapitan Kato wykonał rozkaz – powiedział Hidaka i przetłumaczył swoje słowa Indonezyjczykom.

– To nie będzie konieczne, admirale – wtrącił się Moertopo. – Możemy sprawdzić to stąd. – W parę sekund wywołał na flexipadzie obraz radarowy i podał urządzenie Kakucie. Widać było, że cała flota z wolna zawraca. Hidaka wyjaśnił admirałowi, z czym ma do czynienia. W 1942 roku japońska technika radarowa była jeszcze w powijakach. Moertopo zauważył z satysfakcją, że żaden z mężczyzn nie zdołał ukryć podziwu.

– Jeśli trzeba, możemy też uzyskać osobny obraz każdego z okrętów – powiedział. – Kamerom za

szczyt masztu nie przeszkadza mgła ani ciemność.

Wziął ponownie flexipad, wprowadził kilka poleceń i tak jak obiecał, po chwili na ekranie pojawiła się czarno-biała sylwetka lotniskowca. *Ryujo* kończył szeroką cyrkulację, widać było białe odkosy dziobowe.

– Ponownie jestem zdumiony, poruczniku – powiedział Hidaka z autentycznym szacunkiem w głosie.

– Na pewno nie bardziej niż ja.

Siedzieli przy stole i popijali świeżą herbatę podaną w najlepszych porcelanowych filiżankach. Ostatni raz używali ich, goszcząc na pokładzie prezydenta z rodziną. Przez wzgląd na ubranych w tropikalne mundury Indonezyjczyków klimatyzacja została nastawiona na odtwarzanie warunków ciepłego dnia w okolicach Bali. Japończycy zrzucili co prawda wierzchnie warstwy arktycznego odzienia, jednak spływali potem pod grubymi mundurami.

W pomieszczeniu było teraz dość rojno. Ponad dwudziestu Indonezyjczyków doszło już do siebie i zajmowało się nadal nieprzytomnymi towarzyszami. Niektórzy wzięli się do sprzątania śladów wcześniejszych niedyspozycji. Obie grupy, indonezyjska i japońska, obserwowały się uważnie, jednak na razie cały ciężar radzenia sobie z niezwykłą sytuacją spoczywał na oficerach.

Porucznik Ali Moertopo dążył do pozostawiania z Japończykami na możliwie przyjaznej stopie. Większość jego załogi, z kapitanem włącznie, była nadal nieprzytomna i słabo reagowała na podawane stymulanty. Tym samym na razie inicjatywa znajdowała się całkowicie w rękach Kakuty. Gdyby spotkanie nastąpiło nieco później, *Sutanto* mógłby bez trudu zatopić całe japońskie zgrupowanie i skierować się do Pearl Harbor, aby tam zaoferować swoje usługi tym, którzy i tak ostatecznie mieli wygrać tę wojnę.

Zakładając oczywiście, że to wszystko działo się naprawdę. I że rzeczywiście cofnęli się w czasie.

Porucznik nadal nie do końca w to wierzył.

Na razie jednak starał się zachować pozory gotowości do współpracy z przeciwnikiem. Japończycy mogli przedstawiać się, jak chcieli, nawet jako „grupa ratunkowa”. Widział jednak pistolet w ręku Hidaki i wiedział, co to znaczy. Zauważył także, że marynarze japońscy, a może żołnierze piechoty morskiej, nie wiedział dokładnie, nadal nie odłożyli broni.

Pozwolił Kakucie spojrzeć na ekran radaru, gdyż sam chciał wiedzieć, z jakim dokładnie przeciwnikiem ma do czynienia. Na ile zdołał się zorientować, rdzeniem zgrupowania były cztery ciężkie jednostki, dwa lotniskowce i dwa krążowniki, a może pancerniki. Towarzyszyły im mniejsze okręty eskortowe, zapewne niszczyciele, oraz co najmniej jeden frachtowiec floty. Oględziny za pomocą zamontowanej na maszcie kamery potwierdziły te przypuszczenia. Coś już wiedział i był pewny, że te dane bardzo się przydadzą kapitanowi Djuandzie, gdy dojdzie wreszcie do siebie.

O ile z tego wyjdzie...

Moertopo chciałby jak najszybciej mieć kapitana przy sobie. Ciężka mu wyłączna odpowiedzialność za postępowanie w obecnej sytuacji.

– Znowu źle się pan czuje, poruczniku? Kiepsko pan wygląda.

Pierwszy oficer *Sutanto* wzdrygnął się, wyrwany z zamyślenia. Owszem, nadal czuł się paskudnie, do czego doszedł jeszcze potężny stres.

– Przepraszam, komandorze, ale chyba znowu mnie mdli – skłamał. – Nigdy jeszcze nie doświadczyłem podobnych nudności. Nawet podczas największego sztormu.

– Może macie na to jakieś lekarstwo? – spytał Hidaka. – Wasza medycyna jest równie zaawansowana jak wasze maszyny?

Porucznik nie miał wątpliwości, że Japończyk stara się wyciągnąć z niego jak najwięcej informacji. Był też pewien, że jeśli nie rozegra tego właściwie, ani on, ani nikt z załogi nie dożyje następnego ranka.

– Owszem – powiedział. – Poślę kogoś po zastrzyki.

Kazał jednemu z młodszych marynarzy udać się do izby chorych i dostarczyć jednorazówki z Promatilem.

– Póki nie wróci – zagaił Kakuta po japońsku – czy mógłby pan udzielić nam paru informacji dotyczących historii? Komandor Hidaka przekazał mi, że *Yorktown* nie zatonął w bitwie na Morzu Koralowym i czeka obecnie w pobliżu Midway na flotę Nagumy?

Moertopo zrozumiał mniej więcej, o co pyta japoński oficer, poczekał jednak, aż Hidaka przetłumaczy jego słowa. Zyskał w ten sposób parę dodatkowych chwil, aby zastanowić się nad odpowiedzią. Gdy się odezwał, mówił wolno i wyraźnie, jakby zależało mu na udzieleniu wyczerpujących wyjaśnień:

– Obawiam się, że w znanej mi historii wasze wysiłki opanowania Midway zostały zniweczone przez pechowy zbieg okoliczności. O ile pamiętam, admirał Nagumo zdołał odeprzeć liczne ataki bombowców startujących z atolu oraz samolotów torpedowych, został jednak zaskoczony przez bombowce nurkujące, które uderzyły w chwili przezbrajania i tankowania samolotów na pokładach. W ciągu paru minut trzy lotniskowce zostały wyłączone z walki. Niestety, nie pamiętam dokładnie które. Możemy to jednak sprawdzić w naszej bibliotece.

Hidaka rozejrzał się wkoło, szukając półek z książkami. Moertopo uśmiechnął się i uniósł flexipad.

– Nasza biblioteka znajduje się tutaj.

Obaj Japończycy zagłębili się w rozmowę we własnym języku. Porucznik skorzystał z okazji i

ponownie zerknął na obraz radarowy. Miał nadzieję, że ujrzy w pobliżu siostrzany okręt, ale niestety, tkwili samotnie pośrodku japońskiej formacji. *Nuku* pozostał zapewne z zespołem amerykańskim.

Moertopo rzucił flexipad na stół, jakby nie był w tej chwili dla niego istotny. Nagle Hidaka znowu się odezwał:

– Dziękuję, poruczniku. Jak pan się na pewno domyśla, interesuje nas wszystko, co może pomóc nam zapobiec katastrofie. Jestem pewien, że pan również opowiada się za odebraniem europejskim potęgom ich posiadłości kolonialnych. W tym i pańskiej ojczyzny.

Ali miał ochotę się roześmiać, ale miałoby to fatalne skutki, pozwolił więc sobie tylko na lekki uśmiech. Doskonale wiedział, że gdyby tylko te bestie zdołały opanować trwale jego wyspę, zaprowadziłyby tam tyranię, przy której wszystkie osiągnięcia Kalifatu byłyby niczym. Nie była to jednak stosowna chwila, aby wyrażać własne zdanie na temat „strefy dobrobytu” w którą faszyzujący japońscy militaryści zamierzali zmienić spory kawałek świata.

Na razie należało trzymać język za zębami. Pryncypia musiały poczekać.

– Cóż, sam fakt, że mój rząd wszedł w sojusz ze Stanami Zjednoczonymi, jeszcze o niczym nie świadczy. Większości wcale się to nie spodobało. Na dodatek słono za to zapłaciliśmy. Kraj został spustoszony, władzę objęli bandyci i mordercy. A wszystko przez wspieranie amerykańskiej polityki. To oczywiste, że każdy patriota zrobi co w jego mocy, aby nie dopuścić do podobnego rozwoju wydarzeń.

Sam był zdumiony, jak łatwo kłamstwo przeszło mu przez gardło. Musiał jednak przekonać obu oficerów, że znaleźli właśnie cennego i zaufanego sojusznika, którego należało strzec jak źrenicy oka.

Co ciekawe, miał wrażenie, że to Hidakę trudniej mu będzie oszukać. Starszy oficer był chyba gotów podpisać pakt nawet z diabłem, byle tylko coś zyskać. Niemniej i jego uśmiech skrywał najeżony zębami pysk głodnego rekina.

– O ile pana rozumiem, poruczniku, chce pan zostać naszym sprzymierzeńcem? – spytał Hidaka.

Ali przybrał zatroskany wyraz twarzy. Pierworodnego bym ci teraz obiecał na talerzu, pomyślał, bylebyś tylko dał mi trochę swobody. Co naprawdę jestem ci gotów dać, to inna sprawa.

– Oficjalnie niczego nie mogę panom zaproponować – powiedział głośno. – Musimy poczekać, aż nasz kapitan odzyska przytomność. Nie wyobrażam sobie jednak, aby odrzucił tak wspaniałą okazję naprawienia błędów historii – dodał, uśmiechając się na wilczą modłę. W każdym razie miał nadzieję, że tak to właśnie wyglądało.

Admirałowi to chyba wystarczyło. Hidaka też był pod wrażeniem, ale zapewne nie czuł się jeszcze w pełni przekonany.

Przez lata pływania w obrębie archipelagu pod starym korsarzem, którym w gruncie rzeczy był kapitan Djuanda, porucznik rozwinął w sobie typową dla przemytników skłonność do podejmowania ryzyka i wykorzystywania sytuacji. Teraz właśnie mógł zaryzykować i coś zyskać, tylko stawka była

wyższa niż zwykle. Uznał, że w tej sytuacji najlepiej będzie odegrać rolę człowieka spragnionego zemsty i niezbyt inteligentnego. Nikt przecież nie będzie bał się idioty.

Wrócił marynarz wysłany po Promatil. Moertopo zrobił sobie zastrzyk i kazał rozprościć środek wśród całej załogi.

Kakuta ujął flexipad z taką czcią, jakby była to waza z epoki Ming.

– To wasza biblioteka, poruczniku? Mówi pan, że tutaj przechowujecie informacje? – Wydało mu się to chyba mało prawdopodobne. – Również i te, które mogą nam pomóc? Czas ucieka. Musimy wiedzieć, co robić.

– Nie potrafię doradzić wam, co macie robić – odparł porucznik za pośrednictwem Hidaki. – To nie mój czas. Mogę powiedzieć wam tylko, co my wiemy o tej bitwie. Co mamy na jej temat zapisane. Decyzja należy do was.

Nie zamierzał wyjaśniać im zasad funkcjonowania sieci komputerowej. Nie chciał dawać im kluczy do królestwa. Sam słabo znał historię. Na temat Midway wiedział co nieco dzięki serialowi Toma Cruise'a, który oglądał na pirackiej kopii. Zdawał sobie jednak świetnie sprawę, jak potężne są Stany Zjednoczone. Jak potężne były również w czasach drugiej wojny. Pochlebiał sobie, że rozumie amerykańską kulturę. Nawet jeśli się mylił, na pewno była mu ona bliższa niż kultura japońska.

Stany mogły sobie pozwolić na utratę Midway, a nawet Pearl Harbor. Owszem, wydłużyłoby to wojnę, ale nie zmieniło jej wyniku. Amerykanie byli dziwnymi ludźmi. Łączili w sobie mądrość i barbarzyństwo. Poprzysięgli Japończykom zemstę za zdradziecki atak i gotowi byli spopielić ich kraj. Za kilka lat mieli rzucić na Japonię dwie bomby atomowe, niszcząc Hiroszimę i Nagasaki. Nie miał szansy ukryć tego przed Japończykami. Był pewien, że dowiedzą się o tym, jeśli nie z zapisów, to od kogoś z załogi.

Jak wtedy zareagują? Poproszą o pokój? Chyba nie. Raczej pomyślą, jak sami mogliby zdobyć tę nową broń. No i przegrają. Bo przecież nikt nie wygra z Ameryką, prawda?

Porucznik westchnął i sięgnął po flexipad. Zanim jednak znalazł potrzebne dane, z korytarza dobiegły odgłosy szamotaniny.

* * *

Poza Moertopą przytomnych było tylko dwóch ludzi umiejących obsługiwać łącza centrum bojowego. Jeden z nich, inżynier Damiri, już dziesięć minut po oprzytomnieniu wziął się do odtwarzania zapisów biernego systemu nasłuchu radiowego. Centrum zostało natychmiast zalane informacjami na temat starcia toczonego przez resztę zespołu pod Midway.

Inżynier sięgnął błyskawicznie do panelu kontrolnego. Jednemu z japońskich żołnierzy wydało się to podejrzane i z krzykiem najpierw złapał Damiriego za włosy, potem spróbował odciągnąć go od pulpitu, otaczając przedramieniem jego szyję. W drugiej ręce cały czas trzymał karabin.

Inżynier, który znał podstawy *silat*, indonezyjskiej sztuki samoobrony, zareagował odruchowo. Najpierw odsunął nadgarstek przeciwnika od swojej szyi, potem dźgnął go w splot nerwowy na przedramieniu. Zaskoczony nagłym atakiem bólu Japończyk uderzył Damiriego kolbą broni. Ciągle jeszcze osłabiony inżynier niemalże zemdlął.

Prawie natychmiast obok pojawiło się paru innych żołnierzy i zaczęło okładać Indonezyjczyka. Jego krzyki ściągnęły Moertopę i pozostałych.

Nieco później zasiadł ponownie do pracy. Tyle że obandażowany. Zaczął dostrajać systemy obserwacyjne w taki sposób, aby nie przekazać Amerykanom żadnej informacji o pozycji *Sutanto*.

Porucznikowi wcale się to wszystko nie podobało. Zastanawiał się nawet, czy nie rozkazać młodemu inżynierowi podania po cichu zespołowi podstawowych koordynatów i informacji, ale nie bardzo miał jak to uczynić. Hidaka wyraźnie dał do zrozumienia, że żadne rozmowy w ich macierzystym języku bahasa nie będą tolerowane.

Gdy Damiri doszedł do danych sugerujących, że *Clinton* eksplodował, Moertopo omal nie zaklął. Jak Kolhammer mógł dać się tak załatwić tym prymitywom? Jeśli głupi Amerykanie pozabijają się nawzajem, dokąd przyjdzie mu uciekać, o ile dostanie taką szansę?

Po raz pierwszy od chwili odzyskania przytomności rozważał, czy nie postawić na Japończyków. Sprawa zaczynała wyglądać na jeszcze trudniejszą, niż z początku sądził. Nic w zachowaniu Hidaki nie sugerowało, aby zamierzał poluzować smycz. Przy tylu uzbrojonych żołnierzach baczących na każdy ich krok nie mieli szans na odzyskanie wolności.

– To na pewno okręt żółtków! – krzyknął przez radio amerykański lotnik. – Na pewno Japoniec. Atakuję...

Chwilę potem z głośnika dobiegł huk zwiastujący zniszczenie bombowca.

– Co to było? – spytał Hidaka.

– Zapewne trafienie przez system obronny zwany Metalową Burzą – wyjaśnił porucznik. – Na bliskie dystanse jest bardzo skuteczny. Ten pilot nie miał szans.

– Fascynujące – sapnął Hidaka. – Ale nie o to pytałem. Wcześniej powiedział coś o japońskim okręcie. Przekonywał nas pan, że siły Nagumy są jeszcze daleko od Amerykanów.

Z głośnika płynęły dalsze rozmowy. Niektóre odnosiły się do japońskiej jednostki. Admirał Kakuta spojrział ostro na porucznika, jakby chciał go przestrzec przed skutkami zdrady. Moertopo złożył błagalnie dłonie. Prosił o szansę na udzielenie wyjaśnień.

– W naszym zespole był japoński krążownik, *Siranui*. To o nim była mowa i to on zapewne

zestrzelił amerykański samolot.

– Japoński okręt w składzie amerykańskiego zespołu? – parsknął Hidaka.

Moertopo wzruszył ramionami.

– Przegraliście tę wojnę, komandorze. Mówiłem już. Wasze siły zbrojne zostały całkowicie rozbite. Pokonani nie mają szans na dyktowanie warunków. W moich czasach Japonia była zamerykanizowaną demokracją i wiernym sojusznikiem Stanów.

Rzykował, mówiąc to tak otwarcie. Japończyk wyraźnie z trudem panował nad sobą. Porucznik uznał jednak, że prawda będzie w tym wypadku najlepszym orężem. Starszy oficer powiedział coś szybko do Hidaki; chyba starał się go utemperować. Poniekąd skutecznie.

– Przepraszam za mój wybuch – wycedził po chwili Hidaka. – Rozumie pan chyba jednak, jakie to dla mnie zaskoczenie.

– Tak, oczywiście.

– Admirał pyta, co to za okręt. Ten, który nazwał pan *Siranui*.

Ali Moertopo poklepał inżyniera po ramieniu i kazał mu wywołać dane na temat japońskiej jednostki. Zdesperowane głosy zostały przyciszone i rozlegały się teraz w tle.

– Potem możemy tego posłuchać – powiedział. – Na pewno będziecie chcieli wiedzieć, jakie straty wyrządzili sobie nawzajem Amerykanie. – Nie dodał, że sam też chciałby się zorientować, co właściwie zaszło. I czy *Nuku* jest z zespołem.

– *Siranui* to japońska adaptacja amerykańskiego krążownika typu *Nemesis*. Zapewne jest nawet trochę lepszy niż oryginał, chociaż ma mniejszą siłę ognia. Niemniej w obecnej sytuacji nie ma to chyba większego znaczenia. Sam jeden mógłby zatopić cały pański zespół, admirale.

Gdy Hidaka tłumaczył jego wypowiedź Kakucie, porucznik rozkazał rzucenie na główny ekran przekrojów krążownika typu *Nemesis*.

– Admirał chce wiedzieć, kim jest kapitan tego japońskiego okrętu. Jaki to człowiek? Czy będzie pamiętał o obowiązku służenia cesarzowi?

– Pyta pan, czy się do was przyłączy? Nie wiem. Nigdy go nie spotkałem. Kapitan Djuanda rozmawiał z nim parę razy, ale on nadal jest nieprzytomny.

– A jak pan sądzi, poruczniku? – spytał Hidaka, nie spuszczać oczu ze smukłych linii widocznego na ekranie okrętu.

– Być może się mylę, ale przypuszczam, że nie uzna sprzymierzenia się z wami za korzystne.

Tłumacząc jego słowa, Hidaka przybrał taki ton, jakby nagle dostał mdłości. Kakuta przyjął

nowinę, nie okazując emocji, i zadał tylko jedno pytanie.

– Dlaczego?

– Chcecie, abym wyjaśnił sposób myślenia człowieka, którego nigdy nie spotkałem – zaprotestował Moertopo. – Jestem skazany wyłącznie na domysły. Wielu Japończyków z moich czasów uważało wasz rząd za nieodpowiedzialny. Winny wywołania wojny, której Japonia nie mogła wygrać. Nie wiem, jak kapitan tamtego okrętu postąpi w obecnej sytuacji, ale on nie wychował się w waszych czasach. Inaczej patrzy na świat.

– Jednak powinności wojownika to coś ponadczasowego – zaprotestował Hidaka. – Winien jest wierność cesarzowi. Nie jego wrogom.

– On może uważać, że przede wszystkim powinien służyć Japonii.

– Ale to my jesteśmy Japonią!

– Nie jego Japonią.

– Jego? A kogo to obchodzi, do cholery! Cesarz jest potomkiem bogów! Naszym przeznaczeniem jest mu służyć.

Moertopo znalazł się na niepewnym gruncie. Hidaka zaczynał się niebezpiecznie podniecać. Kakuta, który nie brał bezpośredniego udziału w tej wymianie zdań, również zdradzał ożywienie. Porucznik zaś grał rolę adwokata diabła kogoś, kogo nawet na oczy nie widział, i sugerował wprost, iż ten ktoś może okazać się zdrajcą. Pora była wylać nieco oliwy na wzburzone wody.

– Admirale Kakuta – powiedział najspokojniej jak potrafił. – Nie jestem odpowiedzialny za świat, z którego przybyłem, ani za ludzi, którzy przybyli wraz ze mną. Gotów jestem wam pomóc, ponieważ wy gotowi jesteście pomóc w przyszłości moim krajanom. Jeśli oficerowie *Siranui* dopuszczą się zdrady, na pewno znajdzie się na to jakaś rada. Może zdołacie wciągnąć ich w pułapkę, aby postawić ich przed bezpośrednim wyborem. Może wtedy zrozumieją, że błędzą, i wrócą na właściwą drogę. Albo i nie. Nie wiem. Jednak *Siranui* jest na pewno własnością Japonii i jako taki winien zostać jej zwrócony.

Wiedział, że gada od rzeczy, nie miał jednak wielkiego wyboru. Przede wszystkim musiał uspokoić tych dwóch tutaj, zanim wpadną w histerię i zaczną zabijać dla ukojenia zranionej dumy.

Podziałało. Kakuta, usłyszawszy przetłumaczone słowa Moertopo, wyraźnie ochłonął. Porucznik skorzystał z okazji i poprosił Damiriego o aktualne informacje. To, co usłyszał, miało dla Japończyków znaczenie, chociaż nie wiedział jeszcze, na ile uda mu się rzecz wykorzystać.

Zanim się odezwał, oficerowie sami zauważyli jego zatroskanie.

– Ma pan coś nowego do powiedzenia? – spytał Hidaka.

– Tak. Chyba zapędziliśmy się z tymi spekulacjami. Podporucznik przekazał mi właśnie, że

Siranui został trafiony. Pocisk uderzył w mostek, zabijając kapitana i większość oficerów.

Hidaka przetłumaczył wieść swojemu przełożonemu, który całkiem się już uspokoił. Przez kilka chwil przetrwał informację.

– Admirał pyta, czy okręt został mocno uszkodzony.

– Nie wiem, ale zapewne nie – odparł porucznik. – Mostek na nowoczesnych okrętach wojennych nie pełni już tej roli co kiedyś. Służy bardziej obserwacji niż dowodzeniu w walce. Na pewno są jakieś zniszczenia, ale może niegroźne. Potencjał bojowy mógł pozostać nienaruszony.

Kakuta uśmiechnął się. Poszukał w myślach odpowiedzi, ale w końcu wypowiedział tylko jedno słowo. Po angielsku.

– Dobrze.

Jego zadowolenie nie udzieliło się jakoś porucznikowi Moertopie.

13

Śmigłowiec SAR, 3 czerwca 1942, godzina 00.24

Kapitan Chris Harford prowadził Seahawka szybko, na niskim pułapie. Warunki lotu nie były najlepsze. Kontrola „Search and Rescue” naprowadzała go na miejsce odległe o prawie sześć tysięcy metrów na południowy zachód od lotniskowca, gdzie kamery zdalnie sterowanych samolotów zarejestrowały ludzi w wodzie. Poziom morza był niezmiennie dość wysoki, ciągle była noc. Świt miał nadejść dopiero za kilka godzin, szczęśliwie systemy pozwalające widzieć w ciemności działały bez zarzutu. W powietrzu unosiło się jeszcze czternaście innych śmigłowców SAR. Dwa oberwały od nazbyt nerwowych artylerzystów z jednego z niszczycieli Spruance’a.

Dawka Promatilu zadziałała wreszcie w pełni, usuwając skutki ataku, czy cokolwiek to było. Harford cierpiał na chorobę morską. Nigdy nie przywykł do kołysania okrętu na długiej fali, co było o tyle dziwne, że nie chorował wcale w powietrzu. Każdy rejs natomiast zaczynał od dłuższego pobytu w koi; czekał, aż plaster postawi go na nogi. Frustrowało go to bardzo i było przedmiotem żartów wszystkich wkoło.

Dzisiaj jednak nikt nie miał ochoty na docinki. Wszyscy zdawali się być ciągle pod wrażeniem niedawnych wydarzeń.

– Niech to gęś kopnie! – powiedziała jego drugi pilot, kapitan Hayes, i uderzyła pięścią w moduł GPS.

Chris zawsze podejrzewał, że mimo pięciu lat pracy w roli operatora Amanda nadal była przekonana, że każde elektroniczne urządzenie można naprawić porządnym łupnięciem, tak jak dawne odbiorniki telewizyjne.

Wprowadził szary śmigłowiec w zawis nad polem szczątków. Amanda spojrzała w dół. Podmuch wirnika spychał na bok wszystko, co tam pływało: kawałki drewna, porwane mundury, fragmenty ciał. Tu i ówdzie płonęła ropa, co utrudniało dojrzenie czegokolwiek w podczerwieni.

– Tobes, widzisz coś? – spytała Amanda ratownika siedzącego w tyle śmigłowca.

– Niewiele, pani kapitan – odparł Toby La Salle. Jego akcent pochodził z Południowego Bronksu. – Za dużo ognia. Chociaż... chyba jest para klientów. Na drugiej, odległość dwieście. Płyną, więc chyba żyją.

Harford poruszył lekko drążkiem i maszyna skierowała się ku rozbitkom.

– Płyną coraz szybciej! – zawołał La Salle. – Chyba próbują przed nami uciec.

– Może boją się, że coś do nich mamy – mruknęła Hayes. – Myślą, że przylecieliśmy, aby dokończyć robotę.

– Rzucić linę – przerwał pogawędkę Harford. Zatrzymał Seahawka dokładnie nad mężczyznami, którzy rozpaczliwie próbowali wydostać się poza obszar smagany podmuchem. La Salle cisnął im nadmuchiwanym kołnierz ratunkowy, ale tamci zaczęli tylko energiczniej pracować rękami.

– Pora popływać, Tobes – powiedziała Hayes. Usłyszała, jak La Salle potwierdził rozkaz. Harford przesunął maszynę lekko na bok, ratownik zaś włożył cienki, mokry skafander, płetwy i gogle. Kilka chwil później skoczył.

W niecałą minutę dotarł do pierwszego z rozbitków, chociaż co rusz napotykał na swojej drodze jakieś unoszące się na wodzie szczątki. Marynarz był znacznie drobniejszy od niego i raczej kiepsko pływał. Nie miał szansy na ucieczkę, ale robił co w jego mocy. Gdy La Salle był już obok, tamten próbował rozedrzeć mu poparzonymi palcami twarz. Krzyczał coś przy tym, przerażony.

Przez chwilę obaj mężczyźni miotali się wśród fal. La Salle utrzymał się jakoś na powierzchni, jego przeciwnik poszedł jednak pod wodę. Chwilę potem wynurzył się, wymiotując. Ratownik zrezygnował w końcu z łagodnych metod, siłą wpakował nieszczęśnika w uprząż i dał znak, aby wyciągać. Kawałek pojechał wraz z nim, aby z góry wypatrzeć drugiego rozbitka, i skoczył prosto ku niemu.

Niestety, za późno. Mężczyzna unosił się na wodzie twarzą do dołu.

USS Hillary Clinton, 3 czerwca 1942, godzina 00.29

W centrum prasowym lotniskowca panował zwykle typowo cywilny bałagan. Na większości monitorów wisiały marynarki, flexipady poniewierały się wśród tacek z jedzeniem, kubki po kawie mnożyły się niczym króliki. Do tego dochodził zgiełk, który dokuczał porucznikowi Thieu najbardziej.

Tym razem było jednak cicho, chociaż dziennikarze objawiali zazwyczaj większą skłonność do narzekania i jęków niż mundurowi. Jednak nikt spośród nich nie miał wszczepionych chipów ani modułów medycznych, tym samym choroba dała im się znacznie bardziej we znaki. Większość była nadal nieprzytomna i leżała na zaimprovizowanych legowiskach w rogu pomieszczenia. Czuwał przy nich samotny sanitariusz. Większość, ale nie wszyscy.

Porucznik starał się zachować cierpliwość wobec jedynych dwóch osób, które pozostały przytomne. Próbował nawet robić groźne miny, ale niewiele to dało. Ani Julia Duffy, ani Rosanna Natoli nie widziały żadnego powodu, aby się go bać.

Porucznik był buddystą; zaczynał się już zastanawiać, jakie to złe uczynki popełnił w poprzednim życiu, że musi tak cierpieć w obecnym. Musiał być chyba terrorystą, coś na skalę bin Ladena. Dziennikarki rzuciły się na niego niczym raptory, zagnały do kąta i tam dopiero pokazały kły i pazury. Czuł się zupełnie jak wtedy, gdy mając siedem lat, po raz pierwszy obejrzał *Park jurajski*. O mało nie zmoczył wówczas spodni. Nigdy nie sądził, że będzie musiał naprawdę stawić czoło czemuś podobnemu.

– Miłe panie... – zaczął, pokazując otwarte dłonie.

– Nie dość, że kłamie, to jeszcze okazał się seksistą! – warknęła Duffy.

– Przepraszam, ale...

– Słuchaj no, Edgar – zaczęła Natoli, miotając błyskawice z oczu. – Zostałeś przyłapany z opuszczonymi spodniami. Okłamałeś nas, co znaczy, że chciałeś okłamać obywateli Stanów Zjednoczonych. Ale teraz możesz to naprawić.

– Właśnie. Pozwól nam po prostu wykonywać naszą pracę – dodała Duffy.

– Nie – odparł stanowczo. – Nie w tych okolicznościach. To zbyt niebezpieczne.

– Bez kitu, Edgar! – zaprotestowała Natoli. – Dlaczego niby? To sensacja stulecia. Nie możesz tego zataić. To zbyt duża sprawa. Nie przy tylu tysiącach świadków, z których co najmniej dwadzieścioro to dziennikarze. Jestem pewna, że CNN łapie już wasze transmisje satelitarne.

– Przepraszam, pani Natoli, ale CNN jeszcze długo nie przechwyci żadnej transmisji. Tego jestem pewien.

Obie kobiety parsknęły z rozbawieniem.

– Tak sądzisz? – spytała Natoli, która pracowała dla medialnego molocha z Atlanty.

Edgar, czasem zwany Jajem, uśmiechnął się uprzejmie, co nad wyraz zaniepokoiło dziennikarki.

– Czegoś chyba nie zauważyłyście – powiedział. – Oni są u siebie, my nie – dodał i zawiesił głos w oczekiwaniu, że prosta prawda dotrze do obu pań.

– Cholera – mruknęła po chwili Duffy.

– Właśnie – zgodził się ze współczuciem. – Same panie widzą. Możecie przeprowadzić wywiady, ile chcecie i jak chcecie, ale dokąd wyślecie potem materiał? Nie wiem, czy tutaj w ogóle wynaleziono już telewizję.

– Och – jęknęła Rosanna Natoli, która też zrozumiała. – Cholerny pech.

Opadła na fotel i wpatrzyła się obojętnie w przestrzeń.

Duffy zagłębiła rękę w kieszeni i wydobyla buteleczkę z jakimiś tabletkami. Łyknęła jedną, nie popijając, i wręczyła opakowanie przyjaciółce. Thieu zastanowił się, co to może być. Być może coś, co sprawiło, że nie uległy chorobie.

Cokolwiek to jest, może wreszcie dadzą mi spokój, pomyślał.

Przez kilka chwil cieszył się złudzeniem, że zapanował nad sytuacją.

* * *

Dan Black czuł się zupełnie zagubiony. Ledwie wyskoczyli z Seahawka, dowiedzieli się, że ich misja jest już nieistotna. Spruance upoważnił Wielonarodowe Siły do podjęcia operacji ratunkowych. Śmigłowiec wystartował niemal natychmiast, zabierając pułkownika Jonesa i zostawiając obu oficerów z *Enterprise'a* uwięzionych na *Hillary Clinton*. Kolhammer przeprosił ich. Przekrzykując szum wirników, wyjaśnił, że operacje SAR miały absolutne pierwszeństwo.

Po chwili pojawiła się przy nich Murzynka w łaciatych spodniach, granatowej bluzie i wielkim żółtym hełmie. Pogoniła ich z pokładu lotniczego, który roił się od ekip technicznych. Tu i ówdzie płonęły jeszcze wraki samolotów i szczątki wyposażenia.

Black zauważył, że lotniskowiec miał dwie wysepki odległe o setki metrów. Skierowali się do pierwszej, gdzie panowała całkiem inna atmosfera. W środku nie było nawet czuć woni płonących chemikaliów.

– Nadciśnienie – mruknął Curtis. – No, no.

Korytarze, chociaż o wiele szersze i lepiej oświetlone niż na ich okręcie, były tak samo pełne spieszących się nieustannie ludzi. Co chwila przebiegali sanitariusze z noszami albo strażacy w srebrzystych kombinezonach rodem z *Flesha Gordona*. Wyły syreny, błyskały światła alarmowe. Porucznik Curtis nie wiedział, gdzie patrzeć, tyle ciekawych rzeczy działo się wkoło. Black był bardziej opanowany, ale też pod wrażeniem. Kolhammer pociągnął go za rękę.

– Proszę ze mną, komandorze. Udaję się na mostek.

Black wzruszył ramionami i poszedł za admirałem. Po drodze minęli szereg pomieszczeń, które zdawały się być pełne ekranów, oraz mesę przypominającą raczej elegancką restaurację, pachnącą potrawami kojarzącymi się z Dalekim Wschodem albo basenem Morza Śródziemnego. Trudno było też nie zauważyć kosmopolityczności załogi. Mężczyźni i kobiety wszystkich możliwych ras pracowali razem, jedno tuż obok drugiego, sprawnie i w harmonii. Black był świadkiem, jak biali mężczyźni przyjmowali rozkazy od kobiety, która wyglądała na Meksykankę. Ku jego zdumieniu wykonywali je bez szemrania.

Podobną wieżę Babel ujrzeni na mostku. Black ciągle nie mógł się nadziwić, że tak mieszana obsada jest zdolna do współpracy. W równym stopniu oszałamiała go technika. O ile kokpit śmigłowca skojarzył mu się wcześniej z wnętrzem statku kosmicznego, o tyle tego, co ujrzał na mostku, nie umiał nijak nazwać. Wszędzie jaśniały ekrany, migotały jakieś światełka. Jak ktokolwiek mógł nauczyć się to wszystko obsługiwać? Z jakiego świata przybyli owi goście? Żeby kobiety rozkazywały mężczyznom, a kolorowi byli przełożonymi białych... Black uważał się za człowieka wolnego od uprzedzeń, ale to po prostu nie mieściło mu się w głowie.

Przegapił chwilę, gdy Kolhammer przedstawił im oficera imieniem Judge.

– Mam zestawienie strat obu stron, sir – powiedział tamten ze specyficznym akcentem. – Ponura lektura.

Musi być z Teksasu, pomyślał Black.

– Dzięki, Mike – odparł Kolhammer.

Seahawk przeleciał tuż za pancernym oknem. Śmigłowce krążyły nieustannie między okrętami z czynnymi pokładami startowymi i granicami coraz szerszej strefy poszukiwań. Kolhammer poczekał, aż Judge wywoła dokument na flexipadzie. Jego widoczna w blasku ekranów twarz wyrażała głęboką troskę. Admirał zauważył, że chociaż Curtis z pełnym zaangażowaniem śledzi operacje lotnicze, Black przysiadł spokojnie w kącie i obserwował pierwszego oficera lotniskowca.

– Każda z naszych jednostek ma jakieś uszkodzenia – powiedział Judge. – Jak dotąd potwierdzono sześćset trzydzieści siedem ofiar śmiertelnych na samej *Hillary Clinton*. Tysiąc pięćdziesięciu trzech żołnierzy zginęło na HMS *Fearless*. Kolejne osiemset dziewięćdziesiąt dwie osoby na pozostałych jednostkach zespołu. Mamy ponad tysiąc pięciuset rannych, połowa to ludzie z naszego okrętu. Straciliśmy kontakt z dwoma atomowymi podwodniakami, *Vanguardem*, *Dessaix*, *Amandą Garrett* i obiema indonezyjskimi jednostkami. Trudno orzec cokolwiek na pewno, ale chyba nie przeszły z nami.

– Czyli inaczej niż w przypadku *Nagoyi* – zauważył Kolhammer.

– Zapewne, sir. Jesteśmy niemal pewni, że *Nagoya* uległa zniszczeniu podczas eksperymentu. Byłoby to logiczne, biorąc pod uwagę, czym się parali. Mamy nagranie tej chwili na monitorze numer trzy.

Płaski ekran ożył, ukazując jednocześnie cztery różne ujęcia statku badawczego. Przez kilka

sekund nagranie bieгло w normalnym tempie, po czym nagle zwolniło. Black i Curtis przesunęli się, aby widzieć obraz. Porucznik gwizdnął z cicha, a starszy oficer skrzywił się lekko, jakby nie wierzył w te sztuczki.

– Opracowaliśmy nagranie, aby dodatkowo je spowolnić, ale i tak niewiele widać. To stało się naprawdę błyskawicznie.

Kolhammer obserwował z uwagą, jak gigantyczny gazowiec kurczy się nagle do rozmiarów punktu w przestrzeni. Moment później z tegoż punktu wystrzeliły wstęgi światła.

– Co to było? – spytał. – Wyglądało tak, jakby go gdzieś wciągnęło...

– Prawda? Porucznik Dietz powiedział, że „przerobiło ich na spaghetti” Wyjaśnił, że tak przebiega sprowadzenie do dwuwymiarowości. Jak w czarnej dziurze. Daleka wycieczka.

– Bez powrotu?

– A nawet gorzej.

Curtis pochylił się ku przełożonemu.

– Co to jest czarna dziura, sir? – szepnął.

– Nie wiem.

– Później to wyjaśnimy – powiedział Kolhammer i nagle coś przyszło mu do głowy. – Przepraszam, komandorze Black. Mike, mamy tu reporterkę z „Timesa” która kilka lat temu pisała na ten temat. Niejaką Duffy. Znalazłem jej artykuł, kompletując materiały, które zabrałem na pokład *Enterprise*’a. Dobrze byłoby, gdyby przygotowała teraz na piśmie wyjaśnienie całej sytuacji. Na tyle proste, aby nadało się i dla naszych ludzi, i dla miejscowych. Bóg jeden wie, jak bardzo będziemy tego potrzebować. Czy ona nadal jest z nami?

– Jestem przekonany, że porucznik Thieu robi, co w jego mocy, aby zatrzymać ją w klatce, sir.

– Zanotuj, że muszę z nią później porozmawiać. Niech zacznie zarabiać na swoje utrzymanie. Dobrze – pokiwał głową. – Co do naszych brakujących jednostek; na pewno nie przeszły? Czy uległy zniszczeniu?

– Nie mamy pewności ani w jednej, ani w drugiej kwestii – odparł Judge, gdy kolejny Seahawk oderwał się od osmalonego pokładu. – Ale ich przejście wydaje się mało prawdopodobne. Strefa transferu miała wyraźną granicę. Wiemy to dzięki kapitan Halabi, która widziała HMS *Fearless* przecięty wpół. Lotniskowiec znajdował się osiem tysięcy metrów od gazowca. Okręty podwodne były znacznie dalej, czyli zapewne poza strefą. O ile miała ona regularny kształt, oczywiście.

– Czy mamy podstawy, by tak uważać? – spytał Kolhammer. – Wszystkie jednostki zmieniły pozycje wobec siebie. *Havoc* znalazł się nagle prawie siedem tysięcy metrów bliżej nas.

Judge wzruszył jedynie ramionami.

– Niczego nie możemy założyć w przypadku zjawiska, którego natury nie rozumiemy. Zdaje się, że to była jedna wielka anomalia. *Havoc* rzeczywiście znalazł się bliżej, ale *Siranui* wyłonił się dziesięć tysięcy metrów dalej, niż powinien. Może być i tak, że brakujące jednostki rozrzuciło po całym globie. Albo cisnęło w kosmos. Czy wyłoniły się setki kilometrów w głębi Ziemi. Po prostu nie wiemy.

– Dobrze zatem, niczego nie będziemy zakładać. Co z siłami Spruance’a? Jak mocno oberwali?

Mike Judge zerknął na Blacka i wciągnął głośno powietrze.

– Wylądowali w średniowieczu, sir. Stracili trzy krążowniki i dwa lotniskowce, *Horneta* i *Yorktowna*. To daje około ośmiu tysięcy poległych. Kolejny tysiąc zginął zapewne na niszczycielach. Pięć już zatoneło, dwa jeszcze toną. Nie potrafimy dokładnie określić ich strat. Tam nikt nie ma implantów.

Judge był wstrząśnięty a Kolhammer nie znajdował żadnych słów pocieszenia. Sam czuł się rozbity. Curtis i Black przyjęli nowiny jeszcze gorzej. Chociaż stali prawie na środku pomieszczenia, nikt nie patrzył w ich stronę.

– Rozumiem, Mike – odezwał się w końcu admirał. – Na razie możemy tylko robić swoje. Ratować, kogo tylko się da, i opatrywać rannych. Jak przebiega akcja?

Judge spojrzał w okno.

– Tym zajmuje się doktor Francois na *Kandaharze*. Straciliśmy Prestona podczas wybuchu zbiornika z tlenem i teraz Francois jest najstarszym lekarzem w zespole. Zorganizowała pomoc dla obu stron. Najciężej rannych bierzemy do siebie, bo u nas mają większe szanse. Miejscowi też robią, co w ich mocy. Posłaliśmy naszych lekarzy na ich okręty.

– I jak to działa?

– Na razie bez problemów. No i jest jeszcze jedna ważna sprawa.

Kolhammer potarł kark.

– Midway – westchnął.

Black i Curtis drgnęli.

– Powiedział nam pan, że zdoła odeprzeć każde zagrożenie – przypomniał mu Black.

– Admirał Spruance chce wiedzieć, co zamierzamy z tym zrobić, skoro praktycznie odebraliśmy mu możliwość działania – powiedział Judge.

– Czy wiemy, gdzie powinni być w tej chwili Japończycy? – spytał Kolhammer.

Judge pochylił się nad ekranem i przebiegł po nim palcami. Porucznik Curtis pokręcił głową, widząc dziesiątki ikon, które pojawiały się, znikwały i rozwijały w nowe okna, ukazując tabele z danymi, kawałki tekstu albo zdjęcia kobiet i mężczyzn w różnych mundurach.

– Sprawdziłem akta załogi i wybrałem paru pasjonatów historii. Oderwałem ich od zwykłych obowiązków i kazałem przestudiować źródła oraz ustalić kurs japońskiego zespołu.

Na ekranie pojawiła się mapa Pacyfiku z zaznaczonymi pozycjami obu flot w okresie od pierwszego do siódmego czerwca 1942 roku.

– System NEMESIS odkrył już sporą formację zbliżającą się z zachodu. Pozycja zgadza się z zapisaną w relacjach pozycją Nagumy.

– Kiedy ma dojść do pierwszego ataku?

Judge zerknął na flexipad.

– O ósmej rano trzeciego czerwca, czyli dzisiaj, Drugi Zespół Uderzeniowy Lotniskowców pod dowództwem admirała Kakuty przeprowadzi dywersyjny atak na Dutch Harbour na Aleutach. Czwartego czerwca o piątej pięćdziesiąt trzy radar na Midway dostrzeże pierwszą falę samolotów, które będą atakować wyspę między szóstą trzydzieści a szóstą czterdzieści trzy.

Kolhammer pokiwał głową z uznaniem.

– Zostało zatem półtora dnia do głównego ataku. Przygotujemy plan uderzenia na ich lotniskowce. Jeśli nie uda nam się poderwać samolotów, zniszczymy ich pociskami. Najpierw jednak będziemy musieli przedyskutować to ze Spruance'em. Proszę jak najszybciej zwołać naradę. I zaprosić tu admirała oraz wszystkich, którzy zechcą przybyć. Poślemy po nich śmigłowiec. Najpierw jednak musimy zakończyć operację ratunkową. Wcześniej porozmawiam z pełniącym obowiązki dowódcy *Siranui*.

– To podporucznik Miyazaki. Otworzyć łącze laserowe czy wolałby pan pomówić z nim bezpośrednio?

– Zaproszę go do siebie. Trochę szacunku nie zaszkodzi.

– Chyba to doceni, admirale – powiedział Mike Judge. – Zapewne długo jeszcze nie poczuje się tu jak u siebie.

Porucznik Black nie skomentował jego słów.

USS Kandahar, 3 czerwca 1942, godzina 00.29

Kapitan Margie Francois przysiadła po raz pierwszy od ponad dwóch i pół godziny. Wreszcie trafiła się jej krótka chwila przerwy.

Jako naczelnny lekarz 82. MEU w pierwszym rzędzie troszczyła się o własny personel medyczny. Kolejne miejsca na liście priorytetów zajmowali operatorzy systemów obronnych *Kandahara*, personel pokładowy z kluczowych stanowisk i oficerowie trzeciego batalionu.

Tak było na co dzień, do chwili, gdy zaczęli napływać ranni. Najpierw pojawiły się ofiary samego tranzytu, jak pomoc kuchenna z poparzeniami trzeciego stopnia spowodowanymi upadkiem na piecyk gazowy czy marynarz, który spadł przez właz między pokładami i złamał kręgosłup. Krótco potem pierwsze pociski uderzyły w okręt i zaczęła się prawdziwa robota.

Jeszcze później zaczęli napływać ranni z zespołu Spruance'a. Wkrótce pokładowy szpital na sto łózek wypełnił się bez reszty. Strumień poszkodowanych jednak nadal płynął. Oparzenia, wielokrotne złamania, pęknięte czaszki, zmiażdżone kończyny do amputacji, perforacje jelit... Wielu opilo się ropy albo miało płuca pełne słonej wody. Część zanosila się krzykiem, niektórzy tylko jęczeli cicho. W szpitalu śmierdziało spalonym ciałem, krwią, odchodami i strachem. Gdy sanitariusz wręczył Francois porcję mrożonego musu owocowego, kontrast między jego słodkim smakiem a panującym wkoło odorem kostnicy wyrwał ją z transu.

Na chwilę prawie zapomniała, gdzie jest. Poczula się jak widz na osobliwym przedstawieniu.

– Kapitanie? Kapitanie Francois?

Czyjś głos przywołał ją do rzeczywistości.

– Kończy nam się żel na oparzenia. Jeszcze jest, ale w tym tempie nie starczy na długo.

Francois spojrzała na sanitariusza.

– Dziękuję za przekąskę. Była mi potrzebna.

– Pani kapitan?

– Tak, wiem. Żel. Nic nie poradzę, poruczniku. Trzeba go stosować i już. Zna pan zasady. Nie ma co martwić się na zapas.

– Tak jest.

Młody człowiek zsalutował i odszedł.

– Kapitanie?

Francois poznała głęboki bas pułkownika Jonesa. Odwróciła się do niego i zmęczonym gestem podniosła rękę, aby zsalutować.

– Potrzeba wam czegoś? – spytał Jones.

– Odpowiedzi na parę pytań – stwierdziła z goryczą w głosie. – A poza tym żelu na oparzenia i tkanki skórnej. Jedno i drugie znika w zastraszającym tempie.

Jones potarł ogoloną głowę.

– Ilu naszych oberwało? – spytał, mając na myśli batalion.

– Sześćdziesięciu dwóch nie żyje – odparła bez wahania. – Pięćdziesiąt trzy osoby są ranne. Głównie to skutki eksplozji, ale paru miało po prostu pecha.

– Podczas tranzytu?

– Jeśli tak to nazywacie, to owszem.

Mężczyzna leżący na pobliskim łóżku zaskowyczał nagle niczym ranne zwierzę. Francois była przy nim pierwsza. Nie miał na sobie munduru, trudno było więc orzec na pierwszy rzut oka, skąd jest. Szybkie przesunięcie skanerem odpowiedziało, że pacjent nie ma implantu, zatem niemal na pewno pochodził z okrętu floty Spruance'a. Moduł diagnostyczny łóżka przekazał dane do flexipadu Francois: starszy marynarz Murray Belknap, pęknięcie kości biodrowej, siedem złamanych żeber, uszkodzenie śledziony, oparzenia drugiego stopnia na piętnastu procentach powierzchni ciała. Ledwo skończyła czytać, na miejscu pojawił się zespół do walki z szokiem pourazowym.

– Zajmiemy się nim, kapitanie – krzyknął jeden z sanitariuszy.

Jones wziął Francois za ramię i odprowadził na bok.

– Niech działają, Margie. Dobrze ich wyszkoliłaś. Daj im pracować. Nie możesz sama zajmować się wszystkim. Masz coś więcej do zrobienia.

– Wiem – powiedziała. – Ale to odruch.

– Rozumiem. Ilu miejscowych tu leży?

– Prawie trzystu. Niemal dwa tysiące trafiły na pozostałe okręty. Mamy już komplet. Kolejnych kładziemy w kwaterach mieszkalnych.

Jones pokiwał głową.

– Ilu z nich stracimy? Tak na sto procent.

Francois zastanawiała się chwilę. Potem sięgnęła po flexipad, aby sprawdzić parę rzeczy.

– Na ile mogę coś obecnie powiedzieć, zapewne około ośmiu procent.

– To mniej, niż oczekiwałem.

Jones nie próbował nawet zachęcać jej do większego wysiłku. Wiedział, że byłaby to obraza. I tak robiła, co mogła. Miała nadzieję, że to wystarczy.

HIJMS Yamato, 3 czerwca 1942, godzina 01.46

Admirał Isoroku Yamamoto był po prostu wściekły. Ktoś mniejszego ducha zapewne wyłby jak wilk albo walił pięściami w nagą gródź, aż pokryłaby się plamami krwi. Nie chciał tej wojny! Nie chciał tych pochwał i nic niewartych zaszczytów, które spadły na niego po zwycięskim rajdzie na Pearl Harbor. Nie chciał ich, gdyż wiedział, iż doprowadzą do klęski.

Stany Zjednoczone Ameryki były kolosem, którego nikt nie miał szansy pokonać. Yamamoto pokładał całą nadzieję w *kessen kantai* – decydującym starciu, po którym wykrwawieni, oszołomieni i pozbawieni floty Amerykanie sami poproszą o pokój.

Była to jednak ryzykowna gra, a stawką w niej – życie całego narodu. Tymczasem ten osioł, ten głupiec, ten syn rzeźnika Kakuta postradał zmysły i zapomniał o zasadach, których nie wolno naruszać.

Najpierw przesłał długą wiadomość radiową. Mimo jednoznacznego zakazu naruszył ciszę radiową! Yamamoto wyrzucił z siebie wiązkę przekleństw. Tak długa transmisja nie mogła ujść nasłuchowi przeciwnika. A tak dobitnie podkreślał, jak ważne jest niepostrzeżone dojście na pozycje ataku. Raz jeszcze przeczytał wiadomość trzymaną w masywnych, drżących ze złości dłoniach. W lewej brakowało dwóch palców.

Kakuta zawrócił Drugi Zespół Uderzeniowy Lotniskowców, który teraz kierował się z powrotem ku wyspom macierzystym. Admirał Hosogaya, chociaż mocno zdezorientowany, podążał za nim z Grupą Północną. Kakuta chciał ponadto, aby Yamamoto rozkazał głównym siłom oraz Pierwszemu Zespołowi Uderzeniowemu Lotniskowców pod dowództwem admirała Nagumy zawrócenie ku kotwiczowisku Hashirajima. Próbował wydawać rozkazy swojemu przełożonemu! Na koniec zapowiedział, że właśnie wylatuje, aby osobiście spotkać się na *Yamato* z głównodowodzącym Połączonej Floty i przedstawić mu bardzo ważne powody, które skłoniły go do zmiany planów i przerwania operacji.

Yamamoto nie zamierzał go wysłuchać. Przysięgał sobie, że gdy tylko ujrzy Kakutę, każe natychmiast skrócić go o głowę. O ile go ujrzy, oczywiście, bo najpierw będą musieli go wyłowić z wody. Ten dureń chyba zapomniał, że *Yamato* nie jest lotniskowcem.

Admirał zmiął kartkę w zdrowej dłoni. Czytał tę szaloną depeszę tyle razy, że mógłby ją chyba recytować z pamięci. Kakuta twierdził, że Amerykanie złamali szyfr JN 25 i czekali w zasadzce na lotniskowce Nagumy. Może i była to niemiła niespodzianka, ale przecież po to właśnie cierpieli tę paskudną pogodę, aby skłonić przeciwnika do podjęcia decydującej bitwy i zniszczyć resztki jego floty. Co więc za różnica, że Amerykanie czekali? Yamamoto zebrał największą flotę od czasów Jutlandii i mógł zmiażdżyć przeciwnika nawet bez przewagi dawanej przez element zaskoczenia.

Chociaż może o to właśnie chodziło? Amerykanie teraz na pewno już o nich wiedzieli. Nie mogli nie usłyszeć Kakuty. Niemniej siły Nagumy miały zostać wzmocnione o *Ryujo* i *Junyo*. Wrogowi zostało już tylko kilka okrętów, które były bez szans wobec zespołu złożonego z sześciu

lotniskowców floty i szeregu pancerników oraz ciężkich krążowników. Może zmiana planu gry dawała szansę na jeszcze większą wygraną?

Yamamoto wciągnął głęboko powietrze i skupił się, aby odnaleźć własne *hara*. Będzie musiał działać szybko. Nie przerwie operacji. Zostało mu tak mało czasu, że nie mógł poświęcić nawet chwili na egzekucję Kakuty.

W locie, 3 czerwca 1942, godzina 02.12

Eurocopter Panther 2E leciał przez mgłę ledwie dwieście metrów nad powierzchnią oceanu. Kakuta i Hidaka siedzieli w kabinie ładunkowej przyzupasani do foteli, ale mogli cały czas spoglądać do wnętrza kokpitu. Starszy oficer nieustannie zdumiewał się mnogością jasnych ekranów i zastanawiał, jak piloci potrafią nad tym wszystkim zapanować. Moertopo, który z każdą pokonywaną milą stawał się coraz bardziej skłonny do uległości, zapewniał go, że na pewno nie zgubią się pośród przestworów Pacyfiku. Dodał, że wprawdzie GPS nie działa, ale system zwany SINS doprowadzi ich w pobliże zespołu Yamamoty.

Zapewnił też, że radar śmigłowca na pewno odnajdzie tak potężny obiekt jak pancernik. A podobno byli już wystarczająco daleko od Midway, aby detektory na amerykańskich jednostkach nie wykryły śladowego promieniowania bocznego ich radaru.

Kakuta próbował przygotować się na spotkanie z Yamamotą, ale szło mu opornie. Nerwy go zżerały. Czuł się jak mrówka pod opadającą stopą olbrzyma. Wcale by się nie zdziwił, gdyby admirał rozkazał po prostu ich zestrzelić. Indonezyjczykom o tym nie powiedział, ale w duchu przygotowywał się na najgorsze.

Hidaka wydawał się zachowywać większy spokój. Był z ducha samurajem. Kakuta modlił się, aby w razie czego jego hańba nie spadła na protegowanego.

Porucznik Moertopo przycisnął dłoń do ucha.

– Pilot melduje, że jesteśmy sto pięćdziesiąt kilometrów od celu, admirale. Przy tym dystansie może bezpiecznie spróbować nawiązać łączność.

Głos Hidaki, który przetłumaczył wypowiedź, zabrzmiał w lekkich słuchawkach zdumiewająco czysto. Jeszcze jedna drobna przesłanka świadcząca o tym, że mieli podstawy, by uwierzyć w to szaleństwo.

– Mam mówić do tego patyka? – spytał, postukując w metalowy element, który sięgał mu do kącika ust.

Moertopo uniósł rękę i opuścił ją dopiero wtedy, gdy drugi pilot zameldował o wejściu na częstotliwość *Yamato*. Wskazał palcem na Kakutę i pokiwał głową.

– *Yamato, Yamato*, mówi admirał Kakuta, dowódca Drugiego Zespołu Uderzeniowego

Lotniskowców. Mówi admirał Kakuta z Drugiego Zespołu Uderzeniowego Lotniskowców. Zbliżamy się kursem dwa cztery trzy do waszej obecnej pozycji. Proszę o potwierdzenie odbioru.

– Mówi główny oficer sygnałowy Wada – rozległo się nadspodziewanie wyraźnie. – Proszę czekać.

Minuta oczekiwania wlokła się niemiłosiernie. Niepokój udzielił się wszystkim, chociaż byli jeszcze poza zasięgiem działek przeciwlotniczych floty. Moertopo wyjaśnił jednak, że zapewne nie starczyłoby im paliwa na powrót na macierzysty okręt. Na dodatek co rusz doświadczali niemiłych skutków turbulencji. Kakuta już chciał powtórzyć wezwanie, gdy w słuchawkach rozległ się gniewny i zimny głos admirała, tak wyraźny, jakby ten stał tuż obok.

– Zatem znowu złamałeś ciszę radiową, Kakuta – warknął Isoroku Yamamoto.

– Tak, admirale...

Pozorny spokój Kakuty prysł. Przez kilka chwil szukał właściwych słów, jednak mimo świadomości, że musi w końcu się odezwać, nie mógł nic wykrztusić. Czuł wibrację śmigłowca, słyszał przytłumiony ryk silnika, wiedział, że wszyscy wkoło patrzą na niego wyczekująco. Co jednak miał powiedzieć? Prawda zabrzmiałaby jak majaczenia szaleńca. Musi dobrać właściwy sposób jej przekazania. Właśnie. Tyle że myśli nie chciały oblec się w zdania. Chyba nigdy...

– Admirale Yamamoto.

– A to kto? – spytał admirał.

– Komandor Jisaku Hidaka z *Ryujo*. Towarzyszę admirałowi Kakucie w tej misji. Podjęliśmy ją z mojej inicjatywy.

– Nie! – wyrzucił z siebie Kakuta. Nie chciał, aby jego podwładny nadstawiał karku. To byłoby niehonorowo pozwolić mu wziąć na siebie odpowiedzialność i winę. Nie przeżyłby takiego postępu.

– Zatem mamy jeszcze jednego buntownika – warknął Yamamoto. – A może szaleńca?

– Wiem, że uważa pan nas obu za szalonych, admirale. Przybywamy jednak jako zbawcy. Przysięgam na duchy naszych przodków.

– Wasi przodkowie będą mieli się czym martwić, zapewniam pana, komandorze Hidaka.

– Mam nadzieję, że nie, admirale. Płynie pan ku klęsce i katastrofie. Możemy jednak jeszcze im zapobiec, jeśli nas pan wysłucha.

– Słucham. Bez wątplenia Amerykanie słuchają także. Cały świat czeka na to, co ma pan do powiedzenia, komandorze Hidaka.

– „Oto nadszedł zabawy czas, jesteśmy po to, aby rozweselić was” – zanucił pod nosem

Moertopo.

Hidaka zgromił go spojrzeniem. Nie wiedział, z jakiej piosenki pochodził ten fragment, ale gdyby admirał Yamamoto usłyszał coś takiego, skutki byłyby zapewne katastrofalne.

– Admirale, proszę o wybaczenie, ale nie powinniśmy nawet próbować wyjaśniać niczego przez radio – powiedział. – Byłby to daremny wysiłek. Jesteśmy obecnie o dwadzieścia minut lotu od waszej pozycji. Podejmiemy do lądowania na pokładzie dziobowym, przed wieżami artyleryjskimi. Powiedziano mi, że będzie to niebezpieczny manewr. Pilot prosi, aby ustawić okręt burtą do wiatru.

– To bardziej niż niebezpieczne – rzucił Yamamoto. – Skutki będą oplakane. Nie możecie lądować wodnopłatowcem na pancerniku. Ostrzegam was. Jeśli zbliżycie się do *Yamato*, będziemy musieli was zestrzelić.

– Nie lecimy wodnopłatowcem, admirale. Możemy wylądować na pancerniku, nie powodując uszkodzeń. Proszę do nas nie strzelać. Niebawem sam pan zrozumie. Bez odbioru.

Przeciągnął palcem wskazującym po szyi, dając znak Moertopie, aby przerwał połączenie.

Głównodowodzący Połączonej Floty umilkł w pół słowa.

Admirał Kakuta był przerażony. Spojrzał na podwładnego, jakby ten naprawdę postradał zmysły. Nikt nie rozmawiał w ten sposób z Isoroku Yamamoto.

Hidaka rozłożył bezradnie ręce.

– Z tego, co słyszałem, admirał jest hazardzistą. Ja także.

* * *

Yamamoto otworzył i zamknął usta. Raz i drugi. Nie wydobył się jednak z nich żaden dźwięk.

Może uda im się wylądować na *Yamato*, pomyślał. To owadopodobne coś, któremu udało się przelecieć prawie dwa tysiące kilometrów ponad zamglonym oceanem, i to w nocy, zdawało się wisieć nieruchomo nad forkasztem. Nie, to coś naprawdę tam wisiało.

Po oceanie przetaczały się dwumetrowe fale, które wielki dziób *Yamato* przecinał, jakby były tumanami dymu. Jednak oddech Pacyfiku udzielał się w jakimś stopniu ogromnemu, wypierającego sześćdziesiąt pięć tysięcy ton kadłubowi. Yamamoto, który po cichu rozkazał jednak zmienić kurs, nie mógł oczu oderwać od tajemniczej maszyny, która powtarzała wiernie każdy ruch znajdującego się poniżej pokładu. „Wodnopłatowiec” podnosił się i opadał w tym samym rytmie co okręt. Zupełnie jakby pilot próbował tańczyć nad kołyszającym się lekko pancernym behemotem.

Admirał Yamamoto, kapitan Takayanagi i wszyscy oficerowie, którzy zebrali się na wysoko umieszczonym pomoście, patrzyli jak zahipnotyzowani i zastanawiali się, czy naprawdę ten bezskrzydły samolot zdoła wylądować, czy nie rozbije się o pokład. Nie mieli pojęcia, jakim cudem pilot może cokolwiek dostrzec w mroku i tumanach wodnych rozprysków, ale widać jednak dostrzegał co trzeba.

Szybkim i znamionującym wprawę pilota manewrem wążka usiadła na płytach pokładu dziobowego. Ryk silnika ucichł raptownie i nad kadłubem dały się dojrzeć łopaty zwalniającego obroty wirnika. To wyjaśniało, jak maszyna mogła utrzymywać się w powietrzu.

Grupa marynarzy rzuciła się z linami, aby umocować maszynę na pokładzie.

KRI Sutanto, 3 czerwca 1942, godzina 02.37

– Poruczniku Tomonagi, szybko. Kapitan się budzi.

Tomonagi podążył za marynarzem do kwater oficerskich. Mężczyzna, którego wcześniej Moertopo wskazał jako kapitana, rzucał się na wpół przytomny na posłaniu.

Tomonagiemu zrobiło się niedobrze, pot wystąpił mu na czoło. Rozkaz komandora Hidaki brzmiał jednak jednoznacznie.

– Wy dwaj – warknął w kierunku pary marynarzy. – Złapcie go i za mną.

Paru Indonezyjczyków, którzy chcieli pomóc, zostało zatrzymanych przez uzbrojonych żołnierzy japońskich.

– Zajmiemy się nim – powiedział Tomonagi. – Wracajcie do swoich obowiązków.

Żaden go nie zrozumiał, ale ton był jednoznaczny. Nie próbowano im przeszkadzać, gdy wynosili kapitana na korytarz.

Tomonagi poprowadził ich na górę. Na pokładzie podszedł do relingu i rozejrzał się wkoło. Nie było tu nikogo poza dwoma japońskimi wartownikami. Skinął na marynarzy, którzy unieśli bezwładne ciało i cisnęli je za burtę. Dał się słyszeć plusk i nic więcej. Żadnego krzyku.

HIJMS Yamato, 3 czerwca 1942, godzina 03.28

Porucznik Ali Moertopo nie wiedział dość o admirale Isoroku Yamamocie, aby w pełni docenić zaszczyt, który go spotkał. Natomiast jego okręt flagowy, pancernik *Yamato*, zrobił na nim wrażenie.

Indonezyjczyk jadł już jednak chleb z niejednego pieca i trochę znał się na ludziach. Potrafił rozpoznać, z kim ma do czynienia. Spotkał już wielu takich zarozumiałców jak Yamamoto.

Stał nieco z tyłu i obok komandora Hidaki w kabinie operacyjnej *Yamato*. Po ciasnocie *Sutanto* wszystko tutaj wydawało mu się bardzo przestronne. Przed nimi rozpościerał się stół z mapą Pacyfiku i masą drewnianych miniatur okrętów oraz chorągiewek symbolizujących rozmieszczenie setek japońskich jednostek na przestworach północnej części oceanu. Obecnie na blacie panował niejaki bałagan, a ludzie za to odpowiedzialni mieli właśnie stawić czoło atakowi całej grupy oficerów w ciemnych mundurach i z jeszcze mroczniejszymi obliczami.

Światła kabiny odbijały się w wygolonej na gładko czaszce admirała. Kakuta i Hidaka próbowali coś tłumaczyć. Yamamoto słuchał tego bez mrugnięcia okiem, jednak oficerowie stojący wkoło nie kryli niedowierzania i oburzenia. Gdy Kakuta umilkł, w pomieszczeniu zaległa ciężka cisza.

– A co pan powie o tym wszystkim, poruczniku Moertopo? – spytał admirał bezbłędnym angielskim, z lekkim tylko obcym akcentem.

Moertopo, który trochę zdążył jednak poczytać, nie był zdumiony. Wiedział, że Yamamoto studiował na Harvardzie, potem zaś pracował na placówce w Waszyngtonie. Zaskoczyło go tylko, że głównodowodzący Połączonej Floty zwrócił się do niego bezpośrednio. Nie sądził, że kogokolwiek będzie interesować jego zdanie. Hidaka pchnął go do przodu.

– A co dokładnie chodzi... sir?

– Czy naprawdę oczekuje pan, że uwierzę, jakoby miał pan tu przywędrować z przyszłości?

– Nie.

– Po co więc marnuje pan mój czas na opowiadanie podobnych bzdur?

Moertopo uznał, że admirał chyba wie coś jeszcze, coś, z czym dotąd się nie zdradził.

– Nie oczekuję, że mi pan uwierzy. Ale to prawda. Urodziłem się w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym siódmym roku.

– Rozumiem.

Znowu zrobiło się cicho.

– A jak pan się tu dostał? – spytał Yamamoto po chwili.

– Nie wiem – odparł zgodnie z prawdą Moertopo. – Ale jestem.

– I pana przyjaciele, Amerykanie, też – rzucił admirał.

– W to pan wierzy?

– Nasłuch wyłapał wielką aktywność w eterze w okolicach Midway. Doszło tam do bitwy morskiej. Bez naszego udziału.

Moertopo spojrział na twarze oficerów stojących za Yamamotą w nadziei, że coś z nich wyczyta, ujrzał jednak tylko złość i podejrzliwość.

– Też odebraliśmy te sygnały – powiedział. – Zdaje się, że Amerykanie zadali sobie nawzajem ciężkie straty.

I tym razem jego słowa nie wywołały żadnej widocznej reakcji. Żałował, że nie miał dotąd szansy zaprezentować nic z tego, co przywiózł, a poza książkami historycznymi zabrał też filmy. Udało mu się nawet odnaleźć piracką kopię *Tora! Tora! Tora!* Skłonny był sądzić, że po takim prezencie tubylcy winni zaraz poczęstować go sake, dać jakąś gejszę do towarzystwa i w ogóle powitać jak przyjaciela i sojusznika państw Osi. Na razie jednak flexipady leżały bezużytecznie na stole.

– Proszę powiedzieć, poruczniku, co zamierzaliście z przyjaciółmi, zanim jeszcze niespodziewane zdarzenie przeszkodziło wam w wykonywaniu pierwotnego zadania? – spytał Yamamoto podejrzanie przyjaznym tonem.

– To nie są nasi przyjaciele – odparł Moertopo. – Mam tu dokumenty, które może będziecie chcieli przejrzeć. Niektóre bardzo ciekawe. *Świat podczas wojny*, *Zwycięstwo na morzu*. Jest też miniserial Toma Cruise’a. Mógłbym...

– Nie interesują mnie pańskie zabawki – warknął admirał. – Chcę usłyszeć, co stanie się dalej.

Hidaka pochylił się ku niemu, aby coś wyszeptać, ale Yamamoto zgromił go spojrzeniem.

Moertopo przejrzał podczas lotu materiały na temat wojny na Pacyfiku i co nieco wiedział, obawiał się jednak, że te aroganckie psy rzucą się na niego i rozedrą na strzępy, usłyszawszy, jak skończył się ten konflikt dla Japonii. Na ile zdołał się zorientować w przeszłości, żaden z nich nie wierzył w klęskę aż do chwili, gdy stała się ona więcej niż oczywista. Sprawa wydawała się beznadziejna. Nagle jednak coś sobie przypomniał.

– Miał pan rację – powiedział.

Yamamoto spojrział na niego obojętnie.

– W jakim sensie?

Porucznik wziął jeden z flexipadów i szybko odszukał właściwą stronę.

– Miał pan rację, gdy w rozmowie z premierem Konoye, jeszcze w tysiąc dziewięćset czterdziestym roku, zaraz po podpisaniu układu z Mussolinim i Hitlerem, powiedział pan: „Jeśli będę musiał walczyć, wówczas przez pierwsze sześć miesięcy obiecuję pasmo zwycięstw. Nie wiem jednak, co stanie się potem” Zawsze uważał pan wojnę ze Stanami Zjednoczonymi za ogólnonarodowe samobójstwo. I miał pan rację. Za trzy lata Amerykanie zrzucą bombę na Hiroszimę, gdzie kończył pan szkołę morską, o ile dobrze pamiętam.

Yamamoto przytaknął.

– To była, a raczej będzie, szczególna bomba. Ekspłduje z siłą ponad piętnastu tysięcy ton dynamitu. Nie funtów, admirale, ale ton. Zabije w jednej chwili siedemdziesiąt tysięcy ludzi i zniszczy większą część miasta. Nazwano ją bombą atomową. Dwa dni później taka sama bomba spadnie na Nagasaki i Japonia ogłosi bezwarunkową kapitulację. Pan nie dożyje tej chwili. Amerykanie zestrzelą pański samolot podczas oblotu inspekcyjnego...

Zerknął na ekran. Wkoło panowała cisza, która tym razem dodawała mu odwagi.

– Dokładnie w niedzielę, osiemnastego kwietnia czterdziestego trzeciego roku. Nad Bougainville.

– To kłamstwa! – krzyknął ktoś, ale Yamamoto uniósł rękę i uciszył go.

Moertopo nie wiedział, jakie będą skutki jego słów, ale trudno – zaryzykował. Chyba oddalił od siebie groźbę, że zostanie wyrzucony za burtę z ciężarkami przywiązanymi do stóp. Czytał o tym, jak te bestie potrafiły traktować pojmanych amerykańskich lotników. I do tego wszystkiego uważali się za cywilizowany naród!

– Mam wrażenie, że siły amerykańskie mocno stopniały dziś w nocy – powiedział Yamamoto. – Co może powstrzymać nas przed marszem na wschód i dokończeniem dzieła?

Moertopo miał wrażenie, jakby właśnie wykonał bardzo ciężką pracę, ale mimo zmęczenia nie zdołał ukryć lekkiego uśmiechu.

– Moc tej bomby, która zniszczyła Hiroszimę, jest niczym w porównaniu z bronią, jaką obecnie dysponują Amerykanie – odparł. – Jeśli mogę, chciałbym teraz wyrazić swoje zdanie, admirale. Miał pan rację, sprzeciwiając się tej wojnie. Musieliście ją przegrać. Nadal jest pewne, że ją przegracie, niezależnie od tego, jak ciężkie straty poniosła flota amerykańska tej nocy. Jeśli choć jeden okręt z floty Kolhammera pozostał sprawny, zdoła w pojedynkę zatopić wszystkie wasze lotniskowce. Może pan jednak uniknąć klęski. Ma pan sposobność. Powinien pan uchwycić się tej szansy obiema rękami.

Tym razem Yamamoto nie odpowiedział. Tylko oczy załśniły mu niczym dwa opale.

* * *

Moertopo zaciągnął się głęboko dymem z goździkowego papierosa. Koniuszek rozjarzył się na chwilę, rzucając widmowy blask na spód pustej koi powyżej. Nie wiedział, czy marynarka japońska zezwala na palenie na okrętach, na pewno jednak nie wynaleźli jeszcze tutaj czujników dymu, zatem do diabła z nimi.

On oraz porucznik Hardoyo, pilot śmigłowca, zostali zamknięci w osobnych kabinach. Nie traktowano ich źle; Kakuta i Hidaka spotkali się z o wiele surowszym przyjęciem. Na razie chyba uznano Indonezyjczyków za rodzaj potencjalnie przydatnej ciekawostki. Porucznik wiedział, że w końcu to się zmieni, a wówczas dobrze byłoby znaleźć jakiś sposób ucieczki. Albo coś, co

pozwoliłoby się targować i uratować skórę.

Słodki dym wprowadził go w nieco melancholijny nastrój. Przypomniawszy sobie dziecińskie pragnienia, aby uciec jak najdalej od domu. I uciekł. Naprawdę daleko. Poczł się zagubiony i samotny jak nigdy dotąd. Coś ścisnęło go w gardle, łzy napłynęły do oczu. Zdumiony własną reakcją przycisnął knykcie do ust, aby wartownik pod drzwiami nie usłyszał stłumionego szlochu. Żal jednak wezbrał w nim tak bardzo, że zwinął się na koi i rozplakał jak dziecko.

Nie wiedział, ile czasu minęło. W końcu pozbierał się i zapalił następnego papierosa. Uniósł go w drżących palcach i marszcząc czoło, spojrział na rozjarzony koniuszek. Od tego wszystko się zaczęło, pomyślał. Od tego i podobnych spraw.

Przed wojną produkcja papierosów w Indonezji była zmonopolizowana. Rok przed narodzinami porucznika pieczę nad wszystkimi zakładami przekazano synowi prezydenta, skorumpowanemu ze szczętem i bajecznie bogatemu idiocie, który nigdy nie miał dosyć zysków. I on, i stary prezydent zostali zmieceni ze sceny politycznej podczas załamania finansowego pod koniec lat dziewięćdziesiątych. Kompania tytoniowa wróciła do pierwotnego właściciela, czyli sił zbrojnych, które aż siedemdziesiąt procent swojego budżetu uzyskiwały z takich i innych, typowo komercyjnych przedsięwzięć.

Nic zatem dziwnego, że gdy Indonezja zaczęła się chwiać pod ciosami islamistów, generałowie i admirałowie zareagowali nie jak wojskowi, ale jak zarabiający krocie na występku mafiosi, którymi w gruncie rzeczy byli. Moertopo przeklinał tych durniów i złodziei, którzy dopuścili do powstania Kalifatu. Najbardziej jednak nienawidził ich za to, że przez ich machinacje mógł zakończyć swoje życie właśnie tutaj, w trzewiach stalowego potwora, i to na dziesiątki lat przed własnym narodzeniem. A przecież tak niewiele brakowało, aby znalazł się pod zbawczymi skrzydłami Amerykanów.

Gdyby tylko zdobył zaufanie gospodarzy.

Ale z drugiej strony, dlaczego mieliby mu zaufać?

Sutanto był w gruncie rzeczy statkiem pirackim. Co stanowiło jego wadę oraz... zaletę. Porucznik Ali Moertopo nagle zrozumiał, że to jedyne, w czym może pokładać nadzieję.

15

USS Astoria / Leyte Gulf, 3 czerwca 1942, godzina 03.31

Jim Davidson nigdy nie widział czegoś podobnego. Nawet na Wystawie Światowej w Nowym Jorku tuż przed wojną. Oto była przyszłość i tym samym prawdziwa skrzynia ze skarbami. Gdyby nie bosman Mohr, który ganiał go ciągle niczym nadzorca niewolników, mógłby obłowić się tutaj tak, że starczyłoby na resztę życia.

Podebrał już dwie elektryczne książki, trzy elektryczne zegarki i jedną parę gogli, też elektrycznych. Oraz pistolet, który wyglądał tak, jakby słońca dało się z niego załatwić. Czym była broń, Jim z grubsza rozumiał. Zegarki też wyglądały poniekąd znajomo, a w każdym razie kojarzyły mu się z gadżetami z historii o Dicku Tracym. Pewnie były radiowe. Jednak cała reszta stanowiła zagadkę. Wziął te drobiazgi, bo od razu poznał, że są najwyższej jakości. No i coś w nich wręcz wołało: weź mnie, Jim, jestem twój! Potem zamierzał zadołować gdzieś zdobycz i zacząć od początku. Chyba że Mohr coś zauważy.

Jednak warto było ryzykować. To dlatego właśnie zgłosił się na „ochotnika” do tej paskudnej roboty. Mieli usunąć ludzkie szczątki, które poniewierały się w labiryncie powstałym na skutek połączenia się obu krążowników. Ciemność i panujące tu ciągle zamieszanie stwarzały idealne wręcz warunki. Jeden z zegarków po prostu ześliznął mu się do kieszeni z odciętej ręki jakiegoś człowieka leżącej w miejscu, gdzie rozdzielnia elektryczna *Astorii* przeniknęła się z małą kabiną oficerską *Leyte Gulf*.

Na dole było goręcej niż w piekle, może gorzej nawet niż w Alabamie podczas upalnego lata w trzydziestym szóstym. Spędził wtedy w takim skwarze trzy miesiące, z gangiem, który grasował pod Montgomery. Obiecał sobie, że nigdy więcej nie wpakuje się w takie szambo, a jednak siedział tu teraz i zeszkrobywał flaki z pokładu. Na dodatek bosman co rusz go poganiał, Moose Molloy deptał mu po piętach, a gdzieś w okolicy czaiła się japońska flota chcąca zabić ich wszystkich. Niemniej byłby głupcem, gdyby w takich okolicznościach nie spróbował jakoś wyjść na swoje.

Mama Jima nie wychowywała dzieci na idiotów. Owszem, miał wśród braci szulerów i złodziei, był nawet jeden przekupny dżokej, ale idiotów nie było.

Do pracy Jim podchodził zazwyczaj z wybitnym obrzydzeniem, jednak tym razem starał się sprawiać wrażenie bardzo zajętego, szczególnie gdy taszczył na tyły worki ze szczątkami, między którymi ukrywał na razie swoje łupy. Robiący obok swoje Moose Molloy ciągle nie mógł dojść do siebie po niezwyklej nocnych wydarzeniach i nie nadawał się nawet do rozmowy.

W wielu miejscach pracowały palniki do cięcia blach, które dodatkowo podgrzewały powietrze. Zalatywało ozonem i spalenizną. Jima grzbiet już bolał od taszczenia worków, cały był posiniaczony i pokaleczony przez sterczące wszędzie krawędzie blach. To było jeszcze gorsze niż przygoda z bandą z Alabamy. Tam przynajmniej mieli świeże powietrze. Jednak siedział tutaj, chociaż w innych warunkach dawno poszukałby już jakiejś wymówki, aby się wynieść.

– Nie mogę się doczekać, aby zobaczyć mesę na tamtym okręcie – powiedział Molloy, wyszarpując coś spomiędzy dwóch nie do końca stopionych razem grodzi. – Mają tam tylu mesowych, że kuchnia musi być chyba większa niż na *Enterprisie*. Pamiętasz, jak wkręciliśmy się tam na ostatnią Gwiazdkę, Jim? Wielka była ta mesa, prawda? I tylu w niej czarnuchów. Nigdy nie widziałem ich tak wielu naraz.

– Ci tutaj to nie mesowi – odparł Davidson, chowając do kieszeni coś, co wyglądało jak elektryczne wieczne pióro. – Przyjrzyj się ich mundurom, durniu. To oficerowie, przynajmniej niektórzy. I kobiety też. A kapitan jest i kobietą, i Murzynką.

– O przepraszam, Murzynką, nie czarnuchem, profesorze. Wiem. Byłem tam przecież, zapomniałeś?

– Cholera, to waży chyba tonę – mruknął Davidson, ciągnąc przez wąskie przejście kolejny worek. Przez chwilę nie mógł złapać tchu. Cały drżący oparł się o gródź obok Molloya. – Słuchaj no, Moose – powiedział cicho, gdy złapał oddech. – Na twoim miejscu nie próbowałbym nazywać ich czarnuchami. Szczególnie prosto w twarz. Albo kobiet dziwkami.

– Ale tym właśnie są! – zaprotestował Molloy.

– Może. Ale są też często oficerami. A oficerowie zawsze trzymają się razem. Trochę już w życiu widziałem. To, że czarny człowiek stoi niżej niż biały, nie znaczy, że mu się to podoba. To jedno. Po drugie, ich pojawienie się u nas wróży same kłopoty. Najpierw dla Japońców, gdy przyjdzie im posmakować rakiet i tego wszystkiego, co widzieliśmy w nocy. A potem też i dla nas. A gdy zaczynają się kłopoty, mądry człowiek nie wychyla się, tylko czeka, aż burza przejdzie. I potem dopiero zaczyna się rozglądać i sprawdzać, jak sprawy stoją.

Panujący wkoło hałas skutecznie zagłuszał ich rozmowę. Davidson nie miał Molloya za przyjaciela. W gruncie rzeczy w ogóle nie posiadał przyjaciół. Niemniej Moose mierzył sześć stóp i cztery cale i wyglądał na człowieka zdolnego zabić pięścią bawołu. Był potencjalnie przydatnym sojusznikiem dla kogoś takiego jak Jim, który z braku warunków fizycznych musiał zawsze polegać na szczurzym sprycie. Wolał więc, aby ten troglodyta nie naraził się obcym, plotąc byle co.

– Pomyśl o tym, Moose – powiedział konspiracyjnym szeptem. – Czy spotkałeś kiedyś oficera, który nie miałby się za półboga? Oni po prostu tacy są i nic na to nie poradzimy. Nie wiem, jak ta dziwka może być kapitanem podobnego okrętu, ale na pewno uważa, że to jej miejsce. I że się jej należy.

– Ale to bzdura – zaprotestował nieśmiało Moose.

– Nieważne! – uciął Davidson. – To, jak powinno być, i to, jak jest, to zawsze dwie różne sprawy. Ja na ten przykład powinienem teraz leżeć na wyrku w Waldorfie z Ritą Hayorth obrabiającą mi usteczkami małego. Ale tkwię tutaj, po uszy w gównie, i zastanawiam się, co stało się dzisiejszej nocy z prawami natury. Lepiej posłuchaj mojej rady, Moose. Gdy którykolwiek z tych drani odezwie się do ciebie, odpowiadaj tylko: „tak sir, nie, sir, trzy worki pełne, sir” Nawet jeśli będzie to kobieta, która powinna czyścić kible.

Moose zamilkł, porażony argumentami swojego najlepszego przyjaciela. Szczególnie że wszystko, co usłyszał, było sprzeczne z tym, co wpajał mu przez lata jego ojciec, Moose senior. Z drugiej strony, Moose’a seniora nie było tutaj, a Jim dbał o niego i pomagał mu od chwili, gdy dostali miejsca w jednej sali. Niechętnie, ale zgodził się z jego sugestiami.

– To dobrze – powiedział Davidson. – A teraz wyniosę to na górę i niebawem wrócę.

Szarpnął wielki worek, zastanawiając się, gdzie, u diabła, zadołować wszystkie skarby, które w nim ukrył.

Kapitan Anderson przesunęła palcami po miejscu styku grodzi obu okrętów. Nanorurkowy pancierz przechodził płynnie w poznaczoną nitami stalową burtę. Okręty musiały chyba przeniknąć się na poziomie molekularnym.

– Jak długo jeszcze, bosmanie? – spytała.

– Pompy *Astorii* dają z siebie wszystko, kapitanie. Pomagamy im, jak możemy, ale jeśli w ciągu ośmiu, może dwunastu godzin, okręt nie trafi do suchego doku, wszyscy pójdziemy na dno.

– Nie ma takiego doku, który pomieściłby oba nasze okręty – zauważyła.

– To prawda – zgodził się bosman Conroy.

– A jeśli damy choć trochę naprzód, rozerwiemy je.

– Wiem.

Zebrawi się małą grupą na pokładzie *C Leyte Gulf*. Burta *Astorii* przegradzała całkowicie lewoburtowy korytarz. Pokład był wyraźnie nachylony ku dziobowi. Coraz cięższa i rozpadająca się z wolna *Astoria* ciągnęła ich pod wodę. Kawalek za miejscem połączenia z okrętem Anderson utworzyła się w burcie szczelina, przez którą woda wlewała się do środka ciężkiego krążownika szybciej, niż mogły ją usuwać pompy wspierane przez trzystu ludzi z wiadrami.

Mieli też i inne problemy.

– Dzieci nie chcą się razem bawić – powiedział Conroy.

– Uczuliłem Mohra i innych bosmanów, aby zwracali na to uwagę, ale... – odrzekł komandor Peter Evans i zawiesił głos.

Evans zrobił na Anderson wrażenie człowieka wykształconego i obytego w świecie, ale najwyraźniej i jemu było trudno zaakceptować porządki panujące na pokładzie *Leyte Gulf*. Spojrzała na niego, ledwie widocznego w mdłym świetle korytarza, i założyła ręce.

– Komandorze, zdaję sobie sprawę z tego, jakim szokiem były dla wszystkich wydarzenia tej nocy, poranka czy popołudnia. Na pewno nie można oczekiwać, że ludzie z różnych światów, którzy spotkali się nagle w tak niezwykłych warunkach, zaczną zgodnie współpracować, szczególnie że jeszcze niedawno próbowali pozabijać się nawzajem. Ale obecnie jedziemy na jednym wózku i musimy się porozumieć.

Dla podkreślenia swoich słów postukała w burtę *Astorii*.

– Ale nie mogę kazać Mohrowi dawać kuksańca każdemu, kto spojrzy na wasze kobiety – powiedział Evans ze złością.

– Komandorze, ich płeć nie ma tu znaczenia – powiedział Conroy, zanim Anderson zdążyła się odezwać. – To oficerowie i marynarze US Navy. Potrafią poradzić sobie niemal w każdej sytuacji. I nie mają obowiązku znosić zaczepki o seksualnym podtekście.

– Ale przecież nikt nie próbuje uprawiać z nimi seksu! – wykrzyknął Evans, bardzo zdumiony, że obcy uznali tą kwestię za wartą omówienia.

– Jezu, naprawdę pan nie rozumie?

– Najwyraźniej nie...

– Panowie, to nie czas ani miejsce – przerwała im Anderson. – Albo uratujemy oba nasze okręty, albo razem zatoną. Szefie, proszę wezwać Reilly’ego i Borghina...

– Przepraszam, ale Reilly nie żyje, ma’am.

Anderson słyszała o tym wcześniej, ale zmęczenie zrobiło swoje. Zakłęła cicho; że też mogła zapomnieć.

– To ja przepraszam. W takim razie wezwijcie Hillary Beaton. Niech postawią wszystkich na nogi. Muszę wiedzieć na pewno, czy zdołamy uratować oba okręty czy nie. Obawiam się, że nam się nie uda, zatem musimy przygotować plan ewakuacji załóg i wszystkich jednostek, które dadzą się ruszyć. Jeśli mamy tu utknąć, nawet najmniejszy drobiazg może okazać się przydatny. Zedrzymy wyposażenie do gołej blachy. Wcześniej jeszcze skonsultuję się w tej sprawie z Kolhammerem. Komandorze Evans, bez obrazy, ale przypuszczam, że na pańskim okręcie nie ma nic wartego ratowania. Każdy jego element da się łatwo zastąpić. Powinien pan skierować wszystkich ludzi albo do usuwania wody, albo do wyrzucania wszystkiego za burtę; trzeba zmniejszyć wagę okrętu. Jeśli zostaną panu jacyś wolni ludzie, przydadzą się przy ewakuacji.

Evans spojrział na nią. Oczy miał podkrążone. Wyraźnie poczuł się urażony. Anderson pożałowała swojej bezpośredniości. Evans był tu jedyną osobą skłoną z nimi rozmawiać i nie należało go zniechęcać.

* * *

Evans słuchał słów obcej Murzynki z narastającą irytacją. Nie mógł uwierzyć, że tak łatwo spisała *Astorię* na straty. Ostatecznie ich działa dołożyły nieco jej krypie, coś więc jednak potrafili. Jednak z jakiegoś powodu jego emocje nie przekładały się na zachowanie. Przypuszczał, że przyczyną mogły być lekarstwa, które dali mu podczas opatrywania obrażeń.

Potarł oczy zdrową dłonią. Piekły go, jakby ktoś nasypał mu piasku pod powieki. Szramy na twarzy bolały mimo medykamentów.

– Muszę naradzić się z admirałem Spruance’em – powiedział. – Stracił już dzisiejszej nocy kilka krążowników. Nie ucieszy go perspektywa utraty jeszcze jednego.

Anderson już otwierała usta, ale zdołała się opanować. Wreszcie odezwała się spokojnie:

– Przykro mi, komandorze. Proszę przyjąć moje przeprosiny za brak dobrych manier. Nie chciałabym, aby moje słowa zostały odebrane jako sugestia, iż pański okręt i jego załoga są nieważne czy zbyteczne. Staram się tylko rozstrzygnąć, co w obecnej chwili może być bardziej wartościowe. Sądzę, że wyposażenie, sprzęt i elementy uzbrojenia z *Leyte Gulf* to bezcenny skarb z punktu widzenia wysiłku wojennego. Też nie chcę się poddawać. Ten okręt to moje dziecko. Jednak został śmiertelnie ranny. Nie możemy rozwinąć najmniejszej nawet szybkości, nie rozrywając jednostek, które i tak już toną. Muszę jeszcze spytać o zdanie admirała Kolhammera i moich specjalistów, ale chyba się ze mną zgodzą. *Leyte Gulf* nie ma szans na przetrwanie i to samo dotyczy *Astorii*.

* * *

Gdy Davidson zgłosił się na ochotnika do ekipy mającej posprzątać w ponurym labiryncie powstałym w miejscu połączenia się obu statków, bosmanowi Mohrowi od razu wydało się to podejrzane. Jim był najbardziej leniwym sukinsynem, jakiego Ziemia nosiła. Do wojska zgłosił się tylko po to, aby uniknąć odsiadki za fałszowanie czeków w Baltimore. Sędzia dał mu do wyboru: służba albo więzienie. Davidson wybrał marynarkę, bo słyszał, że tam jest najmniej biegania i najlepsze żarcie. Poza tym bał się latać.

Mohr nie zdziwił się zatem, gdy wpelznąwszy w mroczne zakamarki dziobowej części *Astorii*, nie znalazł tam Davidsona. Moose Molloy robił, co mógł, aby kryć kumpla, jednak niezbyt mu to wychodziło. Mohr machnął ręką na jego tłumaczenia i postanowił, że później zajmie się obibokiem. Na razie miał inne problemy. Dopiero co obtłukł sobie knykcie o tępy łeb pewnego durnia, który złapał za tyłek dziewczynę z tamtego okrętu. Osobiście nie uważał tego za sprawę wartą zachodu. Ostatecznie jeśli wpuści się na okręt wojenny tyle kobiet, trzeba się liczyć z tym, że załoga zacznie je łapać za tyłki. Było to zupełnie naturalne.

Jednak kapitan Anderson, która robiła wrażenie, jakby nikt od dłuższego czasu nie interesował się jej tyłkiem, nakrzyczała na komandora Evansa, który przebywał akurat na *Leyte Gulf*, gdzie tamtejsi superlekarze zajmowali się jego obrażeniami. Evans z kolei powiedział swoje Mohrowi, który poszukał zaraz sprawcy kłopotu, durnego ze szczętem artylerzysty imieniem Finch.

– Złapałeś ją za tyłek, Finch? – spytał prosto z mostu.

Finch parsknął śmiechem i wzruszył ramionami, zatem Mohr przyłożył mu raz a porządnie,

dokładnie między oczy. Kapitan Anderson nie posiadała się z oburzenia. A czego niby oczekiwała? Bosman Mohr znał swoją robotę. Jak gość łapie nie za ten tyłek, co trzeba, to obrywa i tyle. Sprawa zamknięta. Można by sądzić, że ta obca pani kapitan miała bicie durniów po mordzie za coś równie niestosownego jak łapanie za tyłek.

– Sami skauci, niech mnie – mruknął Mohr, wycofując się do ocalałych przedziałów krążownika. Zdecydował, że najpierw zrobi sobie kanapkę z mielonką i kawę, a potem poszuka tego dupka Davidsona i może też da mu w pysk.

* * *

Komandor Helen Wassman postukała w węzyk kroplówki i wyprostowała grzbiet. Od prawie czterech godzin pochylała się nieustannie nad rannymi z obu okrętów. Kręgosłup protestował coraz dotkliwiej, nogi uginały się ze zmęczenia. Minęło prawie trzydzieści godzin od chwili, gdy wstała z koi. Coraz częściej przychodziło jej do głowy, żeby wziąć coś na wzmocnienie z zapasów implantu.

– Doktorze, proszę tutaj!

Z trudem wyteżyła wzrok, aby sprawdzić, kto ją woła. Mesa pełna była rannych. Najgorsze przypadki trafiały najpierw do skromnej izby chorych, skąd po ustabilizowaniu były odsyłane śmigłowcami na *Hillary Clinton* albo *Kandahara*. Operacje te same w sobie były dość skomplikowane w związku ze zniszczeniem lądowiska na rufie. Pacjentów trzeba było wynosić schodami mostka ma górny pokład, pokonując po drodze szereg przejść i zakrętów.

– Doktorze, proszę!

Wassman rozejrzała się wkoło. Spośród sześćdziesięciu rannych niemal wszyscy byli w kiepskim stanie. Ci, którzy mogli chodzić, pomagali w ewakuacji sprzętu. Mesa przypominała koszmarne obrazy Goyi – wszędzie widać było zakrwawione bandaże, popalone kończyny, malujący się na ludzkich twarzach strach. Miała tu cały katalog możliwych obrażeń: rany cięte, szarpane, miażdżone, pęknięcia i złamania najróżniejszych kości. A czasem kombinacje wszystkiego po trochu, zwłaszcza po trafieniach przez te paskudne ceramiczne pociski.

– Doktorze!

W końcu namierzyła wołającego. Był to chudy oficer, sądząc po mundurze z *Astorii*. Nie wyglądał na ciężko rannego. Miał długą szramę na przedramieniu i zadrapane czoło. Ale to on wołał.

Lepiej, aby miał po temu poważny powód, pomyślała.

Porucznik skrzywił się niecierpliwie, gdy do niego podeszła. Omiótł ją krytycznym spojrzeniem od stóp do głów. Nie on pierwszy dzisiaj. Starła się nie brać takich gestów do siebie.

– Tak, poruczniku? – spytała. – Czy któryś z pańskich ludzi potrzebuje opieki?

– Nie, pani komandor... Wassman. To ja czekam już od blisko godziny na krew.

Wassman nie zrozumiała. Przesunęła spojrzeniem po bandażu na czole mężczyzny i opatrunku na rękę.

– Na krew?

– Straciłem trochę krwi – wyjaśnił. – Mogę potrzebować transfuzji. Ale dotąd nikt nie chciał porozmawiać ze mną o tym, jaka to ma być krew.

Pokręciła głową z irytacją, po czym pochyliła się i dość bezceremonialnie sięgnęła po blaszkę oficera.

– Grupa zero plus – przeczytała. – Proszę, poruczniku... Charles, tak? W porządku.

Porucznik zrobił zdziwioną minę, podniósł się i kiwnął na Wassman, dając znak, aby wyszła razem z nim na korytarz. Nie chciała, jednak Charles prawie napał na nią, przechodząc przy tym ponad czarnoskórą kobietą, która siedziała pod ścianą i tuliła do tułowia paskudnie poparzoną rękę.

– Poruczniku, naprawdę nie mam czasu – warknęła Wassman.

Charles zatrzymał się, westchnął ciężko i uniósł oczy do sufitu.

– W czym problem? – spytała lekarka.

Ludzie wkoło zaczęli na nich badawczo zerkać. Większość była wprawdzie zbyt cierpiąca, aby zauważyć scenę przy drzwiach, jednak ci najbliżsi, jak kobieta pod ścianą, odwracali głowy w ich stronę.

Porucznik ponownie westchnął. Pochylił się w stronę Wassman, jakby chciał przekazać jej coś w sekrecie.

– Nie zrozumiała mnie pani. Nie chodzi o grupę, tylko rodzaj krwi.

Wassman zamknęła na chwilę oczy, po czym otworzyła je i zamrugała dwa razy powiekami.

– Ma pan rację, przepraszam. Nie zrozumiałam. Rodzaj krwi?

Rozłożyła bezradnie umazane czerwienią ręce. Porucznik skrzywił się z irytacją i spojrzał znacząco na czarnoskórą kobietę na podłodze.

– Właśnie, rodzaj krwi – powiedział półgłosem. – Czy już pani rozumie?

Całe zainteresowanie, które mogła żywić jeszcze wobec porucznika jako lekarz, zniknęło bez śladu. Spojrzała na niego zimno i nie czekając, aż cokolwiek powie, odwróciła się, aby odejść.

Charles złapał ją za łokieć, ona jednak wywinęła się i dała mu w twarz. Mocno; rozległo się charakterystyczne klaśnięcie. Oszołomiony porucznik bez zastanowienia oddał uderzenie. Niezbyt silnie, ale wszyscy wkoło aż się wzdrygnęli. Ktoś złapał oficera za koszulę. Był to amerykański marynarz chińskiego pochodzenia.

– Łapy precz ode mnie, kundlu! – krzyknął Charles. Wziął zamach i przyłożył mężczyźnie w szczękę.

Zanim jeszcze tamten upadł, obok zjawił się kolejny marynarz z załogi *Leyte Gulf*. Tym razem biały, z jedną ręką na temblaku. Drugą jednak miał zdrową. Szybki cios pięścią powalił Charlesa.

* * *

Pomieszczenia działu szkolenia pełne były modułów wirtualnej rzeczywistości, komputerów, ekranów oraz sprzętu biurowego. Mieli zdemontować to wszystko i wyekspediować z okrętu w góra czterdzieści minut.

Marynarz Davidson okazał się średnio pomocny. Zamiast działać, nieustannie o coś pytał.

– Co to jest? A do czego to służy? Jak to działa?

Niemniej jednak porucznik, który nadzorował ewakuację tej części okrętu, chętnie odpowiadał na każde pytanie, ponieważ Davidson wydawał się jedynym przyjaźnie nastawionym członkiem załogi *Astorii*. A jego kumpel, Molloy, miał dość krzepy, aby samodzielnie przenieść kserokopiarkę. Porucznik Carver cieszył się, że tacy właśnie pomocnicy mu się trafili. Nie sprawiali kłopotów i świetnie radzili sobie z drobniejszymi problemami. Zanotował w myślach, aby pochwalić ich potem przed bosmanem Mohrem, gdy nagle z korytarza dobiegły go jakieś hałasy.

– Co się tam dzieje, u diabła? – spytał.

– To przypomina odgłosy bójki – powiedział Davidson. Oficer zaklął i kazał im nie przerywać pracy, sam zaś skierował się do drzwi.

* * *

Jim zwalczył pokusę, aby schować do kieszeni kolejną garść małych, podłużnych przedmiotów, które nazywano tutaj pamięcią podręczną. Przyszedł tu, aby czegoś się nauczyć i nawiązać przyjazne kontakty.

– Chodź – rzucił Molloyowi, klepiąc go po plecach. – Porucznik może potrzebować pomocy.

– Ale kazał nam zostać – zaprotestowała jedna z dziewczyn w mundurze. Całkiem ładna zresztą, jak zauważył Davidson. Oni naprawdę wiedzą, jak wyposażyc okręt, odpowiedział w myślach.

– Jak dostanie w zęby, to będzie już za późno na wołanie pomocy. Słyszycie? Tam idzie naprawdę na ostro. Dalej, Moose.

Wrzawa zdawała się nasilać. Bez wątpienia wywiązała się jakaś bijatyka. Jim złapał pierwszy wspornik od stelaża, który wpadł mu w ręce, i pobiegł do drzwi. Moose następował mu na pięty. Troje pozostałych marynarzy, wszyscy z *Leyte Gulf*, zawahało się na moment, ale w końcu też poszli.

Jim i Moose dołączyli do innych, którzy zdążali już korytarzem w kierunku mesy.

– Pilnuj moich pleców – powiedział Davidson. – Ale miej też oko na tego oficera. Nie chcę, aby coś mu się stało.

– Dlaczego? – spytał Moose.

– Po prostu zrób, co mówię, OK?

Zdążyli na czas. Bójka rozgorzała już na tyle, że zaczęła ogarniać także korytarz. Carver był o włos od kłopotów. Najwyraźniej nie miał pojęcia, jak zachowywać się przy podobnych okazjach. Właśnie próbował odciągać paru gości, którzy kogoś opadli.

– A żeby to... – mruknął Jim.

Na niewielkiej przestrzeni kotłowali się mężczyźni i kobiety z obu okrętów. Wszyscy uderzali, kopali i wrzeszczeli w plemiennym zapale bitewnym. Jim ujrzał pewnego typu z *Astorii*, potężnego niczym goryl palacza, który zwrócił się ku porucznikowi Carverowi. O wiele mniejszy oficer po pierwszym uderzeniu poleciał na gródź. Jego przeciwnik uniósł grube jak konary ramiona, wyszczerzył zęby w uśmiechu i przycisnął porucznika do ściany.

On chyba nazywa się Donohoe, pomyślał Jim. Głupi jak but.

Palacz Donohoe przytrzymał Carvera za szyję i cofnął pięść, gotów rozłupać oficerowi czaszkę. W tej samej chwili Davidson zjawił się tuż obok.

– Hej, dupku – zawołał.

Donohoe uśmiechnął się, widząc Jima. Ten uniósł pręt i opuścił go na rękę, która przytrzymała Carvera. Rozległ się trzask pękającej kości i uśmiech znikł z twarzy napastnika, który najpierw poszarzał, potem zbladł. Nic nie rozumiejąc, spojrział na Davidsona. Chwilę potem żelazny pręt trafił go w czoło. Oczy palacza uciekły w głąb czaszki i olbrzym zwałił się na podłogę. Moose złapał bezwładne ciało i odciągnął je nieco dalej. Trójka marynarzy, którzy podążali za Jimem i Molloyem, omal się o nie nie potknęła.

– Wszystko w porządku, sir? – spytał Davidson. Carver zaniósł się kaszlem, ale w końcu złapał oddech i pokiwał głową.

– Musimy ich porozdzielać, Moose – krzyknął Jim, ponownie zamachując się prętem na jednego z załogantów *Astorii*.

Moose uniósł potężne pięści i poszedł w jego ślady.

– Co tu się dzieje?

Głos był znajomy. Jim obrócił się i zobaczył nadchodzącego bosmana Eddiego Mohra.

– Mogłem się tego spodziewać – warknął tenże, ujrawszy Davidsona.

Mohr zjawił się razem z kapitan Anderson i jej bosmanem, Conroyem czy Condonem, czy jakoś tak. I jeszcze z paroma żołnierzami w tych czarnych, paskudnych kombinezonach w stylu SS. Nie mieli akurat ze sobą armat, z którymi widziano ich wcześniej, ale jakieś czarne pręty z błyszczącymi, metalowymi końcówkami. Jim zauważył ze zdumieniem przeskakujące po nich iskry.

Podwładny Anderson spokojnie, zupełnie nie nerwowo, dotknął prętem jednego z wysokich i muskularnych marynarzy z *Astorii*. Chłop zadrżał, jakby go prąd poraził, i bezwładnie upadł na pokład. Nieprzytomny albo może i martwy.

Dwóch ubranych na czarno ludzi ruszyło w tłum. Ile razy unieśli pręt, efekt był zawsze taki sam. Pechowiec sztywniał i leciał z nóg.

– Nie! – krzyknął Jim, gdy Mohr skierował się w jego kierunku. Też miał czarny pręt w ręku. Jaki idiota mu go dał?

Davidson już przymierzał się, aby unieść własny oręż w obronie, gdy porucznik Carver powstrzymał bosmana, kładąc mu dłoń na ramieniu.

– W porządku, szefie. Ten tutaj bardzo mi pomógł.

Mohr był wyraźnie wściekły. Naprawdę chciał przyłożyć Jimowi tą elektryczną zabawkę. Jednak był bez szans. Na drugim ramieniu poczuł dłoń kapitan Anderson.

– Przestać mi zaraz! – krzyknęła. – Jak wam nie wstyd!

Jej głos oraz kilka jeszcze uderzeń prętami dokończyły dzieła. Skupiony głównie w okolicy drzwi tłum zaczął się uspokajać. Kapitan bezceremonialnie przepchnęła się do środka. Tych, którzy nie mieli zamiaru jej ustąpić, traktowała łokciem. Sama też miała czarny pręt, ale nie użyła go ani razu. Wrzawa ucichła i zapadła przerywana tylko pojękiwaniami cisza.

Jim odsunął się dalej od Mohra, który ciągle miał żądzę mordy wypisaną na twarzy, i znalazł sobie miejsce, z którego mógł widzieć kapitan Anderson.

– Czekam na wyjaśnienia – powiedziała pani kapitan.

Komandor Helen Wassman przekroczyła paru leżących marynarzy i zbliżyła się do Anderson.

– Obawiam się, że to moja wina, kapitanie – powiedziała.

– Jak diabli! – wrzasnął jakiś biały mężczyzna za jej plecami.

– Ten rasistowski dupek uderzył panią doktor – zawołał ktoś inny.

Bosman Mohr przepchnął się obok Jima, stanął przy Anderson i spojrzał na leżącego porucznika Charlesa.

– Pięknie, kurwa – mruknął pod nosem.

16

USS Enterprise, 3 czerwca 1942, godzina 04.09

Karen Halabi odnosiła wrażenie, że znalazła się nie na swoim miejscu. Wszyscy wkoło zachowywali się nienagannie, jednak była to głównie zasługa Spruance'a i szacunku, który jej okazywał. Przez cały czas czuła na plecach czyjś wzrok. Niekiedy łowiła nawet mało przyjazne spojrzenie.

Spruance spoglądał na ocean, gdzie dopalały się wraki okrętów z jego zespołu.

Nadchodził świt i rozmiar zniszczenia stawał się doskonale widoczny. Wszyscy wiedzieli już, że za kilka godzin japońskie samoloty przypuszczą dywersyjny atak na Dutch Harbour. Amerykański dowódca zmierzał na pozycję, z której mógł nawiązać łączność z admirałem Nimitzem w Pearl i spróbować wyjaśnić mu, co zaszło. Halabi nie zazdrościła mu tego zadania. Na pokładzie lotniczym sygnalista z *Hillary Clinton* naprowadzał śmigłowiec z kolejnymi czterema rozbitkami podjętymi z wody.

– Michaels – powiedział Spruance. – Daj na *Gwina* i *Benhama* sygnał, aby podeszli do *Leyte Gulf* i pomogli w ewakuacji ludzi i sprzętu. Zgłaszać się do kapitan Anderson na *Leyte Gulf*. To ona dowodzi operacją.

Sztab przyjął rozkaz w zasadzie spokojnie, jednak Halabi usłyszała, jak paru mężczyzn gwizdnęło z cicha. Spruance milczał, wpatrzony w światła krążących na tle ciemnego jeszcze nieba śmigłowców. Karen niemal czuła na karku kierowane w jej stronę spojrzenia. Splotła dłonie na potylicy i spróbowała skupić się na czymś innym: na fakcie, że dane jej było znaleźć się na pokładzie jednego z najświetniejszych wielkich okrętów, które kiedykolwiek pływały po morzach.

Gdy Spruance znowu się odezwał, naprawdę ją zaskoczył.

– Wasi ludzie są świetnie wyszkoleni, pani kapitan. Uratowali dzisiaj wiele osób.

Nie dodał, że wcześniej jeszcze więcej zabili. Halabi nie miała jednak wątpliwości, że ten i ów z obecnych na pewno o tym pomyślał.

– Pewne rzeczy się nie zmieniają, admirale.

– Jak długo jest pani na wojnie, pani kapitan? – spytał Spruance. Robił wrażenie średnio obecnego.

– Ja? Dwanaście lat, sir. Ale to inna wojna. Chyba trudniejsza do ogarnięcia.

– Niezbyt rozumiem.

– Polityka, religia, historia. – Wzruszyła ramionami. – To naprawdę złożone. Rzadko toczyła się przeciwko państwom. Zwykle chodziło o ideologie. Idee. Stany umysłu.

Spruance odwrócił się twarzą do niej. Stał na tle okna i prawie nie dawało się dostrzec jego rysów.

– Nie da się walczyć z ideami za pomocą rakiet i dział.

– Wręcz przeciwnie. Wy robicie tutaj to samo, admirale. Macie zabijać ludzi i zatapiać okręty, ale to idee posłały Japończyków na wojnę. I idee, wyobrażenia o tym, jak powinien żyć wolny człowiek, kazały Anglii podjąć wojnę z Niemcami. Wiem, że brzmi to dość abstrakcyjnie, szczególnie teraz, gdy popłynęło już tyle krwi. Nawet po Pearl Harbor nie rozumiecie do końca, z czym walczyacie...

Spruance założył ręce na piersi.

– Mówi pani, jakby kandydowała do Kongresu... to znaczy do parlamentu.

– Cytuję tylko moją pracę dyplomową z Cambridge. Studium konfliktu. Musi mi pan wybaczyć nieco akademickie zainteresowanie wojną. Dla mnie to wszystko zdarzyło się tak dawno. Na długo przed moimi narodzinami. Jednak chciałam przyjrzeć się temu, poznać coś, co nie miało precedensu, jeśli chodzi o skalę okrucieństwa. Nic wcześniej tak bardzo nie zagroziło istnieniu naszej kultury. Doszło do uwolnienia zła w czystej postaci. Wprawdzie wojen było wiele, ale ta jedna w sposób szczególny podlega osądowi moralnemu. Nie można przed tym uciec.

– Z powodu Pearl Harbor? – spytał Spruance.

– Nie. Z powodu Auschwitz.

Spruance pokręcił głową.

– To chyba niemiecka nazwa. Nigdy jej nie słyszałem.

– Usłyszysz pan.

USS Hillary Clinton, 3 czerwca 1942, godzina 04.09

Zajmujący całą ścianę ekran w centrum prasowym przedstawiał satelitarny widok wschodniej części archipelagu Indonezji. Dan Black wiedział, że miało to związek z pierwotną misją zespołu, chociaż nie orientował się, o co dokładnie chodziło. Kapitan Thieu wyglądał Blackowi na Japończyka, mówił jednak, jakby całe życie spędził na plażach Kalifornii.

– Santa Monica – odparł zapytany. – Moi rodzice byli z Zielonych. Stuknięci na punkcie Ziemi. Surfowałem, ile się dało, aby nie siedzieć w domu. Gdy chcieli, abym wziął udział w akcji przeciwko połowom tuńczyków, uciekłem i wstąpiłem do marynarki. Chyba nigdy mi tego wybaczą.

Black nie miał pojęcia, co to miało znaczyć, ale Thieu i tak był postacią niemal trywialną w porównaniu z dwiema kobietami, które aż paliły się, aby go dopaść. Na pewno nigdy nie nosiły munduru, bo nie okazywały najmniejszego szacunku dla szarży. To bez dwóch zdań wskazywało na ich cywilną proveniencję.

– Na czym polega pańska praca, kapitanie? – spytał Black.

– Obecnie opiekuję się panem i tak będzie do chwili, aż wróci pan na *Enterprisea*. Poza tym jestem oficerem do spraw kontaktów z mediami.

– A my jesteśmy te media, z którymi on próbuje się kontaktować – wtrąciła jedna z kobiet.

Thieu westchnął przeciągle.

– Poruczniku komandorze Black, poruczniku Curtis, to jest Julia Duffy, dziennikarka z „New York Timesa”. A to Rosanna Natoli, reporterka CNN. Nie macie jeszcze tej stacji. Sądzę, że przypomina trochę Movietone.

– Mamy rozmawiać teraz z prasą? – spytał zmieszany Black.

Wcześniej spędził chwilę na mostku, ale szybko poczuł się tam zbyteczny. Tylko przeszkadzał swoją obecnością wszystkim, którzy starali się rozkręcić akcję ratunkową. Z ulgą zszedł na dół razem z Curtisem, który chciał zobaczyć „komputer”. W ten sposób trafili do centrum prasowego, które obecnie przypominało lazaret z co najmniej dwoma dziesiątkami prowizorycznych posłań zajętych wyłącznie przez cywili.

Thieu wyjaśnił im, że przebywali tu dziennikarze, którzy zostali wcześniej przydzieleni do różnych okrętów zespołu. Blacka jakoś to nie uspokoiło.

– Nie musicie z nikim rozmawiać, jeśli nie chcecie – dodał szybko Thieu.

– Nie przesadzaj, Edgar – odezwała się Natoli. – Jestem pewna, że te chłopaki nie wystraszą się dwóch dziewczyn z mikrofonami. Przecież płynęli właśnie, aby skopać dupę Yamamocie. Z nami będą bezpieczni.

– A komu przekażesz materiał? – spytał Thieu. – Pani Duffy może chociaż liczyć na to, że „Times” kupi jej kawałek, ale Ted Turner chyba się jeszcze nie narodził. A jeśli nawet, to na pewno nikogo nie zatrudnia.

– Spokojnie. Na razie nie wiadomo jeszcze na pewno, czy utknęliśmy tu na amen. Może jutro o tej porze będziemy przysyłać co trzeba do redakcji. Na razie więc niech każdy robi swoje. I ty, i my. I już.

Black słuchał tego z narastającym zdumieniem. Te kobiety musiały chyba być bardzo źle wychowane, skoro tak odnosiły się do oficera. Black odrzucił przypuszczenie, że wynika to z jego pochodzenia. Chyba po prostu go nie lubiły. Jeśli tak, może warto by było zawrzeć z nimi znajomość i dowiedzieć się, jak cała ta sprawa wygląda z ich perspektywy. Nie był skłonny ufać do końca personelowi Kolhammera.

Na drugiej ścianie, dokładnie za plecami dziennikarek, znajdował się cały zestaw ekranów, które pokazywały różne okręty zespołu. Black wypatrzył nawet *Enterprise'a*, na którym lądowały akurat dwa śmigłowce.

Obraz zdawał się pochodzić z kamer zawieszonych gdzieś wysoko w górze. Black przyjął, że muszą być zamontowane na którymś helikopterze, Thieu wyjaśnił jednak, że chodzi o mały, zdalnie sterowany pojazd powietrzny w kształcie talerza wiszący trzy tysiące metrów, czyli dwanaście tysięcy stóp, nad pokładem lotniskowca. To niemal miało sens. Na pozostałych ekranach widać było nieliczne ocalałe niszczyciele płynące obok smukłych okrętów z przyszłości. Między jednostkami trwał nieustanny transfer ludzi.

Black po raz kolejny uświadomił sobie, że tutaj oznaczało to tak mężczyzn, jak i kobiety.

Skłonił się lekko dziewczynie o włoskim nazwisku.

– Nie mogę się wypowiadać za porucznika Curtisa, ale nie mam nic przeciwko krótkiej pogawędce, skoro i tak czekamy, aż sytuacja nieco się wyjaśni. Niemniej oficjalnie nie mogę udzielać wywiadów i nie możecie podać w swoich materiałach mojego nazwiska. Rozumiemy się?

– Całkowicie – powiedziała Duffy.

– A pan, poruczniku Curtis? – spytała Natoli. – Miałby pan ochotę na bliższe stosunki z mediami?

Curtis zapłonił się po koniuszki włosów.

Kapitan Jurgen Muller przybył prosto z kolejnej misji SAR i był wciąż w kombinezonie lotniczym. Komandor Enrico Prodi przyszedł z pokładu hangarowego lotniskowca. Major Paweł Iwanow z rosyjskiej armii przyleciał z *Kandahara*, na którym w chwili przejścia uczył się obsługi karabinu G4.

Wszyscy sięgnęli chętnie do tacy z kanapkami, podczas gdy admirał nalewał im kawy.

– Gdzie jest pułkownik Gogol? – spytał Iwanow.

– Niestety, nie miał szczęścia – odparł Mike Judge.

Oficer Specnazu pokiwał ze smutkiem głową.

– Szkoda.

– Owszem, szkoda – przyznał Judge i nie dodał nic więcej, widząc, że Rosjanin woli uniknąć ostentacji.

Ktoś zapukał do drzwi.

– Wejść – zawołał Kolhammer.

W progu stanął podporucznik Maseo Miyazaki, obecnie pełniący obowiązki dowódcy *Siranui*. Na jednej ręce miał jasnozielony opatrunek żelowy i podpierał się laską.

Mimo obrażeń skłonił się głęboko. W ogóle zachowywał nienaganną postawę, jakby był z włókna szklanego, nie z krwi i kości. Kolhammer odpowiedział mu lekkim ukłonem, starając się przy tym nie patrzeć w oczy młodemu oficerowi. I tak dostrzegł, co się dzieje, chociaż Miyazaki próbował skrywać swoje uczucia. Dominowały w nich żal i ból, a także poczucie winy właściwe komuś, kto jako jedyny ocalał z masakry.

– Przykro mi, poruczniku – powiedział. – Nie raz i nie dwa pływałem z kapitanem Okadą. Był wielkim wojownikiem. Mężem *giri*. Byłbym zobowiązany, gdyby przekazał pan swoim ludziom, jak bardzo bolejemy nad jego śmiercią i śmiercią jego towarzyszy.

Miyazaki wyprostował się ostrożnie.

– Dziękuję, sir. Jak wiem, zatopiliśmy dwa okręty admirała Spruance’a – rzekł. – Jako oficer odpowiedzialny za *Siranui* pragnę przeprosić najuniższej admirała za te czyny i oddać się do dyspozycji sądu polowego za samowolne użycie broni przeciwko sojusznikowi.

Kolhammer osłupiał. Przez chwilę nikt się nie poruszył. Pozostali trzej obcokrajowcy byli chyba równie zaskoczeni. Wyglądali jak manekiny ustawione na planie filmowym. Kolhammerowi wydało się nagle, że jego luksusowy salon z dębową boazerią, skórzanymi meblami i granatowym dywanem przemienił się w teatralną scenę. Po chwili otrząsnął się, odstawił kubek z kawą i poszukał

właściwych słów.

– Proszę dać na „spocznij” poruczniku. I proszę usiąść. Naprawdę. Użycie broni, o którym pan mówi, nie było nieautoryzowane. To ja wydałem zgodę na przełączenie systemu bojowego floty na tryb autonomicznego rozpoznawania zagrożeń i wyszukiwania celów, zatem odpowiedzialność spada na moje barki. Na pewno przekażę admirałowi Spruance’owi pańskie przeprosiny, ale nie pozwolę, aby brał pan winę na siebie. Niestety, obawiam się jednak, że to nie zakończy sprawy.

Miyazaki z niejaką trudnością wszedł do kabiny. Wykonując powolne ruchy, zajął miejsce obok Iwanowa i z wdzięcznością przyjął od Judge’a filiżankę zielonej herbaty.

– *Dorno arrigato.*

– Do usług – uśmiechnął się Judge.

Iwanow klepnął Japończyka w kolano.

– To było dobre strzelanie – powiedział. Kolhammer skrzywił się w duchu. Służył już z wieloma Rosjanami i przywykł do ich poczucia humoru.

– Panowie, nie będę was zwodził – powiedział. – Wątpię, abyśmy rychło wrócili do domu. Może nigdy nam się to nie uda. To stawia was w bardzo nieciekawej sytuacji. Mamy w zespole dwudziestu jeden Niemców, osiemnastu Włochów i piętnastu Rosjan. No i oczywiście *Siranui*. Wezwałem was, ponieważ jesteście najstarszymi oficerami waszych kontyngentów narodowych. Jednak wasze ojczyzny są obecnie rządzone przez dyktatorów państwami totalitarnymi, a w przypadku Niemiec, Włoch i Japonii, również wrogami Stanów Zjednoczonych i aliantów.

Iwanow roześmiał się krótko.

– Według mnie i moich towarzyszy Związek Radziecki też można zaliczyć do krajów wrogich.

– Dlatego pana również zaprosiłem, majorze.

– A my? – odezwał się Muller. – Czy oczekuje się od nas jakichś deklaracji lojalności?

Prodi uniósł obie ręce.

– *Alora!* Proszę nie wątpić we mnie, admirale. Był pan kiedyś w Rzymie i widział faszystowską architekturę? To coś odrażającego! Całkiem nie dla ludzi, chociaż miała podobno nawiązywać do tradycji cesarstwa. Jeśli, to chyba na opak. Ta świnią Mussolini zasłużył na to, co z nim zrobili.

Wybuch Prodiego został podsumowany paroma sekundami ciszy.

– Jasne – powiedział Kolhammer, dochodząc do siebie. – Dziękuję, komandorze Prodi. Odpowiadając na pańskie pytanie, kapitanie Muller. Nie, nie oczekuję żadnych deklaracji lojalności. Są jednak tacy, którzy będą się ich domagać i nawet jeśli je dostaną, i tak będą chcieli trzymać was pod kluczem.

– Stalin raczej nas rozwali – powiedział obojętnie Iwanow. – Ale postaramy się, aby nie miał okazji, *da?*

– Stalin tak bardzo mnie nie martwi – mruknął Kolhammer. – Gorzej z Edgarem Hooverem.

Spojrzeni na niego zdumieni. Widać mimo takiego, a nie innego przydziału nie studiowali dość pilnie amerykańskiej historii.

– Rzecz w tym, że ja nie mam żadnych wątpliwości co do waszych postaw, ale miejscowi pewnie podniosą wrzawę. Może akurat nie na temat pana i pańskich ludzi, majorze Iwanow, ale i tak będą kłopoty. Z czasem pewnie zdołamy jakoś to załatwić, na razie jednak chciałbym prosić, abyście ostrzegli swoich. Niech się nie wychylają. Najlepiej, żeby w ogóle się nie pokazywali. Szczególnie gdy zawiniemy do Pearl Harbor albo Brisbane czy gdziekolwiek na Zachodnim Wybrzeżu.

– To nie wiemy jeszcze, dokąd płyniemy? – spytał Iwanow.

– Na razie w ogóle mało wiemy. Komandor Judge sporządził listę ludzi, których musicie odszukać. Odstawcie wszystkie inne obowiązki i zróbcie to jak najprędzej.

Podporucznik Miyazaki zakaszłał znacząco.

– A co ja mam robić, admirale? Jak ukryjemy krążownik systemu NEMESIS?

Kolhammer oparł się o blat. Europejczycy wydawali się równie zainteresowani tą sprawą co Japończyk. Admirał potarł z zakłopotaniem kark.

– Czeka nas kilka niełatwych dni, ale dopóki zachowam dowództwo nad grupą, nie pozwolę, aby ktokolwiek się tu szarogęsił. A przy okazji, czy potrzeba wam czegoś? Materiałów medycznych, personelu?

– Obawiam się, że nasze straty to głównie polegli – odparł Miyazaki. – Nie mamy prawie rannych. Poleciałem już nawet przekazać nasze zapasy materiałów medycznych na te okręty, które potrzebują ich najbardziej. Z tego, co słyszałem, na *Kandaharze* kończy się żel przeciwko oparzeniom i skóra do przeszczepów.

– Dziękuję, poruczniku. To bardzo potrzebna pomoc. Dopilnuję, aby pańska wspaniałomyślność została doceniona.

Miyazaki ożywił się nagle, jakby poczuł się dotknięty.

– Nie trzeba – zaprotestował. – To nie był gest na pokaz.

– Rozumiem, Maseo – powiedział Kolhammer, celowo używając tej bezpośredniej formy. – Pytałem także o personel i mam po temu dodatkowy powód. Straciliście wszystkich wyższych oficerów, my zaś mieliśmy znaczące straty na *Leyte Gulf*. Na dodatek wszystko wskazuje, że sam okręt też stracimy w ciągu najbliższych paru godzin. Bardzo pomogłoby nam w nawiązaniu dobrych kontaktów z miejscowymi, gdybyście zgodzili się na przyjęcie kapitan Anderson z jej sztabem na

miejsce tych, którzy zginęli.

Miyazaki nie odpowiedział, ale widać było, że toczy walkę sam ze sobą.

– Nie chciałbym zostać źle zrozumiany, poruczniku, ale nie mamy wiele czasu – odezwał się Kolhammer. – I nie myślę tylko o Yamamocie. Naszymi przeciwnikami są też strach i złość miejscowych. Zrobię co w mojej mocy, aby uchronić pana i pańskich ludzi przed zamknięciem w obozie jenieckim, ale nie będzie to łatwe.

Widząc, że Miyazaki już szykuje się do obrony swoich żołnierzy, uniósł rękę.

– Ma pan rację – stwierdził. – To nie fair, ale tak to właśnie wygląda. Wiem, że sprzągnął pan wszystkie systemy okrętu z centrum bojowym lotniskowca. Powiedziałem o tym Spruance'owi, ale dla niego to nic nie znaczy. Nie zazna spokoju, dopóki nie ujrzy amerykańskich marynarzy obsadzających kluczowe stanowiska na *Siranui*.

– Nawet jeśli będzie to czarnoskóra kobieta? – spytał Miyazaki.

Kolhammer uśmiechnął się słabo.

– Trudno, abyśmy dostosowywali się do nich we wszystkim, prawda?

Naprawdę szczerze współczuł temu młodzieńcowi. Podczas walki zachował się dokładnie tak, jak należało. W innych okolicznościach dostałby za to medal. Tymczasem spotkał się z oskarżeniami o złą wolę i nieufnością. Oskarżono go o brak *giri*. Niewiele było gorszych obelg, które mógł usłyszeć japoński wojownik. Jednak Kolhammer nie miał wyboru. Siedział bez ruchu na krawędzi biurka i gorączkowo szukał w myślach jakiegoś sposobu, aby ułatwić Miyazakiemu zachowanie twarzy. Jednak nim wpadł na jakiś pomysł, głos zabrał kapitan Muller.

Niemiec wydawał się od dłuższej chwili bić się z myślami i w końcu nie wytrzymał.

– To jakaś paranoja, *Herr Admiral* – wyrzucił z siebie.

Miyazaki odetchnął lekko, jakby tej wtręt był mu na rękę. Kolhammer postanowił nie zwracać uwagi na obcesowość wypowiedzi Niemca.

– Nie, to nie paranoja, kapitanie. Zabiliśmy ten nocy bardzo wielu ludzi. Tysiącom rodzin odebraliśmy mężów, ojców, synów i braci. Na dodatek wyręczyliśmy Yamamotę, zatapiając większość amerykańskiej Floty Pacyfiku. Do tego wszystkiego przybyliśmy w towarzystwie japońskiego okrętu i z przedstawicielami przeciwnika na pokładach. W tej sytuacji nie będzie się liczyć, ilu dobrych ludzi sami straciliśmy. Szybko znajdą się bardzo ważne osoby żądające, aby wszystkich nas zamknąć. Z tym, że po was przyjdą w pierwszej kolejności. Iwanow uśmiechnął się lodowato.

– A co pan zrobi z tym tajniakiem Hooverem, gdy się zjawi? Odeśle go pan?

Kolhammer spojrzał na nich uważnie.

– Jesteście pod moim dowództwem i zamierzam traktować was z takim samym szacunkiem jak dotąd. Muszę jednak wiedzieć, na co jesteście skłonni przystać, abyśmy mogli pozostać razem i razem walczyć.

Kapitan Muller zacisnął usta. Gdy znowu się odezwał, wypluwał każde słowo niczym pocisk:

– Admirale Kolhammer, mój pradziadek był dowódcą kompanii w dywizji Gross Deutschland. Zginął w Rosji, ale nie za sprawą żołnierzy Armii Czerwonej czy partyzantów – dodał, kiwając głową w kierunku Iwanowa. – Podczas odwrotu bronił przeprawy przez rzekę. Utrzymał się trzy dni, odpierając ileś tam ataków piechoty i czołgów. Z całej kompanii zostało ich tylko siedmiu, ale dwa tysiące ludzi zdołało ująć na zachodni brzeg. Gdy i on się wycofał, jako ostatni, został aresztowany i rozstrzelany za dezercję w obliczu wroga. Jego żona, moja prababka, trafiła razem z dziećmi do obozu. Dzieci było sześćoro, przeżyło tylko jedno, mój dziadek. Do końca życia nosił ślady po razach obozowej straży. Wielokrotnie opowiadał mi o swoich braciach i siostrach. Pamiętał świetnie każde z nich i chciał, abym i ja opowiedział o nich moim dzieciom. Najstarszy, Hans, został zakatowany, gdy próbował bronić młodszego brata, Erwina, przed homoseksualnym gwałtem. Erwin został potem zastrzelony bez powodu przez wizytującego obóz oficera SS. Ich siostra Lotti zamarła na śmierć. Dwunastoletnia Ingrid zmarła na syfilis. Najmłodsza z nich, paroletnia Greta, została zamordowana przez strażnika. Zmiażdżył jej butem głowę, gdy nie chciała ssać jego członka. Milczał długą chwilę.

– I pan mnie pyta, admirale, jak to widzę? – dodał wreszcie spokojnym tonem. – Rzygać mi się chce.

Gdy Muller skończył, zapadła cisza. Kolhammer też nie czuł się najlepiej. Miyazaki kiwał w milczeniu głową. Opowieść Niemca wstrząsnęła admirałem bardziej niż nocna bitwa czy spotkanie ze Spruance'em. Już miał coś odpowiedzieć, gdy flexipad Judge'a pisnął, oznajmiając o nadejściu wiadomości. Pierwszy oficer lotniskowca spojrział na ekran.

– Admirale, coś się zmienia – powiedział ze zdumieniem.

* * *

Kolhammer był zły na siebie. Nie powinien spuszczać z oka ekranu systemu bojowego. Na dodatek miał wrażenie, że spotkanie z Miyazakim i pozostałymi nic nie przyniosło. Zaczął się zastanawiać, po co właściwie je zorganizował. Czyżby naprawdę obawiał się buntu na pokładzie *Siranui*? Też pomyśl... Znał tych ludzi nie od dzisiaj. Okada może nie był jego przyjacielem, ale na pewno bliskim znajomym. Niemniej zginął, a pozostali... Co właściwie mieliby zrobić? Wykraść nowoczesne technologie i przekazać je Yamamocie? Nie, samo podejrzenie byłoby dla nich obraźliwe. Ostatecznie po Niemcach nie oczekiwał, że zwrócą się ku Führerowi.

– Admirale? Sir?

Głos porucznik Brooks wyrwał go z zamyślenia.

– Przepraszam, poruczniku. To zmęczenie. Proszę powtórzyć.

Kirsty Brooks nie okazała żadnej urazy. Powtórzyła wszystko, tyle że trochę głośniejsze, jakby nie dosłyszał jej po prostu w gwarze rozmów.

– Jak sam pan widzi, admirale, grupa bojowa Nagumy wycofuje się. Zespół Yamamoty i reszta chyba też, chociaż znajdują się na granicy zasięgu naszych radarów. Wszyscy podają tyły.

Centrum bojowe miało pełną obsadę i wszyscy obecni sprawiali wrażenie bardzo zajętych. Nic dziwnego, musieli w jakiś sposób zrekompensować utratę zewnętrznych środków rozpoznania. Zespoły walki elektronicznej oraz obrony przeciwpodwodnej i przeciwlotniczej nie miały ani chwili wolnego. Tylko zespół obrony przed orbitalnymi środkami napadu wydawał się jakby bezrobotny.

– A ten śladowy kontakt? – spytał admirał. – Jak dawno go uzyskano?

– Dwanaście minut temu, sir – odparła Brooks. – To mogło być tylko echo, ale osobiście nie przypuszczam. Mały Bill też uważa, że na osiemdziesiąt cztery procent chodziło o *Amandę Garrett*.

– Na wodach antarktycznych? – spytał z powątpiewaniem Kolhammer.

– Blisko, admirale.

W centrum zrobiło się bardzo zimno. Admirał zadrżał.

– Ile jeszcze do przylotu Spruance’a?

Brooks zerknęła na główny ekran.

– Powinien właśnie lądować, sir.

USS Amanda L. Garrett, Południowy Pacyfik,

3 czerwca 1942, godzina 04.34

Szczególnie aktywne i rozległe obszary niżowe są jednym z tych zjawisk pogodowych, które zapisują się zwykle w ludzkiej pamięci. Zależnie od części świata zwie się je huraganami, cyklonami albo tajfunami, niektóre otrzymują nawet własne imiona. Wyjątkiem są te, które powstają na wodach subpolarnych, między pięćdziesiątym a sześćdziesiątym stopniem szerokości geograficznej południowej. Co roku rodzą się tam dziesiątki potężnych sztormów, których ludzkie oko nie ogląda i które pozostają anonimowe.

Brak większych mas lądowych w tamtej części świata sprawia, iż nie napotykające przeszkód wichury spiętrzają olbrzymie masy wody. Powstające wówczas fale nabierają takiej energii, że

potrafią okrążyć kulę ziemską. Marynarze, którzy je napotkali, powiadają, iż nic nie może równać się z widokiem wysokiej na sto metrów, gnającej przed siebie czarnej ściany wody. A zdarzają się fale jeszcze większe, o ile dojdzie do połączenia trzech czynników: siły sztormu oraz bliskości linii konwergencji i szelfu kontynentalnego. Albo też zlania się paru fal w jedno monstrum. Niemniej te najogromniejsze powstają rzadko, zwykle też nie są w stanie długo przetrwać.

Nikt też nie przeżył bezpośredniego spotkania z taką falą, aby później o tym opowiedzieć.

Podobnie było z niszczycielem USS *Amanda L. Garrett*.

Drobna anomalia pola wygenerowanego w trakcie eksperymentu profesora Pope'a sprawiła, że okręt został przerzucony na znaczną odległość od punktu wejścia.

Jego załoga liczyła sto dwadzieścia osób. Nikt nie ocknął się zaraz po transferze. Niektórzy zginęli błyskawicznie, jak trzynaście osób przebywających akurat na pokładzie. Ci zostali zmyci przez fale. Kilkoro kolejnych połamało karki, gdy przechyły okrętu cisnęły ich na sprzęty i grodzie. Wielu odniosło mniej groźne obrażenia.

Minęły trzy godziny, nim ktokolwiek odzyskał przytomność. Jednak nawet najsilniejsi byli zbyt słabi, aby przejąć kontrolę nad jednostką. Jedna z pań podoficerów zdołała wczołgać się na mostek w nadziei, że uda jej się uaktywnić autonomiczny tryb pracy systemu bojowego, jednak dwudziestometrowa fala wybiła okna i zalała cały sprzęt słoną wodą. Zanim podoficer zdołała się wydostać ze zrujnowanego pomieszczenia, niszczyciel przewalił się przez grzbiet kolejnej fali, następna zaś przetoczyła się po nim. Tysiące litrów lodowatej wody ponownie wdarło się na mostek i porwało ze sobą krzyczącą kobietę.

Koniec nadszedł o czwartej trzydziści pięć. Niszczyciel wbił się dziobem w jedną z tych ogromnych gór wody, które przemierzają niekiedy pustkowia południowych oceanów. Wydostał się i wspiał dzielnie na strome zbocze fali, był jednak zbyt długi, aby przetrwać podobną próbę. Przez chwilę stanął niemal pionowo, po czym obrócił się wkoło własnej osi i zsunął w głębinę.

Echo ostatniego wołania systemów niszczyciela odbiło się od troposfery i dotarło moment później do anten systemu Nemesis na *Siranui*. Więcej o nim nie słyszano.

USS Hillary Clinton, 3 czerwca 1942, godzina 04.48

Spruance był pod wrażeniem. Mimo wszystko. Lotniskowiec był przeogromny. Zapewne co najmniej trzy razy większy od *Enterprise'a*.

Pokład lotniczy zaścielały szczątki maszyn, część została rozdarta aż do wysokości drugiej wysepki. Miała smukły kształt, ale pełniła chyba tę samą funkcję co kanciasta wysepka na Big E.

Jednak nawet poważnie uszkodzona, jednostka tętniła życiem, admirałem zaś zaczęły targać sprzeczne uczucia. Z jednej strony był dumny ze swoich ludzi, że zdołali zadać cios tak potężnemu

przeciwnikowi, z drugiej bolał nad tym faktem. Mając jeden taki w pełny sprawny okręt, mógłby do wieczora wygrać tę wojnę.

Gdy komandor Judge prowadził go korytarzami, Spruance słyszał zewsząd swoje powtarzane szeptem nazwisko. Dziwnie się czuł, gdyż wszyscy, których spotykał, patrzyli na niego jak na gwiazdę filmową. Szczególnie że wielu z tych mężczyzn i kobiet wyglądało jak cudzoziemcy, chociaż mówili niemal tym samym językiem co dotąd znani mu amerykańscy marynarze. Gdy przyjrzał im się uważniej, dostrzegł w ich oczach podziw i szacunek. To było jeszcze dziwniejsze. Po drodze musiał odpowiedzieć chyba na sto salutów, na dodatek wszyscy witali się z nim z wielkim namaszczeniem, stojąc na baczność niczym na paradzie. W pewnej chwili pojawił się obok niego Dan Black. Porucznik Curtis przyłączył się do grupy kilku oficerów z *Enterprise'a* podążających za admirałem.

Skręcili do pomieszczenia z największym ekranem, jaki zdarzyło się widzieć admirałowi poza kinem. W środku czekał Kolhammer w otoczeniu swoich oficerów. Wyglądali trochę jak delegacja Ligi Narodów.

– Zatem Japońce uciekają? – spytał Spruance, nie tracąc czasu na wstępy. – Mogą próbować w ten sposób dojść od flanki pod Pearl. Byliby do tego zdolni.

Kolhammer skierował gładki, czarny pręt w stronę ekranu, który pokazywał jakby obraz radarowy, ale jakiś dziwny. Przypominało to raczej kadr z bardzo złożonej kreskówki. Z pewnością nie miało nic wspólnego z drżącymi wyblyskami widocznymi na zwykłym ekranie radaru, który regularnie omiatał otoczenie niewidzialną wiązką promieni. Tutaj każdy okręt Nagumy był prezentowany jako zgrabna miniatura opatrzona na dodatek tabliczką z nazwą jednostki. Widać było wyraźnie cztery lotniskowce w otoczeniu eskorty.

– Co to jest, u diabła? – mruknął Spruance, niepewny, czy powinien podziwiać ten wynalazek, czy może go zlekceważyć.

– To komputerowo przetworzony obraz danych uzyskanych przez nasze środki zwiadu – odparł Kolhammer. – Jeśli wyobrazisz sobie pan, że to szczególny ekran radarowy, nie będzie pan daleki od prawdy. A na pewno łatwiej na nim wszystko obserwować.

– Proszę nie traktować mnie tak z góry, admirale. Chcę wiedzieć, co dokładnie się dzieje.

Pomieszczenie było na tyle obszerne, aby obie grupy miały dość miejsca dla siebie. Każda z nich skupiła się wkoło swojego dowódcy. Po wybuchu Spruance'a dało się wyczuć, że sztab Kolhammera stał się czujny. W odpowiedzi goście jeszcze bardziej się najeżyli i zaczęli miotać groźne spojrzenia. Głównie w stronę trojga oficerów o azjatyckich rysach, którzy stali obok admirała.

– Uciekają. Prościej nie potrafię tego wyłożyć – powiedział pierwszy oficer lotniskowca.

– To bardzo dobrze – powiedział Spruance. – Pytanie jednak, czy nie wiecie, dlaczego uciekają? O ile rzeczywiście ma to miejsce.

Kolhammer zaprosił gestem gości, aby usiedli. Spruance spojrział na fotele. Wyglądały co

najmniej dziwnie, jakby bezkształtnie. Zrobiono je z nieznanego mu, twardego materiału. Stwierdził, że woli stać. Gospodarz wzruszył ramionami.

– Rzeczywiście ma to miejsce – powiedział. – Ale nie wiem, dlaczego tak się dzieje. Niemal na pewno słyszeli nasze nocne rozmowy i wiedzą o bitwie. Nagumo był, a raczej jest, bardzo konserwatywny. Mogła mu wystarczyć świadomość, że odkryto jego plan. No i zastawiono na niego pułapkę.

Ani Spruance, ani jego ludzie nie wyglądali na przekonanych.

– I my mamy w to uwierzyć?

– Odwrót Japończyków jest faktem. – Kolhammer pokazał na ekran za swoimi plecami.

– Z całym szacunkiem – powiedział Spruance, jednak jego ton nie pozostawiał wątpliwości co do tego, jak niewielki żywi ów szacunek dla nowych, nieproszonych sojuszników. – Pan zna tych sukinsynów tylko z książek. My mieliśmy z nimi bezpośrednią styczność. Nie zwracają nigdy ot, tak sobie, bez ważnego powodu. A ja żadnego obecnie nie widzę. Nie było z wami żadnych innych jednostek? Takich, które mogłyby mieć wpływ na decyzję Nagumy?

Spruance zorientował się, że trafił w czuły punkt. Kolhammer namyślał się dłuższą chwilę, zanim odpowiedział.

– W tej materii wiemy nieco więcej – wyznał w końcu. – Udało nam się zlokalizować jeden z brakujących okrętów. Niszczyciel *Garrett*. Pojawił się na południu, na wodach antarktycznych. Sygnał był bardzo słaby i umilkł. O ile wiem, o tej porze roku panują tam zwykle trudne warunki pogodowe. Jeśli nie zdołali na czas odzyskać przytomności, okręt mógł zostać pokonany przez fale.

Spruance poczuł niemiły dreszcz przebiegający po plecach.

– Ile jeszcze okrętów zgubiliście, admirale? – warknął, niezdolny chwilowo do opanowania złości.

– Po pierwsze, nikogo nie zgubiliśmy – odparł Kolhammer tonem, który jednoznacznie wskazywał, iż podobne insynuacje nie są mile widziane. – Jesteśmy tak samo ofiarami tego zdarzenia jak i wy. Po drugie, nie potrafię powiedzieć, ilu okrętów brakuje, gdyż nie wiem na pewno, ile ich w ogóle przeszło. Możliwe jednak, że pojawią się kolejne. Na południowym zachodzie wykryliśmy sygnał, który może pochodzić z brytyjskiego niszczyciela *Vanguard*.

– Od jak dawna ukrywacie przed nami te informacje? – spytał coraz bardziej wściekły Spruance.

– W ogóle ich nie ukrywamy. Sygnał został odebrany niecały kwadrans temu. Ja otrzymałem informację na ten temat w chwili, gdy zdążyłem na spotkanie z wami. Nadal jeszcze analizujemy przekaz.

– Do cholery! – wybuchnął Spruance. – A czy próbował pan spytać swoich analityków, co się stanie, jeśli Japonce albo naziści przechwycą jeden z waszych okrętów? Rozumiem, że nie macie

najmniejszego pojęcia, gdzie mogły wylądować? A jeśli wróg już próbuje zaatakować z ich pomocą Hawaje albo Waszyngton?

Emocje obu dowódców znajdowały odbicie w zachowaniu ich oficerów. Atmosfera zgęstniała. Wydawało się, że jeszcze chwila, a obie grupy rzucą się na siebie z pięściami. Kolhammer zacisnął usta.

– Admirale Spruance – odezwał się w końcu, powoli cedząc słowa. – Ponieśliście dziś w nocy ciężkie straty. To samo można powiedzieć o nas. My nie szukamy jednak winnych. Nie próbujemy wymigać się od odpowiedzialności, ale nie chcemy, aby wróg skorzystał na całym zajściu. Jeśli jednak mamy walczyć razem, będzie pan musiał zaakceptować, iż mamy te same prawa co każdy wolny człowiek, który gotów jest odpowiadać za swoje czyny.

– Co to ma znaczyć? – spytał Spruance.

– Dokładnie to, że to nie jest stosowna chwila na kłótnie, admirale. Te musimy odłożyć na później. Na razie mamy tu tysiące marynarzy, którzy pilnie potrzebują opieki medycznej. Bezpośrednie zagrożenie dla Midway zostało odsunięte. Mogę zresztą zostawić tu siły wystarczające, aby odeprzeć ewentualny atak na atol. Pański zespół nie nadaje się do walki. Proponuję wycofać się do Pearl, sprawdzić dokładnie, jakie jeszcze jednostki, o ile jakiegokolwiek, zdołały się tu przedostać i co się z nimi stało. Na ile się da, naprawić uszkodzenia na moich okrętach. A potem zmierzyć się z tragedią nocnej walki.

Obaj dowódcy spojrzeli na siebie. Spruance nadal gotował się z wściekłości, ale Kolhammer zdawał się nie być skłonny do jakichkolwiek kompromisów. Jedyнным znakiem, że żaden nie dąży do eskalacji sporu, była przedłużająca się cisza.

W końcu Spruance westchnął głęboko. Skinął głową, chociaż tak lekko, że można było tego nie zauważyć.

– To będzie cała masa roboty – powiedział cicho.

Kolhammer wyciągnął dłoń.

– Ale razem łatwiej będzie się z nią uporać.

Nadal czujni, uścisnęli sobie ręce.

Gdy ocalałe z pogromu jednostki obu flot ruszyły ku Hawajom, Kolhammer usiadł w samotności w swojej kabinie i bez słowa wpatrywał się w ekran. Obraz ukazywał jego dom w Santa Monica i jego żonę, Marie, atakującą w rękawicach ogrodowych nadmiernie rozrosły żywopłot. W cieniu

eukaliptusa wylegiwała się Lucy, ich czarny labrador.

Coś ścisnęło admirała w gardle. Dwie łzy spłynęły po pomarszczonej twarzy.

– Przepraszam, Lucy – wyszeptał. – Obiecałem wrócić... a tymczasem... Po prostu nie wiem.

Po chwili sięgnął do sterownika i wywołał kolejne zdjęcia. Znowu ogród. Marie i Lucy na starej kanapie na oszklonej werandzie. Kilka fotografii ich syna, Jeda, który zginął na Tajwanie. Niestety, nie mieli wnuków. Było jednak kilkoro naprawdę kochanych dzieci ich kuzynów i innych krewnych. Pojawiły się portrety rodzinne robione przy bardziej oficjalnych okazjach. I inne, coraz starsze zdjęcia. Kolhammer raz jeszcze cofał się w czasie, odtwarzając podróż swojej rodziny z Magdeburga. W 1934 roku opuścili Niemcy i popłynęli do Ameryki. Potem przebyli jeszcze cały kontynent. Szlak przeklętych.

Zamarł, widząc stare zdjęcie prastryjka Hansa i praciotki Hildy. Zniszczone, ale takie już było, gdy zostało przetworzone na obraz cyfrowy. Kolhammer specjalnie poprosił, aby niczego nie korygować. Uważał, że fotografie rodzinne powinny nosić na sobie ślady upływu czasu. Znak przemijania pokoleń.

Przyjrzał się Hansowi i Hildzie. Bardzo chciałby spojrzeć im w oczy, szczególnie teraz, gdy znalazł się w sytuacji, której nie rozumiał. Zdjęcie zostało wykonane w Nowym Jorku, w 1952 roku, jednak oboje mieli na sobie jeszcze ciężkie, europejskie ubrania z długimi rękawami. Nie tylko dlatego, że nie czuli się pewnie. Kolhammer wiele godzin spędził w dzieciństwie na rozmowach ze stryjkiem. Wiedział, że pod tkaniną marynarki krył się tatuaż, którego Hans bardzo się wstydził. Tatuaż wypalony przez pomniejszego funkcjonariusza SS, formacji dowodzonej przez Heinricha Himmlera. Znak ocalonych z koszmaru „ostatecznego rozwiązania”.

Hans ukrywał go przez wiele lat, ale pod koniec życia, akurat niedługo po tym, jak młody Philip Kolhammer został przyjęty do marynarki, trzęsący się i schorowany stryjek Hans opuścił nagle dom opieki, w którym przemieszkiwał, i przebył cały kontynent, aby zobaczyć się z młodym krewnym. Zrobił to bez zapowiedzi. Po prostu pewnego dnia podjął decyzję i już. Potem była masa problemów, aby zapewnić mu dobry transport z powrotem. Przegrywał wówczas powoli walkę z chorobą Parkinsona, która ostatecznie miała dokonać tego, co nie udało się sługom Führera.

Młody Philip był zdumiony, zachwycony i nieco zaniepokojony niespodziewaną wizytą stryjka. Starszy pan niemal przerwał na jej czas przyjmowanie lekarstw, a długa podróż autokarem Greyhounda okazała się ciężką próbą dla słabych kości. Niemniej Hans nie przejął się tym wszystkim. Powitał krewniaka słabym, ale serdecznym „niedźwiadkiem” i powiedział, że jest z niego dumny. Dumny, że Philip nosi mundur tych, którzy go wyzwolili. Po paru godzinach rozmowy na rozmaite tematy, gdy Marie miała już tego dość, Hans wziął Philipa na bok. Marie powiedział, że mają pewne męskie sprawy do obgadania.

W drugim pokoju Hans powoli i w milczeniu podwinął rękaw i pokazał tatuaż.

– Obiecuj mi teraz – powiedział. – Obiecuj mi, że jak długo starczy ci tchu i jak długo będziesz nosił mundur wolnego kraju, nigdy nie pozwolisz, aby to zło ponownie zaistniało na świecie.

Część 3

Sojusze

18

Przełęcz Saruwaged, Nowa Gwinea,

7 czerwca 1942, godzina 04.45

Ostatnia wioska została daleko w dole. Zresztą, cóż to była za wioska. Skupisko paru chat stojących między jeziorkami pełnymi wody wapiennej i zagonami słodkich ziemniaków. Pola przechodziły niemal płynnie w porośnięte dżunglą stoki. Nie było tej wioski na żadnych mapach, kolonialne władze w Port Moresby nie miały nawet pojęcia o jej istnieniu.

Chorąży Peter Ryan przycupnął u wylotu jaskini i spojrzał w skłębione poniżej mgły. Wiedział, że gdzieś tam, siedem tysięcy stóp pod nim, leży kraina zwana Wain albo Naba i równiny nad rzeką Markham. Gdyby nie ta przekłeta górską pogodą, pewnie miałby szansę dostrzec Lae i Salamaua, gdzie okopywali się już Japończycy.

Tam, w dole, znajdował się całkiem inny świat. Gorący i parny, z gęstą dżunglą zwieszającą gałęzie nad korytami wartkich rzek. Ryanowi tamtejszy klimat przypominał atmosferę chińskiej pralni. Albo innego miejsca, gdzie nieustannie coś się gotuje. W wysokich partiach gór panowały zaś warunki niemal arktyczne.

Z głębi jaskini doleciał go odór niemytych ciał i dymu. Miejscowi tragarze kulili się na prymitywnych legowiskach z kory. Ryan wyruszył z Amyenu z piętnastoma silnymi chłopakami. Zeszłego wieczoru gorączka powaliła ostatnich czterech z nich. Ryan wiedział, że w tej sytuacji na nic mu się nie przydadzą. Wprawdzie sierżant Kari, też krajowiec, zaoferował się, że postawi wszystkich na nogi, ale Ryan kazał mu dać im spokój. Lepiej będzie zostawić ich tutaj pod opieką konstabla Dinkili i we dwóch wspiąć się na grań.

– Bez nich i bez bagaży pójdziemy o wiele szybciej – powiedział.

– Ale gdy wrócimy, ich już tu nie będzie, szefie – odparł Kari. – A wtedy i bagaż nie będzie nam potrzebny. Starczą trumny.

Ryan uśmiechnął się słabo.

– Czasem trzeba, sierżancie. Tam w górze dzieje się coś dziwnego. A ja jestem ciekawski.

Tuż przed świtem znad zębatego szczytu Saruwaged powiało mroźnym wiatrem, który rozproszył mgły i w ten sposób odebrał im ostatnią wymówkę, aby pozostać we względnie ciepłej jaskini. Ryan i Kari zjedli jeszcze trzy puszki wołowiny, opróżnili paczkę biskwitów i przepłukali gardła wodą zebraną do menażki ze strumyków spływających po czarnej skale urwiska. Potem włożyli ostatnie suche skarpety i najlepsze buty, wydali konstablowi Dinkili wyraźne polecenie, aby doglądał i pilnował chorych tragarzy, i wyruszyli w drogę. Wzięli tylko broń i długie liny splecione z miejscowych lian.

Na czworakach pokonali niezwykle stromy odcinek zbocza i zagłębili się w dżungli. Od razu zrobiło się ciemno, zupełnie jakby weszli z jasno oświetlonego ogrodu do pozbawionej okien piwnicy. Wszystko wkoło porastał paskudny z wyglądu mech. Jego ciemnozielona, miękka warstwa była niekiedy nawet na stopę gruba i sprawiała, że majaczące w mroku drzewa przypominały potwory z baśni braci Grimm. Przy każdym kroku zapadali się głęboko w okryte mchem, gnijące szczątki roślin. Niekiedy tonęli w nich aż po uda. Za którymś razem Ryan spróbował sprawdzić, jak gruba jest właściwie warstwa naturalnego kompostu pod ich stopami, i wbił w nią zaostrzony kij. Ten jednak, chociaż długi na osiem stóp, nie sięgnął gruntu. Od tamtej pory szli jeszcze ostrożniej.

Duża wilgotność i bujna roślinność tłumiły dźwięki. Było tak nienaturalnie cicho, że po jakimś czasie obaj wędrowcy zaczęli mimowolnie mówić szeptem. Stąpali prawie bezgłośnie, jeśli nie liczyć ledwie słyszalnego mlaskania towarzyszącego wyciąganiu butów z zielonej brei. Niekiedy obok przemknął mały szczer, ale i to ledwie było słychać. Nawet liść nie zaszeleścił.

W końcu gęsta dżungla zaczęła ustępować miejsca surowemu lasowi drzew o szarych pniach, często powykręcanych albo i martwych. Wiele godzin pochłonęło znalezienie drogi w ich labiryncie. Ryan zastanawiał się, czy tragarze w ogóle daliby radę tędy przejść. Niedługo potem zaczęło padać. Kari narzucił na grzbiet dziwną pelerynę splecioną z liści pandanowca i dreptał przed Ryanem niczym tubylecza chata na nogach.

W sumie był to jeden z łatwiejszych odcinków podróży, zwłaszcza dla Ryana, który od dłuższego czasu odczuwał coraz silniej ostry ból w klatce piersiowej, tuż poniżej serca. Z nosa ciekła mu krew, ile by wypił, ciągle dręczyło go pragnienie. Gdy wyszli ze strefy opadu, Kari zatrzymał się i rozpałił małe ognisko. Suche drewno przyniósł ze sobą, przywiązane u pasa. Ogrzali się nieco i zagotowali wodę na herbatę. Ryan wydobył z mieszka trochę cukru. Mocny, ciemny napar i kilka otrzymanych od konstabla naleśników ze słodkich ziemniaków, które zjedli na zimno, tylko z vegamite, poprawiły im humor.

– Jesteśmy już blisko, szefie – powiedział Kari. – Załatwiamy sprawę dziś czy jutro? Jak pan chce?

Ryan najbardziej chciałby znaleźć się w domu, w Melbourne, i zwinąć z dobrą książką w fotelu tuż przy kominku.

– Dzisiaj – odparł, porzucając marzenia. – To ważne. Rozkazy przyszły wprost od MacArthura, z kwatery głównej.

– Skoro wielki wódz jest tak bardzo ciekaw, to może sam by się tu pofatygował – mruknął Kari z

uśmiechem.

– Mógłby – zgodził się Ryan. – Ale jakoś mu się nie chciało. A nam musi się chcieć. Ruszajmy zatem.

Sprzątnęli tymczasowe obozowisko, z żalem zdeptali ogień i skierowali się ku następnej grani. Było wczesne popołudnie, ale z wolna robiło się już ciemnowo. Słońce zginęło gdzieś za grzbietem góry, na stokach zaczynała zbierać się mgła. Razem z nią ponownie nadpełzał chłód. Ryan spojrzał na mapę.

– Zaraz za siodłem powinna być chata łowców oposów – szepnął, wskazując na miejsce odległe o jakieś pięćset jardów. – A jeszcze o godzinę drogi dalej miejsce katastrofy.

– O ile wieśniacy nie kłamali – dodał Kari.

– Owszem. Zawsze trzeba się z tym liczyć.

Dotarli do terenu zaścielonego wapiennymi głazami i występami. W niektórych miejscach skały były tak wielkie, że zdawały się tworzyć mur. Ryanowi było niedobrze. Rzadkie powietrze coraz bardziej dawało mu się we znaki. W pewnej chwili musiał się zatrzymać i popełnił ten błąd, że usiadł. Błąd niemal fatalny. Całe ciało momentalnie zalała fala błogości, a twarda skała wydała się wygodniejsza niż kanapa w najlepszym hotelu. Ryan z niemal proustowską drobiazgowością zaczął odtwarzać w pamięci wygląd poduszki i koca leżących na jego łóżku w odległych czasach dzieciństwa. Jak dobrze byłoby teraz wśliznąć się pod nakrycie, chociaż na parę...

Sierżant Kari szarpnięciem postawił go na równe nogi.

– Przepraszam, szefie, ale to nie jest dobre miejsce na sen. Już by się pan nie obudził.

Ryan przeprosił za swoją słabość. Wielotygodniowy patrol mocno dał mu się we znaki. Nijak nie był przygotowany na nowe rozkazy, które otrzymali w Kirkland, obok brodu na rzece. Nie czuł się w żadnym calu lordem Jimem i dość miał włóczęgi po dżungli.

Postawił jedną nogę przed drugą. I znowu. I jakoś szedł.

Na górze nie znaleźli nawet śladu chaty myśliwych. Nie mieli żadnego schronienia na noc.

– Niech ich – mruknął Ryan.

– Ciszej, szefie. Niech pan posłucha.

Ryan z początku niczego nie słyszał, ale po chwili dobiegło go metaliczne postukiwanie. I zapewne ludzkie głosy.

– Japońce – szepnął Kari.

– Wielki Boże, więc są i tutaj. Lepiej zerknijmy – stwierdził Ryan, czując przyływ adrenaliny.

Obeszli rozpadliny i pionowe skalne ściany głazów, które zdawały się spływać po zboczu niczym krople wody.

Teraz słyszeli już więcej. To bez wątpienia byli Japończycy. Niesamowite, iż przeciwnik zdołał tu dotrzeć przed nimi.

Lekki dotąd wietrzyk przybrał na sile. W ciągu kilku minut zmienił się w lodowaty wichur; no i dobrze, szczęśliwie wiał im w twarże. Japońce na pewno ich nie usłyszą. Mogli wprawdzie trafić na jakieś strażę, ale Ryan wątpił, aby tamci je wystawili. W obliczu tej złej góry ludzie zwykle trzymali się razem i nikt nie próbował się oddalać.

Podkradając się na czworakach, dotarli do krawędzi niewielkiego płaskowyzu. Gdy sunąc bokiem niczym kraby, znaleźli kryjówkę w krzakach, Ryan spojrział wreszcie przed siebie.

Jakieś trzysta jardów przed nimi leżał okręt. Mimo zapadającego zmroku widzieli go bardzo wyraźnie. Olbrzymi okręt wojenny, szary i tonący rufą w masywie góry. Jego dziób celował w niebo.

Naprawdę mogło się wydawać, że kadłub za chwilę zsunie się pod ziemię i opadnie przez skalne warstwy góry Saruwaged ku otchłanion piekielnym, jakby tonął na Morzu Koralowym. A jednak trwał w bezruchu i można by sądzić, że zawsze tu był.

Trwało chwilę, zanim Ryan otrząsnął się z szoku i zaczął dostrzegać cokolwiek więcej. Teren, z którego wyrastał kadłub statku, porastały gigantyczne muchomory. Były ich tysiące, z kapeluszami szerokimi na stopę i więcej. Mech porastał i na nich, tworząc gęsty, zielony dywan, z rzadka przerywany wystającą granitową iglicą. W cieniu pod okrętem wiatr szarpał połami tuzina namiotów, które chyba nijak nie pojmowały, po co właściwie je uwiązano.

Nie było wątpiwości, kto rozbił te namioty. Japońscy żołnierze wyprzedzili ich w wyścigu.

19

Oahu, 9 czerwca 1942, godzina 05.48

Ciała musiały już tak leżeć od paru godzin. Nie można było ich przez ten czas nie zauważyć – po prostu zostały zignorowane. Trzech marynarzy, pływających w małej motorówce po zatoce, dostrzegło dwie postacie, ale wszyscy zgodnie uznali, że pewnie ktoś odsypia po prostu nocne pijaństwo. Półtorej godziny później na wydmach pojawił się oficer lotnictwa. Wraciał motocyklem z imprezy i absolutnie nie był w nastroju, aby interesować się jakimiś osobnikami leżącymi na piasku. Przede wszystkim musiał wrócić do baraków, wytrzeźwieć i pozbyć się skradzionego motocykla.

Ostatecznie plażą nadbiegł pododdział z 82. MEU, który nie zaniedbywał obowiązku zaprawy porannej. Pierwszy zauważył leżące nad skrajem wody ciemne kształty sierżant Clifford Hardy. Biegł kilka metrów przed swoimi ludźmi. Z odległości kilkuset metrów nie widział wiele i podobnie jak inni wcześniej także uznał, że to jakaś para po nocnej zabawie. Leżeli dość blisko siebie, aby uznać

ich za kochanków. Po przebiegnięciu pięciu z ośmiu regulaminowych kilometrów sierżant nie był ciekaw podobnych zjawisk. Ważniejszy był pot, który zalewał mu oczy. Jeśli cokolwiek poczuł, to wkurzenie na durniów, przez których przyjdzie im nadłożyć drogi. Jednak gdy większa fala dotarła do postaci i obmyła jedną z nich, zrozumiał, że widzi martwe ciała. Woda poruszała nimi, jak chciała. Jedno z nich było znacznie ciemniejsze od drugiego.

Sierżant Hardy miał dwadzieścia lat i zdążył przywyknąć do widoku śmierci.

– Oddział... stać! – wykrzyknął.

Pogrążeni w transie długiego biegu marines zatrzymali się, wpadając tu i ówdzie na siebie.

– Co jest, sierżancie? – zawołał Warlow. – Biper się odezwał? Pora wziąć tabletkę?

– Zamknij się, Warlow – powiedział cicho Hardy. Jego spokój podziałał na ludzi elektryzująco.

Zaraz rozejrzeli się uważnie wkoło. Ubrani w zwykłe dresy, nie byli gotowi do walki. Żaden nie miał broni. Ktoś potarł koniuszki palców, inny zacisnął dłoń w pięść. Wszyscy ustawili się w lekkim rozkroku i zwrócili na zewnątrz grupy. Wypatrywali zagrożeń.

Poranek był ciepły i rześki. Półmetrowe fale załamywały się miarowo na plaży. Lekki wiatr od morza targał włosy i przyjemnie chłodził spoconą skórę.

– Warlow, wbiegnij na tę wydnię i rozejrzyj się – rozkazał Hardy. – Chcę wiedzieć, czy nikt nie kręci się w okolicy.

Marine ruszył energicznym krokiem. Cała jego zawadiackość gdzieś zniknęła.

– Nie żyją, sierżancie? – spytał rosły strzelec z oddziału.

– A jak myślisz, tępaku? – mruknął Hardy, lustrując spojrzeniem okolicę.

– Na to wygląda – powiedział szeregowiec Bukowski.

– To nasi? – spytał ktoś.

Hardy obrócił się. To był Snellgrove.

– Dlaczego tak myślisz, Smelly?

Czarnowłosa chłopak z Kansas wskazał ruchem głowy leżące ciała.

– To chyba mieszana para. I wydaje mi się, że mają blizny po implantach.

– Pusto, sierżancie! – zawołał Warlow z wysokości wydmy.

Hardy wciągnął głęboko powietrze. Było naprawdę czyste, temu nie dało się zaprzeczyć.

Człowiek zaczął rozumieć, czym właściwie oddychał przez całe życie.

Spojrzał raz jeszcze na pustą plażę. Szkoda tego miejsca, pomyślał. Morze idealnie nadawałoby się do surfingu. Fale załamywały się z melodyjnym szumem, biel piasku za pełnego dnia musiała oślepić. Nigdzie nie było widać żadnych śmieci. Żadnych kondomów, stłuczonego szkła czy zużytych strzykawek.

– Dobra – westchnął. – Znacie zasady. Podejdziemy do tego tak jak zwykle. Jak robiliśmy to w Jemenie czy Syrii. Obstawić teren na dwieście metrów wkoło. Bukowski, ty pójdziesz ze mną. Musimy wciągnąć ich wyżej; jeszcze trochę, a fale uniosą ciała. Ale miej oczy otwarte. Możemy mieć szczęście i znaleźć broń albo coś innego. Okri, ty wracasz do miasta. Najpierw zawiadom naszych. Gdy zrobią, co trzeba, sami dadzą znać miejscowym.

Szeregowy Okri, który w biegach wykończyłby całą resztę oddziału, pokiwał głową i ruszył z powrotem.

USS Kandahar, Pearl Harbor,

9 czerwca 1942, godzina 06.12

Kapitan Francois i pułkownik Jones spojrzeli ze smutkiem na ciało. Ze smutkiem i ze złością. Podporucznik Myron Byers pozbawił się życia strzałem w skroń. Ściana za nim była czerwona od krwi i strzępów ciała. Na stoliku nocnym oficera, w foliowym worku leżały list, fotografia i obrączka ślubna. Zdjęcie przedstawiało Byersa z żoną. Oboje się uśmiechali. Kobieta była w ósmym miesiącu ciąży.

Krótki list zawierał przeprosiny za bałagan w kabinie i prośbę, aby obrączkę, zdjęcie i wszystkie rzeczy osobiste przekazać rodzinie jego babki ze strony matki. Pod ich opieką miały doczekać do osiemnastych urodzin pewnej dziewczyny. Za wiele, wiele lat. Jego oszczędności miały zostać zainwestowane i także przekazane jej we właściwym czasie.

– Jezu, ale będzie roboty – mruknął Jones.

Francois była pewna, że pułkownikowi nie chodziło o sprzątanie. Mówił o niezwyklej prośbie zmarłego.

– Zrobi to pan? – spytała.

– To ostatnie życzenie – odparł i zamilkł na kilka chwil. – Powinienem zauważyć, że coś się szykuje.

Kapitan Francois otarła wierzchem dłoni piekące oczy.

– Niech pan nie robi sobie wyrzutów, pułkowniku. Nie on pierwszy, nie ostatni.

Jones zdawał się być pogodzony z sytuacją, ale tak naprawdę nie miał po prostu czasu myśleć o swojej żonie i bliskich. Zbyt wiele miał roboty. Może zresztą nie chciał o nich myśleć. Od czasu Midway zdarzyło się kilka spokojniejszych chwil, ale i wtedy nie próbował zastanawiać się na osobistymi skutkami tranzytu. Rozumiał, że jeśli naprawdę tu utknęli, nigdy już nie ujrzy Monique ani siostrzenicy. Zostali rozdzieleni, trochę podobnie jak podczas jego długich rejsów, tylko na odwrót. I na zawsze.

– Pułkowniku?

Porzucił niewesołe refleksje.

– Przepraszam. Mówiła pani coś?

– Powiedziała, że powinniśmy pomyśleć o przebadaniu ludzi pod kątem depresji. Każdy inaczej reaguje, ale niektórzy będą chcieli się przekonać, czy naprawdę nie śnią. Tak jak porucznik. Wie pan chyba, że to nie pierwszy przypadek.

Jej słowa zdumiały Jonesa. Chwycił worek koniuszkami palców i skinął na Francois, dając jej znak, aby wyszli już z kabiny.

– Było więcej samobójstw? – spytał cicho, gdy zamknęła drzwi.

– Cztery – odparła pani doktor. – To jest pierwsze na *Kandaharze*. Co dziwne, sami mężczyźni, chociaż mamy na okrętach prawie pięćset matek, kobiet, które zostawiły w naszym świecie swoje dzieci. Wydawałoby się, że one powinny przeżywać to najgorzej.

– Chce pani powiedzieć, że tęsknota matki przewyższa wszystkie inne? To chyba staromodny pogląd.

– A niech sobie będzie, pieprzę. To prawda.

Jonesa zdumiała nieco ta odpowiedź, ale postanowił się nie spierać, chociaż nie dawniej jak rano widział młodego marine wypłakującego się na ramieniu pani podoficer. Pamiętał, że żona tego młodego człowieka urodziła mu syna ledwie parę tygodni przed rejssem na Timor.

Nie wszyscy jednak byli przygnębieni sytuacją. Pewien pilot z flagowego lotniskowca ucieszył się jak dziecko, gdy dotarło do niego, że właśnie umknął trzem byłym żonom i jednemu grubemu i bardzo niesympatycznemu Czeczeńcowi, którego zwano Straszny Stanem. Czeczeniec ów był bukmacherem i oczekiwał od pilota zwrotu około czterech tysięcy dolarów.

Poza tym byli jeszcze i tacy szczęściarze, którym po prostu nie starczało rozumu albo wyobraźni do ogarnięcia niedawnych wydarzeń. Żyli więc tak samo jak zwykle, dbając tylko o regularne napełnianie przewodu pokarmowego i równie regularne wypróżnianie. I niewiele więcej, może poza snem, ich obchodziło.

– Na ile gorzej jeszcze może być? – spytał Jones. – Na razie jesteśmy w izolacji, ale kiedyś miejscowi zaczną nas zauważać.

Francois zastanowiła się nad odpowiedzią. Pułkownik wiedział, skąd ten namysł. W normalnych okolicznościach nikt tutaj nie bał się przesadnie ryzyka. Wszyscy, co do jednego, wiedzieli, że w trakcie pełnienia obowiązków służbowych mogą zostać ranni, okaleczeni albo nawet zabici. Wszyscy też jednak spodziewali się, że ujrzą jeszcze swoich bliskich. Szanse były spore. Nawet najbardziej fatalistycznie nastawieni weterani przyznawali, że większość tych, którzy wyruszali na wojnę, wracała cała i zdrowa. To była reguła. Reszta naiwnie wierzyła, że najgorsze ich ominie.

Jones powątpiewał, aby ktokolwiek naprawdę rozumiał konsekwencje obecnej sytuacji.

– Biochipy nie wychwytyją oznak depresji – powiedziała w końcu pani doktor. – Musimy jednak przyjąć, że takie przypadki będą się pojawiać. W różnym natężeniu, od przygnębienia po gotowość podjęcia próby samobójczej. Jednak jak dokładnie to przebiegnie, nie powiem. Sądzę, że w ciągu paru najbliższych tygodni wydarzy się parę incydentów, będących konsekwencjami trudnej albo trudniejszej adaptacji do nowego środowiska. Mam jednak nadzieję, że ostatecznie większość się przystosuje. I to zapewne całkiem nieźle. To nie są zwykli ludzie. Wkładając mundur, zaakceptowali olbrzymie ryzyko. Perspektywę własnej przedwczesnej śmierci. Ale jak będzie... Pożyjemy, zobaczymy.

Jones zważył plastikową torebkę w dłoni. Była dziwnie lekka jak na wszystko, co zostało po człowieku.

– Ale tu nie chodzi o zagrożenie śmiercią? – spytał retorycznie. – To bardziej jak wygnanie.

Obok zjawilo się dwóch zmęczonych marynarzy przysłanych z kostnicy. Francois powiedziała im, co mają zrobić, i skierowała się do szpitala. Za osiem godzin miała podłączyć sztuczne serce i chciała sprawdzić, czy pacjent jest gotowy. Jones poszedł za nią.

– Jeszcze jedno, pułkowniku – powiedziała. – Zastanawia mnie, jak zamierza pan przekazać pieniądze tej rodzinie?

– Nie wiem. Nie myślałem jeszcze nad tym. Ale fakt... Chyba nie uda mi się załatwić przelewu internetowego.

– Nie ma jeszcze sieci.

– Właśnie.

– Kolejne pytanie. Nawet jeśli uda się znaleźć bank, który przyjmie depozyt, ile tego powinno być? W tej chwili każdy z naszych dowódców plutonu zarabia więcej niż Roosevelt jako prezydent. Pomyślał pan o tym?

– Nie, pani doktor – odparł nieco zirytowany Jones. – Ale bardzo dziękuję za zwrócenie mi uwagi na ten problem.

– Trochę będzie jeszcze tych problemów. Jeśli naprawdę tu utknęliśmy, to zapewne nawet sporo. Kto będzie teraz regulował nasze rachunki i wypłacał nam żołd? Jutro grupa marines ma udać się do Honolulu na przepustkę. Czym zapłacą za piwo? Kartą chipową Amexu?

– Cholera. Nie mam pojęcia.

Zanim Francois zdążyła pognać go jeszcze bardziej, odezwał się jego flexipad. Jej urządzenie też ożyło. Oboje sprawdzili wiadomości i zaklęli w tej samej chwili.

Gdy spojrzeli na siebie, nie mieli wątpliwości, że chodzi o tę samą sprawę.

– Zabezpieczyć miejsce – rozkazał głuchym głosem Jones. – Zaraz tam będę.

Francois westchnęła.

– Też polecę. Pracowałam w Srebrenicy i Denpansarze. ONZ mnie tam kiedyś wysłał. Wiem, jak postępować w miejscu zbrodni.

Jones uniósł otwarte dłonie.

– Nie zamierzam pani powstrzymywać.

* * *

Kabina admiralska okrętu flagowego była tak obszerna, że Halabi prawie się w niej gubiła. Na próżno przekonywała Kolhammera, że równie dobrze mogłaby go zastępować, pozostając na pokładzie własnej jednostki. Admirał chciał, aby miejscowi nabrali do niej szacunku podczas jego nieobecności, i uważał, że argument w postaci atomowego lotniskowca uderzeniowego o wyporności stu trzydziestu tysięcy ton może być bardzo pomocny. Nawet jeśli okręt był obecnie nieco poobijany.

Cieszyła się luksusem całe trzydzieści sekund, aż uświadomiła sobie, że jest tuż pod pokładem startowym i że kabina Kolhammera ma raczej kiepską izolację dźwiękową. Nie żeby zamierzała przesypiać całe dni. Olbrzymi ekran na biurku jaśniał masą okienek obwieszczających nadejście wiadomości o najwyższym priorytecie. Zanim wyłączyła głośniki, brzęczyk co kilka sekund oznajmiał o nadejściu następnej. Jej plan dnia powinien chyba przewidywać więcej spotkań, niż liczy minut jedna doba.

Halabi przypomniała sobie powiedzenie babki.

– Nigdy nie próbuj połknąć słonia w jednym kęsie – mruknęła pod nosem i już miała zająć się raportem na temat redystrybucji posiadanych jeszcze przez flotę materiałów wojennych, gdy na ekranie otworzyło się okno. Widniała w nim przygnębiona twarz kapitan Margie Francois.

Dwadzieścia pięć minut później Halabi była już na miejscu. Ze smutkiem uściśnęła dłoń pani chirurg.

Z góry nie wyglądało to najlepiej. Wkoło stały śmigłowce, transportowce Humvee, policyjne samochody z Honolulu, staromodne jeepy. W pobliżu ciała kręciło się co najmniej sto osób. Gdy Halabi wylądowała i wysiadła z wiatraka, przekonała się, że jest naprawdę źle. Grupa marines pod dowództwem pułkownika Jonesa robiła, co mogła, aby zapobiec kompletnemu zdeptaniu miejsca zbrodni przez policję i przedstawicieli miejscowych władz. Jones stał nieruchomo jak czarna skała, podczas gdy biały mężczyzna w źle skrojonym garniturze wrzeszczał na niego i machał rękami.

– Co tu się, u diabła, dzieje? – spytała pełniąca obowiązki dowódcy zespołu bojowego.

– Nic dobrego – odpowiedziała Francois i odprowadziła ją trochę na bok. – Jeden z naszych plutonów trafił podczas zaprawy porannej na ciała. Nas zawiadomili najpierw, ale miejscowa policja i tak uważa, że jest ważniejsza...

Dzień zapowiadał się upalnie. Nawet o tak wczesnej godzinie cienie były bardzo krótkie. W dali słyhać było syreny kolejnych samochodów. Marines nadal nie ustępowali.

– Nie możemy pozwolić, aby zniszczyli wszystkie ślady – rzekła Halabi. – Przecież oni nie mają nawet pojęcia o DNA, a my jesteśmy w pełni przygotowani do badania i dokumentowania zbrodni wojennych. Musimy się ich pozbyć. Niech nam pozwolą zająć się swoimi ludźmi.

Znowu przebiegła spojrzeniem po plaży. Jones ani myślał się ruszyć, chociaż ten w garniturze wrzeszczał coraz głośniej i machał rękami. Marines i gliniarze patrzyli na siebie coraz wymowniej.

Za nimi ciała kapitan Daytony Anderson i podporucznika Maseo Miyazakiego sztywniały, z wolna ogarniane *rigor mortis*.

– Skąd oni się tu wzięli? – spytała Halabi.

Francois spojrzała na ciała i wzruszyła ramionami.

– Nie wiedzieliśmy nawet, że gdzieś się oddalili. Może pojechali do miasta i tam ich napadnięto. Zespół do spraw zbrodni wojennych jest już w drodze.

– Czy na pokładzie *Siranui* wszystko układało się dobrze? Mam na myśli obecność Anderson i jej ludzi...

Francois ponownie wzruszyła ramionami. Tego ranka był to bardzo popularny gest.

– Na ile wiem, to tak, ale czy na pewno? Nie było mnie tam. Ale też nic nie słyszałam. Dlaczego? Do pani coś doszło?

Halabi potrząsnęła głową.

– Nie. Zastanawiam się tylko.

– Cóż, na pewno mieli masę powodów, aby sporo przebywać razem. Integracja dwóch tak różnych załóg to niełatwa sprawa, od problemów językowych począwszy. Gdybym miała zgadywać,

powiedziałyby, że wyskoczyli na drinka do Moany. Pewnie chcieli przedyskutować nieoficjalnie parę rzeczy. Może nawet poszli na spacer, chociaż wątpię, aby zapuścili się gdzieś daleko. Jak na razie nie zachęcamy naszych ludzi do kontaktów z miejscowymi.

– Niemniej chyba i tak do tego doszło – mruknęła Halabi.

– Chyba – zgodziła się Francois. – Ale to tylko domysły. I tylko przy domysłach będziemy musieli pozostać, jeśli nie uda nam się zabezpieczyć tego miejsca dla naszej ekipy dochodzeniowej.

Halabi przytaknęła i zerknęła na zegarek.

– Dobra. Zawiadomię Nimitza. Jestem pewna, że on da sobie radę z miejscowymi. Spróbujemy też wywołać Kolhammera, chociaż jak dotąd nie mamy z nim łączności. Słowo daję, puściłabym się za jednego, małego chociaż satelitę.

20

Lotnisko Gormon, hrabstwo Los Angeles,

9 czerwca 1942, godzina 04.06

Zimny, całkiem nie wiosenny wiatr wiejący z gór Kalifornii omiatał rzadko porośnięte pustkowie i ciskał martwe liście w zaciemnione okna baraków z blachy falistej. Na nowej betonowej płycie powstawały co rusz małe trąby powietrze. Wewnątrz baraku niewielka lampa oliwna oświetlała gromadę zebranych w tych spartańskich warunkach ludzi.

Na tyłach pomieszczenia stał w pozycji „spocznij” pododdział żołnierzy. Wyraźnie trzymał się na dystans od dwóch luźnych grupek mężczyzn w mundurach i cywilnych ubraniach, które zajmowały miejsca po obu stronach drobnej postaci na wózku inwalidzkim. Drobny mężczyzna miał nogi owinięte pledem i przeganiał właśnie jakiegoś młodszego oficera, który był na tyle nierozważny, aby próbować narzucić mu drugi pled na ramiona. Pewien starszy cywil przerwał prowadzoną właśnie rozmowę i podszedł do wózka. Miał bujną czuprynę siwych włosów i pooraną zmarszczkami twarz, która od lat nosiła ten sam wyraz smutku. Nie tak dawno opuściła go żona, ale to nie jej śmierć przyprawiła go o melancholię. Nie śmiał się od czasu ucieczki z Niemiec w 1933 roku.

Teraz jednak pozwolił sobie na lekki uśmiech i przysunął mężczyźnie opakowanie papierowych zapalek.

– Ognia, panie prezydencie?

– Owszem, dziękuję profesorze – odparł Franklin Delano Roosevelt. – Nie sądziłem, że trzeba być aż geniuszem, aby się tego domyślić – dodał, rzucając surowe spojrzenie na oficera z pledem.

Albert Einstein zapalił zapalną i przysunął ją do camela zatkniętego w długiej, prezydenckiej lufce. Nagle z oddali dobiegł ich niezwykle ryk przypominający uderzenie gromu. Tyle że żaden grom

nie brzmiał tak długo.

– Są – powiedział Einstein, gdy tytoń rozjarzył się na czerwono i prezydent zaciągnął się dymem.

– Chcę to zobaczyć – powiedział Roosevelt.

Adiutant już był obok.

– Panie prezydencie, nie wydaje mi się...

– Po prostu wyjedź ze mną na zewnątrz – warknął prezydent. – Chcę zobaczyć te raketowe samoloty.

Wycelował w oficera lufkę na tyle energicznie, że złamał papierosa.

– Jeśli chcesz, możesz owinać mnie kocami jak starego dziadka. Ale zamierzam zobaczyć to na własne oczy.

Wsunął lufkę z powrotem między zęby. Tkwiąca w niej reszta papierosa nadała mu zawadiacki wygląd. Chwycił za koła, aby samodzielnie skierować wózek do drewnianych drzwi baraku. Kilku ludzi w mundurach zaraz skoczyło na pomoc, ale Einstein był najbliżej. Ujął ręczki za oparciem i pchnął wózek.

– Zobaczmy, co szykuje nam przyszłość, panie prezydencie.

Zanim Einstein zatrzymał wózek na progu, skutecznie barykadując przejście, na zewnątrz zdołało wyjść paru cywili, w większości doradców naukowych. Reszta ustawiła się według starszeństwa. Najlepsze miejsca po obu stronach Einsteina zajęli generał brygady Eisenhower oraz admirał King. Ci mniej ważni przykleili się do dwóch małych okien albo próbowali dojrzeć coś zza pleców ludzi stojących w drzwiach.

Mimo koców prezydent drżał lekko z zimna, ale wyciągnął głowę, aby dojrzeć koniec pasa startowego. Oficer lotnictwa opowiedział mu wcześniej o niedawnych pospiesznych pracach nad modyfikacją lotniska. Obecnie droga startowa była trzy razy dłuższa niż główny pas w bazie Edwards. Roosevelt pomyślał, że to straszna rozrzutność: poświęcać tyle betonu i ciężkiej pracy dla paru samolotów. Jednak bez wątplenia nie była to najdziwniejsza wiadomość, jaką usłyszał w ostatnim tygodniu.

Najosobliwsza była relacja o tym, co zaszło pod Midway, zdana przez poszarzałego na twarzy komandora marynarki. Roosevelt pokręcił głową, wspominając tamtą rozmowę. Moment później dojrzał schodzące z wolna od południowego zachodu białe i czerwone światła.

– Co to za bzdury, Turtletaub? – wrzasnął tydzień wcześniej na pechowego oficera. – Zwariowałeś? Następnym razem opowiesz mi o jaszczurach z kosmosu?

Potem jednak musiał przeprosić młodego oficera. Okazało się, że to świat oszalał. I z tego właśnie powodu prezydent tkwił teraz tutaj, w sercu kalifornijskiej pustyni, i czekał na spotkanie z

ludźmi z przyszłości.

Bez wątpienia potrzebował papierosa.

– Ciekawe – powiedział Einstein, gdy z ogona przypominającego grot samolotu wydobyły się dwie strugi ognia. Maszyna obniżyła lot i z niesamowitą szybkością przeleciała równolegle do baraku. – To są właśnie te odrzutowce, o których nam opowiadano, panie prezydencie.

Rooseveltowi wydało się, że widzi śmierć we własnej osobie. Sylwetka nieznanej maszyny emanowała grozą. Wielu patrzących westchnęło niczym dzieci na pokazie ogni sztucznych.

Prezydent zaczął się zastanawiać, czy na pewno wybudowali wystarczająco długi pas, jednak w tej samej chwili za przyziemiającą maszyną wykwitły spadochrony.

Zaraz potem na nocnym niebie pokazał się kolejny samolot. Też groźny, niczym rozmigotane ostrze albo pocisk. Mrugające światła zdradzały obecność jeszcze dwóch maszyn w kolejce do podejścia. W pewnej chwili przez huk rakietowych silników przebił się bardziej znajomy odgłos.

– Śmigłowy – powiedział admirał King. – Przypuszczam, że oni nie...

Nie dokończył zdania, zaskoczony widokiem trzeciego gościa. Rozpiętością skrzydeł przypominał klasyczne samoloty, takie jak Grumman Goose albo nawet Consolidated Catalina, ale na grzbiecie miał jakby wielkie cygaro umocowane na kilku wspornikach. Wylądował bez spadochronów. Chwilę później na ziemi znalazła się ostatnia maszyna.

– Wygląda na transportowiec – powiedział ktoś za Rooseveltem. Prezydent nie poznał po głosie kto.

Jeden z cywili, który kulił się przed barakiem z rękami wbitymi w kieszenie płaszczą, odwrócił się do Roosevelta.

– Założę się, że to ich tankowiec. Mogą z niego czerpać paliwo podczas lotu. Musicie wiedzieć, że te raketowe samoloty złopią sukinyńsko... Przepraszam, panie prezydencie.

Roosevelt zbył przeprosiny machnięciem dłoni.

Po raz pierwszy, odkąd usłyszał o koszarnej katastrofie pod Midway, poczuł lekki przyływ optymizmu. A nawet więcej: był po prostu zaciekawiony.

* * *

Kolhammer rozszczelnił osłonę kabiny Raptora. Otworzyła się z lekkim sykiem, on zaś odpiął maskę tlenową i uniósł przesłoną hełmu. Natychmiast przestał cokolwiek widzieć, ale po chwili oczy

przyzwyczyły się do mroku rozświetlanego tylko blaskiem księżyca i tysięcy gwiazd. Dawno już nie leciał szybkim, i normalnie byłaby to dla niego wielka przyjemność, jednak od chwili gdy przekroczyli Zachodnie Wybrzeże, targwały nim coraz bardziej sprzeczne emocje. Nadłożyli mocno drogi na północ, aby nie budzić swoim przelotem paniki w Los Angeles. Widział jednak odległe miasto w podczerwieni. Wydało mu się dziwnie małe, ale cóż – w jego czasach LA. było prawie dwanaście razy większe.

Ale to był tylko epizod. Zawsze, ile razy przelatywał nad tą okolicą, zwykł śledzić linię brzegową, tak w nocy, jak i za dnia. Wypatrywał swojego domu. Nie budynku, rzecz jasna, ale rejonu, w którym się wznosił: na skraju miasta, centralnie nad zatoką. Była to jedna z jego niewielu bezpiecznych przystani. Zawsze miał świadomość, że tam czeka na niego Marie. Jednak teraz... Teraz jej tam nie było. Jeśli nie uda im się wrócić, pewnie nie dożyje nawet chwili jej przyjścia na świat. Czy ich syn narodzi się w tym świecie? Myśl, że być może nie, była jeszcze bardziej przygnębiająca niż świadomość, że zginął, albo zginie, na Tajwanie. Kolhammer czuł, że gdzieś w jego duszy czai się szaleństwo. Szaleństwo węża pożerającego własny ogon.

– Admirale? Sir? Już nadchodzą.

Kolhammer potrząsnął głową i odsunął ponure myśli. Przypomniawszy sobie, że kobieta siedząca na tylnym fotelu zostawiła w tamtym świecie dwie córki w wieku trzech i pięciu lat. Na burcie Raptora widniało wymalowane imię jej pierworodnej, Condi.

– Przepraszam, pani porucznik – powiedział. – Chyba jestem już na to za stary.

– Jak my wszyscy, sir. Też wolałabym być dzieckiem w tym lunaparku pełnym cudów.

Tupot ciężkich butów na betonowej płycie nie miał w sobie nic z cudu. Sześciu ludzi biegło w ich stronę z bronią w gotowości. Zatrzymali się jakieś dwadzieścia metrów od maszyny.

– Który z was to Kolhammer? – zawołał sierżant.

– Ja – odkrzyknął admirał, machając latarką.

Sierżant coś powiedział i dwóch jego ludzi oddaliło się truchtem gdzieś na skraj płyty. Kolhammer usłyszał jęk otwieranych żelaznych drzwi. Chwilę później ujrzał tych samych żołnierzy taszczących drabinkę.

– Pięciogwiazdkowy serwis – mruknął do porucznik Torres.

Podoficer nakazał gestem żołnierzom z drewnianą drabinką, aby przystawili ją do kokpitu myśliwca. Uderzyła głucho o burtę. Z jakiegoś powodu Kolhammerowi ten odgłos wydał się znaczący. Przesądzający o ich losie. Jak spalenie ostatniego mostu. Nagle nabrał pewności, że już tutaj zostaną.

– Starsi przodem – powiedziała porucznik Anna Torres ze śladem uśmiechu na zmęczonej twarzy.

Kolhammer przerzucił nogi przez obramowanie kabiny. Niedaleko nich zaparkowała maszyna

wczesnego ostrzegania służąca podczas tego przelotu także jako tankowiec powietrzny. Widać było zeskakujących z pokładu ludzi.

Poszukał stopą szczebla i po chwili stanął znowu na terenie Stanów Zjednoczonych Ameryki.

Mimo to nie poczuł się jak w domu.

Serce przyspieszyło mu dopiero wówczas, gdy zbliżył się do baraku. Przed schodkami stało kilka osób, na górze zaś, w drzwiach...

Tak. To był prezydent Franklin Delano Roosevelt.

Za nim dojrzał kogoś, kogo nie mógłby pomylić z nikim innym. Alberta Einsteina. Z rozwichrzoną czupryną siwych włosów był równie charakterystyczny jak Elvis w swoim wdzianku czy Marilyn Monroe stojąca na kratce wentylacyjnej kolejki podziemnej. Kolhammer wyprostował się. Pozostali przybysze zareagowali podobnie. Weszli po schodkach i zgodnie zasalutowali trzydziestemu drugiemu prezydentowi Stanów Zjednoczonych.

* * *

Roosevelt czuł narastające wkoło napięcie. Nawet Einsteina jakby dreszcz przeszedł. Niektórzy wojskowi spoglądali na przybyszy z wyraźną antypatią albo nawet i strachem. Szczególnie silne emocje musiały chyba targać admirałem Kingiem. Zacisnął pięści tak mocno, że aż knykcie mu zbieleły. Eisenhower też wyglądał na spiętego.

Prezydent oddał salut, nie wypuszczając lufki z ręki.

Dostrzegł, że dowódca przybyszy zawahał się lekko, zauważywszy Eisenhowera, i zasalutował mu trochę niepewnie. Generał odpowiedział mu tym samym, ale z wielo znaczącym opóźnieniem.

Przez kilka sekund słyhać było tylko zawodzenie pustynnego wiatru.

Roosevelt nie mógł zaprzeczyć: fascynowali go ci ludzie z czasów o całe pokolenia odległych od jego świata. Wszyscy nosili kombinezony lotnicze dziwnego kroju i obszerne hełmy. Pewnie dlatego, że tak wysoko latali. Połowa z nich wydawała się ulepiona z tej samej gliny co oficerowie z jego świty. Biali, wykształceni mężczyźni wywodzący się z klasy średniej. Ale poza tym była to przedziwna zbieranina złożona z mężczyzn i kobiet, białych i czarnych. Dostrzegł nawet ludzi o rysach meksykańskich i azjatyckich, i innych jeszcze, których nie potrafił nawet zidentyfikować. Mimo że zdumiony, Roosevelt pozostał politykiem i polityczny instynkt w końcu przeważył.

Jakiegokolwiek miały być militarne konsekwencje pojawienia się tych ludzi, w polityce szykowało się prawdziwe piekło.

– Cóż, admirale Kolhammer – powiedział, jak umiał najuprzejmiej. – Nie ma co tu marznąć. Zapraszam do środka.

* * *

Barak nie został nijak przygotowany na spotkanie. Zgodnie z ustaleniami prezydent i jego ekipa mieli oczekiwać gości w hotelu Ambassador w L.A. Widać ciekawość przygnała ich jednak aż tutaj, gdzie mieli do dyspozycji ledwie parę krzeseł i dwa stoły, z czego jeden kiwał się na trzech nogach. Prądu chyba też nie było, skoro mimo zwieszających się z sufitu nagich żarówek sięgnięto po lampę naftową. W kącie piętrzyła się sterta książek.

Poza lampą jarzyły się tylko ogniki papierosów. Przynajmniej połowa obecnych paliła, z samym prezydentem włącznie. Smugi gryzącego dymu snuły się w powietrzu.

Miejscowi cofnęli się w głąb, aby zrobić miejsce. Kolhammer i jego ludzie weszli w milczeniu. Stanęli w pozycji „spocznij” po lewej admirała.

– Przepraszam za mało gościnne przyjęcie, admirale Kolhammer – rzekł Roosevelt. – Obawiam się, że to moja wina. Bardzo nalegałem na przyjazd tutaj. Zabrakło mi cierpliwości, aby czekać w hotelu.

– To naprawdę nie kłopot, panie prezydencie.

Kolhammer nie bardzo wiedział, co powinien teraz powiedzieć. Sądził, że będzie miał jeszcze ze dwie godziny, aby przygotować jakieś wystąpienie. Trochę zbijała go też z tropu obecność Eisenhowera. Musiał się pilnować, aby i jego nie zacząć tytułować prezydentem. Miał wielką nadzieję, że nie trafi w najbliższym czasie na młodego Johna Kennedy’ego, Richarda Nixona czy George’a Busha.

Zanim jednak zdecydował się odezwać, Roosevelt przejął inicjatywę i naprawdę go zdumiał.

– Proszę przyjąć moje wyrazy współczucia z powodu strat, jakie ponieśliście pod Midway. Wiem, że nie były równie poważne jak nasze, ale trudno mierzyć czy porównywać żal i ból. Jestem pewien, że pan myśli podobnie.

– Oczywiście, sir. Dziękuję. Straciliśmy wiele kobiet i mężczyzn, tak jak i wy... to znaczy...

Chciał wyjaśnić przejęzyczenie, ale Roosevelt zbył to machnięciem dłoni.

– Wiem, co chciał pan powiedzieć, admirale. Skoro pan już tu jest, pora, aby poznał pan obecnych. Generale Eisenhower, czy może pan dokonać prezentacji? Obawiam się, że nie znam wszystkich, szczególnie naukowców. Poza profesorem Einsteinem, oczywiście.

Eisenhower zrobił taką minę, jakby nie rozumiał, czego od niego oczekują.

Roosevelt uśmiechnął się ironicznie.

– Nie jesteś jeszcze prezydentem, młody człowieku. Póki co musisz zarabiać na swoje utrzymanie.

W baraku zabrzmiał krótki, ale szczery śmiech. Musieli już słyszeć, kim zostanie Ike, pomyślał Kolhammer. Plotki szybko się rozchodzą.

* * *

Eisenhower uporał się z zadaniem, chociaż musiał korzystać z pomocy profesora Einsteina. Przypuszczał, że prezydent zrzucił obowiązek prezentacji na niego, gdyż jednego z owych przedstawicieli świata nauki serdecznie nie cierpiał, i to ze wzajemnością. Chodziło o profesora Millikana. Eisenhower powiedział nawet kiedyś żartem Kingowi, że między tymi dwoma należałoby stawiać uzbrojonych wartowników.

Millikan, szef laboratorium fizyki Politechniki Kalifornijskiej, tylko mruknął coś pod nosem na powitanie Kolhammera. Wydawał się wrogo nastawiony wobec większości przybyszy. Podobno wyznawał skrajnie rasistowskie poglądy, może więc to był powód. Dla kontrastu, Theodore von Karman, gwiazda Guggenheim Aeronautical Laboratory, oraz Leo Szilard z Columbia University najchętniej zawłaszczyliby gości. Robert Oppenheimer, Linus Pauling i względnie młody Robert Dicke z MIT ograniczyli się do formalnych ukłonów i uśmiechów.

– A to jest profesor Einstein – powiedział w końcu Eisenhower. – Zrobił zapewne więcej niż ktokolwiek inny, aby pomóc nam zrozumieć wasze nagłe pojawienie się w naszym świecie.

Goście drgnęli, gdy Einstein podszedł, by uścisnąć dłoń Kolhammera. Dla nich wielki fizyk był postacią legendarną. Stłoczyli się wkoło, aby chociaż go dotknąć.

Jeden z przybyszy podał Kolhammerowi małą, czarną walizeczkę.

– Sądzymy, że pan to doceni, profesorze – powiedział admirał do Einsteina. – To komputer. Pomoże panu w pracy.

Fizyk podziękował i ostrożnie rozpiął walizeczkę. Eisenhower słyszał o flexipadach, elektrycznych urządzeniach ludzi z przyszłości. To coś było jednak większe. Może potężniejszy flexipad.

– To przenośny model – powiedział Kolhammer, gdy Einstein obracał przedmiot w rękach. – Może w ułamku sekundy wykonać obliczenia, które człowiekowi zabrałyby całe miesiące.

Eisenhower stłumił parsknięcie. Dostrzegł, że pozostali naukowcy patrzą poządlawie na

urządzenie.

– Czy może też odtwarzać filmy i muzykę? – spytał Einstein. – Słyszałem, że wasze maszyny to potrafią.

– Można? – spytał Kolhammer, biorąc minikomp i spoglądając na profesora i prezydenta. Żaden nie zgłosił sprzeciwu.

Admirał musnął palcem róg ekranu, który pojaśniał, rzucając zdecydowanie więcej światła niż lampa. Eisenhower zauważył, że większość błękitnego ekranu była pusta, tylko w prawym dolnym rogu widać było szereg symboli wielkości znaczków pocztowych.

Kolhammer dotknął jednego z nich i nagle na ekranie pojawił się ruchomy obraz grupy ludzi w wieczorowych strojach. Grali na skrzypcach. W baraku rozległy się tony koncertu Paganiniego. Przez grono naukowców przeszedł pomruk, nawet niektórzy oficerowie byli pod wrażeniem. Nagranie brzmiało idealnie, zupełnie jakby byli w sali koncertowej.

Kolhammer oddał urządzenie wyraźnie poruszonemu Einsteinowi. Fizyk kiwnął głową, uśmiechnął się i niczym ślepiec przesunął dłonią po ekranie. Obrócił się tak, aby i Roosevelt mógł coś dostrzec. Prezydent wyciągnął ręce i ujął minikomp ostrożnie, jakby miał przed sobą kryształową wazę.

– Jest dość wytrzymałe – powiedział Kolhammer. – Robione na zamówienie wojska. Nawet gdyby cisnąć nim o ścianę, wyjdzie z tego bez szwanku.

Einstein wyprostował się. Uśmiechał się z zadowoleniem.

– To jest dobre, *ja*? Nie wszystko w waszym świecie jest budowane z myślą o wojnie i niszczeniu?

Eisenhowerowi wydało się, że wyczuł coś dziwnego w odpowiedzi Kolhammera. Jakby moment wahania i jeszcze nieco żalu. I ciepła.

– Nie, nie wszystko – odparł admirał.

Front wschodni, maj 1942

Wieczność tchnęła tak wielkim mrozem, że osłony na przedpiersiu przyszło im układać z ciał poległych.

Brasch przemarzył do kości podczas krótkiego biegu z okopu do wysuniętego posterunku obserwacyjnego. Wiatr zacinał bezlitośnie i oficer nie po raz pierwszy zastanowił się, czy kiedykolwiek przestanie trząść się z zimna. Gotów był sądzić, że te drgawki, które bardziej

przypominały nieustające konwulsje, wyczerpią go i zabiją wcześniej niż mróz.

W wilgotnym wykopie nie było jak się ogrzać. Trzech siedzących tam mężczyzn owinęło się w tyle warstw odzieży zdartej z poległych towarzyszy i rosyjskich jeńców, że niezbyt przypominali już ludzi. Byli podobni do opitych kleszczy. Brasch próbował się do nich odezwać, ale głos drżał mu tak, że nic z tego nie wyszło. Zresztą nie miał im wiele do przekazania. Wszyscy wiedzieli, że następna fala ataku zmiecie ich z powierzchni ziemi.

Znikną z białej wieczności, jak teraz nazywał ten kraj.

Chyba cała ta niezrozumiała kraina taka była. Zamarznięte, bezkresne piekło rojące się od niezliczonych wrogów. Ciała tysięcy z nich, poległych w poprzednich atakach, leżały na ciemnym przedpolu.

Z tuzin zwłok ułożyli wkoło wykopu w daremnej nadziei, że zyskają w ten sposób jakąś osłonę przed lodowatym wiatrem wyjącym dzień i noc nad białą równiną i przenikającym niczym nóż przez ich podarte i zbutwiałe mundury. Jedno z ciał użytych przy budowie, chyba Rosjanina, miało wyciągniętą rękę. Ktoś złamał ją łopata, aby nie wystawała. Chrząst pękającej kości wstrząsnął Braschem.

Nie widział twarzy tych, którzy byli obok. Nie znał nawet ich imion. To nie był jego oddział. Jego ludzie z wojsk inżynieryjnych znajdowali się osiemset metrów dalej, ale obecnie nie miało to żadnego znaczenia. Nie sądził, aby kiedykolwiek jeszcze ich zobaczył. Zginie jako zwykły piechociarz. Przyszedł tu, aby dodać odwagi załodze punktu obserwacyjnego, ale jedyne, co mógł zrobić, to skulić się i zaciskać zęby, aby nie było słychać, jak dzwonią.

Wiedział, że daleko na tyłach, za wielkim morzem zamarzniętego błota, znajdują się składy wszystkiego, co przydaje się w takich arktycznych warunkach. Sam pomagał budować te magazyny i widział, jak wypełniały się tysiącami sztuk kozuchów z kapturami, grubych koców, ocieplanych butów i rękawic. W pudłach leżały zapakowane piecyki, ponad pół miliona solidnych naftowych piecyków. Już jeden taki nieporównanie poprawiłby ich los.

Jednak nic z tamtego bogactwa do nich nie dotarło i nigdy już dotrzeć nie miało. Pozostawało im więc sikać na popękane i pokryte bąblami odmrożeń dłonie, aby ogrzać je choć trochę. No i spróbować zwalczyć w ten sposób rozwijające się zakażenie. Rany były na tyle dotkliwe, że ledwie dawało się utrzymać w rękach mausera. O strzelaniu mowy nie było.

Jeden z mężczyzn w dziurze zaniósł się płaczem. Brasch jak przez mgłę przypomniał sobie jego imię: Franz. Chyba ktoś kiedyś tak właśnie się do niego zwrócił. Teraz jednak nikt nie zareagował. Każdy oddech łkającego wywoływał nowe spazmy, a czasem i kaszel.

Jęki były coraz głośniejsze.

– *Mutti, mutti...*

Brasch uniósł się z wysiłkiem, aby wyrzeć poza osłonę z ciał.

– Udawajcie żywych, przyjaciele – powiedział chrapliwie. – Iwan zajrzy do nas niebawem na śniadanie. Sprawdźcie łączność.

Białowłosy sierżant sięgnął po słuchawkę i przysunął ją do ucha. Feldfebel wiedział, że inaczej nie można. Gdyby przytknął metal do małżowiny, ten zaraz przymarzłby do skóry.

– Linie działają – zakrakał.

Świt był już na tyle bliski, że Brasch widział parę swojego oddechu. Przedpole ukazywało z wolna swoją prawdziwą naturę stepu podziobanego lejami po pociskach i zasłanego tysiącami martwych ciał. Ktoś wskazał kiedyś na podobieństwo tych lejów do kwiatów – miały ciemny środek i płatki z rozrzuconej wokoło ziemi. Starsze były żółtawe, świeże nosiły ślady krwistej czerwieni. Brasch nie mógł uwolnić się od tego porównania.

Nagle niewyraźna dotąd linia horyzontu między szarym niebem i białą ziemią nabrała ostrości. Gdziekolwiek spojrzął, rysowała się cienką, czarną kreską. Chwilę później dotarł do niego okrzyk bojowy Rosjan.

– Uuurrrrraaaaaaaa...

Czując, jak jądra mu się kurczą ze strachu, wydarł telefon z rąk sierżanta i zaczął szarpać korbką, aby uzyskać połączenie. W końcu w słuchawce odezwał się słaby, jakby niewiarygodnie odległy głos. Brasch wykrzyczał żądanie wsparcia artyleryjskiego. Połączenie było jednak tak słabe i coś tak trzeszczało w słuchawce, że mogli go nie usłyszeć. Głos z tamtej strony powtarzał nieustannie tę samą mantrę:

– *Wo sind Sie? Wo sind Sie? Wo sind Sie? Wo sind Sie?*

Brasch przedstawił się stopniem i nazwiskiem i ponownie zażądał nawały artyleryjskiej.

– *Wo sind Sie? Wo sind Sie?*

Chłopak krzyknął, przyzywając matkę i przypominając Braschowi na jeden, pełen żalu moment, że jego własny syn, Manfred, skończył właśnie cztery lata. Gdy był jeszcze mniejszy i wpadł w biegu na ostry kant stołu, płakał tak samo jak ten tutaj.

– *Mutti! Mutti! Nein, nein, nein!*

Sierżant i jego ostatni człowiek, niegdyś kierowca z kolumny transportowej, miotali się przy karabinie spandau, aby wcisnąć niezdarnymi dłońmi pas amunicyjny na przynależne mu miejsce. Czarna kreska na horyzoncie rosła w oczach.

– Boże, ich są całe miliony! – zawołał przerażony feldfebel. – Musimy iść, majorze. Musimy uciekać, zanim tu dotrą.

– Uuurrraaaaaaaa...

– Musimy dostać wsparcie artylerii! – krzyknął Brasch, pochylając się nad kierowcą, który był wyraźnie o włos od ucieczki. Położył mężczyźnie dłoń na ramieniu, zachęcając go do wytrwalszych zapasów z pasem amunicyjnym. Co chwila unosił głowę i zerkał to na nadciągającą ludzką falę, to na obiecującą iluzoryczne schronienie linię drzew jakieś trzysta metrów na tyłach. Narastało w nim z wolna wycie typowe dla zwierzęcia, które już wie, że prowadzą je na rzeź.

– Ognia! – rozkazał, wskazując na Sowietów, którzy parli niewstrzymani niczym czarny przypyły. Karabin zaniósł się maszynowym łkaniem. Krótkie serie kosiły przeciwników. Brasch był pewien, że w kilka sekund musieli ich zabić co najmniej stu, ale następne tysiące po prostu przeszły po ciałach towarzyszy.

– Co z artylerią?! – krzyknął do słuchawki.

– *Was ist los? Wo sind Sie?*

– Uuuurrrraaaaaa...

– *M-m-m-mutti...*

Rozległ się pojedynczy strzał, pozornie bez znaczenia wobec *staccato* karabinu maszynowego i rosyjskiego ataku. Brasch jednak podskoczył, strzał ten bowiem został oddany tuż obok. Dopiero po chwili dotarło do majora, skąd ta nagła fontanna krwi, która go opryskała. Młody żołnierz strzelił sobie w usta z pistoletu. Jego ciało drgało jeszcze przez chwilę, ale brakowało mu połowy czaszki i nic nie mogło mu pomóc. Odszedł, skoro matka była za daleko, aby odegnąć osaczające go potwory, tak jak kiedyś odpędzała czające się pod jego łóżkiem gremliny.

– Uuuurrrraaaaaa...

Spandau omiótł czerń ogniem. Ciało chłopaka przestało drgać. Brasch znowu sięgnął po telefon.

– Gdzie jest moja artyleria? – spytał takim tonem, jakby zagadywał znajomego rzeźnika ze sklepiku na rogu o zamówione dwa kilo bratwursty.

– *Was ist los?*

Odłożył słuchawkę.

Ciemny przypyły zaczął zwalniać na świeżo spadłym śniegu. Biegu nie ułatwiała ciężka odzież i leżące co kawałek ciała poległych towarzyszy. Zmęczenie też musiało dawać im się we znaki. Jednak nadal nadciągali. Zapełnili połowę stepu i nadal wylewali się zza horyzontu.

Brasch przestał się już nawet bać. Wyciągnął lugera, wsparł jedną stopę na korpusie martwego rosyjskiego kaprała i zaczął metodycznie naciskać spust, chociaż czoło tyraliery było jeszcze daleko poza zasięgiem broni ręcznej. Sierżant błagał piskliwie o pozwolenie na ucieczkę, ale Brasch go ignorował. Po co? – pomyślał. Wszystko jedno, czy zginiesz tutaj czy kilkaset metrów dalej.

Wrzawa atakujących zagłuszyła wszystko inne, tak więc Brasch nie zorientował się, że artyleria

ożyła, dopóki pierwsze pociski nie przeleciały mu nad głową. Ułamek sekundy później eksplodowały wśród masy zniechęconych czerwonoarmistów. Fontanny ognia, dymu i ludzkich ciał wykwitły tuż za czołem tyraliery, która jednak parła dalej, nie zważając na te i inne, pomniejszych eksplozje, które dziesiątkowały jej szeregi.

– Moździerze – rzucił Brasch.

Obsługa karabinu nie słuchała. Z krzykiem zalewali Sowietów ołowiem.

– Stopicie lufę – powiedział Brasch, który w końcu trochę oprzytomniał. Zeskoczył z odsłoniętego miejsca i schował pistolet. Ziemia drżała mu pod nogami, gdy ciężka artyleria sadziła kwiaty pośród stłoczonej masy ludzkiej. Tam, gdzie spadło najwięcej pocisków, nie było widać już nikogo. Brasch zastanowił się, ilu tam mogło zginąć? Pięćdziesiąt tysięcy? Ćwierć miliona?

Pora była się wycofać. Atak załamał się, ale kilkuset ocalałych i oszalałych zapewne żołnierzy parło naprzód. Prosto na ich posterunek.

– Idziemy – powiedział Brasch do sierżanta i odwrócił oczy od rzezi.

Sierżant jednak stał jak sparaliżowany, z opuszczoną szczęką i wytrzeszczonymi oczami. Kierowca zawył i uciekł jak kopnięty pies.

Brasch zaczął się odwracać, aby spojrzeć tam, gdzie patrzył sierżant. Wydało mu się, że trwało to całe wieki. W końcu zerknął w przepaść. Wprost z dymu wymaszerował chyba z milion czerwonoarmistów.

– Uuurrraaaaaa...

– Manfredzie – szepnął Brasch, gdy horda barbarzyńców była już niemal przy nich.

Z pierwszego szeregu wyrwał się ktoś o dalekowschodnich rysach, może Mongoł, może ktoś z Syberii. Skoczył szczupakiem, roztrzając zamrożone ciała, i wpadł na Brascha. Zacisnął ręce na szyi inżyniera i sięgnął zębami do kryjącej się pod szczeciną tętnicy.

KRI Sutanto, kotwiczowisko Hashirajima,

6 czerwca 1942, godzina 04.38

– *Herr Major, Herr Major*, proszę się obudzić. Nie daje pan spać innym.

Brutalny uścisk bestii z Syberii zmienił się w lekkie dotknięcie. Ktoś trącał jego ramię, wyrывая z koszmaru, który nawiedzał go od tygodni.

– Willie? – spytał zdezorientowany Brasch. Serce biło mu jeszcze jak oszalałe. Tak jak tamtego ranka pod Biełgorodem. – Willie, to ty?

– Nie, proszę pana. To ja, Steckel. Z ambasady.

Brasch usiadł i niemal od razu zaklął, uderzając się boleśnie w głowę.

– Ostrożnie. Tu nie ma wiele miejsca.

Brasch przesunął rękami po włosach i zamrugał powiekami, aby odegnać resztki snu. Najpierw poczuł, jak bardzo mu ciepło. Nie sądził, że kiedykolwiek zdoła się ogrzać. Potem dotarło do niego, że nic nie krępuje mu ruchów. Miał na sobie tylko luźną kurtkę i spodenki. Nie przebywał już na froncie wschodnim. Znajdował się na Dalekim Wschodzie, na tym okręcie pełnym cudów. Przez głowę przemknął mu szereg nie do końca uformowanych myśli, pośród których poczesne miejsce zajmowało niedowierzanie, że naprawdę jeszcze żyje. Tak długo zaliczał sam siebie do poległych, że teraz jakby zaczynał życie po raz drugi.

– Przepraszam, *Herr* Steckel – wychrypiał. – W gardle mi zaschło. Jest tu może gdzieś trochę wody?

Steckel podał mu pełną i zimną szklankę. Powtarzali ten rytuał co noc od chwili przybycia inżyniera. Dyplomata z początku był pod wrażeniem, że dostał tę samą kajutę co legenda spod Biełgorodu, ale dwa tygodnie obcowania ze strzępem człowieka odarły go z nadmiernego szacunku.

Brasch wypił wszystko i oparł się o ścianę. Nie widział jeszcze dość wyraźnie, aby odczytać godzinę z tarczy zegarka, spytał więc Steckela.

– Czwarta trzydzieści osiem, majorze. Jak zwykle.

Czyżby ze mnie szydził? – zastanowił się Brasch. Zresztą, do diabła z nim. Wskazał na krzesło, na którym zostawił spodnie i koszulę. Attache podał mu je bez słowa.

– Proszę skombinować mi jakieś śniadanie. Prawdziwe śniadanie, z kiełbaskami i bez tego ich ryżu. Mam już go dość. Skoro nie śpimy, to chyba możemy znowu wziąć się do rozwiązywania tutejszych zagadek, nie sądzi pan?

– Tak, *Herr Major*, natychmiast. Zająłem się już śniadaniem.

– A kawa?

– Jest tutaj.

Brasch z wdzięcznością przyjął kubek. Może jednak Steckel nie był aż tak nieużyty.

– Czy kapitan Kruger już do nas dołączył?

– Jeszcze śpi. Przyjechał niecałe trzy godziny temu.

Braschowi wydało się, że w głosie dyplomaty zabrzmiała nagana. Jego zdaniem major powinien pracować dwadzieścia pięć godzin na dobę; nie miał najwyraźniej pojęcia, ile kosztowało go każde

podniesienie się z koi.

– A co z komandorem Hidaką? – spytał Brasch. – Założę się, że już wstał.

– Tak, proszę pana. Chyba jeszcze nie widziałem go w innej sytuacji niż na służbie. Ale też nie spędzam tu tyle czasu co pan.

– Racja. Nie spędza pan. Chodźmy. Dołączmy do przedstawicieli tej drugiej rasy panów.

Steckel ciągle nie mógł przywyknąć do ironicznego podejścia Brascha do kwestii czystości rasowej. Na wszelki wypadek zmienił więc temat.

– Ale pan się jeszcze nie ogolił.

Brasch zamarł w pół gestu, z jedną nogą obutą. Spojrzał przeciągle na Steckela i wybuchnął śmiechem.

– *Herr Major?*

Brasch pokręcił głową.

– Nieważne, *Herr* Steckel. Niech pan mi wierzy na słowo.

* * *

Sutanto spoczywał na kotwicy w wyłączonej ze zwykłego użytku części zatoki u brzegu wyspy Hashirajima. Od strony morza zasłaniał go rząd lekkich krążowników, przez podwodnym zagrożeniem strzegły trzy rzędy sieci przeciwtorpedowych. Na niebie krążył nieustannie dywizjon myśliwców typu Zero. Admirał Yamamoto zażądał, aby bezcenna jednostka była nieustannie strzeżona. Nie miało być żadnej powtórki rajdu Doolittle’a.

Światła pokładowe zostały wygaszone, we wszystkich oknach indonezyjskiego okrętu zawieszono ciemne story, co pozwalało na pracę przez całą dobę. Wbrew pogłoskom komandor Hidaka nie pozostawał nieustannie na nogach, chociaż rzeczywiście, starał się sypiać jak najmniej. Na równi z Steckelem nie pojmował właściwego Braschowi podejścia do wielu spraw i często wytrącało go to z równowagi.

– Dzień dobry, komandorze – przywitał go Brasch w niemal perfekcyjnym japońskim.

Hidaka oderwał oczy od ekranu komputera.

– *Guten Morgen* – odparł w dalekim od doskonałości niemieckim. Było to niemal wszystko, czego się nauczył. Angielskim Brasch też władał lepiej niż Hidaka, ale i tak korzystali z niego

nierzadko podczas rozmów. Żaden z nich nie ufał Steckelowi i gdy tylko znajdował się on w zasięgu słuchu, obaj woleli używać języka wroga. Wiedzieli, że dyplomata w ogóle nie mówi po angielsku.

– Co pan ma dzisiaj dla nas, komandorze?

Brasch przekonał się już, że Japończycy są niezbyt metodyczni. Miotali się po okręcie od jednego fantastycznego odkrycia do drugiego, chociaż próbował przekonywać ich do swojej metody, tłumacząc cierpliwie korzyści wynikające z systematycznej pracy badawczej.

Próbował przekonać ich też, że powinni skorzystać z pomocy Indonezyjczyków. Porucznik Moertopo i jego ludzie zostali przewiezieni na wyspę, gdzie zamknięto ich w pilnie strzeżonym luksusowym obozie. Admirał za nic nie chciał dopuścić ich ponownie do przyrządów kontrolnych, szczególnie teraz, gdy okręt kotwiczył w sercu wielkiego zgrupowania japońskiej floty. Podobno Yamamoto nie mógł spać po nocach z obawy, aby rakiety nie poraziły podlegających mu jednostek. Nawet mniej przejmujący się sytuacją Hidaka musiał mu ulec.

W tej sytuacji Brasch spróbował zwrócić się wprost do admirała Yamamoty.

– Ci ludzie to tchórze – powiedział. – Są łagodni jak owce. Czują się porzuceni przez Amerykanów, a pobyt tutaj dodatkowo odarł ich z pewności siebie i pozbawił równowagi.

– I pan chce, aby ktoś nie zrównoważony dostał do ręki broń, której potęgi nie potrafimy sobie nawet wyobrazić? – spytał Yamamoto.

– Tak. To warunek, abyśmy zrozumieli, jak ta broń działa. Metoda prób i błędów jest czasochłonna. Ustalenie czegokolwiek może nam zabrać całe lata. Ale możemy też ich po prostu spytać. Jeśli pomogą, nagrodzić. Jeśli nie będą chcieli współpracować, zmusić ich do tego.

Yamamoto uległ dopiero wówczas, gdy usłyszał od Brascha o wynikach dotychczasowych badań środków rozpoznania *Sutanto*. Wiele wskazywało na to, że nie uda się długo utrzymać miejsca pobytu indonezyjskiego okrętu w tajemnicy. Zespół Kolhammera musiał dysponować jeszcze sprawniejszymi urządzeniami, które bez wątplenia ustalą w końcu, gdzie podziela się brakująca jednostka.

– A wtedy może się zdarzyć, że to ich rakiety położą kres istnieniu pańskiej floty – dodał Brasch.

Yamamoto musiał uznać ten argument.

Brasch nadal jeszcze przeżywał nagłą odmianę. *Sutanto* był dla niego czymś absolutnie szczególnym, i to podwójnie. Sam w sobie oraz w zestawieniu z mroźnym rosyjskim pustkowiem. Chwilami docierało do niego, że nie doszedł jeszcze całkiem do siebie. Zdarzały mu się drastyczne zmiany nastroju. Bywało, że tonął we łzach nad listami od żony i syna, czasem jednak nie miał nawet ochoty otworzyć koperty.

Niekiedy zastanawiał się, dlaczego armia wysłała go tak daleko. Przypuszczał, że stało się tak z paru powodów. Mówił płynnie po japońsku, co zawdzięczał wieloletniemu pobytowi w krajach Orientu za czasów dzieciństwa. Jego ojciec był dyplomata, tak samo jak Steckel. Chociaż chyba

mocno się od niego różnił. Dojście nazistów do władzy ostatecznie zakończyło jego karierę.

Owszem, jako inżynier Brasch był niezrównany, nawet Hidaka to zauważał. Jednak było jeszcze coś. Zaraz po Białgorodzie próbowali zrobić z niego bohatera. Jego szalony wyczyn, kiedy to stanął na ciałach martwych Rosjan i zaczął strzelać z pistoletu do nacierającej hordy, idealnie odpowiadał temu, co Führer zwał „twardym oporem”. Gdy Brasch wrócił do domu, przedstawiono go nawet Goebbelsowi. Miał się stać wzorcem bohaterskiego Aryjczyka.

Niestety, zszargane nerwy nie pozwoliły mu odegrać tej roli. Po dwóch incydentach, kiedy to stracił panowanie nad sobą w radiowym studiu nagraniowym, odwołano wszystkie jego wystąpienia.

Niewielki artykuł w „Völkischer Beobachter” wyjaśnił, że sam Führer wysłał go z ważną misją na drugi koniec świata, jednak stało się to, zanim jeszcze tajemniczy okręt wpadł w japońskie ręce. Mało zrozumiałe komunikaty napływające z Tokio stały się pretekstem, aby się od niego uwolnić. Dowództwo zapewne nie wierzyło jeszcze wówczas w słowa sojusznika i przypuszczało, że w ten przedziwny sposób Japończycy chcą ukryć prawdziwy powód zaniechania ataku na Midway.

Rzeczywistość okazała się nieporównanie bardziej fantastyczna. Ilekroć Brasch sobie o tym przypominał, wybuchał dzikim śmiechem, co tylko utwierdzało *Herr* Steckela w przekonaniu, że ma do czynienia z wariatem.

Rzadko zastanawiał się nad treścią meldunku, który za niedługi czas miał przesłać do Berlina. Był pewien, że Steckel i tak przekazał już swoim przełożonym najważniejsze. Dla Brascha, który tak długo przebywał w krainie umarłych, obecna zagadka była przede wszystkim czymś, co pozwalało zapomnieć mu o bólu istnienia.

HIJMS Yamato, kotwiczowisko Hashirajima,

6 czerwca 1942, godzina 08.24

Admirał Isoroku Yamamoto objął okaleczoną dłoń drugą dłonią. Ranny został dawno temu, podczas bitwy pod Cuszimą, ale ciągle odczuwał fantomowe bóle brakujących palców. W zasadzie nawet do nich przywykł i rzadko go absorbowały. Nie myślał o nich prawie wcale. Szczególnie teraz, gdy pochłaniały go niezliczone problemy wynikłe po wydarzeniach trzeciego czerwca.

Sam nazwał to przeklętym cudem. Z jednej strony flota białych diabłów została prawie doszczętnie rozgromiona, z drugiej zyskała potężne wsparcie. Ciągle miał wrażenie, że jakiś porządek rzeczy został poważnie naruszony i teraz starczy jeden nieostrożny ruch, aby wszystko się rozsypało.

Indonezyjski okręt był najmniejszym kłopotem. Owszem, technologicznie był nader wart uwagi, jednak Brasch i inni inżynierowie bez wątpienia zdołają rozszyfrować wszystkie jego tajemnice, nawet jeśli zabierze im to wiele czasu. Najbardziej martwiły go historyczne implikacje. To one były naprawdę niebezpieczne. Kto powie cesarzowi, że obecna wojna ma skończyć się klęską? I kto

wyjawi Hitlerowi, jaki los go czeka? Kto mu opowie, że za niecałe trzy lata zginie z własnej ręki, a jego ciało zostanie niemal doszczętnie spalone, aby nie wpadło w ręce komunistów, którzy i tak zniewolą połowę Rzeszy?

Przypuszczał, że będzie to zadaniem Brascha. Nie zazdrościł mu. Bez wątpienia musiało to oznaczać wyrok śmierci.

Yamamoto zerknął przez bulaj na gospodarstwa widoczne na zboczach pagórków niemal wszystkich okolicznych wysepek. Zwykły widok w tej części Morza Wewnętrznego. Dodatkowo jednak na każdym wzgórzu czuwała bateria przeciwlotnicza ukryta pod siatką kamuflażową. W dole zaś kotwiczyło blisko sto pięćdziesiąt jednostek cesarskiej floty.

Admirał wrócił do biurka, które ginęło obecnie pod tysiącami kartek – raportów z badań *Sutanto*. Większość dotyczyła kwestii technicznych, obok jednak piętrzył się stos meldunków, które były dla Yamamoty ważniejsze niż opisy superbroni. Chodziło o to, co jego oficerowie odnaleźli w tak zwanej „elektronicznej dokumentacji”. O historię najbliższej przyszłości.

Był tam też opis jego własnej śmierci. Miał zginąć w bombowcu zestrzelonym przez amerykańskie myśliwce w pobliżu Nowej Gwinei. Potraktował to jak makabryczną ciekawostkę, poza tym bez znaczenia, przynajmniej wobec całości obrazu. Wydawało się, że wszystkie jego wątpliwości co do pomyślnego przebiegu wojny miały znaleźć potwierdzenie. Słusznie ostrzegwał, że nie ma co drażnić równocześnie Stanów Zjednoczonych i Imperium Brytyjskiego. To musiało skończyć się katastrofą.

Albo w każdym razie mogło.

Sięgnął po leżący na szczycie papierów wykres, który kazał sobie przygotować. Wynikało z niego, że za niecałą dobę Tobruk wpadnie w ręce Rommla, który jednak w miesiąc później zostanie zatrzymany pod El Alamein. Zaraz potem w Afryce wylądują oddziały amerykańskie, które z czasem zmiażdżą Afrika Korps. Czwartego lipca lotnictwo Stanów Zjednoczonych zaatakuje lotniska Luftwaffe na terenie Holandii, a potem myśliwce i bombowce z gwiazdami zapanują nad Europą Zachodnią.

Pod koniec lipca Japonia przypuści atak na Port Moresby w Nowej Gwinei. Sam układał plan tego ataku, który miał przysporzyć nowych terenów Cesarstwu. Wtedy jednak nie wiedział, że skończy się on pierwszą w tej wojnie klęską japońskich wojsk lądowych pokonanych przez Australijczyków.

Dziewiątego sierpnia, w nocnej bitwie koło wyspy Savo, wiceadmirał Mikawa miał zniszczyć dywizjon alianckich krążowników. Teraz jednak nie mogło już do tego dojść. Raz, że alianci na pewno wiedzieli to samo co on, a dwa: część z tych krążowników poszła na dno kilka dni temu.

Trudno było ogarnąć podobną plątaninę wątków, ale jedno wynikało z nich z całą jasnością: należało zrobić wszystko, aby nie dopuścić do opisanego w zebranych materiałach przebiegu zdarzeń. W tym celu trzeba jak najszybciej zadać przeciwnikowi miażdżący cios albo całkiem zmienić strategię, i to na najwyższym szczeblu. Jeśli państwa Osi nie porzucą obecnego kursu,

wszystko przypadnie.

Raz jeszcze przeczytał tekst, który poruszył go najbardziej. Tak bardzo, że trawiąca go nadkwasota zaatakowała ze zdwojoną siłą. Chodziło o niekompletną, ale i tak poruszającą relację na temat chińskiego powstania pod wodzą komunistów, którzy mieli rzucić głęboki cień na rozwój skarłałego Nipponu w następnym stuleciu i ostatecznie doprowadzić zapewne do jego zagłady.

Nie. Yamamoto nie mógł na to pozwolić.

Sięgnął po telefon.

– Dajcie mi tutaj Hidakę, Brascha i tego całego Moertopę. Jak najszybciej.

* * *

Porucznika Moertopę trzeba było najpierw ściągnąć z gejszy i skłonić do włożenia spodni. Jeśli nie liczyć paru godzin dziennie, które spędzał, wyjaśniając szczegóły budowy i zastosowania mniej ważnych urządzeń, nie zajmował się ostatnio niczym innym.

Z początku nowi przyjaciele podsyłali mu chłodne damy, które zdawały się być zainteresowane jedynie kaligrafią i układaniem kwiatów. Szybko jednak stało się jasne, że Indonezyjczyk ma ochotę na mniej wyrafinowane damskie towarzystwo. Od tamtej pory niemalże nie wkładał spodni, co uznał za nie najgorszą odmianę losu. Reszta jego ludzi widziała rzecz podobnie. Zawsze było to lepsze niż wojna z džihadem czy japoński obóz jeniecki.

Gdy strażnik oznajmił mu, że ma stawić się zaraz u admirała Yamamoty, sake nagle wywietrzała mu z głowy. Miał dość sprytu, aby pojąć, że każde odstępstwo od rutyny może oznaczać zagrożenie.

Zaraz po nim zjawił się Hidaka wraz z Niemcem, majorem Braschem. Brasch nie przypominał nazisty z hollywoodzkich filmów. W innych okolicznościach Moertopo wzięłby go za zwykłego rolnika z problemem alkoholowym. Przywitali się po angielsku, który był dla nich jedynym wspólnym językiem, i adiutant zaprowadził ich przed oblicze Yamamoty.

Hidaka skłonił się głęboko, Moertopo zsalutował, jak umiał najlepiej. Major zrobił to samo, ale jakby bez większego entuzjazmu. Yamamoto udał, że nie dostrzegł zniewagi.

– Poruczniku Moertopo, mam nadzieję, że nasza gościnność nie nadwreżyła pańskich sił – odezwał się po angielsku.

Moertopo nigdy nie wiedział dokładnie, jak rozumieć zachowanie tych faszystów, jednak uśmiechy Yamamoty i Hidaki sugerowały, że to miał być żart.

– Obawiam się, że panna Okuni wyprawi mnie niebawem do szpitala – odparł.

– To wspaniale. A teraz proszę, siadajcie, panowie. Szkoda, że nie mamy więcej czasu na podobne sprawy, prawda? Obecnie jednak liczy się każda chwila. Jak postępuje praca, majorze? Czy można oczekiwać, że niebawem pan skończy?

– Nie – odpowiedział Niemiec. – Nawet z pomocą porucznika Moertopy. Mamy do czynienia z niewyobrażalną ilością informacji do przetworzenia. Nie chodzi tylko o zagadnienia czysto techniczne, które też są dla mnie prawdziwym wyzwaniem, ale przede wszystkim o zasady fizyki, które zostały wykorzystane w poszczególnych systemach. Do tego dochodzą technologie produkcji podzespołów oraz próba odtworzenia zaplecza przemysłowego, które jest do tego konieczne. Staram się, jak mogę, powiązać je z naszym obecnym stanem wiedzy. Można powiedzieć, że przypomina to pracę archeologa, który kopie w przyszłości.

Brasch brał pod uwagę, że Yamamoto może zareagować złością na podobną odpowiedź, jednak wielki wojownik tylko skinął głową i spojrzał na Hidakę.

– A pan? Co pan powie?

Hidaka zerknął niespokojnie na Brascha. W obecności Niemca zawsze zachowywał się trochę niepewnie, jakby nie wiedział, czego może po nim oczekiwać.

– Moertopo pomógł nam zrozumieć technologię raketową – powiedział. – Jego zdaniem wyrzutnie pocisków na jego okręcie nie mają nawet w przybliżeniu podobnych możliwości bojowych jak amerykańskie, ale mądrze wykorzystane mogą nam się bardzo przysłużyć. Podobnie jest z radarem, który zlekceważyliśmy kiedyś jako pozbawioną znaczenia nowinkę. Ten tutaj został rozwinięty w niewiarygodnym wręcz stopniu. Pozwala na radarowe sterowanie ogniem artyleryjskim, co daje w teorii stuprocentową celność trafień. Łatwo sobie wyobrazić, co oznaczałoby uzyskanie przewagi chociaż na tym jednym polu.

– Ale czy jesteśmy w stanie zbudować taki radar?

– Nie – odezwał się Brasch i uniósł flexipad, który jakiś czas temu uznał za swoją własność. – Znacie już możliwości tej maszyny, panowie. Wszyscy z przyszłości noszą coś takiego. My jednak nie jesteśmy zdolni wyprodukować obecnie nawet obudowy. To, co tutaj widzimy, jest wynikiem osiemdziesięciu lat rozwoju materiałowego. Niech mnie pan poprawi, poruczniku Moertopo, jeśli się mylę, ale ten dziwny gumowaty materiał, który okrywa elektryczny blok pamięci...

– Flexipad, majorze.

– Właśnie, flexipad. Otóż obudowa jest jego częścią, ponieważ to ona zasila maszynę?

– Właśnie. Jest z tworzywa, które czerpie energię ze światła w tym pokoju. A także z ciepła pańskich rąk.

– No proszę – powiedział Brasch z zapałem. – Jednak aby wyprodukować podobny materiał, trzeba dokonać najpierw całej serii odkryć na innych polach. – Spojrzał z powrotem na Yamamotę. – Podobnie jest z maszynami myślącymi, które zastosowano w tym flexipadzie i które kontrolują

większość urządzeń na *Sutanto*. Wykorzystują coś, co porucznik Moertopo nazwał „procesorami kwantowymi” My nie wiemy nawet, co to może być. Chyba nie pomyłę się, poruczniku, jeśli powiem, że do zaprojektowania takiego procesora liczydło to za mało?

– Nie pomyli się pan.

– Przypuszczam, że dwadzieścia lata badań pozwoliłoby nam przeskoczyć tę przepaść, jednak...

– Jednak obecnie mamy pilniejsze sprawy – zgodził się Yamamoto. – Poruczniku Moertopo, te procesory to coś jakby elektryczny kalkulator?

– Znacznie więcej, sir – wtrącił się Hidaka. – Bardziej przypominają ludzki mózg. Amerykanie traktują oparte na nich urządzenia prawie jak osoby. Pozwalają im nawet podejmować istotne decyzje.

– I to one doprowadziły do zniszczenia floty Spruance’a?

– Przypuszczam, że wykryły zagrożenie i zareagowały zgodnie z programem, ponieważ kontrolujący je ludzie nie byli akurat zdolni podjąć żadnej decyzji – odpowiedział Moertopo. – *Sutanto* nie został wyposażony w podobny system bojowy.

– Kakuta miał zatem szczęście – zauważył admirał.

– No i nie zostaliśmy ostrzelani – dodał Moertopo.

– Proszę powiedzieć, poruczniku, jacy ludzie pozwalają, aby maszyny za nich decydowały? Szczególnie gdy chodzi o tak zasadnicze sprawy jak wybór między atakiem albo ucieczką?

Moertopo nie wiedział, co odrzec. Nie miał pojęcia, czy Yamamoto pyta konkretnie, czy wziął się może do snucia ogólnofilozoficznych refleksji. Gdy stało się jasne, że Indonezyjczyk zgubił wątek, głos zabrał Brasch.

– Jeśli mogę, admirale Yamamoto. To jest jeden z naszych dylematów. Pyta pan, jacy ludzie tak postępują? Ja dodam pytanie, co to za świat, w którym buduje się podobne urządzenia? Co uczyniło go właśnie takim? Moertopo utrzymuje, a biblioteka na *Sutanto* potwierdza jego słowa, że przybyła do nas flota aliantów reprezentuje szczyt rozwoju techniki wojskowej. Nam zaś zostaje znaleźć jak najszybciej odpowiedź na pytanie, co wpłynęło na jej rozwój? Sądzę, że jest to kwestia pilniejsza nawet niż próby wyjaśnienia, jakim sposobem się u nas znaleźli. Ich obecność to niezaprzeczalny fakt. Nie wiemy za to, jak wpłynie to na wydarzenia w naszym świecie.

– Chyba rozumiem, majorze. Mniej obchodzą pana wytwory techniki, jak na przykład rakiety, niż historyczny potencjał zdarzenia. I to, czy państwa Osi mają w ogóle szansę wygrać ten konflikt.

– Do niedawna byłem skłonny sądzić, że nie mają szans.

– A ja się z panem zgodzę – powiedział Yamamoto, unosząc rękę, aby powstrzymać Hidakę od zgłoszenia sprzeciwu.

– Nawet teraz alianci mają większe szanse – ciągnął Brasch. – Jest ich więcej i dysponują większym potencjałem produkcyjnym. Owszem, obecne zdarzenie przyniesie pewne korzyści obu stronom, przy czym te podstawowe będą i dla nich, i dla nas równie niewielkie. Wystrzelonych rakiet nie da się użyć ponownie. Jednak raz przyswojona wiedza zaprocentuje.

– Czy chce pan powiedzieć, że do naszej zguby przyczyni się ostatecznie większa wydajność amerykańskich robotników? – spytał Hidaka. – Przeczy pan sam sobie, majorze. Ledwie chwilę temu powiedział pan, że musi minąć wiele lat, zanim uda nam się wyprodukować którąś z tych superbroni. Jeśli my tego nie możemy zrobić, oni też nie.

– Owszem, ale tak czy tak, nie wiemy jeszcze na pewno, jak będzie – powiedział Yamamoto. – Poruczniku Moertopo, jak pan sądzi, czy flota Kolhammera ma wystarczający potencjał, aby zdecydować się na wojnę ze wszystkimi zasobami zbrojnymi państw Osi?

Porucznik poczuł wagę tego pytania. Najchętniej wykręciłby się od odpowiedzi, jednak instynkt przetrwania podpowiedział mu, że lepiej zrobi, zdobywając się na szczerość. Żaden z tych mężczyzn nie był głupcem. Mając czas na studiowanie materiałów z *Sutanto*, sami znajdą w końcu odpowiedź. Jeśli jednak Yamamoto cenił sobie jego opinię, należało mu ją dobrze sprzedać.

Ali nie dał się zwieść. Wprawdzie trzymano go obecnie w złotej klatce, ale jego losy nadal się ważyły.

– Gdyby grupa bojowa przybyła tu nietknięta, zmiotłoby was z powierzchni morza w jeden dzień – powiedział. – Nie mając zwiadu satelitarnego, musieliby poświęcić trochę czasu na zlokalizowanie wszystkich waszych jednostek, ale potem ich los byłby przesądzony, i to bez jakichkolwiek strat po stronie przeciwnika. Niemniej domyślam się, że ich lotniskowiec został uszkodzony, podobnie jak większość pozostałych okrętów.

Nie dodał, że gdyby tak nie było, Kolhammer najpewniej już pukałby do bram Hashirajimy.

Yamamoto wyprostował się na krześle i spojrzał na Indonezyjczyka niczym kot myślący o pierzastym śniadaniu.

– Opiera się pan na tych przechwyconych sygnałach?

– Było ich całkiem sporo.

Yamamoto ledwie poruszył głową.

– Ile czasu zajmą naprawy?

Pytanie było skierowane do Moertopy, ale to Brasch pospieszył z odpowiedzią.

– Jeśli można – zaczął z uśmiechem. – Mam wrażenie, że aliantom przyjdzie borykać się z tymi samymi problemami, które i nas dotknęły. Czy mam rację, że okręt tak złożony jak *Hillary Clinton*, o ile dobrze zapamiętałem nazwę, spędza sporą część swego morskiego żywota w wyspecjalizowanych stoczniach remontowych, gdzie przechodzi wszelkie naprawy i modernizacje?

– Chyba z rok na każde trzy lata pływania – powiedział Moertopo.

– Ale takie stocznie nie przybyły tu razem z wami?

– Oczywiście, że nie.

– Jak pan zatem widzi, admirale, możliwości tego superokrętu będą maleć. Pewnych napraw dokonają sami z wykorzystaniem sprzętu, który mają na pokładach, ale przypuszczam, że to nie wystarczy. Poruczniku Moertopo, a te myśliwce bombardujące; jak one się nazywają?

– Raptory.

– Właśnie, dziękuję. Czy da się je odbudować z tych szczątków, które zostały po eksplozji? Sądzę, że nie. Zatem wszystkie maszyny, które stracili, przepadły na zawsze.

Yamamoto doceniał i podzielał rozumowanie Brascha. Nie chciał jednak podejmować szybkich decyzji. Historia podpowiadała, że pośpiech zawsze prowadzi do zguby. Zamiast więc poprzeć Niemca, wołał na razie grać rolę adwokata diabła.

– Jednak pociski z tych okrętów mogą zadać nam straty, zanim jeszcze domyślimy się, że jesteśmy ich celem.

– Owszem, mogą – zgodził się Brasch. – Musimy ustalić, ile im ich zostało. Na wypadek, gdyby doszło do najgorszego.

Hidaka starał się dotąd zachowywać cierpliwość, w końcu jednak nie wytrzymał.

– Jeśli te okręty stanowią aż tak wielkie zagrożenie, musimy uderzyć na nie tak samo, jak wcześniej uderzyliśmy na amerykańskie lotniskowce w Pearl Harbor.

– Jeśli z tym samym skutkiem... – parsknął Brasch. Moertopie wydało się, że Hidaka pęknie zaraz ze złości. Poczerwieniał na twarzy jak pomidor.

– Obraża pan tego, kto wymyślił ten genialny plan! – warknął.

Yamamoto uniósł ręce i skrzywił się z lekka.

– Niech pan nie wyciąga ostrza w mojej obronie, komandorze. Sam potrafię bronić własnego honoru. Major ma rację. Gdyby tamta operacja zakończyła się powodzeniem, nie musielibyśmy zawracać sobie głowy atakiem na Midway. Nie udało nam się wymierzyć decydującego ciosu. Powinniśmy byli wówczas wyrzucić taką presję, aby od razu odebrać Hawaje Amerykanom. Podobnie jak Führer, majorze Brasch, nie powinien odwracać się plecami do Zjednoczonego Królestwa dla politycznej krucjaty przeciwko Rosji. Obaj zgubiliśmy się na samym początku wojny.

Brasch pokiwał głową i założył ręce na piersi.

– To było szaleństwo.

– Nie wyrażałby pan podobnych opinii, gdyby *Herr* Steckel był tutaj – rzucił Hidaka.

Brasch spojrział na japońskiego oficera lodowato.

– Być może dobrze ocenił pan Steckela – powiedział spokojnie. – Mnie pan jednak wcale nie zna.

Moertopo, który siedział pomiędzy nimi, najchętniej schowałby się w mysią dziurę. Obawiał się, że jeszcze chwila, a oberwie przez tych szaleńców. Zateśknił gwałtownie do domu, fast foodów i pirackiej telewizji satelitarnej.

– Panowie, nie czas marnować siły na spory – powiedział Yamamoto. – Mamy wspólnego wroga, który może być bliżej, niż nam się wydaje. Komandorze Hidaka, majorze Brasch, analizy techniczne mają być kontynuowane, ale wystarczy, jeśli pieczę nad nimi przejmie kapitan Kruger. Panowie mają skoncentrować się na materiałach historycznych. Przypuszczam, poruczniku Moertopo, że w pańskich zasobach jest ich całkiem sporo.

– Tak, oczywiście.

– To dobrze. Proszę nie tracić więcej czasu. Zobaczymy się za cztery dni i wtedy wyjaśnicie mi, panowie, co dokładnie zrobiliśmy nie tak podczas tej wojny i jak, panów zdaniem, możemy naprawić te błędy. Nie twierdzę, że skorzystam z waszych rad, ale i tak chcę je usłyszeć. Proszę nikogo nie oszczędzać. Nawet mnie czy naszego gabinetu. Nawet samego Führera, *Herr Major*. Dlatego chcę być jedyną osobą, której przedstawić swój raport. Oczekuję, że wykonacie rzetelnie swoje zadanie, nawet jeśli miałyby to kosztować was życie. Postaram się jednak, aby najgorsze was nie spotkało – dodał, uśmiechając się krzywo.

Brasch docenił chyba żart, Hidaka nie bardzo. Moertopo w ogóle nie widział w tym nic śmiesznego.

– Tak, pozostaje sprawa mojego cienia – powiedział Niemiec. – *Herr* Steckel jest zagorzałym nazistą przekonanym o nieomyślności Führera. Nie zaakceptuje nowego kierunku badań.

– Zobaczymy – powiedział Yamamoto.

22

USS Hillary Clinton, *Pearl Harbor*,

9 czerwca 1942, godzina 10.21

Porucznik Curtis dostał nową pracę. Zamiast ślęczeć nad księgami rachunkowymi na *Enterprise*, miał obecnie, razem z porucznikiem Blackiem, zapoznać się ze strukturą i funkcjonowaniem Wielonarodowych Sił, aby potem przeskolić w tej materii kolegów z macierzystego lotniskowca. Perspektywa, że przyjdzie mu uczyć czegośkolwiek starych wyjadaczy z „Big E”, była na tyle niepokojąca, że nie dawała mu spać po nocach. Był pewien, że zjedzą go żywcem.

Admirał Spruance stwierdził jednak, że zachowanie Curtisa pod Midway wyróżniło go zdecydowanie jako kogoś, kto potrafił znaleźć się w bardzo trudnej i nowej sytuacji, a obecnie była to bardzo cenna umiejętność. Poza tym przydzielił mu komandora Blacka, aby się nim opiekował.

Curtis niemal pęczniał z dumy, gdy zaczął opisywać całą sytuację w liście do domu. Oczywiście na razie nie mógł wysłać żadnej poczty. Cenzorzy nie dopuszczali do ujawniania żadnych informacji o przybyszach z przyszłości, chociaż Hawaje, rzecz jasna, huczały od plotek. Rozmawiano o nich w barach, domach, biurach, sklepach, magazynach i fabrykach. Jednak miejscowa prasa niczego dotąd nie opublikowała. Obcy byli całkowicie nieoficjalną sensacją, Curtis znalazł się zaś w samym centrum zdarzeń.

Większość czasu spędzał w dawnym ośrodku prasowym, który zdążył zmienić nazwę na „centrum badawcze” Dziennikarze przebywali obecnie głównie w swoich kwaterach. Wally Curtis został jednym z pierwszych badaczy. Obecnie zdobywał wiedzę o śmigłowcach.

Było to naprawdę wymarzone dla niego stanowisko. Czuł się tak, jakby nagle trafił na statek kosmiczny, albo nawet lepiej. Królik Rogers nie zapewniłby mu nawet części tych atrakcji, które dla przybyszy były czymś całkiem zwyczajnym.

Niestety, na razie nie było mu wolno korzystać z komputerów bez nadzoru, a porucznik Thieu gdzieś się zapodział. Curtis sięgnął więc po książki i czasopisma. Niektóre były wręcz niesamowite, chociaż nie wszystkie...

– Chciałby pan usiąść do mojego kompa, poruczniku? – spytała Rosanna Natoli, która pojawiła się jakby znikąd.

Curtis przywykł już do jej wizyt w centrum. Wraz z przyjaciółką, panną Duffy, gotowe były pomagać miejscowym, co różniło je od pozostałych dziennikarzy. Mówiły, że przygotowują większy artykuł wyjaśniający istotę tranzytu.

Poza nimi w pomieszczeniu pracowali jeszcze inni marynarze i paru cywili. Stukali w klawiatury, robili notatki. Curtis chętnie poprosiłby ich o pomoc, ale po prawdzie, trochę bał się do nich podchodzić. Wszyscy wydawali mu się groźni. Bardziej nawet niż starzy wyjadacze z *Enterprisea*.

– Bardzo chętnie, panno Natoli! – odparł z prawdziwą ulgą.

– To dalej, poruczniku. Proszę brać się do dzieła.

Curtis zerwał się z krzesła, aby podejść w ślad za Rosanną do jej stanowiska. Po drodze dziennikarka wręczyła mu swój osobisty flexipad.

– Ten duży komp ma oczywiście nieporównanie większe możliwości, ale nie mogę nosić go wszędzie ze sobą – powiedziała. – Jednak gdy podłączę flexipad do jego slotu, staje się moim osobistym komputerem, co daje mi większy ekran, klawiaturę i szybszy dostęp do netu. A raczej dawałby, gdybyśmy mieli net. Obecnie korzystamy z tego, co znalazło się w cache’u lotniskowca. Nadażają pan?

– Niezbyt – stwierdził Wally, przysuwając krzesło.

– Nie szkodzi. Bystry z pana dzieciak. Szybko złapie pan, w czym rzecz. Skąd pan jest? Z Chicago, tak? Dobra. Niech pan wpisze nazwę.

Wally umiał całkiem dobrze pisać na maszynie. Jego matka o to zadbała. Jednak połączenie dziwnej klawiatury i pełnego życia ekranu nazbyt go rozpraszało. Ograniczył się do powolnego stukania dwoma palcami.

– Jezu, chłopie, będziesz musiał nieco się podciągnąć, gdybyś chciał dostać robotę w „Tribune”. Okay, kliknij myszką... tutaj.

Obraz momentalnie się zmienił. Podczas gdy Wally zmagał się z zalewem informacji, Natoli wyjaśniła, że fleetnet zawiera ponad cztery tysiące pobranych z CNN odnośników do hasła „Chicago”. Curtis otworzył usta ze zdumienia.

– Dobra, mamy już Wietrzne Miasto – powiedziała dziennikarka. – A teraz zawężimy poszukiwania. Jaka dzielnica?

* * *

Podczas gdy Rosanna matkowała porucznikowi, zajęta swoimi sprawami w drugim końcu pomieszczenia Julia Duffy odczuwała coraz większą potrzebę wzięcia kolejnej pigułki. Od dnia tranzytu co rusz sięgała do swojego zapasu Prozacu. Słuchając kapitana Blacka opisującego nalot na Pearl Harbor, odniosła wrażenie, jakby podłoga usuwała się jej spod nóg. Jak to może być, że ten gość, na pozór całkiem w porządku, opowiada o czymś, co zdarzyło się w zeszłym stuleciu, z takim przejęciem, jakby chodziło o wczorajszy dzień, pomyślała. Mogła mieć tylko nadzieję, że te i podobne refleksje nie odbijają się na jej twarzy.

– Dobrze się pani czuje, panno Duffy? – spytał Black.

Julia odstawiła filiżankę kawy na stół i przekonała się przy tej okazji, jak bardzo drżą jej ręce.

Miała wątpliwości, czy dobrze zrobiła, godząc się pomóc Kolhammerowi w pisaniu artykułu o tranzycie. Im dłużej o tym myślała, tym jaśniej do niej docierało, że utknęli tu na dobre. Bez *Nagoyi*, która wedle powszechnie podzielanej opinii uległa zniszczeniu, byli bez szans. Nie da się zbudować maszyny czasu z wykorzystaniem lamp próżniowych, a niczym lepszym obecna Ameryka nie dysponowała.

Z drugiej strony nie miała ochoty na zamknięcie w kabinie, czego doświadczyli wszyscy dziennikarze, w sumie połowa z tych przydzielonych do zespołu, którzy nie zgłosili chęci wzięcia udziału w programie.

– Przepraszam – powiedziała. – Czasem dociera do mnie na nowo, że naprawdę tu jesteśmy i cały nasz świat zniknął.

* * *

Dan Black strzelił knykciami, rozprostowując palce. Widział, że dziennikarka traci humor. Nie miał pojęcia, co powiedzieć, jednak poczuwał się do wygłoszenia jakiegoś pocieszenia.

Prawdę mówiąc, nawet ją polubił. Była dziwna, ale intrygowała go. No i ładna. A do tego wydawała się nim zainteresowana. Był w życiu z paroma kobietami, nigdy jednak nie trwało to długo. Nie bardzo wiedział dlaczego, przeczuwał jednak, że przestawały być dla niego atrakcyjne w chwili, gdy odwzajemniły jego zaloty. Pokręcił głową nad tą osobliwością i ponownie zerknął na nogi dziennikarki. Raz go na tym przyłapała, ale w ogóle nie zareagowała.

– Porucznik Curtis twierdzi, że to nie tak – powiedział.

– A jak?

– Wasze przybycie do nas nie wpłynie zapewne w żaden sposób na losy waszego świata. Nadal tam jest. Czytając wasze opracowania, Curtis doszedł do wniosku, że to raczej wy stworzycie tutaj całkiem nową rzeczywistość. Dokładnie jednak nie wiem. Jestem tylko górnikiem z kopalni miedzi, który przekwalifikował się na marynarza.

– Sądzę, że nie tylko, Dan. Nikt nie jest tylko sumą tego, co robił w życiu. Istotne jest też to, kim może jeszcze zostać.

– Chyba trudno mi na ten temat dyskutować – powiedział, sięgając po wystygłą kawę. – To prawda, że nie byłem w kopalni już ponad dwanaście lat. Wielki kryzys rozłożył interes mojego taty. Jego samego omal nie zabił. Musiałem ruszyć na poszukiwanie pracy. Moich rodziców nie było stać na to, abym siedział w domu. Za dużo jadłem.

– Ale ciągle masz siebie za górnika, chociaż... Od jak dawna jesteś w marynarce?

– Osiem lat – wyznał. – Dostałem się tylko dzięki licencji pilota. W trzydziestym pierwszym opylałem pola. Potem rynek się skurczył. Kręciłem się tu i tam, na trochę zahaczyłem się w robotach drogowych finansowanych z programu Roosevelta, ale i to się skończyło. Zbierałem owoce w Kalifornii, gdy usłyszałem, że marynarka szuka pilotów. Nie było to najlepsze, na co liczyłem, ale miałem dość jedzenia fig trzy razy dziennie.

– I nie uważasz, że sam siebie nie doceniasz, przedstawiając się ciągle jako górnik, chociaż większość zawodowego życia spędziłeś w mundurze?

– Powiedz mi, czy wszystkie kobiety z waszych czasów są tak bystre i pewne siebie?

– Danie Black – powiedziała z uśmiechem. – Kobiety z moich czasów zjadłyby cię na surowo.

Z jakiegoś powodu bardzo mu się to stwierdzenie spodobało.

Nagle coś pisnęło mu w kieszeni.

– Dostałeś maila, chłopcze – mruknęła Duffy.

Ostrożnie wyciągnął flexipad, który oddano mu w użytkowanie, i stuknął końcem palca w mały rysunek koperty widniejący na ekranie.

– Muszę iść – powiedział, odczytawszy wiadomość. – Szef chce mnie widzieć.

– Wpadaj tu czasem – zawołała za nim, gdy zmierzał do drzwi.

* * *

Black przywykł już do dobrej kawy na *Hillary Clinton* i cierpiał, gdy przyszło mu znowu pić to coś, co kazał parzyć dla siebie Spruance.

Siedzieli w biurze tuż obok basenu, przy którym cumowały ocalałe niszczyciele, i kilka minut jazdy od szpitala, do którego zabrano lżej rannych. Floty Kolhammera nie można było stąd dostrzec. Kotwiczyła po drugiej stronie wyspy Ford, skąd omiatała nieustannie radarami niebo w promieniu ośmiuset kilometrów. Brytyjski *Trident* został w pobliżu Midway, aby strzec ich przed nawodnym zagrożeniem.

Spruance upił łyk kawy. Jego zdaniem najwyraźniej była wyśmienita.

– Źle się stało, że doszło do tych zabójstw, Dan. Kolhammer osiwieje, gdy o tym usłyszy.

Black zapatrzył się w okno. Niedaleko przeszła grupa pielęgniarek, jedna miała rękę na temblaku.

– Jeszcze mu nie powiedzieli, sir?

– Nie zdołali nawiązać z nim łączności. Nie radzą sobie najlepiej bez tych satelitów kosmicznych. My zaś nie wysłaliśmy na razie żadnego radiogramu ani depechy kablowej. Ze względów bezpieczeństwa przekazujemy wszystko przez kurierów.

– Czy oni byli parą?

– Japoniec i Anderson? Nie powiedzieli mi. Wygląda to jednak na szczególnie okrutne morderstwo, z motywem seksualnym. Doszło do gwałtu.

Ostatnie słowo zawisło między nimi na bardzo długą chwilę. Obaj wiedzieli, że to jeszcze bardziej wszystko skomplikuje.

– Ludzie już wiedzą? – spytał Black.

– Nie było żadnego oficjalnego oświadczenia – odparł Spruance. – I na razie nie będzie. Oficjalnie nawet ich tutaj nie ma. Sądzę jednak, że w ich grupie wszyscy dowiedzą się o tym przed wieczorem. I wszyscy będą mieli też własne domysły co do motywów i możliwych sprawców.

– Będą podejrzewać, że to byli nasi?

– Zwykła sprawa, że zawsze wini się tych drugich.

Black przełknął ostatni łyk zimnej i kwaśnej kawy. Zastanowił się, czy Julia słyszała już o zbrodni. Gdy tylko się dowie, na pewno zrobi wszystko, aby zerwać się ze smyczy i przeprowadzić własne śledztwo.

Spruance był wyraźnie przygnębiony i zniesmaczony ostatnim zdarzeniem. Wstał ze skrzypiącego obrotowego krzesła i podszedł do okna. Słońce odbiło się oślepiająco w jego białym mundurze.

– Co o tym sądzisz, Dan? – spytał. – Myślisz, że w ogóle zdołamy się dogadać?

Black zastanowił się.

– Oni są inni niż my, ale ogólnie w porządku. Są kimś, kim my się kiedyś staniemy.

– I podoba ci się taka perspektywa?

– Nie do końca. Trafiłem na wiele rzeczy, które budzą moje obawy. Ale oni są do nas dobrze nastawieni.

– Zabili wielu naszych ludzi, Dan.

– I wielu uratowali. No i nie można zapominać, że my też zadaliśmy im ciężkie straty. Na ile mogą ocenić, wydają się nie żywić do nas z tego powodu urazy.

Admirał skrzywił się z irytacją.

– Sami proponowali, aby się nie licytować.

Przez chwilę obaj milczeli. Black przetrawiał ciągle pytanie admirała. Podobnie jak Curtis dostał rozkaz, aby przenieść się na *Hillary Clinton* i dowiedzieć jak najwięcej. Też czytał sporo, chociaż nigdy nie przepadał za książkami. Próby zasięgania języka nie dały dotąd wiele. Wszyscy jego przewodnicy okazali się dla niego za mądrzy. Nie rozumiał nawet części z ich technicznych wywodów.

– Ta kobieta, którą spotkałeś... – rzekł Spruance, wyrywając go z zamyślenia.

– Julia Duffy.

– To dziennikarka, prawda?

– Pracowała dla „New York Timesa” i chyba dalej zamierza dla nich pisać – odparł Black. Nie dodał, że jego zdaniem Duffy nie ma wielkich szans na tę pracę.

– Chcę, abys spędzał z nią trochę więcej czasu, Dan. Niech pociągnie ludzi Kolhammera za języki. Pisała o nich wcześniej i na pewno chciałyby wiedzieć, co teraz myślą.

– Z pewnością. Po prawdzie nie przepada za Kolhammerem. Chyba wini go za to, że się tu przenieśli. Wolałyby wrócić do domu.

– Tak jak my wszyscy. Dobrze się z nią dogadujesz?

– Lubię ją, sir. Przynajmniej trochę.

Spruance chciał chyba coś powiedzieć, ale rozmyślił się.

– To dobrze – stwierdził dopiero po dłuższej chwili. – Spędzaj z nią tyle czasu, ile chcesz. Tak przez tydzień. Zależy mi na nieoficjalnych opiniach na temat tego, co się wydarzy, jeśli naprawdę przyjdzie im tu zostać.

Dan Black poruszył się niespokojnie na drewnianym krześle. Przywykł już do kształtowanych próżniowo foteli *Hillary Clinton*. Jeśli dobrze zrozumiał admirała, miał wykorzystać dziewczynę, która nie była mu obojętna. Nie podobało mu się to, ale nie miał chyba wyboru.

Admirał musiał domyślić się jego wątpliwości.

– Nie, nie chcę, abys nadużył jej zaufania – rzekł. – W żadnym wypadku nie każę ci odgrywać Maty Hari. Pragnąłbym jedynie zorientować się, z jakimi właściwie ludźmi mamy do czynienia. Nie wiemy przecież nawet, jak zareagują na ostatnią zbrodnię. Ale jeśli czułbyś się źle w tej roli, może zaprosisz ją na wspólny obiad? Także z moim udziałem. Możesz powiedzieć jej wprost, że zależy mi na jej opinii.

Black pojaśniał widocznie, słysząc tę propozycję.

– Ona ma przyjaciółkę, też dziennikarkę. Podobnie wygadana. Chyba powinniśmy obie je zaprosić.

Spruance drgnął, słysząc słowa, które zabrzmiały w jego uszach jak propozycja podwójnej randki.

– Żona by mnie zabiła! – zaprotestował.

– No to zaprosimy jeszcze porucznika Curtisa. Chyba ma oko na panią Natoli.

– Panią? – spytał Spruance.

– To nie takie proste – westchnął Black. – Sam pan się jeszcze przekona.

23

Hotel Ambassador, pokój 522, Los Angeles,

9 czerwca 1942, godzina 11.00

Pokój przypominał ekspozycję muzealną albo wystawę sklepu, w którym od osiemdziesięciu lat nie widziano klienta. Kolhammer zmarszczył nos, wyczuwając stary dym papierosowy wymieszany z innymi miazmatami pozostałymi po poprzednich gościach. Był tu odór przepoconych skarpet, woń perfum, brylantyny i peklowanego mięsa. Nie do wiary, pomyślał, że przeszłość może aż tak cuchnąć. Był to gorzki, ale prawdziwy żart. Admirał nigdy nie przypuszczał, że zatęskni kiedyś za sterylnymi szklanymi wieżami i tysiącami mil gładkich autostrad.

Spojrzał przez okno na Wilshire Boulevard. Po drugiej stronie wznosiła się restauracja z kapeluszem na dachu, za nią ciągnęły się niskie ceglane bloki w stylu art deco. Trudno było mu pozbierać myśli.

Przybył jeszcze przed świtem, samochodem DeSoto. Z podziemnego parkingu agent tajnej służby zagnał go czym prędzej do pokoju. Sama podróż kojarzyła mu się z karnawałową przejażdżką. DeSoto był ciężką maszyną ze skórzanymi siedzeniami, które wyglądały jak wzięte z hotelowego lobby. Niestety, współpasażerowie cały czas palili, a sprężyny tapicerki wpijały się w plecy i nie tylko. Brakowało też oczywiście jakichkolwiek pasów bezpieczeństwa, o poduszkach powietrznych nie wspominając.

Mocno zmęczony, zdołał przespać się parę godzin, chociaż zaduch i twarde materace nie sprzyjały wypoczynkowi.

Szafa była pełna cywilnych ubrań, wydały mu się jednak zbyt ciężkie i szorstkie. Włożywszy jeden z ciemnych, dwurzędowych garniturów z wełny, poczuł się jak w kostiumie teatralnym. Wziął więc prysznic i włożył świeży mundur, który przyleciał w przedziale bagażowym tankowca. W L.A. było pełno mundurów, nie tylko amerykańskich. Na Zachodnim Wybrzeżu stacjonowały kontyngenty Kanady, Anglii, Australii, Nowej Zelandii, Wolnych Francuzów, nawet Holandii. Nie powinien się wyróżniać.

Kolhammer pomyślał o swoich ludziach, którzy utknęli w bazie sił powietrznych Edwards. Miał nadzieję, że dobrze ich tam traktowano, ale warunki były na pewno jeszcze bardziej spartańskie niż tutaj.

Zerknął na zegarek. Do następnego spotkania z Rooseveltem zostały jeszcze dwie godziny. Miał odpoczywać, ale koniec końców sięgnął po stojący obok łóżka telefon. Aparat nie miał nawet tarczy.

– Tak, sir? – odezwał się kobiecy głos, gdy admirał podniósł słuchawkę.

– Chcę wybrać się na spacer dla rozjaśnienia myśli.

– Zaraz tam będziemy.

Począł. Drzwi nie były zamknięte na klucz, mógłby wyjść w każdej chwili, ale rozumiał względy bezpieczeństwa. Gazety były już pełne pogłosek, które różnymi kanałami dotarły tu z Hawajów. We wsuniętym pod drzwi egzemplarzu „Examinera” zobaczył obszerny materiał o wielkiej bitwie morskiej, w której Ameryka miała użyć potężnych superbroni i odrzucić Japończyków od Midway.

Niebawem mieli poznać prawdę. Dziennikarze w Pearl miotali się niczym tygrysy w klatce i co rusz słały petycje do cenzury wojskowej. Gdyby to od Kolhammera zależało, dałby im już zgodę. Przywykł do kontaktów z mediami i wiedział, że jeśli nie blokowało im się dostępu do źródeł, przekazywały z reguły to, co chciało się, aby przekazywały. Jednak miejscowi ciągle próbowali ukryć fakt tranzytu, jak i olbrzymie straty Floty Pacyfiku. Zwlekali więc ze zwolnieniem materiałów, a napięcie rosło.

Ktoś zastukał dwa razy do drzwi.

– Admirale?

– Proszę wejść.

W progu pojawił się agent, który wcześniej przyprowadził go do pokoju, oraz ktoś jeszcze. Sądząc po nieszczęśliwym kroju garnituru oraz wyniosłości, zapewne kolejny agent.

– Agent Stirling zabezpieczy pokój i pańskie rzeczy, admirale – powiedział ten pierwszy, potwierdzając przypuszczenia.

– Czy moglibyśmy skontaktować się z profesorem Einsteinem? – spytał Kolhammer. – Chciałbym porozmawiać z nim jeszcze przed spotkaniem.

Agent wzruszył ramionami. Wyraźnie nic go to nie obchodziło.

Przeszli po grubym dywanie do pokoju sześć numerów dalej. Wystrój hotelu kojarzył się Kolhammerowi z drogim burdelem. Dobiegające zza drzwi tony skrzypiec podpowiadały, że Einstein już wstał.

– Przepraszam – powiedział cicho Kolhammer do agenta. – Zapomniałem pańskiego nazwiska.

– Agent Flint, sir – odparł tajniak, stukając do drzwi. Dwa razy i mocno, aby zostać usłyszanym przez muzykującego fizyka.

Instrument zamilkł nagle w połowie dźwięku.

Drzwi uchyliły się i pojawiła się w nich znajoma szopa włosów. Einstein był tylko w bokserkach. Spojrzał nieco nieprzytomnie i dopiero po chwili zauważył Kolhammera.

– A, proszę wejść. Dzień dobry, admirale.

– Chciałem spytać, czy nie wybrałby się pan ze mną na krótką przechadzkę, profesorze. Może moglibyśmy dostać jakąś kawę.

Einstein roześmiał się krótko.

– W Los Angeles trudno o prawdziwą kawę, a tego, co zwykle tu podają, nie zechciałby pan wypić. Niemniej co do spaceru, to chętnie. Poza tym jestem trochę głodny. Niech no tylko włożę spodnie. Spodnie zawsze dodają godności, prawda?

Poczłapał w głąb pokoju pełnego dymu z fajki. Admirał i agent musieli poczekać, aż profesor wbije się w parę brązowych spodni ze sztruksu i włoży sandały. Po chwili dołączył do nich na korytarzu.

– Skorzystałem z pańskiej elektronicznej książki, admirale. Wspaniałe urządzenie.

– Miałem nadzieję, że się panu spodoba. Widział pan film, który tam nagrałem? Ten zatytułowany *Nieoznaczoność*?

Einstein wybuchnął śmiechem.

– Tak! Tak! Kto by pomyślał, ja i żona Joego DiMaggio! To była aktorka, tak, ta Marilyn?

– Tak. Zapewne będzie.

Einstein pokiwał głową.

– Ale nie o tym chce pan ze mną rozmawiać? – spytał, gdy dotarli do wind. – Zjawił się pan z bardzo poważną miną.

– Zaiste, nie o tym. Widział pan też pozostałe filmy?

– Tak. Z obozów koncentracyjnych – odparł Einstein, poważniejąc.

– My nazywamy je obozami zagłady – powiedział Kolhammer.

Naukowiec westchnął ciężko. Odezwał się dzwonek i drzwi windy stanęły otworem. Agent Flint, człowiek z wiecznie rozbieganymi oczami, przyjrzał się uważnie windziarzowi. Poza nim winda była pusta.

– Tak, widziałem je – podjął Einstein, gdy weszli do środka. – Dlatego właśnie grałem. Skrzypce pozwalają mi zapomnieć o świecie.

Flint kazał windziarzowi jechać na parter.

– Czasem lepiej nie zapominać – powiedział Kolhammer.

Przez chwilę szli w milczeniu zatopieni we własnych myślach.

Nagle Kolhammer dojrzał neony Wilshire Boulevard i doznał czegoś na kształt *déjà vu*. W jego czasach miasto przeznaczyło pewne sumy na renowację prawie stu pięćdziesięciu neonów w środkowej części ulicy. Tych samych, które obecnie były wyłączone z powodu zaciemnienia. Chwila zadumy nie trwała jednak długo, gdyż po chwili obok przemknął z grzechotem żółty tramwaj. Wkoło pełno było białych przedstawicieli klasy średniej. Zniknęli Koreańczycy i Tajwańczycy. Nie było też brunatnej mgiełki w powietrzu i duszącego smogu.

– Dobrze się pan czuje, sir? – spytał agent Flint, biorąc Kolhammera za łokieć.

– Przepraszam, to z zaskoczenia.

Zatrzymali się przy krawężniku. Einstein wydawał się zarówno rozbawiony, jak i poruszony reakcją Kolhammera.

– Admirale, pana świat ciągle tu jest – powiedział i potarł opuszki palców. – Jest blisko, tuż obok. Może pan do niego wrócić. Ma pan rodzinę, prawda?

Ulicą przejechał kolejny tramwaj. Słysząc było buczenie klaksonów samochodowych. Wilshire wygląda tak, jakby odbywała się tu parada starych pojazdów, pomyślał admirał.

– Moja żona mieszka w Santa Monica. A raczej... Rozumie pan.

– Może wrócimy do hotelu? – spytał Flint.

Kolhammer wziął głęboki wdech. Wyczuwał woń spalin i benzyny, ale nie było tego wiele. W porównaniu z powietrzem z dwudziestego pierwszego stulecia to tutaj wydawało się krystalicznie czyste. Opanował się i wskazał na budynek restauracji.

– Czy to oryginalny Brown Derby? – spytał.

Ani Flint, ani Einstein nie wiedzieli.

– To ma być kapelusz? – spytał profesor.

– Znak powiada „Zjedz własny kapelusz” Jeśli jest pan głodny, możemy tam coś dostać. Może wynaleźli już nawet sałatkę Cobba. Oni pierwsi zaczęli ją podawać.

Gdy przechodzili przez ulicę, Kolhammer mógłby przysiąc, że dojrzał młodego Ronalda Reagana zajmującego miejsce w restauracyjnym ogródku w cieniu drzew. Nagle przyszło mu do głowy, że skoro to Hollywood, lokal może być klubowy i nie pozwoli im wejść. Einsteinowi groziłaby w tym wypadku dyskryminacja z dwóch aż powodów. Nie dość bowiem, że był Żydem, to jeszcze nosił sandały.

Nie musieli się jednak martwić. Agent Flint odsunął na bok gromadkę młodych kobiet tłoczących się przed frontowym wejściem w nadziei na autografy. Na Kolhammera nie zwróciły uwagi, kilka

jednak przyjrzało się uważnie Einsteinowi.

W środku Flint złapał pierwszego przebiegającego kelnera, który jednak wcale nie miał ochoty wpuścić przypadkowych gości pomiędzy śmietankę towarzyską. Ze zdumieniem dowiedział się, że agent specjalny Flint nie rozumie słowa „nie”. Po chwili na scenie zjawił się *maitre*. Flint błysnął mu przed oczami odznaką i złapał mężczyznę za ramię tak silnie, że aż palce mu pobieleały. Przez chwilę szeptał mu coś do ucha, wskazując na Kolhammera i Einsteina. Ober pokiwał energicznie głową, potem nią potrząsnął i znowu pokiwał.

– Szkoda, że ja tak nie umiem – szepnął Einstein.

– Pewność siebie to połowa sukcesu – powiedział admirał. – Też stosuję tę metodę.

Flint wrócił z lekkim uśmieszkiem błakającym się na wargach.

– Znaleźli dobry stolik na tarasie – powiedział. – Zaraz obok miejsc zajętych przez pana Crosby’ego i jego towarzystwo.

Einstein nie zareagował. Może nie należał do wielbicieli Binga. Kolhammer pokiwał tylko głową, ale wiedział doskonale, o kogo chodzi. Zdażył już sprawdzić, że mężczyzna o wyglądzie Reagana nie był jednak przyszłym prezydentem, dojrzał za to w ogródku kilka innych znajomych twarzy. Nie zawsze potrafił dopasować je do nazwisk, jednak widział je na starych filmach. Marie uwielbiała takie obrazy. Zgromadziła chyba z tysiąc nagrań.

Przeszli przez niemal pustą salę ze ścianami zawieszonymi rysunkami przedstawiającymi gwiazdy filmowe. Nasłonecznione patio roiło się od amatorów lunchu. Kolhammer zmrużył oczy i skrzywił się jednocześnie, widząc, co się tu jada. Większość gości zamówiła hot dogi i cheeseburgery. Zastanowił się, co by było, gdyby poprosił o sałatkę truflową z pieczarkami albo świeże kielki z tofu, czyli to, co najczęściej jadał na *Hillary Clinton*.

Agent Flint wskazał im stolik i przytrzymał kelnera do chwili, aż obaj usiedli.

– Nie dołączy pan do nas? – spytał Einstein.

– Będę w pobliżu – odparł agent, rzucając kelnerowi groźne spojrzenie i znikając w środku.

Kolhammer starał się nie gapić na pozostałych gości, ale dojrzał, że faktycznie przy stoliku obok siedzi Bing Crosby w towarzystwie jeszcze trzech osób. Wyglądał dziwnie młodo i niedawno rozwalil sobie wargę. Jego goście, dwóch mężczyzn i kobieta, spoglądali z otwartymi ustami na sąsiadów, z których jeden był w mundurze, drugi zaś w byle jakim stroju. Wcześniej rozmawiali o czymś z ożywieniem, teraz jednak zamilkli. Kłopotliwa cisza zaczęła ogarniać sąsiednie stoliki. Kelner przestępował tylko z nogi na nogę i oglądał się na wejście do głównej sali.

Kolhammer wstał i spojrzał mało przyjaźnie na Crosby’ego. Za wiele naczytał się swego czasu o jego gwałtownym charakterze i skłonności do alkoholu. W końcu jednak zmusił się do uśmiechu.

– Panie Crosby, zapewne poznaje pan mojego kolegę. To profesor Albert Einstein, laureat

Nagrody Nobla w dziedzinie fizyki. Pomaga nam w ramach wysiłku wojennego.

Crosby zarumienił się.

– Miło mi pana poznać, profesorze – wydukał. Einstein uśmiechnął się szeroko, przywitał i spojrzał na kelnera.

– Proszę to samo co on. O ile to jest ta słynna sałatka Corncob.

Kelner zakaszłał nerwowo.

– To sałatka Cobba, sir. Nazwa pochodzi od nazwiska pana Cobba, właściciela. Nie ma w niej kukurydzy.

– Dla profesora sałatka, dla mnie tylko kawa – powiedział Kolhammer tonem kogoś, kto przywykł do rozkazywania.

Crosby wrócił do rozmowy o jakichś szczegółach dotyczących nowego nagrania albo kolejnego filmu.

Kolhammer usiadł naprzeciwko Einsteina i spojrzał na niego, unosząc brew. Potem pochylił się w jego stronę.

– Ten facet zarabia więcej niż sam Pan Bóg – powiedział niby cicho, ale tak, aby jego głos było słychać przy paru sąsiednich stolikach. – Wszyscy myślą, że jest święty, tymczasem ciągnie go do butelki i bije swoją żonę i dzieci. Wyobraża pan to sobie?

Crosby spojrzał na niego zdumiony. Przez dłuższą chwilę trwał z otwartymi ustami, po czym ze złością skinął na kelnera.

– Idziemy – rzucił krótko. – Proszę nie trudzić się sporządzaniem rachunku.

Cała czwórka wstała i wyszła w niejakim popłochu.

Kolhammer wyszczerzył zęby.

– Nigdy nie lubiłem podobnych dupków. Ale mniejsza z nimi. Nie jesteśmy tu po to, aby gapić się na gwiazdy filmowe. Przeczytał pan plik o nazwie README?

Apartament prezydencki, hotel Ambassador, Los Angeles,

9 czerwca 1942, godzina 12.10

Ciężkie kotary zostały odsunięte i ostre słońce Kalifornii wlało się do pokoju. Szkła okularów prezydenta odbijały obrazy przesuwające się na ekranie, dlatego oczu Roosevelta nie można było

dojrzyć. Generał George C. Marshall, który siedział na taborecie imitującym styl Ludwika XIV, ledwo zwalczył pokusę, aby zerwać się z miejsca i spojrzeć prezydentowi przez ramię.

– Niezwykłe – powiedział Roosevelt. – Wiesz, że zdołali wcisnąć tu ponad sto filmów i całe tysiące książek?

Marshall pokręcił głową. Dopiero co przybył z Waszyngtonu i ciągle był pod wrażeniem kablogramów, które przeczytał w samolocie. Nie wiedział, co bardziej go przeraża: utrata większości floty czy podróznicy w czasie.

Niech to, podróznicy w czasie! Ile razy przypominał sobie to określenie, wydawało mu się całkiem bez sensu. Jednak Roosevelt, King i Eisenhower byli na lotnisku, gdy obcy zjawili się tymi swoimi raketowymi samolotami. Eisenhower przebywał akurat w Edwards razem z ludźmi Kolhammera i połową sztabu. W jedną noc przelecieli cały kontynent. Prezydent i King rozprawiali ciągle o niezwykłych samolotach, gdy Marshall zjawił się w apartamencie. MacArthur zaś...

MacArthura ogarnął taki zapał, że bicie jego bębnow docierało aż do Ameryki. Domagał się piechoty morskiej Kolhammera, jego czołgów i samolotów. Wszystkiego. Gotów był ruszać w przyszłym tygodniu na Tokio. Marshall nie mógł oprzeć się wrażeniu, że chyba nie jest na bieżąco z rozwojem wydarzeń.

Spojrzał na admirała Kinga. Głównodowodzący marynarki i MacArthur nie cierpieli się nawzajem, jednak zgadzali się co do jednego: w tej chwili najważniejsza była Japonia. Marshall, który największe zagrożenie widział w hitlerowskich Niemczech, miał nadzieję wykorzystać jednak animozje obu wysokich oficerów.

Mimo olbrzymich strat poniesionych pod Midway King nie wyglądał na przygnębionego. Zdołał już przedstawić Komitetowi Szefów Połączonych Sztabów swoją wizję wykorzystania nowych sił. Jak można było oczekiwać, żadna z jednostek Kolhammera nie miała zostać skierowana na Atlantyk. Stary spryciarz uznał też za najwłaściwsze pozostawienie Kolhammera na stanowisku dowódcy zespołu, aby łatwiej utrzymać go w całości i u siebie, czyli na Pacyfiku.

Marshall musiał znaleźć jakiś sposób, aby to zmienić. Możliwie szybko, ale i ostrożnie. Jeśli nic nie zrobi, Roosevelt zapewne wesprze ich pomysły, aby odzyskać kontrolę nad biegiem zdarzeń.

Na razie jednak prezydent był wyraźnie zafascynowany tą elektryczną książką, czy cokolwiek to było.

– Niech pan spojrzy, generale Marshall – powiedział ze szczerym podziwem. – Rakiet kosmiczna, która polecą na Marsa.

Zdarzyła się i taka chwila trzeźwości, kiedy porucznik Rachel Nguyen odetchnęła z ulgą na myśl, że teraz nie musi pisać już rozprawy doktorskiej. „Chwila trzeźwości” była terminem, którym Margie Francois określała sytuację, gdy ktoś uświadamiał sobie ostatecznie skalę katastrofy. Jej zdaniem wcześniej czy później przeżywał ją każdy, kto w ogóle był zdolny ogarnąć umysłem zdarzenie w rodzaju przejścia przez dziurę pomiędzy wszechświatami. Przeciętnemu człowiekowi starczało podobno trzydzieści minut, aby dojść do nieuniknionych wniosków.

Po krótkim przyływie ulgi Rachel poczuła ponownie to, co wcześniej: zdumienie i żal. Znowu też wróciła myślami do rodziców, którzy z jednej strony byli dumni z wyboru córki, z drugiej nie kryli niepokoju na wieść, iż zamierza związać swoje życie z marynarką. Była ich jedyną córką i drżeli, że mogą ją stracić. Cóż, nie da się ukryć, że właśnie mnie stracili, stwierdziła w duchu. Nie zginęła wprawdzie, ale znalazła się tak daleko, że na jedno wychodziło.

W samym środku tych ponurych rozważań usłyszała pukanie do drzwi swego tymczasowego gabinetu na pokładzie lotniskowca, w którym pracowała razem z pozostałymi absolwentami historii. Nie mogła jakoś uciec przed akademicką kłutwą.

– Hej, ty jesteś Rachel? – spytała jedna z osób stojących w progu. – Ja jestem Julia Duffy, a to Rosanna Natoli. Hammer powiedział, że mamy przyjść ci pomóc.

– Dobra – odparła Rachel bez większego entuzjazmu.

– Hej, jesteś Aussie? – zagadnęła Natoli, widać wyczulona na akcent. „Aussie” było potocznym określeniem mieszkańca Australii.

– Jestem.

– Moja kuzynka Stella wyszła za jednego Aussie. Przeprowadzili się do Melbourne. Ty też jesteś stamtąd? Może ich znasz?

– Tak, Stella z Melbourne. Wszyscy ją znają.

– Jezu, widzę, że jesteś dziś radosna jak poranne słońeczko, pani porucznik.

– Przepraszam – mruknęła Rachel. – Myślałam właśnie o moich starych. Wiecie, o rodzicach.

Natoli przysunęła sobie krzesło, poklepała Rachel po ramieniu i zaczęła terapeutyczną opowieść o małżeństwach wszystkich pięciu sióstr, jakimi los ją obdarzył, oraz swoich własnych planach jak najszybszego powrotu do Nowego Jorku, gdzie zamierzała odszukać swoich dziadków i nakłonić ich do zainwestowania w akcje IBM. Julia krążyła po małym gabinecie, który mieścił sześć stanowisk komputerowych oraz wielką tablicę. Nguyen zapisywała na niej istotniejsze wydarzenia, które miały nastąpić w tej rzeczywistości w ciągu następnych dwóch miesięcy.

– Sama jedna nad tym pracujesz, Rachel? Nie masz nic przeciwko temu, abym zwracała się do ciebie po imieniu? – spytała Duffy, wykorzystując przerwę w rodzinnej opowieści Natoli.

– Nie. To moje imię. W tym programie uczestniczą trzy osoby, jeden Jankes i jeden Angol, ale

chwilowo siedzę tu sama. Wszyscy mamy doktoraty z historii albo zamierzamy je dokończyć, gdy wygrzebiemy się z tego bagna.

– Nie wyglądasz na aż tak starą – zauważyła Duffy.

– Jestem dopiero w trakcie pisania pracy. Za kilka miesięcy miałam mieć obronę. Wychodziłam już z siebie.

– A teraz proszę, możesz prowadzić badania, które na pewno ci się przydadzą. – Duffy wskazała kciukiem na tablicę. – Można powiedzieć, że wygrałaś los na loterii.

– Wam chyba się tutaj podoba – stwierdziła Rachel, poruszona dobrym nastrojem obu kobiet.

– To dzięki antydepresantom – wyjaśniła Duffy ze słodkim uśmiechem. – Zajrzyj do nas kiedyś, gdy przestają działać. Zobaczysz nas w bardzo podłych humorach.

– Dlaczego więc tu przyszłyście? – spytała Nguyen. – Kolhammer obiecał przysłać pomoc, ale nie wspominał nic o cywilach.

Duffy wzruszyła ramionami.

– Nie pozwolili nam skontaktować się z naszymi szefami. Chociaż z drugiej strony, większość z nas pewnie nie ma już pracodawców...

Natoli wzniosła oczy do nieba.

– No to zgłosiłyśmy się do pomocy. Miałyśmy do wyboru albo to, albo dać się zamknąć w kabinach. Zapewne uważają, że siedząc w nich, możemy najmniej zaszkodzić. Najpierw kazali nam napisać kawałek wyjaśniający miejscowym, jak się tu znaleźliśmy. Zajęło nam to całe dwie godziny. Teraz nie mamy nic do roboty, a nie chce mi się wracać do kabiny, aby gapić się do wieczora na gatki Rosanny wiszące na suszarce.

– Dobra – powiedziała Rachel. – Miałyście jakąś historię na studiach?

– Nie – odparła Duffy.

– Ja chodziłam na wykłady monograficzne z legend staroislandzkich – uśmiechnęła się Natoli.

– Świetnie – stwierdziła Rachel. Sprzątnęła papiery z klawiatury i weszła na fleetnet. – Naszym zadaniem jest wyszukiwanie informacji o zdarzeniach, które powinny mieć miejsce w ciągu kilku najbliższych tygodni we wszystkich teatrach działań wojennych. Zaczęliśmy od zasobów naszej sieci, bo tak jest szybciej, no i zdobyliśmy całkiem sporo materiałów...

– Włącznie ze wspomnieniami i tak dalej? – spytała Natoli.

– Zgadza się. Gdy już je wykorzystamy, sięgniemy jeszcze po słowo drukowane. – Wskazała na leżące w kącie kartony z książkami. – Na razie jednak sieć pochłania nas w zupełności.

– A znasz może kogoś z grupy fizyków? – spytała Duffy. – Chciałybyśmy nieco wzbogacić nasz materiał.

– Owszem, mam tam kogoś – powiedziała Nguyen, kiwając głową. – Nie dają żadnej nadziei. Zasada jest prosta. Istnienie nieskończonej liczby światów równoległych zostało zaakceptowane przez naukę jeszcze w czasach Einsteina, przynajmniej jako teoria. Inżynieria piany kwantowej jest na tyle prosta, żeby opisać ją w „Popular Science” Nawet ja czytałam coś na ten temat.

– A ja pisałam. Dla dodatku weekendowego – rzekła Duffy. – Myślałam jednak, że badania laboratoryjne prowadzone są tylko w mikroskali. Do głowy by mi nie przyszło, że ktokolwiek zdoła przepchać przez dziesiątki lat byle mysz. A co dopiero całą grupę bojową z lotniskowcem.

– Wygląda na to, że się myliłaś – stwierdziła Natoli.

– No to „Times” będzie musiał zamieścić sprostowanie.

– Naprawdę uważacie, że nie uda nam się zbudować takiego urządzenia jak to, które nas tu przysłało? – spytała Natoli, licząc na najmniejszą chociaż iskierkę nadziei.

– Może za pięćdziesiąt albo sześćdziesiąt lat. Teraz na pewno nie.

– Ale wiecie, co to oznacza? – powiedziała Duffy. – Utkniemy w średniowieczu, moje panie. Oni tutaj nie słyszeli jeszcze o feminizmie ani o kobiecym orgazmie.

– Nie wierzysz, że uda nam się wrócić? – dopytywała się uparcie Natoli.

– Chciałabym – odparła Rachel. – Moi rodzice naprawdę się o mnie martwią.

– A ty wstąpiłaś do marynarki, aby ich uspokoić? – spytała Duffy.

– Lubię surfować po sieci. – Rachel wzruszyła ramionami. – Pomyślałam, że w marynarce będę miała na to więcej czasu. Chyba byłam głupia.

– Co więc mamy robić, pani porucznik? – spytała Natoli, klaszcząc w dłonie, aby nieco rozładować atmosferę.

Rachel oprzytomniała, wstała i podeszła do tablicy.

– Okay. Dzisiaj jest dziewiąty czerwca. W Czechosłowacji Niemcy zniszczą wioskę o nazwie Lidice. Będzie to odwet za zabicie przez przetrzuconych z Anglii czeskich partyzantów pewnego dostojnika SS nazwiskiem Heydrich. Mieszkańcy wioski w większości zginą, tysiące innych Czechów trafią w ciągu następnych paru tygodni do obozów zagłady.

– Jezu – westchnęła Natoli. – I nic nie da się zrobić?

– Co na przykład? Nadać ostrzeżenie w CNN? Wysłać oddział piechoty morskiej? To całkiem inny świat.

– Nie możemy zagrozić Niemcom? Uświadomić im, że wiemy, co zamierzają?

– Roześmieją nam się w twarz – odparła Rachel. – Naszych już poinformowaliśmy. Odpowiedź brzmiała: „Przykro nam, ale jest wojna” Nikogo nie obchodzą takie drobiazgi.

– Drobiazgi! – wykrzyknęła Natoli.

– Właśnie tak. Ta wojna ma pochłonąć pięćdziesiąt milionów istnień. Trudno przejmować się jedną wioską, i to zamieszkaną przez ludzi o nazwiskach niemożliwych do wymówienia. Jest wojna i takie rzeczy się zdarzają.

Nguyen spojrzała ponownie na tablicę.

– Jutro Flota Pacyfiku zostanie wzmocniona o lotniskowiec *Wasp* i kilka krążowników oraz niszczycieli. Miało to wyrównać straty poniesione z rąk Japończyków podczas bitwy o Midway, obecnie jednak wyrówna trochę rachunek sił po naszych zatopieniach. Również jutro feldmarszałek Rommel przełamie wraz z Afrika Korps brytyjską obronę pod Gazalą. W dwudniowej bitwie zniszczy trzysta dwadzieścia brytyjskich czołgów. Jak się domyślicie, to bardzo zainteresowało naszych przyjaciół. Brytyjczycy mają tutaj niewielką placówkę, która od samego początku dobija się o wszelkie możliwe szczegóły. Dlatego właśnie pozostałych akurat nie ma – dodała, wskazując na puste krzesła. – Wyjaśniają Angolom, gdzie i kiedy uderzy Rommel. Może skorzystają z tej wiedzy i wygrają, może i tak dostaną w dupę. Zobaczymy. Niemniej wiadomo na pewno, że nasza obecność zmieni przebieg tej wojny i z czasem przydatność naszych informacji będzie coraz mniejsza.

– To się już stało – powiedziała Natoli.

– Tutaj tak, ale fale zmian nie rozeszły się jeszcze zbyt daleko. Japończycy zapewne ciągle próbują zrozumieć, co właściwie zaszło. Im nie ma kto wyjaśnić tego wszystkiego, co my przekazujemy Nimitzowi i Spruance’owi.

– No i chyba nie mają naszych okrętów przed nosem – dodała Duffy.

– Miejmy nadzieję, że nie – mruknęła Rachel. – Ale wracając do tablicy. Jedenastego czerwca Niemcy zaczną minowanie wschodniego przybrzeża USA...

– Czy ktoś jeszcze ma wrażenie, że znalazł się w Strefie Mroku? – spytała Natoli, nawiązując do tytułu fantastycznego serialu telewizyjnego.

– Codziennie i w każdej chwili – westchnęła Nguyen. – O tym miejscowi też chcą wiedzieć jak najwięcej. Chcieliby wyłapać niemieckie okręty podwodne, ale nie mamy dość dokładnych informacji o ich położeniu. Archiwa nie są kryształową kulą.

– A gdybyśmy im w tym pomogli? – spytała Natoli.

– Admirał King byłby twoim dozgonnym przyjacielem, gdybyś wpadła na pomysł, jak to zrobić.

– A kto to?

– Obecny głównodowodzący US Navy. Nader niemiła osoba. Chciałabym zobaczyć jego spotkanie z Kolhammerem. Zaraz po naszym przybyciu Nimitz rozmawiał z nim przez telefon. Bicie trzy godziny. Wyszedł z tego cały posiniaczony.

– Myślisz, że King przyjmie jakąkolwiek radę od pary dziewczyn w spódnicach od Prady? Od cywili na wysokich obcasach?

– Sądzę, że przede wszystkim winni jesteśmy to historii – stwierdziła Rachel i w końcu się uśmiechnęła. – Może sięgniecie do tych kartonów? Gdzieś na dnie tego największego leży cała sterta wspomnień i biografii. Może będziecie miały szczęście i traficie na książkę kogoś, kto służył w straży ochrony wybrzeża albo na niszczycielach.

Dziennikarki ślęczały nad książkami przez kilka godzin, jednak nie odniosły większych sukcesów. W porze lunchu cała trójka udała się do głównej mesy. Na ten sam pomysł wpadło już prawie tysiąc osób z załogi i większość miejsc była już zajęta. Dosiadły się więc do stolika z parą marynarzy opiekujących się grupką gości z *Enterprisea*. Tymczasowy personel z zewnątrz przypominał dzieci podczas pierwszego dnia w szkole – wystraszone dzieci, które usiłowały nie okazywać tego po sobie. Wyjątkiem był pewien młodzieniec włoskiego pochodzenia, który nałożył sobie kopiasty talerz krabowego lasagne i pałaszował je tak, jakby miał to być ostatni posiłek w jego życiu.

– Masz już jakieś plany na później, gdy to się skończy? – spytała Natoli, posypując parmezanem szpinak z ravioli. Parmezan był tylko *grana*, nie *reggiano*, ale danie i tak wyglądało apetycznie. – Bo ja chcę odszukać praciotkę Tulę i poprosić ją, aby nie wychodziła za prastryjka Ala.

– Ale co będzie wtedy z twoimi kuzynami? – spytała Nguyen, dobierając się do wielkiego hamburgera. – Nie przyjdą na świat.

– Cholera. Rzeczywiście. O tym nie pomyślałam.

– Ja nie wiedziałabym nawet, gdzie szukać mojej rodziny – powiedziała Rachel. – Pewnie mieszkają gdzieś w delcie. Tyle że teraz to terytorium japońskie.

– A ja coś napiszę. Dam tytuł „Polityka seksualna” Albo „Kobiocy eunuch” – zadeklarowała Duffy. – Dopóki wojna się nie skończy, pewnie nikt nie zwróci na niego uwagi, ale potem... Pomyślcie tylko, ile kobiet możemy uratować przed zamknięciem w kuchni, i to już w latach pięćdziesiątych.

– A może one chcą dać się tam zamknąć? – spytała Rosanna.

– Jasne – mruknęła Duffy. – Na jakieś dwadzieścia minut. Potem to przechodzi.

– Czyli co? Fałszywa świadomość społeczna w sensie marksistowskim? – powiedziała Nguyen i uśmiechnęła się. – Zawsze wiedziałam, że w redakcji „Timesa” jest masa komuchów o przedpotopowych poglądach.

– Ale ja mówię poważnie – stwierdziła Duffy. – Na razie jesteśmy wszyscy razem. Żyjemy według naszych reguł, tak jak wcześniej. Ale co będzie, gdy zjawię się w redakcji „Timesa” i będę

chciała z powrotem moje biurko? Spojrzą tylko raz na moje cycki...

– Dwa razy – wtrąciła Natoli. – Masz świetny biust.

– ...potem pewnie pogłaszczą mnie po głowie...

– Po tyłku.

– Dobra, poklepią po tyłku i wskażą drzwi.

Siedzący niedaleko miejscowi zauważyli już hałaśliwą grupkę kobiet. Chwilę później pojawiła się przy ich stole dziewczyna w dresie piechoty morskiej.

– Można? – spytała, przystając obok z tacą. – Jesteście reporterkami?

Przytaknęły.

– Tak myślałam. Słyszałyście już, co się stało?

Pochyliła się ku nim, jakby chciała przekazać coś w sekrecie, ale mówiła na tyle głośno, aby słyszeli ją wszyscy wkoło.

– Kazali Kolhammerowi pozbyć się z załóg wszystkich kobiet i wszystkich kolorowych, jeżeli grupa ma uczestniczyć w walce. Wyobrażacie to sobie? Powinnyście o tym napisać.

Przekazawszy pogłoskę, kobieta odeszła, nie czekając na odpowiedź.

– Naprawdę? – spytała Natoli, patrząc na Rachel.

– Skąd mam wiedzieć? Nie mam dostępu do wszystkich źródeł. Idę o zakład, że ona też nie. Ale jeśli miejscowi spróbują czegoś podobnego, czeka ich zimny prysznic. Kobiety to trzydzieści procent personelu. W całej grupie tylko sześć procent to biali, a i oni nie poprą tej bandy bigotów i nie wystąpią przeciwko swoim towarzyszom.

– Naprawdę masz ich za bigotów? – spytała Duffy, ścisząc głos.

– Nie. To tylko ignoranci. Nie czytali jeszcze twojej książki.

– Julia, idzie twój ulubiony troglodyta – powiedziała Natoli. – Prosto z tundry.

Komandor Black, w świeżo uprasowanym mundurze, przemykał między stolikami. Uśmiechnął się do Natoli i ucisnął dłoń porucznik Nguyen, chociaż w pierwszej chwili zdumiał go widok kobiety o azjatyckich rysach ubranej w mundur.

– Mam kilka dni wolnego – zwrócił się do Duffy. – Dali mi też pokój w Moanie. Pomyślałem, że może chciałabyś pojechać do miasta i trochę popływać. Jeśli zna się drogę, można przemknąć pod drutem kolczastym na plaży.

– To bardzo miło z pańskiej strony, komandorze. Szybki pan jest, słowo daję – zaśmiała się Duffy.

Black nie wiedział, co odpowiedzieć. Wyglądał jak człowiek, który uwikłał się w wymianę zdań z osobą myślącą o wiele szybciej od niego.

– Jeszcze chwila, a umrze pan z zakłopotania, poruczniku Black – zakpiła dobrotliwie Duffy. – Spokojnie. Chętnie pojedę, o ile znajdzie się miejsce także dla Rosanny. Na razie jednak pomagamy Rachel w jej pracy. Jeśli chce pan poparadować po Honolulu ze swoimi brankami, musi pan najpierw się do nas przyłączyć.

Teraz dopiero Black poczuł się naprawdę nieswojo. Spłonił się po korzonki włosów. Sześciu marynarzy z *Enterprise'a* zamarło jak gromem rażonych. Teraz już otwarcie gapili się na dwie kobiety w cywilnych ubraniach.

– Boże, Julia, nie rób mu tego – pisnęła Natoli. – Daniel, nie przejmuj się. Moja przyjaciółka ma dzisiaj dziwne poczucie humoru. Bawi się z tobą jak kot z myszą. Osobiście radziłabym nie pozwalać jej na to. Najlepiej przyłóż jej maczugą i zaciągnij za włosy do swojej jaskini. Tam sama pogna do kuchni i zanim połapie się w czymkolwiek, będzie rodzić dzieci w tempie ekspresowym.

Black sam nie wiedział, czy powinien się roześmiać, czy może raczej podkulić ogon i uciec. Bez dwóch zdań, kobiety przy stole bawiły się jego kosztem.

– Może lepiej będzie, jeśli damy wam spadochrony i zrzucimy na Tokio – powiedział w końcu. – Dwa dni z takimi wiedźmami wystarczą, aby Japońce zaczęły błagać nas o litość.

– Nie, o ile wiedzą, jak dobrze traktować dziewczynę – stwierdziła Duffy.

– Może mógłbym się czegoś od nich nauczyć – mruknął Black i spojrzał na Rosannę. – Panno Natoli, pani też jest zaproszona. Admirał Spruance chciałby porozmawiać z wami obiema. Nic wielkiego, po prostu obiad i pogawędka. Przypuszczam, że Spruance ciekaw jest przyszłości.

25

Lotnisko Hickam, Hawaje, 8 czerwca 1942, godzina 06.10

Jim Davidson nie dowierzał swojemu szczęściu. Po pierwsze, uświadomiono go, że jednak ma żyć. Ktoś z załogi *Leyte Gulf* przeszukał fleetnet i ustalił, że nazwisko Jima figurowało na liście poległych na pokładzie *Astorii* podczas bitwy koło wyspy Savo. Która miała zostać stoczona już za kilka tygodni.

– Chyba powinieneś się cieszyć, że to my skopaliśmy wam dupę – powiedział dowcipnie gość z przyszłości.

Jim jednak nie widział w tym nic śmiesznego. Na dwa dni wyłączył się z życia i ożywił dopiero wtedy, gdy Mohr przekazał wszystkim, że po przybyciu do Pearl zostaną przeniesieni na ląd. Nie było

dla nich miejsca na ocalałych jednostkach. Wówczas zaczął się zastanawiać, jak wynieść za ogrodzenie i opchnąć wszystko, co podebrał z *Leyte*. Oraz ile ma szansę za to dostać. Był pewien, że zgarnie dość, aby wreszcie się urządzić i znaleźć sobie spokojne miejsce, z dala od wojny. Miejsce stosowne dla kogoś o jego talentach.

Zaraz po przybiciu do kei skierowano ich do tymczasowych kwater w namiotach wzniesionych na wypalonym polu trzciny cukrowej, jakąś milę od lotniska Hickam. Trochę go to zdeprymowało, bo przypomniało czasy, gdy był członkiem gangu. Niemniej nie mieli na razie nic do roboty, co było mu bardzo na rękę.

Musiał tylko znaleźć sposób, aby dostać się na Hotel Street w Honolulu. Mając kilka godzin, na pewno coś by wymyślił. Niestety, na razie nie wystawiano żadnych przepustek. Ktoś stwierdził, że to z powodu paru Japońców z przeszłości, którzy mieli podobno uciec, ale Jim był pewien, że to bujda. Marynarka trzymała ich tutaj, bo po prostu nie wiedziała, co z nimi zrobić.

Ratunek przybył z całkiem niespodziewanej strony. Mohr zaproponował Moose'owi Molloyowi, aby zgłosił się na ochotnika do przeniesienia dobytku paru poległych oficerów z hotelu Moana. Jim natychmiast udał się do bosmana.

– Chyba w konia mnie robisz, Davidson – powiedział bosman. – Chcesz się urwać na lewiznę? Zapomniałeś, jaki z ciebie leń?

– Bez takich, szefie – jęknął Jim. – Jeszcze trochę, a zdechnę na tym polu. Trzy dni już tu tkwimy i drapiemy się po jajach. Moje są już całe w strupach. Niech mnie pan puści. Już praca jest lepsza niż to siedzenie.

Mohr bez wątpienia wiedział, co jest grane, ale uznał, iż dobrze będzie trochę popuścić cugli. Żywił nadzieję, że najczarniejsza owca w oddziale sama wykopie pod sobą dołek.

– Okay, Davidson. Ładuj się do autobusu razem z Moose'em i Barnesem. Tylko lepiej, żebym nie przyłapał cię na próbie kradzieży czegoś z majątku po nieboszczykach.

– Okradać zmarłych? – oburzył się Jim. – To nie ja, szefie – dodał i zaraz pobiegł do szkolnego autobusu przemalowanego na czas wojny na zielono.

– Tak, wyłudzenie czeków od staruszek jest bardziej w twoim stylu, draniu – mruknął bosman, patrząc za odchodzącym.

Jazda do Honolulu nie trwała długo. Jim nie mógł opanować śmiechu na wspomnienie tych wszystkich dupków, którzy z zazdrością patrzyli na wyjeżdżającą grupkę i nawet próbowali biec za dychawicznym autobusem, prosząc, aby ich też zabrać. Mohr miał oko na podopiecznego, niemniej gliniarze przyjrzeni mu się jeszcze uważniej. Jim wiedział jednak, że jeśli wpasuje się w ich wyobrażenia o podobnych do siebie typkach, będzie bezpieczny. Zaczął więc raczyć współpasażerów opowieściami na temat swoich poprzednich wypraw. Mohr poczuł się w końcu znudzony tymi bzdurami i przestał się nim interesować. Jim nawijał przez całą drogę do hotelu.

– Spójrz no tylko – powiedział Moose ze szczerym podziwem, gdy wysiedli przed hotelem. Czterdziestoletni budynek był usytuowany frontem do plaży Waikiki. Przed wojną służył najbogatszym turystom, podobnie jak Royal. Uchodził za jedno z najwytworniejszych miejsc w Honolulu. Dno morskie przy plaży zostało nawet wysypane piaskiem, aby bogacze nie pokaleczyli stóp o koralowce.

Po grudniowym japońskim ataku miejsce turystów zajęli oficerowie marynarki, a piękna plaża została przegrodzona zasiekami z drutu kolczastego.

Jim dał Moose'owi kuksańca pod zębra.

– Co ci mówiłem o oficerach?

– Aby ich kochać, szanować i słuchać – wtrącił się Mohr, klepiąc Jima w plecy. – Cierpliwości, Władimir, światowa rewolucja musi poczekać. Na razie trzeba trochę podźwigać.

W sumie praca nie była szczególnie ciężka. Czekał na nich szereg kufrów i paczki z rzeczami osobistymi. Mieli załadować je na ciężarówki podesłane przez dział intendencji zajmujący się porządkowaniem spraw poległych. Chociaż zdarzały się i ciekawostki, jak wielki mahoniowy stół, który jakiś pilot przywiózł z Chin, sobie tylko znanym sposobem pokonując z nim dwie granice. Trzeba było aż sześciu chłopów, aby ruszyć mebel z miejsca.

Davidson nie raz i nie dwa miał ochotę zwinąć jakiś drobiazg, ale wiedział, że lepiej nie kusić losu. Mohr miał oczy z tyłu głowy i na pewno czekał tylko na okazję. Nie, w razie potrzeby Jim potrafił być cierpliwy. Konsekwentnie udawał, że chodziło mu tylko o wyrwanie się z pola. Był pewien, że jeśli póki co nie podpadnie, w końcu zyska dość swobody, aby załatwić swoje.

Nosił więc ciężary razem z innymi, razem z nimi pocił się, kłął i narzekał na oficerów, którzy muszą mieszkać po królewsku, i plótł niestworzone historie, w jakich to wytwornych miejscach zdarzało mu się przebywać. O wpół do szóstej Mohr zagonił ich z powrotem do autobusu, chociaż pracy zostało jeszcze na kilka godzin. Capstrzyk był jednak już o osiemnastej i Mohr nie chciał się spóźnić.

W drodze powrotnej w autobusie było znacznie ciszej, a rozmowy dotyczyły głównie Midway i tego, co przyniesie niedaleka przyszłość.

– Słyszałem, że Smithy dostał nowe serce – powiedział ktoś z końca pojazdu. – Takie mechaniczne, jak zegarek. Całe z metalu i drutu.

– Bzdura – rzucił ktoś inny. – Przecież by w nim zardzewiało.

– Nie – odezwał się Mohr. – To akurat prawda. Byłem u niego. Leży w szpitalu okrętowym na tym wielkim lotniskowcu. Rozcięli mu klatkę piersiową, wyjęli stare serce i wsadzili nowe, zrobione z jakiegoś niezwykłego plastiku czy czegoś tam. Twierdzą, że będzie biło nawet sto lat po jego śmierci.

– A ja słyszałem, że oni wszyscy mają w sobie maszyny, które pozwalają im rozmawiać ze sobą

bez otwierania ust.

– Bujda.

– I jeszcze potrafią wyhodować ci nową skórę i nowe mięśnie, i nowe włosy, jak cię postrzelą...

– Albo cię poparzy.

– Zgadza się. I mają specjalną galaretkę, którą nakładają na oparzenia. Widzieliście ją? Cuchnie strasznie, ale zaraz przestaje się czuć ból. A gdy zejdzie, nakładają nową skórę wyhodowaną w specjalnej kuwecie. I nie ma potem śladu po oparzeniach.

– A jak się pomylą i dadzą komuś czarną skórę, chociaż powinien dostać białą? Głupio by potem wyglądał. Jak zebra.

– Nie ma mowy – odezwał się poważnie Moose. – Czarne nie przyjmie się na białym. To dwa różne typy. Gdyby ktoś pomylił krew białego z krwią czarnego, pacjenta by to zabiło.

Moose poczuł się dumny z wymyślenia takiej analogii. Dla niego było to coś całkiem logicznego.

– Wracamy jutro dokończyć robotę? – spytał Jim.

– Nie wiem, Davidson. Innym też przyda się pewnie trochę urozmaicenia.

– Pieprzyć ich – zawołał ktoś z tyłu, oszczędzając Jimowi wysiłku. – To lenie. Też mogli się dzisiaj zgłosić. Dlaczego ich nagradzać?

Mohr powiedział, że pomyśli o tym.

– A czy ktoś słyszał, że oni mają też pigułki, po których człowiekowi stoi trzy dni bez przerwy? – odezwał się Jim.

* * *

Następnego dnia słońce paliło równie niemiłosiernie, ale Jim czuł się tak szczęśliwy, że bezwiednie zaczął chodzić równie swobodnie jak kiedyś, gdy był królem przedmieścia. Zgubił ten charakterystyczny krok, gdy trafił przed sąd i został zmuszony do wstąpienia do marynarki. Ale tego ranka było inaczej.

Robotę w Moanie skończyli o dziesiątej trzydzieści i bosman Mohr zrobił coś, co nie miało precedensu: dał im wolne na resztę dnia. Byli swobodni jak ptaki aż do siedemnastej. Jim szybko pozbył się Molloya i ruszył prosto ku Hotel Street. Powiadano, że zagłębianie się w tę dzielnicę Honolulu było równie niebezpieczne jak atakowanie japońskich okopów. Można było tu oberwać tak

od gliniarzy, jak i od elementu, przy czym ci drudzy byli bardziej skuteczni. Przy wąskim chodniku ciągnęły się rzędem obskurne spelunki i burdele. Wkoło widać było wykidajłów, konfidentów, patrzących wilkiem Kanaków, żandarmerię marynarki, prostytutki z syfilisem, pijanych marynarzy... Wiele było sposobów, aby napytać tu sobie biedy.

Jim Davidson poczuł się jak w domu.

Stanął na końcu długiej kolejki przed jednym z tańszych burdeli i pozostał tam, aż bosman Mohr zniknął we wnętrzu baru Wo Fats. Potem mruknął pod nosem, że od tak długiego czekania można dostać obrzęku jąder, i poszedł sobie, sprawiając wrażenie, że poszuka szybszej obsługi.

Chwilę później zniknął jednak we wnętrzu starego magazynu Dole Pineapple Company, który od czasu zeszłorocznego pożaru stał pusty. Przebrnąwszy przez poczerńiałe rumowisko, wyszedł na wąską i cichą uliczkę na tyłach. Stanął pośród psych kup, stłuczonego szkła i niedopałków i czekał.

Starczyła niecała minuta. Kilka jardów dalej, zza skraju zastępującej mur pordzewiałej blachy falistej, wysunęła się ciemna dłoń. Metal zaskrzypiał, gdy ktoś przesunął go po ziemi. Z otworu wyjrzał olbrzymi Maorys ze skomplikowanym tatuażem pokrywającym całą twarz. Od jego prawego ucha biegła w dół biała blizna, która zniekształcała wzór, marszczyła skórę na szyi i znikwała pod brudnym T-shirtem. Wyprostował się z taką miną, jakby chciał kogoś zamordować, ale gdy ujrzał Jima, uśmiechnął się szeroko, ukazując braki w uzębieniu.

– Cześć, Tui – rzucił Jim. – Wielki Itchy jest u siebie?

– Zrobił się taki gruby, że nie możemy już przepchnąć go przez drzwi – zaśmiał się Tui. – Ciągle je jak szalony.

– I ciągle ma pragnienie jak smok?

– Jakbyś zgadł.

Jim znalazł drogę wśród psych odchodów i podszedł bliżej. Sięgnął do kieszeni i wyciągnął buteleczkę burbona.

– Z pozdrowieniami dla wielkiego człowieka – powiedział. – Przepraszam, że tylko tyle.

– Ze wszystkim jest teraz trudno – stwierdził Tui z promiennym uśmiechem i klepnął białego ciężką łapą w ramię.

Razem precyzyjnie się przez dziurę i weszli na małe podwórko. Płat blachy wrócił na miejsce. Tui wziął shotgun, pozostawiony przy otworze.

– Widziałeś coś z akcji pod Midway? – spytał, gdy szli przez podwórko do biura.

– Byłem w samym środku tego, co tam się działo, przyjacielu – odparł Davidson, uderzając w brodę wierzchem dłoni. – Dlatego tu przyszedłem.

– To prawda, co mówią o tych gościach?

– Zależy, co mówią, bracie.

Tui rozejrzał się na boki, jakby obawiał się, że ktoś może ich śledzić.

– Że przybyli z przyszłości i mają promienie śmierci i superrakiety. I ich kobiety są z nimi i też walczą.

Jim roześmiał się.

– To bliższe prawdy, niż oczekiwałem. Tak. Spotkałem ich, byłem na jednym z ich okrętów. Opowiem wszystko u Itchyego, ale i tak mi nie uwierzysz.

– A te kobiety? Słyszałem, że mają kobiety o wszystkich kolorach skóry.

– Ale ty jesteś poinformowany. Tak, owszem, ale tu jest pewien szkopuł. To nie są po prostu dupy. Na tym statku, na który mnie zanosło, kapitanem była Murzynka. Azjatki, Meksykanki i Murzynki są oficerami. Mówię ci, głowa tylko mi latała. Bóg jeden wie, jak oni mogą pracować w tych warunkach.

– Pieprzysz.

– Ani trochę, brachu. Przyniosłem coś. Zobaczysz.

– Kapitanem była Murzynka, mówisz – mruknął Tui. – Myślisz, że to ta sama, którą znaleźli na plaży razem z Japońcem? Może Klan to zrobił. Teraz na wyspie pełno jest chłopaków z Południa.

Jim wzruszył ramionami. Słyszał czterdzieści trzy różne wersje tego, co miało się zdarzyć kapitan Anderson, ale mało go to obchodziło. To nie była jego sprawa.

Dotarli do biura, drewnianego domu z ręcznikami zamiast zasłon w oknach z powybijanymi szybami. Tui zatrzymał się gwałtownie.

W odróżnieniu od podwórka i całej okolicy, w środku było czysto, schludnie i nawet wygodnie. Wnętrze wydawało się przestronne, większe nawet niż powinno. W rzeczywistości główny pokój sięgał w głąb budynku na sąsiedniej parceli, gdzie mieścił się skład drewna, też część imperium Itchy'ego.

Dopóki nie groziła im japońska inwazja, dopóty wojna dobrze wpływała na interesy Itchyego. Przez wyspę przewijały się tysiące poborowych, wysyłanych potem do Australii i na Wyspy Salomona, a to oznaczało całą rzekę pieniędzy. Na dodatek byli to o wiele lepsi klienci niż sknery przylatujące przed wojną na pokładzie *China Clipper*. Z drugiej strony, w mieście pojawiła się masa uzbrojonych mundurowych, którzy potrafili zabijać i nie mieli zamiaru bać się goryli Itchy'ego. Po łomocie, jaki Tui i chłopaki dostali od nich parę razy na Hotel Street, Itchy musiał wycofać się z hazardu i skupić bardziej na barach, burdelach i drobnych oszustwach. Szybko też się przekonał, że jeśli będzie uprzejmy i da żołnierzowi napić się i podupczyć, ten sam odda mu potem swoje

pieniądze.

Pod ścianami stały jego narzędzia pracy: skrzynki skradzionego alkoholu, papierosów i artykułów żywnościowych. Dziewczyny tutaj nie zaglądały. Zwykle w ogóle nie wychodziły ze swoich przybytków. Jim wiedział, że pod biurkiem szefa kryje się sejf, a to znaczyło, że był naprawdę zaufanym człowiekiem. Osoba niepowołana nie pożyłaby długo z tą wiedzą. Wielki Itchy trzymał w sejfie każdego dolara. Nie ufał bankom. Banki były pełne Żydów.

– *Aloha*, Jimmy – przywitał go ważący dwieście czterdzieści funtów gangster, który siedział na fotelu dokładnie nad swoim bogactwem. – Żyjesz. To dobrze. Wojna już się skończyła.

– Nie. Raczej nabiera rozpędu.

– To czekają nas tłuste lata.

– Z każdym dniem będzie coraz lepiej.

Jim rozpiął koszulę. W pokoju było poza nim sześciu mężczyzn – Itchy, Tui i czterech milczących osiłeków. Itchy był szczególnym pracodawcą. Wszystkim dawał równe szanse. Jako syn białego plantatora i miejscowej dziewczyny nikogo nie dyskryminował. Jeżeli ktoś potrafił strzelać albo rzucać nożem i trzymał gębę zamkniętą, mógł spokojnie patrzeć w przyszłość. Z tych czterech, którzy stali bez słowa, gdy Jim rozpiął koszulę, jeden był Kanakiem, jeden miejscowym Japończykiem, dwaj byli biali.

Pod koszulą Jim był cały obandażowany.

– Jakiś mąż cię przyłapał? – spytał Tui.

Jim tylko się uśmiechnął. Sięgnął do wybruszenia bandażu pod prawą pachą i szarpnął plastry. Po chwili trzymał w dłoni flexipad.

– Sporo roboty, żeby przenieść pudełko cygar – powiedział Itchy. – Co tam masz? Złoto?

– Nie – odparł Jim, zdejmując resztę bandażu. – Niemniej owszem, ten drobiazg wart jest swojej wagi w złocie. Patrzcie.

Umiał już dość dobrze obsługiwać urządzenie, włączyć je i w kilka sekund załadować plik mp3 z filmem *Casablanca*. Podał flexipad zaintrygowanemu gangsterowi, a sam włożył z powrotem koszulę. W pokoju rozległa się ścieżka dźwiękowa filmu. Głośno i bardzo wyraźnie. Niektórzy podskoczyli lekko, ale zaraz zegrali się za szefem.

– Cholera! Słyszałem o tym – powiedział jeden z białych. – To najnowszy film Bogarta. Podobno świetny.

– Tak, ale lata miną, zanim go tutaj zobaczymy – dodał Japończyk.

Ekran był raczej niewielki, ale obraz ostry. Słoczeni wkoło kryminaliści cieszyli się jak dzieci.

– A masz może coś z Edwardem Robinsonem? – spytał jeden z nich. – Uwielbiam jego filmy. To było genialne, jak posprzątał z pistoletem maszynowym całą ekipę.

– Więc to prawda – powiedział Tui. – Oni cofnęli się w czasie.

– Raczej poniosło ich w bok, jak mówią.

– Nie rozumiem.

– Chyba nikt tego do końca nie rozumie – odparł Jim. – Ale w sumie, co za różnica? Są tutaj. Przytargali całą masę różnych cudów, w tym i to coś. Ludzie zapłacą za to każde pieniądze. I za informację o nich też. Nie do wiary, ile oni wiedzą. – Jim roześmiał się. – Pomyśl tylko, Itchy, jakie to otwiera możliwości.

Korpulentny gangster niechętnie oderwał spojrzenie od ekranu. Reszta, poza Tui, gapiała się dalej na film.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Ta maszynka nazywa się flexipad. To nie tylko miniaturowe kino, ale także telefon, chociaż nie działa najlepiej teraz, gdy nie mają sieci satelitarnej. – Ostatnie słowo wypowiedział powoli, aby na pewno się nie przejęzyczyć. – Może też robić jako automatyczna biblioteka. W dwie minuty obliczy podatki za cały rok – dodał z uśmiechem, budząc powszechną wesołość. – Ich lekarze mają takie flexipady, którymi wystarczy przesunąć nad ciałem, aby dowiedzieć się, czy ktoś jest chory, a jeśli, to na co. Mają też na nich gry. Pokażę wam je, inaczej mi nie uwierzycie. Przede wszystkim jednak trzymają tam masę informacji.

– Znowu te informacje. O czym ty gadasz? Myślisz, że potrzebne mi promienie śmierci? Mój stary shotgun świetnie mi służy.

– Nie o to chodzi – rzekł Davidson. – Chociaż promienie też by się przydały; chyba znam paru chłopaków z syndykatu, którzy byliby zainteresowani. Przede wszystkim myślę jednak o naprawę cennych informacjach. Nie chciałbyś na przykład znać nazwisk zwycięzców derbów Kentucky w ciągu najbliższych pięciu lat?

Wszyscy zamarli. Niektórzy nawet przestali oddychać.

Jim wyciągnął rękę po flexipad. Zamknął film z Bogartem i wywołał stronę, którą sam załadował wcześniej z fleetnetu. Nigdy jeszcze nie był tak dumny z siebie jak wtedy, gdy mu się to udało. Wykorzystał cały swój spryt, aby zostać dopuszczonym do klawiatury, i szybko odkrył, że posługiwanie się podobnym sprzętem naprawdę wymaga inteligencji. Pierwotnie chciał odszukać wyniki rozgrywek piłkarskich, ale niczego nie znalazł. Założywszy zatem, że wśród tysięcy marynarzy powinien trafić się chociaż jeden miłośnik wyścigów, zaczął nowe poszukiwania. Tym razem udane.

– Rzecz w tym, że musimy działać szybko. Na pewno ktoś jeszcze wpadnie na ten pomysł, może już za parę dni. Ściągnąłem, ile mogłem, i zapisałem wszystko tutaj. Wyniki są w folderze

„Zwycięzcy” Ja nie mogę pójść do bukmachera, ale ty tak. Musimy zrobić tyle zakładów, ile tylko się da. Również i dlatego, że niebawem przyszłość zacznie się zmieniać. Wielki Itchy pokiwał powoli głową.

– Zgadza się. Kto by chciał się ścigać, jeśli wszyscy i tak będą znali wyniki?

– Tacy jak my – powiedział Jim. – Nie jest powiedziane, że wszyscy będą je znali.

– Chcesz oszukać swoich? – spytał gangster. – Nie do wiary, Jimmy. Nigdy nie miałem cię za samobójcę. Gdy tylko odkryją, co wymyśliłeś, przyjdą po swoje pieniądze i obetną ci jaja w ramach procentów.

– Raczej tego nie zrobią. Po prostu nie uwierzą. Przynajmniej na razie. Tak więc, gdybyśmy wykupili ze trzydzieści wielkich zakładów w różnych miejscach kraju, nikt nie będzie niczego podejrzewał. Zyskamy za to sporo kasy na kilka innych kombinacji, które chodzą mi po głowie.

– Na przykład? – spytał Itchy, z każdą minutą coraz bardziej zainteresowany.

– Proponuję, abyśmy usiedli i rozpiłi tę butelczynę, a wszystko wyjaśnię. Przede wszystkim, idą zmiany. Nie tylko dlatego, że jest wojna. Ten, kto będzie wiedział, jak to wykorzystać, znajdzie się na szczycie. Myślę w tym wypadku o sobie. I o tobie. I o was wszystkich – dodał, przyciągając uwagę obecnych w pokoju.

– Dobra, porozmawiamy. Mądrzy ludzie powinni rozmawiać, a ja mam siebie za mądrzejszego od innych – powiedział Itchy. – Słyszałem, że ci goście mają masę forsy.

Jim pochylił się w ich stronę i spojrzał po kolei na każdego, zanim znowu się odezwał.

– Szeregowiec ich piechoty morskiej zarabia na początku trzydzieści pięć tysięcy rocznie – oznajmił cicho. – To dziesięć razy więcej, niż my wyciągamy.

Westchnienia i gwizdnięcia świadczyły o tym, że są pod wrażeniem. Nawet Itchy podszedł do sprawy z szacunkiem.

– I jak mamy położyć ręce na tej forsie? Normalnie? Bo rozumiem, że oni też potrzebują popić i zabawić się jak wszyscy?

Po raz pierwszy Jim jakby stracił trochę pewności siebie.

– Oni są nieco inni. Nie sądzę, aby znalazło się wśród nich wielu gotowych czekać dwie godziny przed jakimś zatechłym burdelem, aby potem załatwić szybko sprawę tam, gdzie inni cały dzień załatwiali to samo.

– Cioty czy co?

– Nie wiem. Może to przez te kobiety, które mają na okrętach. Może nie czują aż takiej potrzeby. Nie byłem z nimi dość długo, aby się przekonać. Sądzę jednak, że więcej zarobisz, dając im to, czego

oczekują.

Jim widział niemal, jak w głowie Itchy'ego zaczynają się obracać coraz to nowe trybiki. Pożałował, że nie poznał na wyspie nikogo z większą klasą, ale nie był u siebie. Musiał działać z takim materiałem ludzkim, jaki był pod ręką.

– Może by tak wysprzątać któryś z barów? – zaproponował gangster. – Ale tak porządnie. I dać tam najlepsze dziewczyny. Czyste i ładne. I niech sami zdecydują.

Jim udał, że się zastanawia.

– Widzę jeden problem – powiedział po chwili. – Impreza na sto procent skończy się burdą.

– I co z tego? Codziennie się leją.

– Tak, ale oni tego też nie lubią.

– Niech to, naprawdę cioty, jak pragnę zdrowia. Z drugiej strony, jeśli tak, to trochę zaoszczędzę. Co rusz wydaję masę forsy na nowe stołki, które różni idioci rozbijają sobie na głowach.

– Jak uważasz, Itchy. Chcesz otworzyć nowy bar? To twój interes. Ale też i ryzyko. A tutaj nie ryzykujesz. – Uniósł flexipad. – Dogadamy się zatem?

– Tui, zajmiesz się tym nowym barem – powiedział Itchy do swojej prawej ręki. – Weź paru chłopaków, zamknijcie Czarnego Psa, wyrzućcie cały szmelc ze środka i wyremontujcie lokal pod gust bardziej wyrafinowanej klienteli. Takich gości, co nie sikają do wanny.

– Jasne, szefie.

– A ty, Jimmy, weź papier i ołówek i spisz co trzeba z tej swojej kryształowej kuli. Od kiedy wróciliście, marynarka odcięła wszystkie połączenia, ale jestem pewien, że do wieczora znajdziemy czynną linię, aby pogadać z Zachodnim Wybrzeżem. Tyle starczy?

– Idealnie, chłopie.

USS Hillary Clinton, Pearl Harbor,

9 czerwca 1942, godzina 11.43

Meksykański alfons w garniturze jak z kiepskiego filmu wpakował detektywowi Lou „Busterowi” Cherry'emu kulę kalibru.38 prosto w udo i chociaż zaraz potem stracił głowę, która zmieniła się w krwawą miazgę, detektyw nie doszedł już w pełni do siebie. Noga wygoiła się po pół roku, ale nadal kulał i nie mógł przebiec więcej niż parę jardów. Co pewien czas zdarzało się też, że blizna

wyrzucała kolejne odłamki kości albo pozostałości pocisku gangstera.

Po Pearl Harbor detektyw próbował zaciągnąć się do wojska, ale uznano go za trwale niezdolnego do służby i odesłano z powrotem do policji.

Tak jakby praca na glinowni nie była służbą!

Tyle dobrego, że ucieszono się z jego powrotu. Wielu młodych odeszło do armii albo marynarki i do roboty zostali tylko starzy i trochę cherlawych osobników z płaskostopiem, których nigdzie indziej nie chcieli.

Noga pulsowała bólem, hemoroidy dokładały swoje. Głowa łupała niemiłosiernie po dwudziestce bimbru, którą osuszył wieczorem. I w tym stanie musiał wspinać się po niebotycznych schodach na tej olbrzymiej łajbie, aby dopilnować krojenia trupów jednej Murzynki i jej żółtego chłoptasia, chociaż normalnie od takich rzeczy była miejska kostnica. Nie rozumiał, dlaczego kazali mu tłuc się aż do Pearl, do tych dupków z innego czasu.

Zaraz przy trapie pokazał odznakę jakiemuś Meksykaninowi, który sprawdził jego nazwisko w tym flexi-coś-tam, które tutaj nosili, i pokazał mu wejście na trap. Było kurewsko gorąco i już teraz koszula kleiła mu się do pleców. Znowu zaczął bardziej kuleć, dzwony we łbie odezwały się jeszcze głośniejsze. Musiał przystanąć, aby zaczerpnąć powietrza, a gdy uniósł głowę, wydało mu się, że stoi u stóp jakiejś parszywej góry ze stali.

Na samym szczycie czekał marine, tyle że była to kolorowa kobieta, nawet nie czysta Murzynka. Nosiała dres z naszywką USMC. Zasalutowała i kazała mu iść za sobą. Tyle dobrego, że wyglądała na niezłą dupę. W podobnych sprawach Buster był ogólnie rozrywkowym gościem i starał się nie marnować żadnej okazji.

Minęli jakieś maszyny i brygady robocze. Sam mógł się przekonać, że pokład lotniskowca został poważnie uszkodzony.

I dobrze, pomyślał. Dołożyliśmy im.

Z tego, co słyszał, te dupki posłały na dno całą masę dobrych chłopaków. Niektórzy twierdzili, że to jakieś roboty były odpowiedzialne za ich śmierć, ale Buster miał wątpliwości. Ci dranie tutaj cały czas trzymali palec na spuście.

Musiał prawie ciągnąć nogę po pokładzie, aby nadażyć za przewodniczką, ale nie miał najmniejszego zamiaru prosić jej, aby zwolniła. Pewnie celowo tak gnała, aby pokazać mu, kto tu rządzi. Czarno widział przyszłość swego kraju, jeśli takie mieszańce jak ona miały być kiedyś przyjmowane do marines.

Nikt nie zwracał na niego najmniejszej uwagi, ale pewnie przywykli już do podobnych wizyt.

– Dobrze się pan czuje, detektywie? – spytała kobieta, oglądając się na niego. – Może panu pomóc, sir?

Teraz, gdy się przyjrzał, wydało mu się, że płynie w niej krew Apaczów i Chińczyków.

– Nie martw się o mnie, laleczko – odpowiedział i puścił do niej oko, wlokąc się po nagrzanym, jakby gumowatym pokładzie. – Oszczędzam tylko siły.

Spojrzała na niego chłodno, zupełnie bez emocji.

Pieprz się, pomyślał.

Zacisnął zęby i, forsując chorą nogę, ruszył, jak mógł najszybciej. Nic już nie mówiąc, zaprowadziła go do pierwszej z dwóch smukłych nadbudówek, które górowały nad pokładem. Musiały to być wysepki podobne do tych, które widział na *Enterprisie* i innych amerykańskich lotniskowcach. Jeden z nich stał niecałą milę dalej. Przy okręcie obcych wyglądał jak łódka.

W środku było przyjemnie chłodno. Zamiast palącego słońca z jakichś tajemniczych źródeł sączył się łagodny blask. Teraz poczuł się jeszcze gorzej w przepeconej koszuli i spodniach, które paskudnie wpijały się w krocze. Całe ubranie nadawało się tylko do chińskiej pralni, ale odkładał wizytę tamże już od paru tygodni i sam musiał przyznać, że po prostu śmierdzi.

Wszystko popieprzyło się po tym postrzeleniu.

Chociaż może jeszcze wcześniej, gdy Lauren go zostawiła, trzy lata temu.

Cóż, ona też niech się pieprzy.

Korytarz ciągnął się całe mile i detektyw co rusz musiał przechodzić przez wysokie progi drzwi wodoszczelnych. Potem przyszło mu wspinać się po jednych, drugich i piątych metalowych schodach. Marsz był dla niego piekłem z powodu nogi, ale postanowił, że ta dziwka nie usłyszy od niego żadnej skargi. Nie da jej tej satysfakcji i nie zostanie w tyle.

Gdy był już bliski kapitulacji, skręcili w boczny korytarz, który biegł chyba w poprzek okrętu. Za kolejnym zakrętem stanęli przed ciężkimi wahadłowymi drzwiami, które były chyba z gumy albo czegoś podobnego.

Widniały na nich litery WCIU, ale Cherry od razu poznał charakterystyczny smród. To musiała być ich kostnica.

* * *

Kapitan Margie Francois czuła się w laboratorium Działu Badania Zbrodni Wojennych jak w domu. Przez ostatnich piętnaście lat pracowała już w dwóch podobnych miejscach. Wysoka Komisja Praw Człowieka ONZ przyznała jej nawet odznaczenie za identyfikację członków irańskiej „brygady specjalnej” działającej podczas drugiej wojny irańsko-irackiej. Brygada ta została powołana

specjalnie do dokonywania systematycznych gwałtów i szerzenia w ten sposób terroru wśród zwykłych Irakijczyków.

Francois była oczywiście w pierwszym rzędzie lekarzem Marine Corps, przeszła jednak w Quantico przeszkolenie kryminalistyczne, które zostawiło trwałą ślad w jej psychice, niemalże emocjonalną bliznę.

Czekając na detektywa Cherryego, robiła, co mogła, aby zachować zimną krew. Wraz z nią w kostnicy było pięć osób: doktor Brumm z biura koronera w Honolulu, asystent Crew reprezentujący Biuro Prawnika Okręgowego, komandor Helen Wassman, były lekarz pokładowy z *Leyte Gulf*, porucznik Mitsuka, najstarszy ocalały oficer z *Siranui*, i kapitan Hugh Lunn z Działu Prawnego lotniskowca *Hillary Clinton*. Lunn był równocześnie szefem Zespołu do Spraw Zbrodni Wojennych. Na razie nie występował jeszcze w tej roli, ale i tak był najstarszym funkcyjnie prawnikiem w całej grupie bojowej.

Wszyscy czekali na Cherry'ego.

Kostnica nie była projektowana z myślą o podobnie licznych komisjach, zrobiło się więc trochę tłoczno. Wszyscy obecni nosili maseczki chirurgiczne, ale jedynie obie lekarki założyły też rękawice i fartuchy. Brumm i Crew milczeli. Wyraźnie źle się czuli w obecności Mitsuki. Francois podejrzewała też, iż obu im nie odpowiada rola widzów w sytuacji, gdy autopsję miały przeprowadzać dwie kobiety. Niemniej zdumienie, z jakim Brumm spoglądał na wyposażenie prosektorium, dyskwalifikowało go jako ewentualną pomoc.

Nagie ciała Anderson i Miyazakiego leżały na stalowych blatach pośrodku pomieszczenia. Japoński oficer zeszywniał w postawie wyprostowanej, jego stopy były skierowane prosto na drzwi wejściowe. Krew spłynęła do dolnej połowy ciała, która była obecnie prawie brunatna, górna zaś wydawała się biała jak wosk. Miejscami zdążyła już zzielenieć.

Anderson wyglądała gorzej. Jedną dłoń miała zaciśniętą w pięść, prawa noga była przyciągnięta do brzucha. Lewa była wyłamana do tyłu w kolanie. Ktoś musiał użyć wielkiej siły. Ciemna skóra sprawiała, że zielonkawe plamy nie były dobrze widoczne, ale i ona przypominała woskową figurę. Wszyscy starali się omijać wzrokiem intymne części ciał obu ofiar. To, co z nimi się stało, było najgorsze.

Francois ponownie spojrzała na zegar. Mieli już kwadrans spóźnienia. Czowała, jak jej twarz z wolna czerwienieje ze złości. Nie знаła ofiar osobiście, ale do każdej autopsji podchodziła zawsze tak, jakby chodziło o kogoś jej bliskiego. Dlatego właśnie odmówiła wielu prośbom o udział w komisjach badających zbrodnie wojenne. Zbyt dużo ją to kosztowało.

– Detektyw Cherry został w zeszłym roku postrzelony w nogę – powiedział Crew. – Ma trudności z chodzeniem.

– To nie mogli wysłać kogoś innego? – spytała Francois, ledwie skrywając irytację.

Crew wzruszył ramionami.

– Brakuje im ludzi. Po Pearl masa glińiarzy wstąpiła do wojska, a ta sprawa z urzędu należy do Cherry'ego. To on zajmuje się sztywnymi... ciałami wyrzuconymi przez fale na plażę.

Francois już miała wytknąć mu nieodpowiedni język, gdy drzwi otworzyły się nagle i detektyw Cherry wtoczył się do środka.

Rany, ale okaz, westchnęła w duchu Francois.

Nigdy jeszcze nie widziała kogoś tak bliskiego zawału czy z podobnym zaawansowaniem choroby wieńcowej i marskości wątroby równocześnie. I Bóg wie, z czym jeszcze.

Rzeczywiście, utykał wyraźnie, jednak to był bez wątpienia najmniejszy z jego problemów zdrowotnych. Palce miał pożółkłe od nikotyny, brzuch wylewał się za pasek spodni na co najmniej dwadzieścia pięć centymetrów. Oddychał chrapliwie niczym zwierzę złapane w uścisk węża dusiciela. Twarz miał pokrytą plamami wątrobowymi i wrzodami. Do tego wszystkiego cuchnął. Francois nie wiedziała, co było gorsze, ten smród czy odór jego potu zmieszany ze starym zapachem papierosów i całkiem świeżymi oparami niestrawionego alkoholu.

– To jest ta szczęśliwa parka? – spytał, wskazując na stoły.

– Buster, proszę – powiedział cicho Crew.

Wassman i Mitsuka spojrzeli na niego z wyraźną niechęcią. Francois pomyślała, że jeszcze chwila, a zrobi coś z tym błaznem.

– Jeśli dobrze się pan czuje, detektywie, możemy zaczynać. W razie czego proszę przysunąć sobie stołek.

Cherry zapłonął oburzeniem na tę propozycję. Założył masywne ręce na piersi i pokręcił głową.

– Proszę się o mnie nie martwić, doktorku. Może mam trochę nadwagi, ale robaki będą musiały jeszcze na mnie poczekać.

– A cóż to za poufałość? – spytała lodowato Wassman. Cherry wzruszył ramionami, co sprawiło, że cała jego potężna postać nieco się zatrzęsała.

– Nic. Taki zwrot, siostró – powiedział.

Francois odetchnęła głęboko, zanim się odezwała.

– Komandor Wassman nie jest pańską siostrą, tylko lekarzem pokładowym Marynarki Stanów Zjednoczonych, detektywie.

Cherry uśmiechnął się. Zęby miał niemal tak samo pociemniałe od nikotyny jak palce.

– Jak powiedziałem, doktorku, to tylko takie wyrażenie. Kobietom, które mają robić sekcję, przyda się trochę rozluźnienia, żeby nie trafiły potem do domu bez klamek.

Atmosfera zagęszczała się coraz bardziej. W końcu kapitan Lunn wstał z ławy i spytał:

– Może byśmy już zaczęli?

Brumm i Crew pokiwali głowami i mruknęli, że nie mają nic przeciwko temu. Francois spojrzała lodowato na Cherry'ego i włączyła aparaturę rejestrującą.

– Mówi kapitan Margaret Francois z Korpusu Piechoty Morskiej Stanów Zjednoczonych. Mam przeprowadzić autopsję ciała kapitan Daytony Anderson, byłego dowódcy USS *Leyte Gulf*.

Potem wymieniła dla potrzeb nagrania z imienia, nazwiska i funkcji wszystkich obecnych.

– Zaczynam od ogólnych oględzin obiektu badań. Anderson była czterdziestodwuletnią kobietą afrykańskiego pochodzenia. DNA pobrane z ciała zgadza się ze wzorcem przechowywanym w archiwach US Navy. Na prośbę miejscowych władz porównaliśmy także uzębienie oraz odciski palców, także z pozytywnym wynikiem. Ciało zostało ponadto zidentyfikowane jako należące do kapitan Anderson przez komandor Wassman, oficera pokładowego z USS *Leyte Gulf*.

Francois umilkła na chwilę. Brumm i Crew zostali wcześniej wprowadzeni w kwestię wykorzystania DNA podczas badań kryminalistycznych i zgodzili się przyjąć rzecz na wiarę. Cherry domagał się badań odcisków palców i uzębienia. Nie miała ochoty z nim dyskutować.

Gliniarz oparł się o gródź i przyglądał jej uważnie. Francois pochyliła się ponownie nad ciałem Anderson.

– Głowa ofiary nosi ślady uderzenia tępym narzędziem. Lewa powieka jest opuchnięta i zamknięta, skóra przzerwana, na czole widać przebicie kości czaszki. Wstępne oględziny wskazują na pęknięcie szczęki, które zostało spowodowane innym uderzeniem, zadany z przeciwnego kierunku, to jest z prawej strony ofiary. Na szyi widać wyraźnie ślady po sznurze. W klatce piersiowej znajdują się dwa otwory wlotowe po pociskach dużego kalibru, które utkwily zapewne w sercu ofiary. Prawa ręka nosi ślady drgawek przedśmiertnych. Pięść jest zaciśnięta, a pierwsze dwa palce wydają się przemieszczone; może to być skutek uderzenia zadanego przez ofiarę w obronie własnej. Na trzecim palcu prawej dłoni ofiara ma pierścionek.

Francois sięgnęła po podświetlane szkło powiększające zamontowane przy stole na wysięgniku. Skinęła na Brumma i Crewa, aby też obejrzel pierścień, który pod szkłem wydawał się wielki niczym piłka.

– Gdy spojrzycie uważnie, panowie, dostrzeżecie małe skrawki ciała, które pozostały na nieregularnościach szlif. Możliwe, że uderzonym był napastnik. Wówczas mogliśmy uzyskać próbkę jego DNA.

Detektyw Cherry wyprostował się nagle.

– Hola, skąd możemy wiedzieć, że to ten sam, który ją zabił? Słyszałem, że na jej okręcie była porządna burda. Mogła przyłożyć wtedy i tuzinowi różnych chłopaków. Może wasze laboratoria są lepsze niż nasze, ale chyba nie ma co wyciągać zbyt pospiesznych wniosków?

Francois pokiwała głową.

– Owszem. Dlatego powiedziała, że to może być tkanka napastnika. To wszystko, detektywie.

– Dobra – mruknął Cherry, spuszczać z tonu. – Bo przecież równie dobrze to może być ślad po nim. – Machnął mięsistą łapą w kierunku ciała Miyazakiego. – Pewnie cała ta afera to skutek kłótni kochanków.

– Chwila... – zaczęła Wassman.

Francois chrząknęła znacząco i położyła rękę na ramieniu koleżanki.

– Mogę pana zapewnić, detektywie, że kapitan Anderson nie miała romansu z porucznikiem Miyazakim.

Cherry wzniosł oczy do nieba.

– Tylko proszę mi nie wmawiać, że nikogo nie miała. Francois spojrzała na niego wzrokiem jadowitej kobry. Wyłączyła na chwilę nagrywanie.

– Kapitan Anderson była gejem.

Cała trójka miejscowych wybałuszyła oczy.

– Kim? Chce pani powiedzieć, że była pogodna z natury? – spytał Brumm, nawiązując do znanego mu znaczenia tego słowa w języku angielskim.

Kapitan Lunn pokręcił głową. Wassman zakłęła pod nosem.

– Kapitan Anderson była lesbijką – powiedziała.

Oczekiwała zdumienia, może zakłopotania, jednak reakcja detektywa Cherry'ego ją zaskoczyła. Wybuchnął śmiechem.

– Trzy w jednym? Murzynka, kobieta i jeszcze zбочzona. Boże, co się stało z Ameryką?

Honolulu, 9 czerwca 1942, godzina 15.34

Eddie Mohr siedział w barze Wo Fats, ulubionym lokalu bosmanów i chorążych, i cieszył się już ostatnim z dwóch piw, które wolno było mu codziennie wypić. No i robił za gwiazdę. Obok siedziało paru starych matrosów chętnych do wysłuchania opowieści o dziwnym losie *Astorii*.

– Naprawdę, to było jak pełzanie po labiryncie – powiedział do powątpiewających słuchaczy. – Przez całe pieprzone życie nie widziałem czegoś podobnego. Na dodatek te ich karabiny rozdzierały ludzi na sztuki niczym grizzly. Tyle że gdy pocisk trafił w metal albo drewno, rozpadał się w pył. Powiedzieli potem, że to były ceramiczne pociski. Paskudna sprawa, słowo daję. Bud Kelly dostał jednym i jego łeb zaraz zmienił się w siekaną wątróbkę.

– Sukinsyny – powiedział ktoś.

– Z drugiej strony, Kelly za życia nie wyglądał o wiele lepiej – zauważył Pete Craven.

Kilka uśmieszków pozwalało sądzić, że nie była to całkiem nietrafna opinia. Craven, pokryty tatuażami były robotnik portowy, obecnie służący na *Enterprisie*, uniósł kufel.

– Za bosmana Kelly’ego.

Cała grupka powtórzyła za nim toast.

Wkoło rozlegał się znajomy gwar Wo Fats, równie niezmienny i wieczny jak szum morza. Ludzie przeklinali i śmiali się. Kufle uderzały o siebie, czasem tłukły się z brzękiem. Gramofon chodził non stop i głośniki chrypiały *Goodbye Mama, I’m off to Yokohama* oraz *Let’s Put the Axe to the Axis*. Ręcznie malowany plakat informował o odbywających się przez cały sierpień w kantynie specjalnych seansach filmu *Podwójne życie Andy’ego Hardy’ego*.

Mohr wyjął kolejnego camela z paczki i cisnął ją z powrotem na stół, między smętnie puste kufle, niedopałki cygar i papierosów oraz kałuże rozlanego piwa.

– A mówiłem wam, jak marynarz Finch dostał słusznie w pysk? – rzucił w przestrzeń.

Pete Craven wydmuchnął siwy dym na blat stołu.

– Jak dotąd tylko ze cztery razy – powiedział. – Słyszałeś, że ona się przekręciła? Ta Anderson. Murzynka. Twierdzą, że ktoś się z nią zabawił.

Mohr zamarł z kuflem w połowie drogi do ust.

– Pieprzysz! To była ona? Kurwa! Słyszałem, że którąś z ich kobiet wyrzuciło na brzeg razem z jednym żółtkiem, ale nie sądziłem, że to o nią chodzi.

W zamyśleniu pociągnął łyk z kufła.

– Rany, naprawdę szkoda – powiedział po chwili. – Anderson nie była wcale taka zła. Jak na czarną oczywiście.

Pozostali obecni nie zareagowali, ale ich milczenie też było wymowne. Nie mieściło im się w głowach, aby czarna kobieta mogła znaleźć się na stanowisku kapitańskiego. Owszem, to, że została zamordowana, mogłoby ich zaciekawić, podobnie jak chętnie posłuchaliby o okolicznościach tego zdarzenia. Przede wszystkim jednak zaskoczył ich Eddie Mohr. Nie dość, że posmutniał, słysząc o jej

śmierci, to jeszcze stwierdził, że była w porządku. To mogło zaniepokoić.

Cisza, która zapadła przy ich stoliku, zaczęła rozszerzać się na resztę lokalu. Gwar milknął. Głowy gości zwracały się w kierunku drzwi. Chwilę później słychać było jedynie głos Sammy'ego Kaye'a zawodzący *Remember Pearl Harbor*.

Mohr wstał, aby dojrzeć coś ponad dziesiątkami ogolonych, kwadratowych łbów. Po chwili dostrzegł trzy sylwetki stojące zaraz za progiem. Sądząc po kroju mundurów, musieli być z jednego z okrętów Kolhammera. Zdziwił się, bo przecież mieli trzymać się swoich hoteli, Moany i Royała. Czując wiszącą w powietrzu awanturę, zaczął przepychać się w ich stronę. Po chwili przekonał się, że niestety, miał rację.

Cała trójka, dwóch białych i jeden czarny... Afroamerykanin, poprawił się w myślach Mohr, była już wyraźnie wkurzona, kilka stóp przed nimi sterczała zaś przyczyna tego wkurzenia: sierżant marynarki z sześcioma kumplami, którzy blokowali gościom drogę do wnętrza.

– Kurwa – mruknął Mohr pod nosem i przyspieszył kroku. Niestety, na ten sam pomysł wpadła spora część obecnych i tłum skutecznie utrudnił mu dotarcie do miejsca rodzącego się konfliktu. Kątem oka zauważył, że barman położył na kontuarze wielokroć już używanego Sluggera.

Mohr podzielał jego niepokój. Zbyt wiele razy widział już podobne sceny, aby mieć jakieś wątpliwości. Zaraz robi się gorąco.

Przepychał się energicznie, aby usłyszeć, o co chodzi. Jeden z gości, biały marine, wyklócał się z sierżantem, który wsparty przez kumpli zagradzał ramieniem przejście. Chłopak starał się wyjaśnić, że jego dziadek pił w tym barze przed transportem na Iwo Jimę, gdzie zginął. Na sierżancie nie zrobiło to wrażenia.

– Może, ale teraz nie ma tu twojego pierdolonego dziadka, ty chuju – oznajmił podoficer. – A gdyby nawet był, też by cię nie wpuścił z tym czarnuchem. To lokal tylko dla białych.

Ku zdziwieniu Mohra to nie czarny marine uderzył pierwszy, ale biały, ten, któremu obrażono dziadka. Osilek, który stanął im na drodze, mógł mówić o pechu.

Owszem, był podpity, ale Mohr gotów był przysiąc, że nawet trzeźwy jak świnia i przygotowany na atak nie miałby najmniejszych szans. Ręce tamtego nagle jakby zniknęły, zmieniając się w coś rozmazanego, po czym rozległo się głośnie łupnięcie i głowa sierżanta odskoczyła do tyłu, a jego zęby rozleciały się po całym barze. Smuga krwi pokonała kilka metrów i z plaśnięciem trafiła w plakat zapowiadający film o Hardym.

Sala zafalowała i runęła do przodu. Z setek gardeł wydarły się głośnie okrzyki. Mohr usłyszał jeszcze, jak igła potraconego przez kogoś gramofonu przebiega ze zgrzytem w poprzek rowków płyty. Potem tłum cofnął się nagle jak odbita fala przyboju. Wiele osób straciło równowagę, część odrzuciło do tyłu. Ludzie przewracali się jeden na drugiego albo zderzali z impetem, rozlewając cenne drinki i depcząc sobie po nogach. Kto mógł, pracował łokciami, aby zyskać trochę miejsca. W ruch poszły też pięści.

Szybko zapomniano, o co właściwie poszło. Górę wzięły zadawnione i chwilowe animozje. Mohr uchylił się odruchowo przed przelatującym stołkiem, który wyrznął w lustro za jego plecami. Poza brzękiem tłuczonego szkła słychać było nieartykułowane wrzaski oraz przekleństwa urozmaicane trzaskiem łamanych mebli i hukem pękających butelek. Pandemonium dopełniały głuche uderzenia pięści i tupot ciężkich butów.

Ze dwa tuziny klientów zdecydowały się pomścić sierżanta i rozprawić z nowo przybyłymi. Mohra to nie zdziwiło. Bez wątpienia większość obecnych krew zalewała na samą myśl, że czarny miałby siedzieć z nimi przy barze. Inni szukali pomsty za Midway. Część zaś po prostu lubiła się bić.

Jednak jeśli komuś należało tu współczuć, to właśnie im. Ruszając na obcych z pięściami, nie byli nijak przygotowani na spotkanie z metodami walki, o których przeciętny Amerykanin z 1942 roku nawet jeszcze nie słyszał. Trójka przy wejściu nie traciła czasu na dramatyczne gesty, tylko szybko i skutecznie czyniła niezdolnym do poruszania się każdego, kto był na tyle głupi, aby ich zaatakować.

Eddie Mohr na długo zapamiętał wyraz ich twarzy. Nie krzywili się, nie miotali obelg. Nie byli nawet wystraszeni. Ich oblicza wydawały się całkiem obojętne, jakby duchem byli gdzie indziej. Walczyli jak maszyny. Znowu to pierdolone Midway, pomyślał Mohr.

Jakiś Seabee* podszedł do nich po swojemu. Chwycił butelkę piwa Royal, obtłukł ją o krawędź baru i ruszył z mordem w oczach. Podłogę przed nowymi gośćmi zaścielali jęczący pechowcy trzymający się za zmiążdżone łokcie i kolana. Zahamowali inżyniera na tyle, że zmienił kierunek i zamiast pierwszego z brzegu, zaatakował czarnoskórego marine. Ten odbił cios ręką, potem pociągnął rozpędzonego napastnika ku sobie, zablokował go biodrem i unosząc jego rękę na wysokość brody, szarpnął butelkę, łamiąc mu nadgarstek. Gdy tamten krzyknął z wściekłości i bólu, marine nieco się obrócił i uderzył łokciem w łokieć inżyniera. Mężczyzna zemdłał, zanim zdążył krzyknąć po raz wtóry.

Mohrowi wydało się, że marines budują barykadę z ciał pokonanych. Radzili sobie o wiele lepiej niż ktokolwiek w barze, i to przy minimalnym nakładzie sił. Chyba bez trudu mogliby rozpędzić we trzech całą imprezę, jednak wyraźnie nie przyszli tu dla rozrywki. Metodycznie i nie zważając na przeszkody, torowali sobie drogę do wyjścia.

* * *

Dan Black i Julia właśnie biegli, gdy zauważyli dym wzbijający się w niebo nad Honolulu. Dokładniej rzecz biorąc, Dan przegrywał sromotnie po lekkomyślnym zaproponowaniu Julii wyścigu. Rosanna próbowała go ostrzec. Uprzedziła, że Duffy trzy razy brała udział w nowojorskim maratonie, za każdym razem przybiegając do mety wśród pierwszego tysiąca uczestników. Black nie wierzył jednak, aby jakakolwiek kobieta mogła być lepsza niż on, ustalili zatem, że najpierw będą się ścigać, potem popływają. Przegrany miał przez cały wieczór stawiać całej czwórce drinki w Moanie. Dan uznał, że dla Julii nie będzie to problem, skoro sama stwierdziła, że zwykle nosi przy sobie koło

czterystu dolarów. Miejscowi właściciele sklepów i lokali dostali polecenie, aby honorować dziwne plastikowe banknoty obcych.

Po pierwszej mili pojął, że ma kłopoty. Julia biegła lekko, jakby nigdy nic, on zaś musiał walczyć o oddech, aby dotrzymać jej kroku. Po trzech milach wysforowała się nieco do przodu, odwróciła i zaczęła biec tyłem, robiąc mu równocześnie wykład o konieczności popularyzacji metod kontroli urodzin oraz wprowadzenia do konstytucji poprawki o równych prawach. Miał już skapitulować i przyznać się do przegranej, gdy nagle wyraz jej twarzy się zmienił.

Zwolniła, a po chwili się zatrzymała. Gdy zrównał się z nią, wskazała w stronę Honolulu.

– Ruszajmy tam – powiedziała.

Odwrócił się i ujrzał dym. W pierwszej chwili pomyślał, że to nalot, ale przecież musieliby coś słyszeć.

– Jakies kłopoty – wydyszał, gdy zawrócili i w jeszcze trochę szybszym tempie pobiegli do miasta.

– Nie mów, Sherlocku.

Zanim dotarli do pierwszych zabudowań, Dan miał już dosyć. Lewą połowę ciała ogarnął trudny do zwalczenia ból, mięśnie nóg zaczęły łapać skurcze. Julia była spocona, ale poza tym w porządku.

Chociaż znajdowali się jeszcze dość daleko od centrum zamieszania, słyszeli już ryk gniewnego tłumu. Zamieszki zdawały się ogarniać miasto równie błyskawicznie jak pożar trawiący sawannę, a pojedyncze iskry padały jeszcze dalej. Gdy skręcili na główną ulicę, rzucił się na nich jakiś szaleniec z długim przedmiotem w dłoni. Dan ledwo zdążył zauważyć, że to noga od krzesła i że gość jest biały, w podartym cywilnym ubraniu, gdy Julia zakręciła się na jednej nodze, drugą zaś wyrzuciła przed siebie.

Niedoszły napastnik dostał prosto w dołek. Julia tymczasem ujęła jego przepecone włosy w obie dłonie i nakierowała twarz osobnika na swoje kolano. Po trzykrotnym, dość gwałtownym spotkaniu obu tych elementów cisnęła mężczyznę na ziemię, aby kopnąć go jeszcze dwa razy w zębra.

Przyklękawszy, wyrwała mu nogę od krzesła z dłoni i postawiła stopę na gardle.

– Teraz sobie pójdziemy – powiedziała. – Nie wstawaj, bo będę musiała rozwalić ci łeb. Okay?

Osobnik jęknął, kaszlnął krwią i słabo pokiwał głową. Dan był wstrząśnięty. Ona naprawdę zamierzała sprawdzić, co dokładnie się dzieje.

– Julia, poczekaj!

– Na co? – rzuciła. – Musimy się tam dostać.

Dan pokręcił głową.

– Nie, wcale nie.

* * *

Prywatnie detektyw Cherry nie uważał zabójstwa Murzynki i jej japońskiego chłoptasia za coś szczególnie złego. Wszystko, co widział i co słyszał o obcych, sugerowało, że należało przywołać ich do porządku.

Buster pracował w policji dwadzieścia trzy lata, z czego osiemnaście w Chicago, i nauczył się, że jeśli raz chwyciło się kogoś za kark, nie wolno było go puścić, aby samemu nie oberwać. Tak właśnie rzeczy się miały z czarnymi, meksami i wszystkimi innymi kolorowymi. Powinni wiedzieć, gdzie ich miejsce. Mnożyli się szybciej niż biali i nie mieli przed nikim respektu. Jeśli teraz dojdą do nich jeszcze wieści o całej tej bandzie supermurzajów, która jakimś cudem złapała Pana Boga za nogi, wyjdą z getta, aby zdobyć to samo, i kamień na kamieniu nie zostanie.

Buster był tego pewien, nawet jeśli myślał obecnie nieco wolniej za sprawą trzech wypitych po powrocie z autopsji szklaneczek burbona. Nie żeby widok trupów tak go poruszył. Bywało już, że prosto z prosektorium udawał się na lunch.

Tym, co nim wstrząsnęło, był cały okręt pełen zboczeńców.

Czuł się na tyle wzburzony, że zamiast wrócić na posterunek, skierował kroki na Hotel Street i zaszedł do Czarnego Psa, gdzie zawsze alkohol dostawał na kreskę. Obecnie rachunek przewyższał już zapewne jego roczne pobory. Nigdy jednak nie pomyślał, aby go uregulować, a właściciele lokalu jakoś go nie nagabywali.

Gdy tylko barman dostrzegł detektywa sunącego przez ciżbę gości, na kontuarze pojawiła się butelka Old Fitzgeralda w towarzystwie szklaneczki. Buster wychylił dwie w szybkim tempie, przy trzeciej zwolnił. Przywykł do gwaru panującego w podobnych miejscach. Czuł się w nich lepiej niż we własnym, coraz mniej przytulnym mieszkaniu. Próbował się uspokoić. Kilka razy kusiło go, aby przywołać tę kurwę Francois do porządku. Robiła coś, czego nie powinna, i patrzyła na niego jak na gówno, które przykleiło się jej do buta.

Na Brumma i Crewa nie mógł liczyć. Mieli związane ręce. Góra za bardzo naciskała w tej sprawie. Nawet sam szef wezwał Bustera i powiedział mu, że ma zrobić wszystko, aby jak najszybciej wykryć sprawców. Za wszelką cenę. Bez dwóch zdań wojsko dało mu popalić. Ostatecznie zaś wszystko skupiło się na Busterze.

Cóż, pieprzyć ich.

Nie dostrzegali, jak niebezpieczna jest ta banda, i jeszcze za to zapłacą. Buster potrafił rozpoznać ludzi pewnych swego. Ci na okręcie na pewno do nich należeli. Tysiąc do jednego, że już teraz próbowali zaprowadzać swoje porządki. W przeciwnym razie dlaczego szef wierciłby mu dziurę w

brzuchu o te dwa trupy? Kolorowym takie rzeczy przydarzały się często i dotąd nikogo specjalnie to nie poruszało.

Buster przygarbił się, czując wkoło coraz większy ścisk. Do Czarnego Psa pakowały się setki ludzi. Większość już była pijana. Byli też głupi, cuchnący i wrzaskliwi. Rozpychali się, jakby świat do nich należał. Jednak w gruncie rzeczy byli porządnymi ludźmi i wielu z nich miało niebawem zginąć. I za co? Za kraj, który miał zmienić się w jedno pierdolone getto.

Wychylił ostatniego drinka i zamierzał wyjść, gdy nagle usłyszał nowy wybuch wrzawy. Odwrócił się od baru i zobaczył, że goście gremialnie ruszają ku drzwiom. Na zewnątrz musiało dojść do jakiejś awantury. Mógł nie zwracać na nią uwagi. Ostatecznie to nie była jego sprawa. Poza tym widział już dość pijackich burd, aby nie mieć ochoty oglądać kolejnej.

Jednak rosnący zgiełk i coraz bardziej pustoszejący bar sugerowały, że to nie jest zwykła bijatyka. Bardziej wyglądało na zamieszki.

Sprawdził broń i ciężką skórzaną łamigłówkę, którą trzymał w tylnej kieszeni, i też skierował się do wyjścia.

Miał rację.

Na zalanej słońcem ulicy kotłowały się tysiące ludzi. Większość była w mundurach, ale nie wszyscy. Hałas ogłuszał jak ryk tłumu na stadionie. Z górnych pięter dwóch budynków po przeciwnej stronie ulicy sączył się dym, widać było płomienie. Tłum otaczał dwa stojące na jezdni jeepy. Błysnęły białe hełmy żandarmerii wojskowej. Normalnie Buster odszedłby, niech idioci mordują się nawzajem. Jednak alkohol i złość na tę wiedźmę zrobiły swoje.

Ktoś rzucił się na niego. Buster mierzył jednak sześć stóp i cztery cale, ważył sto dziewięćdziesiąt osiem funtów. Nawet pijany czy na kacu lepiej umiał się znaleźć w podobnych sytuacjach niż większość ludzi. Przewidział uderzenie, zanim jeszcze je poczuł, i zdążył wysunąć łokieć, tak że tamten nadział się na niego głową. Jednak nie był to czysty cios. Trafił w kość policzkową, która ustąpiła z chrzęstem, a gość i tak wpadł na Bustera, który trochę się zachwiał.

Detektyw ledwie zwrócił uwagę na padające ciało. Trwał jakby zatopiony we własnych myślach. Wyciągnął łamigłówkę z kieszeni. Była zrobiona z połączonych, grubych pasków skóry, długa na osiem cali, z ołowianym obciążeniem wszytym na końcu. Idealnie leżała mu w dłoni. Stojąc pośród tłumu walczących, nie miał wprawdzie zbyt wiele miejsca, ale to nie był problem. Zaczął umniejszać ich szeregi.

* * *

Eddie Mohr niewiele widział przez krew zalewającą mu oczy. Na ulicy ktoś drasnął go nożem.

Cięcie nie było głębokie, ale krwawiło paskudnie. Z czasów pracy ze starym wiedział, że to potrafi być niebezpieczne. Raz pewien gość, który oddzielał mięso, zranił się nożem tak ostrym, że nawet tego nie poczuł. Wykrwawił się na śmierć, oprawiając cielaka, i upadł w kałużę własnej krwi.

Zamieszki nie wygaszały, raczej rozprzestrzeniały się coraz bardziej. Eddiemu coraz bardziej się to nie podobało. Złamał palce na czymś łbie i kulał od kopniaka w tył kolana. Pora była się zbierać. Lada chwila MP mogli pojawić się w większej sile i rozpędzić całe zbiegowisko ciężkimi pałami. Jeśli dostaną jeszcze posiłki z Wielonarodowych, w ruch pójdą elektryczne pałki. Eddie nie miał ochoty oberwać czymś takim.

Stracił kontakt z pozostałymi chłopakami ze stolika. Cravena widział ostatni raz, gdy dureń rzucił się na jakiegoś kaprała z wojsk inżynieryjnych. Setki ludzi walczyły w ten sposób, padając jeden na drugiego, waląc na oślep i gryząc. Nie przypominało to wcale bójek, które ogląda się na filmach. Eddie utorował sobie drogę do wyjścia, używając sposobu, którego nauczył go stary. Chwycił stołek i zaczął nim wywijać, jakby chciał rozłupać czaszkę każdemu, kto podejdzie bliżej. Gdy ludzie odruchowo unieśli ręce, szybko go obniżył i przejechał stołkiem po kolanach, powalając ich jak łan zboża. Udało mu się to powtórzyć trzy razy, za czwartym mebel się połamał. Niemniej Eddie był już na zewnątrz.

Ulica była pełna kurzu, dymu i zgiełku.

Zmęczony już i ogłuszony tym wszystkim Mohr skulił się jak pięściarz i ruszył w bok. Przyjął kilka mało celnych ciosów na ramiona. Tuż przed nim spadła na ziemię płonąca część drewnianego daszku sprzed wejścia. Ludzie odskoczyli z krzykiem. Mohr zmienił nieco kierunek, skręcając w boczną uliczkę, która wyglądała trochę spokojniej.

Zaraz za rogiem, przed barem o nazwie Czarny Pies, zauważył jednego z bosmanów z *Leyte Gulf*. Gość miał mocno sponiewieraną twarz, ale przypominał Jose Borghina czy Borgu, czy jak tam się nazywał. Stał oparty o jakiś samochód i wyraźnie było z nim kiepsko. Mohr ruszył w jego stronę, ale nagle wpadł na niego ktoś w podartym i pokrzwawionym garniturze i powalił go na ziemię.

– Spieprzaj od tego wozu, dupku! – wrzasnął ktoś całkiem niedaleko.

Chwilę później dwa strzały z broni kalibru.38 albo nawet.45 prawie ogłuszyły Eddiego.

Na wpół oślepiony krwią i kurzem dojrzał jeszcze, jak Borghino osuwa się na ziemię. To chyba ten w garniturze strzelał. Mohr chciał się właśnie pozbierać i zrobić z nim porządek, gdy coś eksplodowało mu w głowie i świat pociemniał.

* * *

Po zamieszkach wstrzymano wszystkie wyjścia i zamknięty w obozie Jim Davidson cierpiał katusze, nie mając żadnych wieści od Itchy'ego. Był przy tym pełen niepokoju, że przejęty

zniszczeniem lokali przy Hotel Street gangster nie dopilnuje sprawy zakładów. Leżał na pryczy i przeklinał swoje parszywe szczęście, gdy usłyszał wołanie, że poczta przyszła.

Moose Molloy, który zajmował sąsiednią pryczę, zerwał się na równe nogi.

– Dalej, Jim, pocztę przynieśli.

– Wielka mi sprawa – rzucił obojętnie Davidson.

– Nie bądź taki. Niedługo nas stąd zabiorą. Słyszałem nawet, że mają wyrzucić czarnych z tamtych okrętów i dać nas na ich miejsce. To byłoby świetnie, nie? Wyobrażasz sobie, jak byłoby walczyć z Japońcami na takich łajbach? Mogliby nam skoczyć.

– Tak? A dziewczynki zostawią? O tym też coś mówili?

Moose nie usłyszał ironii w jego głosie.

– Nie – odparł poważnie. – Nie słyszałem nic o kobietach marynarzach. Ale nie sądzę, aby pozwolili nam je zatrzymać. Gdyby tylko się rozeszło, że dostaliśmy nowy okręt z nowymi dziewczynami, doszłoby do kolejnych zamieszek.

– Boże – mruknął Davidson. Wyciągnął spod głowy poduszkę i udał, że zamierza się nią udusić.

Moose odczekał cierpliwie minutę i ponowił pytanie, czy Jim zamierza wstać. Żołnierz rozdający pocztę był coraz bliżej.

– Dalej, Jim, może jakaś dziewczyna z Girl Guide przysłała ci ciastka.

– Wstanę dopiero wtedy, gdy przyśle zdjęcie swojej cipki.

– No wiesz!

Moose poczuł się wyraźnie urażony takim brakiem szacunku wobec Girl Guides of America. Sam uważał, że chronienie ich przed Japończykami było jednym z ważniejszych zadań, które miał do wypełnienia. Dla nich też tkwił na tym zapomnianym przez wszystkich polu.

– Powiem ci coś, Moose – odezwał się w końcu Jim. – Jeśli dostanę jakieś ciastka, to ty je przyniesiesz i podzielimy się.

– Obiecujesz?

– Na bank. Tylko daj mi trochę odpocząć.

Moose ruszył, pędzony nadzieją na darmowe ciastka. Davidson zastanowił się przez chwilę nad szybkim zwaleniem konia, ale nawet na to nie miał jakoś ochoty. Leżał na pryczy i drapał się po jajach, aż nagle coś przyszło mu do głowy. Sprawdziwszy, czy Moose na pewno sobie poszedł, wstał i sięgnął do torby po leżący na samym dnie flexipad. Trwało chwilę, nim go wyciągnął, ale miał już

pomysł, czego szukać.

Raz jeszcze odchylił połę namiotu. Nie dojrzał ani śladu Moose'a. Uśmiechnął się i włączył urządzenie. Posługiwał się już nim całkiem sprawnie i szybko znalazł stosowny plik. Stuknął kilka razy w ekran i niemal ogłuchł, gdy murzyński zespół zwany Death Row zaczął wykonywać przedziwny utwór pod tytułem *A teraz zgwałć tę dziwkę*. Tytuł intrygował Jima od chwili, gdy trafił na to coś poprzedniego dnia. Muzyka była tak pełna złości, że ledwo dawało się zrozumieć, o co chodzi.

Przyciszył nieco wycie i przez pełne dwie minuty przedstawienia kręcił głową. Musiał odsłuchać całość jeszcze trzy razy, zanim zrozumiał tekst, jednak gdy już mu się to udało, aż nim zatrzęsło. Po raz pierwszy w życiu poczuł się naprawdę urażony. Aż się zagotował od tych bredni, chociaż dotąd nigdy nie podejrzewał siebie o posiadanie czegoś na kształt zasad moralnych. Niemniej dźwiękowi towarzyszył jeszcze obraz. Nigdy nie widział tak tańczących kobiet. Czegoś takiego nie pokazywano nawet w najbardziej wyuzdanych burdelach Nowego Orleanu. Te cipki były jak grzejące się suki.

– Do diabła – mruknął Jim. – Ta przyszłość nie jest jednak taka zła.

Obejrzał jeszcze jeden filmik Death Row. Brzmiało to tak podobnie, że zamknąwszy oczy, nie odróżniłby tej piosenki (o ile to była piosenka) od poprzedniej. Jednak na ekranie pojawiła się całkiem nowa grupa „dziwek” jak szybko zaczął je nazywać. Jim nigdy nie miał problemów z odróżnieniem jednej dziwki od drugiej. Zaczął znowu zastanawiać się nad chwilą samotnej zabawy, gdy usłyszał wracającego Moose'a. Szybko wyłączył flexipad i schował go pod kocem.

– Wstawaj, Jim.

– Żeby je zjeść?

Osilek przyniósł mu paczkę. Jeśli zawierała ciastka, była to największa paczka z wypiekami, jaką w życiu widział. Davidson podparł się na łokciu. Spływał potem, ale i w namiocie było gorąco jak w piecu.

– Pranie przyszło – powiedział Moose, rzucając mu paczkę.

– Pranie? Nie wysyłałem niczego do prania.

– Musiałeś zostawić coś w chińskiej pralni, nim wyruszyliśmy pod Midway – powiedział Moose.

– W chińskiej pralni? – mruknął Davidson i całkiem się obudził. – A tak, rzeczywiście zostawiłem u nich jakieś gacie.

– Zawsze zostawiasz gdzieś gacie.

– No i co z tego? A co ty dostałeś?

– List od mojego starego. Píše, że coraz trudniej jest im radzić sobie z meksami. Zbyt wielu młodych policjantów poszło do wojska. Ale ci starzy ciągle jeszcze mają trochę pomysłów.

– Na pewno.

– I rozmawiałem z bosmanem Cravenem. Powiedział, że bosman Mohr będzie jeszcze jutro w szpitalu i że nie ma mowy, aby załadowali się z innymi. Zostajemy tutaj.

– Trudno o same dobre wiadomości. – Jim wzruszył ramionami. Obecnie nie miał najmniejszej ochoty okrętować się gdziekolwiek. Chciał umrzeć jako szczęśliwy człowiek.

– Nie otworzysz swojej paczki?

– Dla pary gaci? Nie. Zachowam tę przyjemność na wieczór. Niech mam na co czekać.

Moose wyszedł ponownie dopiero wczesnym wieczorem, dając Davidsonowi sposobność, aby rozedrzeć brązowy papier. W środku znalazł dwie koszule i dwie pary skarpet. W jednej z nich była kartka z informacją, że Jim ma u Itchy'ego sześć tysięcy dolarów, płatne przy najbliższym spotkaniu.

Na twarzy Davidsona pojawił się uśmiech szeroki jak Wielki Kanion. Czuł już niemalże pieniądze w ręku. Wielu głupców chciałoby dostać je jak najszybciej, on jednak wiedział, że na razie najbezpieczniejsze będą tam, gdzie są. Gdyby ktokolwiek próbował kręcić szyfrowym zamkiem schowanego pod podłogą sejfu, szybko straciłby palce.

Pod spodem był dopisek:

„Masz jeszcze jakieś pomysły?”

* * *

Dwóch mężczyzn siedziało na ocienionym portyku biegnącym dookoła szpitala i sącąc wodę z lodem, spoglądało na skąpaną w południowym słońcu okolicę. Eddie Mohr był w znacznie lepszym stanie niż komandor Evans. Małe coś, co przyczepiono mu do karku, sprawiało, że nie czuł wcale bólu pękniętej czaszki i ran, na które pozakładano szwy. Jednak gdy próbował zrobić zbyt wiele kroków od razu, robiło mu się słabo. Z Evansem było gorzej. Siedział z pufiastym opatrunkiem nałożonym na zmiażdżoną rękę, która, jak powiedział Mohrowi, w zasadzie nie była już jego. Pochodziła z tuby hodowli tkankowej.

– To musiała być duża tuba – zauważył Mohr.

– Podobno większa od baniaka na wino – odparł Evans, kręcąc głową.

Eddie Mohr sporo lat przepracował w rzeźni i przywykł do niejednego, ale pomysł, aby hodować żywe ciało, budził w nim mieszane uczucia. Wielu jego przyjaciół żyło jednak tylko dzięki temu, że otrzymali mechaniczne serca, plastikowe kości i Bóg jeden wie co jeszcze.

Plotka głosiła, że jeden gość z *Horneta* dostał nawet nowego kutasa, o dwa cale dłuższego niż poprzedni.

Mohr zastanowił się, czy dałoby się poprosić o podobne „nowe wyposażenie”

Inne ofiary przechadzały się powoli po trawnikach albo przemieszczały na wózkach popychanych przez siostry. Słońce było tak jasne, że nie dało się patrzeć na ich białe mundury bez okularów przeciwsłonecznych. Wydawało się, że wszyscy goście z przyszłości je noszą, nawet pod dachem. Była to jeszcze jedna dziwna sprawa, która nie dawała spokoju Mohrowi.

Prawie zasnął w upale, kiwając się na wyplatanym fotelu. Nagle głos Evansa wyrwał go w półdrzemki.

– Słyszałeś coś o kapitan Anderson? – spytał.

Temat wisiał między nimi od dłuższego czasu. Mohr odruchowo rozejrzał się na boki, zanim odpowiedział. Przekonał się już, że nie wszyscy dzielają czy nawet rozumieją jego szacunek dla nieodżałowanego dowódcy *Leyte Gulf*. Poza tym temat sam w sobie był niezręczny.

– Z tego co wiem, zebrali dość dowodów, aby uziemić sprawcę, ktokolwiek to był – powiedział, pochylając się w kierunku Evansa i ścisząc głos. – O ile tylko go znajdą.

Evans zmarszczył brwi i słuchał dalej.

– Doktor Wassman, pamiętasz ją? Otóż powiedziała mi, że zebrali dość męskiego... nasienia. I potrafią tak je zbadać, aby dokładnie rozpoznać, kto je zostawił.

– Została zgwałcona?

Mohr skrzywił się.

– Tak. Ludzie gadają, że to Miyazaki, ale Wassman stwierdziła, że to bzdury. Jest pewna właśnie dzięki tym badaniom. Po prawdzie to było paru facetów. Evans pokiwał powoli głową.

– Ale nie wiedzą kto?

Mohr poczekał, aż mężczyzna owinięty od stóp do głów w białe bandażę przejedzie obok.

– Wiedzą, że to nie był nikt z nich. Potrafią poznać to po DMA.

– DMA?

– To jak odciski palców na każdym plemniku – szepnął Mohr.

Evans nic nie powiedział. Dłuższą chwilę patrzył na jasnozielony, podłużny balon na swojej ręce.

– To co się właściwie stało?

Mohr wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Anderson i Japończyk byli na łodzi. Ona objęła jego statek i wzięła swoich oficerów z *Leyte Gulf*. Japończycy stracili niemal wszystkich po bezpośrednim trafieniu w mostek. Pewnie chcieli się przejść i obgadać parę spraw. I wtedy ich dopadli.

Evans westchnął. Nagle poczuł się bardzo zmęczony.

– Paskudna historia.

– Tak. I wielka szkoda – powiedział Mohr. – Moim zdaniem ona była w porządku. Była dobrym kapitanem.

Powiedział to na próbę, oczekując sprzeciwu. Jednak Evans tylko pokiwał głową.

– Tak. Była w porządku.

28

Brisbane, Australia, 9 czerwca 1942, godzina 14.11

Komandor Judge, kapitan Windsor i kapitan Willet z australijskiego okrętu podwodnego wyszli z hotelu i ruszyli Queen Street w stronę kwatery głównej MacArthura. Całkiem mimowolnie od razu zaczęli maszerować „w nogę” Mijały ich zabytkowe, a przecież nowe tramwaje. Byli w mieście już od dwóch dni, lecz ciągle czuli się trochę obco. W zasadzie otoczenie było im znajome, ale jednak inne.

Willet pokręciła głową. Wyrosła w Brisbane i teraz nieustannie rozglądała się w poszukiwaniu czegoś swojskiego. Brak drapaczy chmur nie zmieniał tak wiele. Ulica biegła identycznie, nawet większość budynków wyglądała podobnie. Szczególnie dziewiętnastowieczne sklepy i magazyny, które pod koniec dwudziestego stulecia uznane zostały za zabytki, czy domy w ogrodach na skraju nie istniejącej jeszcze dzielnicy biurowców. Za czasów jej dzieciństwa nastąpiła moda na takie miejsca i zaczęto je remontować. Yuppies płacili podobno za każdy po milionie dolarów. Obecnie były tu slumsy. Ciemne i cuchnące niczym dzielnice nędzy, które widywała w Azji.

– W głowie się kręci, prawda? – spytał Harry. Angielski książę dość dobrze znał Brisbane. Brisbane dwudziestego pierwszego wieku. Pierwszy raz zjawił się tu na Puchar Świata w rugby w 2003 roku, potem wracał wiele razy za sprawą krykieta.

– I to jak – odparła Willet. – Tyle czystego nieba nad głową. Tego nie było kiedyś... to znaczy w przeszłości.

– Zrozumiałem – odrzekł Harry. – Trochę to irytujące, prawda?

– Miejscowi odczują to znacznie dotkliwiej – powiedział Judge. Na razie o ich przybyciu

wiedziała tylko grupka Amerykanów i paru australijskich oficerów w sztabie MacArthura. Oraz brytyjski Wysoki Komisarz i premier urzędujący w stolicy kraju Canberze. Goście przylecieli w największej tajemnicy na pokładzie Douglasa C-47 Skytrain, maszyny w zasadzie starej, ale w tym wypadku całkiem nowej, pachnącej jeszcze fabryczną świeżością. AWACS-y i tankowce powietrzne były obecnie zbyt cenne, nikt nie widział też sensu w umniejszaniu potencjału bojowego lotniskowca dla realizacji czegoś, co było najwyraźniej kurtuazyjnym zaproszeniem.

Polecieli więc C-47, maszyną powolną, niewygodną i o tak małym zasięgu, że po drodze musiała dwa razy lądować w celu uzupełnienia paliwa. Z drugiej strony oznaczało to brak konieczności przygotowywania dla nich specjalnych lotnisk. Skytrain był ponadto na tyle przestronny, że mogli zabrać prawie sto kilogramów wyposażenia, które znajdowało się obecnie w kwaterze MacArthura.

Minęli olbrzymią górę śmieci rozkopywaną przez na wpół zdziczałe psy i gigantyczne szczury. Śmierdziało straszliwie. Nawet na południowej półkuli zima w subtropikach była zwykle dość ciepła. Czuć było także odór wydobywający się z otwartych kanałów ściekowych. Centrum miasta było niewielkie, ledwie kilka przecznic w obie strony od głównej ulicy, którą szli obecnie w miłym popołudniowym słońcu. Budynek nie liczył z reguły więcej niż cztery piętra, boczne uliczki nie miały utwardzonej nawierzchni. Trochę dalej widać było dżunglę, która nadal wyciągała macki w stronę miasta. W nocy słyszeli porykiwania dzikich kotów.

Gospodyni wyjaśniła im, że w pobliżu jest zoo.

Spacer z hotelu Lenons był okazją do rozpoznawania konkretnych miejsc. Księgarni, która miała stać się kiedyś klubem nocnym. Herbaciarni, przyszełego baru sushi. Willet odszukała nawet fasadę domu, w którym mieszkał jej chłopak. Obecnie mieścił się w nim sklep wielobranżowy.

Wkoło sterczały rozrzucone chaotycznie ceglane schrony przeciwlotnicze. Często przegradzały nawet chodnik, zmuszając przechodniów do przechodzenia rynsztokiem. Minęli pustą parcelę zrytą rowami przeciwlotniczymi. Niektóre były poprzykrywane blachą falistą, jeden nawet potężną kłodą. Stojący na każdym rogu gazeciarze co godzinę wykrzykiwali nowe wiadomości. Nie było w nich ani słowa o Midway, trafiło się za to ostrzeżenie przed japońskimi konserwami rybnymi, które podobno mogły zostać uzupełnione tłuczonym szkłem.

Wiele sklepów miało witryny zabite deskami. Zostały tylko małe szczeliny, aby potencjalni klienci mogli zajrzeć do środka. Nie raz i nie dwa ich grupka musiała zejść z chodnika, aby ominąć czekające cierpliwie przed sklepami kolejki. Wąskimi ulicami oprócz tramwajów krążyły wozy konne, stare ciężarówki i jeepy armii amerykańskiej. Zgodnie z przepisami o zaciemnieniu światła wszystkich pojazdów miały zamontowane osłony.

Bez lasu wieżowców w stylu Manhattanu, które zaczęły wyrastać w latach sześćdziesiątych, niemal zewsząd można było dojrzeć zegar na wieży ratusza. Ten budynek wyraźnie dominował nad miastem. Kapitan Willet starała się nie patrzeć na twarze przechodniów, ale trudno było jej ominąć spojrzeniem dzieci. Wiele z nich ubranych było w różne „domowe przeróbki” może nawet jeszcze z czasów wielkiego kryzysu. Niedopasowane swetry, za krótkie spodnie, sprane skarpetki, bezkształtne sukienki i wytarte czapki. Przebiegło jej przez głowę pytanie, czy któreś z nich nie jest jej krewnym.

Judge i księżę Harry, którzy nie byli stąd, mogli traktować ten spacer jako jeszcze jedną atrakcję. Zwracali uwagę na osobliwości panującej mody, stare samochody, a nawet twarze, podobne do tych, które widywało się na ulicach Starego Świata. Nie było w nich jeszcze śladów genów przybyszów z basenu Morza Śródziemnego i południowo-wschodniej Azji. Ale Jane Willet wychowała się w Brisbane. Dla niej było to... było to czymś, czego nie potrafiła nawet nazwać. Nie znajdowała odpowiedniej metafory. W końcu stanęła przed wejściem do elitarnego Tattersals Club, w jej czasach klubu porno, spojrzała na kompanów i powiedziała:

– Mamy przejebane.

Mijająca ich kobieta w ciężkim, czarnym futrze, bez wątpienia zbyt grubym na tę pogodę, zatrzymała się jak wryta.

– Nie, w żadnym razie! – zawołała, obracając się na pięcie i wskazując na nich parasolką. – Co za język! Co za maniery! Ja mówię, że mamy szansę pobić te mały, ale jeśli ma do tego dojść, to przede wszystkim wy, młode pokolenie, nie możecie poddawać się rozpaczy. Powinna się pani wstydzić! Coś takiego! Mój Charlie bez wątpienia przewraca się w grobie.

Z tymi słowami odwróciła się i odeszła. Spoglądali w ślad za nią zbyt zdumieni, aby cokolwiek powiedzieć, aż Willet wykrztusiła w końcu przeprosiny.

– Nie ma za co – pocieszył ją Harry. – Jestem pewien, że gdyby to był Londyn albo Dallas komandora Judge'a, zostalibyśmy zwymyślani. Ja zaś mógłbym trafić na własną babkę, tyle że ona jest teraz młodsza ode mnie.

Przeszli kilkaset metrów, do budynku z piaskowca, który służył obecnie za kwaterę główną sił alianckich na obszarze południowo-zachodniego Pacyfiku. Judge znał to miejsce. Za jakiś czas miało się zmienić w luksusowy apartamentowiec z najlepszymi barami dla sportowców w tej części świata. Zglądał tu często podczas przepustek. Obecnie, w oryginalnej postaci, gmach wydawał mu się trochę zbyt surowy.

Im bliżej dowództwa, tym więcej widzieli mundurowych. Dla cywili byli po prostu jeszcze jednymi wojskowymi, swoi jednak zwracali na nich uwagę. Niespotykany krój mundurów odróżniał ich od reszty.

Na ulicy spacerowało zdumiewająco wielu afroamerykańskich żołnierzy. Należeli do batalionu inżynieryjnego. Judge'owi wydali się aż do przesady uprzejmi. Wręcz schodzili wszystkim z drogi. Miał przodków, którzy gustowali w linczach i paleniu krzyży; bynajmniej nie był z nich dumny. Teraz też poczuł się nieswojo.

Podwójny brzęczyk schowanego w skórzanej torbie flexipada oznajmił o mającej nadejść wiadomości. Normalnie byłaby to zwykła transmisja wideo przekazana z dowolnej części świata za pośrednictwem satelity, jednak puste niebo nie dawało na to szansy. Judge musiał poczekać jeszcze kilka minut, aż skompresowany strumień danych odbije się od troposfery i trafi w obszar o powierzchni stu kilometrów kwadratowych, w którym właśnie zlokalizowano jego flexipad. Było to urządzenie trochę masywniejsze od standardowego modelu, z bogatszym wyposażeniem. Zbudowano

je specjalnie na wypadek, gdyby podczas konfliktu przeciwnik zaatakował najpierw satelity. Tyle że nie sprawdzało się najlepiej i Judge mocno odczuwał brak bezpośredniej i niezawodnej łączności.

Pospieszyli po schodach do wejścia i machnęli strażnikom przed nosem przepustkami. Gdy byli już w środku, Judge wyciągnął flexipad.

Wywołał zaszyfrowaną wiadomość. Flexipad rozkodował ją i wyświetlił w postaci tekstu.

– Z operacyjnego – powiedział Judge. – Nowy plan dla pacyficznego teatru działań.

– MacArthur chyba się ucieszy – stwierdziła Willet.

* * *

– Ja wykraczam poza swoje kompetencje? – ryknął generał Douglas MacArthur.

Komandor Judge przeżył wiele podobnych ataków werbalnych ze strony nieodżałowanego kapitana USS *Hillary Clinton*. Guy Chandler potrafił krzyczeć nawet podczas zwykłej rozmowy, a gdy coś naprawdę go poruszyło, jego głos przebijał się bez trudu przez wycie silników F-22 na pokładzie startowym. Niemniej ruganie w wykonaniu MacArthura było unikatowym i ciekawym doświadczeniem, szczególnie dla kogoś z zacięciem historycznym, kto na dodatek potrafił spojrzeć na sprawę z pewnym dystansem. Głównodowodzący na obszarze południowo-zachodniego Pacyfiku szczycił się wręcz wulkanicznym temperamentem.

– Przygotowałem już plan uderzenia na Japończyków – zagrział MacArthur i podszedł do wielkiej mapy wiszącej na ścianie jego gabinetu. – Zapoznałem się uważnie ze wszystkim, co pan przywiózł, komandorze Judge. Uważam, że wasza flota, nawet taka jak teraz, osłabiona po Midway, zachowała dość potencjału bojowego, abyśmy mogli powstrzymać postępy Japończyków i zepchnąć ich z powrotem do Rabaulu. Nawet wasze książki historyczne sugerują, że mam rację. Albo zrobimy to teraz, albo będziemy musieli poświęcić życie tysięcy marines, aby w sierpniu wyrzucić tych drani z Guadalcanalu.

Księżę Harry otworzył usta, aby coś powiedzieć, ale został zignorowany.

– Japończycy rozciągnęli mocno swoje siły – podjął MacArthur, stukając w mapę drewnianym wskaźnikiem. – Gdybym tylko miał dość rezerw, mógłbym pokonać Hommę jeszcze na Bataanie. Niemniej ufam Bogu, że uczynił ten cud i sprowadził was właśnie po to, abym zapędził te diabły z powrotem na ich wyspy macierzyste.

Judge skrzywił się na perspektywę uprowadzenia jego Wielonarodowych Sił przez MacArthura. Starał się jednak zachować spokój.

– Generale, jak już powiedziałem, jesteśmy bardziej niż chętni, aby wziąć udział w planowanych

przez pana operacjach – powiedział. – Musi pan jednak zrozumieć, że nasze siły nie są... – Urwał na sekundę, zastanawiając się, jak podejść wybujałe ego rozmówcy. – ...nie są konwencjonalnymi siłami. Nie zostały wyposażone ani wyszkolone do takiej walki, jaką prowadzą obecni pańscy podkomendni.

– Co pan chce przez to powiedzieć? – wrzasnął MacArthur tak głośno, że wszyscy aż drgnęli. – Czy coś ma mnie ograniczać? Czyż nie jestem głównodowodzącym w tym teatrze działań wojennych? Sądziłem, że to ja jestem tutaj od układania planów operacji. Pan jednak sugeruje, jakobyem wykraczał poza swoje kompetencje. Bo chyba dobrze słyszałem, że pańskim zdaniem nie wiem po prostu, co robię?

– To nie tak, generale – powiedział pojednawczo Judge. – Proszę, niech mnie pan wysłucha. Jak pan wie, doktryna wojskowa zmieniła się zasadniczo od czasu wielkiej wojny. Sam pan kiedyś podkreślał, jak wielkiego znaczenia nabrała ruchliwość wojsk. Pisał pan o niej na długo przed tym, nim Niemcy zastosowali rzecz w praktyce.

Może nie była to całkiem prawda, jednak porucznik Nguyen doradziła Judgebwi, aby korzystał z każdej okazji do połechtania ego MacArthura. I rzeczywiście, generał pokiwał głową, przyjmując komplement, jakby ten w oczywisty sposób mu się należał. I chyba nieco się uspokoił.

– Jeszcze większe zmiany zaszły w ciągu dziesięcioleci, które upłynęły od końca tej wojny do naszych czasów.

Judge uniósł zaciśniętą dłoń i prostował palce w miarę, jak wyliczał kolejne punkty:

– Niewidoczne dla radarów środki przenoszenia, broń energetyczna, procesory kwantowe, sieci komunikacyjne, bioimplanty, inteligentne pociski, loty naddźwiękowe, zdalne rozpoznawanie, kinetyczna broń orbitalna, nocne widzenie. Może pan być najlepszym generałem obecnych czasów...

MacArthur chrząknął i pokiwał głową.

– ...jednak nawet zwykły marine z naszych oddziałów więcej wie o możliwościach tych systemów bojowych niż pan, który będzie musiał dopiero je poznać. Zabierze to panu trochę czasu. Czasu, którego nie mamy obecnie zbyt wiele.

Judge przerwał, czekając na odpowiedź MacArthura. Był zdumiony jego chorobliwym wyglądem, ale przypomniał sobie, że generał dopiero niedawno wymknął się z Corregidoru, gdzie żywił się nie lepiej niż cała załoga obłożonej twierdzy. Zmarszczki na jego twarzy nabrały wyrazistości, policzki były zapadnięte, pod brodą zwisała luźna skóra. Była to jednak twarz szczerze wyrażająca wszystkie myśli generała. Spojrzał na trójkę gości i westchnął.

– Tak... Miliony ludzi zginęły bez sensu w ostatniej wojnie, bo ci, którzy nimi dowodzili, nie wyciągnęli żadnych wniosków z przebiegu naszej wojny secesyjnej.

– My nie zamierzamy udzielać panu żadnych lekcji – powiedział Judge, aby jeszcze uspokoić atmosferę.

– Ale mam nadzieję, że dacie lekcję tym draniom w Tokio.

Flexipad ponownie zapiszczał dwa razy, zapowiadając transmisję.

– Przepraszam, generale. Mogę? – spytał Judge. – To może być coś pilnego.

MacArthur pokiwał głową. Gdy komandor zajął się flexipadem, rozległo się stukanie do drzwi. Adiutant podał generałowi kartkę papieru i czarno-białą fotografię. MacArthur przeczytał notatkę i uniósł brwi.

Przekazał kartkę księciu Harry’emu, który siedział najbliżej. Książę spojrział na tekst i poruszył wargami w bezgłośnym przekleństwie.

Mike Judge nie posiadał tak wytwornych manier.

– Sukinsyny!

Wszyscy spojrzeli na niego i na MacArthura, który chyba też był bliski kolejnego wybuchu.

Judge wyłączył flexipad i spojrział ze smutkiem na przyjaciół.

– Anderson i Miyazaki nie żyją. To dwoje naszych dowódców, którzy pozostali na Hawajach, generale. Zostali zamordowani.

Jane Willet była wyraźnie wstrząśnięta, jednak MacArthur i książę Harry przyjęli wiadomość o wiele spokojniej, niż Judge oczekiwał. Dopiero po chwili zauważył wyraz twarzy generała i serce znowu zabiło mu mocniej. Musiało zdarzyć się coś jeszcze.

– To *Nuku* – powiedział Harry. – Jednak jest tutaj. W rękach Japończyków.

29

Gmach parlamentu, Canberra, Australia,

9 czerwca 1942, godzina 21.32

Niewiele było bardziej niezwykłych wojennych przyjaźni niż ta, która zrodziła się między generałem Douglasem MacArthurem i australijskim premierem Johnem Curtinem. Widząc ich razem, Paul Robertson nie mógł się oprzeć wrażeniu, że byli po prostu skazani na sukces.

MacArthur był człowiekiem wyniosłym i skrajnym egoistą. W Stanach uchodził za pupila skrajnej prawicy, lewica zaś miała go za postać zgoła demoniczną po tym, jak w czasie wielkiego kryzysu kazał użyć siły w celu rozpędzenia waszyngtońskiej demonstracji bezrobotnych weteranów i ich rodzin.

Curtin był działaczem związkowym, politykiem lewego skrzydła, który podczas wielkiej wojny siedział w więzieniu za sprzeciwianie się przymusowemu poborowi do wojska. Nie było w nim nic z wielkiego aktywisty, emanował wręcz spokojem i skromnością, a jednak zapewnił MacArthurowi coś, na co generał nie mógł liczyć w domu – bezwarunkowe poparcie.

Robertson, światowiec i bankier, który zrezygnował z lukratywnej kariery, aby zostać osobistym doradcą Curtina, uściskał dłoń MacArthura i spoczął obok niego w fotelu naprzeciw biurka premiera w jego parlamentarnym gabinecie. MacArthur miał ze sobą jedno z tych fantastycznych urządzeń zwanych „tabliczkami”.

Premier był równie zaintrygowany maszynką jak Robertson. Obaj po raz pierwszy widzieli materialny dowód obecności „przybyszy”.

– Wielka szkoda, że żaden z tych oficerów nie mógł zjawić się wraz z panem, generale – powiedział Curtin. – Bardzo chciałbym ich poznać. Szczególnie tę dziewczynę z Brisbane.

MacArthur, który dopieszczał tabliczkę niczym pokerzysta królewski sekwens pod koniec turnieju, przesunął palcami po szarej obudowie.

– Nie dało się, panie premierze. Jak wspominałem w kablogramie, zdarzyło się coś, co zmusiło ich do natychmiastowego powrotu do Pearl.

– Ale możemy niebawem oczekiwać ich z powrotem? – spytał Curtin. – Między nami a Japończykami nie ma w tej chwili żadnego większego zgrupowania amerykańskiej floty, chociaż Yamamoto nadal robi, co chce. Czułbym się o wiele lepiej, gdybyśmy zdołali ulokować tam jeden z tych nowych okrętów rakietowych. Najlepiej australijski.

Ton jego głosu zdradzał głęboki niepokój. Na dodatek dopiero co wziął burę od Churchilla za decyzję o sprowadzeniu z powrotem do kraju dwóch doświadczonych w boju australijskich dywizji, które miały stanowić odwód na wypadek japońskiej inwazji. Brytyjczycy chcieli wysłać je do Burmy!

Robertson wiedział, że premier nieustannie znajduje się pod ostrzałem, i to z dwóch stron. I Brytyjczycy, i Amerykanie oczekiwali, że będzie robił to, czego oni chcą, a nie to, co sam uważał za najlepsze. Przeciwwstawiając się Churchillowi, naraził tysiące żołnierzy na długą podróż przez wody, na których grasowały niemieckie U-booty i rajdery oraz japońskie lotniskowce. Robertson nie raz znajdował Curtina w tym gabinecie przygnębionego, niemal złożonego bólem. Odpowiedzialność za przeprowadzenie kraju przez czarne lata rujnowała mu zdrowie.

MacArthur pochylił się i postukał pięścią w blat biurka.

– Zamierzam poruszyć niebo i ziemię, aby te siły trafiły do nas jak najszybciej, panie premierze. Nie zawadzi, jeśli i pan zwróci się w tej sprawie do prezydenta. Ostatecznie w grupie Kolhammera są też australijskie jednostki. Powinny znaleźć się tutaj, pod moim dowództwem.

Robertson ukrył uśmiech wywołany wypowiedzią MacArthura.

– Wspomniał pan, że zdarzyło się coś, co zmusiło naszych gości do szybkiego powrotu. Domyślam się, że chodzi o meldunek z Nowej Gwinei?

Amerikanin zasepił się na moment. Pogrzebał przy urządzeniu i po paru próbach włączył ekran. Gdy podawał tabliczkę Curtinowi, Robertson dojrzał jedynie zarys jakiegoś obrazu. Był na tyle jasny, na ścianie pojawił się cień postaci premiera. Inna sprawa, że dzień był ciemny, prawie że zimowy.

– To zdjęcie zrobione przez daleki patrol na przełęczy Saruwaged na Nowej Gwinei – wyjaśnił generał. – Komandor Judge był tak miły, że przed wyjazdem wgrał je do tej maszynki. Meldunek jest na tyle dziwny, że miesiąc temu uznalibyśmy go za fałszywkę, ale po ostatnich wydarzeniach wymaga zapewne poważnego potraktowania.

Robertson śledził wyraz twarzy premiera. Curtin zmarszczył brwi jak ktoś, kto dostał wyjątkowo trudną zagadkę do rozwiązania. Po kilku chwilach źrenice mu się rozszerzyły i usiadł prosto.

– Przecież to jest... – zaczął, ale zabrakło mu słów.

– Tak, panie premierze – powiedział MacArthur. – To jest okręt wojenny. Wystaje ze zbocza góry tysiące stóp nad poziomem morza.

Curtin wręczył tabliczkę Robertsonowi. Była dość lekka, obudowę zrobiono z materiału, który poddawał się naciskowi jak guma. Doradca premiera uważał, aby nie dotknąć żadnego z przycisków pod ekranem. Trzymając urządzenie za boki, spojrzął na zdjęcie. Przedstawiało niszczyciel albo fregatę wbitą rufą głęboko w ziemię. Wkoło dawało się dostrzec kilka namiotów i kilka ludzkich postaci.

– Ci ludzie na zdjęciu to Japończycy – powiedział MacArthur. – O ile wiemy, pracują już tam od blisko tygodnia. Nasz patrol twierdzi, że wyciągają ze środka, co tylko się da.

– Wielki Boże – westchnął Curtin. – Zatem też mają dostęp do podobnych urządzeń.

– Obawiam się, że tak – zgodził się generał. – Dlatego właśnie Judge i pozostali wrócili do Pearl Harbor. I dlatego my musimy uderzyć jak najszybciej. Ludzie Kolhammera zamierzają zniszczyć ten okręt; dojdzie do tego zapewne w ciągu najbliższej godziny. Musimy jednak założyć, że koń już uciekł.

– Czy mogą znaleźć więcej tych okrętów? – spytał Robertson.

MacArthur nie odpowiedział od razu. Milczał. O zamknięte okna uderzał wiatr. Wichura szarpała gałęziami eukaliptusów i odrywała z ich pni długie pasy wilgotnej kory.

– Judge powiedział, że paru jednostek brakuje. Statek naukowy, który zapewne spowodował ich przybycie do nas, niemal na sto procent uległ przy tej okazji zagładzie, nie pojawi się więc. Jeden amerykański okręt przerzuciło aż na wody polarne na południe od nas. Nic właściwie nie wiemy o losach jednego okrętu brytyjskiego i jednego francuskiego. Są pewne wątpliwości co do losu jeszcze jednej małej fregaty kraju, który nazywa się Indonezja. Powstał z holenderskiej kolonii w Indiach

Wschodnich. Chodzi o bliźniaczą jednostkę tej ze zdjęcia.

Curtin zbladł wyraźnie.

– Zatem mogą być wszędzie. Poza czyjąkolwiek kontrolą.

MacArthur pokiwał poważnie głową. Robertsonowi skojarzył się z kimś, kto rozważa następne posunięcie w partii szachów. Na zewnątrz zrobiło się jeszcze ciemniej i Curtin zapalił stojącą na biurku lampę z zielonym abażurem.

– Owszem, to możliwe – powiedział generał, obracając na palcu pierścień z West Point. – Jednak indonezyjski okręt martwi Judge’a bardziej niż brytyjski i francuski. Te dwa ostatnie potrafią w razie czego same o siebie zadbać, natomiast *Sutanto*, bo tak nazywa się ta brakująca jednostka, nie ma czegoś, co oni nazywają systemem bojowym. To rodzaj bardzo skomplikowanej maszyny, która może prowadzić walkę nawet wtedy, gdy cała załoga jest niedysponowana. Japończycy mają więc szansę. Z drugiej strony, indonezyjskie okręty przedstawiają znacznie mniejszą wartość bojową.

Robertson nie poczuł się uspokojony. Takie podejście trąciło mu kupiecką zgoła argumentacją.

– Jednak chyba największa groźba wiąże się z perspektywą przejęcia przez Japończyków nie tyle samych okrętów, ile zaawansowanej wiedzy technicznej – powiedział, unosząc tabliczkę. – Rozumiem, że każde z tych urządzeń zawiera więcej informacji niż biblioteka niejednego uniwersytetu. Co powstrzyma Japończyków albo Niemców przed znalezieniem w nich instrukcji, jak zbudować superbroń w rodzaju tej, która zniszczyła amerykańską flotę pod Midway? Oczywiście nie przeniosą się od razu do następnego stulecia, ale ich rozwój naukowy i technologiczny przyspieszy w bezprecedensowym stopniu.

Premier przetarł twarz dłońmi. Był wyraźnie zrozpaczony. MacArthur przyjął wypowiedź Robertsona bez złości, chyba głównie dlatego że nie umiał mu odpowiedzieć.

W końcu jednak wzruszył ramionami.

– Musimy uderzyć pierwsi.

Londyn, 9 czerwca 1942, godzina 23.01

Przesyłka dyplomatyczna od wysłannika Jej Królewskiej Mości na Hawajach nadeszła późnym wieczorem i zaraz została przekazana do klubu, w którym przebywał admirał sir Dudley Pound, Pierwszy Lord Morski. Pound cierpiał od pewnego czasu na potworne bóle głowy, które nie pozwalały mu spać. Osobiście przyjął zatem posłańca z brązową skórzaną teczką przypiętą kajdankami do nadgarstka.

Siedział akurat w klubowej bibliotece. Nie był jedyną osobą, która przebywała tu w środku nocy. Wielu starszych członków klubu miało kłopoty z zaśnięciem. Wojna dawała im się we znaki. Szczególnie dokuczliwe były naloty na Londyn, które zmuszały do łapania chwil czujnego snu o

różnych porach doby. Teraz też kilka osób drzemało w miękkich, skórzanych fotelach. Jedna z nich przysnęła podczas lektury „Timesa” Gazeta spadła na gruby perski dywan, gdzie rozsypała się w luźne karty. Przechodzący służący pozbierał je starannie. Ktoś inny wziął się do oryginału dziennika Livingstone’a z podróży po Afryce, ale sen zmorzył go w połowie rzeki Zambezi. W przeciwległym narożniku grała w szachy para emerytowanych brygadierów. Jeden z nich walczył kiedyś wraz z Nowozelandczykami pod Gallipoli i został nawet poważnie ranny.

Sir Dudley popijał już trzecią tego wieczoru brandy. Cichym głosem podziękował młodemu oficerowi z wywiadu marynarki za dostarczenie mu zajęcia na długie nocne godziny. Potem złamał pieczęć nałożoną przez wiceadmirała sir Lesliego Murraya.

Już pierwsze akapity długiego, spisanego na maszynie tekstu sprawiły, że brandy dostała mu się do nosa.

„Muszę zameldować o niezwykłym zdarzeniu, do którego doszło w pacyficznym teatrze działań wojennych” – pisał Leslie, przechodząc następnie do szczegółowego opisu zagłady amerykańskiej floty oraz brytyjskiego lotniskowca HMS *Fearless*. Pomimo typowej dla siebie skłonności do niedoceniań Amerykanów tym razem nie szczędził konkretów mających dać do zrozumienia, jak wielkimi możliwościami bojowymi dysponują nowo przybyli. Zimna krew i profesjonalizm zawiodły go dopiero przy próbie przedstawienia ludzi służących na pokładach okrętów z przyszłości.

„Jest to szczególna zbieranina. Drugiej takiej nie ma zapewne na całym świecie, może z wyjątkiem najgorszych kairskich burdeli. Tworzą ją osoby krwi tak wymieszanej, że trudno nawet poznać, kto jest kim, oraz liczne kobiety o skłonności do historycznych zachowań”

Murray zalecał, aby HMS *Trident* – brytyjska jednostka, która należała do zespołu Kolhammera – został niezwłocznie wcielony do Home Fleet i obsadzony zaufanymi ludźmi z obecnego personelu Royal Navy. Oczywiście niektórzy spośród przybyszy z dwudziestego pierwszego stulecia mogliby okazać się przydatni, zwłaszcza w okresie szkolenia nowej załogi. Jego zdaniem największym kuriozum na tym okręcie była pełniąca obowiązki dowódcy kapitan Halabi. Uważał, że dalsze pozostawienie jej na tym stanowisku musi nieuchronnie skończyć się katastrofą. Ani ona, ani jej załoga nie miałyby szans na równie wymagającym obszarze działań wojennych jak Atlantyk. Na koniec, zapewne w chwili nieco większej przytomności, Murray dodał jeszcze, iż największą wartość całego zdarzenia dostrzega w tym, iż niesie ono poważne ostrzeżenie dotyczące sposobu kształtowania przyszłej polityki imigracyjnej Albionu. Proponował, aby obecną załogę *Tridenta* skierować do straży ochrony wybrzeża różnych kolonii w Indiach Zachodnich. Szczególnie że wielu jej członków stamtąd się właśnie wywodziło.

Pound przeczytał tekst dwa razy, kręcąc z niedowierzaniem głową. Gdy skończył, była już pierwsza nad ranem, zbyt późno, aby sprawdzić doniesienie z wykorzystaniem niezależnych źródeł. Zamówił więc jeszcze jedną brandy i postanowił, że rano wyśle kablogram do Honolulu. Sir Leslie Murray bez wątpienia zwariował i należało poszukać kogoś innego na jego miejsce.

Wstał z wysiłkiem i skierował się do swojej sypialni.

Co dziwne, po raz pierwszy od wielu miesięcy zasnął jak dziecko. Nie obudził go nawet potężny

* * *

Trzydzieści sześć godzin później znalazł się przed gabinetem premiera. Chociaż był wyspany, nadal jeszcze kręciło mu się w głowie po spotkaniu z amerykańskim ambasadorem, panem Kennedym. Niegdysiejszy handlarz bimbrem przyznał, że owszem, też otrzymał podobny raport jak Pound. Nie, też nie dał mu wiary, ale zaraz potem przyszła jeszcze skreślona osobiście przez Roosevelta notatka, która potwierdziła większość wcześniejszych rewelacji. I co miał z tym zrobić? Roosevelt zawsze starał się ograniczać swoje kontakty z Kennedym do minimum. Jakoś się wzajemnie nie trawili.

Pound przyglądał się zaciekom na betonowych ścianach i zachodził w głowę, jak przedstawić to wszystko premierowi. Ignorująca gościa młoda dziewczyna w granatowym mundurze Royal Air Force uderzała tuż obok w klawisze maszyny do pisania z takim zapalem, jakby strzelała z karabinu maszynowego. Każde stuknięcie odbijało się bolesnym echem w głowie Pounda.

Całości obrazu dopełniały trzęsące się lekko z napięcia ręce.

Nagle w drzwiach pojawił się Churchill, wciąż jeszcze w koszuli nocnej i kapciach. Spojrzał na Pounda wilgotnymi oczami, w których widać było też skutki lekkiego nadużycia dżinu.

– Proszę, admirale – powiedział. – Mam nadzieję, że pan przynosi dla odmiany jakieś dobre wieści.

Pound zacisnął dłonie na teczce i poszedł w ślad za premierem. Maszyna do pisania umilkła, gdy sekretarka zerwała się z miejsca, aby do nich dołączyć.

– Ma pan ochotę na śniadanie, sir? – spytała Churchilla.

– Śledzie i tosty – odwarknął premier.

– A pan? Może herbaty, sir Dudley?

Pound odparł, że chętnie, i usiadł. Sekretarka błyskawicznie zniknęła za drzwiami.

– Tak zatem, admirale, jak sprawy na Pacyfiku? Na razie słyszałem tylko jakieś dziwne pogłoski. Mam nadzieję, że nie będzie pan próbował ich potwierdzać.

Pound zaczerpnął powietrza i skoczył od razu na głęboką wodę.

– Obawiam się, że mi pan nie uwierzy, panie premierze, ale to właśnie jestem zmuszony uczynić.

Wyciągnął liczący dwa tysiące słów raport wiceadmirala Murraya i kopię pisma otrzymanego przez ambasadora Kennedy'ego. Miał też notatkę dosłaną przez Roosevelta.

Jak mógł najszybciej, przekazał Churchillowi wszystko, co sam wiedział o zdarzeniach pod Midway. Z każdym zdaniem premier chmurniał coraz bardziej, w końcu eksplodował.

– Dość! Czy to pan wymyślił ten żart, admirale?

Pound wcale się nie roześmiał.

– Nie, panie premierze. Dla mnie to jak zły sen.

Churchill spojrzął wkoło, jakby po raz pierwszy zobaczył swój pokój. Zerknął podejrzliwie na raport, odsunął go od oczu, znowu przybliżył. Potem otworzył szufladę, jakby chciał schować tam dokument, ale w ostatniej chwili zmiał go i cisnął do kosza. Pound nie zdziwiłby się, gdyby Churchill sięgnął zaraz po kulę papieru i powtórzył wszystko od nowa.

– Dobrze, a teraz, co właściwie się stało? O ile naprawdę cokolwiek.

Pierwszy Lord Morski był w kropce. Żaden ze znanych mu dokumentów nie wyjaśniał istoty całego zdarzenia.

– Wydaje się, że nawet ci ludzie z przyszłości nie wiedzą dokładnie, jak do tego doszło – powiedział.

– Ale mają ze sobą japońskich i niemieckich marynarzy? – spytał półgłosem Churchill.

– Oraz rosyjskich i włoskich. Oraz garstkę ludzi z krajów, o których nigdy nawet nie słyszałem.

– Rozumiem. Trzymają ich wszystkich pod strażą?

– Najwyraźniej nie – odparł sir Dudley, przerażony w tej chwili równie bardzo jak premier.

Churchill westchnął przeciągle. Potarł oczy, potem przesunął dłonią po twarzy. W pokoju zrobiło się tak cicho, że słyhać było, jak jego dłoń przesuwa się po szczecinie zarostu.

– Za kilka tygodni mam się spotkać z Rooseveltem w Waszyngtonie – powiedział. – Sądzę, że dobrze będzie przyspieszyć to spotkanie.

– Tak, panie premierze.

Porucznik Nguyen siedziała przed salą konferencyjną lotniskowca i ścisnęła nerwowo w dłoni plastikową teczkę z notatkami. Wkoło było bardzo cicho, bo chociaż superlotniskowiec nigdy naprawdę nie zasypiał, nocą życie toczyło się tu na zwolnionych obrotach.

Podczas dzisiejszej odprawy miała zabrać głos jako ostatnia, zaraz po nieszczęsnych fizykach, którzy ciągle szukali natchnienia we wczesnych odcinkach *Star Treka*. Chyba po raz dziesiąty poklepała kieszeń na piersi, aby upewnić się, że data stick jest na miejscu. Żałowała, że nie ma Julii i Rosanny. Ich nic nie było w stanie speszyć. Niestety, dziewczyny przygotowały już dla niej trzystronicowy raport na temat amerykańskich operacji przeciwpodwodnych w 1942 roku i zeszły na ląd.

Był to niebezpieczny podarek. Nguyen przekonała się już, że cała ta banda admirałów jest jak dzieci. Daj im palec, będą chcieli całą rękę.

Zza drzwi dobiegał głos kogoś przemawiającego z angielskim akcentem. Zdawał się sugerować takie przeprogramowanie Metalowej Burzy, aby wychwytywała w pierwszym rządzie tradycyjne żelazne bomby i ewentualnych kamikadze, nie sunące nisko nad falami ponaddzwiękowe pociski przeciwokrętowe. Nguyen uznała, że gość ma rację. W duchu raz jeszcze przeklęła swoją decyzję, aby podjąć podyplomowe studia historyczne, i pomysł z doktoratem, od którego nawet teraz nie mogła się uwolnić. Zaraz potem porucznik poprosił ją do środka.

Gdy weszła, zmęczenie przeszło jak ręką odjął. Większość twarzy należała do znanych jej oficerów z Wielonarodowych Sił, z zaskoczeniem ujrzała jednak także Spruance'a i Nimitza. Tysiące razy oglądała ich zdjęcia w książkach, pamiętała filmy z nimi. Tutaj byli jednak żywi i patrzyli na nią... jak? Z nadzieją? Dla nich ta wojna dopiero się zaczęła i wcale nie byli pewni, że ją wygrają. Kilku innych mężczyzn pokręciło głowami, widząc panią porucznik zmierzającą do mównicy.

Zajęła miejsce na podwyższeniu i sięgnęła do kieszeni po data stick. Omal go nie upuściła, w końcu jednak ciche kliknięcie oznajmiło, że podłączyła drobiazg, jak należy. Na wielkim, dotąd niebieskim ekranie za jej plecami ukazała się mapa świata.

– Dobry wieczór. Oto streszczenie najważniejszych działań sił zbrojnych na obszarze globalnego teatru wojny, stan na dzień dziewiąty czerwca tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku.

Przerwała na chwilę, aby zerknąć na publiczność. Większość patrzyła na nią obojętnie, niektórzy, jak kapitan, starali się chyba dodać jej odwagi. Po chwili dostrzegła jednak dwóch oficerów, którzy mierzyli ją niechętnym spojrzeniem. Sądząc po mundurach, należeli do współczesnej Royal Navy. Siedzieli obok kapitan Halabi z HMS *Trident*, która pod nieobecność Kolhammera pełniła obowiązki dowódcy zespołu. Admirał przebywał w Los Angeles, komandor Judge udał się na spotkanie z MacArthurem. Tych dwóch zaś... Robili wrażenie, jakby z góry mieli jej coś za złe. Niestety, dzisiejsza prezentacja nie miała być zapewne dla nich zbyt przyjemna.

– W okolicy Charkowa i Sewastopola trwa właśnie seria potyczek wojsk pancernych. W bitwie tej polegnie albo dostanie się do niewoli blisko milion radzieckich żołnierzy. Sewastopol wpadnie w ręce niemieckie pierwszego lipca, dwa dni po rozpoczęciu niemieckiej letniej ofensywy, operacji o kryptonimie Fall Blau.

Na ekranie przewijała się równocześnie przygotowana w Power Poincie prezentacja. Dwumetrowe okna ukazywały fragmenty archiwalnych filmów z walk na froncie wschodnim, poniżej widać było plan sytuacyjny z zaznaczonymi niemieckimi i radzieckimi oddziałami oraz ich stratami w trakcie kampanii. Rachel zerknęła na dwóch brytyjskich oficerów. Nie wyglądali wcale na bardziej zadowolonych.

No to teraz posłuchajcie, pomyślała.

– Brytyjskie próby wsparcia radzieckiego wysiłku wojennego poprzez wysyłanie konwojów ze sprzętem ucierpią na skutek błędnej decyzji Pierwszego Lorda Morskiego, admirała sir Dudleya Pounda, który cierpi na guza mózgu. Guz ten zabije go za kilka lat...

Przerwało jej nagłe uderzenie otwartą dłońią w blat.

– Jak pani śmie! Mam już tego dość! – warknął Anglik siedzący obok kapitan Halabi. – Tkwimy tutaj cały wieczór, wysłuchując różnych kolorowych kundli mówiących nam, że wszystko robimy źle, a teraz ta... ta cholerna śniada dziewczyna śmie obrażać sir Dudleya, człowieka, który...

– Admirale Murray – wycodziła przez zęby Halabi. – Byłabym wdzięczna, gdyby zamknął pan pysk i posłuchał pani porucznik, która bez wątpienia jest nieporównanie lepiej poinformowana w tych sprawach niż pan.

A, to musi być wiceadmiral, sir Leslie Murray, kawaler Orderu Imperium Brytyjskiego, pomyślała Nguyen.

– Nie muszę tego słuchać! – krzyknął Murray.

– Nie musi pan – zgodziła się Halabi. – W każdej chwili może pan wyjść.

Rachel widziała, że Halabi najchętniej udusiłaby tego człowieka. Ostatecznie jej wola przeważyła. Murray usiadł w milczeniu i tylko gromił prelegentkę spojrzeniem.

– Proszę dalej, pani porucznik – powiedziała pełniąca obowiązki dowódcy Wielonarodowych Sił. – Domyślam się, że zajmiemy się teraz losem konwoju PQ 17?

– Tak, ma'am. Dziękuję.

Wzięła się w garść i wróciła do notatek. Postanowiła, że nie uniesie głowy, dopóki nie skończy.

– Konwój PQ 17 ma opuścić Islandię dwudziestego siódmego czerwca. Skieruje się do Archangielska. Składa się z pięćdziesięciu sześciu frachtowców, tankowca, sześciu niszczycieli i trzynastu innych jednostek. Admirał Pound, założywszy błędnie, że pancernik *Tirpitz* wyszedł w morze, nakazał rozproszenie konwoju. Wycofał też eskortę. Niemieckie samoloty i okręty podwodne zatopiły dzięki temu dwadzieścia cztery statki z ładunkiem blisko trzech i pół tysięcy pojazdów mechanicznych, czterystu trzydziestu czołgów, ponad dwustu samolotów i blisko stu tysięcy ton zaopatrzenia. Te straty, które zdarzyły się w krytycznej chwili, tuż przed błyskawiczną niemiecką letnią ofensywą, jak i późniejsza decyzja zachodnich sojuszników, aby zawiesić na wiele miesięcy

wysyłanie konwojów do Rosji, doprowadziły do poważnego wzrostu napięcia pomiędzy aliantami a rządem radzieckim.

Zaczerpnęła powietrza i spojrzała na salę. Admirał Murray nadal wyglądał na wściekłego, ale chwilowo zachowywał wszelkie komentarze dla siebie. Pozostali zebrani, a było ich ponad dwudziestu, nie wydawali się uspokojeni nowinami. Rachel, która przed zajęciem się historią prawie ukończyła studia psychologiczne, chętnie obejrzałaby nagranie z tego spotkania. Ciekawie byłoby przyjrzeć się reakcjom przedstawicieli poszczególnych frakcji szukających doraźnych sojuszy.

Naprawdę żałowała, że nie chodzi jedynie o akademickie dywagacje – tutaj stawką było życie milionów ludzi, których los zależał od decyzji podjętych w tej sali. Szczęśliwie ten ostatni ciężar nie spoczywał na jej barkach. Wróciła do prezentacji.

– W północnej Afryce dowodzony przez Rommla Afrika Korps będzie kontynuował ofensywę pod El Alamein...

Świadomość, że może liczyć na Halabi, dodawała jej pewności siebie. Przypomniała słuchaczom o represjach, które w tym właśnie czasie spadały ze strony SS na czeską wioskę Lidice. Ostrzegła przed atakami na konwoje z zaopatrzeniem dla Malty, podając dokładnie, jakie straty zostaną w dniach czternastego i piętnastego czerwca poniesione za sprawą samolotów, łodzi torpedowych i rajderów przeciwnika. Przypomniała brytyjskim oficerom o niedostatecznym przygotowaniu Tobruku do oblężenia, chociaż była prawie pewna, że jej uwaga zostanie zignorowana. Nimitzowi przekazała wiadomość dla MacArthura dotyczącą znacznych sił japońskich, które miały wylądować na Nowej Gwinei dwudziestego drugiego lipca. Przeciwstawić się im mogły jedynie nieliczne oddziały australijskich ochotników. Na koniec wspomniała o dziesiątkach tysięcy alianckich jeńców wojennych, którzy przebywali jeszcze w wielkich obozach na terenie Filipin i Singapuru. Wielu z nich miało w ciągu paru najbliższych lat umrzeć z chorób i wyczerpania. Każdemu jej zdaniu towarzyszyły wyświetlane na wielkim ekranie obrazy. Nie chciała, aby w ogólnej perspektywie zniknęły takie dramaty jak Lidice czy Marsz Śmierci na Bataanie.

– Czy to ma czemuś służyć? – spytał w pewnej chwili admirał Bill Halsey. – A może chce pani utrzyć nam trochę nosa?

Rachel знаła reputację Halseya – nie zwykł owijać niczego w bawełnę. Zdecydowała się nie potraktować jego uwagi jako osobistego przytyku.

– Wykonuję tylko moją pracę, admirale. Przekazuję informacje, które miałam zebrać. Podejmowanie decyzji na ich podstawie nie należy już do mnie.

– Dziękuję, pani porucznik – powiedziała Halabi, uprzedzając ewentualną odpowiedź Halseya. – Czy ktoś ma jakieś pytania dotyczące prezentacji?

Rachel podała jej data stick z przekazanymi informacjami rozszerzonymi o bardziej szczegółowe dane i przypisy. Halabi wsunęła go do slotu własnego flexipadu, przekazując materiał obecnym w pomieszczeniu. Rachel zauważyła, że wszyscy oficerowie z przeszłości zostali wyposażeni we flexipady. Ciekawe, ilu naprawdę ich używa? – pomyślała.

– Pani porucznik, ile czasu minie, zanim ci jeńcy zostaną rozesłani do obozów pracy? – spytał pułkownik Jones.

– Pierwsza grupa, licząca około trzech tysięcy ludzi, opuściła już Changi w Singapurze. Zostali skierowani do pracy przy linii kolejowej Birma-Tajlandia. Kolejny transport wyruszy ósmego lipca. Wszyscy zostaną przeniesieni do szesnastego sierpnia. Śmiertelność wśród nich wyniesie od trzydziestu do czterdziestu procent, zależnie od warunków panujących w poszczególnych obozach. Obawiam się, że setki Amerykanów już zginęły w trakcie forsownego marszu z półwyspu Bataan do obozu jenieckiego w centralnej części Luzonu.

Nimitz, którego głowę zaprzętało akurat wiele innych problemów, przetarł zmęczone oczy i odezwał się z wyczuwalną w głosie irytacją. Jak na niego było to niezwykle zachowanie.

– Nie rozumiem, co może nam dać roztrząsanie tego tematu, pułkowniku Jones. Nikomu z nas nie trzeba przypominać, jakimi draniami są Japończycy. W przyszłości na pewno osądzimy ich zbrodnie wojenne, ale obecnie najlepsze, co możemy zrobić dla tych nieszczęśników w obozach, to przyspieszyć klęskę ich ciemiężców.

– Sądzę, że to nie do końca tak, admirale – odrzekł spokojnie Jones.

Nimitz samym wyrazem twarzy dał do zrozumienia, że nie pojmuje i prosi dowódcę piechoty morskiej o rozwinięcie wypowiedzi.

– Gdyby to byli nasi ludzie, odbilibyśmy ich – dokończył Jones.

* * *

Dwie godziny później Rachel ledwie trzymała się na nogach, a powieki same jej opadały. Ostatniej nocy złapała tylko cztery godziny snu i zbliżała się chwila, kiedy będzie musiała wybierać między uczciwym odespaniem a dawką stymulantu. Środki pobudzające zawsze wywoływały u niej mdłości, wolałaby więc z nich nie korzystać. Na razie jednak miała udać się do kabiny kapitan Halabi, aby przedstawić dodatkowe informacje na temat jeńców wojennych.

– Proszę, ma'am – powiedziała, tłumiąc ziewnięcie, i podała pani kapitan owoc swojej ciężkiej pracy. – To tylko wstępne opracowanie. Gdy jutro nad tym przysiadziemy, będzie więcej.

Halabi nie była sama. Na skraju biurka przysiadł pułkownik Jones, inna jeszcze osoba w mundurze marine, sądząc po naszywkach lekarz, zajmowała kanapkę, w rękę zaś trzymała szklankę. Wedle ogólnych rozporządzeń amerykańskie okręty miały pozostawać „suche” co oznaczało, że na ich pokładach nie powinno być żadnego alkoholu, Rachel wyczuła jednak woń burbona. Pani doktor wstała i uśmiechnęła się do Halabi. Wszyscy byli zbyt zmęczeni, aby dbać o formalności.

Halabi gestem zaprosiła Rachel, aby usiadła.

– Może kawy, pani porucznik?

– Nie, dziękuję, ma'am. Jeśli wszystko będzie w porządku, chciałabym się niebawem zdrzemnąć.

– Oby się udało – powiedziała ze współczuciem Halabi. – Najpierw jednak proszę przedstawić pułkownikowi Jonesowi i doktor Francois to, co zawarła pani w notatce przekazanej mi po odprawie.

Rachel poczuła się niezręcznie. Rzeczywiście, posłała Halabi kilka skreślonych na gorąco uwag.

– Jak napisałam, jeśli zaangażujemy się w konflikt, nie będziemy mieli większych kłopotów z pokonaniem sił morskich państw Osi, nawet obecnie. Ich systemy broni i doktryna są wiele dziesiątków lat za naszymi. To samo dotyczy aliantów, tyle że tutaj w grę wchodzi nie tylko przewaga techniczna, ale i olbrzymie różnice kulturowe. Owszem, możemy pomóc, na przykład w przypadku tych jeńców. Będą nam za to niezwykle wdzięczni, przynajmniej z początku. Jednak jeśli zostaniemy tu na dobre, stworzymy istotne zagrożenie dla ich sposobu życia. Równie wielkie jak to związane z ewentualną klęską w tej wojnie. Nie będzie to zagrożenie bezpośrednie, ale pojawi się na pewno.

– O czym pani mówi, poruczniku? – spytał basem pułkownik J. Lonesome Jones, chociaż zapewne znał już odpowiedź.

– To jest rok tysiąc dziewięćset czterdziesty drugi – odparła Rachel. – Z całym szacunkiem, pułkowniku, ale wedle standardów tego czasu nie jest pan Afroamerykaninem, ale...

Nie dał jej dokończyć.

– Wiem. Jestem czarnym.

– A ja kolorową – powiedziała Rachel. – Kapitan Halabi mieszaniec, inni meksami i kim tam jeszcze. Ci tutaj nie są nazistami, ale nie potrafią nas zrozumieć. Sądzę, że w tej sytuacji zaczną się nas obawiać. Jak wszystkiego, co obce albo wykraczające poza ich pojmowanie świata.

– Nie zaczną. Już zaczęli – stwierdziła Francois i przetarła załzawione, zmęczone oczy. – Tak, to się już zaczęło. Dzisiejsze zamieszki w Honolulu, postrzelenie Borghina, okrutna śmierć Anderson i Miyazakiego. Powiem wam, co jej zrobili...

Halabi spojrzała na panią doktor, jakby chciała ją prosić o oszczędzenie szczegółów, jednak Francois nie zwróciła na to uwagi. Była wściekła i rozgoryczona.

– Wepchnęli jej kawał drutu kolczastego i posłużyli się nim jak wyciorem do fajki – powiedziała, cedząc słowa. – Słowo daję, Lonesome, jeśli dopadniemy tych drani i będą próbowali się wywinąć, sama postaram się ich załatwić.

– Spokojnie, pani doktor – powiedziała Halabi. – Nie sądzą, aby doszło aż do tego...

– Może dojść. Mówię serio, pani kapitan. Nie widziała pani jeszcze tego dupka, którego wyznaczyli do prowadzenia sprawy. Idę o każdy zakład, że nie będzie się spieszył, a jeśli jeszcze

wyjdzie, że w sprawę zamieszany jest jakiś porządny miejscowy obywatel, postara się ukreć wszystkim łeb. Ma to pani jak w banku. Dziś po południu ktoś wpakował dwie kule w naszego bosmana, który ledwie przeżył. Myślicie, że się tym przejęli? Specjalnie prosiłam ich, aby zabezpieczyli pociski do testów, ale nie. „Zginęły” im w szpitalu. To się już zaczęło.

Rachel myślała, że Halabi zaprotestuje, ale kapitan nie odezwała się ani słowem.

31

Berlin, 8 czerwca 1942, godzina 07.21

Zalakowana walizeczka została przewieziona do Europy w bagażu dyplomatycznym attache wojskowego z hiszpańskiej ambasady, który portugalskim wodnopłatowcem przedostał się najpierw do Ankary, stamtąd do Aten i w końcu do Berlina. W stolicy Niemiec przesyłka trafiła do rąk osobistego adiutanta Reichsführera SS Heniricha Himmlera, który czym prędzej dostarczył ją samemu dowódcy SS.

Himmler był cichym człowiekiem. Ręce miał delikatne, poznaczone błękitnymi żyłkami. Zawsze wyglądał na niewyspanego i nie ulegał atakom hysterii jak wielu jego kolegów. Sięgając po pismo, oblizwał wargi i upił z kubka łyk herbaty. Uważnie przeczytał przysłaną przez Steckela instrukcję obsługi urządzenia.

Przez chwilę zastanowił się, czy w ogóle powinien coś robić. To mogła być bomba.

Raz jeszcze przeczytał instrukcję i wezwał sekretarza.

– Proszę poczekać, aż wyjdę z pokoju, a potem przycisnąć ten guzik – powiedział. – Wrócę za moment.

Młody mężczyzna strzelił obcasami.

– Tak jest, natychmiast, Reichsführer.

– Nie natychmiast – westchnął Himmler. – Dopiero gdy znajdę się bezpiecznie za drzwiami. Nie wcześniej.

Młodzieniec o zimnych oczach przytaknął.

Trzy minuty później Himmler był już z powrotem. Urządzenie, które Steckel nazwał „flexipadem” leżało na biurku, ekran świecił jasno. Sekretarz był pod wrażeniem.

– To na pewno robota zakładów Brauna – powiedział. – Jeden z cudów niemieckiej techniki, *mein Reichsführer*.

Himmler pokiwał głową i odprawił sekretarza. Sięgnął do notatek Steckela i odczytał kolejne

punkty instrukcji.

Chwilę później na ekranie pojawiło się aż nazbyt urodziwe oblicze funkcjonariusza SD.

– Heil Hitler! – zawołał Steckel.

Himmler podskoczył w fotelu. Sekretarz natychmiast pojawił się w progu.

– Wszystko w porządku – odprawił go drżącym głosem szef SS. – To tylko nagranie.

– Naprawdę niezwykle – powiedział młody człowiek i znowu zniknął za drzwiami.

Steckel tymczasem kontynuował przemowę.

– Reichsführer, pozwoliłem sobie przesłać to urządzenie, ponieważ trudno uwierzyć w te wszystkie cuda, które tutaj ujrzałem, dopóki nie zobaczy się chociaż jednego z nich. Z pomocą majora Brascha i naszych japońskich towarzyszy przygotowałem dla pana krótką prezentację dotyczącą najważniejszych kwestii.

Himmler oparł flexipad o ramkę ze zdjęciem swojej kochanki, i popijając herbatę, zaczął oglądać materiał filmowy będący podkładem do głosu Steckela.

Było to coś zdumiewającego i irytującego zarazem. Himmler był pewien, że wiele zostało przemilczane, ale i tak patrzył jak urzeczony na kolorowe obrazy przedstawiające systemy broni i technologie, od których kręciło się w głowie. Pociski, które mogły wzlecieć w kosmos i rozpaść się na szereg niewiarygodnie potężnych głowic wymierzonych w różne miasta. Bomby zdolne zabić w mgnieniu oka miliony ludzi, całe narody zmieść z powierzchni Ziemi. Pancerne mundury piechoty zatrzymujące pociski z Mausera. Zawieszane na niebie urządzenia mogące podsłuchać każdą rozmowę telefoniczną czy transmisję radiową. Ile mogłoby z czymś takim zdziałać Gestapo!

Nigdzie jednak nie trafił na wyjaśnienie, w jaki sposób ta niższa rasa z kraju, o którym nigdy nie słyszał, zdołała wynaleźć te cuda. Dlaczego w dwudziestym pierwszym wieku tysiącletnia Rzesza w ogóle pozwalała Jawajczykom żyć na takim poziomie? Gdzie w tej baśniowej opowieści podziewał się Führer? To były oczywiste braki historii o *Untermenschen* z przyszłości, które należało wyjaśnić.

Jaka była przyszłość *Watterlandu*?

Himmler nie pokazał jednak po sobie wzburzenia. Gdy film się skończył, przez kilka minut siedział zatopiony w myślach, w końcu wyciągnął z szuflady biurka kilka kartek czerpanego papieru i napełnił wieczne pióro.

Spośród wszystkich obywateli Rzeszy Führer ufał tylko dwóm osobom: Heinrichowi Himmlerowi i Ottonowi Skorzenemu.

Należało wysłać Skorzenego na Wschód.

Najpierw jednak Himmler musiał porozmawiać z japońskim ambasadorem.

Trzy godziny później Reichsführer Himmler i generał Oshima Hiroshi spotkali się w majątku Lichterfelde, niegdyś szkole kadetów, obecnie duchowym centrum Waffen-SS. Majątek został подарowany Hitlerowi przez starego rzeźnika Seppa Dietricha. Zdołał on przekonać Führera, że jego osobista gwardia winna mieć siedzibę godną swego statusu. Jak wszyscy wiedzieli, pretorianie wodza byli przecież nadludźmi.

Himmler docenił gest Dietricha, chociaż w przeciwieństwie do większości nazistowskich dostojników nie miał skłonności do ekstrawagancji. Jego mercedes przemknął przez główną bramę ozdobioną dwoma wielkimi posągami niemieckich żołnierzy w mundurach polowych. Żwir zachrząścił pod kołami, gdy podjeżdżał do czterech wielkich, kamiennych baraków nazwanych *Adolf Hitler, Horst Wessel, Hermann Goering* i *Hindenburg*.

Oddział wysokich, jasnowłosych wojowników biegał tam i z powrotem. Nordycki typ, niezmordowany i dokładny jak maszyna. Ich nabijane ćwiekami buty uderzały jak jeden. Obok przeszedł wspaniały czarny ogier z tutejszych stajni, oczywiście najlepszych w Europie. Prowadził go stary koniuszy, weteran z dawnego oddziału Führera z czasów wielkiej wojny. Towarzysz broni, który dowiódł swej wierności w walce. Widząc wysiadającego Himmlera, uśmiechnął się i pokiwał głową. Obrażenia wywołane bliskim wybuchem pocisku ciągle jeszcze dawały mu się we znaki, ale był ulubieńcem Hitlera, który poprosił Himmlera o znalezienie mu stosownej synekury. Trafił więc tutaj, gdyż w całych Niemczech na pewno nie było zaszczytniejszego miejsca służby dla starego żołnierza.

Hitler pochwalił decyzję, a co cieszyło Führera, tym bardziej radowało Himmlera.

– *Guten Morgen, Herr Meyer*. Piękny dzień na przejażdżkę, *ja?* – powiedział Himmler.

– Byłby piękny – wyszeptał Meyer. Odłamek francuskiego pocisku, który w 1917 roku trafił go w gardło, zostawił blizny nie pozwalające na głośniejsze mówienie. – Jednak mój przyjaciel potrzebuje nowych podków.

Obaj, człowiek i koń, oddalili się, kierując w stronę stajni.

Himmler przystanął na chwilę, aby nacieszyć oczy bukoliczną sceną. Był pogodny i słoneczny letni dzień. Potem, bez jednego uśmiechu, skręcił do baraku z recepcją.

W wielkiej sieni wisiały olejne malowidła przedstawiające Führera, wkoło ścian biegły ryte srebrem nordyckie runy. Było tu mroczno, ale brakowało innego oświetlenia niż migotliwe świece i pochodnie. Rzeźbione stoły i ławy wykonano z drewna dębowego. Recepcjonistka uniosła głowę nad kontuaru i poblądła na widok Himmlera w czarnym mundurze.

– Reichsführer – wyjąkała. – Oczekiwaliśmy pana dopiero po południu.

- Przyjechałem wcześniej – odparł Himmler. – Czy generał Hiroshi jest już na miejscu?
- Tak, proszę pana. Przebywa w domu gościnnym. Zaprowadzę pana do niego.
- Nie trzeba. Znam drogę.

Generał Oshima Hiroshi uważał dowódcę SS za człowieka przywiązującego nadmierne znaczenie do zjawisk paranormalnych. Prywatnie miał go wręcz za paranoika, bo przecież nikt inny nie traktowałby poważnie dawnych mitów o teutońskich bogach. Himmler zaś nie tylko wierzył w te opowieści, ale jeszcze traktował je śmiertelnie poważnie. Zapewne to właśnie tłumaczyło tak spokojną reakcję Reichsführera na wydarzenia pod Midway.

Ambasador pomyślał, że w pewien sposób Himmler był całkiem dobrze przygotowany do niespodzianek dostarczonych przez *Sutanto*. Zawsze i wszędzie węszył spisek, najbardziej błahym nawet zbiegom okoliczności gotów był nadawać ukryte znaczenia. Dawno już stracił kontakt z rzeczywistością. Sam demoniczny, w każdym cieniu widział demony i niewiele mu było trzeba, aby uznać jakieś zdarzenie za ich dzieło.

Spoglądając na smukłą sylwetkę mężczyzny, który zasiadł naprzeciwko, Hiroshi zastanowił się, co będzie, jeśli państwa Osi wygrają wojnę. I hitlerowskie Niemcy, i cesarska Japonia hołdowały rasistowskim ideologiom, które musiały doprowadzić do konfliktu między obecnymi sojusznikami. Ambasador odpędził tę myśl i nalał sobie filiżankę herbaty. Nie cierpiał kawy, która była tutaj chyba narodowym napojem.

– Byłbym bardzo wdzięczny za możliwość poznania materiału, który przysłano panu z Hashirajimy, ambasadorze Hiroshi – powiedział Himmler. – Oczywiście ze swojej strony gwarantuję panu swobodny dostęp do wszystkiego, co sam otrzymałem.

Dom gościnny w Lichterfelde nie został wybrany na miejsce spotkania przypadkiem. Chociaż zdaniem ambasadora był nazbyt przepełniony meblami i ogólnie urządzony raczej bez gustu, miał pewien istotny atut – trudno byłoby o bezpieczniejsze miejsce, szczególnie jeśli komuś zależało na dyskrecji.

– Czyżby skłonny był pan przypuszczać, że pańscy informatorzy nie są całkiem prawdomówni? – spytał Himmlera.

Niemiec poruszył swoim osobliwym wąsikiem; zupełnie jak gryzoń węszący niebezpieczeństwo, pomyślał Hiroshi.

– Nie, nie aż tak – odparł Himmler. – Wydaje mi się, że Steckel nie przekazał mi wszystkiego, w tym wielu rzeczy, które chciałbym wiedzieć.

– Na przykład tego, jak pan zginie? – spytał Hiroshi, ledwie powstrzymując uśmiech.

– Wie pan? – spytał nagle ożywiony Reichsführer.

– Wiem, że w świecie, z którego przybył *Sutanto*, nasi zwycięzcy wrogowie tropili pana jak psa. Gdy pana pojмали, zażył pan truciznę. Chyba cyjanek. Bardzo bolesna i powolna śmierć.

Zwykle blada twarz Himmlera zrobiła się całkiem biała.

– Rozumiem – szepnął. – A Rzesza?

– Zostały po niej tylko zgliszcza. Naród popadł w niewolę bolszewików.

Himmler rozlał herbatę na stół. Ręce mu się trzęsły, na czole pojawiły się krople potu. Otarł je chustką.

– Mówi pan o tym bardzo spokojnie, *Herr General*, a przecież Japonia na pewno też nie wyszła z wojny bez szwanku.

– Została spopielona – odparł Hiroshi. – Dosłownie.

Himmler wyglądał jak ktoś, komu zbiera się na mdłości. Hiroshi musiał bardzo się starać, aby ukryć swoje prawdziwe odczucia wobec kogoś tak łatwo okazującego słabość.

– Niemniej to oczywiście ich świat – powiedział. – W naszym będzie to teraz wyglądać inaczej. Możemy uniknąć tego losu. O ile starczy nam śmiałości.

Himmler niepewnie pokiwał głową. Oblizał wąskie, bezkrwiste wargi.

– Tak. O ile starczy nam śmiałości... Czy byłby pan skłonny towarzyszyć mi, gdy przyjdzie opowiedzieć o tym Führerowi?

Hiroshi dał sobie chwilę na odpowiedź i najpierw upił nieco herbaty. Niemiec czekał.

– Oczywiście – powiedział w końcu Japończyk. – Przecież razem w tym tkwimy.

Rastenburg/Kętrzyn, 10 czerwca 1942, godzina 12.47

Gdy Himmler i Hiroshi przybyli do Wilczego Szańca, kwatery Hitlera w Prusach Wschodnich, Führer siedział akurat przy stole razem z Martinem Bormannem i doktorem Goebbelsem. Uporali się już z wegetariańskim strudlem i sałatką ziemniaczaną i brali się do szwarcwaldzkich wypieków i kawy. Hitler wyjaśniał swoją rolę w rozwoju Volkswagena. Uważał go za triumf aryjskiej myśli inżynierskiej i był z niego bardzo dumny.

– Volkswagen jest samochodem przyszłości – mówił. – Trzeba widzieć, jak śmiało wjeżdża na Obersalzberg. Przy moim wielkim mercedesie jest niczym kozica górską. Po wojnie stanie się samochodem dla całej Europy.

Bormann i Goebbels przytaknęli z entuzjazmem, przy czym żaden nie zwrócił uwagi na krem, który

przyczepił się do wąsów Führera. Po obiedzie Hitler często wygłaszał podobne perory, skacząc przy tym z tematu na temat. Udowadniał bezwartościowość złota, bezsens papierkowej roboty, brzydotę Berlina...

Rozległo się pukanie do drzwi i w progu stanął ubrany na czarno SS-Obersturmbannführer. Do prywatnej jadalni Hitlera mieli dostęp tylko członkowie jego ochrony. Nie rozmawiało się tu o kampaniach, a oficerowie Wehrmachtu nie byli mile widzianymi gośćmi. Jeśli pułkownik SS zdecydował się przeszkodzić dostojnym osobom, musiał mieć po temu bardzo ważny powód.

– Tak? – spytał Hitler.

– Przepraszam, *mein Führer*, ale przybył Reichsführer Himmler w towarzystwie generała Hiroshiego.

– Dziwna para – mruknął Hitler. – Pewnie chcą coś wyznać. Wpuścić ich.

Strażnik strzelił obcasami, zasalutował i wyszedł. On także nie zwrócił Führerowi uwagi na krem na wąsach.

Gdy tylko Himmler znalazł się w jadalni, przesunął palcem pod nosem i wyszeptał:

– *Mein Führer*.

Hitler oblizał wąsy i zlikwidował biały ślad.

– O, dzięki, Heinrich. Martin, Joseph, powinniście byli wcześniej mi powiedzieć.

Obaj naziści wyraźnie się zmieszali.

– Siadajcie, siadajcie, panowie. Co za miła niespodzianka, że mogę tu pana gościć, ambasadorze Hiroshi. Mam nadzieję, że nie stało się nic złego? A może chodzi o niespodziewane dobre wieści? Może Churchill zmarł na syfilis?

Bormann ryknął śmiechem. Goebbels też się uśmiechnął, ale jego ciemne oczy pozostały ponure.

Hiroshi skłonił się ceremonialnie i odsunął sobie krzesło. Przy stole było wiele wolnych miejsc, chociaż zastawę przygotowano tylko na trzy osoby. Hiroshi spojrzął na przesłodzone niemieckie wypieki i wielki dzban kawy i podziękował losowi, że nie musi tego kosztować.

– Przynosimy bardzo niezwykle wieści, Reichschancellor – powiedział. – Najbardziej niezwykle z niezwykle. Wieści tak niecodzienne, że musimy najpierw poprosić o obietnicę, że po ich przekazaniu nie zostaniemy przepędzeni stąd jako szaleńcy. To, co mamy do przekazania, brzmi naprawdę niewiarygodnie.

Goebbels natychmiast się zaniepokoił. Spojrzął na nich niczym wilk wyczuwający na swoim terenie ślad innego drapieżcy. Bormann nadal wyglądał po prostu na objedzonego. Hitler przechylił głowę i wsparł ją na palcach. Hiroshi uśmiechał się lekko, ale twarz Himmlera wyrażała przede

wszystkim strach.

– O co chodzi, Reichsführer? – spytał.

Himmler opadł na krzesło niczym ktoś obolały od poważnej rany.

– Pamiętacie Brascha? – spytał. – Tego odznaczonego oficera, którego wysłaliśmy do Japonii?

– Tak – odparł Goebbels, wznosząc oczy ku sufitowi. – Szok pourazowy. Załamał się po powrocie z frontu wschodniego. Domyślam się, że jego wyjazd do Japonii był tylko pretekstem, aby usunąć go z widoku publicznego.

– Owszem – przyznał Himmler. – Jednak coś się stało. Coś strasznego. Brasch zajmuje się tym od strony inżynierskiej. Całość sprawy brzmi na tyle niezwykle, że z początku nie uwierzyłem. Niestety, obecnie uważam, że to prawda. Podobnie sądzi pan ambasador. Tego samego zdania jest admirał Yamamoto.

Hitler sięgnął po lukrowaną wisienkę tkwiącą na szczycie niedojedzonego tortu. Wsunął ją do ust i oblizał palce.

– Nie trzymaj nas w napięciu – powiedział.

– Tak, oczywiście – mruknął Himmler.

Cały czerwony na twarzy, sięgnął do walizeczki.

– Oto, co przysłał nam z Tokio agent SD. To urządzenie nazywa się flexipad.

Tokio, 9 czerwca 1942, godzina 21.21

Franz Steckel nie był tylko dyplomatą. Służył również w SD-Ausland jako SS-Obersturmführer. Porucznik wywiadu zagranicznej nazistowskiej partii został wysłany na placówkę do Tokio trzy miesiące wcześniej. Stało się to na bezpośredni rozkaz Reinharda Heydricha, który podejrzewał, że w ambasadzie niemieckiej w Japonii znalazła zaciszny kąt niewielka klika homoseksualistów.

Porucznik Steckel był atrakcyjnym, młodym mężczyzną gotowym na każde poświęcenie w służbie narodowego socjalizmu. Nawet jeśli chodziło o zanurzenie się w świecie najbardziej zwierzęcych nieprawości. Świat pełen był zboczeńców, a jego niemiłym zadaniem było dbać o czystość aryjskiej rasy.

Z początku był zły, że komandor Hidaka przerywa mu realizację tak ważnego zadania jakimiś majaczeniami. Pierwsza wizyta na indonezyjskim okręcie zmieniła jego podejście. Po wysłaniu do Niemiec kuriera z podstawowymi informacjami zaczął przygotowywać bardziej szczegółowy raport dla samego Reichsführera Himmlera.

Wielki inkwizytor zaskoczył Steckela. Bez mrugnięcia okiem zaakceptował niecodzienną opowieść o podróżujących w czasie *Untermenschen*. Nakazał mu czym prędzej dokończyć wcześniejsze śledztwo, ukarać zbrojców i skoncentrować się bez reszty na tajemniczym okręcie. Podobnie jak Yamamoto, Himmler był w pierwszym rzędzie zainteresowany archiwami *Sutanto*, nie technologią.

Steckel niemal zemdleł, gdy trafił na pierwsze strony poświęcone żydowskiemu państwu o nazwie Izrael. Wizja świata bez Rzeszy, ale z Żydami mającymi własne państwo, wywołała u niego mdłości, które szybko ustąpiły miejsca strachowi. Jak ma poinformować o tym Berlin? Jeśli to zrobi, zostanie natychmiast odwołany do Vaterlandu, gdzie czekać go będzie proces przed sądem ludowym i szybka egzekucja.

W pierwszym napadzie paniki próbował usunąć niebezpieczne pliki, ale szybko pojął, że to nic nie da. Amerykanie i Brytyjczycy, z którymi przybyli marynarze z Indonezji, też przecież wiedzieli o planie eksterminacji Żydów. To była część ich własnej historii. Na pewno nie będą milczeć. Doktor Goebbels spróbuje przeciwdziałać, poszukując kozłów ofiarnych, ale sprawa tak czy tak wyjdzie na jaw. Propaganda aliantów zrobi z tego całe przedstawienie. Pieprzeni hipokryci. Tak samo nienawidzili Żydów, ale brakowało im zdecydowania, aby raz na zawsze uwolnić świat od problemu.

Był jednak pewien sposób, aby uniknąć dostania się w samo oko cyklonu. Ten liberalny idiota Brasch na pewno wysyłał własne meldunki do dowództwa armii. I dobrze. Niech wszystko najgorsze spadnie na jego głowę.

Steckel postanowił opuścić na pewien czas Hashirajimę. Miał po temu całkiem dobry powód – zdobycie dowodów przeciwko dwóm ciotom. Gdy wróci, powinno być już po nieuniknionej burzy.

Admirał Yamamoto wykazał daleko idące zrozumienie. Udostępnił nawet wodnosamolot, który odtransportował Steckela do Tokio. Dyplomata nie uzasadnił swojego nagłego wyjazdu, admirał zaś o nic nie pytał.

Znalazł się więc z powrotem w Tokio i wrócił do rutynowych zadań pracownika ambasady. Należały do nich między innymi regularne kontakty z jego odpowiednikiem w japońskiej Kempeitai związane z wymianą danych medycznych. Obie strony prowadziły szeroko zakrojone badania na jeńcach, tyle że koncentrowały się na różnych obszarach. Nazistowskich lekarzy obozowych interesowały fizyczne granice ludzkiej wytrzymałości, japońskich – oddziaływanie broni chemicznej i biologicznej.

Praca dawała mu też sposobność zacieśnienia znajomości z obydwoma homoseksualistami, którzy w pokrewnym dziale wymieniali z gospodarzami informacje na temat alianckich systemów broni i kodów. Steckel zamierzał zdobyć zaufanie Schenka i Oстера, a potem zwabić ich do małego baru kilka mil od ambasady. Raz już się tam spotkali. Wypiwszy sporo wina ryżowego, udali się następnie do pobliskiej łaźni, gdzie dyplomaci otwarcie ujawnili swoje skłonności. Zanim jednak Steckel zdążył zająć się ich aresztowaniem, pojawił się *Sutanto*, potem zaś po prostu zaniedbał sprawę. Wydała mu się mniej ważna niż współpraca z Braschem.

Tym razem jednak wszystko było gotowe. Steckel uprzedził szefa bezpieczeństwa ambasady, który miał wkroczyć we właściwej chwili i przyłapać zbrojczyków *in flagranti*. Można byłoby zastrzelić ich na miejscu, jednak Steckel zamierzał odroczyć egzekucję. Będzie ich przesłuchiwał tak długo, aż paskudna sprawa kwestii żydowskiej i losu Rzeszy sama się wypali. Na pewno nie potrwa to długo.

Klucząc wąskimi uliczkami, w których cuchnęło rybimi wnętrznościami i ludzkimi odchodami, nie mógł powstrzymać się od myślenia o jednym. Świat bez Rzeszy? Bez Führera?! To niemożliwe. Żydowskie państwo? Odrażający pomysł. Zaczął padać lekki deszcz i oficer SD otulił się ciasniej płaszczem. Niemniej sam widział dowody. Nie mógł im zaprzeczyć. Ale co zrobić? Reichsführer Himmler był mistykiem. Chłonał wszystko, co nie było z tego świata. Fakt pojawienia się obcego statku wstrząsnął nim, ale nie wydał mu się nieprawdopodobny, tak jak Steckel oczekiwał. Co więcej, Himmler szybko zaczął domagać się dalszych raportów i wyjaśnienia wielu konkretnych kwestii.

Chociażby sprawy Indonezyjczyków. Gdzie było ich miejsce na ludzkiej skali ewolucyjnej? Ze wstępnych notatek Steckela Himmler wywnioskował, że byli praktycznie podludźmi. Co na ten temat myśleli Japończycy? Czy mieli ich za azjatycką niższą rasę? A jeśli tak, jak próbowali wytłumaczyć ich wysoki stopień rozwoju? Poza tym Himmler naciskał na dostarczenie mu przykładów triumfu aryjskiej myśli technicznej.

Steckel odpowiedział, że istnieją pewne obawy, iż żydowski spisek przeszkodził w pewnym stopniu w zwycięskim marszu narodu niemieckiego. Potem wziął jeden z flexipadów, wypełnił go starannie dobranymi plikami i wysłał pocztą dyplomatyczną do Berlina.

Na jakiś czas zapadła złowieszcza cisza, aż w końcu otrzymał kolejną listę pytań i żądań. I informację, że Himmler wysyła do Japonii kolejnych ludzi, którzy mają pomóc w śledztwie.

Wędrując przez drewniane Stare Miasto, Steckel zastanowił się, czy uda się uprosić Himmlera, aby go chronił. Może i tak, skoro tak bardzo zainteresował się sprawą. SS-Obersturmführer postanowił, że po powrocie na *Sutanto* poszuka informacji na temat przyszłości samego Reichsführera. Nie mogła być ciekawa, skoro alianci wygrali wojnę i sowieci zajęli większość kraju. Bez wątpienia będzie chciał wiedzieć, jak uniknąć złego losu.

Sowieci. Zrobiło mu się słabo, gdy o nich pomyślał. Jako oficer wiedział świetnie, jaką politykę realizowało SS na froncie wschodnim. Sama myśl, aby bolszewicka dzicz miała wkroczyć do Watterlandu, była nie do zniesienia.

Zatopiony w myślach potknął się o wystający kamień bruku i stracił równowagę. Padając, spróbował podeprzeć się ręką, ale tak niezgrabnie, że łokieć eksplodował bólem. Zaklął, czując, jak woda z kałuży przemacza mu spodnie. Było już ciemno, ulicę oświetlały tylko nieliczne latarnie na drewnianych słupach. Siedząc w błocie obok sterty gnijących odpadków, pojął, że zszedł ze znanej mu drogi.

Zgubił się.

Słabo znał tę część Starego Miasta. W zasadzie umiał dojść tylko do baru i łaźni. Będzie musiał

zatem spytać o drogę. Ledwie o tym pomyślał, dotarło do niego coś jeszcze: wkoło było całkiem pusto. Zabudowana starymi domami z kamienia i drewna uliczka zakręcała lekkim łukiem i dwadzieścia metrów dalej ginęła w ciemności. Steckel wstał i spojrzął w drugą stronę. To samo. Stał pośrodku niewielkiego, zagubionego w mrokach kręgu światła.

Z jakiegoś powodu zadrżał. Włosy prawie stanęły mu dęba, ciało okryło się gęsią skórą. To dziwne, pomyślał. Co tu się właściwie dzieje...

Z ciemnego przejścia za jego plecami wyłoniły się dwa cienie. Kątem oka dojrzał jakiś ruch i nagle serce zabiło mu mocno. Jakaś zwierzęca część jego mózgu krzyknęła bezgłośnie, dłonie szarpnęły guziki płaszcza, aby wydobyć schowanego głęboko w kieszeni na piersiach lugera.

Najpierw usłyszał cichy świst spadającego *bokkena*, zaraz potem rękę przeszła oślepiająca błyskawica bólu. Narastający w gardle skowyt nie zdołał jednak wydostać się na świat. Steckel nie tyle dojrzał, ile wyczuł obecność drugiego napastnika. Niemal natychmiast drewniana broń ugodziła go w szyję, miażdżąc tchawicę.

Padł na bruk i sięgnął dłońmi do gardła. Rozpaczliwie próbował złapać chociaż łyk powietrza. Wytrzeszczone i przekrwione oczy szukały ciągle zabójców. Bez powodzenia. Umarł, nie dojrawszy żadnego z nich.

32

HIJMS Yamato, kotwiczowisko Hashirajima,

10 czerwca 1942, godzina 13.24

Isoroku Yamamoto skończył czytać, ale nie podniósł głowy znad kartek. Brasch i Hidaka siedzieli cicho, podobnie jak przez całe półtorej godziny, bo tyle zabrało admirałowi zapoznanie się z opracowaniem. Yamamoto westchnął głęboko, jakby wcześniej wstrzymywał oddech. Zamknął oczy i przez kilka minut trwał tak w bezruchu.

Brasch zaryzykował zerknięcie na Hidakę, który bezgłośnie potrząsnął głową.

– Zrobiliście więcej, niż oczekiwałem, panowie – powiedział w końcu Yamamoto.

Wyczerpani po długiej pracy oficerowie podziękowali mu cicho.

Yamamoto uniósł dziewięćdziesiąt stron wydruku z laserówki.

– Jak przewidywałem, to jest warte więcej niż życie was obu.

Hidaka ani drgnął. Brasch sardonicznie uniósł brwi.

– Nasze żywoty w ogóle nie są warte zbyt wiele, admirale.

– Dobrze powiedziane, majorze. Chcecie jeszcze trochę czasu na pracę?

– Nie. Nic by to nie dało – odparł całkiem naturalnie Brasch. – Możemy oczywiście rozpracować jeszcze szczegóły czy poszukać kolejnych argumentów, ale zasadnicza linia rozumowania pozostanie bez zmian. Prawdę mówiąc, nie musieliśmy zaczynać od zera. Jeden z techników *Sutanto* wskazał nam opracowania historyków, którzy od trzech pokoleń przekopywali się przez chaos tej wojny. Napisali właściwie wszystko, my tylko skorzystaliśmy z ich pracy. Hidaka pochylił się ku przełożonemu.

– Jeśli mogę, admirale. Ten technik, podporucznik Damiri, okazał się o wiele bardziej użyteczny i skłonny do współpracy niż Moertopo. Przypuszczam, że może się nam jeszcze bardzo przydać. Moertopo nie jest z nami szczerzy.

Yamamoto przytrzymał plik kartek w okaleczonej dłoni i raz jeszcze przejrzał go, zatrzymując się na niektórych stronach.

– Zgadzam się co do Moertopy – powiedział, nie patrząc na komandora. – Na razie jednak potrzebujemy jeszcze jego umiejętności. Jeśli jednak chce pan zacząć urabiać tego drugiego barbarzyńcę, proszę bardzo. Jak dotąd wyśmienicie służy pan cesarzowi.

Japoński oficer nadął się z dumy.

– Przykro mi z powodu *Herr* Steckela, majorze Brasch – odezwał się Yamamoto, nadal nie odrywając spojrzenia od dokumentu.

– Przesłałem kondolencje.

– Czasem to wszystko, co nam zostaje – powiedział Yamamoto, upuszczając kartki na blat biurka. – Zgadzam się z pańskimi sugestiami, komandorze Hidaka. Sam też bym tak napisał. To śmiałe propozycje i spotkają się z dużym oporem, ale nie widzę innego sposobu, abyśmy wydostali się z pułapki, którą sami na siebie zastawiliśmy.

Hidaka bliski był lewitacji pod wpływem tych pochwał. Brasch postanowił sprowadzić go na ziemię.

– Moglibyście się poddać.

– Ma pan szczęście, że *Herr* Steckela nie ma już wśród nas – warknął Hidaka. – O ile wiem, w Trzeciej Rzeszy sianie defetyzmu karane jest śmiercią.

Brasch nie dał się sprowokować. Jak zwykle w takich razach uśmiechnął się tylko i założył ramiona na piersi. Wszystko z taką miną, jakby toczyli właśnie przy piwie rozmowę o piłce nożnej.

– W Rzeszy można umrzeć na wiele sposobów. Ale czy to ważne, jak rozstajemy się z tym padołem?

Hidaka miał już dość ponurego fatalizmu, którym Niemiec raczył go od szeregu dni. Dotąd znosił

to cierpliwie, ale teraz nie wytrzymał. Owładnięty gniewem zerwał się na równe nogi.

– To najważniejsza sprawa w życiu – wyrzucił z siebie. – Nie oczekuję, aby zwykły *gaijin* to rozumiał, ale pan pochodzi podobno z rasy wojowników. Jednak przemawia pan jak nieokrzesany barbarzyńca. Zupełnie jakby nie obchodziło pana, kto wygra tę wojnę.

– Bardzo mnie to obchodzi – powiedział Brasch.

– To niech pan zachowuje się tak, jakby to było prawdą.

Yamamoto obserwował tę wymianę zdań z pozorną obojętnością, w końcu jednak uznał za stosowne interweniować.

– Zapomina się pan, komandorze – stwierdził ostrym tonem. – Proszę usiąść. Prawdziwy samuraj nie rzuca się w gniewie jak dziki pies. Nawet w ogniu walki zachowuje spokój. Jego własna śmierć nic dla niego nie znaczy. Być może więc to pan mógłby nauczyć się czegoś od majora Brascha.

Brasch pozwolił sobie na ciche parsknięcie, Hidaka jednak musiał przełknąć gorzką pigułkę. Pochyliwszy głowę, przeprosił Yamamotę i inżyniera za swój wybuch.

Admirał przeciągnął się i wstał. Wychodząc zza biurka, gestem nakazał obu mężczyznom, aby pozostali na miejscach. Z rękami założonymi do tyłu i brodą opuszczoną na pierś zaczął chodzić tam i z powrotem po kabinie. Co jakiś czas potrzasał głową jak ktoś, kto stanął wobec przerastającego go problemu.

– Oto, jak będzie od teraz – powiedział ze smutkiem, stając przy bulaju. – Będziemy rzucać żołnierzy na szalę historii w nadziei, że uda nam się zmienić jej bieg. Jednak ci, których chcemy uratować, będą najżywiej starali się nam w tym przeszkodzić. Nie mam wątpliwości, że moi przeciwnicy w Pearl Harbor toczą obecnie podobne rozmowy, i obawiam się, że wykorzystają ten cud czy przypadek, czy cokolwiek to było, dla poprawy swojej sytuacji strategicznej w taki sposób, że ich obecna taktyczna słabość nie będzie miała większego znaczenia. Odwrócił się od bulaja.

– Majorze Brasch, jakie są szanse, że uzyska pan posłuch w Berlinie?

– Już mają mnie za szaleńca. Być może słusznie.

Admirał stanął na piętach i spojrzał na dywan, jakby to tam była wypisana odpowiedź na dręczące go pytania.

– W sumie to nie tylko kwestia wiary – mruknął. – Ostatecznie będą musieli uwierzyć. Wystarczy, że jeden z tych nowych okrętów pojawi się na Atlantyku i zacznie zatapiać wysyłane przez admirała Readera pancerniki. Według słów Moertopy kapitanem tego okrętu może być kobieta.

Wszyscy trzej pokręcili głowami – było to tak absurdalne.

– Trzeba więc będzie przyspieszyć moment, w którym uwierzą – podjął admirał. – Chyba będziecie musieli powrócić do studiowania historii, panowie. Przeszukajcie tę elektryczną bibliotekę

i przygotujecie zestawienie ważniejszych zdarzeń, które zajdą w ciągu kilku najbliższych tygodni w europejskim teatrze działań wojennych. Wykorzystamy to, co wpadło nam w ręce, i spróbujemy interwencji.

– Ma pan na myśli użycie tego okrętu w walce? – spytał poruszony Hidaka.

– Być może porucznik Moertopo i jego ludzie zasłużyli na podobną szansę. Niechby dali dowód swej lojalności – mruknął Yamamoto.

– A jeśli czekają tylko na sposobność ucieczki? – spytał Hidaka.

– Nie dozwolimy, aby nas zawiedli – rzekł admirał i zauważył dziwny wyraz twarzy Niemca. – Nie zgadza się pan, majorze?

Głęboko zamyślony Brasch nie odpowiedział od razu.

– Nie. Oczywiście ma pan rację. Zastanawiam się tylko, czy to na pewno dobry pomysł, aby ryzykować utratę tak cennego okrętu. Nie mamy i nie będziemy mieć drugiego *Sutanto*. Yamamoto zastanowił się chwilę.

– *Sutanto* jest kartą, którą musimy rozegrać – stwierdził. – Ale ma pan sporo racji. Wartość tego okrętu nie ogranicza się tylko do rakiet, które przenosi. Najcenniejsze są informacje spoczywające w jego archiwach.

– I nie tylko. Jest jeszcze bogate wyposażenie – powiedział Hidaka. – Podczas tej misji nie będzie potrzebne. Powinniśmy zdjąć z niego wszystko, co się da, zostawiając tylko najniezbędniejsze elementy.

Wyciągnął flexipad, który ostatnio nosił cały czas ze sobą.

– Na *Sutanto* jest prawie sto pięćdziesiąt takich urządzeń. Każde o wielkiej wartości dla naszych naukowców i inżynierów. Jak wspomniał major Brasch, sami nie mamy szansy zbudować czegoś podobnego. Niemniej nasza technologia może na tym skorzystać. Rozwiniemy nowe, prekursorskie kierunki badań. Tak pan to nazwał, majorze?

– Prekursorskie kierunki – odrzekł obojętnie Brasch.

– Właśnie. Moertopo twierdzi, że ta maszynka potrafi wykonać w mgnieniu oka trylion operacji. A są jeszcze większe komputery. Podobnie jest z urządzeniami łączności i automatyczną bronią, i...

Yamamoto uniósł ręce.

– Rozumiem, do czego pan zmierza, komandorze. Tutaj mam dla odmiany nieco dobrych wieści.

Każdy z nich zareagował inaczej. Hidaka usiadł prosto, jakby kij połknął, Brasch cofnął się i uniósł brwi.

– Jeszcze wam nie mówiłem, ale znaleźliśmy drugi taki okręt – powiedział Yamamoto. – To siostrzana jednostka *Sutanto*.

– Ale gdzie? – spytał z przejęciem Hidaka.

Yamamoto uśmiechnął się. Wyraźnie cieszył się tą chwilą.

– Na szczycie pewnej góry na Nowej Gwinei – powiedział, po cudzoziemsku kręcąc głową.

– Mój Boże – westchnął Brasch.

– W rzeczy samej, majorze. Jego rufa jest zagłębiona we wnętrzu góry, zupełnie jakby w niej tonął. Niestety, nie da się go wykopać. W jakiś sposób metal stopił się w jedno ze skałą. Ten sam los spotkał wielu członków załogi. Niemniej oddział Kempeitai odziera wrak ze wszystkiego, co tylko można zdjąć z pokładu.

– A załoga? – spytał Brasch.

– Była – powiedział admirał. – Nie, to nie tak, jak pan myśli, majorze – dodał szybko. – To bardzo niegościnna okolica. Większość ludzi zmarła z wychłodzenia jeszcze przed odzyskaniem przytomności. O ile wiem, przeżyło pięć czy sześć osób. Są już w drodze do nas.

Hidaka zerwał się z krzesła.

– To wspaniała wiadomość – zawołał. – Podwoiliśmy nasze zdobycze.

Głównodowodzący Połączonej Floty westchnął głęboko.

– Ale wkrótce stracimy przewagę wynikającą z zaskoczenia – powiedział. – Australijskie oddziały ochotnicze roją się tam niczym mrówki. MacArthur czy Nimitz szybko dowiedzą się o tym okręcie. A wtedy gra dobiegnie końca. Zatem dobrze, komandorze Hidaka. Niech pan ogołoci *Sutanto*. Może pan zacząć już teraz. W ciągu dwóch dni chcę otrzymać propozycję konkretnej operacji. Jeśli mamy doprowadzić do *Kantai Kessen*^{*}, musimy uderzyć przed Nimitzem.

Obaj oficerowie wyszli, aby wrócić do swoich studiów. Hidaka aż palił się do roboty, co chyba irytowało Brascha, który jednak nic nie powiedział.

Yamamoto kazał sobie przynieść imbryk herbaty. Jak nigdy odczuwał ostatnio osamotnienie związane z odpowiedzialnością dowódcy. Wiedział na dodatek, że wkrótce będzie musiał zreferować sprawę członkom sztabu generalnego i gabinetu. Jak dotąd byli zbyt wstrząśnięci, aby robić cokolwiek. Podobnie zresztą jak niemal wszyscy inni. Zaakceptowali dotychczasowe posunięcia głównodowodzącego, ale czy zgodzą się z propozycją nowej strategii? Jak zareagują Niemcy? Nie miał najmniejszego pojęcia.

Co gorsza, sam nie był przekonany do własnych decyzji. Raz jeszcze wziął do ręki raport przygotowany przez Brascha i Hidakę. Na pierwszej stronie przedstawili listę najważniejszych

błędów popełnionych podczas ataku na Pearl Harbor i operacji pod Midway. Admirał wyczuwał w tym rękę Brascha. Hidaka nie byłby równie śmiały.

Z wieloma zarzutami nie mógł się nie zgodzić. Sam wysuwał podobne argumenty przeciwko wojnie z Ameryką. Przewidział, jakie konsekwencje będzie miało prowokowanie olbrzyma. Nie przewidział jednak wyniku bitwy pod Midway. Tej historycznej. Był na to zbyt pewny siebie.

Dłonie mu się trzęsły, gdy czytał o tym, do czego by doszło, gdyby Kolhammer nie pojawił się na drodze zespołów Spruance'a i gdyby Kakuta nie podwinął ogona pod siebie i nie wycofał floty. Amerykanie wiedzieli, dokąd płynął i co zamierzał. Wiedzieli wszystko, bo złamali tajne kody marynarki. Udało im się też zreperować *Yorktowna*, który miał zatonać albo zostać na długi czas wyłączony z walki po bitwie na Morzu Koralowym. Trzeci sprawny lotniskowiec odegrał kluczową rolę.

Do tego doszła niewiarygodna ofiara amerykańskich lotników. Nadlatywali fala za falą, chociaż wiedzieli, że czeka ich pewna śmierć. To najbardziej poruszyło admirała. Zginęli mężnie, dając kolegom z bombowców nurkujących okazję do śmiertelnego ugodzenia lotniskowców Nagumy. Wystarczyło pięć minut, aby trzy z nich stały się niezdolne do walki. Czwarty dołączył do nich chwilę później. Wojna została przegrana. Wszystko przez nazbyt złożony i rozprasający siły plan, który był jego wyłącznego autorstwa.

Yamamoto musiał oprzeć się o biurko. Zrobiło mu się po prostu niedobrze. Sam jeden okrył hańbą cesarza i sprowadził klęskę na swój kraj. Nie musiał ponownie czytać informacji o wybuchach atomowych, które miały zniszczyć Hiroszimę i Nagasaki. Nie musiał patrzeć na fotografie. Już wryły mu się w pamięć i wiedział, że nie zapomni ich do końca życia.

Zastanowił się przelotnie, ile jeszcze mu go zostało.

Czy ten wielki plan cokolwiek zmieni? A może i tak wszystko było z góry przesądzone? Może Japonia musiała przegrać tę wojnę, aby w przyszłym stuleciu znaleźć się pod dominacją komunistycznych Chin?

Odstawił filiżankę z herbatą. Rozumiał, że nie dowie się tego inaczej, jak czekając na rozwój wydarzeń. Odsunął obawy i wątpliwości. Wybór był oczywisty. Musi zrobić wszystko, aby ocalić cesarza i wyspy Nipponu. Jeśli mu się nie uda... Trudno. Na wojnie czasem się przegrywa.

* * *

Wczesnym wieczorem zjawił się konwój dwudziestu siedmiu ciężarówek mających wywieźć wszystko, co udało się zdjąć z *Sutanto*. Co najmniej trzy pojazdy zostały wypełnione eklektycznymi urządzeniami z dwudziestego pierwszego wieku, które nie miały wiele wspólnego z techniką wojskową. Do pudeł trafiły książki, konsole do gier, telewizory, gry DVD, kamkordery, ekspresy do

kawy, opiekacze, garnki do gotowania ryżu, elektroniczne zegarki, większość medykamentów, sto dwadzieścia pięć flexipadów, tysiące modułów pamięci z gramami, prozą, filmami, muzyką i pornografią. Lista była tak długa, że przyprawiała admirała Yamamotę o zawrót głowy.

– Niech pan nie robi tak ponurej miny, poruczniku – powiedział do Moertopy. – Nikt pana nie okrada. Wręcz przeciwnie, zapewne ratujemy panu życie. Gdy tylko Amerykanie odkryją, gdzie cumuje ten okręt, stanie się ich pierwszym celem. Chyba sam pan to rozumie.

Stali na nabrzeżu i razem z majorem Braschem obserwowali całą operację. Hidaka był na pokładzie i doglądał wszystkiego osobiście. Moertopo nadal wyglądał na urażonego.

– Tak czy tak, to mój okręt, admirale. Na pewno sam pan to rozumie.

– Oczywiście – odparł Yamamoto.

Brasch parsknął z irytacją.

– Marynarze... Jesteście jak stare baby.

* * *

Hidaka całkiem dobrze radził już sobie z flexipadem. Nosił go ze sobą, chodząc po całym okręcie, i co rusz sprawdzał manifest okrętowy i plan załadunku, porównując go z rzeczywistym postępowaniem. Szło im nieźle. Indonezyjczycy nie obijali się i dokładali wszelkich starań, aby jak najszybciej opróżnić okręt. Bez wątpienia wynikało to z faktu, że w ostatnich dniach otrzymali nieco więcej swobody i większy dostęp do osładzających im samotność kobiet.

To ostatnie miało na nich zdumiewający wpływ. Szczególnie cenili sobie prostytutki z Hongkongu i Singapuru, wśród których było wiele Angielek.

Hidaka przystanął przed centralą bojową i uśmiechnął się, zaraz jednak spoważniał na widok podporucznika Usamy Damiriego. Damiri był oficerem systemów informatycznych i wiele razy dowiedział, że potrafi być bardziej użyteczny niż Moertopo, który wolał spędzać czas w łóżku, gdzie głównie palił haszysz i pieprzył blondynki. Z drugiej jednak strony Damiri był mocno irytujący. Nie żywił wystarczającego szacunku dla przełożonych i wiecznie próbował absorbować ich uwagę. Hidaka tolerował go jedynie jako alternatywę wobec Moertopy, na zasadzie „coś za coś”

Damiri podszedł do japońskiego oficera.

– Musimy porozmawiać – powiedział.

– Naprawdę? Znowu cię nosi? – spytał Hidaka. – Przede wszystkim musimy dokończyć naszą pracę.

– Nie możecie odzierać tak okrętu ze wszystkich systemów obronnych.

– Naprawdę?

– Nie rozumiecie...

– Rozumiem jedno. Przeszkadzasz w pracy i działasz mi na nerwy.

Indonezyjczyk położył ręce na biodrach. Ludzie przemykali obok z pudłami, ekranami komputerowymi, fotelami na kółkach. Ledwo dawało się znaleźć trochę wolnego miejsca i co rusz ktoś wpadał na Hidakę, który był przez to w jeszcze gorszym humorze.

– Przeczytał pan e-maila, którego wysłałem? – spytał Damiri.

Hidaka westchnął głośno.

– Od dłuższego czasu zasypujesz mnie e-mailami. Jeśli marzy ci się pięć przerw dziennie, abyś mógł oddawać cześć swojemu Bogu, to nic z tego. Jedna starczy. Bóg jest wszechwiedzący. Zrozumie, że jesteś zajęty.

Damiri wycelował w niego palcem.

– Gdybyś przeczytał mój e-mail, zrozumiałbyś, że Allah może zapewnić wam zwycięstwo – rzucił z wściekłością.

Hidaka nie posiadał się ze zdumienia. Miał już naprawdę dość tego człowieka. Dostrzegał też uśmieški, które pojawiły się na twarzach innych załogantów. Podporucznik Damiri był szeroko znany ze swojej religijności, która wyraźnie nasiliła się pod wpływem wydarzeń ostatniego tygodnia. Na dodatek w czasie tranzytu oberwał mocno w głowę. Koledzy uważali, że zaburzyło to jego równowagę.

Hidaka spojrział na zegarek. Jeśli będzie marnował czas z tym obłąkańcem, nie zdąży ze wszystkim. Powinien się go pozbyć, Damiri jednak złapał go za nadgarstek i nie chciał puścić.

– Proszę mnie wysłuchać – nalegał. – Wiem, jak użyć tego okrętu do zniszczenia floty Kolhammera. Nie możecie jednak go ogołocić.

Komandor miał już wyciągnąć pistolet i strzelić bezczelnemu psu prosto w twarz, ale ten znowu przytrzymał mu rękę i skinął głową w stronę centrali bojowej.

– Nie tutaj. Na osobności.

* * *

Zadowolony z tempa, w jakim ciężarówki odjeżdżały z nabrzeża, Yamamoto zamierzał pozwolić sobie na kilka godzin snu. Następnego dnia mieli zjawić się kolejni Niemcy, tym razem wysłannicy Hitlera. Musiał jeszcze dokończyć pismo, które chciał przekazać za ich pośrednictwem.

Cały dzień i większość nocy był na nogach. Szyja bolała go od wypatrywania amerykańskich pocisków, chociaż Moertopo wyjaśnił, że jeśli takowe nadlecą, nikomu nie uda się ich dostrzec.

Poza blaskiem gwiazd widać było tylko przesłonięte reflektory ciężarówek. Kotwicząca w zatoce Połączona Flota kryła się w ciemności. Yamamoto pożyczył sobie gogle z noktowizorem, aby przyrzeć się po kolei wszystkim okrętom. Lotniskowce i wielkie pancerniki drzemały za osłonami sieci przeciwtorpedowych. Wyglądały na niezwykłe, Yamamoto wiedział jednak, że gdy Nimitz zaatakuje, ich grube pancerze nie oprą się nowym broniom.

Był pewien, że ten dzień, dzień ataku, jest coraz bliższy.

Jeszcze kilka godzin będziemy się tu tłoczyć jak kurczaki przeznaczone na rzeź, pomyślał. Potem wypływamy.

Flota miała opuścić bazę następnego dnia. Yamamoto nie mógł doczekać się tej chwili. Czuł się tu dobrze i znał każdy kąt, ale Hashirajima była zbyt oczywistym celem. Moertopo zapewniał, że Amerykanie na pewno zaatakują kotwicowisko i że uczynią to niebawem.

Admirał pożegnał Brascha i Moertopę i chciał już odejść, gdy usłyszał komandora Hidakę wołającego go z pokładu *Sutanto*. Wpatrzył się w ciemność, ale nie dostrzegł podwładnego.

– Chyba chce, aby pan tam przyszedł – powiedział Brasch.

Zdumiony i rozdrażniony, że uszczupla się jego czas na sen, Yamamoto zmarszczył brwi i poczekał. Młody oficer przybiegł po chwili z jakimś Indonezyjczykiem.

– Admirale, admirale! Musi pan tego wysłuchać. Damiri ma pomysł, w jaki sposób pozbyć się tych nowych Amerykanów.

– Naprawdę? – spytał Yamamoto, nie starając się nawet ukryć niedowierzania.

Kątem oka dostrzegł, że Moertopo zeszywniał jak rażony prądem. Po chwili obrócił się do Japończyka.

– Admirale, proszę nie ufać temu człowiekowi. Ostatnie wydarzenia pomieszały mu w głowie, a nigdy nie był szczególnie zrównoważony. Jest fanatykiem albo za takiego się uważa.

Brasch roześmiał się głośno.

– Kiedy pan zrozumie, Moertopo, że tutaj są sami fanatycy?

Nieco zdyszany Hidaka odsunął się parę kroków i uklonił. Indonezyjczyk, którego przyprowadził, był młodszy i szczuplejszy. Trudno było po ciemku dojrzeć rysy jego twarzy; miał chyba rzadką

brodę i był raczej muskularny. Zanim ktokolwiek zdążył coś powiedzieć, Moertopo podszedł i uderzył go otwartą dłonią w policzek. Indonezyjczyk roześmiał się.

– Jesteś psem, Moertopo – powiedział w swoim języku. – Byłeś psem Djuandy, potem Amerykanów, teraz służysz tym niewiernym. Jeśli jeszcze raz podniesiesz na mnie rękę, obetnę ci ją.

– Dość – warknął Yamamoto. – Co tu się dzieje? Jeśli chce mnie pan wciągnąć w jakąś awanturę, radzę przemyśleć sprawę.

– Przepraszam pana. Jestem podporucznik Usama Damiri – powiedział młody mężczyzna po angielsku. – Długo trzymałem język za zębami, podczas gdy ten głupiec – wskazał na Moertopę – napalał się jak pies na suki.

Moertopo chciał znowu podejść do Damiriego, ale Hidaka zastąpił mu drogę.

– Zrób to raz jeszcze, a utnę ci głowę – powiedział. – Twój towarzysz w ciągu ostatnich trzech minut pomógł nam bardziej niż ty przez cały czas.

Praca na okręcie nie została przerwana, ale sporo marynarzy spoglądało w ich kierunku.

Moertopo zwrócił się do Yamamoty:

– Proszę nie słuchać tego człowieka. Błagam pana, admirale. On nie myśli wcale o was. Jest niezrównoważony. Sądzi, że Bóg zesłał nas tutaj, abyśmy wybili niewiernych, a więc oznacza to także i was. Jest szalony albo zbliża się do szaleństwa.

Yamamoto spojrzał na Hidakę. Komandor skinął głową.

– To prawda. On uważa, że Bóg zesłał go tutaj za grzechy, które popełnił. Ma nas wszystkich za zepsute psy, które skazane są na zagładę w... jak to nazywasz, Damiri? A tak, w dżihadzie. To forma wojny religijnej. Nawet nie próbuje temu zaprzeczać. Mówi jednak, że zna sposób zniszczenia albo przynajmniej osłabienia sił amerykańskich, i jestem skłonny mu wierzyć.

Moertopo zaklął i odszedł parę kroków.

– Nie do wiary, że to szaleństwo podążyło za mną aż tutaj – mruknął, ale nikt go nie słuchał.

Yamamoto spojrzał na Damiriego z nowym zainteresowaniem. Może nawet z szacunkiem.

– Proszę powiedzieć mi, na czym polega ten plan, poruczniku. W przeciwnym razie może się pan zacząć przygotowywać na spotkanie ze swoim Bogiem.

Damiri uśmiechnął się pogardliwie.

– Nie wie pan, o czym mówi.

Teraz Yamamoto widział wyraźnie jego twarz. Co ciekawe, młody oficer wcale się go nie bał.

Gdy Damiri wszystko wyjaśnił, admirał zrozumiał, skąd ten brak lęku.

33

KRI Sutanto, *kotwicowisko Hashirajima*,

11 czerwca 1942, godzina 20.43

Porucznik Moertopo leżał na koi i palił papierosa z domieszką haszyszu. Ostatnio była to jego jedyna przyjemność. Luksusowa kwatery i gejsze zostały zarezerwowane dla szaleńca Damiriego, który zastąpił go w roli maskotki Japończyków. Allah jeden wie, co z nim zrobią, gdy *Sutanto* przejdzie pod dowództwo tego szaleńca.

Na razie porucznik spędzał większość czasu w swojej kabine. Nadal był najstarszym oficerem i wolałby zająć wygodną kabinę kapitańską, jednak tam zamieszkał Hidaka. Nic dziwnego. Pomieszczenie zostało naprawdę kosztownie urządzone przy okazji ratowania prezydenta i jego rodziny z Tanjungpinangu. Teraz było to zdarzenie z całkiem innej rzeczywistości.

Moertopo uśmiechnął się do wspomnień. Nigdy wcześniej nie doświadczył chyba niczego równie ekscytującego. Wszyscy strzelali z broni ręcznej i odpalali granaty, działko smagało seriami wielki tłum zwolenników Kalifatu. Ktoś sięgnął nawet po raketnicę. Prezydent biegł do trapu, ile sił w nogach. Djuanda, ten stary pirat, palił olbrzymie cygaro i wykrzykiwał rozkazy dla załogi. Potem wybuchnął maniackim śmiechem i wyciągnął antycznego Colta kalibru.45, aby wystrzelić kilka razy do ludzi goniących ich po nabrzeżu.

– Pozdrowienia dla dziewczyc w raju! – zawołał. – Niech zachowają też coś dla nas!

Porucznikowi naprawdę brakowało starego capa. Wiele razem przeżyli. Poza tym Djuanda wiedziałby, jak podejść do Hidaki. Pewnie podziurawiłby go koltem zaraz po otwarciu oczu. Zawsze trafnie oceniał sytuację i nie wahał się sięgać po broń, gdy było to konieczne. Nie zaufałby ponadto Usamie Damiriemu. Jak w ogóle można zaufać komuś o imieniu Usama?

Moertopo wstydził się własnej słabości, która nie pozwoliła mu dorównać poprzedniemu dowódcy *Sutanto* ani dochodzić prawdy na temat okoliczności jego śmierci. Japończycy powiedzieli, że to był po prostu wypadek. Kapitan ocknął się, gdy akurat nikogo nie było w pobliżu, i wypadł za burtę. Był ledwie przytomny i zdezorientowany, morze zaś wzburzone, a pokład śliski. „To prawdziwa tragedia” – stwierdził Hidaka. Moertopo zgodził się, chociaż pamiętał, że Djuanda nie miał kłopotu z utrzymaniem się na nogach nawet po butelce araku wypitej w środku tajfunu.

Pukanie do drzwi przerwało mu te niewesołe rozmyślenia. Westchnął i starannie zgasił papierosa. Czuł już lekki haszyszowy szumek w głowie i miał nadzieję odpłynąć niebawem w narkotyczny sen. Odarty z niemal całego wyposażenia okręt wydawał mu się przeraźliwie pusty i nie było sensu się po nim włóczyć. Pojękując, opuścił nogi na pokład, zrobił kilka kroków i wyjrzał za próg. Na korytarzu stał Damiri.

– Przyszedłem, aby dać ci ostatnią szansę dołączenia do nas – powiedział.

– Pierdol się – rzucił zmęczonym głosem Moertopo.

Damiri spojrzał na niego z pogardą i politowaniem.

– Pomyśl tylko, Moertopo. Popadłeś w niełaskę. Jeszcze trochę, a pochowają cię z wieprzową szynką w gębie.

– Jeszcze nie teraz – powiedział porucznik, zapalając na nowo papierosa. – Ciebie zaś nie będzie jak pochować. Nic z ciebie nie zostanie. Japończycy oczywiście się tym nie przejmą. Jesteś dla nich jak szkolony pies.

Damiri wpatrywał się w niego intensywnie, chociaż jego oczy pozostawały puste. Maniak już jest w raju, pomyślał porucznik.

– Powinieneś wykorzystać sposobność pokuty, Moertopo. Inni już to zrobili.

Moertopo zachichotał. Po części pod wpływem haszyszu.

– Nawróciłeś kogoś? Niech zgadnę kogo. Pewnie tych najgłupszych i najbardziej zgorzkniałych z całej załogi. Kogo masz? Wieśniaków z maszynowni, którzy wychowali się w Surabaji i nie potrafią nawet umyć rąk po podtarciu tyłka? A może tę małą skalną z Kalimantanu? Gościa, który ciągle wierzy, że to CIA wysadziło jego dziadka w Nowym Jorku?

Twarz Damiriego stężała niepokojąco, ale Moertopo tylko wybuchnął śmiechem. Trzymając się za boki, padł na koję.

– Dalej, Damiri – wykrztusił. – Zrób z siebie męczennika. Odrodzony w osobie Damiriego dżihad opuścił kabinę zanoszącego się chichotem Moertopo.

* * *

Brasch wiedział, że jego zadanie dobiega końca i niebawem wróci do Watterlandu, gdzie zobaczy żonę i syna, jednak czuł się coraz gorzej. Zapadał się w otchłań głębszą niż ta, którą poznał po powrocie z frontu. Miał wrażenie, że nigdy już się nie podźwignie. Wiedział dlaczego. Wyjaśnienie było bardzo proste. Chodziło o plik o nazwie „Belsen”

Brasch wierzył kiedyś, że walczy za Niemcy. Potem, w Rosji, walczył tylko o przetrwanie. Obecnie, po dwóch tygodniach penetrowania archiwów *Sutanto*, zaczynał rozumieć, że toczy z góry przegraną wojnę o coś, co nie miało naprawdę nic wspólnego z ocaleniem Niemiec. Niemcy, jak uważał obecnie, świetnie poradziłyby sobie bez NSDAP. Pod rządami Hitlera stały się siedliskiem największego zła.

Plecy go bolały, w głowie go łupało. Leżąc tak w koi i czując lekkie kołysanie okrętu, pomyślał, że chociaż mógłby walczyć za Niemcy, nie jest w stanie walczyć za Belsen, Auschwitz czy Treblinkę. Żydzi nic go nie obchodzili, ale „ostateczne rozwiązanie” było czymś, czego żaden cywilizowany człowiek nie mógł zaakceptować. Szczególnie że ta sama formacja *Einsatzgruppen* mogła pewnego dnia zająć się i jego własną rodziną.

Mały, głuchy chłopiec z rozszczepionym podniebieniem podpadał pod dyrektywy programu T4 – planowej eksterminacji niepożądanych, fizycznie albo umysłowo ułomnych, osobników. A taki był właśnie Manfred, syn Brascha.

Robiło mu się zimno na samą myśl o jego potencjalnym losie. Nie łudził się, że nawet jako bohater Rzeszy zdoła chronić Manfreda w nieskończoność. Rozumiał już, że nazistowskie Niemcy pożerały własne dzieci.

Nie wiedział, co mógłby zrobić, aby uratować rodzinę.

W końcu przysnął na parę godzin niespokojnym snem. Ostatnio koszmary z frontu wschodniego zniknęły. Teraz widział najczęściej śmierć Manny’ego w obozie SS.

Na długo przed świtem jakiś Indonezyjczyk obudził go szarpnięciem za ramię. Okazało się, że płakał przez sen.

Oprzytomniał szybko i dał znać zatroskanemu marynarzowi, że wszystko w porządku.

Na szafce obok koi stała buteleczka pigułek. Moertopo nazywał je pigułkami szczęścia.

Brasch połknął trzy bez popijania i zwlókł się z pośłania.

* * *

– Nareszcie – powiedział Hidaka.

Wziął noktowizyjną lornetkę Starlite i wyszedł na otwartą część mostka. Wodnosamolot ukazał mu się wyraźnie jak za dnia, tyle że w lekko zielonkawej poświacie. Zabawki tych małpisonów nieustannie go zdumiewały. Czekając, aż maszyna podpłynie do burty *Sutanto*, przyjrzał się lornetce. Moertopo powiedział, że to standardowy sprzęt używany przez piechotę morską z floty Kolhammera, chociaż podobno amerykańskie modele miały być jeszcze lepsze. Na dodatek niektórzy ludzie z jego czasów poddawali się operacji na genach, dzięki której widzieli w ciemnościach równie dobrze jak koty. Hidaka z początku uznał to za dziwny pomysł, ale obecnie już by tak nie powiedział.

Nauczył się nie odnosić zbyt sceptycznie do opowieści porucznika.

Na pokładzie poniżej kręciła się grupka marynarzy z goglami noktowizyjnymi. Chociaż

niezgrabne, urządzenia nie przeszkadzały im w pracy. Goście przesiedli się z wodnosamolotu do małej motorówki, która podpłynęła do nich od nabrzeża.

– Piękna noc, kapitanie.

Hidaka poznał głos Brascha. Cierpiący na częste zmiany nastroju Niemiec znowu wychynął z kokonu. Hidaka przestał już śledzić jego metamorfozy. Miał nadzieję, że dobry okres potrwa trochę dłużej, ale nie żywił większych złudzeń. Spodziewał się, że przed końcem współpracy Braschowi zdarzy się jeszcze kilka takich cykli. Niemniej jakoś jego pracy na tym nie cierpiała.

– Piękna noc, majorze – zgodził się Hidaka. – I ważna, prawda?

– Zobaczymy. Funkcjonariusze SS miewają zawężone horyzonty. Wiele z tego, co tu zobaczą, bardzo im się spodoba...

– Ale nie wszystko – dokończył Japończyk. – Nie zazdroszczę panu, Brasch. Wasz Führer nigdy nie wydawał mi się rozsądnym człowiekiem. Może zastrzelić pana tylko dla zasady.

Brasch nie przejął się tą perspektywą.

– Jestem tylko posłańcem. Jeśli kogoś przeklnie, to Yamamoto. A admirała nawet Führer nie dosięgnie.

* * *

Ludzie Himmlera, Oberführer i Standartenführer, czyli generał brygady Hoth i pułkownik Skorzeny wspięli się na pokład. Hotha Brasch nie znał, Skorzeny jednak był już legendą dla wszystkich, którzy przeszli przez front wschodni. Dawny ochroniarz Hitlera mierzył sześć stóp i cztery cale i należał do tej nielicznej grupy ludzi, którzy bez strachu podejmowali się najniebezpieczniejszych zadań. Brasch nigdy wcześniej go nie spotkał, znał jednak na pamięć z pół tuzina opowieści o jego wyczynach. Niektóre mogły być nawet prawdziwe.

Olbrzym klepnął w plecy marynarza, który podał mu rękę. Echo uderzenia otwartej dłoni o skórzaną kamizelkę rozbrzmiało głośno w uszach Brascha.

– Co to za osiłek? – spytał Hidaka.

– Nazywa się Otto Skorzeny. Jeśli mógłbym coś doradzić, przyjacielu... Lepiej, aby nie słyszał, jak go nazywasz. Jego pojęcie honoru jest jeszcze dziwniejsze niż wasze. Nie bacząc na konsekwencje, zabiłby cię na miejscu.

– Naprawdę? – spytał zaintrygowany Hidaka. – Skąd go znasz?

Brasch roześmiał się.

– Wszyscy go znają. W Stanach mają komiksy z Supermanem, my po prostu mamy supermana. Oto stąpa we własnej osobie po pokładzie waszego cennego okrętu. Pewnie zostawi wgłębienia w pokładzie.

Zeszli na dół, gdzie czekali obaj goście. Speszony nieznanym otoczeniem Hoth przywitał się sztywno. Skorzeny wręcz odwrotnie. Ryknął głośno na widok Brascha, jakby byli starymi kumplami.

– Dawno już chciałem cię poznać. Słyszałem o twoim szaleństwie pod Biełgorodem. Trzeba mieć w sobie coś z boga wikingów, aby stanąć tak z pistoletem na stercie trupów. Oto moja ręka, Brasch. Tylko nie połam mi kości, bo na pewno nie jesteś zwykłym śmiertelnikiem.

Brasch wiedział, że nie dorówna Skorzenemu w rubaszości, nawet więc nie próbował. Uśmiechnął się krzywo.

– Chciałem się tylko odlać, ale Sowietci przeszkodzili mi tym swoim atakiem. To jak niby miałem usiąść. Nawet jeszcze nie otrząsnąłem małego.

Skorzeny wybuchnął gromkim śmiechem. Kto inny na jego miejscu pewnie wypłułby płuca.

– Oto duch godny Żelaznego Krzyża. Jak długo ich zabijasz, nieważne, czy do nich strzelasz, czy ich olewasz. Chodźmy, majorze. Niech pan nas przedstawi swoim towarzyszom i pokaże nam tę zaczarowaną łajbę.

Brasch bez zwłoki spełnił prośbę. Przytłoczony obecnością olbrzymiego nazisty Hidaka tylko przywitał się zdawkowo. Już to jedno było istotną korzyścią wynikającą z przybycia Standartenführera. Moertopo wyglądał tak, jakby gotów był oddać prawą rękę, byle tylko znaleźć się jak najdalej od *Sutanto*.

Przeszli do mesy oficerskiej, gdzie czekała na nich lekka kolacja. Zaraz po niej goście mieli zapoznać się z wynikami tygodnia pracy.

* * *

– Podoba mi się to. Bardzo mi się podoba – stwierdził Skorzeny jakiś czas później. – Hitlerowi spodoba się jeszcze bardziej. Przynajmniej to najlepsze.

Skorzeny chyba nigdy nie przestawał mówić. Brasch pomyślał, że załoga wodnopłatowca zapewne klęła go w żywy kamień.

– A co pan myśli, *Herr Oberführer*? – spytał pułkownik. – Londyńskie cioty chyba będą miały powody do płaczu?

Hoth siedział cały czas z kamienną twarzą. Nie czuł się dobrze w towarzystwie kolorowych podludzi i nie rozumiał, jakim cudem mogli oni dysponować podobnie zaawansowaną bronią. Im szybciej wszyscy ci Indonezyjczycy trafią do płytkich grobów, tym lepiej, pomyślał.

– Nie jestem ekspertem od spraw marynarki – powiedział jakby z urazą. – Zamelduję jednak o wszystkim admirałowi Raederowi i zobaczymy. To bez wątpienia interesująca technologia i widzę w niej spory potencjał. Oczywiście jeśli tylko uda nam się zneutralizować zagrożenie ze strony pozostałych okrętów, czyli lotniskowca i jego eskorty.

– Ha! – wykrzyknął Skorzeny. – Damy im lekcję, której nigdy nie zapomną!

Objął serdecznie podporucznika Damiriego.

– Nasz święty wojownik się tym zajmie – huknął. – Jesteś chlubą swojej rasy, Damiri.

Indonezyjczyk uśmiechnął się niepewnie i spróbował uwolnić z uścisku olbrzyma.

Oberführer spojrział zaś na Damiriego z taką odrazą, jakby ten był psem, który właśnie narobił mu na nowy dywan.

– A co do tego, nie rozumiem, dlaczego admirał nie mógł napisać listu normalnie, na papierze – powiedział, pokazując flexipad z zakodowaną wiadomością od Yamamoty i premiera Tojo dla Führera.

– Tabliczka zawiera materiał, którego nie da się przedstawić na papierze – wyjaśnił Brasch w imieniu Japończyków. – To nie tylko tekst, ale i dźwięk oraz ruchome obrazy. Dobrze byłoby, aby jak najszybciej dotarła do Wolfschanze, *Herr Oberführer*. Przypuszczam, że pańskie życie nie jest jej warte.

– Steckel jednak zapłacił najwyższą cenę – powiedział Hoth niemal oskarżycielskim tonem.

– Zatem proszę dobrze strzec przesyłki – odparł Brasch.

Powiedział to bez cienia groźby w głosie, jakby odczytywał prognozę pogody na kolejny dzień. Generał SS poczerwieniał, urażony takim traktowaniem, ale obojętna postawa Brascha kazała mu się zastanowić.

– Dopilnuję, aby dotarła do Führera – syknął. – A jeśli nie będzie zadowolony z tego, co znajdzie w środku, dopilnuję także, aby dowiedział się o pańskiej obecnej gorliwości.

Brasch nie przejął się jadowitym tonem.

– Wątpię, aby się ucieszył – powiedział. – Jednak japońskie najwyższe dowództwo uważa, że powinien to zobaczyć.

Hoth omal nie wybuchnął, słysząc, że Hitler powinien poznać coś przygotowanego przez Azjatów, jednak obecność Hidaki i innych japońskich oficerów sprawiła, że powściągnął emocje. Schował

tabliczkę.

– Tak lepiej. Znowu wszyscy walczymy po tej samej stronie – ucieszył się Skorzeny. – Co do mnie, nie mogę się doczekać chwili, gdy zobaczę, co potrafi ten okręcik.

– Sądzę, że nawet pan będzie zaskoczony – powiedział Hidaka.

– Słyszałeś, Brasch? Nawet ja. Już go lubię. Poznał się na mnie. Chodźmy, wyślemy jak najszybciej biednego Hotha w drogę. Bardzo nie lubi pływać łodzią. A potem się zabawimy. Ty, Hidaka, opowiesz mi o tym, jak było nad Pearl Harbor. Chciałbym jeszcze zabić paru kowbojów, nim ta wojna się skończy. Na razie muszę jednak zadowolić się opowieściami o wyczynach naszych towarzyszy ze Wschodu...

Nie było ucieczki przed donośnym głosem Skorzenego.

34

Hotel Ala Moana, Honolulu,

10 czerwca 1942, godzina 08.15

Pewnych przyzwyczajień trudno się pozbyć. Julia zaraz po przebudzeniu sprawdzała zwykle pocztę na flexipadzie. Żyjąc w dwudziestym pierwszym wieku, obsesyjnie dbała, aby pozostawać w kontakcie z całym światem, i musiało trochę potrwać, aby rytuał odszedł w zapomnienie.

Tego ranka czekała na nią tylko jedna wiadomość, co i tak oznaczało pewien postęp w stosunku do ostatnich dni. Był to pierwszy e-mail, który otrzymała od czasu tranzytu. Krótki tekst wysłany wieczorem przez Rosannę z koktajlbaru hotelu Moana: WSZYSTKO MI OPOWIESZ, PANNO PUSZCZALSKA.

Kac, wspomnienie po wizycie w Mai Tai, ustąpił nagle na tyle, że wszystko sobie przypomniała. Obróciła się na starym łóżku i... był. Leżał na brzuchu i nawet nie chrapał. Niech go Bóg błogosławi, pomyślała Julia. Serce zabiło jej żywiej w piersi, gdy przysunęła się bliżej, wsunęła kolano między jego nogi i zaczęła ciągnąć go delikatnie za uszy. Poruszył się, drapiąc ją wczorajszym zarostem.

– Co, u diabła? – wymamrotał w poduszkę.

– Wyzwolone kobiety nadciągają – mruknęła mu do ucha. – Obawiam się, że jesteśmy dość wymagające.

Dwie godziny później siedziała z Rosanną przy stoliku pod bananowcem na dziedzińcu hotelu Moana. Natoli pochyliła się ku niej z miną wiewiórki, która nabrała cały pyszczek orzeszków.

– Szybko, póki nie wróci, gadaj, jak było?

Julia spojrzała w ślad za sylwetką Dana Blacka, który udał się do jadalni po sałatkę owocową.

– Tylko trzy słowa – powiedziała. – O mój Boże.

Rosanna nie zdołała stłumić pisku. Odbił się on echem na dziedzińcu, ściągając na ich stół zdumione spojrzenia innych gości.

– Wiedziała! – zawołała. – Uprzedzałam cię, prawda? Zawsze poznam, co komu chodzi po głowie. On pożerał cię wzrokiem! Jak go złowiłaś?

– Chyba przez te wczorajsze zamieszki. Pewnie go pobudziły i musiał się wyładować. Albo był zbyt wystraszony, aby powiedzieć nie.

– I co? Okazał się dobrze wyposażony do pracy?

Julia wydeła policzki, upodabniając się do chomika. Rozległ się kolejny przenikliwy pisk. Rosanna bawiła się chyba równie dobrze jak jej przyjaciółka.

Starsza para przy sąsiednim stoliku zadzwoniła znacząco sztućcami o talerze. Jeśli sądzili, że któraś z młodych kobiet zwróci na to uwagę, bardzo się pomylili.

– A jakie osiągi?

Julia wyprostowała jeden palec, potem drugi, trzeci, czwarty i piąty. Potem zastygła na chwilę dla większego efektu i dodała jeszcze dwa palce drugiej dłoni.

Natoli otworzyła szeroko usta. Tym razem jej piski nie były aż tak przenikliwe.

– Siedem pieprzonych godzin. Serio? Chyba miałaś randkę z Supermanem.

– Nie – powiedziała Julia, kręcąc głową. – Superman przy nim wysiada.

– Bardzo był staroświecki?

– Tylko z początku. Potem mu przeszło.

– Wart uwagi?

– Jak najbardziej.

– Cholera – powiedziała ze zdumieniem Rosanna.

Starsi turyści wstali od stołu i pełnym godności krokiem skierowali się do drzwi. Kobieta miała włosy ufarbowane na czarnogranatowy kolor. Mijając dziennikarki, syknęła znacząco.

– Tam jest wyjście, stara wrono. Czy nigdy nie przyszło ci do głowy, aby trochę poużywać życia?

Kobiecie szczęka opadła. Szczęśliwie zdołała zamknąć usta, zanim coś do nich wleciało.

– Przenigdy!

– Cholera – mruknęła Natoli. – Czy ona naprawdę powiedziała to, czego się po niej spodziewałam?

– Niestety – odparła Julia. – Żyjemy w czarno-białym świecie.

Z odległej o kilometr plaży dobiegło ich przytłumione wycie silników poduszkowca. Rosanna rozejrzała się po zalanym słońcem dziedzińcu. W hotelu nocowało około dwudziestu osób z grupy, większość stanowili oficerowie *Leyte Gulf*. Kilkoro miało partnerów wśród „współczesnych”. Rosanna poznała pilotkę śmigłowca, która poderwała całkiem dziarskiego kapitana niszczyciela z zespołu Spruance’a.

Dan Black wrócił z miską sałatki z dużą zawartością ananasa. Obok postawił talerz z jajkami na bekonie.

– Przepraszam panie, ale wieki już nie jadłem prawdziwej jajecznicy.

– Nie krępuj się, kochanie – powiedziała Julia. – Musisz nabrać siły...

Komentarz padł w niefortunnej chwili, gdy wszystkie rozmowy wkoło akurat przycichły. Duffy zachowała jednak zimną krew.

– ...do wysiłku wojennego – dokończyła.

Dan zarumienił się lekko. Szum rozmów powrócił do zwykłego natężenia.

Chwilę potem gdzieś z tyłu rozległa się muzyka. Stonesi. *Sympathy for the Devil*. Bongosy na początku utworu pasowały idealnie do tropikalnego otoczenia. Julia i Rosanna ledwo zauważyły, że coś gra. Urodziły się w świecie wszechobecnej popkultury. Nic zrodzonego w niej nie miało prawa zginąć i wszystko, muzyka, filmy, komiksy, i co tam jeszcze, musiało być powszechnie dostępne dwadzieścia cztery godziny na dobę, bo przecież w każdej chwili ktoś mógł zapragnąć sięgnąć po swój ulubiony kawałek.

Dan Black wychował się w całkiem innych realiach.

Obie kobiety zauważyły, że zbladł nieco. Dopiero po chwili dotarło do nich, że może to mieć związek z muzyką.

– Czy on naprawdę śpiewa o Lucyferze? – spytał Dan. – Wydawało mi się, że było tam coś o diable jadącym na niemieckim czołgu. Słyszałyście? Skąd to dobiega?

– Z megajamnika – odparła Julia. – A co? Nie podoba ci się? Szkoda, Dan. Ale masz jeszcze czas. Może nie będzie z ciebie aż taki bigot jak Archie Bunker.

– Nie, tylko trochę się dziwię...

– To The Rolling Stones, kochany – powiedziała Julia. – Wspaniale się przy nich pieprzy.

Danomal nie udławił się jajecznicą.

Julia miała ochotę podrażnić się z nim jeszcze trochę, gdy nagle ktoś stuknął ją w ramię. Był to wysoki i chudy jak patyk wicezarządca hotelu, pan Windshuttle. Wyglądał na dość zmęczonego. Podobny był pod tym względem do przywiedłego kwiatka, który tkwił w klapie jego marynarki. Ignorując obie kobiety, spojrzął od razu na Blacka.

– Przepraszam, sir, ale goście się skarżą. Zwrócono mi uwagę na zachowanie i język tych dwóch młodych dam.

Zanim Black zdążył zareagować, Julia sięgnęła po ciężką artylerię.

– Słuchaj no, chłopcze z Cabany, jeśli ta skamielina, która właśnie wycłapała z lokalu, będzie miała jeszcze jakieś problemy, przyślij ją od razu do nas.

– Nigdy bym się nie ośmielił, panno Duffy. To szanowani goście naszego hotelu.

Ktoś podkreślił Stonesów. Windshuttle skrzywił się, jakby poczuł rozżarzony drut w siedzeniu.

Black upił łyk kawy, otarł usta serwetką i lekko podnosząc głos, zwrócił się do zarządcy.

– Chyba nie chce pan kolejnych zamieszek, panie Windshuttle? Proszę mi uwierzyć, te damy zdolne są do ich wywołania. Są naprawdę szalone. Przypuszczam, że pani Duffy już przymierza się do dzieła, wystarczy na nią spojrzeć. Widzi pan ten błysk w jej oczach? Jeśli będzie pan uprzejmy nieco się cofnąć, spróbuję ją uspokoić. Uprzedzam jednak, że taki psychotyczny atak wściekłości to nie byle co.

Pan Whindshuttle zacisnął usta, obrócił się i odszedł, krocząc poprzez nawałnicę dźwięków.

Zanim jeszcze naprawdę się oddalił, trójka przy stoliku wybuchnęła śmiechem.

Na resztę dnia Dan wrócił na lotniskowiec. Myślał, że kilka godzin w hotelowym zaciszu nastroi Julię dobrze na spotkanie ze Spruance'em, ale pomylił się. Gdy wrócił, krążyła po pokoju niczym lew po klatce. Jak się okazało, miała już dość ograniczeń swobody.

– To wszystko w końcu przedostanie się do wiadomości publicznej – powiedziała. – I ktoś będzie musiał o tym napisać. Jeśli chcę mieć szansę na pracę w „Timesie” nie mogę zaspać.

Dan wsunął dłoń w rękaw białej marynarki.

– Sądzę, że niepotrzebnie się martwisz. Jesteś kimś na świeczniku, że tak powiem. Sami będą chcieli, abyś dla nich pisała.

– Ale pytają, dlaczego sama wcześniej się nie zjawiłam. Dan skończył zapinać marynarkę i pochylił się, aby ucałować Julię w czoło.

– Na razie nikt jeszcze o was nie pisze. Zatem... jak to mawiacie? Wyluzuj się? Idziesz na kolację z admirałem Spruance'em i to będzie temat.

– Nie powie mi nic o tym, co szykujecie. Dopiero po wszystkim zobaczę materiał przedstawiający atomowy grzyb na Tokio z komentarzem jakiegoś ściubidupka, że „daliśmy Japończykom szkołę”.

Dan usiadł w nogach łóżka, aby nacieszyć się widokiem Julii wkładającej pończochy. Nie rozumiał, dlaczego tak rzadko nosiła suknie, skoro świetnie w nich wyglądała.

– Założę się, że przywiozłaś ją ze sobą – powiedział.

– Miła zmiana tematu, Dan. Owszem. Kupiłam ją parę lat temu w Mediolanie. Świetna sprawa w podróży, bo nigdy się nie gniece. Można ją po prostu wrzucić do torby. Widzisz?

Przyłożyła suknię do ramion. Rzeczywiście, była jak świeżo wyprasowana, chociaż przecież sam widział, że wyjęła ją z walizki ciasno zwiniętą.

– Jak to się dzieje? – spytał Dan. Wydało mu się to prawie tak samo ciekawe jak widok Julii w pończochach i bieliźnie.

– Nanomanipulacja włóknami jedwabiu – odparła Julia. – W zasadzie chodzi o ten sam proces, który pozwala na produkcję pancernych kombinezonów, tyle że w tym wypadku otrzymujemy suknię koktajlową, która muska skórę niczym wietrzyk.

– No i wyglądasz w niej o wiele lepiej niż pancerny szturmowiec.

– Lepiej niż porucznik De Marco? – spytała, unosząc brew.

– Przecież ja nie...

Julia zaniósła się śmiechem.

– Wyluzuj się, Danielu. Słyszałam, że wam wszystkim starczy jedno spojrzenie na Ginę De Marco, abyście chcieli wyskoczyć z portek.

Wciągnęła suknię przez głowę i pozwoliła jej luźno opaść. Spłynęła wzdłuż ciała niczym mgła. Dan pomyślał, że to niemal równie interesujące jak zdejmowanie z Julii odzienia.

– Bez paniki, poruczniku – powiedziała. – Ta dupcia jest naprawdę gorąca. Sama pewnie bym ją przeleciała po paru drinkach.

Dan nie wiedział, co odrzec. Na wszelki wypadek ponownie zmienił temat.

– Julio, dlaczego ty możesz nazywać ją dupcią, a gdybym ja spróbował, byłaby to niemalże zbrodnia?

– Wiesz, jakkolwiek by spojrzeć, ja też jestem dupcią, zatem mi wolno – odparła z uśmiechem. –

Oczywiście ironizuję. Popracuj nad ironią, Dan. Przyda ci się, jeśli chcesz z nami trzymać. Powiedzieć ci, co najbardziej działa na takie nowoczesne dziewczyny jak ja?

Dan podał jej małą torebkę i skierowali się do drzwi.

– Jasne.

Zatrzymała się w progu, pocałowała go w ucho i szepnęła:

– Z chłopięcym uśmiechem i umiejętnością ironizowania uzyskasz niemal wszystko.

A potem ugryzła go i wyskoczyła na korytarz.

* * *

Kapitan Karen Halabi nie miała z kim żartować i w milczeniu dopinała mundur. Wolałaby dać sobie spokój z tą kolacją. Zastępowanie Kolhammera było naprawdę męczące. Cały dzień spędziła na łagodzeniu rozmaitych konfliktów i musiała jeszcze znaleźć czas na dochodzenie po wczorajszych zamieszkach, śledztwo w sprawie podwójnego zabójstwa i tysiąc innych, niezmiennie pilnych kwestii.

Jednak Spruance bardzo nalegał, aby też się zjawiała. Gdy weszła cicho do koktajlbaru hotelu Moana i ujrzała dwie reporterki, które też miały uczestniczyć w kolacji, zrobiło się jej lżej na duszy.

– Cieszę się, że jesteście – powiedziała, ściskając im dłonie. – Osłonicie chociaż jedną flankę. Gdzie twój chłopak, Julio? Wiewiórki powiedziały mi, że złapałaś pewnego neandertala.

– Doprowadza się do ładu w łazience na górze – powiedziała Julia z uśmiechem. – Chyba ugryzłam go trochę za mocno.

Chwilę później pojawił się porucznik Curtis, też ubrany na białe. Był szalenie zdenerwowany. Zasalutował, uściśnął dłoń kapitan Halabi i spróbował wydukać coś na kształt powitania.

– Uspokój się, Wally – mruknęła Rosanna. – Zachowujesz się, jakbyś nigdy jeszcze nie widział tylu pięknych kobiet naraz.

– No nie – wyjąkał szczerze Curtis. – Nigdy. Och, przepraszam, pani kapitan, wcale nie chciałem przez to powiedzieć, że jest pani piękna, ja tylko... Cholera...

Halabi go lubiła. Był w pozytywny sposób zwariowany, tak jak ona kiedyś.

– Spokojnie, poruczniku – pocieszyła go, klepiąc po ramieniu. – Proszę odetchnąć głęboko kilka razy i nie martwić się, co pan powie admirałowi Spruanceowi. Z tymi dwiema przy stole nie będzie

pan miał w ogóle okazji się odezwać.

Curtis nie wyglądał na szczególnie uspokojonego.

– Przepraszam, ma’am. Chodzi o to, że... Nikt w Oak Brooke nie uwierzy, że Wally Curtis jadł kolację z prawdziwym admirałem. Wprawdzie nie mogę na razie napisać o tym mamie i tacie, bo cenzor i tak by wszystko wyciął, ale nie uwierzyliby i...

– Spokojnie – powtórzyła Halabi. – Plecie pan bez sensu. Wiele osób nie uwierzy w to, co stało się w ciągu ostatniego tygodnia. A jednak to prawda, i pan brał w tym udział. Admirał Spruance powiedział mi, że to pan pierwszy z całej załogi zaczął domyślać się, co właściwie zaszło. W moich oczach czyni to pana jednym z najciekawszych ludzi na tym świecie. Proszę o tym pomyśleć.

– To niemożliwe – jęknął Curtis.

– Syndrom prewarholowski – powiedziała Natoli. – Tutaj nikt jeszcze nie rozumie, że ma konstytucyjnie zagwarantowane prawo do piętnastu minut sławy i własnego talk-show.

– W pewien sposób to nawet miłe, nie sądzisz? – spytała Julia.

– Baczość, chłopaki już idą.

Dan Black i Ray Spruance zjawili się jednocześnie.

– Pani Duffy – powiedział admirał. – Komandor Black opowiadał mi o pani przygodach podczas zamieszek. Cieszę się, że oddała go nam pani w jednym kawałku.

– Ale jeszcze z nim nie skończyłam, admirale – rzuciła Julia. – Może więc być różnie.

– Tylko proszę nie kopać go jak tego gościa z miasta. Musi jeszcze trochę dla mnie popracować. A pan, Curtis, jak się pan odnajduje na *Hillary Clinton*?

– To niezwykle miejsce, sir! Dzisiaj pozwolili mi usiąść w kokpicie Raptora. Jednego z tych, które leciały niedawno na Nową Gwineę i z powrotem. A pani Natoli uczy mnie, jak poruszać się w sieci komputerowej. Tam jest wszystko.

– Chciałby pan wiedzieć, kto zagrał pana w filmie o Midway, admirale? – spytała Rosanna. – Jestem pewna, że to też jest w sieci.

– Mam nadzieję, że Errol Flynn – rzucił Spruance.

– Przykro mi, ale obawiam się, że Clint Eastwood.

– W żadnym razie – odezwała się Julia. – Harrison Ford.

– Ale dopiero w remake’u *Tora! Tora! Tora!* – wtrąciła się Halabi.

– Myślałam, że *Pearl Harbor* było remakiem *Tora Tora* – powiedziała Rosanna.

– *Pearl Harbor* było filmem o tym, jak Ben Affleck robi słodkie miny – zauważyła Julia. – W *Tora Tora Tora* nie ma żadnych słodkich min, jest za to wiele prania po pyskach.

– *Pearl Harbor* było dowodem, że nie da się zrobić takiego filmu dla dziewcząt, który chłopcy też chcieliby obejrzeć – dodała Rosanna.

– Za to *Pearl Harbor II* było już w porządku – orzekła Julia. – Znalazło się w nim piękne ujęcie tyłka Dylana McDermotta.

– Jako jedyny ciekawy fragment tego żalospnego obrazu – podsumowała Rosanna.

Gdy podeszli do stołu, Spruance chciał podsunąć krzesło Rosannie, ale Dan Black powstrzymał go lekkim dotknięciem ręki. Młodszy oficer niemal ze smutkiem pokręcił głową, jakby chciał powiedzieć „szkoda fatygi”. I rzeczywiście, dziewczyna sama świetnie dała sobie radę i ani na chwilę nie przerwała rozmowy o najlepszych ujęciach pośladek w oskarowych filmach.

– Zaczynam żałować, że podjąłem temat – wyznał Spruance, pochylając się w stronę Blacka.

– Spokojnie, sir, wieczór ciągle młody. Znajdzie się jeszcze wiele innych powodów do cichej desperacji.

Zaraz potem stół podzielił się na dwie części. Przez pierwszą godzinę Spruance rozmawiał z Blackiem i Halabi o sprawach zawodowych, podczas gdy dziennikarki dworowały sobie dobronnie z porucznika Curtisa i jego być może nie istniejącego życia osobistego.

Spruance’a uderzył kontrast między dwiema inteligentnymi, ale trochę trzpiotowatymi dziewczynami w cywilu a kapitan Halabi, która wydawała się aż nazbyt poważna. Nie miała ochoty na swobodne pogawędki; przecież cały czas musiała pamiętać i o pokłosiu zamieszek, i o morderstwie, i jeszcze pilnować przenoszenia rannych z *Hillary Clinton* i *Kandahara* do szpitali na lądzie.

Reporterki, które obiecały nie wykorzystywać niczego, co usłyszą tego wieczoru przy stole, łowiły każde słowo Halabi, gdy zaczęła naciskać na Spruance’a w sprawie pogonienia miejscowej policji do roboty. Poza tym jednak nadal znęcały się nad biednym Curtisem.

Spruance nie był na tyle naiwny, aby uznać je za źle wychowane. Wydawały się zachowywać całkiem naturalnie i były wręcz fascynujące w swoim... Czym właściwie? W braku ogłady? Obie chyba wiele podróżowały i zapewne umiały znaleźć się w każdym towarzystwie. Braku manier? Bez najmniejszych problemów operowały wszystkimi sztuczkami i świetnie dogadywały się z kelnerami tej urzędowej z absurdalnym przepychem restauracji. Może po prostu brakowało im powagi?

W pewnej chwili usłyszał ich rozmowę o jakiejś bombie biologicznej, która posłużyła do ataku na L.A. Chyba obie relacjonowały to zdarzenie jako dziennikarki. Zdumiało go, jak beznamiętnie mówiły o okropnościach, z którymi się spotkały.

Spruance zamieszał kawę. Z jakiegoż oni świata przybyli? – pomyślał.

– Zadumał się pan, admirale.

To była Halabi.

– Przepraszam, pani kapitan. Zastanawiałem się tylko nad waszym światem. Jak odmienny musi być od naszego.

Halabi wyprostowała się na krześle.

– Domyślam się, że patrząc na nas, na mnie, na Rosannę i Julię czy pułkownika Jonesa, dostrzega pan przede wszystkim nadejście pewnych trudnych do przyjęcia zmian. Jedyne, co mogę powiedzieć, to że te zmiany byłyby nieuniknione i bez naszego przybycia.

Spruance i Black milczeli. Rozmowa na drugim końcu stołu ucichła, gdy reporterki usłyszały swoje imiona. Spruance odnotował, jak szybko przeszły od rozbawienia do całkowitej powagi.

– Nasz świat zapewne rzeczywiście by was przeraził – ciągnęła Halabi, kierując swoje słowa również do Blacka. – Przeraziłby chyba każdego stąd, nawet osobę bardzo otwartą, o szerokich horyzontach. Ale minione lata nauczyły nas, że nie da się wybrać z wolności tego, co najlepsze. Można ją przyjąć tylko z całym błogosławieństwem inwentarza.

Halabi spojrzała przed siebie, jakby chciała ocenić znaną jej rzeczywistość z nowego punktu widzenia.

– Pod pewnymi względami nasz świat nie różni się od waszego – powiedziała. – Istnieją w nim gwałtowne konflikty. Toczyście teraz wojnę. Ale my też. Na dodatek nasza trwa już od wielu lat.

– Dlaczego jeszcze jej nie wygraliście? – spytał Curtis. – Jesteście tacy potężni.

– Broń to nie wszystko, poruczniku. Można zabić człowieka, dosłownie go unicestwić. Jednak idee, które uczyniły go naszym wrogiem, pozostają. O wiele trudniej jest zniszczyć je niż człowieka. One przeżyją nas wszystkich.

– Czy teraz, gdy wiemy już to co wy, da się uniknąć tej wojny? – spytał Spruance.

– Nie mam pojęcia – odparła szczerze Halabi. – Dlaczego pan pyta? To jeszcze wiele lat. Nie pan będzie musiał się tym martwić.

– Pomyślałem tylko, że dobrze byłoby uniknąć jej za wszelką cenę – odparł admirał. – Słyszałem przed chwilą o całym mieście zniszczonym jedną bombą, która zmieściła się w plecaku. O milionach zabitych w ataku biologicznym, samolotach taranujących wysokie budynki i spadających na stadiony. Zastanawiam się, co my tu właściwie robimy, jeśli taka właśnie ma być przyszłość.

– To nie jest pełen obraz przyszłości – powiedziała Halabi. – Małe dziewczynki nadal chodzą na lekcje tańca. Chłopcy chcą zostać strażakami. Rodziny spotykają się w Boże Narodzenie i Święto

Dziękczynienia. Gdy ktoś ma dzieci albo wnuki, gotów jest dla nich zginąć. A czasem i zabijać. Cóż, my jesteśmy waszymi dziećmi. Naprawdę doceniamy wasze dokonania. Szkoda tylko, że nam też przyszło walczyć.

– Zgadza się z tym? – spytał Black, patrząc na Duffy i Natoli.

– Jak najbardziej – odparła Duffy i wzruszyła ramionami.

– Ale to i tak ponura wizja – zauważył Dan Black.

– Nie aż tak bardzo. I tak wolałabym być tam niż tutaj. Tam jest mój dom.

– Wolałabyś żyć w świecie, gdzie jeden szaleniec może zniszczyć całe miasto?

– To mój dom – powtórzyła. – Świat wcale nie gorszy niż ten tutaj.

– A pod pewnymi względami nawet lepszy – dodała Natoli.

Spruance spojrział poprzez stół na Karen Halabi. Pani kapitan wytrzymała jego wzrok i pokiwała głową.

35

Hotel Ambassador, Los Angeles,

11 czerwca 1942, godzina 13.20

Hotel Ambassador znajdował się pośrodku prawie dwudziestu pięciu akrów wypielegnowanego trawnika. Kolhammer i Einstein wyszli po lunchu do ogrodu i usiedli na ławce pod palmą. Agent Flint kręcił się w pobliżu. Kolhammer był pod wrażeniem jego profesjonalizmu, a widział już niejedno, zwłaszcza jako dowódca sił pokojowych ONZ w Czeczenii. Owszem, technika Flinta mogłaby zostać nieco unowocześniona, ale poza tym był naprawdę dobry.

– Przypuszczam, że w pańskim świecie takie rzeczy są na porządku dziennym, admirale – mruknął Einstein.

Kolhammer zdumiał się tą przenikliwością.

– Owszem. Ale jak pan do tego doszedł, profesorze?

Einstein założył nogę na nogę i odchylił się, aby wystawić twarz do słońca.

– Wydajecie się produktem zmilitaryzowanego społeczeństwa, admirale. Łatwość, z jaką wasi kobiety i mężczyźni nawiązują współpracę, oraz fakt, że zdajecie się nie zwracać uwagi na rasę czy pochodzenie waszych towarzyszy, mogą wydać się wspaniałe. I sądzę, że takie też są w istocie.

Niemniej taką postawę można też uznać za reakcję obronną społeczeństwa, które było zmuszane do walki na tyle długo, że wyzbyło się wszystkich wewnętrznych ograniczeń oprócz tych, które istotne są dla prowadzenia wojny. Może dostrzega pan, że to samo dzieje się tutaj, chociaż na znacznie mniejszą skalę.

Rozumowanie było słuszne, nawet jeśli w paru szczegółach Einstein nie do końca miał rację. Kolhammer rozejrzył się po luksusowym otoczeniu. Było typowe dla jednorodnej kulturowo i pewnej swej przyszłości Ameryki lat czterdziestych. W L.A. zaczęli się już pojawiać przedstawiciele grup mniejszościowych, przyciągnięci rozwojem przestawianego na wojenne tory przemysłu, ale żaden z nich nie był na terenie hotelu Ambassador.

– Ma pan rację – powiedział. – Wiele zmieniło się w ciągu ostatnich dwudziestu lat, moich dwudziestu lat. Jednak to, co pan zauważył, zaistniało na długo przed dżihadem.

– Świętą wojną?

– Ja jej tak nie nazywam.

– Czy można? – spytał Einstein, wyciągając z kieszeni spodni fajkę i kapciuch z tytoniem. – Mam wrażenie, że do tego wszystkiego nikt z was nie pali.

– To nie całkiem tak – odparł z uśmiechem Kolhammer. – Ale proszę. Fajka przypomina mi o prastryjku Hansie.

– Tym z obozu zagłady?

– Tak, tym samym.

Przez dłuższą chwilę siedzieli w ciszy. Przyjaznej raczej, a w każdym razie nie kłopotliwej. Słońce wędrowało po lazurowym niebie, lekka bryza poruszała bujną czupryną Einsteina i łagodziła upał. Cień, w którym obaj się schronili, nie był orzeźwiający.

– Rozumiem pana problem, admirale. Ile może zdziałać jeden człowiek wobec tak wielkiego zła?

Kolhammer zmarszczył brwi i otarł pot z czoła.

– Obiecałem kiedyś, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby coś takiego nigdy się nie powtórzyło. Zastanawiam się, co mogę zrobić teraz. Co byłoby najlepsze.

Fajka Einsteina zaczęła wypuszczać siwe smużki. Pachniały podobnie jak dym z fajki prastryjka Hansa. Starszy pan miał niebawem trafić do obozu. Tyle że obecnie nie był jeszcze stary.

– Rozmawiał pan z Rooseveltem? – spytał Einstein.

– Tak. Wiedzą o istnieniu nazistowskiego programu eksterminacji. Odniosłem jednak wrażenie, że nie zamierzają nic robić. Usłyszałem, że najlepszym sposobem, aby pomóc ofiarom, będzie pokonanie Niemiec.

Einstein przyjął to jak hipotezę wygłoszoną przez studenta.

– A pan tak nie uważa.

– Właśnie.

– I co pan zamierza?

Zanim admirał odpowiedział, podbiegł do nich agent Flint.

– Przepraszam, admirale. Profesorze, pana też przepraszam. Musi pan iść, sir. Odezwali się pańscy ludzie z Pearl. Już od jakiegoś czasu próbowali się z panem skontaktować.

* * *

– Nie żyją? Jak to się stało?

Połączenie było marnej jakości. W zasadzie wielka paraboliczna antena zamontowana na dachu hotelu i system wzmacniaczy pozwalały na przekaz obrazu wideo, jednak kapitan Halabi była ledwie widoczna zza białych plam. Przez cały dzień próbowali nawiązać bezpieczne połączenie. Kolhammer po raz setny przeklął brak satelitów, niemniej stojący za nim admirał King i generał Eisenhower wymieniali szeptem pełne podziwu uwagi na temat tak wspaniałego wynalazku jak „wideofon”.

– Wiele zdziałamy za pomocą czegoś takiego – mruknął King. Kolhammer zignorował tę wymianę zdań i skupił się na swojej zastępczyni.

– To było bez wątpienia.....derstwo – powiedziała Halabi. Głos i obraz falowały, odbijając się od dalekiej troposfery.

– Jacyś podejrzani?

– Tak, tysiące – stwierdziła Halabi.

Wspaniale, pomyślał Kolhammer.

– To nie wszystko, admirale. *Nuku* się znalazł. Zmaterializował się na szczycie góry w Nowej Gwinei, w połowie stopiony w jedno ze skałą. Reszta jednak jest dostępna i obawiam się, że Japończycy położyli już na niej rękę.

King i Eisenhower podeszli bliżej.

– Co to ma znaczyć? – spytał ostrym tonem King.

Kolhammer powstrzymał go uniesieniem ręki.

– Chwilę, admirale. Kapitan Halabi, czy wiemy, co ocalało i mogło zostać przejęte przez Japończyków?

Halabi zniknęła na moment w elektronicznej zamieci. Kolhammer poprosił ją o powtórzenie wypowiedzi.

– Z tego, co uzyskaliśmy... nasi analitycy nie sądzą... aby... śmigłowce i większość zamontowanego na masztach. To wszystko jest pogrzebane... centrala bojowa chyba została przepołowiona przez zbocze góry. Jednak... przednia wyrzutnia pocisków i wiele innych elementów... zdemontować i wynieść.

– Na rany Chrystusa – powiedział admirał King. – Czy ona mówi, że Japońcy mają teraz własny okręt raketowy? Wiedziałem, że do tego dojdzie. Wiedziałem, że te małe dranie dorwą w końcu jakieś gównno.

– Spokojnie – odezwał się Kolhammer i spojrzął z powrotem na ekran. Chwilę zbierał myśli.

– Dobrze, pani kapitan. To pani jest na miejscu. Zostawiam pani swobodę decyzji, co zrobić z *Nuku*. Sugerowałbym jednak zająć się tym jak najszybciej.

– Sprawa jest już w toku, admirale. Myślimy, jak poradzić sobie bez GPS-u. Udało nam się uruchomić jedną katapultę i za parę godzin wyślemy maszyny.

– Dobra robota. A co z Anderson i Miyazakim? Jak wygląda sytuacja?

King mruknął, że to nie pora na podobne sprawy, ale Kolhammer go zignorował.

– Na miejscu zbrodni mieliśmy masę kłopotów z miejscowymi – powiedziała Halabi. – Nimitz musiał interweniować. Sami przeprowadziliśmy autopsję; zajęła się tym kapitan Francois z *Kandahara*. Kapitan Lunn współpracuje z miejscową policją przy śledztwie.

Siedzący na stołku Kolhammer co rusz rozluźniał i zaciskał pięści.

– Formalnie śledztwo prowadzą miejscowi? – spytał.

– Niestety – odparła Halabi nieświadoma, jakie wrażenie wywarło to na admirale Kingu.

– Co za arogancka Angolka – mruknął pod nosem. Kolhammer pochylił się nad ekranem, aby dojrzeć cokolwiek z rozmigotanego obrazu.

– Próbują w ogóle coś robić?

– Nimitz naciska na nich, ale... ciężko to idzie. Ponadto, chociaż bez związku z morderstwem, mieliśmy na łodzi małe... między ich ludźmi a naszymi... nie ułatwia kontaktów.

Kolhammer przygryzł wargę.

– Jakie skutki?

Łączność nagle się poprawiła.

– Wiele spalonych budynków, masa rannych miejscowych. Nie wiemy o żadnych przypadkach śmiertelnych, chociaż jeden z naszych został postrzelony. Wyjdzie z tego. Co ciekawe, tutejsi dowódcy zdają się w ogóle nie przejmować całym zajściem, tak jakby byli przyzwyczajeni do podobnych historii.

Kolhammer nie był zaskoczony. Od początku obawiał się, że prędzej czy później dojdzie do jakiejś konfrontacji między obiema grupami. Skoro jednak Nimitz nie robił hałasu wokół incydentu, to i dobrze. Można na razie tego nie ruszać. Jednak morderstwo dwojga oficerów to co innego.

– Okay, pani kapitan – powiedział. – Sprawy burdy nie eksponować. Skoro ich to nie martwi, lepiej nie naciskać. Sam jednak chcę otrzymać pełen raport. Proszę sprawdzić, czy któryś z naszych nie narozrabiał. Co do miejscowych gliniarzy, przydusić drani. Jak będzie trzeba, może pani wysłać oddział SEAL, aby rozejrzał się po mieście. Może trafią na coś, co nam się przyda. I w ogóle, i wobec gliniarzy. Żadnej taryfy ulgowej. Dwoje naszych w kostnicy to poważna sprawa.

– Rozumiem – odparła Halabi i kiwnęła głową.

Kolhammer być świadom faktu, że obaj stojący za nim oficerowie słyszeli wszystko, ale w tym wypadku nie obchodziło go, co o nim pomyślą.

– Proszę przekazać admirałowi Nimitzowi moje podziękowania za pomoc – dodał. – I powiadomić wszystkich dowódców, naszych dowódców, że jutro o ósmej rano waszego czasu mają stawić się na odprawie. Wtedy będę już na miejscu. Proszę też informować mnie na bieżąco o rozwoju akcji przeciwko *Nuku*. Wystarczy wykorzystać skompresowane transmisje. Odbieramy je tutaj bez problemu.

Halabi obiecała, że zajmie się wszystkim. Pożegnali się. Kolhammer wstał i obrócił się do stojących za nim oficerów.

– Przykro mi z powodu pańskich ludzi, admirale – powiedział Eisenhower.

– To była kapitan Anderson z *Leyte Gulf*, okrętu, który zmaterializował się częściowo we wnętrzu waszego krążownika. I Miyazaki, najstarszy ocalały japoński oficer. Anderson i część jej ludzi mieli obsadzić *Siranui*.

King przyjął te wieści dość obojętnie.

– Ale co z tymi żółtkami na Nowej Gwinei? – spytał. – Potraktujemy ich rojem rakiet, jak wcześniej okręty Spruance'a?

– Nie – odparł Kolhammer. – To jest pewna komplikacja, może nawet poważna, jednak ten okręt

donikąd nie odpłynię. Zajmiemy się nim za kilka godzin. Na pewno zdołali wymontować część przydatnego wyposażenia, co nie znaczy jednak, że są w stanie szybko znieść je z tej góry.

– Lepiej, aby nie byli – powiedział King.

Kolhammer zignorował zaczepkę.

Co innego go zastanowiło. Nie rozumiał, dlaczego wiadomość o śmierci Anderson i Miyazakiego nie dotarła do niego wcześniej. King i Eisenhower uważali zapewne, że i tak stało się to bardzo szybko, jednak oni nie mieli okazji przywyknąć do wygody, którą dawała globalna sieć informacyjna. Owszem, bez satelitów obecne szyfrowane łącza pozostawiały wiele do życzenia, ale przecież Pearl mogło wysłać kablogram?

– O czym pan myśli, admirale? – spytał Eisenhower.

– Zastanawiam się tylko, admirale King, dlaczego nie usłyszałem o tym morderstwie od pana?

King wydał się zaskoczony pytaniem.

– Sam właśnie się dowiedziałem.

Kolhammer odniósł wrażenie, że była to szczerza odpowiedź.

– Nic jeszcze nie dotarło do pana z Pearl?

King zacisnął wargi i lekko zmrużył oczy.

– Admirale, pozwolę sobie przypomnieć, że sam pan nalegał, aby nie przysyłać niczego, co was dotyczy, za pośrednictwem radia czy kabla transoceanicznego. Wszystko jest przekazywane na piśmie i przez kurierów. Zauważę, że to bardzo niewygodny sposób. Informacja, o której pan mówi, zapewne wędruje tu jeszcze razem z całą resztą poczty. Ślamazarnie jak diabli.

Powiedziawszy swoje, King wyszedł sztywno z pokoju.

Wiadomość od Nimitza dotarła do hotelu następnego dnia. Zawierała długi i szczegółowy opis zdarzenia, jak i tego, co działo się później. Przebycie drogi z Hawajów zabrało jej prawie dwa dni.

* * *

Porucznik Carol Llewelen była szczęśliwa, że wreszcie może wzbic się w powietrze w pełni uzbrojonym F-22. Na dodatek w ogóle nie musiała uważać na SAM-y, jej skrzydłowym był zaś nie kto inny, jak poczciwy „Stiffy” McClintock.

Prowadzone przez system AWAC Raptory mknęły nad linią brzegową z szybkością dwóch Machów. Piloci byli chwilowo tylko pasażerami – załadowany z Combat Intelligence Center *Hillary Clinton* program nawigacyjny myślał za nich. Wystarczyłoby jednak najlżejsze nawet dotknięcie dźwieszki sterowniczej, a dokładnie joysticka, który pełnił tu jego rolę, aby odzyskali kontrolę nad maszynami.

– Macie dziesięć minut do celu – usłyszała Llewelen. Głos dobiegał ze słuchawek, brzmiał jednak, jakby rozlegał się w jej głowie. – Żadnych zagrożeń. Przejmujecie stery.

– Potwierdzam – odparła. – Stiffy, ty w górze.

McClintock potwierdził rozkaz i przeszedł na ostre wznoszenie. Zwykle był bardzo gadatliwy, dziś jednak zachowywał się należycie. Llewelen nie słyszała, aby wypowiedział choć jedno zbędne słowo. Ustabilizował lot pięć tysięcy metrów nad nią.

W dole przesuwała się południowa część Nowej Gwinei. Ani śladu omiatających ich radarów. Serce Llewelen zabiło mocniej, oddech nieco przyspieszył. Włączyła podkadłubowy zespół kamer.

Pisk systemu celowniczego i pojawienie się szeregu danych na wyświetlaczu HUD oznajmiły, że radar służący do śledzenia rzeźby terenu odnalazł okolicę pasującą do wprowadzonej wcześniej holomapy z bazy danych lotniskowca. Dla człowieka osiemdziesiąt lat mogło być oceanem czasu, jednak góry nie zmieniają się tak szybko. System nawigacyjny zaproponował zmianę kursu. Na wyświetlaczu pojawiły się niebieskie okręgi biegnące faliście po pofałdowanym terenie wyspy. Llewelen poruszyła joystickiem, aż mała ikona w kształcie strzały reprezentująca jej maszynę znalazła się w środku najbliższego kręgu. Przycisnęła kilka kontrolerek, aby zablokować maszynę na nowym kursie.

Lasy mangrowe, spleciona dżungla, zbiorniki wodne i łąki zlewały się w jedno. Pogórze przybliżało się z wielką szybkością. Raptor łagodnym łukiem wszedł w jedną z dolin. Kamery nieustannie porównywały teren z mapą, sprawdzając drogę tak, jak ślepiec bada chodnik przed sobą za pomocą laski.

Kolejny sygnał oznajmił pojawienie się na wyświetlaczu czerwonego sześcianu zawieszzonego w wirtualnej przestrzeni kilka mil przed nią. To był jej cel. Llewelen prawie nie zwracała uwagi na góry przemykające tuż obok z dwukrotną prędkością dźwięku. Była całkowicie skupiona na celowniku.

Sześcian nagle urósł, wypełniając cały HUD, i maszyna poszła ostro w górę. Rozległo się przeciągłe „ping” i dwie dwustukilogramowe bomby penetrujące oderwały się od pylonów pod skrzydłami. Głowice zaczęły omiatać teren wiązkami laserowymi. Błyskawicznie ustaliły swoje położenie. Przez kilka chwil bomby wznosiły się jeszcze po łagodnej paraboli, po czym zanurkowały wprost na *Nuku*. Głowice penetrujące przebiły się przez kadłub okrętu i detonowały dwa metry poniżej poziomu gruntu.

Dwie tytaniczne eksplozje omiotły spowity mgłami płaskowyż, roznosząc na atomy i okręt, i pracujących przy nim japońskich żołnierzy.

– Jezu, Stiffy – rzuciła Llewelen do skrzydłowego. – Nie co dzień widzi się coś takiego.

* * *

Cyfrowy projektor Sony rzucał obraz z ataku na ścianę apartamentu Roosevelta w hotelu Ambassador. Oglądali ten materiał już trzeci raz. Przy pierwszym odtworzeniu Kolhammer obserwował raczej widzów niż relację utrwaloną przez kamery Raptora. Dostali ją skompresowaną i zaszyfowaną wprost z Hawajów. Siedzący przed ekranem zachowywali się identycznie jak publiczność w kinach z trójwymiarowymi ekranami. Ile razy Raptor kładł się na skrzydło, aby wyminąć kolejny zakręt doliny, oni też przechylali się na boki.

Kolhammer zastanowił się, czy w chwili eksplozji byli jeszcze na okręcie jacyś żywi Indonezyjczycy. Jeśli tak, to szkoda, ale Halabi słusznie postąpiła. Ten cel musiał zostać zniszczony.

Przynajmniej w tej jednej kwestii wszyscy obecni w pokoju byli jednomyślni. Marshall, Eisenhower, King i brytyjski ambasador lord Halifax dołączyli do Roosevelta specjalnie po to, aby obejrzeć przesłany materiał i zastanowić się nad możliwymi skutkami japońskiego odkrycia. Na ekranie atak zakończył się po raz trzeci i Kolhammer wyłączył projektor.

Na dłuższą chwilę zapadła cisza. Przerwał ją dopiero lord Halifax.

– Szkoda, że nie mieliśmy tych Raptorów w zeszłym roku, gdy Hitler bombardował nas dzień i noc.

– Robi wrażenie, admirale – powiedział Roosevelt. – Cel zniszczony w cztery godziny.

– To właśnie brytyjska kapitan prowadziła operację? – spytał Halifax. – Pan premier kazał spytać o ten szczegół.

Kolhammer pokiwał głową.

– Tak, kapitan Halabi. Pod moją nieobecność pełni obowiązki dowódcy grupy. Świetnie sobie poradziła. Gdybyśmy jednak mogli skorzystać z danych rozpoznania satelitarnego, cała operacja zajęłaby dwadzieścia minut. Przypuszczam też, że Japończycy i tak zdołali sporo zabrać. Przykro mi, panie prezydencie. To dla pana dodatkowa komplikacja.

– I dla pana też, Kolhammer – odezwał się King, który siedział na sofie pod przeciwległą ścianą. – Nawet gdybyście znaleźli sposób na powrót do domu, teraz nie możecie tego zrobić. Nie w sytuacji, gdy Japonce przechwycili Bóg wie jaką broń z tego okrętu.

– Nie musi mi pan przypominać o mojej odpowiedzialności, admirale King – stwierdził Kolhammer. – Dziś jeszcze wracam do Pearl Harbor, aby spotkać się z moimi podwładnymi i omówić tę sprawę. Poza tym wiemy dokładnie, co Japończycy mogli znaleźć na pokładzie *Nuku*.

Wedle naszych standardów to dość prymitywne uzbrojenie. Marynarka indonezyjska nigdy nie należała do najnowocześniejszych.

– Będziemy mieli jeszcze masę czasu na roztrząsanie podobnych kwestii, panowie – odezwał się nagle Eisenhower, uznając, że lepiej zmienić temat. – Proponuję zaniechać tej wojny podjazdowej i zastanowić się nad naszą dalszą strategią wobec Japonii. No i wobec nazistów. Niech Bóg ma nas w swojej opiece, jeśli i oni dostaną podobny prezent.

Roosevelt chwycił za obręcze na kołach swojego wózka i z trudem zawrócił na dywanie. Generał Marshall podszedł i pomógł ustawić wózek dokładnie naprzeciwko Kinga i Kolhammera.

– Ike ma rację. Wydaje się, że utknęliście tu na dobre, admirale Kolhammer. Wiemy już, że czeka nas trudne zadanie. Już teraz widzę całe dziesiątki nowych problemów, z którymi będziemy musieli się zmierzyć. Problemów politycznej natury. O militarnych skutkach rozrzucenia waszej nowoczesnej technologii po całym świecie boję się nawet myśleć. Proponuję jednak, abyście przestali warczeć na siebie z admirałem Kingiem. Pora pomyśleć o jakimś sposobie ułatwienia wam aklimatyzacji w naszych czasach. Musimy znowu stanąć pewnie na nogach.

Kolhammer spojrział przeciągle na Kinga i powoli obrócił głowę w stronę Roosevelta.

– Myślałem już o tym, panie prezydencie – powiedział. – Mam pewien pomysł, ale najpierw muszę porozmawiać z moimi ludźmi.

Część 4

Uderzenie

36

USS Hillary Clinton, 12 czerwca 1942, godzina 08.15

Gdyby nie metalowe ściany i rury pod sufitem, sala konferencyjna lotniskowca *USS Hillary Clinton* wyglądałaby jak część nowoczesnego centrum kongresowego. Naprzeciwko wielkiego ekranu stały półkolem ławy z Ikea. Gdy Kolhammer wszedł do środka, obecni byli już zarówno wszyscy pozostali przy życiu dowódcy jednostek Wielonarodowych Sił, jak i ich zastępcy. Dotąd rzadko spotykali się osobiście, dziś jednak mieli przedyskutować możliwe opcje dalszego działania i coś zdecydować.

Łącznie było czterdziestu dwóch oficerów.

Kolhammer podziękował kapitan Halabi za pełnienie jego obowiązków pod jego nieobecność i przeszedł od razu do rzeczy.

– Wszyscy czytaliście raport przygotowany przez grupę fizyków. Czy ktokolwiek uważa, że mamy jakieś szanse na powrót do domu?

Począł chwilę, ale nikt nie podniósł ręki. Wszyscy tutaj byli trzeźwo myślącymi realistami. Widzieli nagranie z zagłady statku badawczego *Nagoya*, czytali tajne materiały o eksperymencie profesora Pope'a. Poznali też opracowanie fizyków, którzy starali się wyjaśnić, co poszło nie tak. Nie liczyli na to, że zaraz po jednym cudzie wydarzy się następny.

Kolhammer dał im dwie sekundy. Widział, jak zastanawiają się, co jeszcze przyniesie im ta nagła odmiana losu. Jak potoczy się ich życie osobiste teraz, gdy dawne legło w gruzach. Nikt jednak nie wyskoczył z pomysłem, aby zbudować nową maszynę czasu.

Doskonale wiedzieli, że to byłoby niemożliwe.

W końcu Kolhammer wyrwał ich z zamyślenia.

– Dobrze – powiedział. – Pierwsza sprawa. Walczymy czy nie?

Odpowiedziała mu cisza. Kilku oficerów rzuciło szybkie spojrzenia w stronę Japończyka, komandora podporucznika Mitsuki, który z kolei spojrzał na Kolhammera. Dowódca Wielonarodowych Sił awansował młodego oficera „w warunkach polowych”. Jego protesty zbyt stwierdzeniem, że niepraktycznie jest mieć porucznika na stanowisku dowódcy jednostki w rodzaju *Siranui*. To, czy miała ona odegrać jeszcze jakąś rolę, było całkiem osobną sprawą.

– Cóż, to zapewne oznacza, że walczymy – powiedział Kolhammer. – Nie widzę zresztą dla nas alternatywy, jeśli wziąć pod uwagę, jak bardzo uszczupliliśmy flotę Pacyfiku, oraz że Japończycy znaleźli *Nuku* tkwiącego na szczycie góry. Musimy przyjąć, że udało im się sporo z niego wydostać. Tak materiałów, jak i informacji. Chwilowo nie zmieni to wiele, jeśli jednak podzielą się zdobyczą z nazistami, a zakładam, że to zrobią, niemiecki program raketowy bardzo na tym zyska. Na dłuższą metę to samo będzie dotyczyć ich programu nuklearnego.

Tym razem zareagowali. Rozległ się niespokojny pomruk, niektórzy poruszyli się na fotelach, jakby chcieli uciec od koszmarnych implikacji tego faktu.

– Nie zamierzam dzisiaj nikomu niczego narzucać. Zależy mi na dyskusji nad pewną opcją. Prosiłbym każdego, kto uzna, że ma coś do powiedzenia na jej temat, aby śmiało zabierał głos.

Oparł się o blat i zatoczył spojrzeniem po sali. Nikomu z góry nie wyznaczono miejsca, ale przedstawiciele poszczególnych narodowości samorzutnie usiedli razem. Stanowiący trzy czwarte całej grupy Amerykanie zajęli jeden bok i środek półkolistego stołu. Zaraz obok nich siedział porucznik komandor Mitsuka, dalej australijscy dowódcy: Willet, Sheehan, kapitan Tranter z *Ipswicha* i oficer wojsk lądowych, brygadier Barnes. Kapitan Halabi i jej zastępca, komandor McTeale, siedzieli na skraju razem księciem Harrym, najstarszym oficerem SAS.

Halabi spojrzała na Kolhammera i uniosła brew. Skinął głową i usiadł na swoim miejscu, obok Mike'a Judge'a.

– Pani kapitan, proszę.

– Dziękuję, sir.

Halabi wyjęła zza kurtki mundurowej kopertę i cisnęła ją na stół.

– Właśnie otrzymałam rozkazy od Pierwszego Lorda Morskiego w Londynie. Zostały mi przekazane za pośrednictwem wiceadmirała Murraya urzędującego w Pearl Harbor. Nakazują mi natychmiastowe wyłączenie *Tridenta* ze składu zespołu i udanie się do Portsmouth. Moja załoga i ja sama zostaniemy tam poddani „weryfikacji” i zależnie od jej wyników trafimy później do odpowiednich służb, aby wypełniać zadania szkoleniowe. Sir Leslie zadzwonił jeszcze do mnie dziś rano, aby upewnić się, że dostałam ten rozkaz. Z właściwą sobie życzliwością zaznaczył, że jego zlekceważenie zostanie uznane za bunt i spotka się ze stosownie surową karą.

Kilka osób zaśmiało się nerwowo. Kilka zakłęło. Księżę Harry wznosił oczy do nieba.

– Rozumiem – powiedział Kolhammer. – A co z panią, kapitan Willet? Czy otrzymała może pani coś podobnego?

Australijska podwodniaczka pokręciła głową.

– Nie, chociaż komandor Judge powiedział mi, że Canberra bardzo chciałaby zobaczyć nas na macierzystych wodach. Jak na razie nie próbują naciskać, jednak najpewniej zaczną, gdy dojdzie do jakiegokolwiek wypadu przeciwnika na południe. Są przekonani, że będzie to oznaczać początek japońskiej inwazji.

– Tak by to wyglądało, admirale – odezwał się komandor Judge. – Póki co liczą się ze zdaniem Waszyngtonu, jednak MacArthur nie odpuszcza i robi wszystko, aby ściągnąć do siebie australijski kontyngent naszej grupy. Jeśli zdoła jeszcze przekonać premiera Curtina, osiągnie cel. W pierwszym rządzie domaga się batalionu brygadiera Barnesesa i całego SAS. Gdyby dostał jeszcze Osiemdziesiątą Drugą, byłby w siódmym niebie.

– Tak mu się tylko wydaje – powiedział pułkownik Jones.

Kolhammer pokiwał głową.

– To nie jest najpilniejsza sprawa, przynajmniej na razie – powiedział. – Jeżeli nie pojawią się żadne poważniejsze argumenty przeciwko temu pomysłowi, chwilowo nie zamierzam rozdzielać naszych sił. Kapitan Halabi, sam zajmę się Londynem.

Spojrzał na dowódców z innych krajów. Żaden z nich się nie odezwał. Kolhammer wstał i podszedł do ekranu.

– Jesteśmy zatem zgodni co do tego, że chwilowo tu utknęliśmy – powiedział. – Tak naprawdę zaś zostaniemy tu na zawsze. Nawet wygrywając tę wojnę i biorąc czynny udział w badaniach naukowych w tej linii czasowej, nie zdołamy zapewne zbudować niczego podobnego do aparatury z *Nagoyi* wcześniej niż za trzydzieści, czterdzieści lat. Nie opieram się przy tym wyłącznie na opinii

naszej amatorskiej grupy fizyków. Rozmawiałem w Los Angeles z profesorem Einsteinem i całą grupą innych jajogłowych. Wszyscy twierdzą to samo. Siedzą w tej chwili nad materiałami, które im zawiozłem, ale nawet jeśli przeskoczą przepaść dorobku paru pokoleń i rozgryzą teorię, zostanie kwestia rozwinięcia odpowiedniej bazy przemysłowej.

Zaczął chodzić tam i z powrotem przed zebranymi.

– Przede wszystkim jednak musimy uporać się z pewnymi problemami, które już się pojawiły. Niektórzy nigdy nie wybaczą nam Midway. Jest ta ponura sprawa z Anderson i Miyazakim. Może było to tylko przypadkowe zabójstwo, może nie. Zamieszki w Honolulu i nasz ranny podoficer. Wszystko to nie wróży dobrze. Nie pasujemy tutaj. Nie wiem, czy kiedykolwiek naprawdę nas zaakceptują, ale sądzę, że powinniśmy spróbować przekonać ich do siebie. Musimy zacząć kojarzyć im się z czymś więcej niż z chaosem i zniszczeniem. Dlatego właśnie zastanawiam się nad uderzeniem na japońskie obozy jenieckie. Możemy w ten sposób uratować więcej ludzi, niż zgładziliśmy ich, przybywając do tego świata. Sądzę, że to jest potrzebne. Nie tylko ze względów politycznych, ale też moralnych. Jesteśmy im to winni.

Zapadła pełna oczekiwania cisza. Nikt nie próbował się sprzeciwić, ale nikt również nie pospieszył z poparciem. Zamyślona Halabi przygryzła koniec ołówka. W końcu pułkownik Jones pochylił się nad stołem i klasnął w dłonie.

– To piekielnie trudne zadanie, admirale. Nawet dla nas.

Kolhammer uśmiechnął się.

– Na ile wiem, to pan poddał ten pomysł.

– Owszem, ale to moi ludzie pójdą w ogień. Czy myśli pan o jednoczesnym uderzeniu na Singapur i na Luzon? To będzie oznaczało rozdzielenie sił. A co z japońskimi lotniskowcami, które nie zostały zniszczone pod Midway? Wprawdzie nie są wiele warte, ale miejscowi bardzo się ich obawiają.

– Tak, to prawda – zgodził się admirał. – Sądzę, że powinniśmy się nimi zająć. Wiemy, że wróciły do baz na wyspach macierzystych. Kapitan Willet, zdoła pani doprowadzić tam *Havoca* w jakieś trzy i pół doby?

– Tak, sir.

– Dobrze. Zatem za cztery dni te okręty będą wrakami.

– O ile jeszcze są tam, gdzie sądzimy, że są.

– O ile – przytaknął Kolhammer. – Jeśli nie, będziemy musieli je najpierw odnaleźć, ale chyba nikt tutaj nie ma wątpliwości, że możemy tego dokonać. Przyznaję, że Luzon i Singapur są bardzo oddalone od siebie, ale uderzając na oba cele jednocześnie, zyskujemy szansę ocalenia wszystkich jeńców.

Kapitan Halabi dała spokój ołówkowi.

– Gdy was nie było, porozmawiałam trochę z pewną oficer z ekipy, która prowadzi dla nas badania historyczne. Również i o tym pomyśle. Uważa, że miejscowi byliby nam nieskończenie wdzięczni, ale przypuszcza też, że na dłuższą metę nie zmieni to znacząco ich postawy wobec nas. Jesteśmy jednak zbyt obcy.

Kolhammer zastanowił się przez chwilę.

– Może ma rację, pani kapitan. Skoro jednak tu jesteśmy, powinniśmy działać. A konsekwencje... Jakie będą, takie będą.

Waszyngton, Gabinet Ovalny,

12 czerwca 1942, godzina 22.10

Admirał King wolał zwykle papierowe dokumenty niż te tabliczki i flexi-coś-tam. Papier zawsze można zwinąć w rulon i użyć go jako packi, można go złożyć, wpiąć do akt albo przyciąć, można go wreszcie podrzeć i zgnieść, i wrzucić do kosza.

Właśnie to ostatnie miał ochotę zrobić z dokumentem, który trafił w jego ręce. Był to skrócony plan akcji Kolhammera. King nie miał nic przeciwko wykorzystaniu nowoczesnych okrętów rakietowych i samolotów przeciwko Japończykom, ale ten maniak chciał marnować cenne zasoby na wyzwalenie więźniów przetrzymywanych w Singapurze i na Luzonie.

Owszem, proponował też uderzenie na Hashirajimę, aby Japońce mogli posmakować własnego Pearl Harbor, jednak Kingowi wyglądało to na czystą fantazję. Zamierzali wysłać jeden żałosny okręt podwodny, na dodatek australijski, przeciwko całej Połączonej Flocie, a resztę sił chcieli podzielić między dwa zespoły, które miały zająć się dwoma obozami jenieckimi. To nie miało najmniejszego sensu.

Singapur leżał teraz prawie w sercu cesarstwa. To już nie były te czasy, że kto chciał, przypląwał tam, cumował na przystani klubu jachtowego i szedł na parę drinków do hotelu Raffles. A obóz Cabanatuan na Luzonie leżał dobrych kilka mil od wybrzeża. Oni zaś mówili o ewakuacji tysięcy jeńców. King bardzo chciałby ich powrotu, ale nie w ten sposób. To było totalne szaleństwo.

Ledwie zdołał powstrzymać się przed wydarciem tabliczki z rąk Roosevelta. Prezydent oglądał jedną z tych idiotycznych prezentacji. Piękny filmik o tym, jak wygrać wojnę. Jakby nie dość pokazali pod Midway. Porzygać się można, pomyślał King.

– Zamierza pan pozwolić im zrealizować ten plan, panie prezydencie? – spytał tonem sugerującym, że sam ma to za całkiem poroniony pomysł.

Roosevelt spróbował usiąść możliwie jak najwygodniej na fotelu.

– Domyślam się, admirale, że pan by tego nie zrobił – powiedział do głównodowodzącego marynarki.

– Nie zrobiłbym, sir. Najchętniej w ogóle nie spuszczałbym ich z oka.

Roosevelt spojrział w ciemność za oknem Białego Domu. Jego twarz odbijała się wyraźnie w szybie.

– Proponują także zniszczenie floty admirała Yamamoty, zanim znowu wyjdzie w morze. Myśli pan, że są w stanie to przeprowadzić? – spytał. – Proszę o szczerą opinię.

– Nie wiem, sir. Dla nas byłoby to niewykonalne. Niemniej wcale nie uśmiecha mi się perspektywa spuszczenia ich ze smyczy. Sam pan wie, co to za ludzie. Odrażające robactwo i tyle.

Roosevelt pochylił się w kierunku Kinga, wbił łokcie w fotel i uniósł swoje bezwładne ciało na parę cali. Po chwili usiadł z chrząknięciem.

– To temat na inną okazję, admirale. Moja dobra żona już teraz powtarza mi, że pora pomyśleć o integracji w wojsku, i obawiam się, że nie spocznie, póki nie ulokuje połowy swoich sufrażujących przyjaciółek na pokładach okrętów pańskiej floty.

Admirał spojrział nań z takim przerażeniem w oczach, że prezydent nie wytrzymał i roześmiał się. Po raz pierwszy od ładnych paru tygodni.

– Bez obaw, admirale. Żartowałem. Eleonora nie chce urządzić wszystkiego po swojemu.

King opadł z powrotem na swój fotel, ale niepokój go nie opuszczał.

– Odnoszę zatem wrażenie, iż zamierza pan zaaprobować ten plan.

– Intuicja pana nie zawodzi. Zniszczenie Połączonej Floty przybliży dzień zwycięstwa. Na dodatek oni twierdzą, że mogą tego dokonać bez straty jednego człowieka. Gdybym odmówił, zasłużyłbym na impeachment. Przyznaję, że plan tej wyprawy ratunkowej nie budzi zaufania, jednak widziałem też zdjęcia ludzi z obozów. Gdybym nie pozwolił na próbę ich uratowania, nie mógłbym żyć z takim ciężarem. A rodziny tych nieszczęśników przysłyby po mnie aż tutaj.

– Właśnie dlatego Kolhammer pokazał panu te zdjęcia, sir – powiedział King z pogardą w głosie.
– Aby zmusić pana do działania.

Roosevelt wyszczerzył się niczym stary wilk.

– Wiem. Byłby dobrym politykiem.

Admirał spróbował z innej beczki.

– Chcą, abym przydzielił do ich operacji całą masę jednostek, które potrzebne są gdzie indziej. Jeśli to zrobię, MacArthur będzie musiał poczekać na wzmocnienie swoich sił w Australii. Podniesie krzyk, jakiego świat nie słyszał.

– I tak to robi – odpowiedział Roosevelt, machając ręką. Nie zależało mu na dobrej opinii u

MacArthur. – Poza tym już się zgodził. Nie żeby miał w tej kwestii cokolwiek do powiedzenia, ale...

Kingowi mowę odebrało ze zdziwienia.

– Nie wiedziałem, że MacArthur został poinformowany o planie – stwierdził ze złością.

– Ja sam dowiedziałem się o tym dwie godziny temu, gdy przysłał mi kablogram z wyrazami aprobaty. – Roosevelt pokręcił głową nad generałem, który zawsze i wszędzie musiał wtrącić swoje trzy grosze.

King zrobił taką minę, jakby wdepnął w coś paskudnego. Zawsze tak było, gdy rozmowa dotyczyła MacArthur.

– Przypuszczam, że marzy mu się oddział piechoty morskiej z tym nowoczesnym wyposażeniem – sarknął.

– Zawsze lepiej mieć, niż nie mieć, admirale. Ostatecznie chodzi o jego teren. Pan zaś mnie zdumiewa. Zawsze grzmiał pan, że Japonia jest groźniejsza niż Niemcy. Jeśli tamtym uda się przyłapać japońską flotę na kotwicach, poważnie osłabią rząd Tojo. Przypuszczam, że potem i panu zamarzy się, aby jednostki Kolhammera dołączyły na stałe do floty Pacyfiku.

King spróbował udać urażonego, ale niezbyt mu się to udało. Roosevelt znowu się uśmiechnął.

– Otrzymają moją zgodę, admirale. Niech Kolhammer działa po swojemu. Mniejsza o wątpliwości, potem będziemy się tym martwić. Ważniejsze jest to, do czego doszło w Honolulu. Morderstwo, zamieszki. Obawiam się, że to dopiero początek. Jeśli im się uda, zyskają w oczach ludzi, przybędzie dobrej woli. Sądzę, że wszyscy bardzo jej potrzebujemy.

37

USS Kandahar, 13 czerwca 1942, godzina 12.38

Sala planowania na USS *Kandahar* była o dwie trzecie mniejsza od centrum konferencyjnego na superlotniskowcu, ale marines to twardy narodek. W razie prawdziwej potrzeby potrafili zaplanować złożoną operację nawet bez bufetu i ekspresu do kawy. Dla wielu współczesnych, którzy rekrutowali się zarówno z Marine Corps, jak i z marynarki, był to pierwszy kontakt z atmosferą dwudziestego pierwszego wieku. Na razie czuli się wyraźnie zagubieni. Komandor Black miał się za jednego z nielicznych szczęśliwców, którzy rozpoczęli już proces adaptacji.

Informację na temat historycznego wyzwolenia obozu jenieckiego w Cabanatuanie na Luzonie przedstawić miała porucznik Gina De Marco, uderzająco piękna blondynka, która zyskała już wśród kolegów Blacka opinię pogromczyni samców.

Jak można było oczekiwać, ktoś nie wytrzymał i gwizdnął, widząc ją wchodzącą na podium. Jeśli

oczekiwał, że dziewczyna spłoni się i zachichocze, bardzo się pomylił. Porucznik De Marco zmierzyła delikwenta lodowatym spojrzeniem.

– Problemy z małym rozmiarem penisa, sir? Jeśli zamierza pan to sobie kompensować podobnym zachowaniem, zapewniam, że źle pan trafił. Nie dość, że nadal ma pan małego penisa, to jeszcze wyszedł pan na idiotę.

Koledzy pani porucznik wybuchnęli śmiechem. Gwiżdżący i jego kumple najchętniej zapadliby się pod ziemię, szczególnie że zaraz dały się słyszeć kolejne komentarze utrzymane w stylu wypowiedzi De Marco. Jej fanklub nie zasypiał gruszek w popiele.

Nie tracąc więcej czasu, pani porucznik przeszła do rzeczy. Już pierwsze zdania uciszyły publiczność.

– Liczba zgonów wśród amerykańskiego personelu przetrzymywanego w obozie jenieckim Cabanatuan wyniesie w czerwcu pięćset. W lipcu sięgnie ośmiuset. W obozie znajdują się także cywile, w tym wiele kobiet, które są albo będą zmuszane przez Japończyków do prostytucji.

Na ekranie pojawiły się zdjęcia archiwalne. Niektóre przedstawiały kobiety, również i białe, zmienione w seksualne niewolnice. Większość oficerów z przeszłości skrzywiła się boleśnie. Siedzący w drugim rzędzie Black też poczuł się nieswojo, chociaż o wiele gorzej działał na niego trudny do ogarnięcia kontrast – oto piękna kobieta metodycznie i na zimno przedstawiała coś, co było trudne do przyjęcia nawet dla mężczyzn. Nie musiał zastanawiać się, czy wszystkie kobiety z przeszłości takie były. Znał już odpowiedź, i to z własnego doświadczenia.

Pokręcił głową na wspomnienie Julii obezwładniającej napastnika na ulicy w Honolulu.

Ciągle nie wiedział, co o tym myśleć. Była najbardziej fascynującą kobietą, jaką kiedykolwiek poznał, czasem jednak odnosił wrażenie, że nie jest człowiekiem. Podobnie jak De Marco potrafiła rozprawiać beznamiętnie o najbardziej nawet poruszających sprawach. To mogło peszyć.

Pani porucznik nadal referowała temat. Zwrócił ponownie uwagę na jej słowa.

– Oddział Rangersów, którzy wyzwolali obóz w 1944 roku, miał wsparcie miejscowych partyzantów, na co my liczyć nie możemy. Na razie na Luzonie panuje jeszcze zbyt duże zamieszanie. Niemniej...

Dan przyłapał się na rozważaniach, czy tej kobiecie zdarzyło się już kogoś zabić. Gdy przestawało się zwracać uwagę na jej urodę, bez dwóch zdań robiła wrażenie bardzo sprawnego i dobrze wyszkolonego żołnierza.

– Podczas operacji zginęło tylko dwóch żołnierzy, pułkownik Roy Sweezy i kapitan James C. Fisher. Jeden z więźniów zmarł na atak serca już po ewakuacji.

Na ekranie pojawiły się zdjęcia zrobione przez fotografów z 832. batalionu Signal Service, którzy jako czołówka filmowa byli, a raczej mieli być świadkami wyzwolania obozu. Sprawily, że Black przestał na chwilę myśleć o Julii. Podobnie jak inni oficerowie wpatrywał się z przerażeniem w

żywe szkielety, które tylko trochę przypominały ludzi.

– To są obrońcy Bataanu, panowie – powiedział pułkownik Jones, przejmując głos po De Marco.
– Wasi towarzysze i nasi poprzednicy. Tysiącom innych nie udało się przeżyć. Niektórzy zginęli podczas walk, większość jednak nie wytrzymała forsownego marszu do obozu i późniejszych lat niewoli. Dla nich nic już nie możemy zrobić, jednak nadal są tam tysiące naszych ludzi.

Black zastanowił się, czy ktokolwiek poza nim zwrócił uwagę, że pułkownik użył określenia „nasi ludzie”. Wielu jego kolegów głośno wyrażało po drodze niechęć do działania ramię w ramię z Murzynami, Meksykanami czy kobietami, co jednak nie wywołało żadnej reakcji ze strony załogi poduszkowca, który przywiózł ich na *Kandahara*, chociaż znajdowali się w niej przedstawiciele wszystkich trzech grup. Black był już zmęczony nieustannym powracaniem tematu i zastanawiał się, jakim cudem ludzie Kolhammera potrafią tak spokojnie to znosić.

Nasiadówka potrwała kilka godzin i zakończyła się późnym popołudniem. Jako ostatnia zabrała głos kobieta, lekarz pokładowy.

– Potrzebujemy więcej transportowców – powiedziała kapitan Francois. – Będziemy musieli przewieźć około dwudziestu do trzydziestu tysięcy ludzi. Większość z nich będzie w bardzo kiepskim stanie, nie możemy zatem po prostu upakować ich do zaadaptowanych ładowni. Albo zapewnimy im coś lepszego, albo spora część z nich nie przetrwa podróży powrotnej.

Minęło już pięć godzin, odkąd De Marco otworzyła odprawę. Mimo pracującej na wysokich obrotach klimatyzacji w sali zrobiło się duszno. Podłogę zaścielały papiery i kubki po kawie i nawet mundury zebranych wyglądały cokolwiek nieświeżo. Praca nad planem zabrała więcej czasu niż zwykle, gdyż co rusz trzeba było wyjaśniać „współczesnym” jakąś oczywistą dla pozostałych kwestię. Na przykład, jakie możliwości operacyjne stwarza tankowanie w powietrzu. Black nie był pewien, czy lubi określenie „współczesny”. Miał wrażenie, że brak w nim szacunku.

– Dobra wiadomość jest taka, że na początek starczy otoczyć ich tylko podstawową opieką medyczną – ciągnęła Francois. – Podać środki wzmacniające, witaminy i mikroelementy. Wiele z nich i wy obecnie stosujecie w przypadkach niedożywienia i osłabienia organizmu. To znaczy, że będziemy potrzebować wielu lekarzy i sporo miejsc leżących na dużych, wygodnych statkach.

Nimitz uniósł rękę.

– Przepraszam, pani doktor. Chyba mogę to załatwić. Mamy wiele przebudowanych liniowców, które właśnie przewiozły nasze oddziały na Nową Kaledonię i do Australii. Pomieściły pięćdziesiąt tysięcy ludzi z wyposażeniem. Chyba się nadadzą. Nie są obecnie tak luksusowe jak kiedyś, ale na pewno zapewniają większy komfort niż zwykły hamak rozpięty w ładowni frachtowca typu „Liberty”

– Nadadzą się na pewno, admirał. A co z lekarzami?

– Postaramy się o nich – obiecał Nimitz.

Rachel Nguyen przywykła już do tych dziwnych spotkań, które były zarówno odprawami, jak i lekcjami historii. Dziś jednak stanęła przed grupą mniej liczną niż zwykle i składającą się wyłącznie z przedstawicieli sił specjalnych dwudziestego pierwszego wieku: SEAL, SAS i Marine Recon. W zasadzie powinni bardziej ją onieśmielać, ale w odróżnieniu od wielu innych słuchaczy, zaakceptowali ją od razu. Interesowało ich wszystko, co miała do powiedzenia.

Musnęła palcami kontrolkę i ekran podzielił się na cztery okna.

– To są najlepsze współczesne zdjęcia powietrzne terenu, jakimi dysponujemy. Gdy będziemy już bliżej, wyślemy bezzałogowe maszyny zwiadowcze, aby zweryfikować dane, niemniej współcześni, którzy jeszcze niedawno służyli w Singapurze, gwarantują aktualność materiału. Zdjęcia okolicy Cabanatuanu wydostaliśmy z oficjalnych archiwów Ministerstwa Obrony i musimy przyjąć je na wiarę, dopóki nie otrzymamy świeższych.

Przełączyła widok na ujęcie obozu jenieckiego na Filipinach.

– Obóz powstał w byłej bazie wojskowej – wyjaśniła. – Teren wokół jest płaski, otwarty. Wspomniana wcześniej wioska Cabanatuan leży w odległości ośmiu kilometrów od obozu i należy przyjąć, że jest w niej mnóstwo japońskiego wojska. Przebiega przez nią główna droga łącząca obóz z Manilą. Japończycy często wykorzystują miejscowość jako punkt tranzytowy. Stąd między innymi przypuszczamy, że garnizon jest dość silny, może liczyć od trzech do pięciu tysięcy ludzi ze wsparciem oddziałów pancernych i artylerii. Ragnersi, którzy wyzwali obóz w 1944 roku, przełamali gwałtownym uderzeniem japońskie linie i weszli głęboko na tyły wroga. Bardzo pomogła im miejscowa partyzantka, która na razie jeszcze się nie zawiązała. No i nie ma oczywiście na Luzonie ani skrawka terenu kontrolowanego przez Amerykanów, z którego można by rozpocząć atak.

HMAS Havoc, 13 czerwca 1942, godzina 14.35

Nimitz i jego adiutant zeszli po drabince do wnętrza *Havoca* i przyjęli lekko niedbały salut australijskiej kapitan. W odróżnieniu od wielu dowódców Wielonarodowych Sił zwykle chodziła w szarym kombinezonie polowym.

– Witam na pokładzie, admirale – powiedziała. – A pan to porucznik Fraser?

Adiutant nie mógł oderwać wzroku od biustu pani kapitan. Próbował usilnie patrzeć gdzie indziej, ale niezbyt mu to wychodziło. Nimitz od początku zachowywał się jak gdyby nigdy nic.

Admirał podszedł do Jane Willet i uścisnął jej dłoń. Gdyby ta kobieta pochodziła z jego czasów, etykieta nakazywałaby pocałować ją w rękę, ale pani kapitan nie oczekiwała niczego podobnego. Odwzajemniła uścisk mocno i bez dwóch zdań oficjalnie.

Nimitz był zaskoczony przestronnością okrętu. Było tu o wiele więcej miejsca, niż oczekiwał. No i zadziwiła go czystość. Charakterystyczny odór niemytych ciał, który panował na wszystkich jednostkach podwodnych jego czasów, gdzieś zniknął i chyba to właśnie najbardziej zwracało uwagę. No i ta przestrzeń. Nawet przy szeregu instrumentów zamontowanych na obłych ścianach można by tutaj tańczyć walca.

– Najpierw zwiedzimy okręt, panowie, potem spotkamy się w kwaterze starszych oficerów z moimi szefami działów, którzy odpowiedzą na wszystkie panów pytania. Obecnie znajdujemy się w samym brzuchu bestii. To jest centrala bojowa. Służy równocześnie jako centrum łączności i kabina nawigacyjna.

Poprowadziła ich ku stojącemu pośrodku kabiny podwyższeniu ze szklanym blatem. Oczekiwali, że znajdą tam mapy albo arkusze nakresowe, ujrzeni jednak hologram, który wstrząsnął nimi do głębi. Wewnątrz szklanej tafli unosił się obraz całego Pearl Harbor ze wszystkimi obecnymi w bazie okrętami pływającymi na szafirowej powierzchni morza kilka cali nad *Havokiem*.

– Coś cudownego – powiedział Fraser. – Zupełnie jak kino, ale w trzech wymiarach.

– Zgadza się. Holoblok przechowuje kompletne, trójwymiarowe mapy każdego istotnego kawałka ziemskiego oceanu i jego wybrzeży. Czujniki ustalają nasze aktualne położenie i wywołują właściwy obraz. Oczywiście obecnie sporo z tych zasobów na nic nam się nie przyda, bo porty czy przystanie z naszych czasów tutaj jeszcze nie zostały zbudowane; może i szkoda, bo moglibyśmy ukradkiem odwiedzić wiele z nich. Niemniej plan Pearl został już zaktualizowany.

Następnie kapitan Willet wywołała holograficzny przekrój okrętu podwodnego.

– Jednostka reprezentuje klasę, która weszła do eksploatacji w latach pięćdziesiątych i zastąpiła starsze okręty klasy „Collins” – wyjaśniła. – Ma podobną do nich sylwetkę kojarzącą się z rozciągniętą kroplą wody i takie samo usterzenie w kształcie litery X, jest jednak znacznie większa. Wypiera osiem i pół tysiąca ton. Długość pięćdziesiąt pięć metrów, szerokość dwanaście metrów. Po waszemu to trzysta na czterdzieści stóp.

Tymczasem przekrój zmieniał się w oczach. Szara jak u rekina powłoka topniała w kolejnych miejscach, ukazując skryte w cygarowatym kadłubie pokłady i systemy broni. Niektóre sekcje oddzielały się od macierzystego rysunku i pojawiały w powiększeniu. Nimitz i Fraser patrzyli zafascynowani, gdy spod przedniego pokładu wyjrzał cały las rakiet.

– Dodatkowa wyporność została wykorzystana na zamontowanie szeregu pionowych wyrzutni rakietowych. Mamy też osiem klasycznych wyrzutni torpedowych, które jednak mogą służyć również do wystrzeliwania pocisków przeciwokrętowych, min oraz miniaturowych pojazdów podwodnych specjalnego przeznaczenia. Pionowe wyrzutnie kryją cięższe pociski służące do atakowania celów nawodnych i lądowych, wszystkie o cechach pocisków manewrujących. Całością zawiaduje kwantowy system bojowy NEMESIS 2, dzięki któremu każda z ośmiu wyrzutni torpedowych i dwunastu wyrzutni pionowych może prowadzić ogień do osobnego celu niezależnie od jego położenia.

– Czy dobrze rozumiałem, kapitan Willet, że pani okręt podwodny może zaatakować równocześnie wiele celów na morzu i na lądzie, i to z wielkiej odległości?

– Mógłby, gdybyśmy dysponowali satelitarnymi środkami rozpoznawania. Niemniej nawet w obecnych warunkach jesteśmy w stanie zatopić każdy większy okręt japoński, zanim jeszcze jego dowódca zauważy, że mamy jego jaja na celowniku.

Nimitz skrzywił się, słysząc to sformułowanie, ale powstrzymał się od komentarza. Przesunął spojrzeniem po obsadzie centrali i wyposażeniu. Każdy z dyżurnych siedział przed jasnym ekranem, czasem muskając jego powierzchnię koniuszkami palców. Często bez widocznego efektu, ale nie zawsze. Nimitz przyjrzał się młodej kobiecie, której palce tańczyły po pulsującej barwami i kształtami powierzchni.

W końcu zauważył peryskop.

– To przynajmniej poznaję – powiedział z uśmiechem.

– Nadal ich używamy – przyznała Willet. – Chociaż niezbyt często. Większość spraw załatwiamy za pomocą holobloku.

– Teraz waszym celem będzie Hashirajima – stwierdził Nimitz.

– O ile są na miejscu. Nie wpłyniemy do zatoki, nie da się więc użyć torped. Wypuścimy jednak zdalnie sterowany samolot, aby podświetlił cele, i uderzymy na nie ponaddzwiękowymi pociskami manewrującymi. Wnikają w kadłub i wybuchają niczym supernowa. Imponujący widok. Zupełnie jakby słońce zapaliło się nagle we wnętrzu okrętu. Nie ma potem co zbierać. Mój szef uzbrojenia może opowiedzieć wam więcej, jeśli chcecie. Wystarczy chyba jednak rzec, że jeden pocisk może załatwić dowolny pancernik czy lotniskowiec. Sto procent skuteczności albo zwracamy pieniądze. Japończycy nie zobaczą nawet, co ich zaatakowało. Może ci najszybciej kojarzący zrozumieją, że coś jest nie tak, ale zaraz potem ich już nie będzie.

– I macie też tutaj systemy stealth – zauważył Fraser.

– Owszem, wszystkie, jakie można zamontować na okręcie podwodnym. Większość z nich obecnie na nic się nie przyda, niemniej powłoka kadłuba bez trudu absorbuje sygnały współczesnych prymitywnych sonarów. Nawet gdybyśmy ustawili się bezpośrednio przed takim niszczycielem i wyprawili imprezę na pokładzie, nikt niczego nie zauważy. Wiem, że to nie fair, ale jest wojna i trudno przejmować się byle gównem.

Nimitz zaczynał podejrzewać, że Byk Halsey mógłby polubić tę kobietę.

– Wydaje się pani bardzo zaangażowana w tę akcję, pani kapitan.

Wyraz twarzy Willet nie zmienił się ani na jotę, ale stała się na chwilę jakby mniej oficjalna.

– Mój pradziadek dostał się do niewoli na Malajach, sir. Zginął w 1943 roku, podczas budowy linii kolejowej w Birmie. Japończycy złapali go przy próbie ucieczki. Najpierw zabili na jego

oczach dziewięciu jego towarzyszy, a potem przywiązali go do drzewa i potraktowali jak ćwiczebny cel dla bagnetów. Obecnie jest jeszcze w obozie Changi. Nie znałam go oczywiście, ale kochałam dziadka i pamiętam, jak płakał, opowiadając o swoim ojcu. Chcę oddać mu starego.

* * *

Kapitan Francois przycisnęła zwinięte w pięści dłonie do oczu. Bardzo chciałaby pozbyć się nieznośnego pieczenia pod powiekami. Nie spała od dwudziestu sześciu godzin i zaczynało to wpływać na jej umiejętność oceny. Wiedziała, że niebawem będzie musiała paść na kolę, najpierw jednak powinna wykonać jeszcze jedno cięcie.

Pochyliła obolałe plecy i raz jeszcze przejrzała listę. Na ekranie przesuwały się nazwiska wszystkich pacjentów, którzy mogliby, przynajmniej teoretycznie, zostać przeniesieni z okrętowych szpitali do znacznie skromniej wyposażonych placówek w Pearl. Potrzebowała jeszcze stu pięćdziesięciu wolnych łóżek dla najcięższych przypadków z Singapuru i Luzonu.

Nie wiedziała, jak je znaleźć bez skazywania na śmierć co najmniej siedemdziesięciu albo osiemdziesięciu pacjentów.

– Co za porąbany sposób zarabiania na chleb – mruknęła pod nosem.

Może ten poparzony z *Astoriil* – pomyślała. Z oparzeniami jakoś już sobie tutaj radzą. Może dać go jednak na brzeg.

Przesunęła kursor, aby jednym kliknięciem odesłać pacjenta do średniowiecza medycyny.

– Nie – westchnęła. – Na pewno tego nie przeżyje.

Zaklęła cicho i wróciła do początku listy.

Obok jej łokcia leżał dysk z jeszcze innym materiałem, który z maniackim zgoła uporem przeglądała w wolnych chwilach. Wyniki sekcji Anderson i Miyazakiego. Były tam też podane profile DNA mężczyzn, którzy zgwałcili kapitan *Leyte Gulf*. Francois robiło się niedobrze, ilekroć czytała raport, była jednak przekonana, że jeśli ktokolwiek zdoła dojść tu sprawiedliwości, to wyłącznie jej ludzie. Na pewno nie ktoś w rodzaju Bustera Cherry'ego.

Było w tej sprawie jeszcze coś, o czym nikomu nie wspomniała. Coś związanego z jej własną przeszłością. Nie chodziło jednak o śledztwa prowadzone w Srebrenicy i Denpasarze, ale o gwałt, który przydarzył się jej, gdy miała siedemnaście lat.

Margie Francois była wtedy nowa na uczelni i przygotowywała się do podjęcia właściwych studiów medycznych. Jakaś pijana banda napadła na nią, gdy późnym wieczorem wracała z biblioteki do akademika. Nigdy nikomu o tym nie wspomniała. Nawet teraz zdarzało się jej odczuwać tamten

wstyd.

* * *

Kolhammer stał na mostku lotniskowca i obserwował krzątanie na pokładzie lotniczym. Setki mężczyzn i kobiet robiło, co w ich mocy, aby przygotować okręt do działań wojennych. Przypominało to trochę dni przed tranzytem, gdy szykowali się do interwencji w Indonezji.

Mógł liczyć tylko na cztery albo pięć godzin snu. Ciągłe miał wiele do zrobienia. Wielonarodowa Flota, chociaż poobijana, nadal była najpotężniejszym zgrupowaniem marynarki na tej planecie. Nietknięte pozostały trzy jednostki, w tym *Kandahar*. Uszkodzenia *Hillary Clinton* po trafieniu torpedą dało się załatać na tyle, że mogła bezpiecznie wyjść w morze. *Kennebunkport* i *Providence* nie oberwały prawie wcale. Zaraz za nimi stały na kotwicach *Trident* i *Siranui*. Drugą jednostkę obsadzała obecnie mieszana, japońsko-amerykańska załoga. Ci z Japończyków, którzy nie chcieli walczyć ze swoimi antenatami, łącznie około osiemdziesięciu procent oryginalnej obsady, mieli przeczekać operację na lądzie.

Nigdzie nie było widać okrętu podwodnego *Havoc*. Jednostka kapitan Willet znajdowała się już w pobliżu Midway.

Australijski transportowiec *Moreton Bay* został połatany i przerobiony na statek szpitalny. Czterystu wojaków tworzących 2. Regiment Kawalerii Pancerniej przeniosło się na znacznie ciałniejszy okręt desantowy HMAS *Ipswich*.

No i oczywiście był jeszcze USS *Hillary Clinton*.

Udało się naprawić tylko jedną katapultę i mieli tylko cztery sprawne odrzutowce. Superlotniskowiec utracił pod Midway prawie trzy czwarte swojego potencjału bojowego i jego korytarze były obecnie znacznie mniej zatłoczone. Wielu dobrych ludzi musieli pochować w morzu. Jednak podobnie jak zamordowana pani prezydent, na której cześć został nazwany, najbardziej bezkompromisowa osoba na tym urzędzie w historii Stanów Zjednoczonych, nadal był zdecydowany zmiażdżyć każdego, kto stanąłby mu na drodze.

Kolhammer przesunął lornetkę na starego *Enterprisea*, na którym panował podobny ruch. Admirał nie był zachwycony decyzją Nimitza, który też chciał wziąć udział w wyprawie, jednak nie zgłaszał sprzeciwu. Raz, że byłoby to nie na miejscu, a dwa, obecność USS *Enterprise* oznaczała więcej miejsca na pokładach, a tego mogli naprawdę potrzebować. Mieli nadzieję przywieźć do domu co najmniej dwadzieścia tysięcy uwolnionych jeńców.

– Nad czym pan się tak zadumał, sir? – spytał komandor Judge.

Kolhammer opuścił lornetkę.

– Mam nadzieję, że nam się uda, Mike – powiedział. – Wiem, że, podjęliśmy słuszną decyzję. Co do tego nie mam wątpliwości, ale tyle rzeczy może pójść nie tak.

– Owszem – odparł Judge. – Może i pójdzie, gdy zrobi się gorąco. Ale jak pan powiedział, admirałe, to słuszna decyzja.

* * *

Dana Blacka obudziła woń świeżo zaparzonej kawy. Przez jedną straszną chwilę myślał, że to Ray Spruance zamierza uraczyć go kolejnym kubkiem swojej upiornej jawajskiej mieszanki, ale zaraz przypomniał sobie, że leży w łóżku w hotelu Moana, a nie w koi na *Enterprisie*. Na dodatek ktoś kręcił się po pokoju.

– Proszę, Danielu. To dla ciebie. Za godzinę musimy wracać do Pearl.

Julia podsunęła mu kawę i odsunęła zasłony. Była już w dzinsach i sportowych butach, które chyba lubiła najbardziej. Dan chętnie zaciągnąłby ją jeszcze na chwilę do pościeli, ale dziewczyna jakoś nie miała ochoty.

– Nie rozumiem – powiedział. – Co się stało?

– Nic, Dan, ale oboje dzisiaj wypływamy, a ja muszę stawić się na pokładzie nieco wcześniej niż ty. Pomyślałam tylko, że chętnie wypiłbyś kawę na przebudzenie.

– Są lepsze sposoby na przebudzenie, kochanie.

Zburzyła mu włosy, ale całkiem bez seksualnego podtekstu.

– Są – zgodziła się. – Ale dziś musimy do pracy.

Serce zamarło mu w piersi.

– Idziesz do pracy? Dostałaś pracę w Nowym Jorku? Miałem nadzieję, że będziemy się często widywać...

Julia zamarła z filiżanką w połowie drogi do ust.

– Spokojnie – powiedziała. – Na razie nie wybieram się do Nowego Jorku. Nadal nie pozwalają nam kontaktować się z nikim z zewnątrz. Nie, na razie udaję się na *Hillary Clinton*.

Dan poszukał po omacku filiżanki, która powinna stać na nocnym stoliku.

– Weźmiesz udział w walce?

– Nie wiem, w czym wezmę udział, a w czym nie. Powiedzą nam to dopiero wtedy, gdy będzie trzeba. Kolhammer uznał jednak, że chce nas mieć na pokładzie. Pewnie hołduje zasadzie, aby przyjaciół mieć blisko, wrogów zaś jeszcze bliżej.

– Ale...

Julia nie dała mu zacząć.

– Oszczędź mi sceny, w której on mówi, że to nie zajęcie dla kobiet, i dodaje, że chodzi mu tylko o jej dobro, bo przecież może zostać ranna.

– Ale to wszystko prawda.

– Nie. Na pewno nie wszystko.

– Ale...

– Żadnego ale, Dan. Wąchałam więcej prochu niż ty. Kropka. Jestem pod wrażeniem, że wiedziony siłą uczuć jesteś gotów do największego nawet głupstwa, ale jeśli nasz związek ma mieć jakąś przyszłość, musisz zaakceptować we mnie drugiego człowieka. Nie przestawać na swoim wyobrażeniu na mój temat czy pomysłach, jaka powinnam być. Nie wiem, na co trafię, ale chcę wykonywać swoją pracę. Zaczynam za dziewięćdziesiąt minut od teraz, wypij więc kawę. Podjedziemy razem do Pearl. Przyślą po nas parę Humvee. Będą na dole za pół godziny.

Dan Black miał wrażenie, że traci grunt pod nogami. Nikt nigdy nie mówił do niego w ten sposób, nigdy też nie wyobrażał sobie, że kobieta może powiedzieć coś podobnego. Julia wydała mu się nagle intruzem, który jednak zagarnął jakimś nieznanym sposobem jego serce.

– Wyjdiesz za mnie? – spytał.

– Nie – odparła bez chwili zastanowienia. – W każdym razie jeszcze nie teraz. Chciałabym najpierw pożyć trochę z tobą. Przekonać się, na ile radzimy sobie z codziennością, bez tego całego zamieszania wkoło. Jeśli potem nadal będziemy pieprzyć się jak króliki, spytaj mnie znowu.

– Chcesz żyć w grzechu?

– Taak. Seksowna propozycja, nie sądzisz?

Black nic nie rozumiał. Kobiety nie odrzucały przecież propozycji małżeństwa. Na filmach zawsze było inaczej. Padały mężczyźni w ramiona i wybuchały płaczem. Julia zaś upychała właśnie w torbie buty do biegania i w ogóle nie wyglądała na kogoś zdolnego uronić łzę. Aż do teraz sądził, że nie jest dla niego nikim szczególnym, nagle jednak coś, czego dotąd nie przeczuwał, stało się wyraziste, nabrało kształtu.

– Sądzę, że zakochałem się w tobie, Julio.

Przestała walczyć z torbą, usiadła obok niego i położyła rękę na jego udzie.

– Zapewne myślisz tak, bo spotkaliśmy się w niezwykłym czasie i szybko odkryliśmy, że jesteśmy dla siebie nawzajem atrakcyjni fizycznie. Intryguje nas obcość kryjąca się pod naszymi podobieństwami. Pasujemy do siebie seksualnie. Emocjonalnie i intelektualnie zapewne też. Jednak zanim zrobisz jeszcze smutniejszą minę, wiedz, że to działa w obie strony. Sądzę, że i ja ciebie pokochałam.

Omal nie przegapili wyjazdu do Pearl.

38

HMAS Havoc, 20 czerwca 1942, godzina 20.03

Nawigator HMAS *Havoc*, porucznik Malcolm Knox, w nienaturalnej zgoła ciszy pracował przy swoim ekranie, próbując ręcznie zrobić to, co normalnie załatwiał za pomocą GPS-u. System nawigacji bezwładnościowej mógłby doprowadzić ich z niewielkim marginesem błędu w okolice żądanej pozycji, koło trzystu mil morskich na południe od Sikoku, jednej z japońskich wysp macierzystych, jednak dla kapitan Willet taki margines był nie do przyjęcia. Kiedyś mawiała, że bez GPS-u żaden kapitan nawet własnego tyłka oburącz i w blasku dnia nie znajdzie. Teraz ten żart obrócił się przeciwko niej.

– Mamy fixa? – spytała nawigatora.

– Namierzam ostatni znacznik, ma'am.

Wybrawszy trzy skaliste wysepki, których pozycje znali dobrze z holomapy, rozmieścili na nich nadajniki służące im obecnie do triangulacji. Willet prawie wstrzymała oddech, czekając, aż system się do nich dostroi. Patrzyła z napięciem na niebieski pasek, który pełził powoli w okienku na ekranie nawigatora. Gdy cały się już wypełnił, rozległo się kilka cichych ćwierknięć i Knox uniósł wyprostowany kciuk.

– Mamy pewną pozycję, ma'am. System przygotowuje się do wystrzelenia zdalnego zwiadowcy.

– Dziękuję, panie Knox. Systemy broni?

– VLS 3 gotowy, kapitanie. Wszystko na zielono. Program gotowy.

Cichy, znajomy dźwięk oznajmił, że system bojowy załadował parametry misji do pamięci bezzałogowego samolotu zwiadowczego, produktu Tenix Defense Industries.

– Proszę zejść na sto metrów i wystrzelić maszynkę – rozkazała Willet.

Syntetyczny głos ostrzegł załogę przed zanurzeniem. Kiosk został uszczelniony. Nikt nie wychodził na pokład podczas wynurzenia i nie było otwartych włazów do zamykania, nie zwalniało to jednak od przestrzegania procedur. Wachtowy sprawdził po kolei obraz ze wszystkich kamer telewizji wewnętrznej. W każdym wypadku oznajmiał, że nikt nie został na górze.

Kapitan Willet poczuła, że pokład pod jej stopami przechyla się, i wyćwiczonym ruchem złapała za poręcz. Przypasani do foteli operatorzy nie przerwali pracy przy ekranach, musieli tylko trochę się wychylić.

– Sto metrów, ma'am.

– Wystrzelić Wielkie Oko – powiedziała Willet.

– VLS 3 gotów, wystrzelenie za pięć sekund, cztery, trzy, dwie, jedną, odpalenie.

Usłyszała przytłumiony szum, gdy sprężone powietrze wyrzuciło z przedniej wyrzutni pocisk cruise. Operator powtórzyła odliczanie przed uruchomieniem silnika pocisku.

– Wielkie Oko w powietrzu – zameldowała w końcu. – Kieruje się na Hashirajimę. Będzie nad celem za siedemnaście minut.

Kwadrans później i kilkaset kilometrów dalej dziób pocisku otworzył się i ze środka wystrzelił przedmiot przypominający frisbee. Wypełniwszy swoje zadanie, cruise zanurkował do Morza Japońskiego, dokonując autodestrukcji.

Mały, powarkujący z cicha zwiadowca wykonany z kręgu superlekkiego plastiku nałożonego na szybkoobrotowe, otunelowane śmigło, wysunął kilka anten. Od spodu otworzyła się mała klapka, wypuszczając długie zwoje mikrowłókna optycznego.

Tysiąc kilometrów na południe, w centrali płynącego tuż pod falami *Havoca*, znowu zapadła cisza. Szerokopasmowa antena została wysunięta ponad powierzchnię oceanu, wszystkie aktywne i pasywne systemy pracowały z maksymalnym wzmocnieniem. Okręt czekał niczym drapieżnik przyczajony w zasadzce. Sygnały z teleskopowego masztu przeczesywały niebo, aż musnęły zwisające pod zwiadowcą nanowłókna.

Pierwszy obraz z Hashirajimy przyszedł o 20.21.

– Mamy kontakt, przejmujemy kontrolę – powiedziała Lohrey, gdy dwa ekrany przed nią zajaśniały obrazem przekazywanym na żywo przez Wielkie Oko. Jeden ekran podzielił się na wiele okien, w których przesuwwały się kaskady danych liczbowych i literowych symboli. Na drugim pojawiły się tylko trzy okna: obraz w podczerwieni, zwykły obraz po cyfrowym rozjaśnieniu i ciemne obecnie okno przekazu w kolorze.

Willet od razu rozpoznała zarys zatoki Hiroszima i bazę marynarki w Kure, poczekała jednak, aż system naniesie otrzymane dane na obraz holobloku.

– Kurs potwierdzony – powiedziała Lohrey. – Przesuwam Wielkie Oko na południe, kapitanie. Jesteśmy około osiemnastu tysięcy metrów na północ od kotwicowiska. Mamy wiatr w ogon, około stu piętnastu węzłów. Na miejscu będziemy przed upływem sześciu minut.

Obraz przekazywany z maszyny był wręcz urokliwy. Sześć kamer obejmowało niemal cały teren na trasie przelotu. Willet dostrzegła stare warowne miasto Iwakuni na rzece Nishiki. Za nimi

wznosiły się pasma górskie Renka i Rakan. Iwakuni było ważnym centrum przemysłowym, jednak w podczerwieni wyglądało bardziej na miasto duchów kojarzące się Lohrey z powieściami fantasy, które czytała jako nastolatka.

Seto-naikai, jak Japończycy nazywali szereg zatok leżących pomiędzy Honsiu, Sikoku i Kiusiu, kryło setki wysepek. Willet zastanawiała się, ile z nich może być obecnie zamieszkanym. Zapewne całkiem sporo, nawet jeśli na niektórych znajdowały się tylko baterie przeciwlotnicze strzegące macierzystej bazy floty japońskiej. Przesuwające się na ekranie skrawki lądu przypominały nieregularne szmaragdy.

Przy jednej z wysepek cumowała cała gromada łodzi rybackich należących zapewne do którejś z licznych tutaj wspólnot rybackich albo ludzi trudniących się pozyskiwaniem soli. Chwilę później pokazały się kręte brzegi wyspy Edajima, a potem już Hashirajima. Z wolna zaczęli trafiać i na większe jednostki. Niszczyciele i patrolowce. Tankowce, transportowce wodnosamolotów, tendry i torpedowce. Stawiacze min i hulki, okręty podwodne i ścigacze okrętów podwodnych. Willet uśmiechnęła się na myśl, że któryś z nich miałby spróbować na nich zapolować.

Gdy na ekranie zarysowała się sylwetka pierwszej ciężkiej jednostki, kapitan gwizdnęła cicho.

– Seksowna panienska. Co pan powie, szefie? Flemming, jej najstarszy podoficer, pochylił się nad monitorem.

– Wygląda na krążownik drugiej klasy, ma'am, Zapewne *Kumano* albo *Mogami*.

Willem uśmiechnęła się do bosmana.

– Powinieneś chyba częściej wychodzić na świeże powietrze, Roy.

– Próbowałem wcześniej wyskoczyć na szybkiego dymka, ale tylko zmokłem, kapitanie.

Wielkie Oko namierzało coraz więcej ciężkich okrętów, ale i tak było ich mniej, niż Willet się spodziewała.

– Stajnia pełna, pani Lohrey? – spytała.

– Obawiam się że nie, ma'am. Wygląda na to, że część się ulotniła. Jak dotąd widać tylko dwa lotniskowce.

Willem stanęła za jej plecami. Porucznik Lohrey przebiegała palcami po ekranie tak szybko, że prawie nie było ich widać. Otworzyły się dodatkowe okna ukazujące kolejne krążowniki i pancerniki. W żadnym nie chciał pojawić się chociażby jeden jeszcze lotniskowiec.

Brakowało przynajmniej dwóch trzecich Połączonej Floty.

– Trudno – mruknęła Willet. – Łączność, przekazać Kolhammerowi z maksymalną kompresją, że flota albo została rozproszona, albo dokądś wypłynęła. *Havoc* zaatakuje pozostałe cele zgodnie z planem. Niech uważają, mogą napotkać większe siły przeciwnika.

Wysławszy ostrzeżenie, wróciła do swojej roboty.

Hashirajima nadal była atrakcyjnym celem z co najmniej tuzinem wielkich jednostek i dwa razy większą liczbą niszczycieli.

Pulsujący sygnał oznajmił, że laser Wielkiego Oka odszukał pokłady obu lotniskowców.

Willet przygryzła wargę. Wzięła wskaźnik świetlny i zarysowała krąg wokół czterech największych okrętów.

– To chyba Drugi Dywizjon Pancerników – powiedziała. – *Hyuga, Ise, Fuso* i *Yamashiro*. A lotniskowce to północny zespół Kakuty. Panie Yates, proszę przydzielić Białego Karła każdemu z tych okrętów.

Yates wykonał rozkaz, a Willet zaznaczyła tymczasem kolejny, nieco mniejszy cel. Wielkością przypominał lekki krążownik. Powiększyła jego obraz do dystansu odpowiadającego sześciuset metrom. Na czarno-białym ekranie widać było ulatujące z kominów smużki dymu. W podczerwieni kominy świeciły jasnym szkarłatem. Willet porównała jego sylwetkę z archiwalnymi zdjęciami dostępnymi na sąsiednim ekranie.

– To chyba *Kitakami*, okręt flagowy osłony spod Midway. Jest szansa na zabicie paru admirałów, panie Yates.

– To zawsze warto zrobić, ma'am.

Kapitan dotknęła ekranu jeszcze kilka razy, potwierdzając wybór kolejnych jednostek do zniszczenia. Po chwili zaczęły spływać meldunki.

– Cele wyznaczone, ma'am, Jest podświetlenie.

– Przekazujemy program. Brak przeciwdziałania. Lista zagrożeń pusta.

– Wszystkie dane przekazane. Mamy sygnał z kamer w głowicach.

– VLS działa, pociski gotowe, ma'am.

Willet zerknęła na zegar. Jeszcze trzy minuty. Wszyscy czekali w milczeniu. Ci z załogi, którzy nie mieli akurat wachty bojowej, obserwowali rozwój wydarzeń na ekranach rozmieszczonych w innych przedziałach okrętu. W rogu każdego monitora czerwone cyferki odliczały czas.

Willet poczuła, że ktoś stanął obok niej. Był to jej pierwszy oficer, komandor Grey.

– Można, pani kapitan? – spytał cicho.

– Jasne – odparła prawie szeptem.

Grey zaczął coś recytować. Niegłośno, prawie jakby mówił do siebie:

– „Zemsta boleści nad krwią rozlaną, głos miłosierdzia przytłumiła. Ogniem pogardy i dumy raną, łzom popłynąć nie dozwoliła”

Bosman Flemming spojrział na niego z ukosa. Jego twarz nie wyrażała niczego. Zbliżała się godzina zero.

00.03

00.02

00.01

00.00

Nikt niczego nie przyciskał. Cała sekwencja odpalenia została już wcześniej zaprogramowana. Okręt zadrżał, absorbując energię odpalanej salwy.

Operatorzy systemów obronnych zdwoili czujność, jednak ekrany radarów pozostawały puste, a lampki zagrożeń jaśniały zielenią.

Kapitan Willet zmieniała ustawienia, aby uzyskać powiększenie mostka jednego z pancerników. Zielonkawy obraz wypełnił cały ekran i po chwili nabrał ostrości. Powtórzyła operację. Ujrzała dwóch mężczyzn stojących na otwartej części pomostu. Palili papierosy i rozmawiali. Willet zastanowiła się, czy uda się jej ujrzeć ich pierwszą reakcję na wybuchające pociski. Kiedyś widziała już coś podobnego. Tych dwóch jednak skończyło palić i zniknęło we władze na dwie minuty przed uderzeniem. Nie wrócili, przełączyła więc ponownie obraz na standardowy widok z wysokości sześciuset metrów.

Kotwicowisko Hashirajima,

20 czerwca 1942, godzina 20.36

Porucznik Moertopo stanął na tarasie przed małym domkiem na wzgórzu wyspy Hashirajima, gdzie go obecnie ulokowano, i spojrział na czarne wody morza oblewającego wyspę Seto. Nie widział stąd słynnego, odległego o trzydzieści dwa kilometry miasta Hiroszima. Kryło się w całości za wyspą Edajima, porucznik jednak czuł się niepewnie, przebywając w pobliżu miejsca, gdzie po raz pierwszy zrzucono bombę atomową. Wiedział, że to irracjonalne, miało bowiem minąć jeszcze parę lat, zanim Amerykanie to zrobią. Niemniej i tak najchętniej by się stąd wyniósł. Zastanowił się, gdzie może być w tej chwili *Sutanto*. Okręt zniknął ze swojego miejsca przy nabrzeżu już trzy dni temu. Porucznik był pewien, że więcej go nie ujrzy.

– Sądziłbym, że kto jak kto, ale pan nie będzie miał kłopotów ze snem w równie upalną noc.

Moertopo poznał głos Brascha i uśmiechnął się. Lubił Niemca. Inżynier był rozsądny, a nawet trochę cyniczny. Rozmowa z nim stanowiła miłe urozmaicenie po kontaktach z fanatykami w rodzaju

Hidaki.

– Panu taka pogoda przeszkadza, majorze?

Brasch podszedł wąską, brukowaną ścieżką wiodącą na taras. Był tylko w szortach i podkoszulku. Moertopo dostrzegł w blasku księżyca pot na skórze Niemca.

– Nie, upał mi nie przeszkadza. Nie po tym, co przeżyłem w Rosji. Nie pozwala jednak spać.

– Upał i inne jeszcze rzeczy.

Brasch nie odpowiedział. Zapadła niezręczna cisza. Moertopo zapalił papierosa i podsunął paczkę Niemcowi.

– Nie, dziękuję, poruczniku. Dla mnie pachnie to jak psia kupa.

Nad Morzem Wewnętrznym wisiał sierp księżyca. Z góry widzieli wyraźnie uśpioną flotyllę kotwiczących w zatoce jednostek. Drobne fale odbijały srebrzyście księżycowe światło. Lekka, słonawa bryza niosła wonie licznych miejscowych kwiatów. Okolica była zaiste idylliczna, jednak nie mieli długo się nią cieszyć.

Brasch wracał niebawem do Niemiec. Jak już wcześniej ustalono, miał zabrać się razem ze Skorzenym, aby osobiście stanąć przed Hitlerem. Moertopo miał zostać przeniesiony do miasta Hakodate, daleko na północy Hokkaido – tam przeniesiono wszystkie prace badawcze. Nie sądził dotąd, że będzie mu brakować tych pachnących jaśminem ogrodów i starego, kamiennego domu, który był jego więzieniem.

– Wie pan, że w końcu pana zabiją?

Indonezyjski oficer omal nie zakrztusił się dymem.

– Słucham? – wychrypiał po chwili.

Brasch klepnął go kilka razy w plecy. Nocny blask złagodził surowe rysy jego twarzy. Wydawać by się mogło, że na jego ustach zagościł uśmiech, spojrzenie stało się cieplejsze.

– Zabiją pana, Moertopo. Z każdym dniem, gdy coraz lepiej poznają waszą technologię, staje się pan im mniej potrzebny. Pewnego dnia uznają pana za całkiem zbędnego. A wtedy...

Niemiec wzruszył ramionami.

Porucznikowi nagle zrobiło się zimno.

– Dlaczego pan mi to mówi? – spytał ledwo słyszalnym szeptem.

– Bo to prawda – odparł Brasch z uśmiechem.

Moertopo drżącą dłonią uniósł papierosa do ust. Dwa razy je otwierał, aby coś powiedzieć, ale nie wydobył z siebie ani słowa. Były dni, kiedy dziwił się, że jeszcze żyje. Noc, która jeszcze chwilę wcześniej wydawała się taka przyjazna i spokojna, nagle pociemniała. Cienie urosły, jakby czaili się w nich zabójcy. Porucznik zadrżał.

– Spokojnie – powiedział Brasch. – I tak wszyscy jesteśmy już martwi.

Jego twarz nagle pojaśniała, jakby ktoś zrobił im zdjęcie z użyciem flesza. Jednak blask nie zniknął. Był coraz silniejszy. Ziemia zatrzęsa się, rozległ się apokaliptyczny zgoła huk. Moertopo rzucił się na Niemca.

– Hiroszima! – krzyknął.

– Co...?

Padli obaj na deski tarasu. Moertopo zacisnął powieki. Czekał, aż skóra mu poczernieje, a fala uderzeniowa ciśnie ich poparzone ciała na kamienną ścianę domu. Kolejne eksplozje zakołysały wyspą. Po paru sekundach porucznik stwierdził, że jednak nadal żyje, i zrozumiał swoją głupotę.

– Nic panu nie jest? – krzyknął do Brascha.

Inżynier już wstawał. Szeroko otwartymi oczami chłonał widok tego, co działo się w zatoce. Idylliczna panorama uległa potwornej przemianie. Śpiąca w blasku księżyca flota zniknęła. Kotwiczowisko było teraz kotłem czarownic z półtuzinem okrętów płonących niczym pochodnie.

– Zaczęło się – powiedział Moertopo.

Z dali dobiegły ich głośnie krzyki. To japońscy żołnierze zrozumieli, że są atakowani, i wybiegali z kwater. Rozległo się żałobne wycie syren. Odległy o trzy mile niszczyciel przeszył niebo smugami pocisków przeciwlotniczych.

Obok pojawił się zdyszany sierżant straży i kazał im natychmiast udać się do schronu.

– Nie trzeba – powiedział Moertopo.

Brasch spojrział na niego dziwnie. Indonezyjczyk dopiero po chwili rozpoznał ten wyraz twarzy. To był szacunek. Uśmiechnął się.

– Nie trzeba się kryć, bo oni nie chybają, majorze. Gdyby chcieli nas zabić, już by to zrobili.

USS Hillary Clinton, 20 czerwca 1942, godzina 21.41

Admirał Spruance patrzył jak zahipnotyzowany na spadające pociski. Nurkowały tak ostro, że aż w głowie mu się kręciło. Japoński lotniskowiec urósł w mgnieniu oka i wypełnił sobą cały wielki ekran na jednej ze ścian. To genialny pomysł, aby umieścić kamerę na czubku pocisku, pomyślał

admirał. Ledwo zdążył zauważyć stojący na pokładzie lotniczym samolot, obraz zniknął zastąpiony ogólnym ujęciem z bezzałogowego samolotu zwiadowczego. Kobieta, który pełniła dyżur w centrum bojowym lotniskowca, przełączyła go tak szybko, że Spruance zobaczył jeszcze, jak kadłub japońskiego okrętu zadrżał pod uderzeniem. Ułamek sekundy później rozjarzył się niczym gwiazda.

Wszystko zdawało się przebiegać niemalże spokojnie, chociaż oczywiście było to mylne wrażenie. Kula białego światła pochłonęła większość okrętu i równie szybko zgasła. Przez moment widać było to, co zostało z lotniskowca, zapewne *Ryujo*. Trzy czwarte kadłuba zniknęło. Wszystko, co znajdowało się pomiędzy przednią wieżyczką dział przeciwlotniczych a rufowym podnośnikiem, jakby wyparowało. Rufa i dziób trwały przez moment na swoich dawnych miejscach, po czym przechyliły się i zostały rozdarte wtórnymi eksplozjami.

– Niech to... – powiedział komandor Black.

Stali w pustej części centrum bojowego, która wcześniej służyła obsłudze broni satelitarnej. Spruance i jego ludzie mogli obserwować, jak zespół Kolhammera prowadzi wojnę. To, co ujrzeli, zmroziło ich.

Wielki ekran został podzielony, ukazując w osobnych oknach koniec kolejnych japońskich okrętów. Ginęły tak samo jak *Ryujo*. Potem ujrzeli całe kotwiczowisko. Sylwetka jednego z okrętów rozblęła małymi światełkami. Niemal natychmiast to samo stało się z pozostałymi ocalałymi jednostkami.

– Ogień przeciwlotniczy – wyjaśnił Judge.

Patrząc na twarze mężczyzn i kobiet siedzących na stanowiskach bojowych, Spruance pomyślał o nich w całkiem nowy sposób. Pod Midway wstrząsnęła nim skuteczność ich broni, teraz jednak, gdy mógł obserwować jej użycie z bezpiecznego miejsca, największe wrażenie zrobiły na nim metodyczność i obojętność, z jakimi ci ludzie brali się do zabijania. Wcześniejsza masakra była dziełem ich pieprzonych maszyn, które potrafiły walczyć nawet wtedy, gdy ludzie spali. Teraz jednak wszyscy byli na nogach i przerażająco beznamiętnie patrzyli na powodowaną przez ich pociski śmierć tysięcy osób. Spruance zastanowił się, czy ci ludzie cokolwiek czują, czy są jak te ich maszyny.

Widział tyle, że są zadowoleni z wyników ataku, nic więcej. To jego podkomendni reagowali jak prawdziwi kombatanci.

Nawet młody Curtis, który zapewne widział dotąd krew co najwyżej przy goleniu, okazywał więcej emocji niż kobieta, której okręt podwodny zniszczył właśnie sporą część japońskiej floty. Porucznik stał obok Dana Blacka, wskazywał na ekran i powtarzał w kółko tylko jedno zdanie: „Widział pan to, komandorze? Widział pan to?”

Kapitan Willet, która pokazała się na początku nagrania, aby objaśnić jego przebieg i skutki, zachowała się całkiem inaczej. Spruance nie dostrzegł w jej oczach ani cienia dumy czy triumfu, podobnie jak i żalu po tak wielu ludziach, których nic żywota właśnie przerwała. Po raz drugi w tym tygodniu admirał zastanowił się, jaki to świat zrodził tych ludzi.

A potem – kiedy spróbują ten świat uczynić podobnym?

Potrząsnął głową. To nie tak. Przecież ci ludzie toczyli wojnę już od dwudziestu lat. To naturalne, że zubożeli na okrucieństwo. Współcześni mu rodacy też zmieniają się, gdy przyjdzie im zetknąć się z wszystkimi potwornościami wojny. Nie powinien też zapominać, że to nie był ich konflikt. Dla nich była to część historii i wszyscy, którzy obecnie ginęli, dla nich byli już od dawna martwi. Może to było wyjaśnienie.

– To już koniec – usłyszał dobiegający gdzieś z tyłu kobiecy głos.

On jednak wiedział, że to dopiero początek.

– Zaczęło się uderzenie na Singapur – oznajmił ktoś inny. Admirał obrócił się ponownie w stronę ekranu. Chciał zobaczyć, co stanie się dalej.

39

HMAS Moreton Bay, 20 czerwca 1942, godzina 21.32

Podwójnym kadłubem HMAS *Moreton Bay* kołysała długa fala wywołana przez sztorm w Zatoce Bengalskiej. Porucznik Nguyen siedziała na swoim stanowisku i sprawdzała metodycznie wszystkie systemy Metalowej Burzy i baterii laserowych. Robiła to już nie po raz pierwszy, ale naprawdę cieszyła się, że znowu jest na swoim miejscu na pokładzie szybkiego transportowca, który na czas ataku na Singapur zmieniono w okręt ewakuacyjny. Zapasy amunicji do systemów bliskiego zwalczania celów powietrznych, tak zwanych CIWS, uzupełniono tym, co udało się uratować z *Leyte Gulf*.

Powtórzyła kalibrację czujników i przetestowała łącze z systemem bojowym HMS *Trident*, który płynął pięć i pół kilometra z lewej. Jej okręt nie miał pełnego wyposażenia elektronicznego, tylko to jedno stanowisko, które upchnięto w kącie mostka. Większość kawalerzystów, którzy żeglowali z nimi na Timor, znalazła się obecnie na okręcie desantowym HMAS *Ipswich* podążającym dwie mile morskie za rufą. Pozostawiono tylko jedną kompanię, która miała strzec bezpieczeństwa personelu medycznego.

Lekarzy było sześćdziesięciu, z czego trzy czwarte stanowili współcześni. Weszli na pokład u brzegów Nowej Kaledonii, gdzie zespół spotkał się z konwojem transportowców i adaptowanych liniowców pasażerskich płynących aż z Morza Południowochińskiego. Z obu stron osłaniały ich dwa antyczne niszczyciele Royal Navy i trzy nowoczesne jednostki, z których jednak tylko *Trident* przedstawiał poważny potencjał bojowy. Płynęli przez te same wody, które przemierzyli nie tak dawno w rejsie ku brzegom Timoru. Podobnie jak wielu jej towarzyszy, Nguyen miała poczucie *déjà vu*.

Na mostku panowała cisza. Napięcie rosło od chwili, gdy minęli północny kraniec Sumatry i pełną szybkością ruszyli w kierunku celu. Nie była to szybkość tak wielka, jak mogłaby być.

Ograniczał ich najwolniejszy statek konwoju, holenderski liniowiec *Princess Beatrix*. Robił tylko dwadzieścia jeden węzłów, co w zasadzie nie było wynikiem najgorszym, jednak nawet ciężko wyładowany czołgami i śmigłowcami *Ipswich* byłby w stanie bez trudu wyciągnąć trzydzieści.

Blask półksiężyca rozlewał się na nadbudówkach i migotał w białych kilwaterach.

Nguyen z przyzwyczajenia sprawdziła listę zagrożeń. Niepotrzebnie. Na pewno nie groziło im zasypanie chińskimi pociskami. Jeden z trzech ekranów na jej stanowisku ukazywał wszystkie obiekty wykryte w promieniu pięciuset kilometrów. Dane pochodziły z systemu NEMESIS na HMS *Trident*. Dostrzegła siedem samolotów i trzy cele nawodne znajdujące się dalej w wiodącej do Singapuru cieśninie Malacca. Systemy niszczyciela stealth wyprzedzały o kilka epok wszystko, z czym mogli mieć do czynienia. Nguyen wiedziała, że gdy zrobi się gorąco, nie będzie miała praktycznie nic do roboty. Centrum bojowe *Tridenta* przejmie kontrolę nad ich uzbrojeniem i poprowadzi wszystkie trzy okręty jak jeden.

Zastanowiła się, co mogą sądzić o tym wszystkim załogi towarzyszących jednostek. Nie wiedziała nawet, co powiedziano im o tej misji. Może nic. Tylko szalenie zapuszczałby się na tym etapie wojny tak głęboko na obszar cesarstwa. Rachel poruszyła zamontowaną na maszcie kamerą, aby spojrzeć na najbliższą jednostkę, nowozelandzki statek szpitalny HMNZS *Christchurch*. Uśmiechnęła się na widok trzech marynarzy, którzy stali na forkasztelu i wydzierali sobie nawzajem lornetkę. Najpierw przyglądali się *Tridentowi*, potem obserwowali australijski katamaran. *Ipswich* interesował ich chyba mniej, ale też był bardziej konwencjonalną jednostką. Za plecami Nguyen pojawił się kapitan Sheehan.

– Ciekaw jestem, ile oni z tego rozumieją.

Piśnięcie w słuchawkach oznajmiło, że *Trident* rozpoczął aktywne śledzenie celów powietrznych.

– Wiadomość od kapitan Halabi, sir – odezwał się łącznościowiec. – Dwa potencjalnie wrogie samoloty zmieniły kurs i przemieszczają się w naszym kierunku.

– Przyjąłem – powiedział Sheehan.

Porucznik wyprostowała plecy. Fotel był wygodny, ale siedziała w nim już kilka godzin.

Dwa widoczne na ekranie współczesne niszczyciele przyspieszyły.

– Zajmują pozycję między źródłem zagrożenia a konwojem – powiedział Sheehan.

– Ale po co? – spytała Nguyen.

Kapitan poklepał ją po ramieniu.

– Nie wszyscy mają tak zimną krew jak pani.

– Co robią te okręty? – spytała stanowczym tonem Halabi. Znajdowała się w centrum bojowym, głęboko pod linią wodną, ale niszczyciele pojawiły się na wszystkich niemal ekranach.

– Swoją robotę, pani kapitan – odrzekł wiceadmirał sir Leslie Murray.

– Wręcz przeciwnie. Proszę kazać im powrócić na poprzednią pozycję. Nie chcę, aby plątały mi się po całym oceanie. Wszyscy pilnujemy swoich miejsc i wszyscy wracamy do domu.

W centrum bojowym panowała dość niemiła atmosfera. Winnym temu był bez dwóch zdań sir Leslie. Bardzo nalegał, aby go zabrać, zdobył nawet kablogram od Winstona Churchilla nakazujący przyjęcie go na pokład HMS *Trident*. Halabi ostatecznie uległa i teraz bardzo tego żałowała.

– Oba kontakty za pięć minut znajdą się w polu widzenia konwoju, ma'am – oznajmił Welsh.

– Cele namierzone, pociski na wyrzutniach, kapitanie.

Halabi wolałaby nie marnować dwóch porządnych rakiet przeciwlotniczych na podobne latawce. Ignorując sterczącego po jej lewej stronie Murraya, rozważyła wszystkie za i przeciw. Znajdowali się na japońskich wodach, samoloty zostały tu skierowane zapewne po tym, jak straż przybrzeżna dostrzegła przepływający konwój. Ostatecznie płynęli przez jeden z najgęściej zaludnionych archipelagów świata. Nie byli w stanie przemknąć niepostrzeżenie.

Spojrzała na zegar na głównym ekranie, pokazujący czas operacji.

Oddziały rozpoznania już od prawie doby znajdowały się na lądzie pod Singapurem.

– Co jest, kapitan Halabi? – spytał wiceadmirał Murray. – Chce pani sobie obejrzeć te japońskie samoloty czy co?

– Proszę kazać swoim okrętom zająć poprzednią pozycję i usiąść na miejscu, które panu wskazałam. Będziemy teraz dość zajęci.

Wróciła na fotel kapitański i raz jeszcze spojrzała na rozmieszczenie swoich sił. Sir Leslie ze złością sięgnął po mikrofon i rozkazał, aby *Rockingham* i *Sherwood* dołączyły do konwoju.

– Zobaczą nas za cztery minuty, kapitanie.

– Uzbrojenie! – zawołała.

– Aye, ma'am.

– Włączyć działko, tryb przeciwlotniczy z pociskami eksplodującymi, i sprzęgnąć je z NEMESIS. Rozpoznanie!

– Aye, ma'am.

– Postaraj się chwycić je z masztu kamerą dalekiego zasięgu. Przyjrzymy się im.

Młody technik zajął się niełatwym zadaniem. Sprzął zamontowane na żyroskopach kamery z radarem, po czym zlokalizował ostatecznie samoloty laserem i uchwycił je w kadr.

Pośrodku ekranu otworzyło się nowe okno. Obraz był z początku zakłócany, ale szybko się oczyścił. Ujrzeni dwie duże, czterosiłnikowe maszyny.

– Para łodzi latających typu Emily – powiedział wiceadmirał Murray. – Prowadzą rozpoznanie.

Szmer głosów jakby się nasilił. Coraz więcej palców uderzało w różne klawisze.

– Uzbrojenie – powiedziała Halabi. – Czas otwarcia ognia?

– Dwadzieścia trzy sekundy, ma'am.

– Bateria gotowa.

– Bateria gotowa, kapitanie.

Halabi spojrzała na swój ekran ukazujący ogólną sytuację bojową. Ikonki obrazujące oba samoloty migotały na niebiesko. Nagle usłyszała głośnie „ping” i cele zmieniły kolor na czerwony.

– Ognia – rozkazała.

Szef uzbrojenia przycisnął dwa klawisze. Halabi poczuła i usłyszała, jak automatyczne działko wypluło krótką serię pocisków. Brzmiało to jak szalony werbel, tyle że koncert trwał niecałą sekundę.

– I już? – spytał podejrzliwie Murray. – Jest pani pewna, że je załatwiła?

Kapitan wskazała na wielki ekran.

– Szybko, bo pan przegapi.

Oficer Royal Navy obrócił się akurat w porę, aby ujrzeć, jak obie śmigłowe maszyny znikają w bezgłośnych eksplozjach. Długie, masywne kadłuby rozpadły się na setki kawałków, skrzydła złożyły się nad nimi i szczątki zniknęły z ekranu.

– Pytał pan, czy jestem pewna – powiedziała Halabi.

– Mój błąd – stwierdził Murray, najwyraźniej pod wrażeniem pokazu.

– Rozpoznanie, czy zdołali coś nadać?

– Tylko krótki sygnał, niecałe dwie sekundy.

Dała znak technikowi, aby odtworzył przechwyconą transmisję przez głośniki. Pośród szumów

usłyszeli japoński głos wypowiadający kilka słów i urywający wypowiedź w pół zdania.

23. Baza Lotnicza, Sumatra,

20 czerwca 1942, godzina 21.55

Dywizjon Muraty ćwiczył nocną walkę już od 1937 roku. Ironia losu sprawiła, że z tego właśnie powodu nie znalazł się ani razu na pierwszej linii. Trzymano go w odwodzie, ponieważ amerykański i angielski złom w ogóle nie nadawał się do nocnych lotów i nie było z kim walczyć. Major Murata nadal szkolił jednak swoich ludzi, chociaż zaczynał przypuszczać, że nigdy nie zakosztują prawdziwego boju.

Teraz siedział w kabinie myśliwca typu Zero, patrzył na ciągnące się przed nim światła gruntowego pasa startowego i słuchał pomruku silnika, a serce biło mu mocno. Nie ze strachu, ale z radości. Był samurajem, który całe życie przygotowywał się do walki. Żaden z jego ludzi nie wiedział, co właściwie płynęło cieśniną, a ich samoloty nie były przeznaczone do atakowania celów nawodnych, ale Murata miał pewność, że dwudziestomilimetrowe działka okażą się wystarczająco skuteczne.

Rozkazał załadować do nich ciężkie pociski smugowe. Sądził, że jeśli cała ich seria trafi w tankowiec, ten wybuchnie jak wielka bomba. Oczywiście to też była tylko teoria.

Szef obsługi naziemnej postukał w owiewkę. Murata sięgnął nad głowę i zasunął osłonę kabiny. Warkot silnika nieco przycichł. Pilot sprawdził instrumenty za pomocą małej latarki z czerwoną żarówką, która nie upośledzała widzenia w ciemności. Wszystko było jak należy. Pchnął przepustnicę. Obsługa wyjęła klocki spod kół i maszyna ruszyła, kołysząc się na wybojach.

Murata ujął drążek, zwiększył szybkość i opuścił klapy. Światła pasa zlały się w jedną smugę, przyspieszenie wcisnęło go w fotel.

Włączył migające światła na krańcach skrzydeł, które miały dawać namiar lotu całemu dywizjonowi. Wąska wstęga lotniska zniknęła w dole. Pozostałe maszyny ustawiły się za nim. Były prawie niewidoczne, jeśli nie liczyć niebieskawych płomieni wydobywających się czasem z rur wydechowych. Kilka chwil później Murata dostrzegł trzy cesarskie niszczyciele przemierzające cieśninę. Dobrze, pomyślał. Jeśli tak małe okręty udało się zobaczyć bez trudu, tym łatwiej przyjdzie im odnaleźć tajemniczy konwój.

Miał nadzieję, że sztabowcy zrobili, co do nich należało. Wolałby nie zostać zestrzelony przez własne okręty. Jednak niepotrzebnie się niepokoił. Marynarka cesarza Japonii nie miała sobie równych. Dywizjon Muraty przeleciał nad niszczycielami nie niepokojony.

Rozejrzył się wkoło. Oto za chwilę miał wreszcie zasmakować krwi. Świat w dole był mozaiką ciemności i cienia. Po lewej leżał czarny masyw Sumatry z widocznym na tle gwiazd zarysem pasm górskich. Wody cieśniny mieniły się od blasku księżyca, widać było nawet biel załamujących się fal.

* * *

Dotarcie do celu zabrało im niecałą godzinę.

Murata zakołysał skrzydłami, dając znak pozostałym pilotom, aby ustawili się nad nim i przygotowali do akcji. W dole widać było rozchodzące się po oceanie ślady wielkich, wolno płynących okrętów. Nie próbowały nawet uników, nikt nie otwierał ognia. Chyba się pospali, pomyślał major.

Uśmiechnął się.

Oczywiście nie można było im pozwolić żeglować tak spokojnie, jakby w ogóle nie czuły bojaźni przed potężną Japonią. Murata zaczerpnął głęboko powietrza i skoncentrował się na swoim *hara*. Myśliwiec Zero stał się czymś więcej niż tylko maszyną. Był teraz boskim mieczem, wykonawcą woli cesarza. Duch boskiego cesarza Hirohitio, którego przeznaczeniem było władać pomniejszych narodami świata, był wraz z Muratą w tej kabinie. Popychając drążek, aby runąć na zdobycz, major wyraźnie poczuł obecność boskiego pierwiastka.

Nagle Zero zakołysał się od bliskiej eksplozji.

A, obudziły się białe diabły, pomyślał.

Na jedną krótką chwilę poczuł się jak prawdziwy samuraj. Nic nie mogło go pokonać, nic nie mogło powstrzymać cesarskiego miecza. Ani eksplodujące wysoko pociski, ani smugowe serie z karabinów maszynowych. Nawet dwudziestomilimetrowe Oerlikony, nawet Boforsy czy plujące ogniem pięciocalowe działa wrogich niszczycieli.

Niemal się roześmiał, nagle jednak...

Zamarł z przerażenia.

To nie był ogień przeciwlotniczy. To wybuchały samoloty jego towarzyszy. W ciągu paru sekund pomarańczowe kule płomieni pochłonęły wszystkie myśliwce wokół. Murata patrzył wytrzeszczonymi oczami na spadające ku falom szczątki. Oderwane skrzydła ślizgały się zakosami jak liście. Płonące paliwo tworzyło piękne, płomieniste kaskady. Był niemal pewien, że dojrzał przelatujący tuż obok dziób Zera z obracającym się jeszcze śmigłem. Minął go niczym kometa.

Ledwie zdążył się zastanowić, dlaczego w kabinie jego maszyny jest tak gorąco.

Chwilę potem ogień pochłonął i jego.

Halabi przeszła, niemal trącając sir Lesliego, w kierunku stanowisk zwalczania celów nawodnych. Teraz one miały stać się najważniejsze. Przedstawiciel Royal Navy na Hawajach nie zareagował. Milczał od chwili, gdy załoga Halabi zniszczyła w gwałtownym ataku cały dywizjon japońskich myśliwców. Zero zdążył już obrosnąć legendą nie mniejszą niż brytyjski Spitfire. Widok tych maszyn spadających całym deszczem z nieba wstrząsnął kontradmirałem.

– Przepraszam – powiedziała Halabi, mijając go znowu.

– Tak, oczywiście, pani kapitan – mruknął jakby w roztargnieniu. Zafascynowany patrzył, jak Halabi założyła ręce na plecach i przyjrzała się obrazowi przekazywanemu przez zdalnego zwiadowcę krążącego nad trzema japońskimi okrętami płynącymi kilkaset kilometrów z przodu. Z jednej strony ekranu widać było zwykły, wzmocniony obraz, z drugiej widok w podczerwieni. Nieprzyjacielskie jednostki musiały płynąć z pełną szybkością. Woda gotowała się za ich rufami, dym buchał z dobrze widocznych w podczerwieni kominów. Murray ledwie wierzył, że to prawdziwy obraz.

Niszczyciele zostały oznaczone jako wrogie i opisane symbolami od 01 do 03. Błyskające ikonki pokazywały miejsce zagłady dywizjonu myśliwskiego. Na zegarze wyświetlanym nad zarysem Singapuru widniała 23.21. Już tyle czasu spędzili tam komandosi SAS.

Halabi mogła już wcześniej zatopić te niszczyciele, chciała jednak, aby oddaliły się jeszcze trochę od bazy. Woląca nie alarmować zbyt wcześnie Japończyków, że większa siła wpłynęła na ich wody.

– Proszę przypisać systemowi cele. Odpalenie na mój rozkaz.

Kapitan *Tridenta* spojrzała przelotnie na Murraya.

– Może pan obejrzeć odpalenie na ekranie, admirale. Na tym, który znajduje się przed panem.

Kontradmiral Murray spojrzał na monitor. Czarno-biały obraz pokazywał górny pokład okrętu. Nie był to ciekawy widok, gdyż *Trident* był na zewnątrz niemal pozbawiony cech szczególnych. Sir Leslie już chciał odwrócić głowę, gdy nagle ujrzał unoszącą się pokrywę ośmiokątnego włazu.

– Cele ustalone – rzekł mężczyzna siedzący na sąsiednim stanowisku. Wyglądał na Hindusa, ale mówił z bezbłędnym akcentem z Surrey. – Strzelamy za trzy... dwie... jedną...

Murray spojrzał znowu na ekran. Gdzieś spod pokładu wyrwały się kłęby białego dymu i coś płomienistego wystrzeliło nagle ku niebu. Start rakiety odbił się echem po całym kadłubie.

Obraz zmienił się nagle. Teraz sir Leslie patrzył na *Tridenta* z perspektywy kogoś znajdującego się na sąsiednim okręcie. Widać było długą, skręcającą ku północy smugę dymu.

Ponownie włączono kamerę szerokokątną i spod pokładu wystrzeliło jeszcze sześć szarych włóczy. Każdemu odpaleniu towarzyszyło wyraźne drgnięcie pokładu. Murray nie miał pojęcia, co właściwie się dzieje, a zachowanie ludzi wokół niczego nie podpowiadało. Wydawali się tylko trochę bardziej zajęci, ale...

Poczuł, że ktoś klepie go w ramię. Jeden z młodych techników, porucznik, wskazał mu wielki ekran, który dominował nad pogrążoną w półmroku centralą.

– Tam jest wszystko, sir. Pełen przekaz z systemu NEMESIS – powiedział cicho. – Tu ma pan radar, tam przekaz z maszyny zwiadowczej, w rogu obraz z kamer w nosach pocisków.

Murray niewiele z tego pojął. Ponownie rozejrzał się po pomieszczeniu. Wszystkie stanowiska były obsadzone. Wszyscy też zdawali się mówić równocześnie, kapitan zaś, ku jego wielkiemu zdumieniu, stała spokojnie pośrodku tego zamieszania i bez śladu paniki wydawała kolejne rozkazy. Nie mógł odmówić jej pewnego wdzięku.

– Uzbrojenie, sprowadzić pociski na jeden cztery.

– Jeden cztery, ma'am.

Murray spojrział na róg wielkiego ekranu. Obraz przekazywany z pocisków skakał nieustannie.

– Uzbrojenie, chcę, aby wszystkie uderzyły równocześnie. I jak najszybciej. Lepiej, aby nie zdążyli niczego nadać.

Młoda kobieta obok Murraya przebiegła palcami po klawiaturze swojej maszyny liczącej. Zrobiła to tak błyskawicznie i z taką pewnością siebie, że admirał nie posiadał się ze zdumienia. Przecież najmniejszy nawet błąd na pewno miałby opłakane skutki dla całej misji.

Tuż przed nim pojawiła się Halabi.

– Wszystko zrobione.

– Ale one...

– Proszę patrzeć na ekran, admirale.

Murray ujrzał, że obraz podzielił się na szereg mniejszych. Trudno było śledzić tyle okien. Niektóre ukazywały sylwetki japońskich niszczycieli. W ciągu paru sekund urosły i wypełniły kadry. Potem wszystko pociemniało.

– Co się stało? – spytał. – Gdzie się podział obraz? Zestrzelili te rakiety?

– Nie, sir Leslie. Proszę pomyśleć, co się dzieje z kamerą, gdy uderza z dużą szybkością w stalową płytę?

– A... – mruknął. – Rozumiem.

HIJMS Akatsuki, 20 czerwca 1942, godzina 23.48

Komandor Osamu Takasuka patrzył na morze z wysokości bocianiego gniazda. Morze było dość spokojne, dziób niszczyciela napotykał tylko dwumetrowe fale, jednak z powodu szybkości za każdym razem wyrzucał w powietrze wielkie rozbryzgi piany.

Takasuka zastanawiał się, na co właściwie trafią. Od czasu odwołanej akcji pod Midway cała flota huczała od plotek. Niektórzy mówili, że Rosjanie wypowiedzieli wojnę. Inni twierdzili, że Amerykanie są bliscy kapitulacji. Ktoś z ich siostrzanego niszczyciela, *Hokaze*, rozpowszechniał nawet opowieść, że w Morzu Koralowym utworzył się wielki wir, który wciągnął amerykańskie lotniskowce na samo dno. W chwili, gdy doszła ona do uszu komandora, została wzbogacona jeszcze o sugestywny opis łodzi wikingów i rzymskich galer, które ktoś miał dojrzeć przez ten wir na dnie Morza Koralowego.

Nigdy nie mógł się nadziwić, że marynarze potrafią wymyślać banialuki.

Wystawiając twarz na podmuchy wiatru, czekał na wiadomość radiową od pilotów Zer, które miały wcześniej sprawdzić cieśninę. Nagle dojrzał coś, co wziął za spadającą gwiazdę. Przyjrzał się jej, ujęty pięknem zjawiska. Nagle jednak pojął, że jasna kometa leci prosto na niego. Na nich.

Chwilę potem na niebie pojawiło się więcej światła. Spróbował przyrzeć im się przez lornetkę, ale kołysanie okrętu i drżenie dłoni mu na to nie pozwoliły. Uderzyło go, jak szybko poruszają się te obiekty. Na dodatek odniósł wrażenie, jakby coś kierowało ich lotem. To było już dość, aby ogłosić alarm.

Rozległy się dzwonki i klaksony. Wszystko jednak za późno.

Pochłonęła go raptownie puchnąca kula ognia.

Cztery kolejne pociski przemknęły górą w stronę Singapuru.

40

Singapur, 20 czerwca 1942, godzina 23.51

But japońskiego wartownika zatrzymał się osiemnaście centymetrów od monarszego nosa kapitana Harry'ego Windsora. Gogle księcia były ustawione na wzmocnienie światła i ograniczenie pola widzenia. Pozostali z jego sekcji, sierżant St Clair i dwóch Australijczyków z SAS, widzieli to samo co on w okienku w narożniku własnych gogli.

Harry leżał cicho i bez ruchu, stapiając się w jedno z ziemią. Oddychał możliwie jak najrzadziej, co i tak niewiele pomagało. W Singapurze panował smród. Dominowały w nim wonie ścieków, suszonych ryb, oparów bagiennych i chińskich przypraw.

W okienku swoich gogli widział, że zarówno St Clair, jak i kapitan Pearce Mitchell, starszy stopniem z dwóch Aussie, wzięli japońskiego żołnierza na cel. Jedna mikroskopijna czerwona kropka, niewidoczna dla strażnika, spoczęła tuż za jego uchem. Druga, z wyciszonego, dziewięćmilimetrowego HK Mitchella, poszukała sobie miejsca na korpuse.

Harry próbował przeprowadzić po cichu serię ćwiczeń, które uwolniłyby jego ego i pozwoliły całemu światu przepłynąć przez jego zmysły. Niestety, na razie tuż obok popłynął tylko strumień gorącego moczu. To mogło zdekoncentrować. Serce zabiło mu jeszcze żywiej i o mały włos by się uśmiechnął. Wolał jednak nie ryzykować. Obawiał się, że ten jeden uśmiech mógłby wywołać całą lawinę, która doprowadziłaby do wybuchu histerycznego chichotu.

Japończyk musiał się chyba ożłopać herbaty, bo sikał bez końca. W końcu strumień osłabł, potem poleciały jeszcze krople, z których parę spadło na gogle Harry'ego, i było po wszystkim. Cały zespół słuchał z napięciem, jak strażnik zapina rozporek, a potem rusza ze skrzypieniem butów na dalszy obchód. Oczekali jeszcze pięć minut, zanim wrócili do normalnego rytmu oddechu.

– Kurwa, ale to było nieprzyjemne – powiedział Harry, gdy uznał, że jest już całkiem bezpiecznie.

Jego wypowiedziane niemal bezgłośnie słowa zostały przechwycone przez implant tkwiący u podstawy czaszki. Zasilane ładunkiem elektrycznym jego ciała urządzenie odczytało wibracje tkanki kostnej i przetworzyło je na kwantowy sygnał, który dotarł wąską wiązką do odbiorników, a następnie procesorów w uszach towarzyszy. Usłyszeli go tak wyraźnie, jakby szeptał im do ucha.

– A ja sądziłem, że te małe kutasy są przywiązane do monarchii – zauważył Mitchell.

Znajdowali się na grzbiecie wzgórza dwadzieścia metrów ponad obozem japońskich baraków na skraju miasta. Harry pamiętał Singapur z własnych czasów i ledwie mógł się teraz odnaleźć w prymitywnym, kolonialnym osiedlu, przez które pełzli. Brakowało wysokich budynków i w ogóle nie wypatrzył ani śladu tej architektury, którą uznałby za chociaż trochę nowoczesną. Niemal z każdego miejsca widziało się głównie wodę. Typowe dla tropikalnej dżungli kłaskania, ćwierkania i piski nie milkły ani na chwilę. Wszędzie plątały się małpy.

Rygorystycznie egzekwowana godzina policyjna sprawiała, że miejscowi Malajczycy i Hindusi nie wychodzili po zmroku, większość Europejczyków zaś siedziała w obozie Changi. Niemniej i tak po samym zapachu można było poznać, gdzie kto mieszka. Hinduskie domy zalały pieprzem, curry i egzotycznymi owocami. Chińskie smażonym mięsem i jaśminowym ryżem. Wonie musiały chyba wnikać w konstrukcje budynków, ponieważ ostatnimi czasy w mieście nie było wiele do jedzenia.

Singapur leżał daleko na tyłach, poza tym był miastem garnizonowym, i służba wartownicza nie przesadzała z czujnością. Tylko trzech ludzi obchodziło teren w regularnych odstępach czasu i wyłącznie po wydeptanych ścieżkach. Zespół Harryego ulokował się właśnie obok jednej z takich drózek i czekał na sygnał od pozostałych trzech grup SAS, które miały zająć pozycje bliżej budynków. Miasto przeszli, korzystając z ciągnących się przez cały Singapur pasm zieleni. Jedyne samo centrum było na tyle gęsto zabudowane, że nie dawało schronienia. Biegły tam szerokie aleje obsadzone drzewami płomienistymi i migdałowcami. Zaniedbane pobocza porosły już bujną trawą, a

białe rządowe budynki zostały w komplecie zajęte przez japońską administrację.

To jednak nie był ich problem. Zespół Harryego miał zająć się głównym obozem wojskowym przy drodze do Changi. Tymczasowo kwatrowały tu ponad dwa tysiące japońskich żołnierzy.

Wyświetlacz sytuacji taktycznej w goglach Harryego ożył nagle.

– Ładunek w drodze – powiedział. – Trzydzieści sekund. Sierzancie, laser.

– Włączony, cele podświetlone – zameldowała St Clair, gdy sześć cienkich, niewidocznych promieni laserowych z ustawionego na trójnogu urządzenia pomknęło w kierunku celów. Pulsujące strumienie fotonów trafiły w środkowe sekcje czterech długich baraków, w których spały setki ludzi. Laserowy stroboskop przypominał kamerę wideo i w rzeczy samej miał za zadanie nagrać wszystko, co powinno zdarzyć się w ciągu najbliższych minut.

– Zespoły dwa, trzy i cztery meldują, że włączyły lasery i podświetliły cele – powiedział Mitchell.

Pozostałe grupy miały zająć się resztą budynków oraz niewielką wieżą strażniczą, trzema stanowiskami karabinów maszynowych i moździerzami oraz szeregiem lekkich czołgów. Piętnaście sekund przed uderzeniem od każdego zespołu odłączał się jeden żołnierz, aby przypilnować ścieżek, którymi chodzili wartownicy.

Pociski nadleciały niepostrzeżenie. Turboodrzutowe silniki nie zostawiały płomienistych śladów. Tylko w okienkach odliczania w rogach gogli pokazały się same zera. Dowódcy zespołów mogliby w zasadzie wszystko sobie obejrzeć. Głowice pocisków przesyłały im pełen zestaw informacji, które pojawiały się na wyświetlaczach pod postacią migotliwej sieci strzałek ułożonych w plan uderzenia. Ludzie z SAS bywali jednak z reguły dość rozsądni. W tym wypadku woleli wtulić głowy w ziemię i przeczekać, aż przejdzie fala nadciśnienia.

Harry'emu wydało się, że słyszy odległy ryk pocisku, gdy ten wyskoczył jakby znikąd i błyskawicznie skierował się na pierwszy z podświetlonych celów. Drzwi komory wyrzutni podkadłubowej stanęły otworem. Miniaturowy reaktor fuzyjny włączył się tylko na dwie milisekundy, ale to wystarczyło, aby nagrzać dwieście tungstenowych bolców i wyrzucić je z plastra podtrzymującego. Każdy z nich miał dość energii, aby przy bezpośrednim trafieniu zniszczyć ciężki pojazd pancerny.

Baraki, które były pierwsze na liście, zostały zbudowane z drewna i blachy falistej.

Sześćdziesiąt procent amunicji, czyli sto dwadzieścia jeden rozgrzanych do białości bolców, uderzyło w nie z ponaddźwiękową szybkością. Kruche konstrukcje wyparowały, a powstałe przy tym gazy, molekularna mieszanka materiałów budowlanych, ludzkiej tkanki i przegrzanego powietrza, rozprężyły się gwałtownie, dając efekt klasycznej eksplozji, która zmiotła z powierzchni ziemi resztę szczątków.

Obsady stanowisk karabinów i moździerzy nie zdążyły nawet spojrzeć w górę, gdy bolce spadły i

na nie. Wieża wartownicza dostała tylko dwa procent ładunku, łącznie trzy procent. Szereg czołgów całą resztę zawartości pierwszej komory.

Eksplodzie zdawały się zwiastować powstanie nowego wulkanu.

Pocisk zawrócił o sto osiemdziesiąt stopni i skierował się na północ, ku kolejnemu celowi, na który został zaprogramowany: bazie marynarki wojennej. Z materiałów dostarczonych przez zdalnych zwiadowców wynikało, że przy nabrzeżach stało całkiem sporo japońskich jednostek.

– Dobrze, proszę państwa – powiedział kapitan Windsor. – Teraz bierzmy się do nich.

HMAS Ipswich, 20 czerwca 1942, godzina 23.59

Od chwili, gdy pomogli mu wbić się w tę dziwną, wyściełaną zbroję, kapitan Tom Shapcott jakoś nie mógł się odnaleźć. Przeszkadzała mu masywna osłona na piersi, ciężki „zasilany” hełm i pojawiające się nieustannie na goglach obrazki, wiadomości i kolumny danych. A przecież powinien skoncentrować się na tym, co najważniejsze.

Spojrzał z podziwem na pokład hangarowy olbrzymiego australijskiego okrętu. Stożące na samym przodzie cztery czołgi typu Abrams wyprzedzały o całe pokolenia znane mu Shermany. Owszem, przypominały czołgi, ale ich rozmiar i przysadzista, groźna sylwetka odebrały mu mowę. Za nimi czekały tak zwane lekkie transportery opancerzone, inaczej LAV, które wydawały się większe i potężniejsze niż niemieckie Tygrysy. Każdy miał własną wyrzutnię rakiet i dwulufowe automatyczne działko kaliber pięćdziesiąt milimetrów, które podobno w ciągu paru minut, a może nawet sekund, potrafiło zamienić w rumowisko betonowy bunkier.

Dalej stały jeepy i inne niezidentyfikowane pojazdy. Shapcott nigdy jeszcze nie widział podobnej potęgi zgromadzonej na równie niewielkiej przestrzeni. Szczególne wrażenie robiły te czołgi... Widział już w życiu całą masę wraków i wiedział, że wszystko można zniszczyć, ale te potwory naprawdę wyglądały na niezwyciężone.

Australijczycy byli w porządku, ale lepiej czuł się z kompanią piechoty morskiej przydzieloną do zespołu Halabi na czas operacji singapurskiej. Nie byli to tacy marines, jakich znał. Wśród kierowców czołgów znalazło się nawet parę kobiet, ale gdy zapomniano się o ich odmienności i usiadło po prostu pogadać, okazywało się, że tak samo lubią barbecue, futbol, wędkowanie, bejsbol i piwo jak wszyscy. I też krytykowali konstytucję Stanów Zjednoczonych. W sumie można było powiedzieć, że nie różnili się wiele od mężczyzn i kobiet, których dotąd znał.

Wielki okręt kołysał się lekko, utrudniając mu dotarcie do wyznaczonego transportera. Na pokładzie hangarowym było ciemno, ale pokazano mu już, jak korzystać z widzenia w podczerwieni. Najmroczniejsze miejsce natychmiast rozjarzało się barwami. Z początku nie mógł się do tego przyzwyczaić, ale za to nie ryzykował już nabijania sobie co chwila siniaków.

Wokół kręciło się już niewielu ludzi. Czasem ktoś przeszedł, czyjaś głowa wyjrzała z wieżyczki,

czyjeś ręce sprawdziły wyrzutnię. Większość z sześciuset żołnierzy, którzy mieli wylądować na brzegu, siedziała już gotowa w swoich pojazdach.

Rozległ się huk przypominający łoskot rozpędzonego pociągu w tunelu. Shapcott podskoczył, ale nie wpadł w panikę. Zaczęło się bombardowanie brzegu. Rakiety startowały z wyciem, aby rozbić japońskie baterie i centra dowodzenia na wybranym odcinku plaży. Kapitan przyspieszył kroku. Nie chciał się spóźnić. Poza tym miał wrażenie, że gdy te wielkie wrota w dziobie okrętu staną wreszcie otworem, nic tych pojazdów nie zatrzyma. Przejadą po wszystkim, co stanie im na drodze.

Dotarł do LAV-a w chwili, gdy do ogólnego łoskotu doszedł kolejny odgłos.

– Co to jest? – spytał, nie podnosząc głosu. Nauczył się już, że nie było to potrzebne. Mikrofon zapewniał idealną łączność.

– Wiatraki startują – wyjaśnił podporucznik Biff Hannon i podał mu rękę, aby pomóc wsiąść. Kapitan ledwie zdążył przypasać się do fotela, gdy ruszyli.

Przez chwilę kręciło mu się w głowie. Najpierw podczas zjazdu po rampie, potem podczas drogi na plażę.

W środku LAV-a jarzyło się dwanaście ekranów. Porucznik Hannon zdawał się panować nad wszystkimi. Shapcottowi świat na zewnątrz jawił się jako piekło płonących pojazdów, nieustannych eksplozji, potwornych czołgów strzelających do nie wiadomo czego i diabelskich zgoła śmigłowców, które wywijały piruety na niebie i raziły ogniem odległego, niewidocznego przeciwnika. Nawet w środku transportera i z hełmem wyposażonym w żelowe osłony na uszy huk bitwy dawał mu się we znaki.

Był przypasany do dużego i naprawdę wygodnego fotela, ale rzucało nim niemiłosiernie. Co rusz rozpędzali się, aby gwałtownie stanąć. A w którejś chwili działko wypluło parusekundową serię pocisków i na jednym z ekranów dała się dostrzec eksplozja.

– Dobra robota, Maryanne – powiedział Hannon.

Shapcott nigdy nie dowiedział się, do czego strzelali.

Po kwadransie szaleństwo nieco się uspokoiło. Pojazd zakołysał się raz jeszcze i wyjechali na gładką nawierzchnię.

– Do wszystkich, do wszystkich, mówi Biffmeister – powiedział Hannon do małego, zamocowanego na drucie mikrofonu, który wystawał z jego hełmu. – Jesteśmy na drodze. Ruszamy, proszę ferajny.

* * *

– Dalej, dalej, dalej! – krzyknął Hannon.

Pancerny właz transportera opadł i sześciu ludzi wyskoczyło w noc. Kapitan Tom Shapcott podążył za nimi. Niemal natychmiast Hannon cofnął się gwałtownie i wpadł na niego, zbijając z nóg.

Shapcott chciał pomóc kapitanowi się podnieść, ale wyczuł, że ma do czynienia już tylko z bezwładnym ciałem. Jakim cudem? Przecież Hannon i inni zapewniali go, że człowiek w kombinezonie pancernym jest całkiem bezpieczny. Rozmawiał z marynarzami z *Astorii*, którzy sami się przekonali, że nie można kogoś takiego zabić.

Gdy wydostał się spod poległego, zrozumiał, że porucznik zginął od strzału prosto w twarz. Stracił zuchwę i połowę nosa, z pękniętej czaszki wylewał się szarawy mózg.

– Wstawaj, kapitanie.

Głos zabrzmiał bardzo cicho, ale Shapcott i tak go dosłyszał, chociaż wkoło wrzała już bitwa. Setki postaci w czarnych pancerzach biegły ku dymiącej wyrwie w murze więzienia. Nad nimi przemykały śmigłowce, rakiety i karabiny maszynowe zalewały przeciwnika ogniem. Tu i ówdzie trafiali na opór samotnego strażnika czy obsady stanowiska karabinu maszynowego, która przeżyła jakoś pierwszy grad rakiet, jednak biegli dalej, nie zważając na serie, granaty czy pociski z moździerzy. Shapcott widział, że czasem któryś upadł, zabity albo ranny, gdy pocisk albo odłamek trafił w ciało zamiast pancerza.

Kapitan też ruszył przed siebie, chociaż wszystko w nim krzyczało, aby przytulić się do ziemi, schować w jakąś dziurę i zostać tam jak najdłużej.

Wyłączył wyświetlacz gogli. Zbyt go rozpraszał. Zostawił jednak podczerwień. Trzech Japończyków pojawiło się po prawej stronie. Krzyczeli coś niezrozumiałego.

Przejechał po nich serią. Ciała eksplodowały fontanną krwawych wnętrzności.

Słodki Jezu, pomyślał.

– Dalej, naprzód! – krzyknął mu ktoś do ucha aż nazbyt donośnie.

Coś go uderzyło. Zatoczył się, ale nie upadł, chociaż miał wrażenie, że oberwał od zawodnika wagi ciężkiej.

W podczerwieni widział całkiem dobrze jasne ślady przelatujących obok pocisków. Erupcje ognia znaczyły ostatnie miejsca oporu.

Zdyszany dotarł do wyrwy w murze. Czołg, który ją uczynił, demolował właśnie odległy o jakieś sto jardów kamienny budynek. W rumowisku błyskały nieliczne ogniki wystrzałów. Czołgowa armata huknęła dwa razy. Podmuch zakołysał Shapcottem. Budynek zawalił się ostatecznie i nikt już stamtąd nie strzelał.

Oddział Hannoną przedzierał się przez ten chaos z wielką pewnością siebie. Jego ludzie prawie

wcale się nie zatrzymywali, zupełnie jakby znali teren lepiej niż Japończycy. Shapcott nie nadążał za nimi. W końcu zwolnił, dając sobie wreszcie czas na rozejrzenie się po okolicy.

Znajdował się na wielkim dziedzińcu. Wkoło wyrastały ściany więzienia. Wszędzie widać było pożary, gdziekolwiek spojrzeł, leżały ciała Japończyków. Były poszarpane i zniekształcone niczym po napaści stada dzikich bestii.

Nagle poczuł, że jest nieziemsko spragniony, jakby dwa dni wędrował przez pustynię. W ustach mu zaschło, język niemalże skołowaciał. Obszukał kieszenie i znalazł butelkę wody. Gdy przytknął ją do ust, ujrzał kątem oka jakiś ruch. Ktoś do niego machał.

Obrócił się i zobaczył kobietę. Była chuda, brudna, potargana i na dodatek siedziała w klatce. Ograniczone pole widzenia nie pozwoliło mu dostrzec jej wcześniej. Za nią były jeszcze inne kobiety; teraz wszystkie machały. Podchodząc, opuścił lufę broni ku ziemi, ale jej nie zabezpieczył.

– Tutaj!

– Potrzebujemy pomocy!

– I lekarza!

Przyspieszył kroku. Bitwa zdawała się zamierać. Czyżby już było po wszystkim?

– Kim jesteście? – zawołała kobieta. – Przybyliście, aby nas uratować?

Gdy był już blisko, zaczęły się przed nim cofać. Niektóre wyglądały na mocno przerażone. Nagle zdał sobie sprawę, że w ich oczach musi wyglądać co najmniej dziwnie. Podobnie jak i pozostali, którzy zjawili się tu i zaczęli zabijać wszystkich próbujących stawiać opór. Ostrożnie odpiął zatrzaski hełmu i zdjął go z głowy. Gogle odsunął na czoło i ze zdumieniem odkrył, że dzięki księżycowi jest całkiem jasno.

– Kapitan Thomas Shapcott, ma'am – powiedział. – Piechota Morska Stanów Zjednoczonych.

41

U brzegów Luzonu, USS Hillary Clinton,

21 czerwca 1942, godzina 00.13

Dan Black nie wierzył własnym oczom.

Stał przy kontuarze w głównej zbrojowni, a jego dziewczyna (Julia pozwoliła mu się tak nazywać) zachowywała się jak postać z zupełnie innego filmu.

– Wszystkie formalności załatwione, pani Duffy? – spytał bosman.

– Do czego ci to, u diabła, potrzebne? – warknął Black. – Przecież nawet nie masz tu roboty.

Był zmęczony i zdenerwowany. Dwa razy się o to posprzecjali. Teraz Julia ostrzegła go spojrzeniem, aby nie kusił losu.

– Gdybym oberwała, będą mogli wykorzystać moje organy do transplantacji – powiedziała przez zaciśnięte usta. – To jeden podpis. Gdybym doznała uszkodzenia mózgu i zmieniła się w warzywo, mają moją zgodę na odłączenie od aparatury i wykorzystanie moich organów. Jeśli oberwę, ale przeżyję, tracąc nerkę, oko czy kawałek kręgosłupa, będą potrzebowali autoryzowanego dostępu do moich danych genetycznych, które zdeponowałam, gdy weszłam na pokład w Darwin. To pozwoli im wyhodować dla mnie odpowiednią tkankę albo narząd. Jak pan zatem widzi, komandorze Black, pewne formalności są niezbędne.

Podawała bosmanowi Tooheyowi niewielki, szary, plastikowy prostokąt. Został on przesunięty pod maszynką, którą Dan pierwszy raz widział na oczy. Musiała jednak coś odczytać, bo ekran nagle wypełnił się danymi.

– Proszę, ale znakomitość tu mamy! – uśmiechnął się bosman, pokryty tatuażami wilk morski, który jak raz pasowałby do załogi *Enterprise'a*. – Ładny zestaw. Zgoda na lądowanie razem z pierwszym rzutem piechoty. Zgoda na obecność w strefie walk. Dostęp do danych taktycznych do poziomu zero trzy włącznie.

– Dziękuję, szefie – zagruchała Duffy, uśmiechając się szeroko. – Czekaj przyjdzie pocztą.

To zirytowało Blacka jeszcze bardziej. Julia była przecież tak wyczulona na sposób, w jaki on zwracał się do kobiet z Wielonarodowych Sił, chociaż i tak był aniołem w porównaniu z wieloma współczesnymi. A teraz flirtowała swobodnie, jakby była zwykłą dziewczyną z baru, i to w jego obecności!

Nie odzywał się jednak, nie wiedząc, czy utrzyma nerwy na wodzy.

Zbrojownia była pełna ludzi. Black nie miał pojęcia, z jakich oddziałów pochodzą, nie rozumiał nawet, po co właściwie umieszczono podobny przybytek na lotniskowcu. Ale nawet jeśli wszyscy inni mieli swoje powody, aby wynosić stąd całe góry sprzętu, nie powinno dotyczyć to żadnej dziennikarki, nawet jeśli uważała się za nie wiadomo kogo.

Black podkręcał się coraz bardziej, a kolejka żołnierzy przesuwała się powoli. Na kontuarze lądowały najdziwniejsze sztuki broni. Bosman przebiegł spojrzeniem tekst na dole ekranu, chrząknął i pokiwał głową, jakby właśnie znalazł wspaniałą ofertę kupna używanego samochodu.

– Widzę, że byłeś ze Sto Pierwszą w Jemenie – powiedział do Julii w spokojniejszej chwili. – Mój brat tam służył. Jezu, ale to był cyrk.

– Jeden z clownów postrzelił mnie w tyłek.

– Dobrze to określiłaś.

Black był już pewien, że Julia ma w tym wszystkim jakiś cel. Bosmanowi Tooheyowi chyba to nie przeszkadzało.

– Dobra, pani Duffy. Bierze pani broń?

Pokiwała głową.

– W Darwin wniosłam na pokład moją własną. Powinniście ją gdzieś tu mieć. Numer seryjny na karcie. Brooks Brothers, model T9 z węglowo-tytanowym splotem, rozmiar 10.

– Wygląda mi pani raczej na ósemkę.

– Bardzo pan uprzejmy, szefie.

Dan uniósł oczy do sufitu.

Zauważył, że jeden z kolegów Julii stanął przy kontuarze kilka stanowisk dalej. Nie chciał niczego poza kamizelką przeciwodłamkową i hełmem.

– Bierze pani broń osobistą?

– Czy niedźwiedzie srają w lesie?

– Słyszałem różne plotki na ten temat. OK, mogę pani dać uproszczony AR-15, ale bez granatnika.

– A może G4?

– Przykro mi, ale nie ma pani uprawnień.

Julia przygryzła wargę. Dan był bliski wybuchu. Według niego było to czyste szaleństwo. Co z niej za reporterka, że chce desantować się razem z marines, na dodatek z bronią i w kombinezonie pancernym?

W pierwszym rzędzie była bezrobotną reporterką.

– A ma pan może tutaj MP5, bosmanie Toohey? Nie było ich jeszcze, gdy zaczynałam pracę, ale mają tę miłą cechę, że pozwalają szybko zakończyć każde niechciane spotkanie.

– Owszem, mam.

Toohey stuknął parę razy długopisem w ekran flexipadu.

– Ile magazynków?

– Starczą cztery. Połączone w pary. Będzie dość, chyba że wszystkim nam czegoś zabraknie. Chętnie z pociskami dum-dum, jeśli macie.

Stuknięty ponownie flexipad pisał potwierdzająco.

– Broń boczna?

– Mac 10.

Bip.

– Nóż?

– Mam własny. Ale przydałby mi się pusty hełm. Biorę minikamerę Panasonic 2300. Pasuje idealnie do wgłębienia po module bojowym. Bip.

– Dobra. Proszę chwilę poczekać, aż wszystko pozbieram.

Toohey zniknął w magazynie.

– Słucham, Dan – powiedziała Duffy. – Widzę, że dym idzie ci uszami.

Black z trudnością się opanował.

– Nie rozumiem tylko, po co to wszystko – powiedział przez zaciśnięte zęby.

Julia wzruszyła ramionami.

– Nie musisz. Wykonuję swoją robotę i tyle.

– Nie masz roboty. Sama przypominasz mi o tym tysiąc razy dziennie.

– Owszem – odrzekła, odsuwając się od porysowanego kontuaru z dziwnym błyskiem w oku. – Nie mam pracy. Nic tu nie mam. Zupełnie nic! Poza jednym. Umiem poruszać się w strefie ognia tak, aby mi dupy nie odstrzelili.

Ludzie zaczęli się na nich oglądać.

– Nie mam pieprzonej pracy. I niczego, co miałam. Utknęłam w niewłaściwym stuleciu i na dodatek Prozac mi się skończył. Daleko mi do tego, aby czuć się dobrze.

– Nie rozumiem, dlaczego Kolhammer pozwolił ci iść z nimi – warknął Dan, gdy trochę mu przeszło.

Duffy parsknęła.

– Bo wie, że będzie bardzo potrzebował jakiegoś pozytywnego akcentu w całej tej katastrofie.

* * *

Kolhammer, podobnie jak Halabi, zagonił gości do nieczynnej obecnie sekcji broni satelitarnej. Spruance, Halsey i jeszcze jacyś współcześni, których nie znał, rozmawiali z ożywieniem z Thieu, który próbował im wyjaśnić, jak cała akcja została zorganizowana.

Nie przejęli się brakiem bezpośredniej łączności satelitarnej z oddziałami w Singapurze i okrętem podwodnym pod Hashirajimą. Dla nich już to, co się działo, zakrawało na magię. Operacja złożona z trzech jednoczesnych, skoordynowanych uderzeń na trzy odległe od siebie cele sama w sobie była nowością. A do tego dochodziła jeszcze możliwość niemal natychmiastowego uzyskania obrazu z pola walki. Każdy z ekranów w olbrzymim, chłodnym i mrocznym centrum bojowym lotniskowca pokazywał coś interesującego. Czołgi przełamujące obronę artyleryjską Japończyków w Singapurze. Komandosów w kombinezonach pancernych desantujących się ze śmigłowców. Odrzutowce startujące z katapulty *Hillary Clinton*. Opancerzony poduszkowiec pokonujący fale w drodze do brzegu Luzonu. Marines z zestawami plecowymi lądujących pionowo na pokładzie *Kandahara*. Pociski spadające na flotę Yamamoty w Hashirajimie.

Nawet fakt, że większość Połączonej Floty gdzieś zniknęła, zdawał się ich nie martwić.

Wszystko to musiało robić wrażenie, ale Kolhammer wiedział, że stwarzało równocześnie fałszywe poczucie bezpieczeństwa. Nawet ta technika miała swoje ograniczenia. Przełamanie japońskiej obrony na Luzonie pochłaniało przerażające ilości rakiet woda-ziemia. Zazdrościł Halabi jej singapurskiej misji. Owszem, też nie miała łatwo, ale za to wszystkie cele były tam wyraźnie pogrupowane. On musiał ostrzelać z pół tuzina miejsc na przestrzeni ponad pięciuset kilometrów kwadratowych i to przy braku pełnego rozpoznania, które gwarantowałyby, że zniszczył wszystkie bazy.

Podszedł do gości. Spruance ujrzał go pierwszy i pokiwał głową.

– Chyba dobrze idzie, admirale. Może z wyjątkiem Hashirajimy, ale nawet tam jest nieźle, skoro udało się zatopić dwa lotniskowce.

– Dziękuję, admirale – powiedział Kolhammer. – Uspokoję się, gdy skończymy i tutaj. Jones będzie miał pełne ręce roboty z równoczesnym atakiem na Manilę i Cabanatuan.

– Dwie minuty, sir – zawołał operator systemów uzbrojenia. – Przekazuję obraz ze zwiadowców na główny ekran.

Trzyczęściowy główny ekran pokazywał obrazy przesłane przez Willet i Halabi. Na moment zrobił się całkiem niebieski, po czym pojawił się na nim bezpośredni przekaz z bezzałogowych samolotów zwiadowczych krążących nad Luzonem.

Najmniejsze z trzech okien ukazywało centrum Cabanatuanu. Pora była późna, miasto pogrążone we śnie. Można by pomyśleć, że to zwykłe zdjęcie, tyle że wierzchołki drzew kołysały się, targane wiatrem. Jakiś wielki, biały budynek został nagle opisany danymi taktycznymi z zegarem odliczającym czas.

– Co to za miejsce? – spytał Spruance.

– Sztab okręgowy dwóch dywizji – odparł Kolhammer. – Poza tym siedziba okupacyjnej administracji, zatem powinni tam być wszyscy. Nasz zwiad węszył na miejscu już od prawie tygodnia.

– A pozostałe?

– Jednostki garnizonowe korzystają z dawnych koszar armii filipińskiej.

Odliczanie doszło do zera.

Coś błysnęło na ekranie i cały kwartał z zaznaczonym budynkiem zniknął w erupcji ognia. Nawet kamery zwiadowcy zostały na chwilę oślepienie i ekran pokrył się bielą.

Dwa ciężkie pociski mierzyły w główny obóz wojskowy leżący szesnaście kilometrów od obozu jenieckiego. Poruszały się stosunkowo wolno, z szybkością ledwie trzystu węzłów, za to tuż nad wierzchołkami drzew.

Kolhammer i Spruance patrzyli w milczeniu. Na ekranie ukazało się mniejsze okno, z widokiem na strażników, którzy oddali kilka strzałów na oślep. Z baraków i namiotów wysypały się setki zaalarmowanych żołnierzy.

Pociski eksplodowały i cały obóz, łącznie jakieś piętnaście tysięcy ludzi, zniknął w kolosalnej burzy ogniowej.

– Słodki Jezu – westchnął admirał Halsey. Uprzedzono go, na czym polega atak z użyciem broni powietrzno-paliwowej, ale Kolhammer świetnie wiedział, że teoria to jedno, a ujrzeć coś takiego na własne oczy, szczególnie po raz pierwszy, to co innego. Tuż przed eksplozją zwiadowca zmienił powiększenie obrazu, tak że teraz widzieli obóz z wysokości sześciu tysięcy metrów. Nie było wątpliwości, że nikt tam nie przeżył. Poruszająca się z prędkością ponaddźwiękową fala uderzeniowa rozchodziła się kuliście po okolicy. Wrywała drzewa i burzyła wszystko w promieniu ośmiu kilometrów.

– Nasi ludzie nie ucierpią? – spytał Halsey.

– Fala rozproszy się, nim do nich dojdzie – odparł Kolhammer.

– To lepsze niż pokaz fajerwerków na odpuście – powiedział Halsey do Spruance’a.

– To dopiero połowa roboty, Bill.

– Ale kurewsko ważna połowa.

* * *

Wycie wielkich silników turbowentylatorowych poduszkowca zagłuszało nawet jazgot działek śmigłowców Sea Comanche, które osłaniały lądowanie. Morze Południowochińskie było spokojne i nie utrudniało żeglugi ku wylotowi Zatoki Manilskiej.

Pułkownik Jones siedział w małej kabinie, która zapewniała całkiem dobrą widoczność. Bez trudu odszukał spojrzeniem strzegącą przejścia twierdzę Corregidor. Wyróżniała się wyraźnie spośród pozostałych wysepek. Sześć głowic plazmowych wbiło się właśnie głęboko w betonowe umocnienia. Ich eksplozja rozrzuciła tony gruzu, osmałiła skały i zabiła tysiące ludzi z załogi.

– Cholera. Założę się, że wybuch Krakatau nie był nawet w połowie tak malowniczy – powiedział bosman prowadzący poduszkowiec.

Od twierdzy dzieliło ich jeszcze piętnaście kilometrów, ale złocista pożoga zdawała się obejmować połowę nieba.

– Nie przyjmuję pańskiego zakładu, bosmanie Stavros – powiedział Jones.

Wysepka zmieniła się w miniaturę supernowej. Nad poduszkowcem przeleciały z wyciem odrzutowce zamierzające zaatakować japońskie jednostki stojące na kotwicy w zatoce. Jones ledwie zauważał wysiłki małej załogi, która starała się utrzymać kurs bez pomocy GPS-u; Co kilka minut podawali sobie korekty.

– Za pięć minut opuszczamy rampę, szefie – krzyknęła dziewczyna z załogi.

– Dzięki, Dolly. Lepiej będzie wsiąść, pułkowniku – zawołał Stavros. – I powodzenia, sir.

Jones klepnął bosmana w ramię, podziękował za podwiezienie i pospieszył na dół, gdzie czekał jego LAV. Tutaj hałas był równie dotkliwy. Wprawdzie osobie postronnej poduszkowiec mógł się wydać potwornie wielki, ale nie był jednostką bojową. Miał za zadanie dostarczyć na ląd dwa plutony kompanii A wraz z półszwadronem lekkich transportowców piechoty.

Po drodze Jones sprawdził przypięty rzepami do przedramienia flexipad. Pozostałe jednostki podążały we właściwym ordynku za prowadzącą. Pułkownik włożył hełm i podłączył gogle do batalionowej sieci. W polu jego widzenia pojawiły się zaraz kolumny danych. Po latach spędzonych w walce i tysiącach godzin ćwiczeń było to dlań coś całkiem naturalnego. Odruchowo sprawdził kondycję poszczególnych oddziałów i drogę, jaka pozostała im do plaży, oraz stan japońskiej obrony. Osobne okienka przekazywały mu obraz z kamer zamontowanych na modułach uzbrojenia śmigłowców Comanche oraz widok z maszyn zwiadowczych krążących nad kilkunastoma celami w Manili. Wszystkie już płonęły i co jakiś czas targały nimi wtórne eksplozje, gdy ogień docierał do składów paliwa albo magazynów amunicyjnych.

Jones zastanowił się, ilu ludzi już zginęło.

– Pułkowniku, sir?

Zatrzymał się tuż przed burtą pojazdu.

– O co chodzi, sierżancie?

Odziany w pancerny strój Gunny Harrison w zasadzie niczym nie odróżniał się od innych członków oddziału, ale Jones sporo już przeżył ze swoimi ludźmi i nawet gdyby sierżant się nie odezwał, i tak zostałby rozpoznany.

– Mamy kłopot z pułkownikiem, sir. Tym obserwatorem.

– Maloneyem?

– Tak. Nie chce się bawić z innymi dziećmi.

* * *

Julia Duffy po raz dziesiąty sprawdziła kieszenie żelowe pancerza. Co rusz postukiwała stopami w przeciwpoślizgową podłogę pojazdu i unosiła dłonie do ust, aby zacząć obgryzać paznokcie, ale ciężkie czarne rękawice na to nie pozwalały. Znowu zakłęła pod nosem.

– Wszystko gra, pani Duffy?

Tabliczka na piersi głosiła, że rosły żołnierz nazywa się Bukowski. Uprząż naramienna znaczyła, że został wyznaczony do noszenia ciężkiego uzbrojenia. Na pewno się nadaje, pomyślała Duffy. Nawet bez hełmu musiał pochylać głowę, aby nie uderzyć w dach.

– Prozac mi wyszedł i jestem trochę nerwowa – powiedziała. – Tylko albo aż tyle.

– Mam gumę Zoloft, jeśli chcesz – powiedział Bukowski.

– Jasne!

Gdyby nie pasy, Julia zerwałaby się z miejsca. Bukowski wyłowił z kieszeni pasek gumy i wyciągnął rękę przez całą szerokość pojazdu.

– Dzięki – powiedziała Duffy z prawdziwą wdzięcznością.

– Czy to guma? Mógłbym też dostać?

Julia poznała ten głos. Należał do kapitana Svensdena, jednego z dwóch współczesnych obserwatorów, którzy się z nimi zabrali. Wydawał się całkiem sympatyczny; z kolei jego szef, pułkownik Maloney, był kompletnym dupkiem. Svensden siedział naprzeciwko, dwa miejsca bliżej wyjścia niż Duffy. Maloney szczęśliwie został po przeciwnej stronie pojazdu, razem z podporucznikiem Chenem, dowódcą plutonu.

Nawet w słabym czerwonym oświetleniu obaj współcześni wyróżniali się. Wprawdzie nosili takie same jak reszta kombinezony, ale nie czuli się w nich swobodnie. Svensden nieustannie manipulował przy zapięciach, Maloney jako jedyny poza Bukowskim siedział bez hełmu. Twierdził, że robi mu się niedobrze od tych wszystkich obrazków. U jego stóp rozlewała się kałuża wymiocin. Klimatyzacja chodziła, ale póki co odczuwało się kwaśny zapach.

Bukowski miał już podać gumę Svensdenowi, gdy Julia uznała za stosowne się wtrącić. Włączyła mikrofon i weszła do sieci.

– Lepiej nie, kapitanie. To nie jest miętowy Wrigley. To narkotyk. Pański organizm nie jest do niego przyzwyczajony i może zareagować atakiem przemożnej senności. Oni już przywykli.

– Co jest?

Duffy zakłęta pod nosem. To był Maloney.

– Czy ktoś tu pije? Dobrze słyszałem, że na pokładzie jest kobieta? Tylko tego nam było trzeba.

Maloney zaczął wyplątywać się z sieci bezpieczeństwa. Chen wyciągnął rękę i wcisnął dłoń w jego pierś, nakazując mu usiąść z powrotem.

– Łapy precz ode mnie, Chinolu! – wrzasnął pułkownik.

Wszyscy w pojeździe aż podskoczyli. Niektórzy unieśli odruchowo dłonie do uszu. Maloney nie pamiętał, że jego mikrofon wzmacnia każdy szept i przekazuje go wprost do sieci.

– Pierdolca dostał – mruknęła Duffy.

– Co pani powiedziała? Co ta kobieta o mnie powiedziała? – zawył Maloney.

Paru marines zdjęło hełmy. Jeden sięgnął ręką do konsoli i odłączył Maloneya od sieci.

– Zamknij się, do kurwy nędzy – wycedził.

* * *

Gunny Harrison otworzył właz. To, co Jones ujrzał we wnętrzu transportowca, naprawdę go zaskoczyło. Niemal wszyscy zdjęli hełmy i kłócili się zawzięcie. I jedno, i drugie było wbrew regulaminowi. Pułkownik Maloney stał przed dziennikarką „Timesa” z wyciągniętym oskarżycielsko palcem. Dziewczyna żuła gumę balonową, którą co chwilę nadymała. I śmiała się serdecznie.

– Co tu się, kurwa, dzieje? – krzyknął Jones na tyle głośno, aby jego głos przebił się poprzez huk silników i jazgot panujący w kabinie. LAV stał dość blisko turbin gazowych Avco Lycoming i

śmigieł napędowych. Pułkownik zaczerpnął głęboko cuchnącego spalinami i ludzkimi wyziewami powietrza i zużytkował je w sposób, który jego dawny instruktor musztry pochwaliłby z całego serca.

– Pułkowniku Maloney. Proszę posadzić dupę, włożyć hełm i zamknąć jadaczkę. Jest pan tutaj tylko jako obserwator. Nikt więcej. Za kilka minut wylądujemy na plaży i ludzie zaczną umierać. Proszę nie dokładać mi kłopotów. Jeśli pan nie posłucha, ktoś na tym poduszkowcu zginie jeszcze przed lądowaniem i to będzie pan. Nie pozwolę, aby naraził pan tę misję na jakiekolwiek dodatkowe niebezpieczeństwo. Jeśli spróbuje pan tego raz jeszcze, zastrzelę pana!

Maloneyowi szczęka opadła, zupełnie jakby ktoś przyłapał go bez spodni. Jones jednak mówił śmiertelnie poważnie i pułkownik musiał to wyczuć, bo rzucił kobiecie jedno pełne złości spojrzenie i wrócił na miejsce.

* * *

Obok bezpośredniej transmisji z Manili na ekranie w centrum bojowym *Hillary Clinton* pojawiła się mapa sytuacyjna ukazująca wszystkie cele i zdążające ku nim jednostki. Obok każdego obiektu widniał cały szereg symboli. Admirał Spruance nie miał pojęcia, co który może znaczyć, ale dobrze widział płonące w zatoce japońskie okręty i kolejne pożary, które rozszalały się w mieście.

– Zdumiewające, nie sądzisz? – spytał admirał Halsey siedzący na nieczynnym stanowisku obok.

– Co? Całe to kino czy to, co pokazują?

– Wszystko, cholera. Patrzyłem uważnie, jak atakowali pozycje Japońców w Manili. Jakby igłą się wkłuwali. Porównaj to chociażby z blitzem, który Niemcy urządzili w zeszłym roku Londynowi.

– Ale Szwaby chciały zburzyć miasto – zauważył Spruance.

– Też prawda.

Halsey pochylił się w fotelu. Lekarstwa, które dostał, skutecznie uporały się z dręczącym go półpaścem, co od razu poprawiło admirałowi humor. Spruance znał go jednak na tyle dobrze, aby poznać, że coś nadal jest nie tak.

– O co chodzi, Byku? Nie wyglądasz na całkiem zadowolonego. Japońce giną jak muchy. Myślałem, że to cię ucieszy.

Halsey rozejrzał się po zatłoczonym centrum. Chwilowo chyba nikt się nimi nie interesował. Kolhammer i Judge byli zajęci po drugiej stronie pomieszczenia, gdzie koordynowali jednoczesne uderzenia na Manilę i obozy w Cabanatuanie. Porucznik Thieu wyszedł, załatwiając coś na prośbę paru reporterów, którzy towarzyszyli piechocie morskiej. To ostatnie mocno zdumiało Spruance'a. Przywykł do obecności korespondentów wojennych, którzy sami potrafili zadbać o siebie na froncie,

ale nie widział jeszcze nikogo aż tak mocno zaangażowanego w robotę reporterską. W zasadzie nie byli to już dziennikarze, ale regularni członkowie oddziałów.

– A zastanawiam się – powiedział cicho Halsey. – Zastanawiam się, jak najlepiej można ich wykorzystać. No bo popatrz tylko, co oni robią. Wyzwalają obóz jeniecki. Fajnie, ale przecież ich zapasy rakiet i czego tam jeszcze są ograniczone, prawda?

Spruance nie odpowiedział od razu. Wpatrzył się w przelatujące nad krańcami miasta śmigłowce. To były te większe, co znaczyło, że niosły desant. Mniejsze i szybsze, mocno uzbrojone maszyny, krążyły wokół niczym wściekłe osy i wymiatały rakietami oraz ogniem z działek każdy ślad oporu. Zmierzały chyba ku bocznicom kolejowym.

– Nie wiem, Bill – odparł w końcu. – Widziałeś, co stało się z naszymi w tych obozach. Jak potraktowano kobiety. Nie wiem, co byłoby najlepsze. Widzę jednak, że ci ludzie mają obsesję na punkcie ratowania swoich. Poświęcą pięćdziesięciu, aby wyciągnąć jednego. Nie sądzę, abyśmy zdołali ich powstrzymać, nawet gdybyśmy chcieli.

Porucznik Thieu powrócił, i klucząc między stanowiskami, ruszył w ich stronę. Spruance spojrział na ekran. Super Harriery przelatywały pędem przez kadr, aby nagle zawisnąć w powietrzu i poczęstować jakiś cel strumieniem rakiet.

Halsey przysunął usta do ucha Spruance'a. Thieu był już bardzo blisko.

– Jedna sprawa, Ray – powiedział. – Przecież my nie jesteśmy ich ludźmi, prawda?

* * *

Jazgot działka transportera urwał się nagle i rampa opadła. Julia wypluła przeżutą gumę i sprawdziła, czy kamera jest włączona. Broń przełączyła na serie po trzy pociski i położyła palce na bezpieczniku, aby przełączyć go, gdy tylko wyjdą z pojazdu. Kiwnęła głową Bukowskiemu. Postanowiła już, że skupi się w relacji na losach tego jednego żołnierza. Szeregowy nie miał nic przeciwko. Chciał wysłać nagranie swojemu dziadkowi, który zdobył, a raczej miał zdobyć, Brązową Gwiazdę w Korei.

Jej gogle bojowe, najlepszy model produkcji Ray-Ban Warpigs, dostosowały się automatycznie do oświetlenia, gdy blask eksplozji oświetlił ich twarze. Duffy wzdrygnęła się, widząc smugową serię omiatającą rampę pojazdu. Złapała się kurczowo poręczy, gdy Bukowski wpadł na nią.

– W porządku?

– Gra, ma'am. Z przodu ktoś oberwał.

Dwa stłoczone szeregi marines ruszyły w stronę rampy. Duffy klepnęła Bukowskiego w plecy, aby

niecو się odsunął. Prąd poniósł ją do wyjścia. Tam zobaczyła ciało pułkownika Stokera Maloneya. Odłamek uciął mu równo połowę głowy. Jedna noga była podwinięta, druga zahaczyła o krawędź rampy i sterczała, mierząc w niebo. Oczywiście Maloney nie miał na sobie hełmu.

– Dupek – mruknęła Duffy.

– Mówiłaś coś? – spytał Bukowski.

– Nie myślałam o tobie, tylko o nim.

– Aha. Racja.

Szeregowy obrócił się nagle i wypuścił z biodra serię w okno po przeciwnej stronie ulicy. Julia zamarła na moment. Oddział prowadził szturm w poprzek szerokiego bulwaru. Jedna grupa zmierzała ku kolumnadzie przy wejściu do wielkiego budynku w kolonialnym stylu. Co jakiś czas strzelali do okien na piętrze. Nikt, poza Bukowskim, nie miał broni ustawionej na ogień ciągły. Trzypociskowe serie tungestenowych pocisków penetrujących zmieniały kawałki muru w proch, rozbiły drewniane okiennice i tłukły szyby.

Z bramy dwa budynki dalej ostrzelano ich pociskami smugowymi. Duffy ujrzała, jak jeden z marines zachwiał się i padł na kolana. Dwóch innych zaraz go podniosło i odprowadziło na tyły.

Bukowski znowu się obrócił. Zamontowany na stelażu karabin obracał się wraz z nim. Duffy dostrzegła, że lufa uniosła się minimalnie. Seria dwudziestomilimetrovych pocisków przebiła się przez worki z piaskiem ułożone na najwyższym piętrze neoklasycznego pałacyku stojącego sto jardów dalej. Duffy wycelowała kamerę w okno, które ostrzelał marine. Z worków sypał się piasek, gdzieś w głębi pomieszczenia pokazał się dym. Na jednym z worków drgała oderwana ludzka ręka.

Kule przeleciały niebezpiecznie blisko dziennikarki. Zbroja, którą nosiła, była najlepszym modelem, jaki można było kupić na wolnym rynku. Była lepsza nawet od standardowych kombinezonów Marine Corps. Duffy jednak i tak czuła się nieswojo. Wiedziała, że zawsze może się coś zdarzyć. Odbezpieczyła MP5 i szybko omiotła spojrzeniem ulicę przed sobą. Ujęcie nie było może najlepsze, ale miała zwyczaj edytować materiał przed dodaniem komentarza.

Wiedziała z grubsza, co mają atakować i jaka jest sytuacja. Ich celem była kwatera główna japońskiej dywizji. Zostali wyładowani w chwili, gdy większość umocnień i gniazd oporu przeciwnika legła już w gruzach. Poza tym, tak jak inni, wiedziała tyle, ile sama zobaczyła i zdołała sfilmować.

Sporadycznie ostrzeliwano ich jeszcze z broni ręcznej, jednak kryjący się w okolicznych domach przeciwnik zdawał się nie mieć żadnego planu obrony. Czasem któryś marine potknął się, trafiony serią, ale aktywne pancerze pochłaniały energię kinetyczną pocisków. Osobiste doświadczenie podpowiadało jednak Duffy, że człowiek i tak czuje się w takim wypadku jak po nokaucie. Parę razy słyszała też w słuchawkach krzyki bólu, gdy kula trafiała kogoś we fragment ciała, który nie był należycie osłonięty.

Krażące nad nimi śmigłowce rozwalaly metodycznie schrony strzeleckie na rogach ulic, pakowały rakiety we wszystkie podejrzane okna i masakrowaly grupki japońskich żołnierzy, które próbowały przemknąć przez otwarty teren. Nie było tak źle. W Damaszku czuła się o wiele gorzej. Tam miała wrażenie, że całe miasto próbuje ją zabić.

Bukowski ruszył dalej. Julia przyspieszyła, aby do niego dołączyć. Mężczyzna przeskoczył ciało japońskiego żołnierza i wbiegł na schody przed wielkim białym budynkiem. Duffy chciała zrobić to samo, gdy żołnierz nagle zmartwychwstał, uniósł się na jedno kolano i wymierzył osobiście długą strzelbę w tył głowy marine.

– Bukowski, za tobą! – krzyknęła Julia.

Marine spróbował wykonać unik, ale nie zdążył zejść z linii ognia. Duffy ujrzała, jak na jego hełmie pojawia się szczerba.

Sama też była rozpędzona i nie miała szansy wyhamować przed schodami, nie miała też czasu na uniesienie broni, obróciła się więc bokiem, aby uderzyć klęczącego przeciwnika, jak tylko mogła najsilniej. Odrzuciło go na dwa metry i uderzył w jeden ze stopni. Duffy spróbowała złapać równowagę, ale udało się jej dopiero za drugim razem, gdy stała praktycznie już na Japończyku, z jedną stopą na jego udzie. Wbiła kolano w twarz żołnierza. Jego głowa odskoczyła, dając dziennikarce chwilę potrzebną na wymierzenie MP5 i naciśnięcie spustu. Nie słyszała nawet wystrzałów, ale klatka piersiowa tamtego nagle jakby zniknęła i krew trysnęła na gogle. Równocześnie coś mocno uderzyło ją w udo. Zapewne rykoszet, pomyślała, i nagle ziemia wybiegła jej na spotkanie. Jeszcze silniejszy ból eksplodował w ramieniu, gdy padając na chodnik, złamała obojczyk.

– Sukinsyn!

– Żyje pani, pani Duffy? – spytał Bukowski, ciągnąc ją za zdrową rękę. – Dzięki, jestem pani coś winien.

– Powiedzmy, że to podziękowanie za gumę – powiedziała. – Jak głowa?

Marine poszukał miejsca, gdzie kula odbiła się od hełmu. Duffy przełączyła obraz na podczerwień. Szrama jarzyła się lekką czerwienią.

– Obwody w porządku – stwierdził Bukowski. – Jak ramię?

Chciała odpowiedzieć, gdy nagle na piętrze budynku rozpętała się kanonada. Po chwili eksplodowały tam jeszcze dwa granaty.

– Piętro czyste – odezwał się porucznik Chen. – Nie ma jeńców.

Przekaz nie szedł na żywo, co czyniło sprawę jeszcze trudniejszą. Piętnaście minut opóźnienia oznaczało, że wszystko mogło się już zdarzyć, a sądząc po natężeniu ognia na ulicach Manili, działa się tam naprawdę sporo. Komandor Black najchętniej uciekłby sprzed ekranu, aby nie widzieć tego wszystkiego, co groziło jego kobiecie. Uciekłby stąd, wskoczył do śmigłowca i poleciał wydostać ją stamtąd.

Rosanna posadziła go przed ekranem, na którym widział wyłącznie obraz działań zespołu, do którego Julia została przydzielona. Natoli siedziała obok, stukając nieustannie w klawiaturę, aby od razu opracować wstępnie materiał. Część zapisywała osobno do późniejszej edycji, niektóre fragmenty zaznaczała jako szczególnie ważne, tu i ówdzie dodawała zaczątki komentarza. Nie mając na razie odbiorcy dla własnego materiału, sama zaproponowała, że pomoże Julii jako producent. Black był pod wrażeniem zapału, z jakim wzięła się do pracy. Była równie uważna jak Wielkie Oko admirała Kolhammera. I całkowicie pochłonięta tym, co robiła. Dan próbował zagadywać ją kilka razy, zwłaszcza gdy widział Julię na ekranie.

– Zamknij się na razie, Dan – usłyszał. – Później porozmawiamy.

Gdy jej oddział wypadł z transportera na bulwar, Danowi żołądek podszedł do gardła. Widział wyraźnie, jak pułkownik Maloney stracił część głowy. Serce biło mu mocniej niż podczas bitwy pod Midway. Czuł bezsilność i było mu wstyd, że siedzi tu bezpieczny, podczas gdy Julia szturmuje pozycje wroga. Gdy ujrzał, jak zaatakowała i zastrzeliła Japończyka, omal nie zwymiotował.

Natoli zakłęła pod nosem i tak długo uderzała w klawisze, aż wykadrowała w osobnym oknie ujęcie z kamery szeregowca Bukowskiego.

Dan ledwie poznał tę skąpaną w cudzej krwi istotę. Niemniej to na pewno była jego Julia.

Cieszyło go, że umiał jakoś zaadaptować się do nowych warunków po przybyciu zespołu Kolhammera. Przeszedł do porządku dziennego nad czymś, co umykało wyobraźni, i dostosował się do wymogów stawianych przez tych dziwnych ludzi. Umiał z nimi współpracować. Jednak widok kochanki walczącej na śmierć i życie i jej przyjaciółki, która na chłodno wszystko rejestrowała, to było już za wiele.

Kim, u diabła, są ci ludzie?

Obóz nr 5, Cabanatuan, 21 czerwca 1942, godzina 02.19

– Jak stoimy, Amando? – spytał porucznik Harford.

– Paliwa na trzy godziny, cel za dziesięć minut – głos Hayes przebił się przez szum wirnika. – Słyszycie, chłopcy? Pora na bal.

Pięciu członków SEAL i major Iwanow z rosyjskiego Specnazu sprawdzili oprzyrządowanie i broń.

Zmodernizowany do standardu stealth Seahawk przemykał nisko nad dżunglą. Wprawdzie pokryty płytkami z węglowego kompozytu kadłub był całkowicie niewidoczny dla miejscowych, prymitywnych urządzeń radarowych, jednak Harford nie chciał dodatkowo ryzykować. I tak uważał tę misję za zbyt niebezpieczną.

– Trzy minuty – powiedziała Hayes, gdy obok przemknęły dwa śmigłowce bojowe. Prowadzący Comanche poszedł w górę i przeszył gęsty busz rakietami oraz pociskami z działek. Wtórne eksplozje na ziemi potwierdziły, że coś się tam musiało kryć.

– Jedna minuta – ostrzegła Hayes, która nie spuszczała oka z ekranu radaru nawigacyjnego i SINS, pokładowego systemu nawigacji bezwładnościowej. Nie było to równie dobre jak GPS NAVSTAR trzeciej generacji, ale w tych warunkach mogło ujść.

W tyle maszyny było dość chłodno. Zespół SEAL włożył hełmy i gogle. Iwanow przechylił się nad starszym sierżantern Vincentem Rogasem i spojrzał w noc. Na próbę przełączył gogle na wzmocnienie światła, potem na podczerwień. Emanacja z silników śmigłowca nie pozwoliła mu w pierwszej chwili nic dojrzeć. Gdy poprawił zasięg, wychwycił majaczące jasnymi plamami na południu budynki. W słuchawkach znowu odezwał się głos Hayes:

– Za chwilę podchodzimy do lądowania. Prosimy państwa o złożenie stolików, rozpięcie pasów i wyskoczenie ze śmigłowca. Dziękujemy, że wybrali państwo linie US Navy, i mamy nadzieję gościć państwa na naszych pokładach w przyszłości.

– W bardzo odległej przyszłości – dodał Harford.

– Amen – powiedział Iwanow.

Gdy Seahawk przeszedł nad ogrodzeniem, marines w sile plutonu zaczęli osłaniać go ogniem. Leżeli ukryci w słoniowej trawie zaraz za zasiekami z drutu kolczastego. Dwunastu japońskich strażników zginęło w jednej chwili, trafionych ceramicznymi pociskami bezłuskowymi. Dwie rakiety Hellfire przemknęły przez mrok, niszcząc wieżę strażniczą.

Toby La Salle sprawdził mocowanie liny, po której mieli pokonać ostatnie dwadzieścia metrów dzielące ich od ziemi. Obie strony pożyczły sobie nawzajem powodzenia i mały oddział zniknął w ciemności.

Otoczenie cywilnego obozu stało się obiektem ataku, który bywa określany jako wielowektorowe obezwładnienie przeciwnika. W praktyce oznaczało to jedną minutę nawały ogniowej, z pozoru chaotycznej, która jednak była starannie zaplanowana i kompletnie rozbiła Japończyków.

Oddział SEAL dał znać marines, aby przerwali ogień. Chwilę potem byli już na dole. Pierwsza grupa podbiegła do bramy, której strzegły już tylko trupy wartowników, reszta ruszyła w głąb obozu. Iwanow i Rogas biegli do pierwszej z chat, w których trzymano więźniów. Bosman potknął się,

trafiony, ale pancierz wytrzymał. Zanim jeszcze Rogas zdążył się pozbierać, strażnik już był martwy. Trzy pociski wystrzelone z biodra przez Iwanowa odesłały go do wieczności.

Z bocznego wyjścia wypadł na nich japoński oficer z szablą w dłoni. Niestety, nie zapięte i opadające spodnie niweczyły dramatyczny efekt. Oficer Specnazu po prostu odstrzelił mu głowę.

Rogas wywalił kopnięciem drzwi i rzucił się w lewo, strzelając przy tym do kolejnego Japończyka, który wyskoczył z ciemnego kąta. Rozległ się krzyk kobiet.

– Amerykanie! jesteśmy Amerykanami! – zawołał Rogas po angielsku. – Wszyscy na podłogę. Natychmiast! Kto będzie stał, zostanie zastrzelony.

Widziane w podczerwieni pomieszczenie przypominało któryś z niższych kręgów piekła. Większość kobiet była naga, tylko niektóre miały na sobie jakieś skąpe łachmany. Były też wychudzone, pokryte ranami i siniakami oraz brudne. Jęcząc i krzycząc, miotały się na wszystkie strony, ale też nie widziały zupełnie, co się dzieje. Iwanow i Rogas szybko doliczyli się ośmiu Japończyków. Niektórzy z nich też byli bez ubrania.

Komandosi wyłowili ich jednego po drugim. Pięciu strzelili w tył głowy podczas próby odczołgania się w jakiś kąt. Ostatni trzej zerwali się na równe nogi i unieśli ręce do góry.

– Nie strzelać! Nie strzelać! – zawołał jeden z nich.

Rogas i tak ich zabił.

* * *

Podczas podróży po Trzecim Świecie Duffy widziała już kilka podobnych miejsc, ale to kasowało wszystkie. Ze wszystkich sił starała się nie okazywać obrzydzenia. To nie byłoby w porządku wobec więźniów, a szczególnie tych kobiet.

Krażyła pośród nich z kamerą, ale nikt tu nie nadawał się do rozmowy. Bukowski dał jej jeszcze jedną gumę, gdy nagle flexipad oznajmił o nadejściu połączenia. Dzwonek nadal wygrywał melodię z *The Simpsons*.

Odczepiła urządzenie z przedramienia i odeszła kilka kroków w stronę bramy. Sygnał był dość silny, ale nie było się czemu dziwić. Wszystkie połączenia przychodziły siecią wojskową. Chwilę później na ekranie pojawiła się twarz Rosanny, która wołała jednak pozostać na lotniskowcu. Duffy uszanowała jej wybór.

– Jak sobie radzisz, kochana? – spytała Natoli.

– Znowu rozwaliałam sobie obojczyk, ale poza tym w porządku – odparła Duffy lekko drżącym

głosem. – Nie miałam wiele czasu na myślenie o tym.

– Tak gorąco?

– Nie bardzo. Trochę zajęło nam dotarcie do Manili, ale nic specjalnego się nie działo. W dwie godziny było prawie po strzelaninie. Potem poleciałam do jednego z kobiecych obozów opanowanych przez SEAL. Jezu, nie uwierzysz, że takie miejsce może istnieć, Rosanno. Talibowie nie byłiby gorsi. A jak Dan? Widziałaś go? Chyba byłam wobec niego trochę szorstka.

Rosanna zachichotała.

– Ma się dobrze. Powiedziała mu, że zaczyna ci się okres.

– W rzeczy samej, poza wszystkim innym.

Głuchy łoskot oznajmił przybycie kolejnego śmigłowca.

– Muszę iść – powiedziała Duffy. – Czas wracać do pracy. To będzie dobry materiał, jeśli zdołam go jakoś poskładać.

Duffy wyłączyła się, gdy wielki Sea Stallion usiadł zaraz za bramą obozu.

Po rampie zeszła kobieta w pełnym rynsztunku bojowym. Duffy odniosła wrażenie, że nowo przybyła jest wręcz wściekła.

Porucznik Chen próbował z nią rozmawiać, ale ominęła go i podeszła do kobiet, które stały przed punktem pierwszej pomocy zorganizowanym w domu komendanta obozu. Sam komendant przeżył, ponieważ na początku ataku schował się pod łóżko. Teraz dwóch marines stało nad nim i czterema innymi więźniami, których zgromadzono obok ruin wieży strażniczej.

Kobieta w kombinezonie marine podeszła do kobiet i zaczęła z nimi rozmawiać. Duffy zauważyła, że chociaż była średniego wzrostu, w kombinezonie zdawała się nad nimi górować. Zebrały się ciasno wkoło niej, po chwili któraś wysunęła do przodu dziewczynkę. Może ośmio – albo dziewięcioletnią.

Julia podeszła do porucznika Chena.

– Kto to jest? – spytała.

– Kapitan Francois. Lekarz batalionowy. Przyleciała nadzorować ewakuację obozu.

– Nie wiesz, o czym z nimi rozmawia?

Chen wzruszył ramionami.

Warkot silników krążących wkoło obozu śmigłowców Apache zagłuszał wszystko.

– Myślisz, że możemy pomóc? – spytał Chen.

– Nie możemy – odezwał się Iwanow, który wrócił z Sea Stalliona po uzupełnieniu zapasu amunicji. – To kobieca sprawa. Lepiej zostawić ją pani doktor.

– Może – mruknął Chen. Nie był chyba do końca przekonany.

Zobaczyli, że Francois przytuliła dziecko i pogłaskała je po brudnych, zmatowiałych włosach. Potem powiedziała coś adresowanego chyba do wszystkich kobiet i skinęła na marines, którzy pilnowali jeńców.

– No tak – odezwał się Chen.

Zanim jednak oficer zdążył zrobić cokolwiek, Rosjanin położył mu rękę na ramieniu.

– Tak będzie lepiej, przyjacielu.

– Żadne takie. Przecież ona ich rozwali.

– Być może – zgodził się Rogas, ale nie poruszył się, aby interweniować.

– Nie mogę jej pozwolić – stwierdził Chen. – Jestem odpowiedzialny za akcję.

– Nie przeszkadzaj, poruczniku – odparł Rogas i położył dłoń na pancerzu piersiowym porucznika. – Po prostu nie przeszkadzaj.

– Pewne rzeczy po prostu trzeba zrobić – dodał cicho Iwanow.

Na ile mogli się zorientować, dziewczynka w ogóle się nie odzywała. Przyłgnęła do nogi kapitan Francois. Japończyk został tymczasem pchnięty w ich stronę. Kobiety zaczęły jeszcze ciasniej zbierać się wkoło. Dziewczynka mocniej przytuliła się do pani oficer. Marines pilnujący jeńców spojrzeli na swojego dowódcę. Chen kilka chwil stał nieruchomo, po czym raz tylko kiwnął głową i odszedł.

– Pani Duffy – odezwał się Iwanow. – Może by tak wyłączyła pani kamerę?

Julia spojrzała na Rosjanina, potem na grupę kobiet.

Powoli uniosła rękę i odcięła zasilanie.

Pięciu jeńców przedstawiało się dość kontrastowo. Dwóch ledwo szło. Jeden chyba całkiem stracił kontakt z rzeczywistością. Kolejnego trzeba było co krok popychać. Komendant trząsł się cały i nie próbował stawiać oporu. Dopiero gdy zatrzymali się przed Francois, dostrzegli, że mają do czynienia z kobietą. Komendant niemalże dostał drgawek. Pani kapitan zburzyła lekko włosy dziewczynce. Jedna z kobiet pochyliła się i splunęła.

– Chodźmy – powiedział Iwanow.

Zbliżyli się na tyle, aby wszystko słyszeć.

– Jak się nazywasz, dupku? – spytała Francois.

Komendant chyba nie zrozumiał.

Kobieta przytuliła mocniej dziewczynkę do siebie i zakryła jej ręką jedno ucho. Drugą sięgnęła po broń boczną i strzeliła w twarz najdalej stojącemu jeńcowi. Trysnęła fontanna krwi i mężczyzna upadł bezwładnie. Duffy serce zamarło na chwilę w piersi.

Kobiety zaczęły skakać, jedna się rozpląkała. Dziecko oderwało się od lekarki i podeszło obejrzeć drgające jeszcze ciało. Po chwili kopnęło je.

– Pytałam, jak się nazywasz, ty pierdolony gwałcicielu. Komendant zaczął bełkotać coś bez sensu. Przestał, gdy Francois zabiła dwóch kolejnych jeńców.

Przedostatni zerwał się do ucieczki, ale strzeliła mu w plecy. Impet pocisku cisnął go aż kilka jardów dalej.

– Przepraszam – powiedziała pani kapitan. Podeszła do mężczyzny, który próbował jeszcze się podnieść. Dziewczynka razem z nią. Francois strzeliła rannemu w podstawę czaszki. Znieruchomiał.

Potem wzięła dziewczynkę za rękę i wróciła z nią do grupy. Komendant padł na kolana i błagał marine o coś, oni jednak zrobili sobie przerwę na papierosa i nie zwracali na niego uwagi. Duffy pogratulowała sobie w duchu, że jednak zdecydowała się wyłączyć kamerę. Było to wbrew wszelkim zasadom sztuki dziennikarskiej, ale tutaj chodziło o coś ważniejszego.

Kobiety zaczynały dochodzić do siebie. Tłoczyły się coraz bliżej komendanta.

– Nie tak blisko, szanowne panie – powiedział najbliższy stojący marine. – Pani doktor potrzebuje trochę miejsca.

Dziewczynka podbiegła i uderzyła trzęsącego się Japończyka w twarz. Kilka kobiet zaczęło zachęcać ją głośno, aby to powtórzyła. Kapitan Francois podeszła do niego i zmieniła magazynek w pistolecie.

– Odsuń się, kochanie.

Dziecko posłuchało.

– Tak naprawdę to nie obchodzi mnie, jak się nazywasz – powiedziała i wpakowała komendantowi trzy pociski w krocze. Padł, krzycząc, i przycisnął dłonie do rany między nogami. Francois odczekała chwilę i strzeliła mu w głowę.

Potem schowała broń i wzięła dziewczynkę na rękę.

– Chodź, skarbie – usłyszała Duffy, gdy Francois ich mijala. – Teraz wykapiemy cię i zjemy

trochę czekolady.

- Lubię czekoladę – odezwało się po raz pierwszy dziecko.
- Oczywiście, kochanie – powiedziała lekarka ze łzami w oczach. – Wszyscy lubią czekoladę.

43

USS Hillary Clinton, 25 czerwca 1942, godzina 15.12

Wiadomość zastała Kolhammera w kabinie, gdzie myślał obecnie niemal tylko o jednym: aby jak najszybciej doprowadzić konwój do miejsca przeznaczenia. Miał pod opieką prawie trzydzieści osiem tysięcy uwolnionych jeńców. Mimo usilnych starań lekarzy codziennie blisko stu z nich umierało. Kapitan Francois powiedziała mu, że i tak jest lepiej, niż oczekiwała, jeśli wziąć pod uwagę straszne warunki panujące w obozach, ale Kolhammer modlił się, aby straty były jak najmniejsze.

Nie rozmawiał z lekarką o incydencie w Cabanatuanie. Doszły do niego plotki, że w pewnej chwili sprawy wymknęły się spod kontroli, ale rozmowy z kilkoma uwolnionymi tego nie potwierdziły. Wszystkie kobiety mówiły, że nie pamiętają niczego podobnego.

Osobiście w to powątpiewał, ale dopóki nikt nie złożył oficjalnej skargi, mógł lekceważyć pogłoski. Miał ważniejsze sprawy na głowie. Przede wszystkim należało liczyć się z tym, że po powrocie do Pearl zostanie zaatakowany ze wszystkich stron. Wyprawę ratunkową zdołał zorganizować i przeprowadzić tylko dlatego, że na razie nikt nie wiedział naprawdę, co z nimi zrobić. Był jednak pewien, że każdy kolejny dzień będzie umniejszać szok wywołany ich przybyciem i niebawem sytuacja się zmieni. Dowódcy Roosevelta już teraz rywalizowali między sobą o możliwość przejęcia kontroli nad Wielonarodowymi Siłami. Brytyjski rząd domagał się nieustannie oddania swoich okrętów i przekazania ich pod rozkazy Londynu. Australijskich zresztą też. Wydawało się, że nikt spośród współczesnych aliantów nie myśli nawet, aby pozostawić zespół w całości.

Nadal nie udało im się zlokalizować brytyjskiego *Vanguarda* i francuskiego *Dessaix*. Sądząc po przykładzie *Nuku*, który odnalazł się na szczycie góry w Nowej Gwinei, i utracie *Garreta* na południu, zaginione jednostki mogły być dosłownie wszędzie.

Kolhammer przetarł zmęczone oczy. Najchętniej wpełzłby w tej chwili pod koc, aby obudzić się rano i u boku Marie. Jej brak dawał znać o sobie pustką w sercu w każdej minucie. Spośród wszystkich problemów związanych z tranzytem to był jedyny, z którym nijak nie umiał się zmierzyć. Przypuszczał, że gdyby jakimś cudem mógł wrócić sam jeden do swoich czasów, uczyniłby to, zostawiając wszystko i wszystkich. Poświęciłby honor i przyjaciół, porzuciłby obowiązki. Aby tylko móc znowu być ze swoją żoną. Ostatecznie to nie była jego wojna.

Obawiał się, że wszystko najgorsze, co pamiętał ze swoich czasów, zacznie pojawiać się i tutaj,

gdy powszechna stanie się wiedza, że przybysze zostają. Morderstwo Anderson i Miyazakiego zdawało się potwierdzać te obawy.

Francois dopytywała nieustannie o wyniki śledztwa, a raczej „tak zwanego śledztwa” jak to określała. Nimitz naprawdę starał się pomóc, ale sprawa utknęła chyba gdzieś na niższych szczeblach. Kolhammer nie spotkał detektywa, którego przydzielono do sprawy, ale słyszał o nim od Francois. Buster Cherry nie był postacią, która wzbudzałaby zaufanie. Tym bardziej mógł się zdarzyć jakiś ponury ciąg dalszy.

Utknęli tu bez nadziei na powrót do domu, a on nie wiedział, co powinni teraz zrobić. Na razie jednak sygnał interkomu oszczędził mu dalszych rozmyślań. Na ekranie pojawił się komandor Judge.

– Admirale, *Sutanto* się odezwał. Płynie do nas i ma kłopoty.

KRI Sutanto, 25 czerwca 1942, godzina 15.15

Japończycy uradzili, aby awansować Damiriego, dając wyraz uznaniu dla jego odwagi i gotowości poniesienia ofiary dla cesarza. Teraz był kapitanem Damirim z Sił Pomocniczych Cesarskiej Marynarki Japonii. Zachichotał, wspomniawszy ten honor, gdy pociski zaczęły niegroźnie rozrywać się w wodzie wkoło jego okrętu. *Sutanto* płynął wśród rozprysków, a jego działo odpowiadało prześladowcom, którzy podążali z obu burt w odległości dwóch tysięcy metrów.

Przy każdym strzale na szarych sylwetkach japońskich niszczycieli wykwitwały niewielkie ognie wybuchów, Japończycy zaś nieustannie pudłowali.

Damiri dziwił się niewiernym, że tak chętnie przystali na jego propozycję, nie mógł jednak nie podziwiać męstwa załóg szkieletowych tych trzech niszczycieli. Wiedzieli, że nie przeżyją, a jednak zgłosili się na ochotnika.

– Mamy *Hillary Clinton* na kanale trzecim, szejku.

Zaschło mu w ustach. Nie ze strachu oczywiście, ale z podniecenia. Długo czekał na tę chwilę i teraz była już blisko. Jeśli uda mu się zatopić sztylet w sercu imperium niewiernych, być może nigdy nie urosną w siłę i nie zagrożą Dar al-Islam. Wzjął głęboki oddech, aby się uspokoić, i sięgnął po mikrofon. Pozostali dwaj męczennicy obecni na mostku patrzyli na niego wyczekująco.

– Mayday, mayday, mówi *Sutanto* pod dowództwem podporucznika Damiriego pełniącego obowiązki kapitana – zawołał z możliwie jak największą desperacją w głosie. – Wywołuję *Hillary Clinton*, odezwijcie się proszę. Zaatakowali nas piraci. Mamy rannych na pokładzie i potrzebujemy natychmiastowej pomocy.

Damiri tak ustawił sprzęt, aby transmisja nie była zbyt czysta. To powinno dodać jej wiarygodności, gdyby ktoś po drugiej stronie powziął jakieś podejrzenia. Jak można było oczekiwać, odpowiedziała mu kobieta.

– *Sutanto*, tutaj *Hillary Clinton*. Mamy cię na ekranach. Czy możesz potwierdzić, że jesteś atakowany przez trzy jednostki nawodne?

Damiri odpalił jedyne dwa pociski przeciwokrętowe, które pozwolono mu zatrzymać. Zerwały się z wyrzutni i zostawiając smugi dymu, skierowały w stronę najbliższego okrętu. Był to stary niszczyciel klasy „*Wakatake*” zbudowany jeszcze w 1922 roku. Obie rakiety uderzyły w przedni pokład i eksplodowały jasnym płomieniem.

– Już tylko dwie – odpowiedział.

Zapadła chwila ciszy.

– Dostaliście go, *Sutanto*. Dobra robota. Trzymajcie się. Kawaleria w drodze.

Usama Damiri uśmiechnął się pod nosem. Wiedział, że to jego ostatni dzień na ziemi.

Upewnił się, że wyłączył mikrofon, i obrócił się do towarzyszy.

– *Allah Akbar!* – zawołał.

– Bóg jest wielki – odpowiedzieli chórem.

* * *

Komandor Konoe odkaszlnął w chustkę. Zabarwiła się ciemną, skażoną krwią. Złożył mały kawałek bawełny i otarł rogiem pot, który zalewał mu oczy. Cały czas wpatrywał się w miejsce, gdzie *Huyo* złożył się w ofierze. Z dumnego niszczyciela została tylko plama płonącej ropy i trochę śmieci. Nie mógł uwierzyć, że rakiety barbarzyńców posłały go na dno tak szybko.

Mógł tylko mieć nadzieję, że gdy przyjdzie jego czas, będzie podobnie odważny.

Pochylił się do tuby głosowej. Każdy oddech był męką. Choroba poczyniła już wielkie spustoszenia w jego organizmie, a i napięcie ostatnich dni mu nie pomogło. Z drugiej strony to nie miało już żadnego znaczenia.

– Ognia z przednich dział – wychrypiał.

Bateria kalibru 4,7 cala zagrzmiała i Konoe pokiwał głową, gdy pociski wyrzuciły gejzery wody za rufą *Sutanto*. Nie wierzył, aby Amerykanie mogli obserwować przebieg starcia na taki dystans, jednak sam wielki admirał powiedział mu, że tak właśnie będzie i że jego ofiara na rzecz ostatecznego zwycięstwa zostanie dostrzeżona przez pałac cesarski.

Jakże dumni będą jego rodzice, gdy dostaną list od osobistego sekretarza Jego Cesarskiej Mości,

który podziękuje im za ofiarę syna.

Zrobiło mu się błogo na duszy, gdy o tym pomyślał. Nie tylko ze względu na własnych rodziców. Pamiętał o wszystkich na pokładzie. Bardzo chciał obejść okręt jeszcze raz i porozmawiać z każdym przed śmiercią, ale sytuacja wymagała jego obecności na mostku. Tak mało miał ludzi do prowadzenia niszczyciela, do obsługi dział i symulowania wielkiego natężenia komunikacji radiowej, która byłaby typowa dla dramatycznego pościgu. Niczego nie można było zostawić przypadkowi.

– Ognia – rozkazał ponownie.

Na mostek wpadł młody marynarz z notatką dla Konoe. Głosiła, że amerykańskie samoloty już nadlatywały. Byli bardzo szybcy! Chłopak miał wyraz twarzy, jaki widywało się na wizerunkach świętych. Komendantowi zrobiło się wstyd. Sam zgłosił się do tej misji, bo i tak zostało mu mniej niż pół roku życia. Straszna choroba, która zabrała jego starszych braci, dopadła i jego, ale ten młodzik całkiem dobrowolnie wystawił się na rączy wroga.

– Dobra robota, Sato!

Marynarz wyprostował się i zsalutował jak na paradzie.

Konoe oddał honory. I zginął.

* * *

– Samolot nadlatuje. Namiar dwa trzy jeden, odległość trzydzieści dwa kilometry. Sądząc po szybkości, to Raptor.

Damiri podziękował podoficerowi.

Teraz nie mieli już długo czekać.

Głośnik z rozdartą płócienną okrywą zaszumiał i rozległ się z niego kobiecy głos:

– *Sutanto, Sutanto*, mówi porucznik pilot Anna Torres z USS *Hillary Clinton*. Mam cię na wizualu. Przygotowuję się do otwarcia ognia.

– Pospiesz się, proszę. Kończy nam się amunicja – wyrzucił z siebie Damiri z nadzieją, że nie przesadził.

– Spokojnie, *Sutanto*. Zaraz już nie będzie złych chłopców.

Damiri uśmiechnął się do towarzyszy. Wszyscy skierowali lornetki na pozostałe japońskie okręty,

które tak świetnie się sprawiły. Ich działa grzmiały nieustannie, burząc wodę wkoło indonezyjskiej jednostki.

Damiriego kusiło, aby życzyć im wszystkiego najlepszego w piekle.

Nie sięgnął jednak po mikrofon. To nie miałoby sensu.

Eksplozja, która rozniosła bliższy niszczyciel, okazała się na tyle gwałtowna, że aż zadrżał. Widział ponadźwiękowy pocisk, który nadleciał tuż nad falami i wbił się w *Karukayę*, ale nie był przygotowany na równie wielki huk i błysk, który na chwilę go oślepił.

– *Allah Akbar!* – krzyknął ktoś obok.

Drugi niszczyciel uległ unicestwieniu w ten sam sposób jakieś trzy tysiące metrów po lewej burcie *Sutanto*. Kilka sekund później na nadbudówki okrętu spadł drobny grad metalowych odłamków.

Damiri pokazał to towarzyszom, ale milczeli. Przygotował się do włączenia mikrofonu.

– Dziękuję, dziękuję bardzo.

Ciemna sylwetka F-22 przemknęła w odległości sześciuset metrów.

– Stawiacie mi piwo w Pearl. Mamy wam trochę do opowiedzenia.

Myśliwiec poszedł w górę i odleciał. Po japońskich okrętach zostały tylko chmury tłustego dymu i trochę szczątków unoszących się na falach. Głośnik znowu ożył.

– *Sutanto*, mówi *Hillary Clinton*, podajcie swój obecny status.

– Żyjemy! Nie wiemy jednak, co się stało. Łączność nam siadła, GPS chyba się zepsuł, nie możemy niczego złapać. I jeszcze ci piraci!

Do rozmowy wtrącił się nowy głos.

– *Sutanto*, mówi admirał Kolhammer. Jakie macie straty?

Damiri uniósł brwi. Sam wódz niewiernych. Cały lęk przed nim gdzieś zniknął.

– Admirale Kolhammer, sir, jestem podporucznik Damiri, pełniący obowiązki dowódcy *Sutanto*. Kapitan Djuanda nie żyje. Wielu oficerów poległo albo odniosło rany. Mamy osiemnastu zabitych i dwunastu z ciężkimi obrażeniami. Over.

– Czy możecie sami zająć się rannymi, poruczniku? – spytał admirał. – Obawiam się, że też jesteśmy w trudnej sytuacji. Nie możemy wysłać wam pomocy medycznej. Służby medyczne mają pełne ręce roboty, wszystkie łóżka zajęte.

Damiri wołał nie naciskać zbyt mocno. Ostatnie, czego potrzebował, to Amerykanie na pokładzie. Jednak musiał odegrać swoją rolę.

- Zapewne stracimy jednego albo dwóch ludzi w ciągu najbliższych paru godzin.
- Przykro mi, Damiri, ale spróbujcie dać sobie radę. Po prostu nie mam jak wam pomóc.

Damiri przewrócił oczami. To w ich stylu, pomyślał.

- Rozumiem – odparł z goryczą w głosie. Nie widział powodu, aby skrywać swe odczucia.
- Dołączycie do nas za pięć godzin. Przez cały czas będziecie mieli osłonę powietrzną.
- Dziękuję, admirale – odparł Damiri. To akurat trudno mu było z siebie wydusić.

* * *

Kapitan Francois nie przypominała sobie, aby w ciągu ostatnich paru tygodni zdarzyła się jej chociaż jedna godzina, w której nie musiała walczyć o czyjeś życie. Od chwili, gdy odzyskała przytomność po tranżycie, przed jej oczami przesuwiał się nieskończony szereg potrzebujących.

Niemal bezwiednie zaczęła programować dla siebie kolejny zastrzyk stymulujący, ale coś ją powstrzymało. Oddział był pełen pacjentów, przy czym większości nie stanowili ranni. Tutaj problemem było wycieńczenie, do którego dochodziły komplikacje w rodzaju malarii, infekcji grzybiczych, ropiejących wrzodów i tysiąca innych, głównie tropikalnych chorób, typowych dla ludzi długo przebywających w niewoli. W odróżnieniu od ofiar tego szaleństwa, które rozpętało się pod Midway, ci ludzie umierali powoli i, jeśli można tak powiedzieć, spokojniej. Między łózkami krążyły nieustannie dziesiątki postaci w bieli. Poprawiali kroplówki, zmieniali opatrunki i posłania, podawali lekarstwa i witaminy.

Codziennie tracili pacjentów. Od chwili, gdy osiemnaście godzin temu Francois objęła dyżur, zmarło ich siedemdziesięciu sześciu. W sumie nie aż tak wielu, jeśli wziąć pod uwagę okoliczności. Wiedziała, że gdyby nie dostępny na nowoczesnych okrętach sprzęt medyczny, codziennie umierałyby ich setki.

Wysłuchała się w siebie. Jedno było pewne – tak czy tak na razie miała dość. Potrzebowała odpoczynku.

Wyciągnęła flexipad z kieszeni fartucha i manipulując nieco sztywnymi palcami, uzyskała połączenie z komandor Wassman.

- Robię sobie cztery godziny przerwy. Obejmujesz oddział.

Jej nowa zastępczyni kiwnęła głową. Sygnał lokacyjny jej chipa podpowiadał, że znajduje się akurat na oddziale oparzeń.

– Jasne, ma'am. Jeśli można... chyba potrzebuje pani więcej snu niż tylko cztery godziny. Mogę wziąć dodatkowy dyżur. Przespałam aż połowę nocy.

Francois nie próbowała nawet oponować.

– Dzięki, dołożę jeszcze dwie. Gdybym była potrzebna, dajcie znać.

Gdy się rozłączyła, na sąsiednim oddziale odezwał się alarm. Wezwanie dla zespołu reanimacyjnego. Wywołała informacje o pacjencie: zatrzymanie akcji serca. Biała kobieta z Cabanatuanu. Wiek: osiemdziesiąt pięć lat.

Żadnych szans, pomyślała. Starsi ludzie z obozu zdawali się poddawać w chwili, gdy docierało do nich ostatecznie, że są już bezpieczni. Wcześniej trzymali się, na przekór i mimo wszystko, jakby chcieli coś w ten sposób udowodnić.

Z piekącymi oczami ruszyła w stronę swojej obecnej kabiny. Korytarz był tak zatłoczony pacjentami i personelem, że przypominał poczekalnię publicznego szpitala w czasie ostrego dyżuru. Francois z ulgą zamknęła za sobą drzwi.

Dziewczynka siedziała na koi i bawiła się lalką Barbie z zestawu „lądowanie na Marsie”. Jakiś marine znalazł ją nie wiadomo gdzie. Od czasu opuszczenia obozu mała nie odezwała się ani razu, jednak po umyciu i zapakowaniu do łóżka nagrodziła Margie ciepłym uśmiechem.

– Cześć, kochanie – powiedziała Francois.

Kobiety z obozu nr 5 powiedziały jej, że dziewczynka ma na imię Grace, ale to było wszystko. Nikt nie wiedział, co się stało z jej rodzicami.

Dziecko zachowywało się już mniej dziko. Nadal miało niedowagę i bało się ciemności, ale Francois i tak była zadowolona z postępów.

– Chcesz pić, Grace? Może soku?

Dziewczynka pokiwała głową.

Francois naląła jej kubek podłego w smaku napoju witaminowego.

Pogłaskała Grace po zniszczonych, jasnych włosach. Naprawdę potrzebowała odpoczynku, ale teraz miała wrażenie, że nie zdoła usnąć. Nie chciała oddawać dziewczynki nikomu, zresztą już pierwsza próba wywołała u małej napad hysterii.

– Mój tata został z generałem MacArthurem, aby dopilnować światła.

Serce Francois zabiło żywiej. Była prawie pewna, że dziewczynka zacznie mówić dopiero za

parę tygodni, może nawet miesięcy. Od dawna nie zdarzyło się jej nic równie podnoszącego na duchu.

– Mama i tata nie wrócą, prawda? Mamusię chyba zastrzelili.

Cała radość nagle uszła. Francois nie wiedziała, co odpowiedzieć, aby nie wtrącić dziecka z powrotem w otchłań. Ale pomyślała też, że może warto by pociągnąć temat i ustalić, co stało się z jej rodziną. Chyba coś jednak o tym wiedziała.

– Nie wiem, kochanie, ale przypuszczam, że są już w niebie. O mamusi ktoś ci opowiedział?

Broda małej zatrzęsała się, oczy wypełniły łzami. Pokręciła głową. Margie też coś ścisnęło w gardle. Pogłaskała dziewczynkę po policzku.

– Ale jedno wiem, kochanie. Twoja mama i twój tata na pewno patrzą na ciebie z góry i cieszą się teraz, że jesteś bezpieczna z nami. Najbardziej ze wszystkiego na świecie zawsze chcieli, abyś mogła spokojnie sobie rosnąć.

Grace kilka razy złapała spazmatycznie powietrze.

– Gdy dorosnę, zostanę amerykańskim marine, tak jak ty – powiedziała, gdy mogła się już odezwać.

Margie zacisnęła usta i pokiwała głową. Pogłaskała Grace po włosach i pocałowała w czoło.

– Przepraszam, kochanie, muszę na chwilę wyjść – powiedziała nieco zduszonym głosem.

Wyskoczyła na korytarz.

Ledwo zamknęła drzwi za sobą, usiadła na podłodze i zalała się łzami.

* * *

Upał przypominał Kolhammerowi chwile, gdy szykowali się do akcji u brzegów Timoru. Teraz były one niewyobrażalne odległe, chociaż dla niego równie realne jak ta słonawa bryza. Einstein powiedział mu, że w samej rzeczy, wszystko to, co pamiętał, i dom, i żona, znajduje się tuż obok, a nawet jeszcze bliżej. Może, niemniej stojąc na mostku i patrząc przez ciemne okulary na wielki konwój, który żywcem przypominał sceny ze starych kronik, Kolhammer był pewien, że nigdy już nie ujrzy Marie.

Co jakiś czas zerkał na ekran sytuacyjny, który pokazywał nadpływającego ze wschodu *Sutanto*. Indonezyjski okręt podążał niemal kontrkursem, co oznaczało, że potem przyjdzie mu płynąć tą samą drogą z powrotem, tyle że już z konwojem. Trudno było jednak dziwić się załodze *Sutanto*, że nie

chciała ani chwili dłużej przebywać sama. Przeszła już swoje. Raptor dostarczył sporo zdjęć zniszczeń na pokładzie. Swoją drogą, Kolhammer musiał przyznać, że mylił się co do Indonezyjczyków. Jednak walczyli.

– Myśli pan o domu, admirale? – spytał Spruance.

Przez ostatnie pół godziny Spruance był tak cichy, że Kolhammer prawie o nim zapomniał. On też wpatrywał się w zasnutą lekką mgiełką horyzont i chyba powtarzał sobie, że najgorsze już za nimi. Między nowoczesnymi okrętami krążyły śmigłowce przewożące pacjentów oraz wszystko, co akurat było gdzieś potrzebne. *Clinton* i *Kandahar* wysyłały regularnie patrole powietrzne, jednak ekrany nie pokazywały żadnych zagrożeń. Poza dwoma niszczycielami, które ścigały *Sutanto*, wykryto tylko jeden bliższy kontakt – japoński okręt podwodny, którego załoga zginęła, nie wiedząc nawet, że jest atakowana. Ponadto systemy wychwyciły słabe echo jakiejś większej masy żelaza daleko na północy.

Yamamoto miał dość rozumu, aby trzymać się na dystans.

Kolhammer nie odpowiedział Spruance'wi od razu. Był zmęczony i trudno było mu oderwać spojrzenie od tej parady starych liniowców z byłymi jeńcami na pokładach.

– O domu? – spytał. – Zapewne tak.

– Niebawem tam będziemy.

Kolhammer potarł szczecinę na policzkach. Zastanowił się przelotnie, kiedy skończy mu się usuwający włosy żel i będzie musiał sięgnąć po brzytwę.

– Pan tak, admirale – powiedział. – I ci wszyscy nieszczęśnicy. – Wskazał na konwój. – My jednak nieprędko. Jeśli kiedykolwiek.

* * *

Halabi od półgodziny wpatrywała się w białe kartki papieru i miała ich już dość. Słowa nie chciały się układać. Nie wiedziała, jak napisać list kondolencyjny do prapradziadków marynarza, który poległ w boju na całe dziesiątki lat przed swoim narodzeniem. Na HMS *Fearless* zginęło takich ludzi ponad tysiąc. Halabi zastanawiała się już, czy nie skapitulować, chociaż z drugiej strony uważała, że niezależnie od wszystkiego bliscy powinni poznać ich los. W tej sytuacji z ulgą przyjęła stukanie do drzwi kabiny.

– Wejść – powiedziała i zaraz tego pożałowała, widząc kontradmirała sir Lesliego Murraya. Przybrała obojętny wyraz twarzy.

– Czy nadal ma pan kłopoty z nawiązaniem łączności z Londynem, sir Leslie? Jeśli tak, to przykro mi. Prosiłam moich łącznościowców, aby traktowali pańskie wiadomości priorytetowo.

Murray wyglądał na chorego. Był przygarbiony, worki pod oczami miał większe niż zwykle. Halabi pomyślała, że pobyt na pokładzie okrętu nie służy zapewne korpulentnemu oficerowi. Nie potrafił się na nim poruszać, a wszelkie próby były tak komiczne, że Halabi musiała kryć uśmiech.

– Proszę usiąść, sir – powiedziała, dając do zrozumienia, że pamięta o jego stopniu. Oboje i tak wiedzieli, kto naprawdę rządził na *Tridencie*.

– Nie, dziękuję, zajrzałem tylko na chwilę. Nie chcę przeszkadzać. Bo pani jest chyba zajęta?

Grube palce bawiły się nerwowo lśniącymi guzikami munduru.

– Mam parę listów do napisania. Do bliskich poległych, o ile uda się ich odnaleźć – odparła Halabi.

– A, rozumiem. Mam nadzieję, że nie jest ich zbyt wielu.

– Czasem sędzę, że jeden to już za dużo, sir Leslie.

Nadal stał przed nią. Wyraźnie coś było z nim nie tak. Halabi przywykła już do tego, że Murray nie potrafi spojrzeć jej w oczy, ale tym razem zdawała się peszyć go bardziej niż zwykle. Postanowiła poczekać. Przez chwilę postukiwała piórem w niezapisaną kartkę, szybko jednak zaczęła mieć dość tej niezrozumiałej sytuacji. Chciała już zagadać o czymkolwiek i przerwać tę ciszę, gdy nagle Murray się odezwał.

– Jest mi bardzo przykro i chcę przeprosić, bo nie byłem wobec pani w porządku. – Wyrzucał z siebie słowa bardzo szybko, niemal bełkodiwie. – Chcę wyrazić podziw wobec pani załogi za to, co zrobiliście w Singapurze. To była pierwszorzędnie przeprowadzona akcja nawiązująca do najlepszych tradycji Royal Navy.

Halabi własnym uszom nie wierzyła. Chwilę potrwało, nim się otrząsnęła.

– Dziękuję, sir Leslie. Dopilnuję, aby pańskie, hm... uprzejme słowa zostały przekazane załodze przez shipnet.

Ale to chyba nie było wszystko. Znowu zapadła kłopotliwa cisza, a Murray wciąż omijał ją spojrzeniem. Rozglądał się po kabinie, jakby widział ją po raz pierwszy. Może w ogóle czuł się nieswojo, przebywając z kobietą w tak ograniczonej przestrzeni?

– Coś jeszcze, sir Leslie? Wygląda pan jak człowiek, który nie wie, co ze sobą zrobić.

Poczerwieniał na twarzy i parę razy bezgłośnie poruszył ustami. Wreszcie się odezwał.

– Otrzymałem... otrzymałem wiadomość z jednego z transportowców, *Princess Beatrix*. Mój szwagier jest na pokładzie. Pracował w Biurze Kolonialnym w Singapurze. Jest w strasznym stanie...

Konradmirał zaczerpnął głęboko powietrza, ramiona mu zadrżały. Wpatrywał się intensywnie w czubki wypolerowanych butów, jakby dostrzegł na nich coś ciekawego. Halabi czekała na ciąg

dalszy, ale ten nie następował. Nagle poczuła się niezręcznie, siedząc tak, podczas gdy gość stał niczym posąg i przypominał sobie o ludzkich uczuciach stłumionych przez wiele lat służby.

Odsunęła się od biurka i sięgnęła do lodówki przy koi, w której trzymała wodę.

– A pańska córka? – spytała, biorąc szklaneczkę i otwierając eviańską butelkę.

Murray zachwiał się nagle i padł na krzesło, które dopiero co zwolniła. Przez chwilę wydawało się, że osadzony na kółkach fotel wyjedzie spod niego, jednak potężny korpus oparł się o krawędź biurka, gdy Murray przygarbił się i schował twarz w dłoniach. Z jego piersi wyrwał się szloch, bardziej zwierzęce niż ludzkie zawodzenie.

Halabi wiedziała dość o podobnych sytuacjach, aby nie prawić komunałów. Po prostu położyła mężczyźnie rękę na karku i trwała tak, wyczuwając targające Murrayem spazmy i myśląc o tym, co sama straciła. Na tle różowej skóry admirała jej palce zdawały się być jeszcze ciemniejsze niż zwykle.

* * *

Krwiak na udzie miał się goić całymi miesiącami, co dość ją drażniło. Ale co poradzić? – pomyślała Julia i zawiązała spodnie od dresu. Zamierzała poćwiczyć. Po robocie na Luzonie była cała poobijana.

Z drugiej strony nie była to wysoka cena za materiał, który udało się jej zebrać. To miał być jej pierwszy kawałek dla starego „Timesa”

Słowo już się rozeszło.

Gdy konwoje z jeńcami uratowanymi z japońskich obozów skierowały się z powrotem do Pearl, rządy alianckie postanowiły zezwolić na publikację informacji o tranzycie. Dla Julii, która wyrosła w globalnej wiosce, tak długie oczekiwanie było nie do zniesienia. Nie wiedziała jednak, jak ta sensacja zostanie przyjęta w jej kraju.

Jej kraju?

Pomyślała, że chyba najlepiej zrobi, jeśli postara się przywyknąć. Wzięła ręcznik z niezaścielonej koi i zawahała się. Nie mogła się powstrzymać. Depesza leżała na stercie ubrań i wyposażenia. Julia podniosła ją do oczu, chyba po raz dziesiąty.

PANNO DUFFY...

Na ten wstęp przestała sarkać dopiero za czwartym razem.

WITAMY. NYT PROPONUJE PANI STANOWISKO STARSZEGO REDAKTORA. POTRZEBUJEMY 3000 SŁÓW O TRANZYCIE I 2000 SŁÓW O RAJDZIE NA OBOZ. JAK NAJSZYBCIEJ.

Oczywiście powiedziała „tak” gdy tylko zgodzili się przyjąć również Rosannę. Dan miał rację. Chcieli jej na tyle, że gotowi byli zgodzić się na wszystko.

Dan.

Zrobiło się jej smutno. Nie powinna była zachowywać się tak głupio przed Luzonem. Nie mogła doczekać się akcji i całkiem bez sensu się z nim pokłóciła. Dan był w gruncie rzeczy naprawdę porządnym facetem, a ona zaważyła sprawę.

Rosanna powiedziała, że Dan bez końca oglądał potem scenę, w której załatwiła tego Japończyka w Manili. Uważała, że to chore. Była jednak zbyt zajęta, aby choć się wkurzyć, gdy on cofał raz za razem nagranie. Nie zauważyła nawet, kiedy sobie poszedł.

Julia złożyła kartkę z telegramem. Nigdy jeszcze nie widziała czegoś takiego. Dla niej był to dokument z muzeum. Coś ścisnęło ją w gardle i zaraz zganiła siebie za słabość. Następnym razem wybuchnie płaczem i wtedy...

– Cześć.

Dan!

Stał w drzwiach i spoglądał na nią niepewnie, trochę nerwowo. Bez zastanowienia po prostu rzuciła mu się w ramiona z takim impetem, że oboje omal nie wypadli na korytarz.

– Przepraszam, przepraszam – powtarzała, nie umiejąc przestać. Jej oczy wypełniły się łzami, gdyż Dan najpierw zeszywniał. Potem jednak przytulił ją do piersi.

– I ja też – odrzekł Black.

* * *

Damiri nie rozumiał z początku, skąd Kolhammer wziął te dziesiątki jednostek, które prowadził obecnie w konwoju, skoro jego pierwotny zespół był o wiele mniej liczny, ale informacje nadesłane łączem laserowym wszystko wyjaśniły. Usama uznał, że nie powinno to być przeszkodą w realizacji planu, a może nawet pozwoli na zabicie większej liczby niewiernych, co zawsze było pożądane.

Pióropusze z kominów starych statków wypełniały niebo. Z dołu dobiegały piękne frazy modlitw. To jego towarzysze przygotowywali się do rychłego wstąpienia do raju. Nieliczni obecni na *Sutanto* Japończycy zostali zagonieni pod pokład i zapewne też odprawiali jakiś obrządek związany z tym ich

falszywym cesarskim bożkiem. Tak niewielu jego kolegów zgłosiło się do misji, że bez pomocy miejscowych nie obsadziliby nawet wszystkich najbardziej niezbędnych stanowisk. Poza tym ktoś musiał koordynować współdziałanie z załogami niszczycieli.

Wiedziony wdzięcznością za wsparcie Damiri spytał ich, czy nie zechcieliby w ostatnich godzinach życia zwrócić się do Allaha, ale wszyscy odmówili. Wzruszył ramionami. Widocznie nie chcieli zostać zbawieni.

Serce biło mu w piersi coraz szybciej. Doniosła chwila była już bardzo blisko. Damiri wyszedł na otwarty pomost i spojrzał na „zniszczenia”. Nadbudówki *Sutanto* nosiły wyraźne ślady ostrzału. Maszty były połamane, z wielu szyb zostało tylko stłuczone szkło, wszędzie czerniały dziury po pociskach i ospowate placki po odłamkach, w jednym miejscu pozostał nawet ślad porządnego pożaru. Okręt wyglądał tak, jak sentymentalni ludzie Zachodu mogli wyobrazić sobie doświadczonego w boju weterana. Nie mogli wiedzieć, że wszystko to było dziełem japońskich inżynierów, którzy starannie przygotowali *Sutanto* jeszcze w Hashirajimie. Dopiero potem załadowano na pokład materiały wybuchowe.

Ciekawe, na ile dokładnie Amerykanie będą skłonni przestudiować jego dziennik okrętowy. Przesłał im go łączem laserowym kilka minut temu i teraz mógł tylko czekać. Niebawem powinien się dowiedzieć.

* * *

– Widział pan to już? – spytał komandor Judge.

Chudy Teksaszczyk stał na mostku lotniskowca i wertował wydruk logu *Sutanto*.

– Nie, jeszcze nie – odparł Kolhammer. – A o co chodzi?

Widoczny na ekranie indonezyjski okręt mijał prowadzącą jednostkę konwoju, niszczyciel *Trident* pod dowództwem kapitan Halabi. Przestrzegający zwyczajów Brytyjczycy pozdrowili go salutem, ale *Sutanto* zachował się jak zwykle i odpowiedział o tyle, o ile. Prawie nikt nie pojawił się na pokładzie. Z drugiej strony obecny stan okrętu był pewnym usprawiedliwieniem.

– Przekażcie *Sutanto*, aby skręcił na bok i potem dołączył do konwoju – powiedział admirał. – Lepiej, aby nie przechodził przez nasz szyk. Na pewno wejdzie komuś w paradę.

Porucznik przekazał rozkaz. Przygryzający wargę Judge podszedł bliżej.

– Według tego zapisu obudzili się dopiero pięć dni temu, admirale. Damiri nie ma pojęcia, jak długo byli nieprzytomni, ale to chyba nie mogło tyle trwać? Umarliby z głodu albo z pragnienia.

Kolhammer wyprostował się. Za oknami widać było ciągnącą się milami gładź Pacyfiku pod

idealnie bezchmurnym niebem.

– A ile czasu upłynęło według pokładowego zegara?

Judge przerzucił kilka kartek. Nigdy nie radził sobie dobrze z wydrukami.

– Sto trzydzieści trzy godziny – powiedział. – Prawie sześć dni, co niezbyt mi pasuje, skoro my jesteśmy tutaj już parę tygodni.

Admirał Spruance zszedł z otwartego pomostu obok osłoniętej sterówki i dołączył do obu oficerów.

– Jakiś problem?

Kolhammer zmarszczył brwi.

– Poruczniku, dlaczego *Sutanto* idzie dalej tym samym kursem? Powinien już skręcić.

– Nie wiem, sir. Przekazałem rozkaz.

Judge patrzył na wydruk niczym na wręczony przed chwilą trzydolarowy banknot.

– Może poza zawirowaniami w przestrzeni zdarzyło się też dodatkowe przesunięcie w czasie – powiedział w końcu. – Jeśli *Nuku* trafił na szczyt góry, to tych mogło przenieść z ominięciem paru tygodni.

– Nie wydaje się pan być zbyt pewny swojej teorii, komandorze – powiedział Spruance. – Może każemy im przestać pchać się głębiej w konwój?

Kolhammer zerknął znowu na ekran. Indonezyjski okręt był znacznie bliżej, niż powinien.

– Czy oni zwiększyli szybkość? – spytał.

– Cholera – zaklął Judge.

Dreszcz przebiegł po grzbiecie wszystkim, którzy pamiętali dzihad.

– O co chodzi? – spytał Spruance, który nie mógł nie wyczuć nagłego wzrostu napięcia.

– Przekazać do wszystkich: możliwy samobójczy atak – rozkazał Judge. – Przygotować się na zderzenie.

– Łączność – zawołał Kolhammer. – Połącz mnie bezpośrednio z *Sutanto*. Natychmiast!

Głośnik zaszumił, gdy przestarzałe urządzenia radiowe *Sutanto* nawiązały kontakt z centralą *Hillary Clinton*.

– Damiri, mówi admirał Kolhammer. Zatrzymaj się tam, gdzie jesteś. Słyszysz mnie? Zatrzymaj

się natychmiast albo otworzymy do was ogień.

* * *

– Wyłączyć to – powiedział Damiri. – Cała naprzód. *Allah Akbar!*

Okręt skoczył naprzód i Damiri złapał się poręczy. Wyobraził sobie pióropusz piany, który musiał wyrosnąć za rufą okrętu. Ze zdumieniem odkrył, że jednak trochę się boi, ale pomyślał, że Amerykanie muszą w tej chwili bać się jeszcze bardziej.

Hillary Clinton rosła w oczach. Damiri zaśmiał się na widok starych łajb, które próbowały odejść jak najdalej. Zdawały się trzeszczeć każdym nitem.

– Patrz, mój szejku, patrz tylko!

Damiri uśmiechnął się szeroko, widząc dwa statki, które zderzyły się jakieś tysiąc metrów od niego. Słyszał jęk rozrywanej stali, a nawet krzyki i jęki miażdżonych niewiernych. To było to. Zaskoczenie i strach.

Górą przemknął pocisk i Damiri pochylił się odruchowo. Pobliski statek, jakiś liniowiec pasażerski, buchnął ogniem.

– *Allah Akbar! Allah Akbar!*

Znowu usłyszał charakterystyczny świst superszybkiego bezłuskowego pocisku, który przeleciał nad okrętem tuż powyżej kikuta masztu.

– Nie mogą tak obniżyć dział, aby nas trafić, bracia. Bogu niech będzie chwała, bo wkrótce będziemy w raju! – zawołał.

* * *

Kolhammer zacisnął usta. Były teraz niczym biała linia wyciosana w licu granitowej góry. Na całym okręcie wyły alarmy. Wszyscy na mostku przygotowywali się na eksplozję i próbowali jednocześnie uruchomić najważniejsze procedury awaryjne. Admirał poczuł, jak pokład olbrzymiego okrętu przechyla się lekko. *Hillary Clinton* przyspieszała, chcąc ująć samobójcy.

Admirał spróbował obliczyć w myśli, ile materiałów wybuchowych można zmieścić na jednostce rozmiarów *Sutanto* i czy węglowy pancierz wytrzyma eksplozję. Wyszło mu, że w przypadku

staranowania zapewne nie.

Na morzu zapanował chaos. Dziesiątki statków zdążyły we wszystkich kierunkach. Na ekranach czerwieniały napływające co kilka sekund meldunki o kolizjach i sytuacjach grożących kolizją. Judge wykrzykiwał rozkazy dla obsady mostka. Spruance spokojnie podszedł do okna i założył ręce na plecy. Ludzie przy stanowiskach wykonywali po prostu swoją robotę, meldując o rozwoju sytuacji.

– *Trident* zawraca, sir. Nie ma jeszcze namiarów bojowych.

– *Kandahar* jest zablokowany, admirale.

– *Kennebunkport* nie ma czystego pola ostrzału.

– Patrol powietrzny w odległości szesnastu kilometrów. Nie ma zamiaru na cel.

– *Comanche* startuje z *Kandahara*.

Nagle obok wysepki przemknął jakiś ciemny kształt. Kolhammer już chciał spytać, co to, u diabła, gdy Spruance go uprzedził.

– To *Wildcat*! Wystartował z *Enterprise*'a.

Antyczny myśliwiec przeleciał wzdłuż całego pokładu superlotniskowca i pomachał im skrzydłami. Ledwo minął dziób okrętu, otworzył ogień ze wszystkich sześciu karabinów maszynowych. Kolhammer gorączkowo przełączał kamery, aż znalazł tę dającą najlepsze ujęcie na starego F-4F. Na krawędziach natarcia jego skrzydeł błyskały ogniki, za nim ciągnęły się smużki dymu prochowego. Tysiące najzwyczajszych w świecie pocisków kalibru 12,7 milimetra smagały błękitne morze dokoła *Sutanto*, ale po chwili uderzyły w burtę. Pilot zmienił kąt nurkowania, aby trafiać raczej w pokład. Nadbudówka *Sutanto* sypnęła odłamkami.

Wildcat był coraz bliżej swojej ofiary.

Siedemset metrów.

Sześćset.

Pięćset.

Spod pokładu okrętu zaczęły wydobywać się dym i płomienie.

Czterysta.

Trzysta metrów.

Wildcatowi skończyła się amunicja i wyszedł zwrotem z nurkowania.

Przez dwie sekundy nie działo się nic, a potem *Sutanto* eksplodował z hukiem, który wstrząsnął

światem. Gdy fala uderzeniowa dotarła do *Hillary Clinton*, Kolhammer odczuł ją całym sobą. Zaboląły go uszy, na chwilę stracił ostrość widzenia. Marynarze padali na podłogę, a gigantyczny lotniskowiec zadrżał od zęzów po maszty. Chwilę potem podniósł się, przechodząc nad falą, i opadł. Cały i nietknięty.

Sutanto zniknął, a wraz z nim zginął mały aluminiowy dolnopłat, który wszystkich ich uratował.

Nie wszystkich, pomyślał Kolhammer, gdy się wyprostował.

Podmuch ogarnął dwa najbliższe liniowce i statek szpitalny. Kolejne dwie jednostki zderzyły się podczas panicznej ucieczki. Jedna z nich tonęła. Na uszkodzonych statkach dochodziło do wtórnych eksplozji i pożarów. Pokład dziobowy statku szpitalnego spowity był dymem. Cała reszta konwoju uciekała we wszystkie strony.

– Zniszczenia? – zawołał Kolhammer.

Komandor Judge spojrział na pobliski ekran i potem przez okno, jakby nie dowierzał danym systemu i musiał sprawdzić je naocznie. Na kolejnych ekranach zaczęły pojawiać się obrazy z kamer umieszczonych na masztach i zdalnych samolotach krążących nad konwojem.

– Jezu, rozerwał się jak atomówka.

Kolhammer nie poznał, kto to powiedział. Sądząc po porównaniu, musiał to być któryś z jego ludzi.

– Wyszliśmy bez większych uszkodzeń – powiedział Judge. – Ale straciliśmy trzy jednostki. Kolejne dwie mają kłopoty.

– Przewidywane straty? – spytał Kolhammer.

– Duże. Pięć do sześciu tysięcy. Operacja ratunkowa już w toku. Nie ma innych zagrożeń. Na osiemset kilometrów wkoło czysto.

– OK. Pozbierajcie ich wszystkich, zanim rozproszą się na pół oceanu.

Spruance oderwał się od okna i podszedł do admirała. Wyglądał na wstrząśniętego, ale nie aż tak bardzo jak Kolhammer.

– Co to było, u diabła? – spytał.

Kolhammer nie wiedział, jak wyjaśnić to wszystko. Adrenalina przestawała już działać, zostawiając go osłabionym i roztrzęsionym. Padł na fotel i rozłożył ręce.

– To była przyszłość – odpowiedział.

Spotkanie japońskiego gabinetu wojennego przeciągnęło się długo w noc. Atmosfera nie była pogodna. Paru osób brakowało. Atak na Hashirajimę przyniósł ciężkie straty. Choć Yamamoto ostrzegwał Główną Kwaterę Cesarską, że należy opróżnić kotwiczowisko, niektórzy byli skłonni winić go za tę tragedię. Nie przejmował się tym. Są ludzie, którzy potrzebują porządnego kopniaka, aby zrozumieć, co naprawdę się dzieje.

Niemniej nawet i on poczuł się zaskoczony rajdami na Singapur i na Luzon. Nie tyle samą skalą zniszczeń, które dotknęły cesarskie wojska w tych miejscach, ile dziwnym wyborem celów dokonanych przez admirała Kolhammera. Yamamoto oczekiwał raczej wielkiego ataku na bazy Połączonej Floty i zatopienia wszystkich przebywających tam okrętów. Tymczasem stał się świadkiem marnowania cennych zasobów na cele, które nie miały żadnego znaczenia strategicznego. To było dziwne, jednak admirał nie był skłonny do popełnienia błędu, którym byłoby uznanie tych poczynań za zwykłą głupotę. Wiele mówiły o naturze nowego przeciwnika i należało się nad tym poważnie zastanowić.

Dlaczego to zrobili, skoro mogli rozbić siły zbrojne wroga? Czy mówiło to coś o ludziach, z którymi wcześniej walczyli, albo o świecie, z którego tu przybyli? Czy była to słabość, którą dałoby się wykorzystać?

Niemniej wszystko to były pytania na jutro. W tej chwili siedział w otoczeniu ministrów, którzy domagali się odpowiedzi, w jaki sposób Amerykanie zdołali dotrzeć tak daleko w głąb cesarstwa i zabrać swoich krajan.

– Zrobili to, ponieważ nie mogliśmy ich powstrzymać – powiedział Yamamoto z niejaką przekorą.

Obecni podnieśli straszny krzyk. Yamamoto przeczekał burzę i w końcu się uspokoił.

– Amerykanie popełnili wielki błąd – powiedział cicho. – Zmarnowali większość zapasów amunicji, ratując ludzkie szkielety i kurwy obozowe. To taktyczne zwycięstwo będzie ich kosztować utratę przewagi strategicznej. Niebawem się o tym przekonają. Przygotowałem miecz, który przeszyje serce ich floty w czasie powrotu do Pearl Harbor.

– Czy to dlatego *Sutanto* opuścił Hashirajimę, admirał? – spytał premier Tojo, który dotąd w ogóle się nie odzywał.

Yamamoto skinął głową.

– To dlatego większość naszej floty wyszła w morze. Mają osłaniać nasze wojska wycofujące się z Chin i pomóc w inwazji na Nową Gwineę oraz kontynent australijski. Pozbawimy Amerykanów bazy wypadowej do kontruderzenia na Pacyfiku.

Kilka osób przy stole gwałtownie wciągnęło powietrze. Nie zareagował. Do tej pory tylko on i Tojo znali ten plan.

– A co z Hawajami? – spytał premier.

– Nimi też się zajmiemy.

– Nawet z tym superlotniskowcem? – rzucił gniewnie generał wojsk lądowych. Armia nigdy nie popierała ekspansji cesarstwa na południe. Zdaniem Yamamoty generałowie byli nazbyt wpatrzeni w Mandzurię i przeceniali komunistyczne zagrożenie. Musiał stłumić uśmiech, gdy wyobraził sobie, jak będzie trzeba wyciągać ich z Chin za portki i kołnierze, krzyczących i wierzgających.

– *Sutanto* zniszczy flotę Kolhammera – obiecał i uniósł dłoń, powstrzymując nieuniknione pytania. – Owszem, to tylko mały okręt, ale ogarnie ich niczym boski wiatr, kamikadze.

– A skąd się o tym dowiemy? – spytał Tojo.

– Nadal mamy swoje źródła na Hawajach – wyjaśnił Yamamoto. – Przekażą nam.

Pochylił się i uderzył okaleczoną dłonią w blat.

– Ale nawet jeśli *Sutanto* się nie uda i Kolhammer przetrwa, nie porzucimy naszego nowego planu, ponieważ nie mamy innego wyboru – powiedział, cedząc słowa. – Czytaliście wszyscy raporty, które wam przekazałem. Wiecie, do czego doprowadzi nas dotychczasowa droga. Byliśmy ślepi na prawdziwe niebezpieczeństwo. Nie wiąże się ono z Rosją ani z Chinami. Czai się po drugiej stronie Pacyfiku, w Stanach Zjednoczonych, i na południu, w Australii, gdzie Amerykanie rozbudują niebawem swoje siły. Musimy pokonać ich, zanim staną się zbyt mocni. Musimy odebrać im bazę na Hawajach. A ostatniego dnia wojny musimy stanąć w Gabinetcie Ovalnym i nadziać ich kalekiego prezydenta na nasz miecz. Nie mamy innego wyboru.

Zapadła absolutna cisza. Tuzin mężczyzn patrzył na niego, niektórzy ze strachem, inni ze skrajnym zdumieniem, paru jakby obojętnie. Milczenie przeciągało się i Yamamoto zaczął obawiać się, że zaraz ktoś roześmieje mu się w twarz. W końcu ktoś zabrał głos. Był to ten sam oficer, który wcześniej kwestionował możliwość zdobycia Hawajów.

– Ale jak? – spytał z przejęciem.

Yamamoto uśmiechnął się.

Moskwa, 25 czerwca 1942, godzina 22.15

Długo był przekonany, że nie istnieje na świecie bardziej przygnębiające miejsce niż kwatery główna Gestapo przy Prinz Albrechtstrasse, w końcu jednak chyba znalazł je tutaj, w tej zdumiewająco obskurnej poczekalni. Wiedział, że jeśli w ciągu następnej godziny nie zdoła załatwić tego, po co przybył, zapewne nigdy nie ujrzy już tego pokoju. Może zostanie zastrzelony zaraz za tymi dębowymi drzwiami, które prowadziły do pomieszczeń zajmowanych przez Komitet Centralny. A może trafi na ukrytą zapadnię, która ciśnie go do celi. To byłoby bardzo w ich stylu. Bez wątpienia mają w tym budynku jakieś więzienie.

Robił, co mógł, aby wyglądać na spokojnego, chociaż fotel, na którym siedział, był bardzo niewygodny. Nikt nie zaproponował mu nawet szklanki wody, nikt nie uściśnął mu dłoni. Tutejsi niżsi funkcjonariusze traktowali go chłodno, za co najpewniej nie mógł nikogo winić. Jego kraj nadal prowadził eksterminację ich rodaków, mordując miliony ludzi tak, jak zabija się szczury. Może rano będzie już inaczej. Ze względu na dobro Watterlandu bardzo na to liczył.

Nie był jednak do końca przekonany do pomysłu, który miał tutaj przedstawić. Gdyby to był wyłącznie pomysł Japończyków, wyśmiałby cały plan. Jednak sam Führer zdecydował, że propozycja Yamamoty warta jest ryzyka. Oczywiście to nie Führer ryzykował, tylko on.

W sumie było to czyste szaleństwo. Niemniej cały świat naznaczony był obłędem. Führer czytał z błyskiem w oku przetłumaczone na niemiecki artykuły z alianckiej prasy, która po raz pierwszy zapomniała niemal o innych teatrach działań wojennych i pisała na pierwszych stronach wyłącznie o Pacyfiku. I dlatego on był teraz tutaj, w paszczy lwa, z misją, która na pewno miała związek z tymi „podróżnikami w czasie” Przybył, dokąd miał przybyć, i chcieli go wysłuchać. Już to zapewne było warte ryzyka.

Niemiecki minister spraw zagranicznych, Joachim von Ribbentrop, strzepnął nitkę z rękawa. Czekał, aż Józef Stalin zaprosi go na posiedzenie Politbiura i pozwoli przedstawić w imieniu Führera propozycję zawieszenia broni i zawiązania nowego sojuszu z państwami Osi. Sojuszu wymierzonego przeciwko wszystkim zwolennikom liberalnej demokracji.

* Określenie żołnierza z Naval Construction Force – wojsk inżynieryjnych US Navy (przyp. tłum.).

* *Kantai Kessen* – „decydująca bitwa morska” – kluczowy element japońskiej doktryny morskiej, zgodnie z którą o losach wojny powinna zdecydować jedna, zwycięska dla Japonii bitwa, w której flota przeciwnika miała ulec całkowitemu zniszczeniu (przyp. tłum.).